

MINISTERSTWO
NIEZRÓWNaNEGO
SZCZĘŚCIA

ARUNDHATI ROY

ARUNDHATI ROY

**MINISTERSTWO
NIEZRÓWNAWNEGO
SZCZĘŚCIA**

Tłumaczył
Jerzy Łoziński

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Wszystkim Nieutulonym

No cóż, to tylko kwestia twego serca.
Nâzim Hikmet

W magicznej godzinie, kiedy słońce już znika, ale światło jeszcze nie, armie rudawek odczepiają się od drzew figowca na starym cmentarzu i niczym dym rozplywają się nad miastem. Znikają nietoperze, a ich miejsce zajmują kruki. Gwar ich powrotu nie zapelnia do końca ciszy po wróblach, które też znikły, oraz po starych sępach o białych grzbietach, które przez sto milionów lat pilnowały umarłych, a zostały wytepięone. Sępy zdechły otrute diklofenakiem. Diklofenak, krowia aspiryna, podawany bydłu na rozluźnienie mięśni, aby łagodzić ból i zwiększyć produkcję mleka, na białogrzbięte sępy działa – działał – niczym gaz paraliżujący. Każda chemicznie odprężona i dająca mleko krowa czy też byk, które zdechły, stawały się dla sępów zatrutą przynętą. Kiedy więc krowy stawały się bardziej wydajnymi maszynami mleczarskimi, miasto zaś zjadało więcej lodów, karmelowych chrupków, wafelków i czekoladowych płatków oraz piło więcej mlecznych koktajli z mango, sępom opadały szyje, jakby ptaki były zmęczone i musiały iść spać. Z dziobów srebrnymi kroplami ściekała im ślina, one zaś jeden po drugim spadały z gałęzi martwe.

Nieliczni zauważyli kres tych przyjaznych starych ptaków. Tak wiele innych rzeczy zaprzętało uwagę.

1. Gdzie się udają stare ptaki, aby umrzeć

Żyła na cmentarzu jak drzewo. O świcie żegnała kruki i witała nietoperze. O zmierzchu zaś – odwrotnie. Pomiędzy nocną a dzienną zmianą konferowała z przysiadłymi na najwyższych gałęziach duchami sępów. Delikatne dotknięcia ich szponów odczuwała jak fantomowy ból w amputowanej kończynie. Dowiedziała się, że bez większego żalu przeproszą i znikną z opowieści.

Kiedy zjawiała się po raz pierwszy, bez najmniejszego sprzeciwu, niczym drzewo, znosiła miesiące zwyczajnych tortur. Nie odwracała się, aby sprawdzić, który chłopak cisnął w nią kamieniem, nie wyciągała szyi, aby odczytać wydrapane na jej korze obelgi. Kiedy ludzie ją wyzywali – kłowna bez cyrku, królową bez pałacu – pozwalala na to, by cierpienie przemykało po gałęziach niczym wiatr, a ból kołła balsamem, którym był szelest liści.

Dopiero gdy zaprzyjaźnił się z nią i zaczął ją odwiedzać Ziauddin, ślepy imam¹, który ongiś prowadził modły w meczecie Fatehpuri, otoczenie uznało, że czas już zostawić ją w spokoju.

Dawno temu pewien mężczyzna, który znał angielski, powiedział, że jej imię czytane w tym języku na wspak brzmi Madźnu. W angielskiej wersji tej historii o Lajli i Madźnunie² on nazywał się Romeo, a ona, Lajla – Julia. Bardzo ją to rozśmieszyło.

– Chcesz powiedzieć, że zrobiłam *khićri*³ z ich opowieści? – spytała. – I co poczną, kiedy odkryją, że Lajla to tak naprawdę może być Madźnun, a Romeo to Julia?

Kiedy mężczyzna, który znał angielski, spotkał ją następnym razem, przyznał się do pomyłki. Jej imię czytane na wspak po angielsku brzmi: Mudźna – żadne imię i w ogóle słowo bez znaczenia. Odrzekła na to:

– Nie szkodzi. Jestem nimi wszystkimi, jestem Romeem i Julią, Lajlą i Madźnunem. A także Mudźną, czemu nie? Kto bowiem powiedział, że nazywam się Andźum? A może Andźuman? Jestem *mehfil*. Jestem zgromadzeniem, wszystkich i nikogo, wszystkiego i niczego. Chciałbyś zaprosić kogoś jeszcze? Proszę bardzo: wszyscy zaproszeni.

Mężczyzna, który znał angielski, powiedział, że bardzo bystro do tego doszła; jemu samemu nawet nie przyszło to do głowy.

– A niby jak miało przyjść przy twoim potocznym urdu? Myślisz, że angielski automatycznie czyni cię bystrzejszym?

Roześmiał się. Zaśmiała się z jego śmiechu. Wypalili na spółkę papierosa z filtrem. Poskarżył się, że Wills Navy Cut są krótkie i kłocowate, niewarte swojej ceny. Ona powiedziała, że na co dzień woli je od Four Square czy bardzo męskich Red & White.

Nie pamiętała już teraz, jak się nazywał. A może nigdy tego nie wiedziała. Mężczyzna, który znał angielski, odszedł tam, dokąd musiał odejść. Ona zaś mieszkała na cmentarzu za szpitalem państwowym. Do towarzystwa miała *almirę*⁴ firmy Godrej, w której przechowywała muzykę – podrapane płyty oraz taśmy – stare organki, ubranie, świecidełka, ojcowskie tomiki poezji, jej albumy ze zdjęciami i kilka wycinków prasowych, które przetrwały pożar w Chłabgah. Kluczyk nosiła na szyi na czarnej tasiemce wraz z wygiętą srebrną wykałaczką. Spała na postrzępionym dywaniku perskim, który zamykała na dzień, na noc zaś rozwijała między dwoma grobami (jej prywatny żart polegał na tym, że podczas kolejnych nocy nigdy nie były to dwa takie same). I ciągle paliła. I ciągle Navy Cut.

Pewnego ranka, kiedy czytała mu na głos gazetę, stary imam, który najwyraźniej nie słuchał, spytał, udając nonszalancję:

– Czy to prawda, że u was nawet hidżry się grzebie, a nie kremuje?

Czując zbliżające się kłopoty, spróbowała wymówki:

– Prawda...? Czy to prawda? Czymże jest prawda?

Imam nie chciał dać się zbić z tropu, mruknął więc mechanicznie:

– *Sać Chuda he. Chuda hi Sać he.*

Prawda jest Bogiem. Bóg jest prawdą. Tego rodzaju mądrości można było wyczytać na klapach ciężarówek, które wymalowane przemykały szosami. Potem zmrużył oczy zielone w swej ślepotcie, a z jego warg spłynął zielony w swej chytrności szept:

– Powiedz mi, kiedy umieracie, gdzie się grzebie waszych ludzi? Kto obmywa ich ciała? Kto się modli?

Przez długi czas Andżum nic nie odpowiadała. Potem nachyliła się i odszepnęła w niedrzewny sposób:

– A kiedy ludzie mówią o kolorach, czerwonym, błękitnym, pomarańczowym, gdy opisują niebo o wschodzie słońca albo księżyc wstający podczas ramadanu, co przychodzi ci do głowy?

W ten sposób ugodziwszy się nawzajem głęboko, niemal śmiertelnie, w milczeniu siedzieli obok siebie, krwawiąc na czyimś osłonecznionym grobie. Na koniec to Andżum przerwała ciszę.

– To raczej ty mi powiedz, bo wszak to ty jesteś *sahibem*⁵ imamem, a nie ja, dokąd udają się stare ptaki, aby umrzeć? Czy zlatują na nas z nieba jak kamienie? Rozdeptujemy ich trupy na ulicach? Czy sądzisz, że Wszechwiedzący i Wszechwładny, który umieścił nas tu, na ziemi, słusznie to urządził, zabierając nas stąd?

Tego dnia wizyta imama trwała krócej niż zwykle. Andżum patrzyła, jak odchodzi, wystukując sobie trasę między grobami, a jego widząca laska komponowała muzykę, kiedy trafiała na kładące się mu w poprzek drogi puste

butelki po wódzie i ciśnięte strzykawki. Nie zatrzymywała go. Wiedziała, że wróci. Ilekroć napotykała samotność, zawsze ją rozpoznawała, nawet gdyby tamta usiłowała się skryć za najbardziej wyrafinowanymi szyframi. Czuła, że w jakiś asymptotyczny sposób on potrzebuje jej cienia, a ona – cienia przezeń rzucanego.

Choć jej rozstaniu z Chłabgah daleko było do serdeczności, wiedziała, że sny i sekrety tego miejsca nie należą tylko do niej, aby je mogła zdradzać.

1 Imam – w islamie sunnickim duchowny sprawujący pieczę nad całym meczetem.

2 Lajla i Madżnun – bohaterowie popularnej arabskiej historii miłosnej.

3 *Khićri* – mieszanina ryżu i soczewicy. Tu w znaczeniu mieszanki w ogóle.

4 *Almira* – szafka lub szafa.

5 Sahib – pan.

2. Chłabgah

Była czwartym z pięciorga dzieci, które zimną styczniową nocą urodziły się przy latarce (awaria światła) w Śahdżahanabadzie, obmurowanej dzielnicy Delhi. Ahlam Badżi, akuszerka, która ją przyjmowała, złożyła ją w ramionach matki opatuloną w dwa szale ze słowami: „To chłopiec”. Zważywszy na okoliczności, pomyłka była zrozumiała.

Po miesiącu pierwszej ciąży Dżahanara Begam i jej mąż postanowili, że jeśli urodzi się syn, nazwą go Aftab. Ich pierwszych troje dzieci to były dziewczynki. Czekali na swojego Aftaba od sześciu lat. Noc, kiedy go powiła, była najszcześniejsza w życiu Dżahanary Begam.

Nazajutrz, kiedy wstało słońce, a w pokoju zrobiło się miło i ciepło, odwinęła małego Aftaba. Obejrzała jego drobniutkie ciało – oczka nosek głowę pachę palce u rąk palce u nóg – z sytą, powolną błogością. I to wtedy odkryła, szukając pod spodem tej chłopięcej rzeczy – małą, nieuformowaną, ale bez wątpienia dziewczęcą rzecz.

Czy to możliwe, aby matka przerażała się swoim dzieckiem? Dżahanara Begam była przerażona. Najpierw poczuła, jak serce jej się ściska, a kości popieleją. Potem uznała, że musi sprawdzić, czy się nie pomyliła. A następnie odsunęła się od tego, co spłodziła, podczas gdy trzewia jej się skurczyły, a po nogach spłynęła cienka strużka kupy. Czwartą reakcją była myśl, aby zabić siebie i dziecko. Piątą było chwycenie noworodka i przyciśnięcie go do siebie – a jednocześnie czuła, że wpada w szczelinę między światem, który znała, a światami, o których istnieniu nie miała pojęcia. W tej otchłani wirowała w ciemności, a wszystko, czego była dotąd pewna, przestało mieć jakikolwiek sens, każda rzecz, od najmniejszej po największą. W urdu, jedynym znanym jej języku, wszystko ma rodzaj, a właściwie płeć. Nie tylko ożywione istoty, lecz także wszystkie przedmioty, dywany, ubrania, książki, ołówki, instrumenty muzyczne – są albo męskie, albo żeńskie. Wszystko – z wyjątkiem jej dziecka. Dobrze wiedziała, że jest słowo na takich jak ono: *Hidżra*1. A właściwie dwa: *Hidżra* i *Kinnar*. Ale dwa słowa nie tworzą języka.

A czy można żyć poza językiem? Naturalnie to pytanie nie narzuciło jej się w postaci słownej, jako jedno klarowne zdanie. Narzuciło się jej jako bezdźwięczny, embrionalny skowyt.

Szóstą reakcją było postanowienie, że musi się oczyścić, a na razie nie będzie niczego mówić nikomu. Nawet mężowi. Siódma reakcja: położyć się obok Aftaba i odpocząć. Jak uczynił Bóg chrześcijan, kiedy już stworzył niebo i ziemię. Tyle że on odpoczął, kiedy nadał już sens stworzonemu światu, podczas gdy Dżahanara Begam odpoczęła po tym, gdy to, co stworzyła, zdruzgotało jej sens świata.

Mówiła sobie, że przecież to nie jest ostatecznie rzeczywista vagina. Jej kanały nie były otwarte (sprawdziła). To był tylko taki dodatek – dziecienna rzecz. Może się zamknie, zaleczy, jakoś zniknie. Ona będzie się modliła w każdej znanej jej świątyni i prosiła o to, aby Wszechmocny okazał jej łaskę. I on to zrobi. Wiedziała, że zrobi. Może zresztą już zrobił, tylko że nie do końca to pojmowała.

Pierwszego dnia, w którym poczuła się na siłach, aby wyjść z domu, Dżahanara Begam wzięła ze sobą malutkiego Aftaba do *dargi*² Hazrata Sarmada Śahida, odległej od jej domu dziesięć minut spacerem. Nie знаła wtedy historii Hazrata Sarmada Śahida i nie miała pojęcia, co skierowało jej kroki ku tej właśnie świątyni. Być może sam ją do siebie przyzwał. Albo może pociągnęło ją do osobliwych ludzi, którzy tam koczowali, gdy szła na bazar Mina, ludzi, na których we wcześniejszym życiu nawet by nie zerknęła, chyba że zastąpiłoby jej drogę. Nagle wydali się najważniejszymi ludźmi na świecie.

Nie wszyscy z tych, którzy odwiedzali tę *dargę*, znali historię Hazrata Sarmada Śahida. Niektórzy znali jej część, inni nie znali jej w ogóle, jeszcze inni wymyślali sobie jej własne wersje. Większość wiedziała, że był żydowsko-ormiańskim kupcem, który przybył do Delhi z Persji za miłością swego życia. Nieliczni wiedzieli, że ową miłością był Abhej Ćand, młody hindus, którego spotkał w Sindzie. Większość wiedziała, że porzucił judaizm dla islamu. Większość słyszała, że żył na ulicach Śahdżahanabadu jako nagi fakir, zanim go publicznie stracono. Niewielu słyszało, że przyczyną kary śmierci nie była publiczna nagość, lecz apostazja. Ówczesny cesarz -Aurangzeb wezwał na swój dwór Sarmada i kazał mu dowieść tego, że jest prawdziwym muzułmaninem, poprzez recytację kalimy *la ilaha ilallah, Mohammed-ur rasul Allah* – „Nie ma Boga poza Allahem, a Muhammad jest jego wysłannikiem”. Sarmad stał nagi w Czerwonym Forcie przed sądem złożonym z *kadich* i *maulanów*³. Gdy zaczął recytować kalimę, chmury zatrzymały się na niebie, ptaki znieruchomiały w locie, ledwie jednak rozpoczął – zatrzymał się. Wypowiedział tylko pierwsze słowa: *La ilaha*, „nie ma Boga”. Nie może pójść dalej, twierdził, zanim nie dokończy duchowego poszukiwania, dopiero bowiem wtedy będzie mógł objąć Allaha całym sercem. Aż do tej chwili recytowanie kalimy byłoby tylko drwiną z modlitwy. Aurangzeb zasięgnął opinii *kadich* – po czym nakazał egzekucję.

Błędem jednak byłoby sądzić na tej podstawie, że ci, którzy przychodzili złożyć cześć Hazratowi Sarmadowi Śahidowi, nie znając jego losów, czynili to z racji swej ignorancji, lekceważenia faktów i historii. Albowiem wewnątrz *dargi* niepokorny duch Sarmada, intensywny, wyczuwalny, prawdziwszy od wszystkich faktów historycznych, jakie można nagromadzić, ukazywał się tym, którzy chcieli jego błogosławieństwa. Wielbił (acz nie w kazaniach) cnotę duchowości, wyżej ją stawiając od sakramentu, prostotę wynosił nad zbytek, słał nieugiętą ekstatyczną miłość, nawet gdy ceną za nią stawało się unicestwienie. Duch Sarmada pozwalał

tym, którzy przyszli do niego, zabrać tę opowieść i przemienić ją w to, czego potrzebowali.

Kiedy Dżahanara Begam stała się w *dardze* popularną postacią, usłyszała (i przekazała dalej tę wieść), jak Sarmada ścięto na schodach meczetu Dżama Masdżid przed prawdziwym oceanem ludzi, którzy go kochali i zebrali się, aby go pożegnać; jak jego głowa, chociaż odłączona od ciała, nadal recytowała wiersze; i jak on podjął ową recytującą głowę gestem tak niedbałym, jak mógłby współczesny motocyklista uczynić z hełmem, wszedł po schodach do wnętrza meczetu, a stamtąd wstąpił prosto do nieba. To właśnie dlatego, mówiła Dżahanara Begam (każdemu, kto chciał słuchać), w małej *dardze* Haz-rata Sarmada (niczym pijawka przywarłym do wschodnich stopni Dżama Masdżidu w miejscu, w którym zebrała się kałuża ściekającej krwi) czerwona jest podłoga, czerwone są ściany i czerwony jest sufit. Minęło ponad trzysta lat, mówiła, a nie dało się zmyć krwi Hazrata Sarmada. Jakąkolwiek farbą malowano *dargę*, mówiła Dżahanara, ta sama z siebie robiła się krwista.

Kiedy Dżahanara Begam pierwszy raz przecisnęła się przez tłum sprzedawców *ittarów*⁴ i amuletów, handlarzy pielgrzymich trzewików, kalek, żebraków, kóz tuczonych na święto Id, a także mocno ściśniętych spokojnych, starych eunuchów, którzy zadomowili się pod rozpiętym na zewnątrz świątyni brezentem, i po raz pierwszy weszła do niedużego czerwonego pomieszczenia, poczuła spokój. Odgłosy ulicy ścichły i dochodziły – zdało się – z wielkiej oddali. Trzymając na podołku śpiące dziecko, usiadła i przyglądała się, jak ludzie – czy to muzułmanie, czy hindusi – pojedynczo i parami podchodzą do otaczającej grób barierki, aby zawiązać na niej czerwone nitki, wstążki, papierowe pasemka i błagać Sarmada o błogosławieństwo. Dopiero jednak, kiedy dojrzała przejrzystego starca o suchej, papierowej skórze i wątlej, splecionej ze światła brodzie, który kiwał się do przodu i do tyłu, bezgłośnie łkając, jakby mu pękało serce, Dżahanara Begam dała upust własnym łzom. „To mój syn Aftab”, szeptała Hazratowi Sarmadowi, „którego ci tu przynoszę. Opiekuj się nim i naucz mnie, jak go kochać”.

Co Hazrat Sarmad uczynił.

•

Przez pierwszych kilka lat życia Aftaba sekret Dżahanary Begam był bezpieczny. Czekając, aż wyzdrowieje jego dziewczyńska rzecz, nie odstępowała go na krok i chroniła z dziką zajadłością. Nawet kiedy urodził się najmłodszy, Sakib, nie pozwalała Aftabowi oddalić się zbyt daleko – takie zachowanie nikogo jednak nie dziwiło w przypadku niewiasty, która tak długo i tak niecierpliwie wyczekiwała syna.

Jako pięciolatek Aftab zaczął chodzić do chłopięcej madrasy uczącej w języku urdu-hindi przy Ćuriwali Gali, alejce sprzedawców bransoletek. Już po

roku potrafił recytować po arabsku spore partie Koranu, chociaż nie było jasne, jak wiele z tego rozumie, lecz nie inaczej było z resztą dzieci. Był lepszy od przeciętnych uczniów, niemniej już od czasu, gdy był bardzo mały, stawało się jasne, iż jego prawdziwym darem jest muzyka. Miał słodki, szczerzy, śpiewny głos; wystarczyło mu raz posłyszeć melodię, aby ją powtórzyć. Rodzice zdecydowali posłać go do Ustada Hamida Khana, wybitnego młodego muzyka, który w swej ciasnej klitce przy Ćandni Mahal uczył dzieci klasycznej muzyki hindustani. Mały Aftab nie opuścił ani jednej lekcji. Jako dziewięciolatek potrafił dobre dwadzieścia minut śpiewać *bara chajal* w ragach⁵ Jaman, Durga i Bhairaw, przy czym jego głos tylko muskał leciutko płaskie gamy *rekhab* w radze Purija Dhanaśri, niczym kamyk odbijający się od powierzchni jeziora. Potrafił śpiewać *ćejti* i *thumri* z talentem i elegancją kurtyzany z Lakhnau. Zrazu rozbawieni, ludzie nawet go zachęcali, ale nie trzeba było długo czekać, aby zaczęły się kpiny i szyderstwa ze strony innych dzieci:

– On jest Ona. Nie jest Nim ani Nią. Jest Nim i jest Nią. Ona-On, On-Ona, oooooo!

Kiedy drwiny stały się nie do zniesienia, Aftab przestał chodzić na lekcje muzyki, ale wtedy ceniący go Ustad Hamid zaproponował, że będzie go uczył oddzielnie – i tylko jego. Tak więc lekcje muzyki trwały, ale poza tym Aftab nie chciał już uczęszczać do szkoły. W tym czasie także nadzieje Dżahanary Begam zaczęły stopniowo blednąć. Dzięki ciągłemu zręcznym wykrętów udało jej się odroczyć o kilka lat obrzezanie, ale młody Sakib czekał na swoją kolej, wiedziała więc, że długo to już nie potrwa. W końcu zrobiła to, co musiała. Zebrała się na odwagę i opowiedziała o wszystkim mężowi, załamana, łkająca z bólu, ale także z ulgi, że wreszcie ma z kim dzielić swe najgorsze koszmary.

Jej mąż, Mulakat Ali, *hakim*⁶, lekarz ziołoterapii, był miłośnikiem poezji urdu i perskiej. Przez całe życie pracował dla rodziny innego *hakima*, Hakima Abdula Madżidy, który opracował popularną odmianę sorbetu zwanego Ruh Afza (co po persku znaczy „eliksir duszy”). Sporządzany z nasion churfy (portulaki), winogron, pomarańczy, arbuza, liści mięty, marchwi, odrobiny szpinaku, *khus-khus*⁷, ziaren lotosu, dwóch odmian lilii oraz destylatu róży damasceńskiej, miał być Ruh Afza tonikiem, ludzie szybko jednak stwierdzili, że dwie łyżki stołowe lśniącego syropu o barwie rubinu rozpuszczone w szklance zimnego mleka czy nawet zwykłej wody były znakomitym środkiem na skwarne upały delhijskie, a także antidotum na dziwne dreszcze powodowane przez pustynne wiatry. Wnet specyfik pomyślany jako lekarstwo stał się jednym z najpopularniejszych w okolicy napojów letnich, a Ruh Afza okazał się zyskownym przedsięwzięciem o uznanej marce. W ciągu czterdziestu lat produkt zdominował rynek, a z ulokowanej w starym mieście kwatery wysyłano go na południe, aż do Hajdarabadu, a na zachód – do Afganistanu. Potem jednak doszło do Podziału⁸.

Nowa granica między Indiami a Pakistanem rozszczepiła bożą tętnicę, a milion ludzi zginęło z nienawiści. Sąsiedzi rzucali się na siebie, jakby się w ogóle nie znali, jakby nie uczestniczyli w swoich weselach i nie śpiewali swoich pieśni. Obmurowane miasto stanęło otworem. Stare rodziny (muzułmańskie) uciekały, pojawiały się nowe (hinduskie) i osiadały wokół murów miejskich. Sprzedaż Ruh Afzy znacznie spadła, ale po niedługim czasie znowu wzrosła; powstała filia w Pakistanie. Ćwierć wieku później, po holokauście w Pakistanie Wschodnim, kolejna filia pojawiła się w zupełnie nowym kraju, Bangladeszu⁹. Ostatecznie jednak „eliksir duszy”, który przetrwał wojny i krwawe narodziny trzech krajów, jak większość innych rzeczy na świecie został pokonany przez coca-colę.

Chociaż Mulakat Ali był zaufanym i cenionym pracownikiem *hakima* Abdula Adżida, pensja, jaką otrzymywał, nie pozwalała związać końca z końcem. Po godzinach przyjmował więc pacjentów u siebie w domu. Dżahanara Begam dochody rodziny wspomagała tym, co udało jej się zarobić na własnoręcznie szytych białych bawełnianych czapczkach w stylu Gandhiego, które opychała u hinduskich sklepikarzy przy Ćandni Ćauk.

Mulakat Ali rodowód swój wyprowadzał od Czyngis-chana, przez jego drugiego syna Czagataja. Na kawałku pomiętego pergaminu miał wyrysowane drzewo rodowe, a do tego małe blaszane pudełko wypełnione kruchymi, pożółkłymi papierami, które miały uwiarygadniać jego pretensje genealogiczne, a także tłumaczyć to, w jaki sposób potomkowie szamanów z pustyni Gobi, czciciele Wieczyście Błękitnego Nieba, niegdyś uważani za zjadłych wrogów islamu, stali się przodkami władającej Indiami od wieków dynastii Wielkich Mogołów, oraz to, jak rodzina Mulakata Alego, potomkowie będących sunnitami Mogołów, stała się szyicka. Od czasu do czasu, mniej więcej raz na kilka lat, otwierał pudełko i pokazywał dokumenty przyjezdnym żurnalistom, którzy najczęściej ani nie słuchali go uważnie, ani nie traktowali poważnie. Długi wywiad co najwyżej zyskiwał sobie kpiącą wzmiankę w weekendowym numerze specjalnym, poświęconym Staremu Delhi. Jeśli na dodatek była to rozkładówka, mogło się na niej znaleźć zdjęcie Mulakata Alego obok zbliżenia mogolskich przysmaków, długiego ujęcia muzułmanek w burkach i wiozących je ciasnymi, brudnymi uliczkami rowerowych ryksz oraz, rzecz jasna, obowiązkowej fotografii z lotu ptaka tysiąca muzułmanów, którzy w białych myckach, perfekcyjnie uszeregowani kłonią się w modlitwie przed Dżama Masdżid. Dla niektórych czytelników zdjęcia takie były dowodem sukcesu, który odnosiły w Indiach sekularyzm oraz tolerancja międzywyznaniowa. Inni z leciutką ulgą konstatowali, że delhijskim muzułmanom wiedzie się całkiem dobrze w ich rozwibrowanym getcie. Dla jeszcze innych był to dowód, że muzułmanie ani myślą się „integrować”, z pasją mnożąc się i organizując, aby wnet stać się zagrożeniem dla hinduistycznych Indii. Liczba wyznawców tego poglądu rosła w alarmującym

tempie.

Niezależnie od tego, co się ukazywało lub nie ukazywało w gazetach, nieco zdzienniały Mulakat Ali zawsze witał swoich gości w malutkich pokoikach ze znoszoną dumą człowieka szlachetnego rodu. O przeszłości mówił z godnością, ale bez nostalgii. Opisywał, jak w trzynastym wieku jego przodkowie rządili imperium, które od krajów zwących się dziś Wietnamem i Koreą sięgało aż po Węgry i Bałkany, od północnej Syberii po wyżynę Dekan w Indiach; większego imperium świat nigdy nie znał. Często kończył wywiad, cytując kuplet urdu autorstwa jednego ze swoich ulubionych poetów, Mira Takiego Mira:

Dżis sar ko ghurur adź he jan tadź-wari ka

Kal us pe jahi śor he phir nohagari ka

Głowę, co dzisiaj dumnie szczy się koroną,

Jutro tu ujrzysz w lamencie zatopioną.

Większość jego gości, hałaśliwi emisariusze nowej klasy panującej, ledwie świadomi swej młodej arogancji, nie chwyтали wszystkich warstw znaczeniowych kupletu, który był im oferowany niczym przekąska, którą najlepiej splukać wysoką na kciuk filiżaneczką mocnej, słodkiej herbaty. Tak, owszem, rozumieli, że to tren za upadłym cesarstwem, którego międzynarodowe granice skurczyły się do ponurego getta okolonego przez ruiny murów starego miasta. Umykało im natomiast to, że była to przekąska nader szczwana, perfidna *samosa*¹⁰, przestroga pod postacią trenu, z fałszywą uniżonością oferowana przez uczonego, który był całkowicie przekonany, iż słuchacze zupełnie nie znają urdu, języka, który – jak większość jego użytkowników – stopniowo zamykał się w getcie.

Rozmówienie Mulakata Alego w poezji nie było ot, takim sobie hobby, pozostającym bez żadnego związku z jego pracą *hakima*. Był przekonany, że poezja może uleczyć niemal wszystkie schorzenia, a przynajmniej zrobić wiele w tym kierunku. Gotów był przepisywać swoim pacjentom wiersze, tak jak inni *hakimowie* przepisywali medykamenty. W każdym razie ze swojego znakomitego skarbcza mógł wydobyć kuplet przedziwnie nadający się na każdą chorobę, na każdą okazję, na każdy nastrój i na każdą, nawet najbardziej delikatną zmianę w klimacie politycznym. Dzięki temu zwyczajowi otaczające go życie wydawało się głębsze, a zarazem mniej dramatyczne, niż naprawdę było. Zwyczaj ten bowiem nasyczał wszystko subtelną aurą stagnacji, poczuciem, iż wszystko, co się wydarza, zdarzyło się już wcześniej. Że zostało już opisane, uświetnione pieśnią, skomentowane i wprowadzone do inwentarza historii. Że nie była możliwa żadna nowość. To mogło stanowić przyczynę, dla której otaczający go młodzi ludzie uciekali z chichotem, ilekroć poczuli, iż oto zbliża się pora na kuplet.

Kiedy Dżahanara Begam powiedziała mu o Aftabie, być może wtedy po raz pierwszy w życiu Mulakat Ali nie znalazł żadnego kupletu odpowiedniego do tej okazji. Potrwało chwilę, zanim pokonał wstępny szok. Kiedy zaś to nastąpiło,

zrugął żonę za to, iż nie powiedziała mu wcześniej. Czasy się zmieniły, oznajmił. Teraz jest już era nowoczesna. Był pewien, iż istnieje proste medyczne rozwiązanie problemu ich syna. Muszą znaleźć lekarza w Nowym Delhi, daleko od szeptów i plotek, których pełno było w *mohallah*¹¹ starego miasta. Z niejaką surowością powiedział żonie, że ich Wszechmocny pomaga tym, którzy pomagają sami sobie.

Tydzień później, ubrani elegancko, z nieszczęsnym Aftabem wciśniętym w dorosły stalowoszary ubiór typu *pathani*¹² z czarną haftowaną kamizelką, czapeczką oraz *dżuti*¹³ ze szpicami zadartymi jak gondole – wyruszyli ciągniętą przez konia *tangq*¹⁴ do dzielnicy Nizamuddin Basti. Oficjalnie: wyjeżdżali na dzień, aby obejrzyć narzeczoną kuzyna Edżaza – najmłodszego syna najstarszego brata Mulakata Alego, Kasima, który przeniósł się do Pakistanu po Podziale. Naprawdę jednak mieli wyznaczoną wizytę u doktora Ghulama Nabiego, będącego, jak to głosił, „seksuologiem”.

Doktor Nabi chlubił się tym, że jest szczerym człowiekiem, o ścisłym i naukowym charakterze. Po zbadaniu Aftaba stwierdził, że nie jest on z medycznego punktu widzenia hidżrą – kobietą uwięzioną w męskim ciele – aczkolwiek w celach praktycznych można by użyć tego określenia. Aftab, ciągnął doktor Nabi, jest rzadkim przypadkiem herma-frodyty, to znaczy kogoś, kto ma cechy i męskie, i żeńskie, aczkolwiek te pierwsze zdawały się dominować. Nabi mógłby zarekomendować pewnego chirurga, który zaklei dziewczęcą część, zaszyje ją, przy czym można by też przepisać pewne pigułki – tyle że, konkludował lekarz, problem nie jest tylko powierzchowny. Operacja z pewnością pomoże, jednak pozostaną „skłonności hidżry”, które nigdy już nie znikną całkowicie (na określenie „skłonności” użył słowa *fitrat*¹⁵). Dlatego też całkowitego sukcesu nie mógł gwarantować. „Skłonności”, zawołał zachwycony Mulakat Ali, gotów teraz łapać się choćby słomki nadziei. „Skłonności to żaden problem. Każdy ma jakieś skłonności, takie czy inne. Ze skłonnościami można sobie poradzić”.

Chociaż wizyta u doktora Nabiego nie przyniosła bezpośredniego rozwiązania problemu tego, co Mulakat Ali uważał za przypadłość Aftaba, to bardzo ojcu pomogła. Pozwoliła mu się zorientować w sytuacji, podała współrzędne, dzięki którym można było sterować statkiem, który w innym przypadku błąkałby się po oceanie zupełnej ignorancji. Trwogę swą mógł teraz przekształcić w praktyczny problem – całą uwagę i wszystkie siły skoncentrować na celu, który dobrze rozumiał: jak zebrać pieniądze na operację. Okroił wydatki domowe, sporządził listę znajomych i krewnych, u których mógłby zaciągnąć pożyczkę. Jednocześnie wziął się do realizacji programu kulturalnego mającego na celu rozbudzenie w Aftabie męskości. Przekazywał mu miłość do poezji, natomiast odwodził od śpiewania *thumri* i *ćejti*. Do późnej nocy sycił go opowieściami o jego wojowniczych przodkach i ich zasługach na polach bitewnych. Historie te nie robiły na Aftabie żadnego wrażenia do chwili, kiedy usłyszał o tym, jak Temudżyn

– Czyngis-chan – zdobył rękę swej pięknej żony, Börte Khatun, porwanej przez wrogie plemię. Kochał ją tak bardzo, że niemal sam jeden rzucił się na wrogą armię, aby odzyskać umiłowaną. Aftab poczuł, że chciałby być nią.

Kiedy jego siostry i bracia szli do szkoły, Aftab całe godziny spędzał na balkoniku ich domu, wychodzącym na Ćitli Kabar, malutką świątynię poświęconą pstrej kozie, o której mówiono, iż ma ponadnaturalne moce, a także na ruchliwą ulicę, która biegła w kierunku Matia Mahal Ćauk. Szybko nauczył się kadencji i rytmu sąsiedztwa, a był to zasadniczo potok przekleństw urdu – „jebię twoją matkę”; „pierdol swoją siostrę”; „przysięgam na kutasa twojej matki”. Strumień ten pięć razy na dzień przerywało wezwanie do modlitwy, które płynęło z Dżama Masdżid, a także siedmiu innych, mniejszych meczetów starego miasta. Kiedy dzień po dniu Aftab prowadził czujną obserwację, na niczym szczególnie się nie skupiając, Guddu Bhai, zgryźliwy poranny sprzedawca ryb, który swój wózek z błyszczącymi, świeżymi rybami ustawiał w centrum *ćauku*¹⁶ z taką niechybnością, z jaką słońce wstaje na wschodzie, a znika na zachodzie, wydłużał się w Wasima, wysokiego, dobrodusznego popołudniowego sprzedawcę *nan khatai*¹⁷, który następnie skuli się do postaci Junusa, małego, szczupłego wieczornego sprzedawcy owoców, ten zaś późnym wieczorem rozrośnie się i napuchnie w osobę Hasana Miana, rosłego handlarza najlepszego w Matia Mahal baraniego *biriani*¹⁸, które serwował z wielkiego mosiężnego garnka. Pewnego wiosennego poranka Aftab zobaczył wysoką, szczupłą w biodrach kobietę, jaskrawo umalowaną, mającą wysokie złote obcasy i lśniącą zieloną satynową *śalwar kamiz*¹⁹, która robiła zakupy u Mira, sprzedawcy bransolet dorabiającego sobie jako stróż Ćitli Kabar. Zapas bransolet składał w grobowcu każdego wieczora, kiedy zamykał świątynię i sklep (zadbał o to, aby godziny pracy się pokrywały). Aftab jeszcze nigdy nie widział czegoś takiego jak wysoka kobieta z umalowanymi ustami. Zbiegł po stromych schodach na ulicę i dyskretnie podążył za nią, podczas gdy ona kupowała kozie kopyta, spinki do włosów, owoce gujawy, a także zawiązała sobie sandały.

Chciał być nią.

Podążył za nią ulicą aż do Bramy Turkmeńskiej i stał długi czas pod niebieskimi drzwiami, za którymi zniknęła. Żadnej zwykłej kobiecie nie wolno było paradować po ulicach Śahdżahanabadu w takim stroju. Zwykle kobiety w Śahdżahanabadzie nosiły burki, a przynajmniej ukrywały głowy i każdą część ciała poza rękoma i stopami. Kobieta, za którą poszedł Aftab, mogła tak się odziewać, jak się odziewała, i chodzić tak, jak to robiła, tylko dlatego, że nie była kobietą. Kimkolwiek była, Aftab chciał być nią. Chciał być nią nawet bardziej, niż chciał być Börte Khatun. Chciał jak ona przemykać między straganami z mięsem, na których oprawione kozy zwisały niczym wielkie ściany mięsa, chciał uśmiechać się kokieteryjnie, przechodząc obok The New Life-Style Men’s Hairdressing Salon,

w którym Ilijas, fryzjer, przycinał włosy szczupłemu, młodemu rzeźnikowi, Liakatowi, i przy użyciu pomady Brylcreem nadawał im połysk. Chciał wyciągać dłoń z pomalowanymi paznokciami i przegub pełen bransoletek, aby delikatnie odchyłać skrzela ryby i sprawdzać, na ile jest świeża, zanim zacznie się targować o jej cenę. Chciał, stąpając nad kałużą, ledwie odrobinę podciągać swój *śalwar* – na tyle jednak, aby pokazać srebrne obręcze na kostkach.

I nie była to tylko, stanowiąca ledwie przydatek, dziewczęca część Aftaba.

Teraz zaczął dzielić swój czas pomiędzy lekcje muzyki a wystawianie pod niebieskimi drzwiami domu w Gali Dakotan, w którym mieszkała wysoka kobieta. Dowiedział się, że nazywa się Bombay Silk i że było jeszcze siedem innych do niej podobnych: Bulbul, Razia, Hira, Baby, Nimmo, Mary i Gudija, które mieszkały razem w *haweli*²⁰ z niebieskimi drzwiami i które miały *ustad* – *guru*²¹, która zwała się Kulsum Bi. Ta, starsza od nich wszystkich, prowadziła cały dom. Aftab dowiedział się też, że owa *haweli* nazywa się Chłabgah – Dom Marzeń.

Zrazu nieustannie był przeganiany, ponieważ wszyscy, łącznie z mieszkańcami Chłabgah, znali Mulakata Alego i nie chcieli popaść z nim w konflikt. Niezależnie jednak od upomnień i kar, które go czekały, Aftab uparcie, dzień po dniu, powracał na swój posterunek. Był to jedyny punkt w jego świecie, w którym, jak czuł, powietrze robiło dla niego miejsce. Ilekroć się pojawiał, ono jakby się poruszało, odsuwało, niczym przyjaciel w szkole, usuwający na bok swoje rzeczy na ławce. W ciągu kilku miesięcy, robiąc zakupy, nosząc bagaże oraz instrumenty muzyczne, kiedy mieszkańcy wychodzili na spacer po mieście, masując swe zmęczone stopy pod koniec pracowitego dnia – Aftabowi udawało się stopniowo przełamywać barierę, aż w końcu nadszedł dzień, w którym wpuszczono go do środka. Kiedy został wpuszczony, wchodził do tego zwykłego, podupadłego domu, jak gdyby przekraczał bramy raj.

Niebieskie drzwi otwierały się na wybrukowany, otoczony wysokimi ścianami dziedziniec, z ręczną pompą w jednym kącie, a drzewem granatu w drugim. Za głęboką werandą ze żłobionymi filarami – dwa pokoje. Dach nad jednym z nich zapadł się, ściany skruszały, zmieniając się w kupę gruzu, w której zdomowiła się kocia rodzina. Pokój, który nie uległ zniszczeniu, był duży i znajdował się w zupełnie dobrym stanie. Wzdłuż jego łuszczących się, bladezielonych ścian stały cztery drewniane *almiry* i dwie kolejne firmy Godrej, na których znajdowały się zdjęcia gwiazd filmowych – takich jak Madhubala, Waheeda Rehman, Nargis, Dilip Kumar (który naprawdę nazywał się Muhammad Yusuf Khan), Guru Dutt i chłopak z sąsiedztwa, Johnny Walker (Badrudin Jamaluddin Kazi), komik, który był w stanie rozśmieszyć nawet najbardziej ponurą osobę. W drzwi jednej z szaf wprawiono mętne lustro pełnej wysokości. Inny kąt zajęła podniszczona, stara toaletka. Z wysokiego sufitu zwieszał się odrapany i pokancerowany żyrandol z tylko jedną działającą żarówką i ciemnobrązowy

wentylator na długiej lince. Wentylator wykazywał ludzkie cechy: był kapryśny, nastrojowy i nieprzewidywalny. Także i on miał imię: Usza. Usza nie był już młody i dlatego potrzebował pieszczotliwych zachęt, należało go więc poszturchiwać długą szczotką, a wtedy podejmował pracę, obracając się niczym bardzo wolna tancerka na rurze.

Ustad Kulsum Bi spała na jedynym łóżku w *haweli*, a jej papug, Birbal, wisił nad nią w klatce. Birbal darłby się, jakby go mordowano, gdyby w nocy Kulsum Bi nie znalazła się w jego pobliżu.

W godzinach pracy Birbala potrafił on ciskać zabójcze inwektywy, które zawsze były poprzedzane przez na wpół kpiące, a na wpół flirtujące zawołanie: *Aj Haj!* – którego nauczył się od współmieszkanek Ustad.

Wyzwisko najchętniej stosowane przez Birbala było też najczęściej słyszany w Chłabgah: *Sali Randi Hidźra* (Ta pieprzona dziwka-eunuch). Birbal znał wszystkie odmiany. Mógł wyzwisko wymruczeć, powiedzieć kokieteryjnie, żartobliwie, namiętnie, a także z autentycznym wściekłym gniewem.

Wszyscy inni spali na werandzie, a ich posłania były na dzień zwijane niczym wielkie wałki. Zimą, kiedy na dziedziniec wpełzały zimno i mgła, wszyscy tłoczyli się w pokoju Kulsum Bi. Do toalety można się było dostać tylko poprzez zawalony pokój. Wszyscy ustawiali się w kolejce do mycia pod pompą. Absurdalnie strome, wąskie schody prowadziły do kuchni na pierwszym piętrze. Kuchenne okno wychodziło na kopułę kościoła Świętej Trójcy.

Mary była jedyną chrześcijanką pośród mieszkańców Chłabgah. Nie chodziła do kościoła, ale za to nosiła na szyi mały krucyfiks. Gudija i Bulbul były hinduistkami i od czasu do czasu odwiedzały świątynie, które chciały je przyjąć. Reszta była wyznania muzułmańskiego. Odwiedzali Dżama Masdżid i te *dargi*, które pozwalały im wejść do wewnętrznych pokoi (gdyż w przeciwieństwie do biologicznych kobiet, hidźry nie były uważane za nieczyste, nie miały bowiem menstruacji). Tymczasem najbardziej męska ze wszystkich osób w Chłabgah miała menstruację. Bismillah spała na górze, na kuchennym tarasie. Była niską, żylastą ciemnoskórą kobietą z głosem jak klakson autobusowy. Przed kilkoma laty przeszła na islam i przeniosła się do Chłabgah, po tym jak jej mąż, kierowca autobusu w Przedsiębiorstwie Komunikacyjnym w Delhi, wyrzucił ją z domu za to, że nie dawała mu dziecka. Oczywiście nigdy nie przyszło mu do głowy, że to on mógł być odpowiedzialny za ich bezdzietność. Bismillah (uprzednio Bimla) zajmowała się kuchnią i strzegła Chłabgah przed niepożądanymi gośćmi z gwałtownością i bezwzględnością zawodowego gangstera z Chicago. Jeśli ona nie udzieliła zezwolenia, młodym mężczyznom wstęp do domostwa był stanowczo zakazany. Nawet regularni goście, jak przyszły klient Andżum – mężczyzna, który znał angielski – musieli trzymać się reguł i ustalać pory swych odwiedzin. Bismillah towarzyszyła na tarasie Razii, która straciła nie tylko umysł, lecz także

pamięć i nie wiedziała już, kim jest ani skąd przybyła. Razia nie była hidźrą, była mężczyzną, który lubił się ubierać w kobiece stroje. Tak czy owak, chciała, by uważano ją nie za kobietę, tylko za mężczyznę, który chce być kobietą. Już dawno temu przestała ludziom (łącznie z hidźrami) wyjaśniać różnice. Razia całymi dniami karmiła gołębie na dachu, a wszystkie rozmowy naprowadzała na tajemny, niewykorzystywany przez rząd plan (nazywała go *dao-peć22*), który wykryła dla hidźr i ludzi jak ona. Zgodnie z nim wszyscy mieli zamieszkać w kolonii domów, otrzymywać emerytury państwowe, a dzięki temu nie musieliby już dłużej zarabiać na życie, uprawiając, jak ona to określała, *badtamizi* – złe obyczaje. Innym z tematów, którymi zajmowała się Razia, była państwowa pensja dla ulicznych kotów. Z jakiegoś powodu jej pozbawiony pamięci i kotwic umysł uparcie zajmował się planami państwowymi.

Pierwszą prawdziwą przyjaciółką Aftaba w Chłabgah została Nimmo Gorakhpuri, najmłodsza z nich wszystkich i jedyna, która skończyła szkołę średnią. Nimmo uciekła z domu w Gorakhpurze, gdzie jej ojciec pracował jako drugorzędny urzędnik w głównym urzędzie pocztowym. Chociaż Nimmo zachowywała się tak, jak gdyby była o wiele starsza, naprawdę miała może sześć czy siedem lat więcej od Aftaba. Była niska, krępa, z bujnymi, kędzierzawymi włosami, zdumiewającymi brwiami, przypominającymi parę jataganów, i niezwykle gęstymi rzęsami. Mogłaby wydawać się piękna, gdyby nie szybko rosnące włosy na twarzy, które skórze na policzkach pod makijażem nadawały niebieski odcień – nawet wtedy, kiedy się ogoliła. Nimmo miała obsesję na punkcie zachodniej mody kobiecej i była niesłychanie zaborcza, jeśli chodzi o swoją kolekcję magazynów mody, które nabywała na niedzielnych bazarze używanych książek na chodnikach Darijagandżu, pięć minut spaceru od Chłabgah. Jeden ze sprzedawców, Noszad, który czasopisma dostawał od śmieciarzy obsługujących zagraniczne ambasady na Śantipath, odkładał je na bok, a potem bardzo tanio sprzedawał Nimmo.

– Czy wiesz, dlaczego Bóg stworzył hidźrę? – spytała Aftaba pewnego popołudnia, kiedy przeglądała numer „Vogue” z 1967 roku. Egzemplarz miał pozaginane rogi, a ona z zachwytem wpatrywała się w jasnowłose damy z odsłoniętymi nogami, które ją tak ogromnie zachwyciły.

– Nie, dlaczego?

– To eksperyment. Postanowił stworzyć coś, żywą istotę, która nie może doznawać szczęścia. I dlatego zrobił nas.

Słowa te uderzyły w Aftaba z siłą fizycznego ciosu.

– Jak możesz tak mówić? Przecież wy wszystkie tu czujecie się szczęśliwe! To jest przecież Chłabgah! – powiedział, a panika w nim rosła.

– Kto tutaj czuje się szczęśliwy? Wszystko to jest jedno wielkie fałszerstwo i zmyślenie – powiedziała lakonicznie Nimmo, nie odrywając nawet oczu od

czasopisma. – Nikt tu nie czuje się szczęśliwy. To niemożliwe. *Are jar*²³, pomyśl tylko o tym, z powodu czego wy, normalni ludzie, jesteście nieszczęśliwi. Nie chodzi mi o ciebie, ale o dorosłych takich jak ty; czemu bywają nieszczęśliwi? Wzrastają ceny, trudno zapewnić dzieciom szkołę, mężowie biją, żony oszukują, hinduiści walczą z muzułmanami, Indie wojują z Pakistanem: to wszystko zewnętrzne rzeczy, które się ostatecznie jakoś wyjaśniają. Ale dla nas wzrost cen, kłopoty ze szkołą, mężowskie lania i oszustwa żon są wszystkie wewnątrz nas. Walki są w nas samych. Wojna jest w nas samych. Ind-o-Pak²⁴ jest w nas samych. To się nigdy nie rozwiąże. Po prostu nie może.

Aftab rozpaczliwie chciał się jej sprzeciwić, powiedzieć, że całkowicie się myli, ponieważ on jest szczęśliwy, szczęśliwszy niż był kiedykolwiek dotąd. Jest przecież szczęśliwym dowodem na to, że Nimmo Gorakhpuri nie ma racji. Czyż nie? Nic jednak nie powiedział, gdyż wymagałoby to ujawnienia, że nie należy do „normalnych ludzi” – a na to nie był jeszcze przygotowany.

Aftab w pełni rozumiał, co Nimmo miała na myśli, kiedy skończył czternaście lat. Był to czas, gdy ona uciekła z Chłabgah z kierowcą autobusu (który wkrótce ją porzucił i wrócił do swojej rodziny). Jego ciało zniemacka wypowiedziało mu wojnę. Zaczęło rosnąć i nabierać mięśni. Także włosów. W panice starał się usuwać włosy z twarzy i ciała przy użyciu kremu Burnol – specyfiku wypalającego, który pozostawiał ciemne plamy na skórze. Potem spróbował Anne French – kremu usuwającego włosy, który podkraść swoim siostronom (szybko zostało to jednak wykryte, ponieważ śmierdziało od niego jak z otwartego ścieku). Własnoręcznie zrobioną pęsetą, która zresztą bardziej przypominała kleszcze, wyrywał włoski z krzaczastych brwi, aby wyglądały jak cieniutkie, asymetryczne półksiężycy. Pokażne jabłko Adama jeździło mu po szyi w dół i w górę. Pragnął wyrwać je sobie z gardła. A potem przyszła najgorsza ze wszystkich zdrad, coś, na co nie mógł nic poradzić. Zmienił mu się głos. Głęboki, mocny głos mężczyzny zastąpił jego dawny słodki, wysoki głosik. W żaden sposób nie mógł się z tym pogodzić, ogarniał go lęk, ilekroć otwierał usta, by przemówić. Zrobił się bardzo spokojny, mówił dopiero wtedy, kiedy już wyczerpał wszystkie inne możliwości. Przestał śpiewać. Kiedy słyszał muzykę, każdy, kto zwrócił na niego uwagę, mógł posłyszeć wysoki, ledwie uchwytny, podobny do owadziego głosu pomruk, który jakby wydobywał się przez malutką dziurkę w szczycie jego czaszki. Żadne perswazje, nawet te od samego Ustada Hamida, nie mogły zmusić Aftaba do śpiewania. Nigdy już więcej tego nie robił, z wyjątkiem szyderczych karykatur hinduskich piosenek filmowych podczas rubasznym spotkań hidźr albo wówczas, gdy wykorzystując swą sytuację, wychodzili między zwykłych ludzi na normalne uroczystości – śluby, narodziny, parapetówki – i tańczyli, śpiewali swoimi dzikimi, chrapliwymi głosami, proponując swe błogosławieństwa, ale także grożąc, że wystraszą gości (ukazując swe okaleczone części intymne) i zniszczą

całą imprezę przekleństwami oraz popisem niewyobrażalnych obscenów, chyba że dostaną zapłatę.

(To właśnie Razia miała na myśli, kiedy mówiła o *badtamizi*, a z myślą o czym Nimmo powiedziała: „Jesteśmy szakalami, które żywią się szczęściem innych ludzi, jesteśmy Prześladowcami Szczęścia”. Użyła frazy *chuśi-chor*.)

Kiedy muzyka opuściła Aftaba, nie widział już powodu, aby żyć dalej w tym, co większość zwykłych ludzi uważała za realny świat, a co hidźry nazywały po prostu *Dunija* – Światem. Pewnej nocy ukradł trochę pieniędzy i nieco lepszych ubrań swoich siostr, po czym przeniósł się do Chłabgah. Dżahanara Begam, która nigdy nie zasypiała gruszek w popiele, wślizgnęła się do środka, aby odzyskać syna. Nie chciał wychodzić. W końcu zostawiła go, wymógłszy tylko na Ustad Kulsum Bi obietnicę, że przynajmniej w weekendy Aftab będzie zmuszany do noszenia normalnych chłopięcych ubrań i wysyłany do domu. Ustad Kulsum Bi starała się dotrzymać słowa, ale udawało jej się to tylko przez kilka miesięcy.

Tak oto w wieku piętnastu lat, raptem o kilkaset metrów od miejsca, w którym jego rodzina żyła od stuleci, Aftab przez normalne drzwi wkroczył do innego wszechświata. Pierwszego wieczoru swego stałego pobytu w Chłabgah tańczył na dziedzińcu do wtóru ulubionej przez wszystkich piosenki *Pyar Kiya To Darna Kya* z ukochanego przez wszystkich filmu *Mughal-e-Azam*. Następnego wieczoru, podczas niewielkiej ceremonii, otrzymał zieloną *dupattę*²⁵ Chłabgah oraz został wprowadzony do zasad i rytuałów, które formalnie uczyniły go członkiem wspólnoty hidźr. Aftab stał się Andżum, uczennicą Ustad Kulsum Bi, w jednym z siedmiu regionalnych skupisk hidźr w kraju, z których każde miało swojego przywódcę, a nad wszystkimi znajdował się przywódca najwyższy.

Dżahanara Begam już nigdy więcej nie odwiedziła syna w Chłabgah, jednak przez całe lata codziennie wysyłała tam gorące posiłki. Jedyнным miejscem, w którym spotykała się z Andżum, była *darga* Hazrata Sarmada Śahida. Siadały tutaj na chwilę, Andżum – wysoka, niemal dwumetrowa, z głową skromnie przykrytą prążkowaną *dupattą* – oraz drobniutka Dżahanara Begam, której włosy zaczęły siwieć pod czarną burką. Niekiedy ukradkiem chwytaly się za dłonie.

Jeśli chodzi o Mulakata Alego – ten był mniej skłonny zaakceptować sytuację. Złamane serce nigdy nie ozdrowiało. Nadal wprawdzie udzielał wywiadów, nigdy jednak ani prywatnie, ani publicznie nie wspomniał o nieszczęściu, które spotkało dynastię Czyngis-chana. Zdecydował, że zrywa wszystkie więzi ze swym synem. Nigdy nie spotkał się z Andżum ani więcej do niej nie przemówił. Czasem przypadkiem widywali się na ulicy i wymieniali spojrzenia, ale nigdy się nie pozdrawiali. Nigdy.

Przez lata Andżum stała się najszlachetniejszą w Delhi hidźrą. Reżyserzy zabijali się o nią, organizacje pozarządowe uważały ją za swój skarb, zagraniczni korespondenci w ramach przysługi zawodowej przekazywali sobie jej numer

telefonu. Razem z telefonami do Szpitala Ptasiego, Phoolan Devi, skruszonej „Królowej Bandytów”, a także kontaktem do fałszywej Begam Awadhu, która żyjąc w starej ruinie w lesie na Grzbiecie, pośród służących i żyrandoli, nieustannie wysuwała pretensje do swego nieistniejącego królestwa²⁶. W wywiadach zachęcano Andżum do tego, aby opowiadała o prześladowaniach i krzywdach, które, jak przypuszczali rozmówcy, zanim porzuciła dom, musiała znosić od swoich konserwatywnych muzułmańskich rodziców, rodzeństwa oraz sąsiadów. Tutaj niezmiennie oczekiwało ich rozczarowanie, gdyż opowiadała o tym, jak bardzo matka i ojciec ją kochali oraz jak to ona była okrutna wobec nich. „Inni mają naprawdę przerażające historie, takie, o których lubicie pisać”, mówiła, „czemu więc z nimi nie porozmawiacie?”. Ale oczywiście gazety nie działają w ten sposób. To ona była wyróżniona. To musiała być ona, nawet jeśli opowieść należało odrobinę zmienić, aby dogodzić gustom i oczekiwaniom czytelników.

Zamieszkawszy na stałe w Chłabgah, Andżum mogła nareszcie nosić ubrania, o których marzyła: zwiewne jak nić pajęczna *kurta* z cekinami, plisowane *śalwary* z Patial, *śarary*, *gharary*²⁷, srebrne łańcuszki na kostkach, szklane bransolety i zwisające kolczyki. Kazała sobie przekłuć nos i nosiła w nim wyrafinowaną, zdobioną szlachetnymi kamieniami szpilkę, podkreślała oczy węglem i cieniowała powieki na granatowo, a także sprawiła sobie ponętne jak u Madhubali usta, z górną wargą w kształcie łuku, które lśniły ciemnoczerwoną szminką. Włosy nie chciały jej rosnąć długie, ale były długie na tyle, aby dały się zaczesać do tyłu i zapleść w warkocz ze sztucznymi włosami. Miała mocną, kunsztownie rzeźbioną twarz oraz, jak ojciec, wyrazisty haczykowaty nos. Nie była piękna w stylu Bombay Silk, niemniej wydawała się bardziej seksowna, bardziej intrygująca i pociągająca – w sposób, który właściwy jest tylko niektórym kobietom. Ten wygląd w połączeniu z jej skłonnością do przesadnej, wyzywającej kobiecości sprawiły, że nawet prawdziwe, biologiczne kobiety w sąsiedztwie – również i te, które nie nosiły burki – robiły wrażenie rozmytych i niepełnych. Nauczyła się mocno kołysać biodrami, gdy szła, a każdą rozmowę okraszała przyjętym u hidźr kłaśnięciem dłoni z szeroko rozłożonymi palcami, które było głośne jak wystrzał, a mogło znaczyć wszystko: tak, nie, może, *Wa! Behen ka lora* (na kutasa twojej siostry) albo *Bhonsdi ke* (skurwysynu!). Tylko inne hidźry potrafiły rozszyfrować, co konkretnie znaczyło kłaśnięcie w danym momencie.

Na osiemnaste urodziny Andżum Kulsum Bi wyprawiła jej przyjęcie w Chłabgah. Zgromadziły się tam hidźry z całego miasta, a także przyjechało kilka spoza niego. Po raz pierwszy w życiu Andżum nosiła sari, czerwone sari „disco”, z *ćoli*²⁸ odsłaniającą całe plecy. Tej nocy śniło się jej, że jest panną młodą podczas swej nocy poślubnej. Obudziła się zniesmaczona tym, że jej erotyczna przyjemność niczym u mężczyzny znalazła wyraz w stroju. Zdarzyło się to nie pierwszy raz, z jakiegoś jednak powodu, być może z racji sari, nigdy jeszcze nie czuła takiego

upokorzenia. Usiadła na dziedzińcu i wyła jak wilk, bijąc się po głowie i między nogami oraz krzycząc z zadawanego sobie bólu. Ustad Kulsum Bi, dla której takie sceny nie były niczym nowym, dała jej środek uspokajający i zabrała ją do swojego pokoju. Kiedy Andżum się uspokoiła, Ustad Kulsum Bi mówiła do niej tak łagodnie, jak nikt nigdy jeszcze się do niej nie zwracał.

Nie ma powodu, by się czegokolwiek wstydzić, powiedziała Kulsum Bi, ponieważ hidźry są ludźmi wybranymi, ukochanymi przez Wszechmogącego. Słowo *hidźra*, mówiła, oznacza ciało, w którym mieszka święta dusza. W trakcie następnej godziny Andżum dowiedziała się, że święte dusze stanowią odrębny rodzaj istnień, a świat Chłabgah był co najmniej tak skomplikowany jak świat *Duniji*, a może nawet bardziej. Hinduistki, Bulbul i Gudija, zanim przybyły do Chłabgah, przeszły w Bombaju ceremonię formalnej (niezwykle bolesnej) kastracji religijnej. Bombay Silk i Hira chciałyby zrobić to samo, były jednak muzulmankami i sądziły, że islam nie pozwala im przeistoczyć płci danej przez Boga, ale jakoś potrafiły dać sobie radę bez tej zmiany. Baby, podobnie jak Razia, był mężczyzną, który chciał mężczyzną pozostać, natomiast być kobietą pod każdym innym względem. Sama Ustad Kulsum Bi, jak powiedziała, nie zgadzała się z tym, jak interpretowały islam Bombay Silk i Hira. I ona, i Nimmo Gorakhpuri, należące do różnych pokoleń, poddały się operacji chirurgicznej. Zna, mówiła, doktora Muchtara, który jako człowiek wiarygodny i dochowujący sekretów nie rozpuszczał plotek o swoich pacjentach w każdej *gali* czy *kući*²⁹ Starego Delhi. Powiedziała, iż Andżum powinna zastanowić się i podjąć decyzję, co chce zrobić. Andżum potrzebowała na to całych trzech minut.

Doktor Muchtar wzbudzał większe zaufanie niż doktor Nabi. Powiedział, że może jej usunąć męskie części i postarać się usprawnić jej istniejącą waginę. Zasugerował także pigułki, które mogłyby podwyższyć jej głos i pomóc w rozwinięciu piersi. No, ale chyba z jakąś zniżką, nastawała Kulsum Bi. I doktor Muchtar zgodził się na ulgę. Kulsum Bi zapłaciła za operację i hormony, Andżum zaś przez lata zwróciła jej o wiele więcej.

Operacja była trudna, rekonwalescencja nawet jeszcze bardziej, ale ostatecznie wszystko skończyło się dobrze. Andżum czuła się tak, jakby z jej krwi uniosła się mgła, dzięki czemu mogła nareszcie myśleć jasno.

Okazało się jednak, że wagina doktora Muchtara była szalbierstwem. Działała wprawdzie, ale nie tak, jak obiecywał, i nawet dwie operacje korekcyjne nic nie pomogły. Nie zaproponował jednak zwrotu pieniędzy, ani w całości, ani w części. Wprost przeciwnie, bardzo dobrze urządził sobie życie, sprzedając zrozpaczonym ludziom wątpliwe, niskiej jakości części ciał. Zmarł jako człowiek zamożny, z dwoma domami w -Lakszmi Nagar, po jednym dla każdego z synów, jego córka zaś wyszła za bogatego budowlańca w Rampur.

Chociaż Andżum stała się rozchwytywaną kochanką i utalentowaną

dawczynią przyjemności, orgazm, który przeżyła, mając na sobie czerwone sari disco, był ostatnim w jej życiu. Chociaż „skłonności”, przed którymi doktor Nabi przestrzegał jej ojca, pozostały, pigułki doktora Muchtara rzeczywiście podwyższyły jej głos. Tyle że ograniczyły jego rezonans, nadały mu szorstkość i pewną chrapliwą jakość, która niekiedy rozbrzmiewała tak, jakby dwa głosy, zamiast jednego, kłóciły się ze sobą. Przerażało to innych ludzi, ale ich właścicielka nie była tym tak przestraszona jak przez ów głos, który zyskała od Boga. Ale też nie sprawiał jej przyjemności.

Andżum przez ponad trzydzieści lat mieszkała w Chłabgah, ze swoim pozszywanym z części ciałem i częściowo zrealizowanymi marzeniami.

Miała czterdzieści sześć lat, gdy oznajmiła, że chce opuścić Chłabgah. Mulakat Ali już nie żył. Dżahanara Begam większość czasu spędzała w łóżku, a żyła z Sakibem i jego rodziną w jednej części starego domu na Ćitli Kabar (druga część została wynajęta dziwnemu, nieśmiałemu młodzieńcowi, który żył pośród stosów używanych angielskich książek; piętrzyły się one na podłodze, łóżku i każdej innej poziomej powierzchni, jaka tylko była). Andżum mogła okazjonalnie składać tam wizyty, ale nie zostawać. Chłabgah stał się domem dla nowego pokolenia mieszkanek; ze starych pozostały tylko Ustad Kulsum Bi, Bombay Silk, Razia, Bismillah i Mary.

Andżum nie miała dokąd iść.

•

Być może z tego powodu nikt nie traktował jej poważnie.

Teatralne zapowiedzi odejścia i rychłego samobójstwa były wyćwiczonymi już reakcjami na dzikie ataki zazdrości, nieskończone intrygi i nieustanne zmiany lojalności, które były częścią codziennego życia w Chłabgah. I znowu wszyscy sugerowali lekarzy i pigułki. Pigułki doktora Bhagata leczą wszystko, powtarzano. Każdy z nich korzysta. „Nie jestem Każdy”, obruszała się Andżum, dając w ten sposób początek kolejnej fali szeptów (za i przeciw) na temat tego, jakież to zarozumiałstwo i za kogo właściwie się ona uważa.

Bo też za kogo się uważała? Uważała się za mało ważną albo wprost przeciwnie, w zależności od tego, jak się spojrzało na sprawę. Miała swoje ambicje, tak. Te, które zatoczyły pełny krąg. Teraz chciała powrócić do *Duniji* i żyć jak zwykła osoba. Chciała być matką, budzić się w swoim własnym domu, ubierać Zejnab w szkolny mundurek i wysyłać ją do szkoły z książkami i śniadaniówką. Pytanie brzmiało, czy takie ambicje, żywione przez kogoś podobnego do niej, zdawały się rozsądne czy nie.

Zejnab była jedyną miłością Andżum. Znalazła ją przed trzema laty podczas jednego z owych wietrznych popołudni, kiedy czapki modlitewne zlatują z głów wiernych, a wszystkie balony przechylają się u sprzedawców w jedną stronę. Była

sama i zawodziła rozpaczliwie na stopniach Dżama Masdżidu, drobna myszka z wielkimi przerażonymi oczyma. Andżum przypuszczała, że ma około trzech lat. Miała na sobie burozielony *śalwar kamiz* i brudny biały hidżab. Kiedy Andżum nachyliła się nad nią i podała palec, dziewczynka spojrzała na nią szybko, chwyciła go, ale nadal głośno płakała. Myszka w hidżabie nie miała pojęcia, jaką burzę uczuć może ten odruchowy gest ufności wyzwolić we właścicielce palca. Fakt, że mała dziewczynka zignorowała ją, ale nie przeraziła się, stłumił (przynajmniej na moment) to, co Nimmo Gorakhpuri tak celnie dawno temu nazwała: Ind-o-Pak. Głosy wadzące się ze sobą w Andżum zamilkły. Jej ciało poczuło się jak hojny gospodarz, nie zaś pole walki. Było to bardziej jak umieranie czy jak rodzenie się? Andżum nie potrafiła rozstrzygnąć. W jej wyobraźni była w tym pełnia; poczucie całości, jedności w dwojgu. Nachyliła się, wzięła Myszkę w ramiona i mruczała coś do niej swoimi dwoma skłóconymi głosami. Ale nawet to nie wystraszyło dziewczynki ani nie skłoniło do tego, by przestała zawodzić. Przez jakiś czas Andżum stała w miejscu, uśmiechnięta radośnie, podczas gdy stworzonko w jej ramionach płakało. Później odstawiła dziewczynkę na chodnik, kupiła jej jasnoróżową watę na patyku i starała się odwrócić jej uwagę, nonszalancko nudząc o jakichś dorosłych sprawach – w nadziei, że zyska czas, w którym nadejdzie w poszukiwaniu dziecka ten, do kogo ono należało. Rozmowa okazała się jednostronna, ponieważ Myszka sprawiała wrażenie, jak gdyby niewiele o sobie samej wiedziała, nie wiedziała nawet, jak się nazywa, a poza tym nie paliła się do rozmowy. Kiedy wreszcie skończyła łąkoć (albo też on skończył z nią), miała jasnoróżową brodę i lepkie palce. Łkanie przeszło w pochlipywanie, a ostatecznie – w milczenie. Andżum trwała z nią na stopniach całymi godzinami, czekając, aż ktoś po nią przyjdzie, i wypytyjąc przechodniów, czy nie zauważyli kogoś szukającego dziecka. Kiedy nadszedł wieczór i zamknięto wielkie drewniane drzwi Dżama Masdżidu, Andżum posadziła sobie Myszkę na ramionach i zaniósła do Chłabgah. Tutaj została surowo skarcona i powiedziano jej, że w tej sytuacji jedynym rozsądnym rozwiązaniem będzie powiadomienie opiekuna świątyni, że znaleziono zagubione dziecko. Andżum zrobiła to następnego ranka. (Z ociąganiem, trzeba podkreślić, wolno stawiając krok za krokiem, pełna bezsensownej nadziei – gdyż teraz Andżum była już beznadziejnie zakochana).

Przez następny tydzień w wielu meczetach kilka razy dziennie powtarzano obwieszczenie. Nie pojawił się nikt, kto poszukiwałby Myszki. Tygodnie mijały, a nic pod tym względem się nie zmieniało. I z powodu tego niestawiennictwa Zejnab (takie imię Andżum wybrała dla dziewczynki) pozostała w Chłabgah, gdzie pławiła się w miłości liczniejszych matek (i, by tak rzec, ojców), niż jakiegokolwiek dziecko mogłoby sobie wymarzyć. Nie trwało to długo, aby przywykła do nowego życia – co sugerowało, że nie była nazbyt przywiązana do poprzedniego. Andżum zaczęła wierzyć, że Zejnab wcale się nie zgubiła, tylko została porzucona.

Po kilku tygodniach mała zaczęła mówić do Andżum „mamo” (ponieważ tak właśnie sama Andżum zaczęła siebie nazywać). Inne mieszkanki Chłabgah były wszystkie nazywane (za podszeptem Andżum) *apa* („ciocia” w urdu), tylko Mary, ponieważ była chrześcijanką, została „Mary Auntie”. Ustad Kulsum Bi i Bismillah stały się „Bari Nani” i „Ćhoti Nani” – Starsza i Młodsza Babcia. Myszka chłonęła miłość tak, jak piasek chłonie morze. Bardzo szybko stała się bezczelną młodą damą o chuligańskich manierach, przypominających bandikota (gryzonia, który ledwo dał się utrzymać w -ryzach).

Mama natomiast z każdym dniem traciła jasność myśli – kompletnie zaskoczona tym, że jest w ogóle możliwe, aby jedna istota ludzka tak bardzo i tak całkowicie kochała inną. Zrazu, ponieważ było to dla niej nowe doświadczenie, potrafiła dać wyraz swoim uczuciom tylko w porywczy, natarczywy sposób, jak dziecko w stosunku do swego pierwszego zwierzęcego ulubieńca. Kupowała Zejnab nazbyt wiele zabawek i ubrań (pełne falbanek sukienki z bufiastymi rękawami czy produkowane w Chinach piszczące buty, których obcasy skrzyły się światełkami), kąpała ją, ubierała, rozbierała zbyt dużą liczbą razy, czesała jej włosy, rozczesywała, wiązała, rozwiązywała, przy użyciu pasujących i niepasujących wstążek, których całe mnóstwo było zwinięte w starym blaszanym pudełku. Przekarmiała ją, zabierała na spacer po okolicy, a spostrzegłszy, że Zejnab żywi naturalną sympatię do zwierząt, sprawiła jej najpierw królika – który został zabity przez kota już pierwszej nocy w Chłabgah – a potem kozła z brodą á la Maulana. Kozioł mieszkał sobie na dziedzińcu i co chwila z obojętną miną rozrzucał swe lśniące kozie bobki na wszystkie strony.

Chłabgah był teraz w najlepszym stanie od lat. Zapadnięty dach naprawiono, a na jego szczycie na pierwszym piętrze, dzielonym teraz przez Andżum i Mary, zbudowano nowy pokój. Andżum spała z Zejnab na materacu na podłodze, a jej długie ciało opiekuńczo okalało małą dziewczynkę niczym mury miasta. Wieczorem śpiewała jej cicho w sposób, który bardziej przypominał szeptanie piosenek. Andżum zaczęła opowiadać Zejnab historie na dobranoc, kiedy mała podrosła na tyle, aby je rozumieć. Na początku były całkowicie nieodpowiednie dla małego dziecka. Stanowiły nieco niezręczne próby Andżum, aby powetować sobie utracony czas, przenieść się w pamięć i świadomość Zejnab, aby bez żadnego pośrednictwa ujawnić jej, że mogą całkowicie należeć do siebie nawzajem. W efekcie traktowała Zejnab jako rodzaj przystani, w której wyładowywała swe ładunki: radości i tragedie, punkty zwrotne w jej życiu, mające katartyczne znaczenie. Historie te bynajmniej nie usypiały Zejnab, wiele z nich wręcz powodowało nocne zmory, po innych zaś całymi godzinami nie mogła zasnąć, wystraszona i dygocząca. Niekiedy sama Andżum płakała, gdy je opowiadała. Zejnab zaczęła się bać pożegnań na dobranoc i mocno zaciskać powieki, aby nie musieć wysłuchiwać następnej opowieści. Potem jednak Andżum (mając do

pomocy niektóre młodsze *apa*) zmieniła politykę, by jej opowieści stały się odpowiednie dla dzieci – po jakimś więc czasie Zejnab zaczęła nawet wyczekiwać owego wieczornego rytuału.

Najbardziej lubiła opowieść o wiadukcie – jak to kiedyś Andżum wraz z przyjaciółkami późną nocą wracała na piechotę z Defence Colony w południowym Delhi aż do Bramy Turkmeńskiej. Było ich pięć czy sześć, wszystkie odstawione, wyglądały urzekająco po wieczornej zabawie w domu bogatego kupca w sekcji D dzielnicy. Po uciechach postanowiły się przejść i zaczerpnąć świeżego powietrza. „W tych czasach było w tym mieście jeszcze coś takiego jak świeże powietrze”, Andżum zapewniła Zejnab. Były w połowie drogi przez wiadukt przy Defence Colony – jedyny wówczas w całym mieście – kiedy zaczęło padać. No, a co można zrobić, gdy jesteś na wiadukcie i łapie cię deszcz?

– Mogły tylko iść przed siebie – rozsądnym, dorosłym tonem oznajmiła Zejnab.

– Masz całkowitą rację. Tak więc słyśmy sobie – mówiła Andżum. – I wtedy co się stało?

– Wtedy zachciało ci się siusiu!

– Wtedy zachciało mi się siusiu.

– Ale nie mogłaś się zatrzymać.

– Nie mogłam się zatrzymać.

– Musiałaś iść przed siebie.

– Musiałam iść przed siebie.

– Zatem zasiusiałyście swoje *ghagry*! – wołała Zejnab, ponieważ była w wieku, kiedy wszystko, co wiązało się ze sraniem, sikaniem i pierdzeniem, stanowiło najlepszą, a może i jedyną puentę wszystkich opowieści.

– Całkowita prawda, a było to najpiękniejsze uczucie na świecie – ciągnęła Andżum – być zmoczonym przez deszcz na tym wielkim, pustym wiadukcie, kiedy się szło pod wielką reklamą mokrej kobiety, która wycierała się ręcznikiem firmy Bombay Dyeing.

– A ten ręcznik był wielki jak dywan.

– Wielki jak dywan, otóż to.

– I wtedy spytałaś tę kobietę, czy możesz pożyczyć jej ręcznik, żeby się wytrzeć.

– A co ona odpowiedziała?

– Odpowiedziała: „*Nahi! Nahi! Nahi!*”³⁰.

– Odpowiedziała: „*Nahi! Nahi! Nahi!*”, zatem przemoczone słyśmy dalej z *garam-garam* (ciepłym) moczem, ciekącym nam po *thanda-thanda* (zimnych) nogach.

Niezmiennie w tym momencie Zejnab zasypiała, uśmiechając się. Najmniejsza wzmianka o niepowodzeniu czy nieszczęściu musiała być z opowieści

Andżum usunięta. Zejnab uwielbiała to, kiedy Andżum zmieniała się w młodą seksi syrenę, która prowadziła błyskotliwe życie pośród muzyki i tańca, odziana w odjazdowe ubrania, z lakierowanymi paznokciami i kręgiem admiratorów.

W taki oto sposób, aby zadowolić Zejnab, Andżum zaczęła na nowo pisać dla siebie prostsze i szczęśliwsze życie. A to pisanie na nowo także samą Andżum uczyniło prostszą, szczęśliwszą osobą.

Na przykład z opowieści o wiadukcie został usunięty fakt, że zdarzyło się to w roku 1976, u szczytu ogłoszonego przez Indirę Gandhi stanu wyjątkowego, który trwał dwadzieścia jeden miesięcy. Jej zepsuty, wykazujący przestępcze skłonności syn Sanjay Gandhi przewodniczył tylko Kongresowi Młodych (młodzieżowemu skrzydłu rządzącej partii), ale właściwie prowadził cały kraj, traktując go tak, jakby był jego osobistą zabawką. Prawa obywatelskie zostały zawieszono, prasę cenzurowano, a w ramach kontroli nad liczbą ludności tysiące mężczyzn (głównie muzułmanów) zostało zamkniętych w obozach i przymusowo wysterylizowanych. Nowe prawo (Ustawa o utrzymaniu porządku wewnętrznego) pozwalało rządowi na aresztowanie każdej osoby z byle powodu. Więzienia były pełne, a społeczeństwo zostało wydane na pastwę koterii akolitów Sanjaya Gandhiego, którzy spełniali każdą jego zachciankę.

Owej nocy, gdy rozgrywała się historia wiaduktu, policja napadła na zebranych gości weselnych – po tym jak Andżum i jej towarzyszki opuściły wesele, zostało ono rozbite przez policję. Gospodarza i troje jego gości aresztowano i wywieziono policyjnymi samochodami. Nikt nie wiedział dlaczego. Arif, kierowca ciężarówki, który przywiózł Andżum i spółkę na miejsce imprezy, usiłował zapakować grupę gości do swojego samochodu i uciec. Za tę bezczelność połamano mu kostki lewej ręki i zmiażdżono prawe kolano. Pasażerów wyciągnięto z matadora, kopiąc ich w pośladki tak, jakby byli kłownami w cyrku, a następnie pouczono, że mają „spieprzać”, czyli uciekać do domów, jeśli nie chcą być aresztowani za prostytutkę i nieprzyzwoitość. W ślepych przerażeniu uciekli niczym *ghule* w ciemności i siekącym deszczu, przy czym ich makijaż spływał szybciej, niż mogły przebierać nogi, a zmoczone przezroczyste stroje ograniczały kroki i zmniejszały prędkość. To prawda, chodziło w tym przypadku tylko o rutynowe upokorzenie hidżr i nie było to niczym nadzwyczajnym, a właściwie niczym w ogóle w zestawieniu z cierpieniami, na które zostali narażeni inni podczas tych straszliwych miesięcy.

Było to niczym – a przecież też było czymś.

Opowieść o wiadukcie, chociaż zmodyfikowana przez Andżum, zachowała jednak pewne elementy prawdy. Na przykład: tej nocy naprawdę padało. Andżum rzeczywiście siusiała, biegnąc po wiadukcie Defence Colony, na którym faktycznie były plakaty reklamujące Bombay Dyeing, a kobieta na reklamie rzeczywiście po prostu ani myślała dzielić się swym ręcznikiem.

•

Na rok przed tym, zanim Zejnab stała się na tyle duża, aby iść do szkoły, mama zaczęła się przygotowywać do tego wydarzenia. Odwiedziła swój stary dom i otrzymawszy pozwolenie swojego brata Sakiba, przeniósła kolekcję książek Mulakata Alego do Chłabgah. Często widywano ją, jak siedziała ze skrzyżowanymi nogami przed otwartą książką (którą nie był Święty Koran) i poruszała ustami, podczas gdy palec biegł wzdłuż wiersza na stronie, albo z zamkniętymi oczami kiwała się do przodu i do tyłu, myśląc o tym, co właśnie przeczytała, albo też może przeczesując zakamarki swojej pamięci w poszukiwaniu czegoś, co kiedyś wiedziała.

Kiedy Zejnab skończyła pięć lat, Andżum zaprowadziła ją do Ustada Hamida, aby rozpoczęła lekcje śpiewu. Od samego początku było oczywiste, że muzyka nie jest jej powołaniem. Brnęła nieszczęśliwa przez lekcje, tak nieomylnie trafiając w fałszywe nuty, że był to niemal talent sam w sobie. Cierpliwy, łagodny Ustada Hamid kręcił głową, jakby niepokoiła go jakaś mucha, napełniał usta letnią herbatą i przyciskał klawisze fisharmonii, co znaczyło, że chciał, aby jego uczennica spróbowała jeszcze raz. W tych rzadkich momentach, gdy Zejnab udało się trafić w pobliże właściwej nuty, kiwał głową uszczęśliwiony i powtarzał: „Mój chłopak!”, którą to frazę przejął z wyświetlanej na Cartoon Network serii *Tom i Jerry*, którą uwielbiał i oglądał ze swymi wnukami (uczącymi się w angielskiej szkole średniej). Była to najwyższa forma pochwały, jaką wypowiadał, niezależnie od płci ucznia. W przypadku Zejnab aprobata nie wynikała z tego, że sobie na nią zasłużyła, lecz ze względu na wspomnienie, jak pięknie, będąc Aftabem, Andżum śpiewała (czy też śpiewał). Andżum nie opuściła żadnej lekcji. Na nowo pojawiał się jej wysoki głos, borujący dziurę w głowie jak owad – tym razem w sytuacjach, gdy dyskretnie starała się zdyscyplinować niepokorny głos Zejnab. Nie miało to sensu. Myszka nie potrafiła śpiewać.

Okazało się natomiast, że prawdziwą pasją Zejnab były zwierzęta. Budziła zgrozę na ulicach starego miasta. Chciała uwolnić wszystkie na pół wyłysiałe, na pół zdechłe białe kurczęta, wciśnięte do brudnych klatek, które jedna na drugiej stały przed sklepem rzeźnika. Pragnęła nawiązywać rozmowę z każdym kotem, który przemknął przez jej drogę, i zabierać do domu każdy miot bezdomnych szczeniąt, które znajdowała pławiące się w ściekach we krwi i odpadkach. Ani myślała słuchać, kiedy jej mówiono, że dla muzułmanów psy są nieczyste – *nadžis* – i nie wolno ich dotykać. Nie cofała się przed wielkimi, lśniącościami szczurami, które mknęły przemierzaną przez nią codziennie ulicą; nie mogła przywyknąć do widoku wiązek żółtych kurzych pazurów, odciętych kozich kopyt, piramid kozich głów z ich wytrzeszczonymi, niewidomymi, niebieskimi ślepiami ani do perłście białych kozich mózdzków, które drżały jak galaretka w wielkich stalowych

rondlach.

Oprócz kozła, który dzięki Zejnab przetrwał niezarżnięty rekordowe trzy razy święto Bakr-Id, Andżum sprawiła jej też pięknego koguta, który na powitalne uściski swojej nowej pani odpowiadał złośliwym dziobnięciem. Zejnab głośno płakała – choć bardziej z powodu złamanego serca niż rzeczywistego bólu. Dziób karał ją, ale jej miłość do ptaka pozostawała niezmienną. Ilekroć dopadała ją Miłość do Koguta, tylekroć chwytła ramionami za nogi Andżum i kilkoma głośnymi pocałunkami obdarzała kolana mamy, z miłosnym spojrzeniem odwracając głowę w górę, a potem ku kogutowi, aby obiekt uczucia oraz obiekt otrzymujący pocałunki dobrze wiedziały, co się dzieje i który kares dla kogo był naprawdę przeznaczony. W jakimś stopniu zawrót głowy Andżum na punkcie Zejnab odzwierciedlał się w zawrocie głowy Zejnab na punkcie zwierząt. Owo umiłowanie żywych istot w żadnym jednak stopniu nie stawało na przeszkodzie jej obżeraniu się mięsem. Przynajmniej dwa razy do roku Andżum zabierała ją do zoo w Purana Kili, Starym Forcie, aby odwiedzić nosorożce, hipopotamy i prawdziwych ulubieńców Zejnab: giboniątka z Borneo.

Kilka miesięcy po tym, jak Zejnab została przyjęta do działającego w Darijagandź przedszkola KGB (Kindergarten – grupa B) przy Wrażliwych Pączkach, Szkole dla Przedszkolank – jako oficjalni rodzice zostali podani Sakib i jego żona – zdrowy zwykle Bandikot zapadł na cały ciąg chorób. Żadna nie była poważna, wszystkie jednak okazały się długotrwałe i wycieńczyły ją, gdyż każda kolejna osłabiała ją jeszcze bardziej niż poprzednia. Malaria nastąpiła po przeziębieniu, po niej zaś dwa ataki gorączki wirusowej, z których pierwsza była w miarę łagodna, ale druga już niepokojąca. Andżum krzątała się wokół niej w sposób mało przydatny i nie zważając na gniewne przypomnienia, że zadeklarowała się przecież spełniać w Chłabgah pewne (mające głównie administracyjny charakter) obowiązki. Pielęgnowała Bandikota dniem i nocą ze skrywaną, ale rosnącą paranoją. Coraz bardziej była przekonana, że ktoś, kto zazdrościł jej (Andżum) powodzenia, rzucił zły urok na Zejnab. Igła podejrzeń uparcie wskazywała na Saidę, stosunkowo młodą członkinię Chłabgah. Ta, o wiele młodsza od Andżum, zajmowała w sercu Zejnab drugie po niej miejsce. Uczyła się w szkole i znała angielski, a co ważniejsze, sprawnie władała popularnym wówczas językiem: potrafiła używać takich terminów jak cisseksualista, K / M i M / K, a w wywiadach nazywała siebie „transosobą”. Andżum natomiast kpiła z tego, co nazywała „biznesem trans-france”, i uparcie obstawała za tym, aby określać ją jako hidżrę.

Jak wiele osób z młodszej generacji, Saida łatwo zmieniała *śalwar kamiz* na zachodnie ubrania: dżinsy, spódniczki, sukienki z zupełnie odkrytymi plecami. Nawet jeśli brak jej było lokalnego kolorytu, a także dawnego czaru kobiecego, to nadrabiała to rozumieniem współczesności, znajomością prawa, a także

aktywnością w grupach walczących o prawa gender (brała nawet udział w dwóch konferencjach). Wszystko to lokowało ją w innej lidze niż Andżum. Co gorsza, Saida odebrała także Andżum pierwsze miejsce, jeśli chodzi o popularność w mediach. Zagraniczne czasopisma dawały prymat młodszej generacji przed dawnymi egzotycznościami. Tamte nie pasowały do obrazu Nowych Indii – z ich bronią atomową oraz rosnącą aktywnością na międzynarodowym rynku finansowym. Ustad Kulsum Bi, chytra wilczyca, wyczuwała wiatry zmian i dostrzegała niesione przez nie korzyści dla Chłabgah. Dlatego też Saida, chociaż brakło jej dostojności, ostro współzawodniczyła z Andżum, aby przejąć funkcję Ustad Kulsum Bi w Chłabgah, kiedy ta zdecyduje się zwolnić stanowisko – do czego, podobnie jak królowa Anglii, wcale się nie paliła.

Pozostawała główną decydentką w Chłabgah, ale nie brała aktywnego udziału w codziennych sprawach. Jeśli rankiem dolegał jej artretyzm, to wylegiwała się na *carpai*³¹ na podwórku, wygrzewając się na słońcu pośród dzbanów z marynatami z limonek i mango oraz gazet, na które wysypywano mąkę pszenną, aby pozbyć się wołków. Kiedy słońce stawało się zbyt gorące, przenoszono ją do wnętrza, gdzie oklepywano jej stopy, a zmarszczki nacierano olejem gorczycowym. Ubierała się teraz jak mężczyzna, w długą żółtą *kurtę* – żółtą, ponieważ była uczennicą Hazrata Nizamuddina Olijji³² – oraz kratkowany *sarong*. Rzadkie siwe włosy, które ledwie pokrywały jej głowę, wiązała w malutki kok, upinany na karku. Bywały dni, kiedy jej stara przyjaciółka Hadżi Mian, która na ulicy sprzedawała papierosy i *pan*³³, przywoziła kasetę audio z ich ulubionego filmu *Mughal-e-Azam*. Obie znały na pamięć każdy utwór i każdą frazę dialogu. Śpiewały więc i mówiły do wtóru głosom z taśmy. Były przekonane, że nikt już nie napisze tekstu urdu lepszego od tego, ani żaden aktor nie przewyższy dykcji i gry Dilipa Kumara. Zdarzało się, że Ustad Kulsum Bi grała cesarza Akbara, a także jego syna, księcia Salima, bohatera filmu, Hadżi Mian zaś stawiała się Anarkali (Madhubalą) – niewolnicą, którą książę Salim pokochał. Niekiedy zamieniały się rolami. Ich wspólne występy były w istocie – bardziej niż czymkolwiek innym – wyrazem żalu za utraconą chwałę i umierającym językiem.

Pewnego wieczoru Andżum była w swoim pokoju na górze i przykładała zimny kompres do rozgrzanego czoła Bandikota, kiedy usłyszała zamieszanie na dziedzińcu: podniesione głosy, tupot stóp, okrzyki. W pierwszym odruchu pomyślała, że wybuchł pożar – zdarzało się to bowiem całkiem często. Wielka spleciona masa kabli elektrycznych, które zwieszały się nad ulicami, miała przykry zwyczaj spontanicznego zapalania się.

Andżum chwyciła Zejnab i zbiegła po schodach. Wszyscy zebrali się w pokoju Ustad Kulsum Bi przed telewizorem, a na ich twarzach migwały światła z ekranu. Samolot pasażerski uderzył w wielki budynek. Część ciągle jeszcze wystawała z budowli, stercząc w powietrzu niczym zepsuta drogocenna zabawka.

Po chwili drugi samolot uderzył w drugi budynek i zamienił się w wielką kulę ognia. Gadatliwi zwykle mieszkańcy Chłabgah teraz patrzyli w martwej ciszy, jak wielkie budynki wałęsały się niczym kolumny z piasku. Wszędzie były dym i biały kurz. Nawet ten kurz wyglądał inaczej: czysty i obcy. Maciupęńcy ludzie wyskakiwali z wysokich budynków i spływali w dół niczym płatki popiołu.

To nie film, mówili ludzie z telewizji, to dzieje się naprawdę. W Ameryce. W mieście nazywanym się Nowy Jork.

Najdłuższa cisza w historii Chłabgah została ostatecznie przerwana przez fundamentalne pytanie.

– Czy mówią tam urdu? – spytała Bismillah.

Nikt nie odpowiedział.

Szok, który zapanował w pokoju, wsączył się w Zejnab i z jednego gorączkowego snu przetoczyła się bezpośrednio w drugi. Nie była przyzwyczajona do telewizyjnych powtórzeń, dlatego naliczyła dziesięć samolotów wpadających na dziesięć budynków.

– Razem dziesięć – oznajmiła ponuro w swoim nowym angielskim, przyswojonym we Wrażliwych Pączkach, a potem pulchny, rozgrzany policzek na powrót wtuliła w zakątek na szyi Andżum.

Urok, który został rzucony na Zejnab, ogarnął cały świat. To było potężne *sifli dżadu*³⁴. Andżum ukradkowym, długim spojrzeniem wpatrywała się w Saidę, aby zobaczyć, czy ta buńczucznie pyszni się swym sukcesem, czy też odgrywa niewinność. Zmyślna suka udawała, że jest tak zaszokowana jak wszyscy inni.

W grudniu Stare Delhi zostało zalane przez rodziny afgańskie uciekające przed wojskowymi samolotami – brzęczącymi na ich niebie niczym moskity, którym pomyliła się pora – oraz bombami, lecącymi z nieba niczym deszcz. Oczywiście wszyscy wielcy politycy (a w starym mieście był nim każdy sklepikarz i każdy *maulana*) mieli swoje teorie. Jeśli chodzi o resztę, nikt naprawdę nie rozumiał tego, co ci biedni ludzie mieli wspólnego z wysokimi budowlami w Ameryce. Ale jak mieli rozumieć? Kto oprócz Andżum wiedział, że Głównym Planistą tego holokaustu nie byli ani terrorysta Osama bin Laden, ani prezydent Stanów Zjednoczonych George Bush, tylko siła o wiele potężniejsza i o wiele bardziej podstępna: Saida (z domu Gul Mohammed), obecne miejsce zamieszkania: Chłabgah, Gali Dakotan, Delhi – 110006 Indie.

Aby lepiej rozumieć politykę *Duniji*, w której Bandikot właśnie wzrastał, a także aby zneutralizować lub przynajmniej uprzedzić *sifli dżadu* wykształconej Saidu, Mama zaczęła starannie czytać gazety i oglądać wiadomości telewizyjne (ilekroć inni pozwolili jej przełączyć kanał z operą mydlaną).

*

Samoloty, które uderzyły w wielkie budowle w Ameryce, wielu ludziom

w Indiach wydały się prawdziwym błogosławieństwem. Premier kraju, będący też poetą, oraz kilku z jego najważniejszych ministrów należeli do starej organizacji, która podziwiała nazistów i uważała, że indyjscy muzułmanie są kimś takim jak Żydzi w Niemczech³⁵. Od dawna wierzono, że skoro Pakistan ogłosił się republiką islamską, Indie powinny ogłosić się republiką hinduistyczną. Teraz, kiedy znienacka wrogość wobec muzułmanów rosła, organizacji zaczęło się wydawać, że ma po swojej stronie cały świat. Poeta-premier wygłosił seplenioną przemowę, bardzo elokwentną, jeśli nie liczyć długich, irytujących przerw, które zdarzały się, gdy tracił wątek, co następowało całkiem często. Był wiekowym mężczyzną, miał jednak młodzieńczy zwyczaj podrzucania głową, gdy przemawiał, podobnie jak gwiazdy filmu bombajskiego z lat sześćdziesiątych. „Muzułmanin, otóż on nie znosi Innych”, powiedział poetycko w hindi i umilkł na chwilę długą nawet jak na jego standardy. „A Wiarę swą chce szerzyć poprzez Terror”. Kuplet ten wymyślił na miejscu i był niezwykle zadowolony z siebie. Ilekroć mówił „islam” albo „muzułmanin”, jego seplenienie wydawało się tak pociągające jak u malutkiego dziecka. W nowym układzie był uważany za człowieka umiarkowanego. Ostrzegał, że to, co stało się w Ameryce, łatwo może zdarzyć się także w Indiach i że czas najwyższy, aby rząd się zabezpieczył, wprowadzając nowe prawo antyterrorystyczne.

Teraz każdego dnia, kiedy Andżum, nowicjuszka, oglądała telewizję – informacje o wybuchach bomb i atakach terrorystycznych szerzyły się niczym malaria. Gazety urdu przynosiły opowieści o młodych muzułmanach zabitych w tym, co policja nazywała zasadzką, albo przyłapanych na gorącym uczynku i aresztowanych, gdy planowali ataki terrorystyczne. Nowo uchwalone prawo pozwalało przetrzymywać podejrzanych bez procesu całymi miesiącami. Nie wiadomo, kiedy wszystkie więzienia zapełniły się młodymi muzułmanami. Andżum dziękowała wszechmocnemu, że Zejnab jest dziewczynką – o ileż to bezpieczniejsze.

Gdy nastąpiła zima, u Bandikota pojawił się głęboki, sięgający płuc kaszel. Andżum podawała jej łyżeczką ciepłe mleko z kurkumą i budziła się w nocy, wsłuchując się w jej astmatyczne świszczanie i czując się zupełnie bezsilna. Odwiedziła *dargę* Hazrata Nizamuddina Oliję i z jednym z *khadimów*³⁶, którego dobrze знаła jako mniej interesownego, porozmawiała o chorobie Zejnab i zapytała, jak można by zneutralizować *sifli dżadu* Saidy. Sprawy wymknęły się spod kontroli, wyjaśniła, i kiedy teraz dotyczyły już losu nie tylko jednej dziewczynki, odpowiedzialność spadała na nią, Andżum, jedyną, która wiedziała, na czym polega problem. Gotowa była zrobić wszystko, co tylko będzie trzeba. Gotowa była zapłacić każdą cenę, mówiła, nawet jeśli będzie to oznaczało pójście na szubienicę. Saidę trzeba powstrzymać. Dlatego potrzebowała błogosławieństwa *khadima*. Zaczęła się zachowywać teatralnie i emocjonalnie, ludzie przypatrywali

się, więc *khadim* musiał ją uspokoić. Spytał, czy od czasu, gdy Zejnab wkroczyła w jej życie, odwiedzała *dargę* Hazrata Gariba Nawaza w Adźmerze³⁷. Kiedy odpowiedziała, że z tych czy innych przyczyn nie była w stanie tego zrobić, oznajmił, że na tym polega problem, a nie na czyjejs *sifli dżadu*. Z niejaką surowością mówił o tym, że oto ona wierzy w czary i voodoo, kiedy jest przecież Hazrat Garib Nawaz, aby ją ochronić. Andżum nie była do końca przekonana, zgodziła się jednak co do tego, że nieodwiedzanie grobowca Adźmer Śarif ³⁸ przez trzy lata stanowiło znaczne zaniedbanie z jej strony.

Pod koniec lutego Zejnab wykurowała się na tyle, iż Andżum uznała, że może ją zostawić samą na kilka dni. Zakir Mian, właściciel i zarządzający A-1 Flower, zgodził się pojechać z Andżum. Zakir Mian był przyjacielem Mulakata Alego i znał Andżum od urodzenia. Miał już ponad siedemdziesiąt lat, był zbyt stary, aby kłopotać się tym, że ktoś go zobaczy podróżującego z hidżrą. Jego sklep, A-1 Flower, stanowił w istocie wysoką do biodra platformę cementową o powierzchni jednego metra kwadratowego, umieszczoną pod balkonem starego domu Andżum – tam gdzie Ćitli Kabar otwierała się na Matia Mahal Ćauk. Zakir Mian wynajmował ją od Mulakata Alego, a teraz od Sakiba – i prowadził A-1 Flower już od ponad pięćdziesięciu lat. Przez cały dzień wysiadywał na kawałku juty, splatając wieńce z czerwonych róż, a także składając nowiuteńkie banknoty w malutkie wachlarzyki lub niewielkie ptaszki, aby nowożeńcy nosili je w dniu ślubu. Główną jego troską było dbanie o to, aby w jego niewielkim sklepiku róże były zawsze świeże i wilgotne, a banknoty – skrzypiące i suche. Zakir Mian oznajmił, że sam musi jechać do Adźmeru, a potem do Ahmedabadu w Gudźaracie, aby załatwić jakieś sprawy z rodziną żony. Andżum była gotowa jechać z nim do Ahmedabadu, aby nie ryzykować kłopotów i upokorzenia (wynikającego z bycia tyleż widzianą, ile niewidzianą), na które musiałaby się nastawić, wracając na własną rękę z Adźmeru. Z kolei Zakir Mian, dość już niedołężny, cieszył się z faktu, że będzie miał kogoś do pomocy z bagażem. Zasugerował, że kiedy będą w Ahmedabadzie, mogą odwiedzić świątynię Walego Dakhaniego, uwielbianego przez Mulakata Alego siedemnastowiecznego poety urdu, znanego jako piewca miłości, aby postarać się także o jego błogosławieństwo. Układali plany podróży, ze śmiechem recytując jeden z jego kupletów, za którym Mulakat Ali przepadał:

Dźise iškka tir kari lage

Use zindagi kjun na bhari lage

Kiedy kogoś ugodzi strzała Kupidyna

Bardzo ciężkie i trudne życie się zaczyna.

Kilka dni później wyruszyli pociągiem. Dwa dni spędzili w Adźmer Śarif. Andżum przepchała się przez tłum wyznawców i za tysiąc rupii kupiła zielono-złoty *ćadar*³⁹, aby ofiarować go Hazratowi Garibowi Nawazowi. W te dni dzwoniła do Chłabgah z publicznych telefonów. Trzeciego dnia, niepokojąc się

o Zejnab, znowu zadzwoniła, z peronu dworca w Adźmerze, już za chwilę mając wsiadać do jadącego do Ahmedabadu ekspresu Gharib Nawaz. Od tej chwili nie było żadnych wiadomości ani od niej, ani od Zakira Miana. Jego syn dzwonił do rodziny matki w Ahmedabadzie, ale telefon nie odpowiadał.

•

Nie było wiadomości od Andżum, ale z Gudżaratu nadchodziły straszliwe nowiny. „Bezbożnicy”, jak to określiły gazety, podpalili wagon kolejowy i sześćdziesięciu hinduskich pielgrzymów spłonęło żywcem. Wracali do domu z podróży do Ajodhji, dokąd zawieźli specjalne cegły, aby położyć je w fundamentach wielkiej świątyni, którą zamierzali wznieść w miejscu, w którym ongiś stał meczet. Meczet ów, Babri Masdżid, został zburzony dziesięć lat wcześniej przez rozwrzeszczany tłum. Minister spraw wewnętrznych (który był wówczas w opozycji i prowadził rozwrzeszczany tłum) oznajmił, że podpalenie pociągu w sposób oczywisty wyglądało na dzieło pakistańskich terrorystów. Na mocy nowego prawa antyterrorystycznego policjanci aresztowali wokół stacji setki muzułmanów – którzy według nich należeli do sojuszników Pakistanu – i wpakowali ich do więzienia. Był to czas, kiedy premier Gudżaratu, lojalny członek organizacji (podobnie jak minister spraw wewnętrznych i premier), ubiegał się o ponowny wybór. W telewizji ukazał się w szafranowej *kurcie* i z cynobrową krechę na czole; z zimnymi, martwymi oczyma rozkazał, by spalone ciała pielgrzymów hinduskich przewieziono do Ahmedabadu, stolicy stanu, gdzie będzie można publicznie oddać im powszechny hołd. „Nieoficjalny rzecznik władz”, prężąc pierś, oznajmił nieoficjalnie, że każde działanie spotka się z co najmniej równym przeciwdziałaniem. Nie powołał się przy tym, rzecz jasna, na Newtona, ponieważ zgodnie z oficjalnym stanowiskiem wszelka nauka narodziła się w starodawnych Indiach.

Reakcja, jeśli w ogóle ją tak nazywać, nie była jednak ani równa, ani dokładnie przeciwstawna. Zabijanie trwało całymi tygodniami i nie ograniczyło się tylko do miast. Tłum z szafranowymi opaskami na głowach zbrojny był w noże i widły. Dysponował listami katastralnymi muzułmańskich domów, przedsiębiorstw i sklepów. Dysponował też ogromną liczbą kanistrów na benzynę, co może tłumaczyć, dlaczego przez ostatnie tygodnie brakowało paliwa na stacjach. Kiedy rannych przewożono do szpitali, tłum wdierał się do środka. Policja nie rejestrowała morderstw, argumentując – całkiem rozsądnie – że musieliby widzieć zwłoki. Rzecz polegała na tym, że policjanci często stanowili część tłumów, a kiedy te skończyły swoje dzieło, zwłoki nie przypominały już zwłok.

Nikt nie przeciwstawiał się Saidzie (która kochała Andżum i była całkowicie nieświadoma podejrzeń tamtej), kiedy ta domagała się, aby telewizory przełączać

z seriali na wiadomości i te nieustannie obserwować – w nadziei, że choć przypadkiem trafi się na sugestię na temat tego, co mogło stać się z Andżum i Zakirem Mianem. Kiedy z obozów dla uchodźców, w których żyły teraz dziesiątki tysięcy muzułmanów z Gudżaratu, reporterzy telewizyjni przekazywali najnowsze wiadomości do kamer, w Chłabgah wyłączano dźwięk i wszyscy przepatrywali tłum, wierząc, że czy to w kolejce ustawionej po jedzenie lub koce, czy też w jakimś namiocie uda się zobaczyć chociaż na chwilę Andżum bądź Zakira Miana. Mimochodem przyjęto do wiadomości, że świątynia Walego Dakhaniego została zrównana z ziemią, a na jej miejscu wylano asfaltową drogę, aby nie pozostawić żadnego śladu po tym, iż kiedykolwiek istniała. (Ani policja, ani tłum, ani premier stanu nie mogli powstrzymać ludzi, którzy składali kwiaty pośrodku nowej ulicy, biegnącej przez teren dawnej świątyni. Kiedy przemykające samochody rozjeżdżały kwiaty na miazgę, pojawiały się nowe. I cóż począć ze związkiem między poezją a miazgą kwiatową?) Saida wydzwaniała do wszystkich znanych sobie dziennikarzy i pracowników organizacji pozarządowych, błagając o jakąkolwiek informację i pomoc. Nic nie uzyskała od nikogo. Mijały całe tygodnie bez żadnej wiadomości. Zejnab podniosła się ze swojej choroby i poszła z powrotem do szkoły. Wracała z niej jednak zapłakana, a potem na krok nie odstępowała Saidy.

•

Dwa miesiące później, kiedy morderstwa stawały się rzadsze i można było powiedzieć, że ich fala opada, najstarszy syn Zakira Miana, Mansur, wyruszył po raz trzeci do Ahmedabadu, szukając ojca. Na wszelki wypadek zgolił głowę, a na przegubie nosił czerwone nitki *pudża*, mając nadzieję, iż zostanie uznany za hindusa. Nie odnalazł ojca, aczkolwiek dowiedział się, co się z nim stało. Poszukiwania doprowadziły go do małego obozu dla uchodźców wewnątrz meczetu na obrzeżach Ahmedabadu, gdzie w części męskiej znalazł Andżum i zabrał ją z powrotem do Chłabgah.

Obcięto jej włosy, a to, co z nich zostało, trzymało się głowy jak hełm z nausznikami. Niczym zwykły urzędnik ubrana była w parę ciemnobrązowych męskich spodni frotté, a także koszulę safari w kratę z krótkimi rękawami. Straciła też sporo na wadze.

Chociaż Zejnab z początku trochę przestraszyła się nowego, męskiego wyglądu Andżum, jednak szybko pokonała trwogę i z okrzykiem zachwytu rzuciła się jej w ramiona. Andżum przytuliła ją mocno, ale na łzy, pytania i powitalne uściski innych odpowiedziała chłodno, jak gdyby były to uciążliwości, na które musiała przystać. Reszta mieszanek Chłabgah była urażona, a także odrobinę wystraszona jej chłodem, jednak nie skąpiły Andżum wyrazów sympatii i troski.

Andżum, jak tylko mogła, poszła do swojego pokoju. Wynurzyła się stamtąd

kilka godzin później w swych normalnych szatach, z pomadką na ustach, makijażem, a także z kilkoma pięknymi spinkami we włosach. Szybko stało się oczywiste, że nie chce rozmawiać o tym, co się zdarzyło. Nie odpowiadała też na pytania o Zakira Miana. „Bóg tak chciał”, brzmiały jej słowa.

Podczas nieobecności Andżum Zejnab zaczęła sypiać na dole wraz z Saidą. Teraz powróciła do Andżum, ta jednak zauważyła, iż dziewczynka także Saidę zaczęła nazywać mamą.

– Jeśli ona jest mamą, to w takim razie kim ja jestem? – po kilku dniach Andżum spytała Zejnab. – Nikt nie może mieć dwóch mam.

– Ty jesteś *bari* mama – odrzekła Zejnab. Duża mama.

Ustad Kulsum Bi poleciła, aby dać Andżum spokój i pozwolić jej robić, co chce, jak długo będzie chciała.

Andżum zaś pragnęła, aby zostawić ją samą.

Była zdumiewająco cicha; większość czasu spędzała przy książkach. W ciągu tygodnia nauczyła Zejnab śpiewać coś, czego nikt w Chłabgah nie mógł zrozumieć. Andżum powiedziała, że to sanskrycka pieśń, Gajatri Mantra, której nauczyła się w obozie w Gudżaracie. Ludzie mówili, że dobrze nauczyć się jej na pamięć, aby w przypadku zagrożenia wyrecytować ją i dzięki temu móc uchodzić za hinduskę. Chociaż ani Andżum, ani Zejnab nie miały pojęcia, co znaczą te słowa, Zejnab szybko je sobie przyswoiła i śpiewała teraz co najmniej dwadzieścia razy dziennie – ubierając się do szkoły, pakując książki czy karmiąc kozła:

Om bhur bhuwah swaha

Tat sawitur warenjam

Bhargo dewasja dhimahi

Dhijo jo nah pracodajat

Om, ziemia, przestwór, niebo,

Medytujmy nad prześwietną chwałą

boga Sawitara [Słońca],

niechaj oświeci nasze umysły.

Pewnego razu Andżum wyszła z domu, zabierając ze sobą Zejnab. Kiedy wróciła, Bandikot była zupełnie odmieniona – włosy miała krótko obcięte, ubrana była w chłopięce stroje: dziecięcy garnitur *pathani*, haftowaną kamizelkę, *dżuti* ze szpicami wygiętymi w górę niczym gondole.

– Tak jest bezpieczniej – oznajmiła Andżum w charakterze wyjaśnienia. – Gudżarat może przybyć do Delhi w każdej chwili. Nazwiemy go Mahdi.

Łkanie Zejnab można było usłyszeć na całej ulicy. Mogły je słyszeć kurczęta w klatkach i szczeniaki w rynsztokach.

Zwołano posiedzenie nadzwyczajne. Zostało wyznaczone na dwie godziny, w trakcie których regularnie odcinano dopływ prądu, aby nikt się nie skarżył, że stracił jakiś serial w telewizji. Zejnab wysłano, aby spędziła wieczór z wnukami

Hasana Miana. Kogut znajdował się w tradycyjnym miejscu drzemki: na półce za telewizorem. Ustad Kulsum Bi zwróciła się do zebranych ze swego łóżka, na którym siedziała, opierając się o zwiniętą *razai*⁴⁰. Wszyscy inni usiedli na ziemi, Andżum zaś, ponura, przywarowała w drzwiach. W syczącym niebieskim świetle lampy Petromax twarz Kulsum Bi wyglądała jak wyschnięte koryto rzeki, a rzadziejące białe włosy przypominały wycofujący się lodowiec, z którego kiedyś wypływała rzeka. Na tę okazję włożyła też nowy, niewygodny komplet sztucznych zębów. Mówiła z godnością i z wielkim poczuciem teatralności. Mogło się wydawać, że słowa skierowane są do nowych mieszkanek, które właśnie przyłączyły się do Chłabgah, ale jej ton skierowany był do Andżum.

– Ten dom, to domostwo ma nieprzerwaną historię, tak starą jak to wyburzone miasto – powiedziała. – Łuszczące się ściany, przeciekający dach, ten słoneczny dziedziniec, wszystko to kiedyś było piękne. Te podłogi niegdyś pokrywały dywany, które przywędrowały tu wprost z Isfahanu, a sufity były zdobione lustrami. Kiedy Śahensah Śahdżahan budował Czerwony Fort i Dżama Masdżid, kiedy wznosił to chronione murami miasto, budował też to *haweli*. Dla nas. Zawsze pamiętajcie – nie jesteśmy jakimiś hidżrami, skądś tam pochodzącymi. Jesteśmy *hidżrami* z Śahdżahanabadu. Nasi władcy zaufali nam na tyle, aby oddać nam pod opiekę swoje żony i matki. Odwiedzałyśmy kiedyś swobodnie ich prywatne pomieszczenia, *zenany*, w Czerwonym Forcie. To wszystko minęło: ci potężni cesarze i ich królowe. Ale my – my ciągle tutaj jesteśmy. Zastanówcie się nad tym i same sobie zadajcie pytanie, dlaczego tak właśnie jest.

Czerwony Fort zawsze odgrywał ważną rolę w opowieściach Ustad Kulsum Bi o historii Chłabgah. W dawnych czasach, gdy była sprawna fizycznie, wycieczka do Fortu, aby obejrzeć widowisko dźwięku i światła, była nieodzowną częścią rytuału wprowadzającego nowo przybyłe. Udawały się na nie grupą, odziane w najlepsze stroje, z kwiatami we włosach, trzymając się za ręce oraz ryzykując życie i zdrowie, gdy przemykały przez Ćandni Ćauk: między taksówkami, autobusami, rykszami i *tangami*, kierowanymi przez ludzi, którym nawet przy niezwykle małej prędkości zdarzała się nieuwaga.

Czerwony Fort, masywna budowla z piaskowca, wisiał nad starym miastem, stanowiąc tak wielką część jego kraj-obrazu, że miejscowi przestali go już zauważać. Gdyby nie starania Ustad Kulsum Bi, być może nikt nie zdobyłby się nigdy na to, aby wejść do środka, nawet Andżum, która urodziła się i dojrzała w jego cieniu. Kiedy już pokonały fosę – pełną śmieci i komarów – i przeszły przez wielką bramę, miasto przestawało istnieć. Małpy z małymi, szalonymi oczami śmigały w górę i w dół po wałach z piaskowca, które zbudowano z wdziękiem i rozmachem, nie do pojęcia dla współczesnego umysłu. Wewnątrz fortu rozpościerał się inny świat, inaczej płynął czas, wypełniało go inne powietrze (mające charakterystyczny zapach marihuany) i wznosiło się nad nim inne niebo –

nie to wąskie, podzielone na paski szerokości ulic, ledwie widoczne za plątaniną przewodów elektrycznych, ale bezkresne, po którym spokojnie i wysoko szybowały latawce, unoszone przez prądy powietrzne.

Dźwięk i światło stanowiły starą, zaaprobowaną przez rząd (nowy nie zdążył jeszcze się do niej zabrać) wersję historii Czerwonego Fortu oraz cesarzy, którzy stąd rządzili przez ponad dwieście lat – poczynając od Śahdżahana, który go zbudował, aż po Bahadura Shaha Zafara, ostatniego Mogoła, który został skazany przez Brytyjczyków na wygnanie po porażce powstania w 1857 roku. Była to jedyna formalna historia znana Ustad Kulsum Bi, chociaż jej prezentacja wydawała się bardziej nieortodoksyjna, niż autorzy zamierzali. Podczas swych wizyt ona i jej mały oddziałek zajmowały miejsca pośród reszty publiczności, w większości turystów i uczniów, w rzędach drewnianych ławek, pod którymi żyły całe chmary komarów. Aby uniknąć ukąszeń, publiczność musiała przyjąć pozę wymuszonej nonszalancji, z jaką wymachiwała nogami podczas wszystkich koronacji, wojen, masakr, zwycięstw i porażek.

Szczególne zainteresowaniem Ustad Kulsum Bi cieszyła się połowa osiemnastego stulecia, czas panowania cesarza Mohammeda Śaha Rangili, znanego miłośnika przyjemności, muzyki i malarstwa – najweselszego ze wszystkich Mogołów. Uwagę swoich akolitek zwracała zwłaszcza na 1739 rok. Rozpoczął się on od uderzenia końskich kopyt, które dobiegało spoza publiczności i roznosiło się po całym forcie, zrazu delikatne, a potem coraz głośniejszeGłośniejszeGŁOŚNIEJSZE. To kawaleria Nadira Szaha jechała aż z Persji, galopując przez Ghazni, Kabul, Kandahar, Peszawar, Lahore i Sirhind oraz płądrując w drodze do Delhi miasto po mieście. Generałowie cesarza Mohammada Śaha ostrzegali go przed zbliżającym się kataklizmem. On jednak, niezrażony, dalej kazał grać muzyce. W tym momencie przedstawienia światła w Diwan-e-Chas, Sali Specjalnych Audiencji, stawały się jaskrawe. Purpurowe, czerwone, zielone. *Zenana* rozświeciła się oczywiście na różowo i rozbrzmiewała echem kobiecych śmiechów, szelestu jedwabiu, dzyń-dzyń-dzyń bransoletek na kostkę i wtedy, znienacka, pośród miękkich, szczęśliwych niewieścich dźwięków dał się wyraźnie słyszeć głęboki, wyraźny, chrapliwy, kokieterijny chichot dworskiego eunucha.

– Teraz! – mówiła Ustad Kulsum Bi, niczym triumfujący lepidopterolog, który właśnie wyśledził rzadką ćmę. – Słyszaliście? To o nas, to nasze dziedzictwo, nasza historia, nasza opowieść. Nigdy nie byliśmy pospolitymi osobami, ale członkiniami dworu królewskiego.

Moment ten minął szybko jak uderzenie serca, ale to się nie liczyło. Liczyło się to, że w ogóle był. Być obecnym w historii, nawet jeśli to tylko chichot. Jest to o całe wszechświaty odległe od zupełnej nieobecności. Od bycia całkowicie z niej wykreśloną. Ostatecznie chichot może stać się maleńkim stopniem w litej ścianie

historii.

Ustad Kulsum Bi wpadała w furję, jeśli pomimo wszystkich jej wysiłków, aby zwrócić uwagę na chichot, ktoś jednak go nie dostrzegł. Była to właściwie furia tak wielka, że aby uniknąć możliwego publicznego blamażu, starsze, bardziej doświadczone hidźry radziły nowicjuszkom, aby przynajmniej udawały, że usłyszały, nawet jeśli naprawdę tak się nie stało.

Pewnego razu Gudija próbowała jej opowiedzieć, że hidźry miały specjalne miejsce miłości i szacunku w mitologii hinduskiej. Przedstawiła Kulsum Bi opowieść o tym, jak Pan Rama, jego żona Sita i jego młodszy brat Lakszmana zostali wygnani na czternaście lat ze swego królestwa, ale poddani, którzy kochali króla, podążyli za nimi, przysięgając, że pójda wszędzie, dokąd skieruje się władca. Kiedy dotarli na skraj Ajodhji, gdzie zaczynał się las, Rama zwrócił się do swoich poddanych ze słowami: „Chcę, abyście wszyscy, mężczyźni i kobiety, wrócili do domów i czekali, aż wrócę”. Nie mogąc sprzeciwić się swemu królowi, mężczyźni i kobiety wrócili do domu i tylko hidźry wiernie podążyły za nim poza skraj lasu, gdyż zapomniał wzmiankować o nich.

– Zatem jesteśmy upamiętnione jako zapomniane? – powiedziała Ustad Kulsum Bi. – *Wa! Wa!*

Swą pierwszą wizytę w Czerwonym Forcie Andżum pamiętała z bardzo osobistych powodów. Było to jej pierwsze wyjście z Chłabgah po operacji doktora Muchtara. Podczas gdy ustawiły się do kolejki po bilety, większość ludzi oglądała turystów, którzy w innej kolejce kupowali droższe bilety. Z kolei zagraniczni turyści gapili się na hidźry, a zwłaszcza na Andżum. Młody mężczyzna, wczesny hipis z natarcywym wzrokiem i wątlą bródką jezusową, patrzył na nią z zachwytem. Ona z kolei patrzyła na niego. W jej wyobraźni stał się Hazratem Sarmadem Šahidem. Przedstawiła go sobie dumnego, nagiego, smukłego, strzelistą postać stojącą przed sądem złowrogich, brodatych *kazich*. Nie drgnął nawet wtedy, gdy ogłaszano wyrok śmierci. Była odrobinę stropiona, kiedy ów turysta podszedł do niej.

– Jest pani taka piękna – powiedział. – Zdjęcie...? Mogę?

Po raz pierwszy ktokolwiek chciał ją sfotografować. Pochlebiona, kokieteryjnie zarzuciła na plecy warkocz z czerwonymi wstążkami i zerknęła, czy Ustad Kulsum Bi pozwala. Zgodziła się. Andżum ustawiła się więc do fotografii, oparta niezgrabnie na piaskowcowych wałach, z plecami wygiętymi do tyłu i brodą zadartą – jednocześnie zawadiacka i nieśmiała.

– Dziękować – powiedział młodzieniec. – Dziękować -bardzo.

Nigdy jej nie zobaczyła, ale to był początek wszystkiego, ta fotografia.

Gdzie teraz mogła się znajdować? Bóg jeden wie.

Wędrująca myśl Andżum powróciła do spotkania w pokoju Ustad Kulsum Bi.

– To zepsucie i rozwiązłość naszych władców zrujnowały cesarstwo Mogołów – mówiła Ustad Kulsum Bi. – Książęta uganiający się za niewolnicami, cesarze przechadzający się nago, prowadzący życie zbytkowne, podczas kiedy ludzie głodowali – jak takie cesarstwo może mieć nadzieję na przetrwanie? I niby dlaczego miałyby ono przetrwać? (Nikt, kto widział ją odgrywającą księcia Salima w *Mughal-e-Azam*, nie zgadłby, że tak bardzo nim gardziła. Nikt też nie przypuszczałby, że pomimo całej jej dumy z dziedzictwa Chłabgah i jego związków z monarszym majestatem rodził się w niej socjalistyczny gniew na rozwiązłość władców Mogołów i ubóstwo poddanych). To wtedy zaczęła nastawać na życie zgodne z zasadami i żelazną dyscypliną, jako że jej zdaniem tymi dwiema rzeczami odznaczała się Chłabgah, im zawdzięczała swoją siłę i rację, dla której przetrwała wieki, podczas gdy silniejsi i potężniejsi przepadli.

Zwykli ludzie z *Duniji* – czy wiedzieli cokolwiek o tym, co to znaczy: żyć jak hidźra? Co wiedzieli o zasadach, dyscyplinie i poświęceniu? Kto dziś wie, że istniały takie czasy, gdy one wszystkie, łącznie z nią samą, Ustad Kulsum Bi, zmuszone były do żebrania o jałmużnę na rogach ulic? Że stopniowo, kroczone po kroczone, jedno upokorzenie po drugim, podnosiły się z tego upadku? Chłabgah zwał się Chłabgah – mówiła Ustad Kulsum Bi – ponieważ ludzie szczególnie, ludzie błogosławieni, przychodzili tutaj ze swoimi marzeniami, których nie mogli zrealizować w *Duniji*. W Chłabgah święte dusze, uwięzione w niewłaściwych ciałach, doznawały wyzwolenia. (Kwestia tego, co się dzieje, jeśli świętą duszą jest mężczyzna uwięziony w kobiecym ciele, nie była podnoszona).

Niemniej – mówiła Ustad Kulsum Bi – niemniej... – A pauza, która potem następowała, godna była seplenienia Poety-Premiera – ...głównym pryncypium Chłabgah była *manzuri*. Zgoda. Ludzie w *Duniji* szerzyli oszczercze pogłoski, jakoby hidźry porwały małych chłopców i kastrowały. Ustad Kulsum Bi nie wiedziała, czy coś takiego zdarzyło się gdziekolwiek indziej, dlatego nie chciała się o tym wypowiadać, ale tutaj, w Chłabgah, czego świadkiem może być Wszechwiedzący, nic nie działo się bez *manzuri*.

Teraz poruszyła pewną konkretną bieżącą kwestię.

– Wszechmocny znowu przysłał nam Andżum – rzekła. – Nie chce nam powiedzieć, co przydarzyło się jej i Zakirowi Mianowi w Gudżaracie. A my nie możemy jej zmuszać. Możemy się tylko domyślać. I współczuć. Ale przy całym tym współczuciu nie możemy przystać na to, aby łamane były nasze zasady. Zmuszanie małej dziewczynki do tego, aby żyła jak chłopiec, na przekór swoim życzeniom, nawet jeśli chodzi o jej bezpieczeństwo, to jej zniewolenie, a nie wyzwolenie. Nie ma mowy, żeby coś takiego działo się tutaj, w naszym Chłabgah. Nie ma w ogóle mowy.

– To moje dziecko – odrzekła Andżum. – Ja będę decydować. Mogę iść z nią precz, jeśli tylko będę chciała.

Ta deklaracja nikim nie wstrząsnęła i wszyscy właściwie poczuli ulgę, widząc, że Andżum dobrze się czuje w dawnej roli królowej. Nie było powodu, by się lękać, ponieważ zupełnie nie miała dokąd się udać.

– Ty rób sobie, co chcesz, ale dziecko zostanie tutaj – powiedziała Ustad Kulsum Bi.

– I po tym wszystkim, co mówiłaś o *manzuri*, teraz to ty chcesz decydować w jej imieniu?! – uniosła się Andżum. – Spytamy ją samą. Zejnab będzie chciała zostać ze mną.

Taką rozmowę z Ustad Kulsum Bi uważano za niedopuszczalną. Nawet dla kogoś, kto przeżył masakrę. Wszyscy więc czekali na jej reakcję.

Ustad Kulsum Bi zamknęła oczy i poleciła, aby usunięto z za niej zrolowany *razai*. Nagle znużona, odwróciła się do ściany, podkładając pod głowę zgięte ramię. Z oczami ciągle zamkniętymi i głosem brzmiącym tak, jakby dochodził z jakiejś wielkiej oddali, poleciła Andżum, aby udała się do doktora Bhagata i upewniła się, że przyjmuje przepisane przez niego lekarstwa.

Zebranie skończyło się, członkinie się rozeszły. Lampa Petromax została wyniesiona z pokoju, sycząc jak rozzłoszczony kot.

•

Andżum nie miała naprawdę na myśli tego, co powiedziała, skoro jednak tak już się stało, idea opuszczenia Chłabgah przyłgnęła do niej i oplotła ją niczym pyton.

Nie chciała sama iść do doktora Bhagata, więc w jej imieniu udała się malutka grupa, której przewodziła Saida. Doktor Bhagat był niskim mężczyzną ze starannie przystrzyżonym wojskowym wąsem, który wydzielał z siebie przytłaczającą woń talku Pond's Dreamflower. Miał szybkie, ptasie ruchy i co kilka minut przerywał – zarówno sobie samemu, jak i pacjentom – nerwowo pociągając nosem i trzy razy, jeden po drugim, uderzając piórem w blat biurka. Jego przedramiona były pokryte gęstymi czarnymi włosami, ale głowa pozostawała mniej lub bardziej łysa. Na lewym przegubie zgolił duży pas włosów, tam umieścił opaskę tenisową zbierającą pot, a na niej swój ciężki, złoty zegarek, tak aby miał jasną, nieprzesłoniętą informację co do tego, która jest godzina. Tego ranka był ubrany jak na co dzień: w nieskazitelnie biały męski strój safari z tkaniny frotté i lśniące białe sandały. Czysty biały ręcznik zwieszał się z oparcia fotela. Gabinet miał w podłym miejscu, sam jednak był bardzo czystym mężczyzną. I dobrym także.

Delegacja nieśmiało wdreptała do środka i zajęła wolne krzesła, aczkolwiek czasami jedynym wolnym miejscem był podłokietnik fotela już zajętego. Doktor Bhagat przywykł do tego, że pacjentki z Chłabgah przychodzą parami lub trójkami (nigdy nie przychodziły same), teraz jednak czuł się z lekka zaskoczony

liczebnością grupy, która nawiedziła go tego poranka.

– Która z was jest pacjentką?

– Żadna z nas, doktorze sahibie.

Saida została wyznaczona do mówienia, wspólnie więc z innymi osobami, które od czasu do czasu przerywały jej wyjaśnieniami i dopowiedzeniami, opisała zmienione zachowanie Andżum tak ostrożnie, jak tylko mogła. „Zaduma, opryskliwość, czytanie i – co najgorsze – niesubordynacja”. Opowiedziała lekarzowi o chorobach Zejnab i niepokoju Andżum. (Nie mogła, rzecz jasna, wiedzieć o wyznawanej przez Andżum teorii *sifli dżadu* i jej uczestnictwie).

Delegacja, po szczegółowych konsultacjach między sobą, uznała, że trzeba pominąć w całej opowieści Gudżarat, ponieważ:

a) Nie wiedziały, co przydarzyło się tam Andżum, jeśli cokolwiek się w ogóle przydarzyło.

Oraz ponieważ:

b) Doktor Bhagat miał na biurku dużą, srebrną (aczkolwiek mogła być ona tylko posrebrzana) figurkę Pana Ganeśi⁴¹, przed którą zawsze unosił się zapach świeżo zapalonego kadzidła.

Z tego ostatniego faktu nie wynikały żadne konkretne konkluzje, tak czy inaczej kobiety były niepewne co do tego, jaką opinię może mieć doktor na temat wydarzeń w Gudżaracie. Dlatego postanowiły, by raczej zbłądzić nadmiarem ostrożności.

Doktor Bhagat (który podobnie jak miliony innych prawowiernych Hindusów był w istocie przerażony tym, jaki obrót przyjęły wydarzenia w Gudżaracie) słuchał uważnie, pociągając nosem i uderzając długopisem w biurko, a jego jasne, perłowe oczy były powiększane przez grube soczewki osadzone w złotych oprawkach. Zmarszczył brwi i namyślał się dobrą minutę nad tym, co usłyszał, a potem spytał, czy chęć Andżum, aby opuścić Chłabgah, doprowadziła do czytania, czy też to czytanie doprowadziło ją do tej chęci. W tej kwestii delegacja podzieliła się na dwa stronnictwa. Andżum miała wyznać jednej z młodszych uczestniczek, Meher, że chce wrócić do *Duniji*, aby pomagać ubogim. To wywołało powszechne rozbawienie. Doktor Bhagat, posępny, spytał, dlaczego wydało im się to takie zabawne.

– *Are*⁴², doktorze sahibie, któż z biednych oczekiwałby pomocy od nas? – spytała Meher, a wszystkie zachichotały na samą myśl o upokarzaniu biedaków propozycją pomocy.

W swoim orzeczeniu doktor Bhagat napisał drobnymi, starannie kreślonymi literkami: „Pacjentka zdradzająca wcześniej otwarty, posłuszny, radosny charakter – teraz wydaje się osobą nieposłuszną i buntowniczą”.

Powiedział im, że nie ma się czym przejmować. Wypisał receptę. Pigułki (które zawsze przepisywał każdemu) uspokoją ją, oznajmił, i na kilka nocy

zapewnią jej dobry sen, później zaś chciałby zobaczyć ją osobiście.

Andżum odmówiła przyjmowania pigułek.

Dni mijały, spokój ustąpił miejsca czemuś innemu – czemuś niespokojnemu i agresywnemu. W jej żyłach jakby wrzało zdradzieckie, szaleńcze powstanie przeciwko życiu w wątpliwej szczęśliwości, na które, jak czuła, została skazana. Recepty doktora Bhagata dodała do rzeczy spiętrzonych na podwórku – rzeczy, które kiedyś cenila, a teraz przyłożyła do całego ich stosiku zapalną. Pośród spalonych przedmiotów znalazły się:

Trzy filmy dokumentalne (jej dotyczące).

Dwa lśniące, godne wyłożenia na stoliku kawowym albumy ze zdjęciami (z nią).

Siedem ilustrowanych artykułów w zagranicznych czasopismach (jej poświęconych).

Album z wycinkami prasowymi z zagranicznych gazet w więcej niż trzynastu językach, takich jak „New York Times”, „London Times”, „Guardian”, „Boston Globe”, „Globe and Mail”, „Le Monde”, „Corriere della Sera”, „La Stampa” i „Die Zeit” (traktujące o niej).

Ogień buchnął ogromny i spowodował u wszystkich, łącznie z kozłem, ataki kaszlu (a w jego przypadku strugi bobków). Kiedy popiół ostygł, wtarła go w twarz i we włosy. Tego wieczoru Zejnab włożyła swoje ubrania, buty, tornister, a także ukształtowany na wzór rakiety piórniki do szafki Saidy. Nie chciała dłużej spać z Andżum.

– Mama nie jest już szczęśliwa – podała zwięzły, bezwzględny powód.

Ze złamanym sercem Andżum opróżniła swą *almirę* firmy Godrej i zapakowała swoje skarby – satynową *ghararę* i sari z cekinami, *dżumki*⁴³, metalowe i szklane bransoletki – do blaszanego kuferka. Sprawiała sobie dwa stroje *pathani*, jeden gołębioszary, a drugi brudnobrązowy, w sklepie z używanymi rzeczami kupiła *anorak* i parę męskich butów, które nosiła bez skarpet. Nadjechało sponiewierane auto marki Tempo, do którego załadowano *almirę* oraz blaszane kufry. Andżum odjechała, nie mówiąc, dokąd się kieruje.

Ale nawet wtedy nikt się nie przejął. Byli pewni, że wróci.

•

Wystarczyło dziesięć minut jazdy od Chłabgah, aby Andżum raz jeszcze znalazła się w zupełnie innym świecie.

Był to niepozorny cmentarz, zaniedbany, niezbyt duży i używany tylko od czasu do czasu. Od północy graniczył z państwowym szpitalem i kostnicą, gdzie ciała miejskich włóczęgów i te, o które nikt się nie dopominał, były składowane do czasu, aż policja zdecydowała, co z nimi zrobić. Najczęściej zabierano je do krematorium miejskiego. Zmarłych, którzy byli w sposób rozpoznawalny

muzułmanami, chowano w bezimiennych grobach, które z czasem znikwały i przyczyniały się do bogactwa gleby oraz niezwykłej bujności starych drzew.

Grobów w jakiś sposób obudowanych nie naliczyłoby się więcej niż dwieście. Na starszych wznosiły się bardziej wyrafinowane, rzeźbione w marmurze pomniki, młodsze były bez porównania prostsze. Pochowano tutaj kilka generacji rodziny Andżum – Mulakata Alego, jego ojca i matkę, jego dziadka i babkę. Tuż obok Mulakata Alego została złożona jego starsza siostra, Begam Zinat Kauser (ciotka Andżum). Po Podziale przeniosła się do Lahore. Spędziwszy tam dziesięć lat, zostawiła męża i dzieci, po czym wróciła do Delhi – powiadając, że potrafi żyć tylko w bezpośredniej bliskości Dżama Masdżid. (Z jakiegoś powodu nie wystarczał jej królujący w Lahore meczet Badśahi). Przetrwawszy trzy policyjne próby deportowania jej jako szpiega pakistańskiego, Begam Zinat Kauser ostatecznie zamieszkała w Śahdżahanabadzie, w małym pokoju z kuchnią i widokiem na jej ukochany meczet. Dzieliła to mieszkanie z wdową, mniej więcej w jej wieku. Zarabiała, dostarczając baranią kormę do restauracji na starym mieście, do której przybywały grupy zagranicznych turystów, aby posmakować miejscowego jedzenia. Ten sam rondel przygotowywała każdego dnia od trzydziestu lat i pachniała kormą tak, jak inne kobiety pachną olejkiem eterycznym czy perfumami. Nawet kiedy życie ją opuściło, została pogrzebana w grobie, pachnąc jak smakowita potrawa ze Starego Delhi. Obok Begam Zinat Kauser leżały szczątki Bibi Aiszy, najstarszej, zmarłej na gruźlicę, siostry Andżum. Kawałeczek dalej znajdował się grób Ahlam Badźi, akuszerki, która pomagała przy narodzinach Andżum. Na kilka lat przed śmiercią Ahlam Badźi stała się zagubiona i otyła. Majestatycznym krokiem przemierzała ulice starego miasta niczym królowa brudu, a zmierzwione włosy zwisały jej z tyłu głowy niczym brudny ręcznik, zupełnie jakby właśnie wynurzyła się z kąpieli w oślim mleku. Zawsze nosiła ze sobą stary wór po nawozach sztucznych firmy Kisan Urea, a do środka wkładała puste butelki po wodzie mineralnej, porwane latawce, starannie poskładane plakaty i szturmówki pozostawione na miejscu ogromnych politycznych wieców, organizowanych w pobliżu, na terenach, na których odbywała się Ramlila. W swych najgorszych dniach Ahlam Badźi zaczepiała osoby, którym pomagała w przyjsciu na świat – większość z nich to byli już dorośli mężczyźni i dorosłe kobiety, którzy dochowali się dzieci – i obrzucała ich obelgami w najbardziej nikiemnym języku, wyklinając dzień, w którym się urodzili. Jej obelg nigdy nie traktowano jako obraźliwych, ludzie najczęściej reagowali szerokim, zakłopotanym uśmiechem – jak ci, których podczas popisów magika wyłapuje się na widowni, aby odegrali rolę królików doświadczalnych. Zawsze była karmiona, zawsze oferowano jej mieszkanie. Akceptowała jedzenie – z obrzydzeniem – zupełnie jakby robiła dawcy wielki zaszczyt, nigdy jednak nie zgadzała się na miejsce do zamieszkania. Zawsze chciała pozostawać na wolnym powietrzu – i w najgorętsze

lata, i w najchłodniejsze zimy. Któregoś ranka znaleziono ją martwą, jak siedziała prosto naprzeciw kiosku Alifa Zeda, w którym można było kupić papierosy i zrobić ksero, a rękami przygarniała do siebie wór Kisan Urea. Dżahanara Begam nastawała na to, aby pochować ją w grobie rodzinnym. To za jej sprawą ciało umyto, ubrano, a imam odmówił nad nim ostatnią modlitwę. Wszak Ahlam Badži towarzyszyła narodzinom wszystkich jej pięciorga dzieci.

Obok grobu Ahlam Badži znajdowała się mogiła kobiety, na której kamieniu nagrobnym napisano (po angielsku): „Begam Renata Mumtaz Madam”. Begam Renata była tancerką brzucha z Rumunii, która dorastała w Bukareszcie, marząc o Indiach i klasycznych formach ich tańca. Gdy miała ledwie dziewiętnaście lat, pojechała autostopem przez cały kontynent i dotarła do Delhi, gdzie trafiła na marnego guru *kathak*⁴⁴, który wykorzystywał ją seksualnie, ale tańca nauczył ją bardzo niewiele. Aby związać koniec z końcem, zaczęła wykonywać numery kabaretowe w Rosebud Rest-O-Bar, ulokowanym w ogrodzie różanym, pośród miejscowych znanym jako Ogród Bezrózny – w ruinach Feroza Shah Kotla, piątego z siedmiu pradawnych miast Delhi. Renaty *nom de cabaret* brzmiało: Mumtaz. Umarła młodo, po miłości wykorzystanej przez zawodowego oszusta, który zniknął ze wszystkimi jej oszczędnościami. Mimo to Renata wciąż za nim tęskniła, chociaż wiedziała, iż ją zwiódł. Była coraz bardziej posępna, próbowała rzucać czary i wzywać duchy. Zaczęła wpadać w długie transy, podczas których skóra pękała jej od wrzodów, a głos obniżał się i stawał chrapliwy jak u mężczyzny. Okoliczności jej śmierci były niejasne, chociaż wszyscy przyjmowali, że chodziło o samobójstwo. Zaskakując samego siebie, Rośan Lal, mrukliwy główny kelner w Rosebud Rest-O-Bar, opryskliwy moralista, dręczyciel wszystkich tancerek (i oczywiście przedmiot żartów ich wszystkich), urządził jej pogrzeb i odwiedzał z kwiatami grób raz, drugi, a potem, zanim się nawet zorientował, w każdy wtorek (dzień, w który miał wolne). To on wystarał się o kamień nagrobny z jej nazwiskiem i troszczył się o jego, jak to nazywał, „oblicze”. To on na kamieniu dołączył imię Begam i przydomek Madam do jej imienia. Minęło siedemnaście lat od czasu, gdy Renata Mumtaz umarła. Pod cienką skórą goleni Rośana Lala biegły napęczniałe żyły; utracił też słuch w jednym uchu, ciągle jednak przyjeżdżał na grób na swym starym czarnym rowerze, pobrzękując i przywożąc świeże kwiaty: gazanie, róże z przeceny – bo ostatnie z wiadra – a jeśli miał kłopot z pieniędzmi, to przynajmniej kilka gałązek jaśminu, które kupował u dzieci na rogach ulic.

Poza głównymi grobami było kilka takich, których pochodzenie bywało przedmiotem sporów. Na przykład na jednym było tylko proste stwierdzenie „Badshah”. Niektórzy obstawali za tym, iż Badshah był pobożnym księciem Mogołów, powieszonym przez Brytyjczyków po powstaniu w 1857 roku, podczas gdy inni twierdzili, że był sufickim poetą z Afganistanu. Na innym grobie

znajdowało się tylko imię „Islahi”. Byli tacy, którzy twierdzili, że to generał w armii cesarza Shaha Alama II, inni natomiast powtarzali uparcie, że to miejscowy alfons, który został zaszyty w latach sześćdziesiątych przez prostytutkę, którą oszukiwał. Jak zawsze każdy wierzył w to, w co chciał wierzyć.

Pierwszej nocy na cmentarzu, po szybkim rekonesansie, Andżum umieściła swoją szafkę Godrej i kilka swych rzeczy obok grobu Mulakata Alego, potem zaś swój dywan i posłanie rozłożyła pomiędzy mogiłami Ahlam Baji i Begam Renaty Mumtaz Madam. Trudno się dziwić, że nie spała. Nie chodzi o to, że niepokoił ją ktoś na cmentarzu, nie zjawiał się żaden dżin, aby zawrzeć z nią znajomość, żaden duch nie straszył, że będzie ją prześladował. Heroiniści na północnym skraju cmentarza (cienie w jeszcze głębszym cieniu nocy) grzebali w kupkach odpadów szpitalnych, w morzu starych bandaży i zużytych strzykawek, chyba więc nie zwrócili w ogóle na nią uwagi. W południowej części grupki bezdomnych siedziały wokół ognisk, gotując swoje nędzne, zadymione potrawy. Wałęsające się psy, w lepszym stanie zdrowia niż ludzie, siedziały w bezpiecznej odległości, uprzejmie czekając na resztki.

W takim otoczeniu Andżum najczęściej byłaby w jakimś niebezpieczeństwie. Chroniło ją jej odosobnienie. Fort, uwolniony wreszcie od protokołu społecznego, w całym swoim majestacie wznosił się wokół niej ze swoimi szaniami, wieżyczkami, ukrytymi w lochach celami oraz murami, które mruczały niczym nadciągający tłum. Szperała w jego pozłacanych pokojach jak uciekinierka uchodząca przed samą sobą. Próbowwała odegnać żalobny kondukt szafranowych mężczyzn z szafranowymi uśmiechami, którzy podążali za nią z niemowlętami nadzianymi na ich szafranowe trójzęby, ci jednak nie dawali się odprawić. Próbowwała zamknąć drzwi przed Zakirem Mianem, elegancko ułożonym pośród ulicy niczym jeden z jego szeleszczących ptaków pieniężnych. On jednak podążał za nią skulony, pokonując zamknięte drzwi na swym latającym dywanie. Próbowwała zapomnieć to, jak na nią spojrział na chwilę przed tym, gdy światło uciekło z jego oczu. Za nic jednak na to nie pozwalał.

Usiłowała mu powiedzieć, że dzielnie walczyła, kiedy odciągali ją od jego martwego ciała.

Wiedziała jednak, że wcale tego nie robiła.

Starła się wyzbyć wiedzy o tym, co czynili innym: jak składali mężczyzn i jak rozkładali kobiety. Jak na koniec rozdzielali ich kawałek po kawałku i rzucali w ogień.

Dobrze jednak wiedziała, że ona tak czy owak wie.

Oni.

Oni, czyli kto?

Newtonowska armia wypuszczona po to, aby dostarczyć reakcji równie silnej, lecz o przeciwnym zwrocie. Trzydzieści tysięcy szafranowych papug ze

stalowymi szponami i zakrwawionymi dziobami, wszystkie razem skrzeczące: *Mussalman ka ek hi sthan! Qabristan ja Pakistan!* To miejsce tylko dla muzułmanów! Cmentarz albo Pakistan!

Andżum, udając martwą, leżała rozciągnięta na Zakirze Mianie. Nieprawdziwe zwłoki na nieprawdziwej kobiecie. Jednak papugi, chociaż były – albo przynajmniej to udawały – czystymi wegetariankami (co stanowiło jedyne kryterium przy zaciągu), badały bryzę z pilnością i skrupulatnością detektywów i oczywiście ją znalazły. Trzydzieści tysięcy głosów powtarzało razem, naśladując papugę Ustad Kulsum Bi: „*Aj Haj! Saali Randi Hidźra!*”. Dymająca siostrę dziwka hidźra. Dymająca siostrę muzułmańska dziwka hidźra.

Ponad resztę wznosił się inny głos, wysoki i niespokojny, inny ptak: „*Nahi jaar, mat maro, Hidźron ka marna apśagun hota he*”. Nie zabijaj jej, bracie, zabijanie hidźr przynosi pecha.

Pech!

Nic bardziej nie mogło wystraszyć tych morderców niż perspektywa pecha. Ostatecznie to w celu odstraszenia pecha palce zaplatające się wokół morderczych mieczy i migających sztyletów były obłożone szczęśliwymi kamieniami, oprawionymi w grube, złote pierścienie. To w celu odstraszenia pecha przeguby wywijające żelaznymi prętami, które śmiertelnie masakrowały ludzi, były upiękzone czerwonymi nićmi *pudża*, z miłością obwiązywanych przez zachwycone matki. Czy przy wszystkich tych zabezpieczeniach mogło być rozsądne świadome prowokowanie pecha?

Stanęli więc nad nią i nakazali śpiewać swe hasła. „*Bharat Mata Ki Dźej! Wande Mataram!*”

Tak zrobiła. Płacząc, dygocząc, upokorzona bardziej, niż była w stanie sobie wyobrazić.

Niech zwycięży matka Indie! Ukłoń się matce!

Zostawili ją żywą. Nie-zabitą. Nie-skrzywdzoną. Ani złożoną, ani rozłożoną. Tylko ją. Po to, by do nich uśmiechnął się los.

Rzeźnicze szczęście.

Oto kim była. A im dłużej żyła, tym więcej szczęścia im przynosiła.

Starła się usunąć z siebie wiedzę o tym małym detalu, gdy przeszukiwała swój prywatny fort, ale na próżno. Wiedziała bardzo dobrze, że wie bardzo dobrze, że wie bardzo dobrze.

Premier stanu z zimnymi oczami i cynobrowym czołem mógł stanąć do następnych wyborów, aby je wygrać. Nawet po tym, jak rząd Poety-Premiera padł w stolicy, wygrał kolejne wybory w Gudźaracie. Byli ludzie, którzy sądzili, iż powinien zostać pociągnięty do odpowiedzialności za masowe morderstwa, ale jego wyborcy nazwali go Gudźarat ka Lalla. Kochany przez Gudźarat⁴⁵.

•

Miesiącami Andżum żyła na cmentarzu, rozwścieczony i zdziczały duch, wyganiający precz każdego zasiedziałego tutaj dżina i widmo, napadający na zbolale rodziny, które przychodziły tu pochować swoich zmarłych z bólem tak szalonym i tak niepowstrzymanym, że górował nad ich cierpieniami. Przestała dbać o siebie, przestała farbować włosy. Były matowobiałe od cebulek, by potem, w połowie drogi od głowy, znienacka zamienić się w smoliście czarne, co sprawiało, że wyglądała, jak... jakby to ująć... pasiasta. Włosy na twarzy, których ongiś lękała się bardziej niż czegokolwiek innego, teraz pojawiły się na podbródku i policzkach niczym połysk mrozu (na szczęście przyjmowane przez całe życie hormony powstrzymały ich wzrost, nie pozwalając na to, aby przekształciły się w długą brodę). Jeden z jej przednich zębów, który mocno poczerwieniał od żucia *panu*, poluzował się w dziąsłach. Kiedy mówiła lub się uśmiechała, co zdarzało się rzadko, w okropny sposób poruszał się w górę i w dół niczym klawisz fisharmonii, który odgrywa własną melodię. To, że budziła przerażenie, miało też swoje dobre strony: odstraszało ludzi i trzymało na odległość wstrętnych, przeklinających, ciskających kamienie chłopców.

Pan D.D. Gupta, dawny klient Andżum, którego uwielbienie dla niej dawno już wykroczyło poza cielesne pożądanie, wytropił ją i odwiedził na cmentarzu. Był przedsiębiorcą budowlanym z Karol Bagh, który kupował i dostarczał materiały budowlane: stal, cement, kamień, cegły. Z budowy prowadzonej dla bogatego klienta zwinął niewielką liczbę cegieł i kilka płyt azbestu, dzięki czemu pomógł Andżum skonstruować małą, prowizoryczną komórkę – nic specjalnego, po prostu miejsce, w którym mogła zgromadzić potrzebne jej rzeczy. Pan Gupta odwiedzał ją od czasu do czasu, aby się upewnić, że niczego jej nie brakuje i że sama siebie nie krzywdzi. Kiedy przeniósł się do Bagdadu po amerykańskiej inwazji na Irak (aby skorzystać ze wzrastającego popytu na betonowe ściany przeciwwybuchowe), poprosił żonę, żeby przez kierowcę co najmniej trzy razy w tygodniu dostarczała Andżum ciepłe posiłki. Pani Gupta, która uważała się za *gopi*, adoratorkę pana Krysny, wedle chiromanty żyła w siódmym i ostatnim cyklu odrodzeń. To pozwalało jej zachowywać się tak, jak chciała, bez obawy o to, że będzie musiała zapłacić za swoje grzechy w następnym życiu. Nawiazywała romantyczne związki, aczkolwiek twierdziła, że gdy osiąga szczytowanie, widzi tylko twarz Krysny. Ogromnie kochała swego męża, ale z ulgą przyjęła to, że do zakresu jej obowiązków nie należało już obsługiwanie jego fizycznych pożądań, w związku z tym była bardzo rada, że może mu wyświadczyć tak drobną przysługę.

Przed wyjazdem pan Gupta kupił Andżum tani telefon komórkowy i nauczył ją, jak odbierać (przychodzące rozmowy były darmowe), a także jak wykonywać, wedle jego określenia, puste połączenia, gdyby chciała z nim porozmawiać. Wystarczył tydzień, aby Andżum zgubiła telefon, więc kiedy pan Gupta zadzwonił

do niej z Bagdadu, odebrał pijak, który zapłakany domagał się rozmowy ze swoją matką.

Oprócz tej życzliwości Andżum przyjmowała też innych gości. Saida przyprowadziła kilka razy na pozór pozbawioną serca, ale naprawdę przerażoną Zejnab. (Kiedy dla Saidy stało się oczywiste, że te wizyty przyprawiły o ból i Andżum, i Zejnab, przestała ją przyprowadzać). Raz w tygodniu zjawiał się brat Andżum, Sakib. Zaglądała, przyjeżdżając rykszą, sama Ustad Kulsum Bi, której towarzyszyła jej koleżanka Haji Mian, a czasami też Bismillah. Zadbala o to, aby Andżum otrzymywała z Chłabgah mały zasiłek, który pierwszego dnia każdego miesiąca dostarczano jej gotówką w kopercie.

Jednak najbardziej regularnym gościem był Ustad Hamid. Przybywał codziennie z wyjątkiem śród i niedziel, albo o zmierzchu, albo o świcie. Przysiadł na czyimś grobie z akordeonem Andżum i zaczynał swoje przeraźliwe *riaz*. Raag Lalit z rana, Rag Śuddh Kaljan z wieczora – *Tum bin kaun khabar mori lait...* Kto jeszcze prócz ciebie pyta o wieści o mnie? Ostentacyjnie ignorował obraźliwe prośby ze strony słuchaczy o najnowsze hity Bollywoodu czy też popularne *kawwali* (dziewięć razy na dziesięć chodziło o *Dum-a-Dum Mast Qalandar*), wykrzykiwane przez włóczęgów i łazęgów, którzy gromadzili się za niewidzialną granicą tego, co za sprawą milczącej zgody wyznaczało terytorium Andżum. Niekiedy na skraju cmentarza powstawały w wódczanych czy heroinowych majakach tragiczne cienie i z wolna poruszały się do swego własnego rytmu. Gdy światło umierało (albo się rodziło), a spokojny głos Ustada Hamida sunął nad zrujnowanym krajobrazem i jego zrujnowanymi mieszkańcami, Andżum z założonymi nogami siedziała tyłem do Ustada Hamida na grobie Begam Renaty Mumtaz Madam. Nie odzywała się do niego ani na niego nie patrzyła. To mu nie przeszkadzało. Ze spokoju jej pleców potrafił odczytać, że go słucha. Tak bardzo ją przejrzał, iż wierzył, że jeśli nie on, to przynajmniej muzyka przeprowadzi ją przez to.

Ani jednak łagodność, ani okrucieństwo nie mogły zmusić Andżum do tego, aby powróciła do starego życia w Chłabgah. Lat było trzeba, aby fala bólu i trwogi opadła. Codzienne wizyty imama Ziauddina, ich małe (choć czasem bardzo istotne) kłótnie, a także jego prośba o to, aby Andżum codziennie rano czytała mu gazety – wszystko to na powrót lokowało ją w *Duniji*. Stopniowo Fort Samotności zmniejszył się do rozmiarów siedziby znośnej wielkości. Stał się domem, miejscem przewidywalnego, pokrzepiającego smutku – okropnego, ale niezawodnego. Szafranowi mężczyźni wsunęli do pochew swoje miecze, odłożyli trójzęby i posłusznie wrócili do swych pracowitych egzystencji, wykonując polecenia, przestrzegając rozkazów, bijąc żony i spędzając czas aż do następnego krwawego wypadu. Szafranowe papugi wciągnęły swoje szpony, powróciły do zieleni i zaszyły się w gałęziach figowców. Zniknęły sępy o białych grzbietach i wróble.

Składani mężczyźni i rozkładane niewiasty pojawiali się rzadziej. Tylko Zakir Mian, schludnie złożony, nigdzie nie odchodził. Z czasem jednak, zamiast podążać za nią, wsunął się w nią i pozostał trwałym, choć niechcianym towarzyszem.

Po pewnym czasie Andżum znowu zaczęła o siebie dbać. Ufarbowała włosy na płomiennie pomarańczowo. Usunęła zarost z twarzy, dokonała ekstrakcji luźnego zęba i zastąpiła go protezą. Doskonały biały ząb lśnił teraz niczym kiel pomiędzy ciemnoczerwonymi pniakami, które uchodziły za zęby. Ogólnie tylko odrobinę mniej to straszło niż poprzednio. Dalej nosiła stroje *pathani*, ale uszyła sobie też nowe, w delikatniejszych kolorach – błady lazur i róż – do których dobierała swe dawne, obwieszane cekinami i drukowane *dupatty*. Odrobinę przybrała na wadze i wypełniła swe nowe ubrania w atrakcyjny, wygodny sposób.

Nigdy jednak nie zapomniała o tym, że to tylko Rzeźnicze Szczęście. Już do końca życia, nawet jeśli mogło się wydawać inaczej, jej stosunek do Reszty Życia był zawsze niepewny i nieprzewidywalny.

Wraz z tym jak Fort Samotności się zmniejszał, rosła blaszana komórka Andżum; zrazu stała się chatką, która mogła pomieścić jedno łóżko, potem niewielkim domkiem z małą kuchnią. Aby nie ściągać niepotrzebnie uwagi, zewnętrzne ściany pozostawiła chropowate i nieukończone. Wewnętrzne otynkowała i pomalowała na niezwyklej odcień fuksji. Położyła dach z piaskowca, oparty na żelaznych dźwigarach, dzięki czemu zyskała taras, na którym w zimie mogła ustawić plastikowe krzesło, suszyć włosy i wystawiać na słońce swe pokryte łuskami golenie, podczas gdy ona sama przeglądała dominium zmarłych. Na drzwi i okna wybrała bladą zielen pistacji.

Bandikot, daleko już na drodze do tego, aby stać się młodą damą, znowu zaczęła ją częściej odwiedzać. Zawsze przychodziła z Saidą i nigdy nie zostawała na noc. Andżum nigdy o to nie prosiła ani na to nie nastawała, nigdy też nie przejawiała swoich uczuć. Ale ból płynący z tej rany nigdy nie zniknął i nigdy się nie zmniejszył. W tej kwestii jej serce nie zamierzało się ugiąć.

Co kilka miesięcy władze miasta umieszczały na frontowych drzwiach Andżum informację o tym, że *squatersom* surowo zabrania się mieszkać na cmentarzu i każda niezatwierdzona budowla zostanie zniszczona w ciągu tygodnia. Ona odpowiadała na to, że nie mieszka na cmentarzu, lecz na nim umiera, a na to nie musi mieć pozwolenia władz miejskich, albowiem pozwolenie miała od samej Wszchemocności.

Żaden z odwiedzających ją urzędników nie był na tyle mężczyzną, aby zrobić następny krok i ryzykować, że dotkną go jej słynne zdolności. Podobnie bowiem jak wszyscy inni, także i oni bali się przekleństwa rzuconego przez hidżrę. Dlatego wybrali drogę pojednawczości i delikatnych wymuszeń. Zgodzili się przyjąć niemałą sumę pieniędzy wraz z niewegetariańskim posiłkiem na święto Diwali, ale także w Id. Uzgodnili też, że jeśli dom by się powiększał,

proporcjonalnie będzie również wzrastała suma.

Z czasem Andżum zaczęła zawłaszczać groby swoich krewnych i budować pomieszczenia wokół nich. W każdym pokoju były grób (albo dwa) i łóżko. Albo dwa. Budowała oddzielną łazienkę i toaletę z własnym zbiornikiem antyseptycznym. Jeśli chodzi o wodę, to korzystała z publicznej pompy ręcznej. Imam Ziauddin, który był nieuprzejmie traktowany przez swego syna i synową, szybko stał się u niej stałym gościem, a potem już coraz rzadziej wracał do domu. Andżum zaczęła też wynajmować pokoje przelotnym przybyszom (informację o tym rozpowszechniano tylko plotką, z ust do ust). Nie było aż tak wielu chętnych, ponieważ miejsce i otoczenie, by nie wspomnieć o samej gospodyni, nie odpowiadały gustom wszystkich. Zresztą trzeba przyznać, że również nie wszyscy chętni odpowiadali gustom gospodyni. Andżum była kapryśna i irracjonalna, jeśli chodzi o to, kogo przyjmowała, a kogo odprawiała – nierzadko z nieuzasadnioną i zupełnie bezsensowną gburowatością, która graniczyła z wulgarnością („Kto cię tu przysłał? Wal się sam!”), czemu niekiedy nawet towarzyszył niesamowity, dziki wrzask.

Niebagatelną zaletę tego zajazdu na cmentarzu stanowiło to, że w przeciwieństwie do innych zakątków miasta, nawet najbardziej ekskluzywnych, tutaj nie było przerw w dostawie energii. Nawet latem. A to dlatego, że Andżum podkradała elektryczność z kostnicy, gdzie ciała musiały być chłodzone przez całą dobę na okrągło. Miejscy nędzarze, którzy spoczywali tutaj w klimatyzacyjnym splendorze, nigdy nie doświadczyli czegoś takiego za życia. Andżum nazwała swój zajazd Dżannat. Raj. Telewizor miała włączony w nocy i w dzień. Powiadała, że potrzebuje hałasu, aby uspokoić myśli. Informacje oglądała bacznie i stała się przenikliwą analityczką polityczną. Oglądała także hinduskie opery mydlane i angielskie kanały filmowe. Szczególnie upodobała sobie drugorzędne hollywoodzkie filmy z wampirami i oglądała je na okrągło. Nie mogła oczywiście zrozumieć dialogów, ale wampiry rozumiała bardzo dobrze.

Stopniowo zajazd Dżannat stał się miejscem, do którego lgnęły hidźry, które z tej czy innej przyczyny albo same porzuciły surowo zarządzany cech *gharan*⁴⁶ hidźr, albo zostały z niego wyrzucone. Kiedy rozeszła się wieść o nowym zajeździe na cmentarzu, na nowo zaczęli pojawiać się przyjaciele z przeszłości i – co najbardziej nieprawdopodobne – Nimmo Gorakhpuri. Gdy po raz pierwszy się zobaczyły, padły sobie w ramiona i łkały niczym para kochanków urodzonych pod nieszczęśliwą gwiazdą, a połączonych po separacji. Nimmo stała się regularnym gościem, niekiedy spędzała z Andżum całe dwa lub trzy dni z rzędu. Była teraz olśniewającą postacią – zgrabna, lśniąca biżuterią, pachnąca perfumami i niesłychanie zadbana. Przyjechała swoim białym maruti 800 z odległego o dwie godziny jazdy od Delhi Mewat, gdzie była posiadaczką dwóch mieszkań i małej farmy. Stała się kocią magnatką: handlowała egzotycznymi kozami, które za spore

pieniądze sprzedawała bogatym muzułmanom z Delhi i Bombaju na rzeź na Bakr-Id. Z chichotem opowiadała przyjaciółce o wszystkich sztuczkiach, opisywała oszukańcze techniki sprawiające, że koza w jedną noc przybierała na wadze, a także politykę windowania cen na kozy w okresie przed Id. Powiedziała, że od następnego roku jej interes będzie się reklamował w Internecie. Wspólnie uzgodniły, że w imię dawnych czasów najbliższe Bakr-Id będą celebrować razem na cmentarzu, racząc się najlepszymi smakołykami z zasobów Nimmo. Na luksusowej nowej komórce prezentowała Andżum portrety kóz. Miała teraz taką obsesję na ich punkcie jak kiedyś na punkcie zachodniej mody kobiecej. Pokazała Andżum, jak kozy jamnapari odróżnić od barbari, a etawa – od sojat. A potem w multimediami pokazała jej koguta, który, zdawało się, piał „*Ja Alla!*”⁴⁷, ilekroć zamachał skrzydłami. Andżum była olśniona: „Wie to nawet byle kogut!”. Od tego dnia jej wiara jeszcze bardziej się pogłębiła.

Zgodnie z obietnicą Nimmo Gorakhpuri sprezentowała Andżum młodego czarnego barana z biblijnymi zakręconymi rogami; taki sam, powiedziała Nimmo, jak ten, którego Hazrat Ibrahim poświęcił zamiast swojego ukochanego syna Iśmaila na górze, tyle że tamten był biały. Andżum umieściła barana w jego własnym pokoju (z oddzielnym grobem) i z miłością go hodowała. Starła się go pokochać tak jak Ibrahim Iśmaila. To ostatecznie miłość jest tym składnikiem, który odróżnia ofiarę od normalnego codziennego rzeźnictwa. Uplotła mu lśniący kołnierz, a nogi zaopatrzyła w dzwonki. On także ją pokochał i podążał za nią wszędzie. (Pamiętała, aby zdjąć dzwonki z nóg barana i ukryć go przed Zejnab, gdy ta przychodziła, ponieważ wiedziała, do czego by to doprowadziło). Kiedy zbliżał się tego roku czas Id, stare miasto było pełne utrudzonych wielbłądów z wyblakłymi tatuażami, byków i kóz, wielkich niczym małe konie, czekających na zarżnięcie. Baran Andżum już bardzo urósł. Miał ponad metr wzrostu, był zwarty i muskularny, ze skośnymi żółtymi ślepiami. Ludzie ściągali na cmentarz tylko po to, aby go obejrzeć.

Andżum wynajęła Imrana Kurejskiego, wschodzącą gwiazdę nowego pokolenia młodych rzeźników w Śahdżahanabadzie, aby dokonał ofiary. Miał już kilka wcześniejszych rezerwacji i powiedział, że będzie mógł przyjść dopiero późnym popołudniem. Nastął świt dnia Bakr-Id, Andżum zaś była przekonana, że jeśli sama nie uda się do starego miasta i nie przyprowadzi Imrana, inni będą go porywać poza kolejką. Ubrana jak mężczyzna, w czystym, wyprasowanym stroju *pathani*, cały ranek spędziła na podążaniu za Imranem z jednego domu do drugiego, z jednej uliczki do drugiej, gdzie wiodły go zamówienia. Ostatniego z nich dokonał polityk, dawny członek Zgromadzenia Ustawodawczego, który przegrał poprzednie wybory kłopotliwie niewielką różnicą głosów. Aby zminimalizować tę porażkę i dowieść swoim wyborcom, że już szykuje się do następnej elekcji, postanowił dać hojny pokaz pobożności. Długiego tłustego wołu

ze skórą naolejoną i lśniącą ciągnięto przez wąskie, ledwie go mieszczące ulice, aż do skrzyżowania, gdzie było trochę więcej miejsca na jakiegokolwiek manewry. Ustawiony po przekątnej, podczas gdy przednie nogi wierzgały i utykały, ledwie pasował do ulicznego skrzyżowania. Podnieceni ludzie, odziani w nowe szaty, tłoczyli się w drzwiach, oknach, na małych balkonach i tarasach, aby oglądać ofiarę w wydaniu Imrana. Szczupły, spokojny, bezpretensjonalny – przepychał się przez tłum. Kiedy pomruk stał się głośniejszy, skóra wołu zadrgała, a oczy zaczęły się przewracać. Wielki łeb z rogami, które długim łukiem sięgały wstecz, poruszał się do przodu i do tyłu. Jakby zwierzę znalazło się w transie na koncercie klasycznej muzyki indyjskiej. Zręcznym chwytem judo Imran i jego pomocnik przewrócili byka na bok. W jednej chwili Imran otworzył tętnicę szyjną i odskoczył przed fontanną krwi, która tryskała w powietrze w rytmie słabnących uderzeń serca. Prysnęła na spuszczone żaluzje sklepów i na twarze polityków uśmiechające się z postrzępionych starych plakatów na ścianach. Popłynęła w dół ulicy, mijając zaparkowane motocykle, skutery, ryksze i rowery. Małe dziewczynki w zdobionych świecidełkami trzewikach piszczały i uskakiwały na bok, natomiast mali chłopcy udawali, że niczym się nie przejmują, a najgorsi z nich lekko zanurzali stopy w czerwonych kałużach, zachwycając się później swoimi czerwonymi śladami. Potrwało to chwilę, zanim wół wykrwawił się na śmierć. Kiedy to się już stało, Imran otworzył ciało i pozwolił wypłynąć na ulicę wewnętrznym organom, sercu, śledzionie, żołądkowi, wątrobie, jelitom. Ponieważ ulica była stroma, wnętrzności zaczęły spływać niczym łódki o dziwnych kształtach sunące po rzece krwi. Uratował je pomocnik Imrana i ułożył na nieco równiejszym miejscu. Obdzieranie ze skóry i dzielenie zostały dokonane przez odpowiednią ekipę. Gwiazdor otarł nóż o kawałek materiału, rozejrzał się po zgromadzonych, pochwycił spojrzenie Andżum i niezauważalnie skinął głową. Przecisnął się przez tłum i odszedł, Andżum zaś dogoniła go przy następnym *ćauku*. Ulice pełne były ruchu. Kozie skóry, rogi, czaszki, mózgi i wnętrzności zbierano, rozdzielano i układano w stosy. Z jelit usuwano treść, aby potem można je było odpowiednio oczyścić, a po wygotowaniu robić z nich zupę lub klej. Koty paradowały smakowicie obłowione. Nic nie przepadnie.

Imran i Andżum podążyli do Bramy Turkmeńskiej, skąd motorykszą udali się na cmentarz.

Andżum, w tym momencie Głowa Domu, trzymała nóż nad swym pięknym baranem i wypowiedziała modlitwę. Imran przeciął tętnicę, trzymając zwierzę, to zaś drżało, podczas gdy krew wypływała z niego. Po dwudziestu minutach baran był pozbawiony skóry, pocięty na mniejsze kawałki, Imran zaś już się oddalił. Andżum tak podzieliła kawałki baraniny, aby można je było ofiarować w taki sposób, jak jest Zapisane: jedna trzecia dla rodziny, jedna trzecia dla sąsiadów i bliskich, jedna trzecia dla ubogich. Rośanowi Lalowi, który przyjechał tego ranka,

aby pozdrowić ją z okazji Id, wręczyła plastikową torbę zawierającą jęczor i kawałek uda. Najlepsze części zachowała dla Zejnab, która właśnie skończyła dwanaście lat, i dla Ustada Hamida.

Uzależnieni nieźle się tego wieczoru najedli. Andżum, Nimmo Gorakhpuri oraz Imam Ziauddin siedzieli na tarasie i smakowali trzy rodzaje potraw z baraniny, a także całe wzgórza *biriani*. Nimmo podarowała Andżum telefon komórkowy z wgraną już wiadomością multimedialną z kogutem. Andżum przytuliła ją i powiedziała, że teraz czuje prostą linię prowadzącą do Boga. Kilka razy obejrzały wiadomość. Opisały ją szczegółowo imamowi Ziauddinowi, który słuchał oczyma, ale nie tak entuzjastycznie, jak one zachwycały się wartością filmiku jako niewątpliwego znaku. Nowy telefon Andżum umieściła na piersi. Tego już nie zgubi. W ciągu kilku tygodni, za sprawą kierowcy D.D. Gupty, który ciągle przynosił wiadomości Andżum od szefa, ten otrzymał jej nowy numer, dzięki czemu znowu mógł się kontaktować z nią w Iraku, gdzie najprawdopodobniej chciał już mieszkać.

Rano, nazajutrz po Bakr-Id, zajazd Dżannat odwiedził drugi z jego stałych gości: młody mężczyzna, który zwykł siebie nazywać Saddam Husajn. Andżum znała go trochę, a lubiła tak bardzo, że zaoferowała mu pokój za psie pieniądze, co kosztowało go mniej, niż zapłaciłby w starym mieście.

Saddam, kiedy Andżum go poznała, pracował w kostnicy. Był jednym z dziesięciu młodych mężczyzn, którzy musieli troszczyć się o zwłoki. Hinduscy lekarze, którzy mieli przeprowadzić sekcję, uważali się za wyższą kastę i nie chcieli dotykać ciał, bojąc się, że zostaną zbrukani. Ci, którzy bezpośrednio zajmowali się zwłokami i dokonywali sekcji, byli zatrudnieni jako czyściciele i należeli do kasty sprzątaczy i rymarzy, którą nazywano *ćamar*. Lekarze, jak większość hindusów, patrzyli na nich z wyższością i uważali za nietykalnych. Lekarze stali w pewnej odległości, z chusteczkami przytkniętymi do twarzy, i wykrzykiwali polecenia na temat tego, gdzie i jak należy naciąć oraz co zrobić z odsłaniającymi się wnętrznościami. Saddam był jedynym muzułmaninem wśród pracujących w kostnicy czyścicieli. Podobnie jak oni, stał się kimś w rodzaju chirurga amatora.

Saddam miał skwapliwy uśmiech i rzęsy, które sprawiały wrażenie, jakby ćwiczyły gimnastykę. Witał zawsze Andżum z szacunkiem i często przynosił drobne podarunki: kupował jej jajka i papierosy (nikomu nie pozwalała nabywać zamiast niej warzyw) albo przynosił wiaderko wody z pompy, jeśli czuła bóle pleców. Czasami, gdy praca w kostnicy była mniej mordercza, zwykle między październikiem a listopadem (kiedy ludzie na ulicy nie marli jak muchy od skwaru, zimna czy dengi), Saddam zaglądał do Andżum, która robiła mu herbatę i razem palili wtedy papierosa. Pewnego dnia zniknął, bez słowa. Kiedy rozpytywała się o niego, jego koledzy mówili, że pokłócił się z jednym z lekarzy i został

wyrzucony. Gdy znowu pojawił się owego ranka po Id, cały rok później, wydawał się odrobinę wychudzony, odrobinę podniszczony, a towarzyszyła mu równie wychudzona i podniszczona biała klacz, którą nazywał Pajal. Ubrany był modnie: w dżinsy i czerwony podkoszulek z napisem: „U ciebie czy u mnie?”. Nawet w domu nosił okulary przeciwsłoneczne. Uśmiechał się, kiedy Andżum pokpiwała sobie z niego, ale powiedział, że nie ma to nic wspólnego z modą. Uraczył ją dziwną historią o tym, jak to oczy wypaliło mu drzewo.

Kiedy wyrzucono go z kostnicy, mówił Saddam, pracował to tu, to tam: pomagał w sklepie, był konduktorem w autobusie, sprzedawał gazety na dworcu kolejowym w Nowym Delhi, aż wreszcie w desperacji został murarzem na budowie. Jeden ze strażników zaprzyjaźnił się z nim i zaprowadził Saddama do swojej zwierzchniczki, Sangity Madam, w nadziei, że ta może dać mu jakieś inne zajęcie. Sangita Madam była pulchną, wesołą wdową. Na przekór swej pogodnej osobowości i umiłowaniu piosenek Bollywoodu, była nieugięta przy zawieraniu kontraktów, a jej firma, Bezpieczna i Rzetelna Służba Opieki (BRSO), zatrudniała jakichś pięciuset ochroniarzy. Gabinet miała w suterenie fabryki butelek, w nowym pasie przemysłowym, który oplatał przedmieścia Delhi. Zatrudniani przez nią ludzie pracowali po dwanaście godzin dziennie przez sześć dni w tygodniu. Sangita Madam pobierała sześćdziesiąt procent ich pensji, więc starczało im ledwie na jedzenie i dach nad głową. Mimo to cisnęli się do niej tysiącami: emerytowani żołnierze, zwolnieni robotnicy, zrozpaczeni wieśniacy, którzy pociągami zjeżdżali do stolicy, ludzie wykształceni, analfabeci, dobrze wyżywieni i głodujący. „Jest mnóstwo firm ochroniarskich, które mają biura jedno obok drugiego”, Saddam mówił Andżum. „Cóż to za widok pierwszego dnia każdego miesiąca, kiedy zbieramy... a jest nas tysiące... nasze należności. Nabiera się uczucia, że w mieście są tylko trzy rodzaje ludzi: ochroniarze, osoby, które potrzebują ochrony, oraz złodzieje.

Sangita Madam należała do lepiej płacących pracodawców. Dlatego mogła sobie wybierać ludzi. Zatrudniała tych, którzy wydawali się mniej wygłodzeni, i dawała im półdniowe wyszkolenie – zasadniczo polegało ono na nauce tego, jak stać prosto, jak oddawać honory, jak mówić „tak, sir”, „nie, sir”, „dzień dobry, sir” i „dobranoc, sir”. Następnie dostawali czapkę, krawat na gumce z zawiązanym już węzłem i dwa komplety uniformów z wyhaftowanymi na epoletach literami „BRSO”. (Musieli zapłacić depozyt wart więcej niż sam mundur, na wypadek gdyby przyszło im do głowy uciec, nie zwracając go). Ta jej mała prywatna armia objęła swym działaniem całe miasto. Jej żołnierze strzegli domów, szkół, gospodarstw, banków, bankomatów, magazynów, centrów handlowych, kin, ogrodzonych wspólnot mieszkaniowych, hoteli, restauracji, ambasad oraz biur wysokich komisarzy biednych krajów. Saddam powiedział Sangicie Madam, że nazywa się Dajaćand (ponieważ każdy idiota wiedział, że w obecnej sytuacji

ochroniarz z muzułmańskim imieniem był terminem wewnątrznie sprzecznym). Będąc wykształconym, dobrze wyglądającym i zdrowym mężczyzną, łatwo otrzymał pracę. „Będę mieć cię na oku”, powiedziała pierwszego dnia Sangita Madam, z uznaniem mu się przyglądając. „Jeśli okaże się, że jesteś rzeczywiście dobrym pracownikiem, w trzy miesiące zrobię cię nadzorcą”. Wysłała go jako jednego z tuzina pracowników do Narodowej Galerii Sztuki Współczesnej, gdzie jeden z najsłynniejszych współczesnych artystów Indii, mężczyzna z małej miejsciny, który osiągnął międzynarodowe wyżyny, miał indywidualną wystawę. Do jego zabezpieczenia wynajęto BRSO.

Ekspozyty, codzienne przedmioty wykonane ze stali nierdzewnej: stalowe cysterny, stalowe motocykle, stalowe wagi ze stalowymi owocami z jednej strony i stalowymi odważnikami z drugiej, stalowe szafki pełne stalowych ubrań, stalowy stół jadalny ze stalowymi talerzami i stalowym jedzeniem, stalowe taksówki ze stalowym bagażem na ich stalowych bagażnikach – wszystko to niezwykle z racji wierności odwzorowania, a jednocześnie przepięknie oświetlone i wyeksponowane w licznych salach galerii, z których każda była chroniona przez dwóch pracowników BRSO. Nawet najtańszy eksponat, mówił Saddam, miał cenę dwuosobowego mieszkania dla ubogich, LIG48. Toteż wedle jego wyliczeń wszystko kosztowało tyle, co całe osiedle mieszkalne. Głównym sponsorem był przodujący magazyn sztuki współczesnej „Art First”, którego właścicielem był magnat stalowy.

Saddam (Dajaćand) miał za zadanie chronić pojedynczy eksponat wystawy: znakomicie wykonany, z absolutną wiernością, chociaż w skali jeden do dwóch, figowiec ze stali nierdzewnej, z powietrznymi korzeniami ze stali nierdzewnej, które zwisały nad podłożem niczym zagajnik ze stali nierdzewnej. Drzewo banyanowe przybyło z galerii nowojorskiej, wysłane statkiem w wielkiej drewnianej skrzyni. Saddam przyglądał się, jak je wypakowywano i umieszczano na trawniku galerii narodowej, zabezpieczając podziemnymi sworzniami. Z gałęzi zwieszały się wiaderka ze stali nierdzewnej, menażki obiadowe ze stali nierdzewnej, garnki i rondle ze stali nierdzewnej (zupełnie jakby robotnicy ze stali nierdzewnej powiesili swoje posiłki ze stali nierdzewnej, a potem zabrali się do orania pól ze stali nierdzewnej, aby posiać w nich nasiona ze stali nierdzewnej).

– Tej części już nie zrozumiałem – powiedział Saddam Andżum.

– A resztę zrozumiałeś? – spytała ze śmiechem Andżum.

Artysta, który mieszkał w Berlinie, wysłał surowe instrukcje, że nie życzy sobie żadnego płotu ochronnego czy innego zabezpieczenia wokół drzewa. Zależało mu na tym, aby widzowie mieli bezpośredni kontakt z jego dziełem, bez żadnych barier. Jeśli chcieli, wolno im było dotykać dzieła i wędrować w zagajniku jego korzeni. Większość tak robiła, powiedział Saddam, z wyjątkiem chwil, gdy słońce stało zbyt wysoko i stal była zbyt rozgrzana, aby jej dotknąć. Zadaniem

Saddama było pilnowanie tego, aby nikt nie wyskrobywał swojego imienia na stalowym drzewie czy nie niszczył go w jakikolwiek inny sposób. Do jego obowiązków należało też utrzymywanie drzewa w czystości i pilnowanie, aby dokładnie ścierano ślady setek dotykających je dłoni. W tym celu otrzymał specjalnie zaprojektowaną drabinę, zapas oliwki dla dzieci Johnson & Johnson oraz kawałki starych miękkich sari. Nie była to metoda obiecująca, ale działała. Czyszczenie drzewa nie stanowiło problemu, mówił Saddam, natomiast niełatwo było w nie patrzeć, gdy odbijało się na nim słońce. Przypominało to gapienie się prosto w jego promienie. Po pierwszych dwóch dniach Saddam poprosił Sangitę Madam, aby pozwoliła mu nosić okulary przeciwsłoneczne. Nie zgodziła się, mówiąc, że nie będzie to wyglądało dobrze, a kierownictwo muzeum może się poczuć znieważone. Dlatego Saddam rozwinął technikę patrzenia na drzewo przez kilka minut, a potem odwracania wzroku. Minęło siedem tygodni, drzewo na powrót zostało zapakowane do skrzyni i wyprawione statkiem do Amsterdamu na następną wystawę artysty, ale oczy Saddama były poparzone. Nieustannie piekły go i łzały, za dnia nie mógł ich otwierać, jeśli nie nałożył okularów przeciwsłonecznych. Został zwolniony z pracy w BRSO, nikt bowiem nie chciał zatrudnić zwykłego pracownika ochrony, który ubierał się niczym goryl strzegący gwiazdy filmowej. Sangita Madam powiedziała mu, że jest jej wielkim rozczarowaniem, gdyż całkowicie zawiódł oczekiwania. Odpowiedział na to, obrzucając ją okropnymi wyzwiskami. Został siłą wyrzucony z jej biura.

Andżum chichotała z aprobatą, kiedy Saddam zacytował, jakie to były wyzwiska. Dała mu pokój, który zbudowała wokół grobu swojej siostry, Bibi Aiszy.

Saddam zbudował tymczasową stajnię dla Pajal i dołączył do niej łaźnię. Klacz stała tam całą noc, prychając i rżąc, blada nocna zmora na cmentarzu. Za dnia była współniczką Saddama, który objeżdżał na niej największe miejskie szpitale. Przystawał pod bramą obiektu i zajmował się jednym z kopyt klaczy, postukując w nie małym młotkiem i udając, że zakłada nową podkowę. Pajal chętnie przystała na tę grę. Kiedy zjawiali się zaniepokojeni krewni osób poważnie chorych, Saddam z ociąganiem zgadzał się rozstać ze starą podkową, aby przyniosła im szczęście. Odpłatnie. Miał także zasób leków: trochę popularnie przepisywanych antybiotyków, crocin, syrop na kaszel, a także całą mnogość leków ziołowych. Sprzedawał je ludziom, którzy ściągali do wielkich państwowych szpitali z wiosek wokół Delhi. Większość z nich obozowała na terenie szpitala albo na ulicach, gdyż byli za biedni na to, aby wynająć sobie jakiegokolwiek pomieszczenie w mieście. W nocy Saddam jechał na Pajal do domu pustymi ulicami, niczym księżę. W pokoju miał całą torbę podków. Jedną dał Andżum, ta zaś powiesiła ją na ścianie obok starej procy. Saddam prowadził także inne interesy. Sprzedawał karmę dla gołębi w pewnych miejscach miasta, w których

kierowcy zatrzymywali się, aby wielkodusznie nakarmić boże stworzenia. Podczas swych nieszpitalnych dni Saddam zawsze tam był z małymi pakiecikami karmy i gotową resztą. Kiedy kierowcy odjeżdżali, często ku oburzeniu gołębi zmiatał karmę i pakował ją do torebki, aby była gotowa dla następnego klienta. Wszystko to – nabieranie przy gołębiach i wykorzystywanie krewnych chorych ludzi – było męczącą, szczególnie w lecie, pracą, przynoszącą niepewny zarobek. Ale przy tych zajęciach Saddam nie miał żadnego zwierzchnika – i to było najważniejsze.

Wkrótce po wprowadzeniu się Saddama Andżum, on i imam Ziauddin podjęli jeszcze inną inicjatywę. Zaczęło się to przypadkowo, a potem rozwijało samo. Pewnego popołudnia Anwar Bhai, który prowadził burdel przy GB Road⁴⁹, zjawił się na cmentarzu z ciałem Rubiny, jednej z jego dziewczyn, która nagle umarła z powodu pęknięcia wyrostka robaczkowego. Towarzyszyło mu osiem młodych kobiet w burkach oraz trzyletni chłopiec, syn Anwara Bhai, poczęty z jedną z nich. Wszyscy byli bardzo poruszeni – nie tyle z powodu śmierci Rubiny, ile z racji tego, że szpital wydał jej ciało pozbawione oczu. Pracownicy oznajmili, że do zwłok w kostnicy dostały się szczury. Jednak Anwar Bhai i koleżanki Rubiny uważali, że oczy zostały ukradzione przez kogoś przekonanego o tym, iż gromada dziwek i ich alfons nie poskarżą się policji. Jakby tego było mało, ponieważ na świadectwie śmierci jako adres podano GB Road, Anwar Bhai nie mógł znaleźć łaźni, aby obmyć ciało Rubiny, cmentarza, aby ją pochować, ani imama, aby odmówił modły.

Saddam oznajmił im, że znaleźli się we właściwym miejscu. Kazał im usiąść, poczęstował ich czymś zimnym do picia, podczas gdy sam szybko tuż obok zajazdu ogrodził teren starymi *dupattami* Andżum, owiniętymi wokół czterech bambusowych drągów. Wewnątrz ogrodzenia umieścił kawałek dykty, ustawiony na kilku ceglach, pokrył go płachtami plastiku i powiedział kobietom, aby położyły na nim ciało Rubiny. Razem z Anwarem Bhai w wiadrach przynieśli wodę z ręcznej pompy oraz trochę starych puszek po farbie i wszystkich zaprosił do zaimprovizowanej łaźni. Ciało było już sztywne, więc szaty Rubiny musiano rozciąć (czego Saddam dokonał brzytwą). Z miłością, niczym machające nad nią skrzydłami stado kruków, kobiety umyły ją, namydliły szyję, uszy, palce u nóg. Z równą miłością, ale i czujnym okiem pilnowały, by któraś z nich nie skusiła się i nie schowała do kieszeni bransoletki, obrączki z palca u nogi czy pięknego naszyjnika (cała biżuteria, i sztuczna, i prawdziwa, miała być przekazana Anwarowi Bhai). Mehrunissa martwiła się o to, że woda może być za zimna. Sulekha upierała się, że Rubina otworzyła powieki, a potem znowu je zamknęła (i że promienie boskiego światła tryskają z miejsc, w których wcześniej były oczy). Zinat poszła kupić całun. Podczas kiedy Rubina była przygotowywana do swej ostatniej podróży, mały syn Anwara Bhai, ubrany w dżinsowe ogrodniczki i czapczkę modlitewną, chodził tam i z powrotem, stawiając kroki jak wartownicy

na Kremlu, aby zademonstrować swoje nowe (podrabiane) bladofioletowe crocсы zdobione kwiatami. Popisywał się, głośno chrupiąc kurkure, których paczkę dostał od Andżum. Od czasu do czasu usiłował zajrzeć do namiotu, gdzie jego matka i ciotki (których nigdy przez całe swoje krótkie życie nie widział w burkach) coś robiły.

Zanim ciało zostało umyte, wytarte, wyperfumowane i otulone w całun, Saddam z pomocą dwóch heroinistów wykopał dostatecznie głęboki grób. Imam Ziauddin zmówił modlitwy i ciało Rubiny zostało pochowane. Anwar Bhai, pełen ulgi i wdzięczności, chciał wcisnąć Andżum pięćset rupii. Nie zgodziła się przyjąć. Odmówił także Saddam. Nie był jednak kimś, kto przepuściłby nadarzącą się okazję do zarobienia.

W ciągu tygodnia zajazd Dżannat zaczął funkcjonować jako dom pogrzebowy. Miał odpowiednią łaźnię z dachem azbestowym, a także cementowe platformy, aby można było na nich ułożyć ciała. Zapewniono stałą dostawę nagrobków, całunów, aromatyzowanej gliny Multani (którą większość ludzi wolała od mydła) oraz wiader na wodę. Był też rezydujący całą dobę imam. Reguły dla umarłych (podobnie jak dla żyjących w zajezdzie) były tajemnicze: ciepłe, przyjazne uśmiechy powitalne albo irracjonalne wrzaski sprzeciwu, a wszystko zależało nie wiadomo od czego. Jedynym jasnym kryterium było to, że Dom Pogrzebowy Dżannat pochowa tylko tych, których odrzuciły cmentarze i imamowie z *Duniji*. Bywały dni bez żadnego pogrzebu, a czasami ledwie dało się z nimi uporać. Rekordem było pięć pochówków w jeden dzień. Niekiedy nawet sama policja, której zasady były równie irracjonalne jak Andżum, przynosiła im ciała.

Kiedy we śnie odeszła Ustad Kulsum Bi, z wielką pompą została pochowana na Hidżron Ka Khanka w Mehrauli. Ale Bombay Silk złożono na cmentarzu Andżum. Podobnie było z wieloma innymi hidżrami z całego Delhi.

(W ten sposób imam Ziauddin ostatecznie otrzymał odpowiedź na swoje dawno postawione pytanie: „Powiedz mi, kiedy umieracie, gdzie się grzebie waszych ludzi? Kto obmywa ich ciała? Kto się modli?”).

Stopniowo zajazd Dżannat i Dom Pogrzebowy stały się nieodłączną częścią krajobrazu, tak że nikt nie kwestionował ich pochodzenia czy prawa do tego, aby istnieć. Istniały. I tyle. Kiedy Dżahanara Begam umarła w wieku osiemdziesięciu siedmiu lat, modły odmówił imam Ziauddin. Pochowano ją obok Mulakata Alego. Na cmentarzu Andżum została też pochowana Bismillah, gdy już umarła.

Koziół Zejnab mógłby znaleźć się w *Księdze rekordów Guinnessa* za osiągnięcie niezwykłego (jak dla kozy) wyniku: zdechł z naturalnej przyczyny (kolki) po przeżyciu rekordowych szesnastu Bakr-Id w Śahdżahanabadzie. Oczywiście, nie była to jego zasługa, lecz jego zawziętej małej pani. Oczywiście, w *Księdze rekordów Guinnessa* nie było takiej kategorii.

Chociaż Andżum i Saddam dzielili ten sam dom (i ten sam cmentarz), rzadko razem spędzali czas. Andżum uwielbiała leniuchowanie, natomiast Saddam, rozdarty między swe różne przedsięwzięcia (sprzedał interes z karmieniem gołębi, gdyż był najmniej zyskowny), nie miał wolnego czasu i nienawidził telewizji. Pewnego niezwykłego poranka wymuszonego lenistwa siedział wraz z Andżum na starym czerwonym fotelu z taksówki, którego używali jako sofy, pili herbatę i oglądali telewizję. Był piętnasty sierpnia, Dzień Niepodległości. Wylękniony mały premier, który zastąpił sepleniącego Poetę-Premiera (partia, do której należał, nie sądziła, że Indie są narodem Indusów), zwracał się do narodu z bastionów Czerwonego Fortu. Był to jeden z tych dni, kiedy wyspowa izolacja groźnego miasta została naruszona przez resztę Delhi. Wielkie tłumy zorganizowane przez partię rządzącą wypełniły plac Ramlili. Pięć tysięcy uczniów ubranych w barwy flagi narodowej prezentowało kwiatową musztrę. Drobnikombinatorzy i lawiranci pragnęli, aby w telewizji zobaczono ich siedzących w pierwszych rzędach, wierzyli bowiem, że widoczną bliskość z władzą da się później wykorzystać w interesach. Kilka lat wcześniej, kiedy sepleniący Poeta-Premier i jego partia bigotów zostali pozbawieni urzędów, Andżum bardzo się ucieszyła i poczuła coś bliskiego uwielbienia do wylęknionego, odzianego w niebieski turban sikha ekonomisty, który zajął miejsce na szczycie. Uczucie to pogłębiał jeszcze fakt, że przedmiot jej adoracji miał polityczną charyzmę złapanego w pułapkę królika. Później jednak doszła do wniosku, że rację mieli ludzie sądzący, iż był w istocie jedynie marionetką i kto inny pociągał za sznurki. Jego nieskuteczność wzmacniała jeszcze siły ciemności, które zaczęły się gromadzić na horyzoncie i znowu rozpełzały po ulicach. Gudżarat ka Lalla był ciągle premierem Gudżaratu. Znowu stał się buńczuczny i mówił o konieczności pomszczenia całych stuleci rządów muzułmańskich. W każdej mowie publicznej znalazł sposób na to, aby wspomnieć o objętości swojej klatki piersiowej (metr czterdzieści). Z jakiegoś przedziwnego powodu to chyba imponowało ludziom. Krążyły plotki, że powoli zbiera się do „marszu na Delhi”. W kwestii Gudżarat ka Lalli Saddam i Andżum doskonale się ze sobą zgadzali⁵⁰.

Andżum przypatrywała się temu Królikowi w Potrzasku, który ledwie miał jakąkolwiek klatkę piersiową. Stał za kuloodporną tarczą, podczas gdy Czerwony Fort wznosił się nad nim, on zaś rozwodził się nad danymi statystycznymi dotyczącymi importu i eksportu, podczas gdy wzburzony tłum nie miał pojęcia, o czym on mówi. Robił to jak marionetka. Poruszała się tylko jego dolna szczęka. Nic więcej. Jego krzaczaste siwe brwi sprawiały wrażenie, że przymocowane są do okularów, a nie do twarzy. Jej wyraz nigdy się nie zmieniał. Na koniec przemówienia podniósł rękę w wątlym geście i znikł, wykrzyknąwszy piskliwie: „*Dżej Hind!*” (Niech żyją -Indie!). Żołnierz, który miał ponad dwa metry wzrostu i błyszczące wąsy, tak szerokie jak rozłożone skrzydła małego albatrosa,

wyrwał szablę z pochwy i zasalutował małemu premierowi, który, jak się zdało, cały zadrżał z trwogi. Kiedy się oddalał, poruszały się tylko jego nogi. Nic więcej.

Andżum zde gustowana wyłączyła telewizor.

– Chodźmy na dach – zaproponował pospiesznie Saddam, wyczuwając zbliżanie się jednego z tych jej nastrojów, które najczęściej oznaczały kłopoty dla każdego, kto znalazł się w zasięgu pół kilometra.

Poszedł przodem i rozłożył stary dywan oraz kilka twardych poduszek w kwiecistych poszewkach, które pachniały stęchłym olejkiem do włosów. Odrobinę wiało i latawce na Dzień Niepodległości już wypuszczono. Było też ich kilka na cmentarzu i sprawiały się całkiem dobrze. Andżum zjawiała się z dzbankiem świeżej gorącej herbaty i tranzystorem. Ułożyli się razem z Saddamem (ten w swoich okularach przeciwsłonecznych) i wpatrywali w niebo upstrzone jaskrawymi papierowymi latawcami. Obok nich, jakby i on postanowił wziąć sobie wolne po tygodniu ciężkiej pracy, leżał Biru (niekiedy nazywany Roobi), pies, którego – ślepego i dezorientowanego – Saddam znalazł wlokącego się chodnikiem przy ruchliwej ulicy, podczas gdy sterczała z niego wiązka przezroczyстых tub. Był to beagle, który albo uciekł z laboratorium chemicznego Ranbaxy⁵¹, albo przetrwał wykonywaną na nim próbę. Był podniszczony i niewyraźny niczym rysunek, który ktoś starał się wymazać. Zwykle wyraźne czarne, białe i brązowe kolory beagle'a pokryła jakaś dymna, szara patyna – oczywiście mogła ona nie mieć nic wspólnego z substancjami, które na nim testowano. Kiedy Biru po raz pierwszy pojawił się w zajeździe Dżannat, często męczyły go ataki epilepsji, a także chrapliwe zmiany rytmu oddechu. Za każdym razem, gdy podnosił się z kolejnego ataku, przejawiał inny charakter: czasami przyjacielski, czasami wrogi, niekiedy senny, niekiedy warkliwy albo też rozleniwiony, co było tak niezrozumiałe i trudne do przewidzenia jak jego zaadoptowana pani. Z czasem napady zdarzały się rzadziej i w końcu stał się mniej lub bardziej trwałym awatarem Leniwego Psa. Natomiast utrzymywały się zmiany rytmu oddechu.

Andżum naląła odrobinę herbaty na talerzyk i podmuchała na nią, aby ochłodzić dla psa. Głośno ją wychłęptał. Pił wszystko, co piła Andżum, jadł wszystko, co jadła ona: *biriani*, *korma*, *samosa*, *halwa*, *faluda*, *phirni*, *zamzam*⁵², mango w lecie, a pomarańcze w zimie. Było to okropne dla jego ciała, ale znakomite dla duszy.

Przez jakąś chwilę wiatr się wzmagął i latawce poszybowały wzwyż, ale potem rozpoczął się nieodzowny przy Dniu Niepodległości deszcz. Andżum zahuczała, jak gdyby chodziło o nieproszonego gościa: „Aj Haj!”. Deszcz, matkojebna kurwa! Saddam roześmiał się, ale żadne z nich się nie poruszyło, chcąc zobaczyć, czy chodzi o dużą ulewę, czy o kapuśniaczek. Chodziło o deszczyk, który wkrótce ustał. Andżum w roztargnieniu zaczęła ścierać z sierści Biru

delikatny płaszczyk wodnych kropli. Deszczowa wilgoć przypomniła jej o Zejnab, a wtedy uśmiechnęła się sama do siebie. W sposób dla niej niezwykle zaczęła opowiadać Saddamowi historię o wiadukcie (w wersji ocenzurowanej), a także o tym, jak bardzo Bandikot ją kochała, kiedy była małą dziewczynką. Potem zaś radośnie o dowcipach Zejnab, miłości do zwierząt i o tym, jak szybko podchwyciła w szkole angielski. I nagle, kiedy wspomnienia były najbardziej pogodne, głos Andżum załamał się, a oczy napełniły łzami.

– Urodziłam się, aby być matką – załkała. – Spójrz tylko, pewnego dnia Allah Mian⁵³ da mi moje dziecko. Tyle wiem, i to na pewno.

– A jak to możliwe? – zapytał Saddam rozsądnie, kompletnie nie wiedząc, że wkracza na niebezpieczny teren. – *Hakikat bhi koi ċiz hoti he.* – Koniec końców, jest coś takiego jak rzeczywistość.

– A czemu nie? Czemu, do diabła, nie? – rzuciła gniewnie Andżum, siadając i patrząc mu w oczy.

– Chcę tylko powiedzieć... Chodziło mi o to, że w rzeczywistości...

– Jeśli ty możesz być Saddamem Husajnem, ja mogę być matką. – Andżum nie powiedziała tego napastliwie, lecz z uśmiechem, kokieteryjnie, ssąc wargi na białym kle i ciemnoczerwonych zębach. Ale w tej kokieterii było coś zimnego.

Zaalarmowany, choć nie przestraszony Saddam spojrzał na nią, nie zastanawiając się, co takiego ona może wiedzieć.

– Kiedy już przekroczysz krawędź, zaczynasz spadać, jak dzieje się z większością z nas, włączając naszego Biru – mówiła Andżum – i już nigdy nie przestajesz. Starasz się trzymać z innymi spadającymi ludźmi. Im wcześniej to zrozumiesz, tym lepiej. To miejsce, w którym żyjemy, które uczyniliśmy swoim domem, jest miejscem spadających ludzi. Nie ma tutaj żadnej *hakikat*. *Are*, nawet my nie jesteśmy realni. Nie żyjemy naprawdę.

Saddam nic nie odpowiedział. Pokochał Andżum bardziej niż kogokolwiek innego na świecie. Uwielbiał sposób, w jaki mówiła, słowa, które dobierała, sposób, w jaki poruszała ustami, sposób, w jaki czerwone, poplamione *panem* wargi poruszały się nad zepsutymi zębami. Uwielbiał jej zabawny przedni ząb i to, jak potrafiła recytować całe wiersze z poezji urdu, chociaż większości – a może i wszystkiego – nie rozumiał. Saddam nie znał się na poezji, a urdu władał w bardzo małym stopniu. Natomiast wiedział wiele innych rzeczy. Znał najszybszy sposób na oprawienie krowy czy byka bez zniszczenia skóry. Wiedział, jak zmoczyć soloną wodą skórę i marynować ją z użyciem limonki oraz taniny, aż zacznie się rozciągać i sztywnieć, by potem stać się skórą tapicerską. Wiedział, jak ustalić kwaśność marynaty, kosztując ją, jak oprawić skóry, pozbawiając je włosów i tłuszczu, jak je mydlić, wybielać, pucować, natłuszczać i woskować tak, aby błyszczały. Wiedział też, że przeciętne ludzkie ciało zawiera od czterech do pięciu litrów krwi. Patrzył, jak wycieka i rozlewa się wolno po ulicy na zewnątrz

posterunku policji w Dulinie, tuż obok szosy Delhi–Gurgaon. O dziwo, rzeczami, które zapamiętał najlepiej, były długa kolejka drogich samochodów oraz owady migające w światłach ich reflektorów. I fakt, że nie zjawił się nikt, aby pomóc.

Wiedział, że tym, co sprowadziło go do Miejsca Spadających Ludzi, nie był ani żaden plan, ani przypadek. Po prostu fala przyływu.

– Kogo starasz się oszukać? – spytała Andżum.

– Tylko Boga. – Saddam uśmiechnął się w odpowiedzi. – Nie ciebie.

– Zmów *Kalimę*... – powiedziała Andżum tonem tak władczym, jak gdyby była cesarzem Aurangzebem.

– *La ilaha*... – zaczął Saddam, a potem, jak Hazrat Sarmad, się zatrzymał. – Nie znam reszty. Ciągłe się jej uczę.

– Jesteś *ćamarem*, jak ci wszyscy inni, z którymi pracowałeś w kostnicy. Co do swego imienia nie skłamałeś tej Sangicie Madam *Haramzadi*. Dziwce. Natomiast okłamałeś mnie, a ja nie wiem czemu, skoro nie przejmuję się tym, kim jesteś: muzułmaninem, hinduistą, kobietą, mężczyzną, z tej kasty, z innej kasty, z dupy wielbłąda. Ale czemu nazwałeś się Saddamem Husajnem? Wiesz, że to był kawał sukinsyna.

Andżum użyła słowa „*ćamar*”, nie zaś „*dalit*”, bardziej współczesnego i akceptowanego określenia na tych, których hindusi uważali za niedotykalnych⁵⁴. A zrobiła to z tego samego powodu, dla którego nie pozwalała na to, aby określać ją inaczej niż hidźra. Dla niej nie było problemu: hidźra czy *ćamar*.

Przez chwilę siedzieli obok siebie w milczeniu. A potem Saddam postanowił powierzyć Andżum historię, której nie opowiedział przedtem nikomu. Historię szafranowych papużek i zdechłej krowy. Była to też historia szczęścia – może nie rzeźniczego, ale czegoś bardzo podobnego.

– Masz rację – Saddam przyznał Andżum.

Jej skłamał, a prawdę powiedział Sangicie Madam *Haram-zadi*. Dziwce. Saddam Husajn było jego mianem przybranym, a nie prawdziwym. Naprawdę nazywał się Dajaćand. Urodził się w rodzinie *ćamarów* – garbarzy, w odległej o kilka godzin autobusem od Delhi wiosce Badśahpur w stanie -Harijana.

Pewnego dnia, odebrawszy wezwanie telefoniczne, on, ojciec i jeszcze trzech innych mężczyzn wynajęli tempo, aby udać się do sąsiedniej wioski i zabrać stamtąd truchło krowy, która zdechła na czyjejs farmie.

– To właśnie robili nasi ludzie – mówił Saddam. – Kiedy krowa zdychała, farmerzy z wyższej kasty wzywali nas, aby zabrać trupa, gdyż sami nie mogli się skazać dotknięciem go.

– Tak, tak, wiem – powiedziała Andżum tonem, który podejrzenie brzmiał jak zachwyty. – Niektórzy z nich są bardzo schludni i czyści. Nie jedzą cebuli, czosnku, mięsa...

Saddam zignorował to wtrącenie.

– Pojechaliśmy więc i wzięliśmy trupa, zdjęliśmy z niego skórę, a potem ją uporządkiliśmy, aby nadawała się do późniejszego użycia przez tapicerów. Było to w roku 2002. Ciągle chodziłem do szkoły. Wiesz lepiej niż ja, co się wtedy działo... Jak tu wszystko wyglądało. Ty przeżyłaś swoje w lutym, ja swoje w listopadzie. Był to dzień Deśehry. W drodze po krowę minęliśmy plac Ramlili, gdzie zbudowali wielkie kukły demonów... Rawana, Meghanada i Kumbhakaran, wysokie jak trzypiętrowe budowle, a wszystkie miały być wieczorem zdetonowane.

Żadnemu muzułmaninowi ze Starego Delhi nie trzeba było tłumaczyć, czym jest dla hindusów święto Deśehra. Było ono co roku celebrowane na placu Ramlili, tuż za Bramą Turkmeńską. Każdego roku kukły Rawany, dziesięciogłowego, demonicznego króla Lanki, jego brata Kumbhakarana i jego syna Meghanady były wznoszone coraz wyższe i napełniano je coraz większą liczbą ładunków wybuchowych. Co roku *Ramlila*, opowieść o tym, jak Rama, król Ajodhji, pokonał Rawanę w bitwie na Lance – dla hindusów opowieść o triumfie Dobra nad Złem – była odgrywana z rosnącą agresją, a fundowana przez coraz hojniejsze datki. Pojawili się zuchwali uczeni, którzy coraz śmielej sugerowali, że *Ramlila* to w istocie historia przekształcona w mitologię i że złe demony to ciemnoskórzy Drawidowie – tubylczy władcy; hinduscy bogowie zaś, którzy ich pokonali (i przekształcili w niedotykalnych oraz inne uciemieżone kasty, które miały całe życie poświęcić służeniu nowym władcom), byli tak naprawdę aryjskimi najeźdźcami. Uczeni ci wskazywali na wiejskie rytuały, w których ludzie czcili bóstwa takie jak Rawana, przez hindusów uważane za demony. W nowej sytuacji jednak zwykłym ludziom niepotrzebna była uczoność, aby wiedzieli – nawet jeśli nie mogli tego powiedzieć otwarcie – że wraz ze wzrastaniem Rzeszy Papug, niezależnie od tego, co można znaleźć lub czego nie można znaleźć w pismach, w papużkowej mądrości, za złe demony uważano nie tylko miejscowych, lecz także każdego, kto nie był hindusem. A to, oczywiście, obejmowało mieszkańców Śahdżahanabadu.

Kiedy wielkie kukły zostały wysadzone w powietrze, odgłos eksplozji przetoczył się wąskimi uliczkami starego miasta. I tylko niewielu mogło mieć wątpliwości, co to może znaczyć.

Każdego roku, o poranku po zwycięstwie Dobra nad Złem, Ahlam Badži, akuszerka zamieniona w wędrowną królową z brudnymi włosami, szła na tereny Ramlili, by przeszukując resztki i odpadki, powracać z łukami i strzałami, a czasami z całym, zupełnie użytecznym wężem, patrzącym okiem, ramieniem czy też mieczem – który sterczał potem z jej torby na nawozy.

Kiedy więc teraz Saddam mówił o Deśehrze, Andżum rozumiała to we wszystkich rozległych i zróżnicowanych znaczeniach.

– Łatwo znaleźliśmy zdechłą krowę – ciągnął Saddam. – To zawsze jest łatwe, trzeba tylko wiedzieć, by iść prosto w kierunku smrodu. Załadowaliśmy

ścierwo na tempo i ruszyliśmy do domu. Po drodze zatrzymaliśmy się przy posterunku policji w Dulinie, aby wypłacić działkę oficerowi dyżurnemu, który nazywał się Sehrawat. Była to wcześniej uzgodniona suma. Stawka za każdą krowę. Tego jednak dnia zażądał więcej. Nie po prostu więcej, ale trzy razy więcej. A to znaczyło, że na oprawieniu tej krowy tylko stracimy. Zналиśmy go dobrze, tego Sehrawata. Nie wiem, co go napadło tego dnia. Być może potrzebował pieniędzy, aby kupić alkohol na wieczorne obchody Deśehry, a może musiał spłacić jakiś dług. Nie wiem. Może starał się wykorzystać panujący klimat polityczny. Ojciec i jego przyjaciele próbowali go ubłagać, ale nie chciał słuchać. Wściekł się, kiedy powiedzieli, że nawet nie mają przy sobie tyle pieniędzy. Zatrzymał ich pod zarzutem „krowobójstwa” i zamknął w policyjnym areszcie. Ja zostałem na zewnątrz. Ojciec nie wydawał się specjalnie zmartwiony, gdy wchodził tam, więc i ja się nie trapiłem. Czekałem, przypuszczając, że muszą się trochę potargować i wkrótce dojdą do jakiegoś porozumienia. Minęły dwie godziny. Obok przeciągały tłumy ludzi podążających na wieczorne ogniska. Niektórzy byli przebrani za bogów, Ramę, Lakszmana i Hanumana, małe dzieci miały łuki i strzały, niektóre – mysie ogonki i twarze pomalowane na czerwono. Niektóre były demonami z czarnymi twarzami, a wszyscy chcieli wziąć udział w *Ramlili*. Kiedy mijali naszą ciężarówkę, chwyтали się za nosy z powodu fetoru. O zachodzie słońca usłyszałem eksplozję, kiedy wysadzono w powietrze kukły, a także radosne okrzyki widzów. Byłem zły, że ominęła mnie zabawa. Po jakiejś chwili ludzie zaczęli wracać do domu. Ciągłe nie było śladu po ojcu i jego przyjaciółach. A potem, sam nie wiem, jak to się stało, może policja rozpuściła plotkę, a może tylko wykonała kilka telefonów, w każdym razie tłum zaczął się gromadzić wokół posterunku, domagając się, aby wydano im „krowobójców”. Wystarczającym dowodem była dla nich zdechła krowa leżąca na pace tempo i zasmradzająca całą okolicę. Ludzie zaczęli blokować ruch. Nie wiedziałem, co zrobić, gdzie się schować, więc wmieszałem się w tłum. Niektórzy zaczęli krzyczeć: *Dżaj Śri Ram!* i *Wande Mataram!* Przyłączali się coraz to nowi i powoli ogarniało ich szaleństwo. Kilku wdarło się na posterunek i wyciągnęło ojca oraz pięciu jego przyjaciół. Zaczęli ich bić, zrazu pięściami i butami. Ale potem ktoś przyniósł łom, ktoś inny – lewar samochodowy. Nie mogłem zobaczyć wiele, ale kiedy pierwsze ciosy zaczęły padać, słyszałem ich krzyki...

Saddam wpatrywał się w Andżum.

– Nigdy jeszcze nie słyszałem takiego dźwięku... Dziwnego, wysokiego, nieludzkiego. Szybko jednak górę wzięły skowyty tłumu. Nie muszę ci o tym opowiadać, sama wiesz... – Głos Saddama stał się szeptem. – Wszyscy się przyglądali. Nikt nie zamierzał ich powstrzymać.

Opisał, jak skończywszy swą robotę, ludzie powsiadali do samochodów i wszyscy włączyli reflektory, tak że wydawało się, iż to wojskowy konwój. Jak

rozpryskiwali kałuże z krwią ojca, jakby to była woda deszczowa. Jak droga wyglądała niczym ulica w starym mieście w dniu Bakr-Id.

– Ja byłem częścią tłumu, który zabił mego ojca – powiedział Saddam.

Andżum poczuła, że jeszcze chwila, a jej osamotniony fort z mrużącymi ścianami i sekretnymi lochami raz jeszcze wzniesie się wokół niej. Siedzieli, Saddam i ona, niemal nie słysząc uderzeń swych serc. Nie potrafiła się zmusić do powiedzenia czegokolwiek. Nawet do wyrażenia sympatii. Saddam wiedział jednak, że ona słucha. Potrwało to chwilę, zanim znów przemówił.

– Kilka miesięcy później moja matka, z którą już wcześniej było niedobrze, umarła. Zostałem pod opieką wuja i babki. Rzuciłem szkołę, ukradłem trochę pieniędzy wujowi i wyjechałem do Delhi. Dotarłem do miasta z niewielką ilością pieniędzy i tylko tym ubraniem, które miałem na sobie. Żyła we mnie wyłącznie jedna ambicja: chciałem zabić tego sukinsyna Sehrawata. Kiedyś to zrobię. Spałem na ulicy, myłem samochody, przez kilka miesięcy pracowałem nawet przy ściekach miejskich. A potem mój przyjaciel Niradź, który jest z tej samej wioski co ja, a teraz pracuje w Miejskim Przedsiębiorstwie i którego znasz...

– Tak – odpowiedziała Andżum. – Wysoki, ładnie wyglądający chłopak...

– Tak, to on. Próbował zostać modelem, ale się nie udało... Nawet za to trzeba zapłacić alfonsom. Teraz prowadzi ciężarówkę dla Przedsiębiorstwa... Tak czy owak, Niradź pomógł mi znaleźć pracę tutaj, w kostnicy, gdzie po raz pierwszy się spotkaliśmy... Kilka lat po przyjeździe do Delhi mijałem salę telewizyjną, a telewizor ustawiony w oknie podawał wiadomości. To wtedy po raz pierwszy zobaczyłem nagranie wideo z powieszenia Saddama Husajna. Nic o nim nie wiedziałem, ale byłem pod wrażeniem odwagi i godności, z jaką ten człowiek stanął w obliczu śmierci. Kiedy kupiłem pierwszy telefon komórkowy, poprosiłem sprzedawcę, aby znalazł ten filmik i mi go wgrał. Oglądałem go nieustannie. Chciałem być taki jak Husajn, postanowiłem więc zostać muzułmaninem i przyjąć jego imię. Czułem, że doda mi to odwagi do tego, co musiałem zrobić, i do poniesienia tego konsekwencji, tak jak on.

– Saddam Husajn był łajdakiem – powiedziała Andżum. – Zabił tylu ludzi...

– Może, ale był odważny... Widzisz... Spójrz.

Saddam wyjął swój odjazdowy smartfon z odjazdowo wielkim ekranem i wyświetlił filmik. Z dłoni zrobił daszek nad ekranem, aby dało się coś widzieć. To był filmik nagrany z telewizji, zaczynający się od reklamy Vaseline Intensive Moisturizing Cream, w której piękna dziewczyna smarowała sobie łokcie oraz łydki, a z rezultatów była niezwykle zadowolona. Następnie leciała reklama Departamentu Turystyki Dżammu i Kaszmiru – śnieżne krajobrazy i siedzący na sankach szczęśliwi ludzie w ciepłych odzieniach. Głos z tyłu mówił: „Dżammu i Kaszmir – tak biało, tak pięknie, tak ekscytująco”. Potem spiker powiedział coś po angielsku i pojawił się Saddam Husajn, dawny prezydent Iraku, elegancki, ze

szpakowatą brodą, w czarnym płaszczu i białej koszuli. Górował nad grupą mruczących mężczyzn, którzy – w spiczastych czarnych kapturach katów – otoczyli go i przyglądali się mu przez wycięcia na oczy. Ręce miał związane z tyłu. Stał nieruchomo do chwili, gdy jeden z mężczyzn obwiązał mu szyję czarnym szalem, gestami sugerując, iż materiał nie pozwoli stryczkowi przeciąć mu skóry. Zawiązana szarfa sprawiła, iż Saddam Husajn wyglądał jeszcze bardziej elegancko. Otoczony przez szwargoczących, zakapturzonych mężczyzn, wszedł na ruchomą klapę. Zawiązano mu na szyi kołyszającą się nad głową pętlę. Zmówił modlitwy. Ostatnim wyrazem na jego twarzy, zanim poleciał w głąb zapadni, była absolutna pogarda wobec katów.

– Chcę być takim rodzajem sukinsyna – powiedział Saddam. – Chcę zrobić to, co muszę zrobić, a potem chcę zapłacić cenę. A zapłacić chcę właśnie tak.

– Mam przyjaciela, który mieszka w Iraku – powiedziała Andżum, na której większe wrażenie zrobił chyba telefon Saddama niż wideo z egzekucji. – Guptadzi. Przesyła mi zdjęcia z Iraku. – Wydobyła swój telefon i pokazała Saddamowi zdjęcia, które D.D. Gupta przysyłał jej regularnie. – Guptadzi w swoim mieszkaniu w Bagdadzie, Guptadzi i jego iracka kochanka na pikniku, seria zdjęć ścian antywybuchowych, które Guptadzi budował w całym Iraku dla US Army. Niektóre były nowe, niektóre już poszczerbione dziurami od pocisków i pokryte graffiti. Na jednym ktoś napisał słynne słowa pewnego amerykańskiego generała: „Bądź profesjonalny, bądź uprzejmy, ale zawsze miej plan, jak zabić każdego, kogo -spotkasz”.

Andżum nie potrafiła czytać po angielsku; Saddam potrafił, jeśli robił to z odpowiednią starannością. Ale w tym przypadku nie chciał.

Andżum skończyła herbatę, a potem położyła się na wznak, ręce skrzyżowawszy nad oczami. Zdawało się, że zasnęła, ale nie – była tylko strapiiona.

– A gdybyś nie wiedział... – powiedziała po jakimś czasie, jak gdyby kontynuowała rozmowę, i rzeczywiście tak było, tyle że wcześniej toczyła ją w swojej głowie. – Muszę ci powiedzieć, że my, muzułmanie, także jesteśmy jebańcami jak każdy inny. Myślę jednak, że jeszcze jeden morderca nie zaszkodzi reputacji naszej *badnam kaum*⁵⁵, nasze imię i tak jest już zszargane. Tak czy owak, powoli, nie rób niczego w pośpiechu.

– Nie zrobię. Ale Sehrawat musi umrzeć.

Saddam zdjął okulary i zamknął oczy, zasłaniając je przed światłem. Puścił na telefonie starą hinduską piosenkę filmową i także zaczął ją podśpiewywać, fałszywie, ale z dużą pewnością siebie.

Biru wychłęptał zimną herbatę, która pozostała jeszcze na spodku, i odmaszerował z listkami herbaty na pysku.

Kiedy słońce stało się nieznośne, powrócili do środka, gdzie dalej płynęli przez swoje życia niczym para astronautów, zaprzeczających grawitacji

i ograniczonych tylko przez zewnętrzne ściany ich kosmicznego statku w kolorze fuksji, o drzwiach barwy bladej pistacji.

To nie tak, że nie mieli planów.

Andżum czekała, aż umrze.

Saddam czekał, aż zabije.

A mile od nich we wzburzonym lesie dziecko czekało na narodziny...

W jakim języku spada deszcz na udręczone miasta?

Pablo Neruda

1 *Hidźra* – mężczyzna uważający się za kobietę lub z innych powodów funkcjonujący pomiędzy płciami.

2 *Darga* – grobowiec sufickiego świętego.

3 *Kadi / kazi* – w tradycji muzułmańskiej sędzia w sprawach religijnych.
Maulana – duchowny muzułmański.

4 *Ittar* – perfumy, pachnące olejki.

5 *Raga* – melodia, sposób śpiewania w muzyce hindustani. *Bara chajal, ćejti, thumri* – gatunki muzyczne.

6 *Hakim* – lekarz muzułmański.

7 *Khus-khus* – mak.

8 Odwołanie do podziału na Indie i Pakistan, do którego doszło w 1947 r. i któremu towarzyszyły wzajemne pogromy hindusów i muzułmanów. Wydarzenie to nazywane jest często „Partition” („Podział”).

9 Odwołanie do protestów przeciw dominacji Pakistanu Zachodniego nad Pakistanem Wschodnim, które zostały w 1971 r. krwawo stłumione przez siły Pakistanu Zachodniego. Doprowadziło to do interwencji wojskowej Indii i wojny indyjsko-pakistańskiej, w wyniku której Pakistan Wschodni oddzielił się od Pakistanu i stał się państwem Bangladesz.

10 *Samosa* – trójkątny pierożek smażony w głębokim oleju.

11 *Mohalla* – dzielnica.

12 *Pathani* – pasztuński; tu: rodzaj ubioru składającego się z tuniki i luźnych spodni.

13 *Dźuti* – małe buty.

14 *Tanga / tonga* – dwukołowy wóz.

15 *Fitrat* – natura, instynkt.

16 *Ćauk* – rynek.

17 *Nan khatai* – rodzaj suchych ciastek z kardamonem.

18 *Biriani* – danie z ryżu i mięsa.

19 *Śalwar* – element tradycyjnego stroju kobiecego, workowate, zwężane na dole spodnie; nosi się do nich luźną koszulę *kamiz*, dlatego nazwa całego stroju brzmi *śalwar kamiz*.

20 *Haweli* – kamienica, rodzaj zabytkowego budynku.

21 *Ustad* (urdu), *guru* (sanskryt / hindi) – oba te słowa znaczą „nauczyciel”.
Użyte są tu w rodzaju męskim, choć opisują nauczycielkę hidźr.

22 *Dao-peć* – manewr, sztuczka.

23 *Are jar* – „Ech, stary!”, „Ejże!”, „O rany!”

24 *Ind-o-Pak* – dosłownie „Indie i Pakistan”, tu w znaczeniu stałego konfliktu Indii z Pakistanem.

25 *Dupatta* – długa chusta okrywająca ramiona, stanowiąca element tradycyjnego stroju kobiecego.

26 Szpital Ptasi – potoczna nazwa szpitala dla zwierząt prowadzonego przez dżinistów; Phoolan Devi – słynna indyjska bandytka zmarła w 2001 r.; Begam Awadh – chodzi o legendę o królowej zlikwidowanego przez Brytyjczyków państw Awadh; Grzbiet (The Ridge) to łańcuch wzgórz przecinający Delhi i po części porośnięty lasami. Chodzi o faktyczne bądź legendarne miejsca i postaci, którymi fascynowali się zagraniczni dziennikarze w ramach stereotypowego postrzegania Indii.

27 *Kurta* – część tradycyjnego stroju męskiego; długa, rozcięta z boku tunika. *Śarara*, *gharara* – rodzaje sukien.

28 *Ćoli* – bluzka.

29 *Gali*, *kuća* – wąska uliczka, alejka.

30 *Nahi* – „Nie”.

31 *Ćarpai* – niskie łóżko, z plecionką zamiast materaca.

32 Hazrat Nizamuddin Olija był sufickim świętym, którego grobowiec znajduje się w Delhi. Jego czciciele raz do roku na święto wiosny zakładają żółte stroje lub elementy odzienia.

33 *Pan* – używka przygotowywana m.in. z liści betelu i orzechów palmy arekowej, często z dodatkiem tytoniu.

34 *Sifli dżadu* – czarna magia.

35 W Indiach premierem był wówczas Atal Bihari Vajpayee, który był i politykiem, i poetą, stąd określony jest jako „poeta-premier”. Vajpayee jest członkiem nacjonalistycznej organizacji Rashtriya Swayamsevak Sangh, określonej jako „stara organizacja”.

36 *Khadim* – opiekun grobowców świętych.

37 Hazrat Garib Nawaz (Moinuddin Ćiști) – suficki święty, który pod koniec XII w. stworzył jedną z tradycji sufickich w Indiach. Jego grobowiec znajduje się w Adźmer w stanie Radźasthan.

38 Adźmer Śarif to potoczna nazwa *dargi* Ghariba Nawaza.

39 *Ćadar* – materiał składany w darze na grobie sufickiego świętego.

40 *Razai* – kołdra.

41 Ganeśa – hinduski bóg o ciele człowieka i głowie słonia.

42 *Are* – „Hej”, „Ejże”.

43 *Dzumki* – kolczyki w formie dzwoneczków.

44 *Kathak* – rodzaj tańca indyjskiego.

45 Tak jak wcześniej „premier stanu” to Narendra Modi, ówczesny premier Gudżaratu, a Poeta-Premier to Atal Bihari Vajpayee, ówczesny premier Indii. Partia obu polityków, BJP, przegrała następne wybory ogólnindyjskie (2004), ale wygrała wybory w Gudżaracie (2007), Modi pozostał więc premierem stanu.

46 *Gharana* – tradycja, a także miejsce i wspólnota, która tę tradycję kultywuje.

47 *Ja Alla!* – „O Boże!”

48 Lower Income Group (grupa niskodochodowa) – używana przez Ministerstwo Mieszkalnictwa i Walki z Miejskim Ubóstwem kategoria gospodarstw domowych z rocznym dochodem w granicach 3-6 lakhów. Lakh to w językach Indii określenie na 100 tysięcy rupii.

49 Garstin Bastion Road – wielka ulica w Delhi, słynąca z domów publicznych i sex-shopów. Teren wokół niej to największa w Delhi „dzielnica czerwonych latarni”.

50 W 2004 r. koalicja pod wodzą partii Bharatiya Janata Party przegrała wybory i utraciła władzę. Atal Bihari Vajpayee przestał być premierem Indii. Władzę przejęła koalicja pod przewodnictwem Indyjskiego Kongresu Narodowego, a premierem został Manmohan Singh, który był z wyznania sikhem, a z wykształcenia ekomonistą, odtąd w tekście powieści nazywany „Królikiem w Potrzasku”. Bharatiya Janata Party pozostała jednak u władzy w stanie Gudżarat, gdzie premierem pozostawał Narendra Modi (określany tu jako „Gudżarat ka Lalla”). 15 sierpnia, w dniu Święta Niepodległości, premier Indii tradycyjnie przemawia do narodu z zabytkowego Czerwonego Fortu w Delhi. Powyższy opis jest odwołaniem do przemowy nowego premiera, Manmohana Singha, z 15 sierpnia 2004 r.

51 Ranbaxy Laboratories Limited – indyjska firma farmaceutyczna. Kiedy w 1998 r. przekazała ośrodkowi opieki nad zwierzętami 32 psy rasy beagle, po raz kolejny wywołało to dyskusję nad granicami eksperymentów medycznych na zwierzętach, aczkolwiek firma twierdziła, że psy były przez nią nietknięte.

52 *Korma* – kawałki mięsa lub warzyw duszone w sosie, *halwa* – różnego rodzaju słodkie desery w formie słodkiej masy (np. z kaszy lub marchewek) z bakaliami, powstającej w wyniku gotowania w mleku, *phirni* – powstaje tak jak *halwa*, tyle że jednym z głównych składników jest ryż, *faluda* – rodzaj deseru: małe kawałki makaronu w słodkim syropie, *zamzam* – zapewne chodzi o *zamzal halwę*, składającą się z trzech rodzajów *halw*.

53 *Allah Mian* – Pan Bóg.

54 *Dalit* – politycznie poprawne określenie niedotykalnych. *Ćamar* –

obraźliwe określenie jednej z kast niedotykalnych.

55 *Badnam kaum* – zniesławiona / niesławna wspólnota.

3. Narodziny

Było spokojnie. Albo przynajmniej tak mówili.

Przez cały ranek gorący wiatr siekł miejskie ulice, gnając przed sobą chmury żwiru, zakrętki po butelkach napojów gazowanych i niedopałki *biri1* oraz ciskając nimi w szyby samochodowe i oczy rowerzystów. Kiedy wiatr zamarł, słońce, stojące już wysoko na niebie, paliło poprzez mgłę, toteż znowu skwar wzrósł i wibrował na ulicach niczym tancerka brzucha. Ludzie wyczekiwali ulewy z piorunami, która zwykle towarzyszyła burzy piaskowej, ta jednak nie nadchodziła. Ogień wściekle przetoczył się po paśmie chatek przycupniętych na brzegu rzeki, w jednej chwili pożerając ich więcej niż dwa tysiące.

A przecież strączyniec rozkwitał skrzący się, buntowniczo żółty. Każdego szalejącego lata prostował się i szeptał do rozpalonego brązowego nieba: „Wal się”.

Pojawiła się zniecka, króciutko po północy. Nie śpiewały anioły, żadni mędracy nie przynieśli darów. Ale milion gwiazd rozpałiło się na wschodzie, aby oznajmić jej przybycie. W jednej chwili jej nie było, a już w następnej była na betonowym chodniku, w kołysce śmieci: srebrnej folii po papierosach, kilku plastikowych torbach i pustym opakowaniu Uncle Chipps. Spoczywała naga w kałuży światła, pod rojem oświetlonych przez neony komarów. Skórę miała granatowoczną, gładziutką niczym foczka. Była zupełnie rozbudzona, ale wspaniale spokojna, co dość niezwykle dla kogoś tak maleńkiego. Być może już w tych pierwszych kilku krótkich miesiącach życia nauczyła się tego, że łyzy, a przynajmniej jej łyzy, są na próżno.

Przyglądały się jej: chudy biały koń przywiązany do poręczy, mały parchaty piesek, agama barwy betonu, dwa paseczniki, które powinny już spać, a także, z ukrytej grzędy – pajęczycyca z nabrzmiętym workiem jajowym. Poza tym była chyba zupełnie sama.

Wokół niej miasto rozciągało się całymi milami. Tysiącletnie czarownice, drzemiące, lecz nie śpiące nawet o tej godzinie. Szare wiadukty wyczołgiwały się z jej czaszki meduzy, splatając się i rozplatając pod żółtym oparem lamp sodowych. Śpiące ciała bezdomnych pokrywały wysokie, wąskie chodniki szczelnie, jedno przy drugim, aż po horyzont. Stare tajemnice wcisnęły się w bruzdy jej luźnej, pergaminowej skóry. Każda zmarszczka stawała się ulicą, każda ulica – świętem, każdy artretyczny staw – kruszącym się amfiteatrem, w którym od wieków były odgrywane opowieści o miłości i szaleństwie, głupocie, rozkoszy i niewysłowionym okrucieństwie. Ale to miał być świt jej zmartwychwstania. Nowi panowie chcieli ukryć jej węzlaste, poskręcane żyły pod importowanymi pończochami kabaretkami, otulić jej pomarszczone piersi w nęcące, wyściełane wkładkami biustonosze i wcisnąć jej obolałe stopy

w spiczaste czółenka na wysokim obcasie. Chcieli ją nakłonić do kołysania sztywnymi starymi biodrami i odwrócenia koniuszków warg tak, aby uniosły się w zakrzepłym, pustym uśmiechu. Tego właśnie lata Babcia stała się dziwką.

Miała się stać superstolicą faworyzowanej przez cały świat nowej superpotęgi. *Indie! Indie!* Wszędzie ta sama śpiewka: w programach telewizyjnych, na filmach muzycznych, w zagranicznych czasopiśmie i magazynach, na konferencjach biznesowych i targach broni, na ekonomicznych konklawe i szczytach ekologicznych. Na targach książki i konkursach piękności. *Indie! Indie! Indie!*

W całym mieście wielkie plakaty, wspólnie finansowane przez angielskie czasopismo i najnowszy rodzaj wybielającego skórę kremu (sprzedawanego całymi tonami) mówiły: „Teraz nadszedł nasz czas”. Nadchodził Kmart. Nadchodziły Walmart i Starbucks, a w reklamach telewizyjnych British Airways ludzie świata (biali, brązowi, czarni i żółci) śpiewali razem Gajatri Mantrę:

Om bhur bhuvah swaha

Tat sawitur wardenjam

Bhargo dewasja dhimahi

Dhijo jo nah pracodajat

Boże, dawco życia,

Ty, który koisz ból i smutek,

Stwórco wszechświata,

Obyśmy otrzymali Twoje najwspanialsze, niszczące grzech światło,

Obyś zwrócił nasz intelekt we właściwą stronę.

(I obyśmy wszyscy latali BA.)

Skończywszy śpiewać, Ludzie Świata głęboko się skłonili i schwycili za dłonie w pozdrowieniu. *Namaste*², powiedzieli z egzotycznymi akcentami i uśmiechnęli się niczym oturbaniony portier z wąsami maharadży, który pozdrawia zagranicznych gości w pięciogwiazdkowym hotelu. Tyle że, przynajmniej w reklamie, historia została wywrócona do góry nogami. (Kto teraz się kłaniał, kto się uśmiechał, kto był petentem, a kto odbiorcą petycji?). Faworyzowani obywatele Indii we śnie odpowiadali uśmiechem. *Indie! Indie!* – śpiewali w swoich snach niczym tłumy na meczach krykietowych. Główny bęben nadawał rytm... *Indie! Indie!* Cały świat zerwał się na nogi, wrzaskiem ogłaszając poparcie. Ale drapacze chmur i huty wytrysły tam, gdzie kiedyś rosły lasy. Rzeki zabutelkowano i wysprzedawano w supermarketach, ryby zapuszkowano, góry podminowano kopalniami i przemieniono w lśniące pociski. Ogromne tamy oświetliły miasta niczym choinki. Wszyscy byli szczęśliwi.

W oddali od światła i reklam wioski pustoszały. Miasteczka także. Przemieszczono miliony ludzi, nikt jednak nie wiedział dokąd.

„Ludzie, których nie stać na życie w mieście, nie powinni się w nim

zjawiać”, ocenił sędzia Sądu Najwyższego i nakazał natychmiastową ewakuację miejskiej biedoty. „Paryż był plugawym miejscem przed rokiem 1870, kiedy usunięto wszystkie slumsy”, oznajmił porucznik gubernator miasta, odgarniając z prawej na lewą ostatnie pasmo włosów, które jeszcze zostało. (Kiedy wieczorem szedł popływać, kosmyk ten falował za nim w chlorowanej wodzie basenu Chelmsford Club). „A spójrzcie na Paryż teraz”.

A zatem zbędnych ludzi wygnano.

Oprócz regularnej policji zorganizowano też bataliony sił natychmiastowego działania, które ubrane w dziwne, lazuruowe mundury – może po to, by zaszokować ptaki – zostały rozrzucone po najbiedniejszych dzielnicach.

W slumsach, w osiedlach squatersów, w obozach przesiedleńców i w „nielegalnych koloniach” ludzie się bronili. Kopali rowy w poprzek dróg do ich domów i barykadowali je kamieniami oraz gruchotami połamanych rzeczy. Młodzi, starzy, dzieci, matki i babki, uzbrojeni w kije i kamienie – patrolowali wejścia do swych domostw. Na jednej z dróg, na których policja i buldożery zgrupowały się do finalnego ataku, hasło wypisane kredą mówiło: *Sarkar ki Ma ki Cut*. „Jebać rząd!”

„Dokąd mamy iść?” – pytali zbędni ludzie. „Możecie nas zabić, ale się nie ruszymy” – mówili.

Zbyt wielu, aby ich zabić na miejscu.

Zamiast tego domy, drzwi, okna, prowizoryczne dachy, garnki i rondle, talerze, łyżki, dyplomy ukończenia szkoły, kartki reglamentacyjne, świadectwa ślubu, ukończenia szkoły, dzieło całego ich życia, wyraz ich oczu – zostały zgniecione przez żółte buldożery importowane z Australii („dożery”, krzyczano za nimi, „zdołowane zdziry”). Były machinami Państwa Artystycznego. Potrafiły spłaszczyć i wyrównać historię, aby układać ją potem na nowo jak materiał budowlany.

W ten właśnie sposób w lato swej odnowy Babka wystrzeliła.

Dziko konkurujące ze sobą kanały telewizyjne przedstawiły opowieść o wystrzeleniu miasta jako „wystrzałową wieść”. Nikt nie dostrzegł ironii tej sytuacji. Za ich sprawą niczym wysypka wykwitli po całym mieście niewyszkoleni, ale znakomicie wyglądający młodzi reporterzy, natarczywie zadając ludziom bezsensowne pytania; biednych pytali o to, jak to jest być biednym. Głodnych – o to, jak to jest głodować. Bezdomnych – jak to jest nie mieć domu. *Bhai Sahib, je bataije, ap ko keisa lag raha he...?* „Proszę mi powiedzieć, jakie to uczucie...?” Kanałom telewizyjnym nigdy nie zabrakło sponsorów na to, aby przeprowadzać na żywo swoje reportaże rozpaczy. I z tej rozpaczy na to nigdy też nie zabrakło im żebraków.

Eksperci za swoją gażę wypowiadali eksperckie opinie: „Ktoś musi zapłacić cenę postępu”, mówili ekspercko.

Żebranina została zakazana. Tysiące żebraków aresztowano, trzymano pod kluczem, a potem partiami odtransportowywano. Pracodawcy musieli całkiem sporo zapłacić, aby odstawić ich na miejsce, z którego przybyli.

Ojciec Jan dla Słabych wysłał list, w którym stwierdzał, że zgodnie z policyjnymi raportami w ciągu ostatniego roku zebrano na ulicach niemal trzy tysiące niezidentyfikowanych martwych ciał. Nikt nie odpowiedział.

Natomiast w sklepach spożywczych przelewało się od żywności. W księgarniach przelewało się od książek. W sklepach obuwniczych przelewało się od obuwia. Ludzie zaś (przynajmniej ci, którzy liczyli się jako ludzie) mówili do siebie: „Nie musisz już wyjeżdżać za granicę, żeby coś kupić. Importuje się rzeczy i są dostępne ot, pod bokiem. Spójrz tylko, Bombaj jest naszym Nowym Jorkiem, Delhi jest naszym Waszyngtonem, a Kaszmir naszą Szwajcarią. To naprawdę *sala3* fantastyczne *jar*).

Przez cały dzień na okrągło drogi były zapchane pojazdami. Nowo wyczuci, którzy żyli w norach i szczelinach miasta, roili się wokół eleganckich, klimatyzowanych samochodów, sprzedając miotełki do ubrań, ładowarki do telefonów komórkowych, modele odrzutowców, magazyny dla biznesmenów, pirackie wydania książek o zarządzaniu (*Jak zarobić pierwszy milion, Czego naprawdę potrzebują nowe Indie*), przewodniki dla smakoszy, poradniki projektowania wnętrz z kolorowymi fotografiami willi w Prowansji, a także krótkie poradniki w kwestiach duchowych (*Sam jesteś odpowiedzialny za swoje szczęście...*, *Jak zostać swoim najlepszym przyjacielem...*). W Dzień Niepodległości sprzedawali zabawkowe pistolety maszynowe i małe flagi narodowe wsparte na podium, na którym napis głosił: *Mera Bharat Mahan*, „Moje Indie są wielkie”. Pasażerowie wyglądali z okien samochodów i widzieli tylko nowe mieszkania, które planowali kupić, jacuzzi, które właśnie zainstalowali, i atrament, jeszcze wilgotny na lukratywnej umowie, którą właśnie podpisali. Wychodzili spokojni z kursów medytacji i promienni z ćwiczeń jogi.

Na przemysłowych obrzeżach miasta, na milach barwnych trzęsawisk, ciasno upchanych odpadami i kolorowymi torbami plastikowymi, dokąd wydalenia zostali „prze-siedleni”, powietrze było przesycone chemikaliami, a woda trująca. Z gęstych zielonych bajor wzbijały się chmury komarów. Zbyteczne matki niczym wróble przysiadły na resztkach tego, co kiedyś było ich domami, i śpiewały, usypiając swe zbyteczne dzieci.

Suti rahu baua, bhakol abaija

Nani gam se anga, sijait abaija

Mama sange mami, naćait abaija

Kara sange ćara, labait abaija.

Śpij, kochanie, śpij, zanim demon przyjdzie

Twoja nowo uszyta sukienka z matczynej wioski przyjdzie

Twój wujek i ciocia, roztańczeni, przyjdą.

Z opaskami i bransoletkami dla ciebie przyjdą.

Ponad smogiem i mechanicznym pomrukiem miasta noc rozłożyła się rozległa i piękna. Niebo było gwiazdnym lasem. Przemykały po nim odrzutowce niczym wolne, piszczące komety. Niektóre zawisały ponad spowitym w smog międzynarodowym lotniskiem imienia Indiry Gandhi i czekały na pozwolenie, by lądować.

•

W dole, na chodniku, na skraju Džantar Mantar⁴, starego obserwatorium, w którym pojawiło się nasze dziecię, panowało zamieszanie znaczne nawet jak na tę porę. Wszędzie pętali się komuniści, insurekcjoniści, secesjoniści, rewolucjoniści, marzyciele, ćpuny, porąbani, pojebani, najróżniejsi durnie, a także rozumni ludzie, którzy nie mogli sobie pozwolić na dary dla nowo narodzonych. W trakcie ostatnich dziesięciu dni z powodu największego widowiska w mieście zostali zepchnięci i wypchnięci z tego, co kiedyś było ich terytorium: z jedyne miejsca w mieście, w którym wolno im było się zbierać. Ponad dwadzieścia ekip telewizyjnych z kamerami zamontowanymi na żółtych dźwigach nieustannie czuwało nad ich jaśniejącą nową gwiazdą: pulchniutkim starym gandystą, dawniej żołnierzem, potem wiejskim pracownikiem społecznym, który obwieścił, że będzie głodował aż do śmierci, aby spełnić swój sen o wolnych od korupcji Indiach. Leżał tłuściutko na plecach w aurze cierpiącego świętego, a za tło miał wyobrażenie matki Indii – wieloramiennej bogini z ciałem przykrojonym do kształtu mapy kraju. (Oczywiście były to niepodzielone brytyjskie Indie, które obejmowały Pakistan i Bangladesz). Każde westchnienie świętego, każde polecenie szeptem rzucone do otaczających go ludzi było natychmiast transmitowane przez całą noc⁵.

Staremu mężczyźnie chodziło jednak o coś. Lato odrodzenia miasta było też latem afer: afery węglowej, afer żelaza, afer budowlanych, afer ubezpieczeniowych, afer papierów stemplowych, afer licencji telefonicznych, afer gruntowych, afer zaporowych, afer irygacyjnych, afer zbrojeniowych, afer dystrybutorów paliwowych, afer szczepionki przeciwgrypowej, afer rachunków elektrycznych, afer podręcznikowych, afer z nawiedzonymi prorokami, afer ulg z powodu suszy, afer tablic rejestracyjnych, afer list wyborczych, afer dowodów osobistych – we wszystkich nich politycy, biznesmeni, biznesmeni-politycy i politycy-biznesmeni zarobili trudne do wyobrażenia pieniądze.

Jak przystało na dobrego wizjonera, stary mężczyzna uderzył w nabrzmiały szew, w którym zgromadziło się mnóstwo publicznego gniewu, i ku własnemu zdziwieniu w ciągu jednej nocy stał się obiektem kultu. Jego sen o społeczeństwie wolnym od korupcji był jak sen o łące, na której wszyscy, łącznie z największymi korupcjoniastami, chętnie popaśliby się przez chwilę. Zbiegli się do niego ludzie,

którzy normalnie nic by nie mieli ze sobą wspólnego (lewicowcy, prawicowcy, ludzie niechący nic słyszeć o żadnych frakcjach). Jego nagłe, jakby znikąd, pojawienie się było inspiracją i bodźcem dla niecierplivej nowej generacji młodych, której jak dotąd dotknięcie historii i polityki nie odebrało jeszcze niewinności. Zjawili się w dżinsach i podkoszulkach, z gitarami i piosenkami przeciwko korupcji, które sami komponowali. Przynosili swoje własne sztandary i plakaty z wypisanymi na nich takimi sloganami jak: „Dość to dość!” i „Skończyć z korupcją raz na zawsze!”. Grono młodych prawników profesjonalistów, księgowych i programistów komputerowych stworzyło komitet, aby kierować całym wydarzeniem. Zbierali pieniądze, zorganizowali wielkie zadanie, plakaty (portret Matki Indii, dostatek flag narodowych, czapeczki Gandhiego, szturmówki), a także kampanię w mediach, godną epoki cyfrowej. Staroświecka wiejska retoryka i rolnicze aforyzmy starego mężczyzny zyskały popularność na Twitterze i zalały Facebooka. Kamery telewizyjne nie mogły się nim nasycić. Dołączali emerytowani urzędnicy, policjanci i wojskowi. Tłum pęczniał.

Świadomość tego, że stał się gwiazdą, olśniła starca, zrobił się bardziej wyrazisty i odrobinę agresywny. Poczul, że ograniczenie się do korupcji okaleczyło jego styl i ograniczyło pole uderzenia. Że przynajmniej powinien postarać się przelać na swoich zwolenników coś ze swej najgłębszej istoty, z jego prawdziwego ja, jego wrodzonej bukolicznej mądrości. No i tak zaczął się cyrk. Oznajmił, iż przewodzi Drugiej Walce o Wolność Indii. Wygłosił kilka poruszających mów swym starczo-dziecięcym głosem, który chociaż brzmiał niczym pocieranie gumy balonowej, chyba jednak trafił do najgłębszej duszy narodu. Niczym magik na dziecięcych urodzinach robił sztuczki i wyczarowywał prezenty z powietrza. Miał coś dla każdego. Rozognił szowinistów hinduskich (i tak już rozognionych mapą matczynych Indii) kontrowersyjnym zawołaniem bojowym: *Wande Mataram!* „Czczę Matkę!”. Kiedy niektórzy z muzułmanów poczuli się tym dotknięci, komitet zorganizował wizytę muzułmańskiego gwiazdora filmowego z Bombaju, który przez ponad godzinę siedział na podium tuż obok starego mężczyzny, mając na głowie muzułmańską czapkę modlitewną (której zwykle nie nakładał), aby podkreślić znaczenie hasła: Jedność w Różności. Dla tradycjonalistów starzec miał cytaty z Gandhiego. Powiedział, że system kastowy stanowi zbawienie dla Indii. „Każda kasta musi wykonywać pracę, do której jest urodzona, ale każda praca musi być szanowana”. Kiedy dalitowie się wściekli, usadzono obok starca małą córeczkę miejskiego sprzętacza, ubraną w nową sukienkę i trzymającą butelkę wody, z której co jakiś czas pociągał łyk. Dla walczących moralistów slogan wiekowego mężczyzny brzmiał: „Złodziejom trzeba odcinać ręce! Terrorystów należy wieszać!”. Aby zjednać sobie wszelkiej maści nacjonalistów, wołał: *Dudh mango to chir dege! Kaśmir mango to chir dege!* „Poproś o mleko, poczęstujemy cię śmietaną, poproś o Kaszmir, a będziesz miał głowę rozplataną!”

W wywiadach uśmiechał się swoim gumowym, dziecięco-farexowym uśmiechem i opisywał małe radości swego prostego celibatu w pokoju, który przylegał do wiejskiej świątyni, a także wyjaśniał, w jaki sposób gandyjska praktyka *rati sadhana* – powstrzymanie nasienia – pomogła mu utrzymać siłę podczas głodówki. Aby to zademonstrować, trzeciego jej dnia wstał z łóżka, obiegł scenę w swojej białej *kurcie* oraz *dhoti*⁶ i napinał oklapłe bicepsy. Ludzie śmiali się, płakali i przyprowadzali dzieci, aby je pobłogosławił.

Oglądalność telewizji osiągnęła rekordowe wyniki. Wielką falą napływały reklamy. Nikt dotąd nie widział takiego szału, a w każdym razie co najmniej od dwudziestu lat, kiedy, jak donoszono, w dniu równoczesnego cudu posągi Pana Ganeśi w świątyniach na całym świecie jednocześnie zaczęły pić mleko.

Teraz jednak był już dziewiąty dzień postu starca, który pomimo zasobów nierozlanego nasienia zdawał się wyraźnie słabszy. Po południu po całym mieście krążyły już plotki o wzroście poziomu kreatyniny we krwi i pogorszeniu stanu nerek. Znakomitości ustawiały się w kolejce do łóżka, aby sfotografować się ze starcem, gdy trzymają go za rękę i usilnie namawiają (aczkolwiek nikt poważnie w to nie wierzył), aby nie umierał. Skompromitowani w aferach przemysłowcy ofiarowali pieniądze dla jego ruchu i z aplauzem oceniali niewzruszone obstawanie starca przy zasadzie wyrzeczenia się przemocy. (Gdyż jego przepisy dotyczące obcinania rąk, wieszania i wypruwania wnętrzości traktowano jako zrozumiałe odstępstwa od reguły).

Stosunkowo zamożni entuzjaści starca, których los pobłogosławił wprawdzie, jeśli chodzi o materialne warunki życia, ale u których nigdy nie spowodował przyływu adrenaliny ani nie dał posmakować słusznego gniewu, gdy uczestniczy się w masowym proteście, zjeżdżali samochodami i motocyklami, powiewając flagami narodowymi i śpiewając patriotyczne pieśni. Rząd Królika w Potrzasku, ongiś mesjasz cudu gospodarczego Indii, teraz był sparaliżowany.

W dalekim Gudźaracie Gudźarat ka Lalla uznał pojawienie się starca-dziecka za znak od bogów. Z nieomylnym instynktem drapieżnika skierował swój marsz na Delhi. Piątego dnia głodówki starca Lalla obozował (metaforycznie mówiąc) pod bramami miasta. Jego armia wojowniczych janczarów zalała Dźantar Mantar. Przytłoczyli starca szumnymi deklaracjami poparcia. Ich flagi były większe, a piosenki głośniejsze niż kogokolwiek innego. Rozstawili lady i zaczęli rozdawać jedzenie ubogim (sowicie opłacani przez milionerskich bożych ludzi, którzy popierali Lallę). Surowo zabroniono im nosić – stanowiące ich znak – szafranowe opaski na głowę, a także rozwijać szafranowe flagi⁷. Ponadto nigdy, nawet przelotnie, nie wolno im było wspominać Ukochanego Gudźarata. To działało. W kilka dni dokonali pałacowego zamachu. Młodzi profesjonaliści, którzy tak ciężko pracowali nad sławą starego mężczyzny, zanim – czy to oni, czy on – zrozumieli, co naprawdę się stało, zostali zdetronizowani. Szczęśliwa Łąka zapadła

się. I nikt sobie tego nie uświadomił. Królik w Potrzasku kompletnie już się nie liczył. Wkrótce to Ukochany wjedzie do Delhi. Zwolennicy, noszący na twarzach maski na jego podobieństwo, będą go nieśli na ramionach, wyśpiewując jego imię: „Lalla! Lalla! Lalla!”, i umieszczą go na tronie. Gdziekolwiek spojrzy, wszędzie zobaczy tylko siebie. Nowy cesarz Hindustanu⁸. Który jest oceanem. Nieskończonością. Samą ludzkością. Ale to dopiero za rok.

Na razie na Džantar Mantar jego wojownicy krzyczeli na całe gardło przeciwko korupcji rządowej. (*Murdabad! Murdabad!* „Niech zginie! Niech zginie!”). Wieczorem spieszyli do domu, aby obejrzeć samych siebie w telewizji. Zanim powrócili rankiem, starzec i jego najbliższy orszak wydawali się lekko zagubieni pod zwisającą nad nimi białą płachtą – dostatecznie dużą, aby okryć tysiące.

*

Tuż obok rozłożystego stanowiska antykorupcjonistów, na terenie jasno odgraniczonym pod daleko sięgającymi gałęziami starego tamaryndowca, inna z dobrze znanych gandyjskich aktywistek ogłosiła, że zagłodzi się na śmierć w obronie tysięcy farmerów i ludów od wieków tu zamieszkałych, których ziemię rząd postanowił oddać korporacji petrochemicznej pod kopalnię węgla na jej własne potrzeby oraz elektrownię termiczną w Bengalu. Był to dziewiętnasty w jej karierze bezwzględny strajk głodowy. Wprawdzie rzucały się w oczy jej dobry wygląd i wspaniałe warkocz długich włosów, jednak wśród kamerzystów telewizyjnych cieszyła się o wiele mniejszym zainteresowaniem niż stary mężczyzna. Przyczyna tego nie była nazbyt zagadkowa. Kompania petrochemiczna posiadała większość stacji telewizyjnych, inne zaś intensywnie ją reklamowały. Gniewni komentatorzy pojawiali się więc gościnnie w studiach telewizyjnych, demaskując głodującą oraz insynuując, że jest finansowana przez „obcą potęgę”. Na liście płac kompanii było też wielu komentatorów i dziennikarzy, którzy robili wszystko, by przypodobać się swoim pracodawcom. Ale tutaj wszyscy ją uwielbiali. Siwi, pomarszczeni farmerzy odganiaли komary z jej twarzy. Krępe wieśniaczki masowały jej stopy i z zachwytem się w nią wpatrywały. Raczujący aktywiści, często studenci z Europy i Ameryki, odziani w luźne hipisowskie stroje, komponowali na swoich laptopach jej zawile wystąpienia prasowe. Kilkunastu intelektualistów i zatroskanych obywateli przykucnęło na chodniku i tłumaczyło prawa rolnicze chłopom, którzy walczyli o nie od lat. Doktoranci z innych uniwersytetów, pracujący nad ruchami społecznymi (bardzo poszukiwany temat), przeprowadzali długie wywiady z farmerami – wdzięczni losowi za to, że ich praca badawcza mogła być prowadzona w mieście, nie wymagała zatem wyjazdu w teren, gdzie brakowało toalet i trudno było o oczyszczoną wodę.

Kilkunastu dziarskich mężczyzn w cywilnych ubraniach, ale z bardzo

niecywilnymi fryzurami (wygolone boki i tył głowy, a na górze czuprynka) oraz niecywilnymi skarpetami i butami (skarpety khaki, buty brązowe), przemieszczało się w tłumie, jawnie podsłuchując rozmowy. Niektórzy udawali dziennikarzy, filmowali rozmawiających małymi kamerami kompaktowymi. Szczególnie interesowali się młodymi obcokrajowcami (spośród których wielu dowie się niebawem, że mają cofnięte wizy).

Światła telewizyjne podgrzewały i tak już gorące powietrze. Wielkie reflektory były bombardowane przez samobójcze ćmy, a noc pachniała zwęglonymi insektami. Piętnastu kalekich ludzi, posępnych i zmęczonych po ciężkim dniu zebranych, skuliło się w mroku tuż za kręgiem światła, opierając zgarbione plecy i utrudzone kończyny na należących do państwa, ręcznie poruszanych rykszach rowerowych. Farmerzy i ich słynny lider wyrugowali ich z najchłodniejszego i najlepiej ocienionego miejsca na chodniku, gdzie zwykli dotąd przebywać. Ich sympatie znajdowały się więc całkowicie po stronie przemysłu petrochemicznego. Pragnęli, aby protest rolników skończył się jak najszybciej, wtedy bowiem mogliby powrócić na swoje miejsce.

Jakiś kawałek dalej półnagi mężczyzna z żółtymi limonkami przymocowanymi do ciała superklejem hałaśliwie wysysał napój mango z małego kartonika. Ani myślał odpowiadać na pytania o to, dlaczego przymocował do skóry limonki i czemu pił napój mango, skoro wydawało się, iż promuje limonki; a nagabywany – stawał się obelżywy. Inny z amatorów, który nazwał się „artystą performance’u”, przemieszczał się w skupieniu przez tłum, odziany w garnitur, krawat i angielski melonik. Z oddali jego ubranie wyglądało tak, jak gdyby miał wszędzie na nim nadrukowane *sikh kababy*⁹, które jednak przy bliższym oglądzie okazywały się znakomicie oddanymi kupkami odchodów. Wpięta w klapę zwiędła czerwona róża poczerniała. Z butonierki wystawał trójkąt białej chusteczki. Pytany o swoje przesłanie, w miłym kontraście do grubiaństwa Limonkowego Faceta cierpliwie tłumaczył, że ciało jest jego instrumentem, przy użyciu którego chciał nakłonić tak zwany cywilizowany świat do tego, aby wyzbył się awersji do gówna, gdyż stanowi ono przetworzone jądło. I vice versa. Mówił również, iż chciałby Sztukę wyprowadzić z Muzeum i usadowić między Ludźmi.

Tuż obok Limonkowego Faceta (który ignorował ich całkowicie) zajęli miejsce Andżum, Saddam Husajn i Ustad Hamid. Towarzyszyła im także odjazdowo wyglądająca młoda hidźra, Írat, która przyjechała z Indore, aby odwiedzić zajazd Dżannat. Był to oczywiście pomysł Andżum, od tak dawna noszącej się z pragnieniem „pomagania ludziom”, aby pojechać do Dżantar Mantar i na własne oczy zobaczyć, czym jest „Druga Walka o Wolność”, o której tak trąbią w telewizji. Saddam wzruszał lekceważąco ramionami. „Nie trzeba się wlec taką drogę, aby stwierdzić, o co chodzi. Ja ci już teraz mogę powiedzieć: to tylko pojebana afera”. Andżum była jednak niezłomna, a Saddam, oczywiście, nie

pozwolilby jej isc samej. Wyprawili sie wiec mala grupka: Andzum, Saddam (ciagle w swych okularach przeciwslonecznych) i Nimmo Gorakhpuri. Do wyprawy zmuszeni zostali rowniez Ustad Hamid, ktory wpadl, aby zobaczyc sie z Andzum, a takze mloda Israt. Postanowili wypuscic sie noca, kiedy tlumy beda nieco mniejsze. Andzum odziala sie w jeden ze swych bardziej niechlujnych strojow *pathani*, aczkolwiek nie mogla sie powstrzymac od zapinki we wlosach, *dupatty* i musniercia warg szminka. Israt byla tak ubrana, jakby chodzilo o jej wlasny slub – w krzykliwie rozowa *kurtę* z cekinami i *salwar* z Patiali. Ignorowala wszelkie rady, aby cos zmienic, pokryla wargi lsniaca rozowa szminka i nalozyla dosc biżuterii, aby lsnic nawet w nocy. Nimmo powiozla Andzum, Israt i Ustada Hamida swoim samochodem, Saddam umowil sie z nimi na miejscu. Pojechal na Pajal do Džantar Mantar i kawalek dalej przytroczyl ja tam do poręczy (obiecujac puculowatemu malemu chlopcu w lsniaacych butach dwa batoniki czekoladowe i dziesiec rupii, jesli dopilnuje klaczy). Wyczuwajac niepokoj Nimmo Gorakhpuri, Saddam starał sie ja zajac filmikami o zwierzętach w telefonie. Niektore nakrecil sam: napotykanie w trakcie codziennych podrozzy przez miasto walęsajace sie psy, koty i krowy, inne otrzymał od przyjaciol na WhatsApp: „Ten tutaj nazywa sie Ćaddha Sahib. Nigdy nie warczy. Codziennie o czwartej po południu przychodzi do tego parku, aby sie zabawic ze swoja samiczka. Ta krowa uwielbia pomidory, przynosze jej kilka kazdego dnia. A te z kolei strasznie zawsze swędzi. Widzialas tego lwa, jak stoi na dwuch łapach i całuje kobiete...? Tak, to kobieta. Zobaczysz, kiedy sie odwróci...”. Poniewaz na zadnym wideo nie bylo kóz ani pokazow zachodniej mody kobiecej, Nimmo Gorakhpuri strasznie sie wynudzila, a wkrótce przeprosila i odeszla. Z kolei Andzum byla zafascynowana zgiełkiem, transparentami i wychwytywanymi fragmentami rozmow. Upierala sie, by troche zostac i „nauczyc sie czegoś”. Staneli wiec grupka na chodniku i z tego centrum dowodzenia Andzum wyslala swego poslanca – jego ekscelencje Saddama Husajna – aby przemieszczajac sie od grupy do grupy, dokonal szybkiego przeglądu: skąd pochodza, przeciwko czemu protestuja i czego sie domagaja. Saddam posluszenie chodzil od jednego stoiska do drugiego niczym nabywca na politycznym targowisku, co jakis czas zjawiajac sie, aby zlozyc Andzum raport na temat poznanych poglądow. Siedziala na ziemi ze skrzyzowanymi nogami, nachylona do przodu, sluchajac uwaznie, kiwajac glowa, lekko sie usmiechajac, ale nie patrzac na Saddama, kiedy recytowal – odwracala bowiem glowe, wbijajac swe blyszczace oczy wlasnie w te grupe, o ktorej byla mowa. Ustad Hamid nie byl w najmniejszym stopniu zainteresowany informacjami przynoszonymi przez Saddama. Niemniej wyprawa stanowila dobra odmiane w dziennej rutynie, zadowolony wiec z faktu, iz w niej uczestniczyl, pomrukiwal do siebie, gdy w roztargnieniu rozgladal sie dookolą. Israt, nieodpowiednio ubrana i absurdalnie pyszna, przez caly czas robila tylko *selfie* pod roznyimi katami i na roznyim tle. Chociaz nikt nie poswiecal jej zbyt

wiele uwagi (nie było konkurencji pomiędzy nią a starcem-dzieckiem), bardzo dbała o to, aby nazbyt nie oddalić się od centrum. W pewnej chwili ona i Ustad Hamid zaczęli chichotać niczym uczniaki. Kiedy Andżum spytała, co ich tak rozbawiło, Ustad Hamid opowiedział jej, jak jego wnuki nauczyły swą matkę, aby zwracała się do niego (jej męża) per „fucking bitch”, bo powiedziano jej, że w ten sposób po angielsku oddaje się wielki szacunek.

– Nie miała pojęcia, co mówi, a tak słodko przy tym wyglądała – zaśmiewał się Ustad Hamid. – „Bloody fucking bitch” – tak mnie nazywa moja *begam*¹⁰...

– A co to znaczy? – spytała Andżum.

(Wiedziała, jak jest po angielsku „dziwka”, natomiast nie знаła pozostałych słów). Zanim Ustad Hamid zaczął wyjaśniać (choć i on nie był do końca pewny, wiedział po prostu, że to coś bardzo brzydkiego), przerwali im długowłose, brodaty chłopak w luźnym, obszarpanym ubraniu i równie obszarpana dziewczyna z prześlicznymi, dziko rozwichrzonymi włosami, których pod niczym nie skrywała. Kręcąc dokumentalny film o proteście i oporze, wyjaśnili, a jedną z głównych ambicji filmu było nakłonienie protestantów do tego, aby powiedzieli: „możliwy jest inny świat” w języku, którego używali. Jeśli na przykład językiem macierzystym było hindi czy urdu, powiedzieliby: „*Dusri dunija mumkin hai...*”. Objasniający uruchomili kamerę i poprosili Andżum o to, aby mówiąc, patrzyła prosto w obiektyw. Nie mieli pojęcia, co znaczy *dunija* w słowniku Andżum, ta z kolei, niczego nie rozumiejąc, powiedziała do kamery: „*Hum dusri dunija se aaje he*”, co, jak wyjaśniła usłudźnie, znaczyło: „przyszliśmy tutaj... z innego świata”.

Młodzi filmowcy, którzy mieli jeszcze przed sobą długą pracę, wymienili spojrzenia i zdecydowali, że lepiej iść dalej, niż tłumaczyć, o co im chodziło, gdyż zabierze to zbyt wiele czasu. Podziękowali Andżum i przeszli na przeciwległy chodnik, gdzie kilka grup miało swoje oddzielne zadaszzenia.

Pod pierwszym siedmiu mężczyzn z ogolonymi głowami, ubranych w białe *dhoti*, poprzysięgło milczenie, ogłaszając, że nie będą nic mówić do czasu, aż hindi zostanie ogłoszone językiem narodowym. Językiem rodzimym, mającym wyższy status od dwudziestu dwóch innych oficjalnych języków i setek nieoficjalnych. Trójka z łysych mężczyzn spała, a pozostała czwórka ściągnęła białe szpitalne maski (ich rekwizyt „przysięgi milczenia”), aby mogli się napić swej nocnej herbaty. Ponieważ nie mogli nic powiedzieć, filmowcy dali im mały plakat z napisem „Możliwy jest inny świat”. Upewnili się przy tym co do tego, że transparent z żądaniem, aby hindi było językiem narodowym, znajdzie się poza kadrem, ponieważ oboje filmowców uznało, że jest to żądanie nieco zbyt reakcyjne. Żywili jednak przekonanie, że łysi w maskach stanowią dobry akcent w filmie i nie należałoby ich usuwać.

Znaczną część chodnika obok łysych młodzieńców zajmowało pięćdziesięciu reprezentantów wielotysięcznej grupy, która została okaleczona w 1984 roku

w Bhopalu, podczas przecieku gazu z fabryki firmy Union Carbide. Znajdowali się na chodniku od dwóch tygodni. Siedmiu z nich ogłosiło bezterminowy strajk głodowy, a ich stan ciągle się pogarszał. Musieli przejść do Delhi aż z Bhopalu, siedemset kilometrów w piekącym słońcu, postanowili więc zażądać rekompensat: czystej wody oraz opieki medycznej dla nich i dla całych pokoleń zdeformowanych dzieci, które narodziły się po wycieku gazu. Królik w Potrzasku odmówił spotkania z bhopalczykami. Ekipy telewizyjne nie interesowały się nimi. Chodziło o sprawę zbyt dawną, aby nadawała się na newsa. Fotografie zniekształconych dzieci, nieszczęśliwych poronionych płodów w butelkach formaldehydu oraz tysięcy, którzy zostali zabici, okaleczeni i oślepieni, były rozwieszane na poręczy niczym makabryczne chorągiewki. Na telewizyjnym ekranie (prąd udało im się ściągnąć z pobliskiego kościoła) na okrągło emitowali stary reportaż: młody Warren Anderson, amerykański dyrektor generalny Union Carbide Corporation, przyleciał właśnie do Delhi kilka dni po katastrofie. „Ja dopiero tu przybyłem”, mówił cisnącym się dziennikarzom. „Nie znam jeszcze żadnych szczegółów. Ej, ty! Że niby co takiego chcesz mi powiedzieć?”. Potem patrzy wprost w obiektywy kamer i macha ręką: „Hej, mamoo!”.

I tak to już potem szło przez całą noc: „Hej, mamoo! Hej, mamoo! Hej, mamoo! Hej, mamoo! Hej, mamoo!”.

Stary plakat, wyblakły od dekad używania, obwieszczał: „Warren Anderson to zbrodniarz wojenny”. A nowszy dodawał: „Warren Anderson zabił więcej ludzi niż Osama bin Laden”.

Obok przybyszów z Bhopalu delhijskie Stowarzyszenie Kabadi-wallów (użytkowników odpadów) oraz Związek Pracowników Kanalizacji protestowały przeciwko prywatyzacji oraz korporatyzacji miejskich śmietników i miejskiej kanalizacji. Przelicytowała innych i zdobyła kontrakt ta sama kooperacja, która otrzymała ziemię rolników, aby budować elektrownię. Panowała już nad miejską elektrycznością i wodociągami. Teraz miała się jeszcze zająć gównami miasta i systemami odprowadzania ścieków.

Tuż obok użytkowników odpadów i pracowników kanalizacji znajdowało się najefektowniejsze miejsce chodnika: lśniąca toaleta publiczna ze szkła typu „float”, z lustrami i lśniącą granitową posadzką. Światła świeciły się w toalecie dzień i noc. Trzeba było zapłacić jedną rupię za siusiu, dwie za kupę, a trzy za prysznic. Niewielu z tych, którzy byli na chodniku, mogło sobie pozwolić na taki wydatek. Wielu odlewało się pod toaletą, przy ścianie. W efekcie więc, chociaż toaleta była nad podziw czysta wewnątrz, na zewnątrz wydzielala dymny zapach zastalej uryny. Firmę niewiele to obchodziło, ponieważ dochody z toalety czerpała z czego innego. Zewnętrzna ściana była podwojona i służyła jako billboard do ogłaszania co tydzień czegoś nowego.

W tym tygodniu był to najnowszy luksusowy samochód marki Honda.

Billboardu strzegł osobny wartownik. Gulabija Wećania mieszkał pod prowizorycznym daszkiem z plastiku tuż obok. Takie ułożenie stanowiło postęp w stosunku do miejsca, w którym zaczął. Gdy jakiś rok temu Gulabija przyjechał po raz pierwszy do miasta pod ciśnieniem przeraźliwego strachu, ale też silnej konieczności, mieszkał wówczas na drzewie. Teraz miał pracę i coś, co przypominało schronienie. Nazwa zatrudniającej go firmy ochroniarskiej była wydrukowana na pagonach jego poplamionej niebieskiej koszuli: TRSO (rywal Haramzadi Dziwki Sangity Madam, BRSO). Jego zadaniem było zapobieganie aktom wandalizmu, a w szczególności udaremnianie prób ponawianych przez nikczemników, którzy usiłowali się odlać dokładnie na billboard. Pracował siedem dni w tygodniu, dwanaście godzin dziennie. Tego wieczoru Gulabija był pijany i zasnął, kiedy ktoś wymalował sprayem: *Inkilab Zindabad!* „Niech żyje rewolucja!”. Dokładnie na srebrnej hondzie city. Poniżej ktoś nabazgrał:

Āin lije tumne garib ki rozi roti

Or laga dije fis karne peśab or tatti

Wydarłeś biedakowi codzienną kromkę chleba

Ale uznałeś, że za szczanie i gówno płacić mu trzeba

Gulabija miał z rana stracić pracę – w kolejce pojawią się tysiące takich jak on, w nadziei na to, iż dostaną jego miejsce (jednym z nich mógł być nawet ów uliczny poeta). Ale na razie Gulabija spał smacznie i śnił głęboko. We śnie miał dość pieniędzy na to, aby się wyżywić, a dodatkowo odrobinę wysłać do domu, do rodziny na wsi. We śnie wioska ciągle jeszcze istniała. Nie znajdowała się u stóp zbiornika retencyjnego. Ryby nie przepływały przez jego okna. Krokodyle nie przepiłowywały górnych gałęzi wełniaków. Turyści nie pływali łódkami po jego polach, pozostawiając tęczowe dieslowskie opary na niebie. We śnie jego brat Luarija nie był przewodnikiem po terenie tamy, którego praca polegała na demonstrowaniu cudów dokonywanych przez tamę. Matka nie pracowała jako sprzątaczką w domu inżyniera budownictwa wodnego. Nie pracowała w domu inżyniera, zbudowanym na polu, które kiedyś do niej należało. Nie musiała podkradać mango ze swych własnych drzew. Nie mieszkała w kolonii przesiedleńców, w blaszanej chatce z blaszanymi ścianami i blaszanym dachem, które były tak gorące, iż można by na nich smażyć cebulę. W śnie Gulabiji rzeka ciągle płynęła, ciągle żywa. Dziecięce naguski nadal siedziały na skałach, grając na flecie, nurkując do wody i pływając razem z bawołami, gdy słońce stało się zbyt gorące. Były lamparty, jelenie sambar i wargacze w lesie Sal, pokrywającym sterczące nad wioską wzgórze, na których podczas świątecznych dni ludzie gromadzili się z bębniami, aby całymi dniami pić i tańczyć.

Wszystko, co mu teraz pozostało z dawnego życia, stanowiły wspomnienia: flet i kolczyki (których w pracy nie wolno mu było nosić).

W przeciwieństwie do nieodpowiedzialnego Gulabiji Wećanii, który nie

strzegł, jak należało, srebrnej hondy city, Dżanak Lal Śarma, „odpowiedzialny” za toaletę, był zupełnie rozbudzony i ciężko pracował. Księgę rejestracyjną z oślimi uszami utrzymywał w starannym porządku. Pieniądze w portfelu miał starannie ułożone wedle nominału. Monety trzymał w oddzielnej sakiewce. Dorabiał sobie na tym, że aktywistom, dziennikarzom i kamerzystom telewizyjnym pozwalał ładować ich komórki, laptopy i baterie do kamer z kontaktu w toalecie za cenę sześciu pryszniców i jednej kupki (to znaczy dwudziestu rupii). Niekiedy pozwalał ludziom wysrać się za cenę odlania i nie wpisywał tego do księgi rejestracyjnej. Z początku uważał trochę na aktywistów antykorupcyjnych – zidentyfikowanie ich nie sprawiało trudu. Byli nie tak biedni jak reszta, za to bardziej agresywni. Mieli wprawdzie na sobie modne džinsy i T-shirty, ale większość z nich nosiła białe czapki Gandhiego z nadrukowanym w geście solidarności dzieckiem-starcem, uśmiechającym się uśmiechem niemowlęcia Farex. Dżanak Lal Śarma skrupulatnie pobierał od nich należne opłaty i wszystko absolutnie poprawnie, starannie notował w księdze. Niektórzy z nich jednak – a zwłaszcza drugi nabór, który okazał się nawet agresywniejszy niż pierwszy – byli coraz bardziej oburzeni tym, że płacą więcej niż inni. Wkrótce wyszedł z tego biznes jak zwykle. Ze swoich zarobków Dżanak Lal Śarma wynajął kogoś do obsługi własnych obowiązków związanych z czyszczeniem toalety, które oczywiście były nie do pomyślenia dla kogoś z jego kasty i z jego pochodzeniem (był braminem). Zamiast niego wykonywał je Sureś Balmiki – on zaś, jak samo nazwisko wskazuje, należał do tych, którzy, jak to większość Indusów mówiła jawnie, a rząd ukradkiem, stanowili kastę czyszczeni gówna¹¹. Wraz z rosnącymi w kraju niepokojami, niekończącym się strumieniem protestujących, którzy łądowni na chodniku, i informującą o tym wszystkim telewizją – nawet po odłożeniu tego, co płacił Sureśowi Balmikiemu, Dżanak Lal i tak zarabiał dosyć, aby wynająć płacone z dołu mieszkanie LIG.

Naprzeciw toalety, za częścią drogi zajmowaną przez ekipę TV (ale w jakiejś liczącej się ideologicznie odległości), znalazło się to, co na chodniku nazywano Granicą: rozłożyli się tam: nacjonaliści z Manipuru¹², domagający się odwołania ustawy, która przyznawała szczególne uprawnienia siłom zbrojnym i legalizowała zabijanie przez żołnierzy armii indyjskiej wszelkich „podejrzanych”; tybetańscy uchodźcy, domagający się wolnego Tybetu; a także, co najbardziej niezwykle (a dla nich najbardziej niebezpieczne), stowarzyszenie matek zaginionych – kobiet, których synowie tysiącami zaginęli w wojnie o wolność Kaszmiru. (Dosyć więc upiorne, że jako ścieżka dźwiękowa leciało nieustannie: „Hej, mamó! Hej, mamó! Hej, mamó!” – czego jednak matki zaginionych nie dostrzegały, jako że „matka” po kaszmirsku to *moj*).

Była to pierwsza wizyta stowarzyszenia w superstolicy, ale znalazły się tu nie tylko matki, lecz także wdowy, siostry oraz kilkoro dzieci tych, którzy zaginęli. Wszyscy trzymali w rękach zdjęcia utraconego syna, brata czy męża. Transparent

powiadał:

Historia Kaszmiru

ZMARŁYCH – 68 000

ZAGINIONYCH – 10 000

Czy to demokracja, czy też *Demon Kraksa*?

Nie przez pomyłkę żadna kamera telewizyjna nie została skierowana na ten transparent. Większość z tych, którzy zaangażowali się w Walkę o Drugą Wolność Indii, była oburzona samym pomysłem wolności Kaszmiru i bezczelnością kaszmirskich kobiet.

Niektóre z matek, podobnie jak ofiary wycieku gazu w Bhopalu, były już trochę znużone. Opowiadały swoją historię na niekończących się mitingach, przed trybunałami międzynarodowych supermarketów bólu, a robiły to wraz z innymi ofiarami, innych wojen, w innych krajach. Płakały publicznie i często, ale nic z tego nie wynikało. Horror, przez który przeszły, stawał się twardą, pełną goryczy skorupą.

Dla stowarzyszenia podróz do Indii okazała się niefortunnym doświadczeniem. Podczas popołudniowych chodnikowych konferencji prasowych przerywano im i grożono, aż w końcu policja musiała interweniować i otoczyć matki kordonem. „Muzułmańscy terroryści nie zasługują na prawa człowieka!”, krzyczeli tajni emisariusze Gudzarata ka Lalli. „Widzieliśmy wasze ludobójstwa! Widzieliśmy wasze czystki etniczne! Nasi ludzie żyją już od dwudziestu lat w obozach dla uchodźców!”. Niektórzy pluli na fotografie ludzi zabitych i zaginionych w Kaszmirze. Terminy „ludobójstwo” i „czystki etniczne” odnosiły się do masowego exodusu kaszmirskich *panditów*¹³, uciekających z Doliny Kaszmirskiej, kiedy walka o wolność nabrała w latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku charakteru zbrojnego, a niektórzy z bojowników muzulmańskich zwrócili się przeciwko drobnej populacji hinduskiej. W makabryczny sposób zamordowano kilkuset jej członków, a kiedy rząd oznajmił, że nie może zapewnić im bezpieczeństwa, niemal cała populacja kaszmirskich hindusów, prawie dwieście tysięcy ludzi, rzuciła się do ucieczki Doliną i zamieszkała w obozach dla uchodźców na równinach Dżammu – gdzie żyją po dziś dzień. Teraz kilku z emisariuszy Lalli na chodniku było kaszmirskimi hindusami, którzy stracili swe domy, rodziny i wszystko, co kiedykolwiek posiadali.

Dla matek jednak może bardziej bolesne od plwaczy były trzy pięknie ubrane, szczuplutkie jak ołówki uczennice, które mijają je w drodze na zakupy na Connaught Place.

– Och, patrz, Kaszmir! Ale ekstra! Podobno tam już jest zupełnie normalnie. Ba, bezpiecznie mogą się tam poruszać turyści. To co, jedziemy? Tam musi być ekstra!

Stowarzyszenie Matek zdecydowało, że jakoś przetrzymają noc i nie będą już wracać do Delhi. Dla nich spanie na ulicy było zupełnie nowym doświadczeniem. U siebie wszystkie miały ładniutkie domki i ogródki warzywne. Tej nocy musiały się zadowolić podłym jedzeniem (to także było nowym doświadczeniem), zwinąć transparenty i starać się zasnąć, czekając na świt i marząc o drodze powrotnej do ich pięknej, poszarpanej wojną doliny.

To właśnie tutaj, tuż obok matek synów zaginionych, pojawiła się nasza spokojna dziecinka. Chwilę potrwało, zanim matki ją dostrzegły, ponieważ była koloru nocy. Ostro zarysowana nieobecność w cieniach pod lampami ulicznymi. Ponad dwadzieścia lat życia pośród bombardowań, operacji „Otoczyć i przeszukać”, łomotania o północy (operacja „Tygrys”, operacja „Zniszczyć węża”, operacja „Chwyć i zabij”) nauczyło matki odczytywać ciemność. Jeśli jednak chodzi o dzieci, nawykły jedynie do tych, które wyglądały niczym kwitnące migdałowce, ale z policzkami pulchnymi jak jabłka. Tak więc Matki Zaginionych nie wiedziały, co począć z dzieckiem, które się pojawiło.

Zwłaszcza czarnym dzieckiem.

Kruhun kal.

A zwłaszcza czarną dziewczynką.

Kruhun kale hiś.

A zwłaszcza z taką, która opatulona była w śmieci.

Śikas ladh.

*

Szept wędrował po chodniku niczym przesyłka. Coraz bardziej potężniało pytanie:

– *Bhai baćca kiska he?* Czyje to dziecko?

Cisza.

Potem ktoś powiedział, że po południu widział matkę wymiotującą w parku. Ktoś inny jednak rzekł:

– Nie, nie, to nie ona. Tamta była sama i widziałem ją tu od kilku dni.

Ktoś powiedział, że to dziecko żebraków. Ktoś inny powiedział, że jego matka jest *rapevictim* (słowo to było już powszechnie rozumiane).

Ktoś powiedział, że przybyła z grupą, którą wcześniej tego dnia widziano, jak organizowała akcję zbierania podpisów w sprawie uwolnienia więźniów politycznych. Krążyła plotka, że sterowani są przez Partię Maoistyczną, która prowadziła walkę partyzancką w lasach Indii Środkowych. : „O nie, to nie ona, ona była samotna. I jest tutaj od kilku dni”. Ktoś dodał, że jest owocem romansu polityka, który wyrzucił ciężarną kochankę.

Wszyscy przyznali, że politycy to skurwysyny. To jednak nie zmieniało problemu:

Co począć z dzieckiem?

Być może dlatego, że sobie uświadomiła, że ściąga uwagę, a może z racji tego, iż się przestraszyła, spokojna dziecina w końcu się rozplakała. Jakaś kobieta wzięła ją na ręce. (Później mówiono o niej, że była wysoka, niska, czarna, biała, piękna, niepiękna, stara, młoda, zupełnie obca, często widziana na Dżantar Mantar). Kawałek papieru, wielokrotnie złożony w malutki pakuneczek i oklejony wzdłuż jednej krawędzi, był przywiązany grubym czarnym sznurkiem do brzuszka dziewczynki. Kobieta (piękna, niepiękna, wysoka, niska) odwiązała go i podała komuś do przeczytania. Tekst był napisany po angielsku i nie pozostawiał wątpliwości. „Nie mogę się zająć tym dzieckiem. Dlatego zostawiam je tutaj”.

Ostatecznie, po wielu wymruczanych konsultacjach, z wahaniem, smutkiem, z ociąganiem postanowiono, że dzieckiem musi się zająć policja.

Andżum, zanim Saddam zdołał ją powstrzymać, zerwała się i spiesznym krokiem ruszyła w kierunku tego, co wydawało się spontanicznie zorganizowanym Komitetem na rzecz Dobra Dziecka. Nietrudno było podążać za nią, wyższą o głowę od większości ludzi. Kiedy zaś przepychała się przez tłum, dzwoneczki na jej kostkach, zakryte przez luźny *śalwar*, brzęczały dzyń-dzyń-dzyń. Saddamowi, którego zniecacka ogarnęło przerażenie, każdy dzyń-dzyń-dzyń brzmiał jak wystrzał z pistoletu. W niebieskim świetle lamp ulicznych na ciemnej, upstrzonej krostami, lśniącej potem skórze Andżum widać teraz było delikatny cień siwego zarostu. Kolczyk błyszczał w płątku jej wspaniałego nosa, który wyginał się ku dołowi niczym dziób drapieżnego ptaka. Było w niej coś wyzwolonego, nieposkromionego, a przecież przenikniętego pewnością – może poczucie przeznaczenia?

– Na policję? Chcemy ją oddać na policję? – spytała Andżum swoim dwoistym głosem, którego elementy, jeden chrapliwy, drugi głęboki, były wprawdzie oddzielne, a jednak zespolone. Biały kiel lśnił spomiędzy poczerwieniałych od orzechów betelu pniaków.

Solidarność owego „my” była niczym uścisk. Jak nietrudno się domyślić, spotkała się z natychmiastową reakcją. Dowcipniś z tłumu rzucił:

– A chciałybyś inaczej? Bo co niby ty byś z nią zrobiła? Nie zamienisz jej w jedną z takich jak ty, prawda? Dużo dzisiaj technika potrafi, ale tak daleko jeszcze nie zaszła. – Mówiący odwoływał się do powszechnego przekonania, że hidżry porywały małe dzieci i je kastrowały. Żartobliwość słów zapewniła mówcy wybuch śmiechu.

Andżum nie zwróciła uwagi na wulgarność komentarza, mówiła z ostrością jasną i natarczywą jak głąd.

– Ona jest bożym darem. Dajcie ją mnie. Potrafię ofiarować jej miłość, której potrzebuje. A policja? Policja odda ją tylko do państwowego sierocińca, w którym umrze.

Bywa, że czystość intencji jakiejś osoby może wyprowadzić z równowagi podminowany tłum. Teraz udało się to Andżum. Ci, którzy mogli zrozumieć to, co mówiła, mieli jej trochę za złe gładkość jej urdu, gdyż nie pasowała do klasy, z której, jak sądzili, pochodziła.

– Jej matka musiała ją tutaj zostawić, myśląc, tak jak ja, że dziś to miejsce jest Karbałą, gdzie toczy się walka o sprawiedliwość, walka dobra ze złem. Musiała pomyśleć: „Ci ludzie to bojownicy, najlepsi na świecie, ktoś z nich zaopiekuje się moim dzieckiem, skoro ja nie potrafię”. A wy chcecie wzywać policję?

Była wprawdzie rozgniewana, miała metr osiemdziesiąt wzrostu i szerokie, mocne ramiona, ale w jej zachowaniu przejawiała się przesadna kokieteria, a gesty rąk zdawały się tak uwodzicielskie jak u kurtyzany z Lakhnau z lat trzydziestych dwudziestego wieku.

Saddam Husajn szykował się do bójki. Ísrat i Ustad Hamid przysunęli się, aby zrobić, co będzie w ich mocy.

– A kto niby pozwolił tym hidżrom tutaj siedzieć? Do której z grup walczących należą?

Pan Aggarwal¹⁴ – szczupły mężczyzna w średnim wieku, o przystrożonym wąsie, w koszuli safari, sztruksowych spodniach i czapeczce Gandhiego z nadrukowanym napisem „Jestem przeciwko korupcji, a ty?” – miał szorstki, autorytatywny sposób mówienia biurokraty, którym zresztą jeszcze do niedawna był. Większość życia zawodowego spędził w wydziale skarbowym, aż pewnego dnia, pod wpływem impulsu, zniechęcony obrazem zgnilizny w całym systemie, którą dobrze mógł obserwować, zrezygnował z pracy państwowej, aby „służyć narodowi”. Przez jakiś czas działał na peryferiach dobroczynności i służb społecznych, teraz jednak – jako krępy główny wódz gandystów – zyskał prawdziwą sławę, a jego zdjęcia można było każdego dnia zobaczyć w gazetach. Niektórzy sądzili (zupełnie słusznie), że wiąże się z nim prawdziwa władza, a starzec był tylko charyzmatyczną maskotką, którą wynajęto, gdyż pasowała do ówczesnego kontekstu, ale teraz zaczynała już od niego odstawać. Zwolennicy konspiracyjnych teorii, którzy zawsze czają się na obrzeżach wszystkich ruchów politycznych, szeptali, że głodującego starca świadomie popychano, aby promując się, wpadł w ślepią uliczkę – skąd pycha nie pozwoli mu na odwrót. A gdyby starowina zmarł z głodu w momencie najwyższej popularności, wręcz w trakcie transmisji telewizyjnej – mówiła plotka – ruch zyskałby męczennika, to zaś dałoby takiego kopa politycznej karierze pana Aggarwala, jakiego nic innego nie mogłoby mu zapewnić. Plotka ta była niemiła i nieprawdziwa. Tak, pan Aggarwal należał do ludzi pozostających na zapleczu ruchu, ale nawet jego mierziło szaleństwo, jakie wywoływał sędziwy gandysta, a na razie był na wznoszącej się fali, wcale nie planując popełnianego na scenie samobójstwa. Za kilka miesięcy porzuci swoją maskotkę i stanie się main-streamowym politykiem – prawdziwym ucieleśnieniem

wielu z tych cech, które ongiś krytykował – i znakomitym oponentem Gudźarata ka Lalli.

*

Wielką zaletą pana Aggarwala jako raczkującego polityka była niezwracająca uwagi prezencja. Wyglądał jak wielu ludzi. Wszystko, co się z nim wiązało – ubranie, sposób mówienia, myślenia – było schludne i porządne. Dobrze ułożone i zadbane. Miał wysoki głos, wypowiadał się powściągliwie i trzymając się sedna sprawy, natomiast odmieniał go mikrofon. Kiedy przed nim stawał, przekształcał się w wojujące, niemal niedające się opanować tornado porażającej słuszności. Interweniując w sprawie dziecięcia, miał nadzieję, że uciszy inną z publicznych waśni (jak spór pomiędzy kaszmirskimi matkami a plwającą brygadą), która groziła tym, iż odwróci uwagę od naprawdę istotnych w jego opinii kwestii.

– To nasza Druga Walka o Wolność. Kraj jest na krawędzi rewolucji – zwrócił się pompatycznie do szybko rosnącej publiczności. – Tysiącami zgromadziliśmy się tutaj, ponieważ skorumpowani politycy sprawiają, że nasze życie staje się nie do zniesienia. Jeśli rozwiążemy problem korupcji, będziemy mogli wznieść kraj na nowe wyżyny. Na sam szczyt świata. Oto scena dla prawdziwych polityków, a nie żadna arena cyrkowa. – Zwrócił się do Andżum, nie spoglądając na nią: – Macie policyjne zezwolenie na przebywanie tutaj? Każdy musi otrzymać takie pozwolenie.

Górowała nad nim. Skoro nie chciał spoglądać jej w oczy, musiał się zwracać do jej piersi. Tymczasem pan Aggarwal nie wyczuł temperatury, źle ocenił sytuację. Zebrani ludzie nie całkiem z nim sympatyzowali. Wielu było oburzonych tym, że Walka o Wolność zawłaszczyła uwagę mediów i przyćmiła wszystkie inne kwestie. Andżum natomiast w ogóle nie dbała o atmosferę tłumu. Nie przejmowała się tym, jak układają się sympatie. Coś w niej płonęło i napełniało ją stanowczą odwagą.

– Zezwolenie policji? – Nigdy dwa słowa nie były dotąd wypowiedziane z większą pogardą. – Tu chodzi o dziecko, a nie o nielegalne wkroczenie na działkę pańskiego ojca. Proszę bardzo, sahibie, niech się pan zwraca do policji. Reszta z nas wybierze krótszą drogę i zwróci się wprost do Wszechmogącego.

Saddamowi starczyło czasu, aby pomodlić się z wdzięcznością za to, że zanim linie frontu zostały wytyczone, słowem, którego użyła w odniesieniu do Wszechmogącego, było ogólnikowe *Chuda*, a nie bardziej konkretne *Allah Mian*¹⁵.

Adwersarze zajęli pozycje. Andżum i księgowy.

Cóż to było za starcie!

Jak na ironię, oboje znaleźli się na chodniku tego wieczoru po to, aby uciec

od przeszłości i od wszystkiego, co dotychczas określało ich życie. Ale teraz, by przygotować się do bitwy, powrócili właśnie do tego, od czego wcześniej chcieli uciec. Do czego nawykli; do tego, czym naprawdę byli.

On, rewolucjonista uwięziony w umyśle księgowego. Ona, kobieta uwięziona w męskim ciele. On, wściekły na świat, w którym rubryki księgowe nie chciały się zgadzać. Ona, wściekła na hormony, organy, skórę, strukturę włosów, szerokość barków, wysokość głosu. On, stający do walki o to, aby fiskalną spójność narzucić na upadający system. Ona, pragnąca zerwać z nieba wszystkie gwiazdy i zemleć je w miksturę, która da jej odpowiednie piersi i biodra, długie, gęste włosy, kołyszące się na boki, gdy będzie szła, oraz – tak, rzecz, której pragnęła najbardziej ze wszystkich – najwyżej usytuowaną w bogatym zasobie delhijskich przekleństw inwektywę nad inwektywami, *Ma ki Ćut*. Matczyną cipę. On, który całe dni spędzał na wykrywaniu oszustw podatkowych, nienależnych odpisów, interesików po znajomości. Ona, która przez lata żyła niczym drzewo na starym cmentarzu, gdzie o leniwie budzących się porankach i późnymi wieczorami duchy umiłowanych przez nią starych poetów – Ghaliba, Mira i Zauqa – przychodziły, aby recytować wiersze, pić, zakładać się i kłócić. On, który wypełniał formularze i kwestionariusze. Ona, niemająca nigdy pojęcia o tym, jaką rubrykę zakreślić, w której kolejce się ustawić, do której toalety publicznej wejść (królów czy królowych? dżentelmenów czy dam? panów czy pań?). On, zawsze przekonany o tym, że czyni, jak trzeba. Ona, wiedząca, że z nią wszystko zawsze jest nie tak. On, zredukowany przez swoją konkretność. Ona, zwielokrotniona przez swe nieokreślenie. On, który pragnął prawa. Ona, która pragnęła dziecka.

Otoczył ich krąg. Rozszalały, ciekawski, ważący szanse przeciwników, ale to nie miało znaczenia. Który ze sztywnych gandyjskich księgowych miał jakąkolwiek szansę w publicznym starciu jeden na jeden z hidźrą ze Starego Delhi?

Andżum nachyliła się, a jej twarz znalazła się o pocałunek od Aggarwala.

– *Aj Haj!* Co się tak złościsz, *dżan*? Nie spojrzysz nawet na mnie?

Saddam Husajn zacisnął pięści. Ísrat go powstrzymywała. Głęboko odetchnęła i wkroczyła na pole bitwy, interweniując w sposób znany tylko hidźrom, wiedzącym, jak chronić się nawzajem, jednocześnie deklarując wojnę i pokój. Nic nie mogło być teraz dla niej bardziej pożyteczne niż strój, który jeszcze kilka godzin wcześniej mógł się wydawać absurdalny. Zaczęła od typowego dla hidźr kłaśnięcia z rozłożonymi palcami, a potem dalej w tany: obscenicznie poruszała biodrami, wirowała *ćunni*¹⁶ i całą swoją wybujałą, agresywną seksualność wykorzystywała do tego, aby upokorzyć pana Aggarwala, który jeszcze nigdy w życiu nie stoczył walki ulicznej. Na jego białej koszuli pojawiły się plamy pod pachami.

Ísrat zaczęła piosenkę, którą, jak wiedziała, wszyscy będą znać – z filmu *Umrao Jaan*, unieśmiertelnioną przez przepiękną aktorkę Rekhę.

Dil čiz kja he, aap meri dżan lidżije

Cóż tam serce – weź także całe moje życie.

Ktoś usiłował bezceremonialnie zepchnąć ją z chodnika, wyszła jednak na środek szerokiej, pustej drogi, z rozbawieniem wykręcając piruety na zebrze pod światłami. Z przeciwnej strony drogi rozległ się rytm wybijany na *dafli*¹⁷. Ludzie podchwycili śpiew. Miała rację. Wszyscy znali słowa:

Bas ek bar mera kaha man lidżije.

Lecz tylko choć raz zgódź się z tym, co mówię.

Piosenka kurtyzany – a przynajmniej ten jeden wers – mogła stać się tego dnia hymnem dla wszystkich na Dżantar Mantar. Wszyscy znaleźli się tutaj, gdyż wierzyli, że ktoś się martwi. Że ktoś zapewni im posłuchanie.

Wybuchła bójka. Być może ktoś powiedział coś wyzywającego. Być może Saddam Husajn go uderzył. Nie jest dokładnie jasne, co się wydarzyło.

Policjanci pełniący służbę na chodniku, wyrwani ze snu, machali swymi *lathi*¹⁸, dopadając każdego, kto znalazł się w ich zasięgu. Patrolowe jeepy (z hasłem: „Z Tobą, Dla Ciebie, Zawsze”) nadjechały z migającymi kogutami i odegrały stały repertuar delhijskiej policji: *Maderćod, behenćod, ma ki ćut, behen ka lora*¹⁹.

Stłoczyły się kamery telewizyjne. Aktywistka na swej dziewiętnastej głodówce zobaczyła dla siebie szansę. Wepchnęła się w tłum i pokazawszy kamerom swój znak firmowy, zaciśniętą pięść, z nieomylnym politycznym wyczuciem zawłaszczyla szarżę dla swoich zwolenników:

Lathi goli khajęnge!

Zniesiemy pałki i kule!

A oni odkrzyknęli:

Andolan ćalajęge!

W walce wytrwamy!

Przywracanie porządku nie zabrało policji zbyt wiele czasu. Pośród tych, którzy zostali aresztowani i wywiezieni w policyjnych ciężarówkach, znaleźli się pan Aggarwal, Andżum, drżący Ustad Hamid oraz żywa instalacja artystyczna w swym skatologicznym garniturze. (Limonkowy Facet starał się nie rzucać w oczy). Rankiem ich wypuszczono, bez żadnych zarzutów.

Zanim ktokolwiek sobie przypomniał, od czego się wszystko zaczęło, dziecka już nie było.

¹ *Biri* – papierosy z ręcznie rolowanego tytoniu niskiej jakości i zawijane w liście.

² *Namaste* – słowa powitania i towarzyszący im gest (złożenie dłoni przed sobą oraz lekki ukłon).

³ *Sala* – kurde, rety.

⁴ Dżantar Mantar – siedemnastowieczne obserwatorium astronomiczne

w centrum Delhi (obserwatoria o tej samej nazwie znajdują się także w kilku innych miastach). Przestrzeń obok obserwatorium stała się miejscem wszelkiego rodzaju protestów.

5 Nawiązanie do masowych protestów przeciw korupcji, które rozpoczęły się w Indiach w 2011 r. Opisany w tekście człowiek to przywódca tych protestów, który w rzeczywistości nosił imię Kisan Baburao „Anna” Hazare.

6 *Dhoti* – kawałek materiału zawiązywany na biodrach i osłaniający część nóg, podobny do *saronga*.

7 Kolor szafranowy wiąże się z kultem boga Śiwy, ale używany jest także przez hinduskich nacjonalistów. W opisach indyjskiej polityki „szafranowy” stał się synonimem określenia hinduskich nacjonalistów (podobnie jak w Europie „czerwony” określa komunistów).

8 Hindustan – Indie.

9 *Sikh kabab* – kebab z rusztu.

10 *Begam* – pani.

11 Po nazwisku w Indiach często można zidentyfikować kastę osoby, a w wielu wypadkach nazwisko to równocześnie nazwa kasty. Tak jest w tym wypadku. Balmiki to nazwa kasty niedotykalnych.

12 Manipur – stan w Indiach, w którym silne są tendencje separatystyczne, jak i zwalczająca je działalność armii.

13 *Pandit* – bramin, kapłan.

14 Pod postacią Aggarwala kryje się osoba Arvinda Kejriwala, działacza społecznego, który był częścią ruchu przeciw korupcji, ale potem rozpoczął karierę polityka.

15 *Chuda* (*Khuda*) to termin z języka perskiego, *Allah* z języka arabskiego. W kontekście indyjskim oba te terminy są zatem powiązane z islamem, jednakże w przeciwieństwie do terminu *Allah* termin *Chuda* jest używany bardziej potocznie, a zatem może być stosowany przez niemuzułmanów i nie zawsze jednoznacznie kojarzy się z islamem.

16 *Ćunni* – długa chusta.

17 *Daflī* – tamburyn.

18 *Lathi* – bambusowy kij używany przez indyjską policję.

19 „Matkojebco, siostrójebco, pizda mamy, chujas siostry”. (Przyp. wyd. oryg.)

4. Doktor Azad Bhartija

Jako ostatni widział dziecko dr Azad Bhartija, który właśnie rozpoczął, zgodnie z własnymi obliczeniami, jedenasty rok, trzeci miesiąc i siedemnasty dzień strajku głodowego. Dr Bhartija był tak chudy, że wydawał się niemal dwuwymiarowy. Skronie miał wklęsłe, ciemna, ogorzała od słońca skóra prześlizgiwała się po kościach twarzy oraz wystającej chrząstce smukłej szyi i obojczyka. Badawcze, gorejące spojrzenie wpatrywało się w świat z głębokiego cienia oczodołów. Jedno z jego ramion od barku aż po nadgarstek było zaopatrzone w brudny biały opatrunek gipsowy, podtrzymywany przez opaskę zarzuconą na szyję. Pusty rękaw jego poszarzałej paskowanej koszuli powiewał z boku niczym porzucona flaga pokonanego kraju. Siedział za starym kartonem, pokrytym matowym, podrapanym plastikiem. Na kartonie było napisane:

Imię i nazwisko:

dr Azad Bhartija (tłumaczenie: Wolny Indyjczyk).

Mój adres domowy:

dr Azad Bhartija

Obok stacji kolejowej Laki Sarai

Laki Sarai Basti

Kokar

Bihar

Mój obecny adres:

dr Azad Bhartija

Džantar Mantar

Nowe Delhi

Moje kwalifikacje: magister hindi, magister urdu (*First Class First*), licencjat historii, licencjat edukacji, podstawowy kurs pendżabskiego, magister pendżabskiego, stawił się na egzamin, ale nie zdał. Dr (w trakcie uzyskiwania tytułu), Delhi University (kierunek: Studia nad Buddyzmem i Porównawcze Studia nad Religiami); nauczyciel, liceum w Ghaziabadzie; pracownik naukowy, Jawaharlal Nehru University, New Delhi; członek-założyciel Viśła Samadźwadi Sthapana (Światowego Forum Socjalistycznego) i Indyjskiej Demokratycznej Partii Socjalistycznej (Przeciw Wzrostowi Cen).

Jestem przeciwko imperium kapitalistycznemu, a także przeciwko: kapitalizmowi USA, indyjskiemu i amerykańskiemu terroryzmowi państwowemu; przeciwko wszystkim rodzajom broni nuklearnej oraz zbrodni plus przeciw złemu systemowi edukacyjnemu; przeciwko korupcji, przemocy, degradacji środowiska, a także przeciw wszystkim innym postaciom zła. Jestem również przeciwko bezrobociu. Głoduję także w imię doszczętnego unicestwienia całej klasy burżuazyjnej. Każdego dnia pamiętam o biednych tego świata, o robotnikach,

o chłopach, plemionach, dalitach, porzuconych damach i dżentelmenach, włącznie z dziećmi i niepełnosprawnymi.

Torba na zakupy z żółtego plastiku z napisem *Jaycees Sari Palace* przysiadła obok niego tak sztywno, że przypominała niewielką żółtą osobę; zawierała ona dokumenty, spisane na maszynie i ręcznie, po angielsku oraz w hindi. Kilka kopii tych dokumentów – biuletynów czy też jakichś tłumaczeń – było wyłożonych na chodniku i przyciśniętych kamykami. Dr Azad Bhartija oznajmił, że normalni ludzie mogą je nabyć za pełną cenę, a studenci ze zniżką.

INFORMACJE I DEKLARACJE (skorygowane)

Nadane mi przez rodziców imię i nazwisko brzmią: Inder J. Kumar. Dr Azad Bhartija to personalia, które sam sobie nadałem. Zostały one zarejestrowane w sądzie 13 października 1997 roku łącznie z angielskim tłumaczeniem, a więc: Wolny / Wyzwolony Indyjczyk. Załączone jest złożone pod przysięgą oświadczenie. Nie jest to oryginał, lecz kopia poświadczona przez urząd Patiala House.

Jeśli akceptujecie moje personalia, wtedy macie prawo sądzić, że nie jest to miejsce, w którym powinien się znajdować Azad Bhartija: tutaj, w publicznym więzieniu na publicznym chodniku – patrzcie, są nawet kraty. Możecie pomyśleć, że prawdziwy Azad Bhartija powinien być nowoczesną osobą, żyjącą w nowoczesnym domu, mającą samochód i komputer, a może nawet znajdującą się w tym wysokim budynku tutaj, pięciogwiazdkowym hotelu. Nazywa się on hotel Le Méridien. Tutaj, na dwunastym piętrze, moglibyście zajrzeć do klimatyzowanego pokoju z dołączonym pokoikiem śniadaniowym i łazienką, w którym umieszczono pięć psów prezydenta USA, gdy złożył wizytę w Indiach. W istocie nie wolno ich nawet nazywać psami, ponieważ są to członkowie armii amerykańskiej w randze kaprali. Są tacy, którzy powiadają, iż psy te potrafią wywęszyć ukrytą bombę i wiedzą, jak siedząc przy stole, posługiwać się przy jedzeniu nożami i widelcami. Utrzymują także, iż dyrektor hotelu ma obowiązek im salutować, gdy wychodzą z windy. Nie wiem, czy ta informacja jest prawdziwa, czy fałszywa – nie miałem możliwości jej zweryfikować. Słyszeliście może, że psy te udały się do mauzoleum Gandhiego na Radźghat? To jest potwierdzone, była o tym wzmianka w gazetach, ale tym się nie przejmuję. Nie podziwiam Gandhiego, był reakcjonistą. Powinien uradować się psami. Są lepsze od wszystkich tych światowych morderców, którzy regularnie składają kwiaty w mauzoleum.

Dlaczego jednak dr Azad Bhartija jest tutaj, na chodniku, podczas gdy amerykańskie psy wylegają się w pięciogwiazdkowym hotelu? To pytanie musi dręczyć wasz umysł.

Odpowiedź brzmi: znajduję się tutaj, ponieważ jestem rewolucjonistą. Od ponad jedenastu lat prowadzę strajk głodowy. Dobiega już dwunasty rok. Jak może

ktos przetrwać dwanaście lat strajku głodowego? Odpowiedź na to brzmi: rozwinąłem naukową technikę głodowania. Spożywam jeden posiłek (lekki, wegetariański) co czterdzieści osiem albo pięćdziesiąt osiem godzin. To mi bardziej niż starcza. Możecie się zastanawiać, w jaki sposób Azada Bhartiję, niemającego żadnej pracy ani żadnej płacy, stać na posiłek co czterdzieści osiem czy pięćdziesiąt osiem godzin. Odpowiem wam na to, że tutaj, na chodniku, nie ma dnia, aby ktoś nie chciał się czymś ze mną podzielić. Gdybym chciał, tylko siedząc tutaj, mógłbym stać się tak tłusty i gruby jak maharadża Majsuru. Na Boga! To byłoby bardzo łatwe. Natomiast naprawdę waży czterdzieści dwa kilo. Jem tylko tyle, aby przeżyć, a żyję po to, by walczyć.

Ponieważ robię wszystko, aby powiedzieć prawdę, więc muszę wyjaśnić, iż poprzedzający moje imię tytuł „doktor” jest dopiero w trakcie zdobywania, tak jak rzecz się ma z PhD. Używam tego tytułu z pewnym wyprzedzeniem – tylko po to, aby ludzie słuchali mnie i wierzyli w to, co mówię. Gdyby nie nagłość naszej politycznej sytuacji, nie robiłbym tego, ponieważ gdy rozważyć sprawę formalnie, nie jest to uczciwe. Zdarza się jednak w polityce tak, że jedną truciznę trzeba zwalczać inną.

Siedzę tutaj, na Džantar Mantar, od jedenastu lat. Bywa niekiedy, że opuszczam to miejsce, ale tylko po to, aby w Constitution Club bądź w Gandhi Peace Foundation uczestniczyć w seminariach czy konferencjach poświęconych interesującym mnie kwestiom. Poza tym stale przebywam tutaj. Wszyscy ci ludzie ściągają z najdalszych zakątków Indii ze swoimi marzeniami i żądaniami, ale nie ma tu nikogo, kto by ich wysłuchał. Nikt nie słucha. Policja ich bije, a rząd – ignoruje. Ci biedacy nie mogą tutaj długo pozostawać, w większości bowiem pochodzą z marnych wiosek czy slumsów i muszą zarabiać na życie. Muszą więc wracać na swoje poletka, do swoich władców czy dzierżawców, do swoich krów i byków, które są droższe niż ludzie, albo do swoich *džuggi*, ale w ich imieniu ja tu pozostaję. Ja głoduję w imię ich postępu, w imię akceptacji wszystkich ich żądań, w imię realizacji wszystkich ich marzeń i w imię nadziei na to, że pewnego dnia będą mieli własny rząd.

Z jakiej jestem kasty? Tak brzmi wasze pytanie? Przy takim programie politycznym możecie jeszcze mnie pytać, z jakiej kasty pochodzę? A z jakiej kasty był Jezus czy Gautama Buddha? Z jakiej kasty był Marks? Z jakiej kasty był prorok Mahomet? Tylko hindusi mają kasty, tę nierówność wrośniętą w ich pisma. Jestem wszystkim, tylko nie hindusem. Jako Azad Bhartija mogę wam powiedzieć otwarcie, że z tej tylko przyczyny odrzuciłem wiarę większości ludzi tego kraju. To dlatego rodzina ze mną nie rozmawia. Ale nawet gdybym był prezydentem Ameryki, światowej klasy braminem – i tak ciągle odbywałbym tutaj strajk głodowy za ubogich. Nie chcę dolarów. Kapitalizm jest podobny do zatrutego miodu. Ludzie ściągają do niego niczym pszczoły. Ja się temu sprzeciwiam. Z tej

przyczyny jestem pod całodobowym nadzorem. Przez dwadzieścia cztery godziny rząd amerykański śledzi mnie elektronicznie. Spójrzcie za siebie. Widzicie to mrugające czerwone światło? To światło baterii ich kamery. Zainstalowali swoją kamerę także w tych ulicznych światłach. Sala sterująca tymi aparatami znajduje się w hotelu Le Méridien, w psim pokoju. Psy ciągle tam są. Nigdy nie wróciły do Ameryki. Wizy przedłuża im się na czas nieokreślony. Ponieważ amerykańscy prezydenci odwiedzają Indie tak często, stale utrzymują tutaj swoje psy. W nocy, gdy zapalą tam światło, widzę je siedzące na parapetach. Widzę ich cienie, sylwetki. Na odległość widzę dobrze, a nawet coraz lepiej. Każdego dnia widzę dalej i dalej. Bush, Hitler, Stalin, Mao i Ceaușescu to członkowie stuosobowego klubu przywódców, którzy knują, jak zniszczyć wszystkie dobre rządy na świecie. Należą do tego klubu wszyscy amerykańscy prezydenci, łącznie z tym najnowszym.

W zeszłym tygodniu uderzył mnie biały samochód, maruti zen DL 2CP 4362, należący do finansowanego przez Amerykanów programu Indian TV. Odbił się od stalowej poręczy i wjechał we mnie. Tam możecie zobaczyć fragment tej poręczy, jest ciągle złamana. Przysypiałem, ale byłem czujny. Niczym komandos przetoczyłem się na bok, więc uniknąłem zamachu na życie i tylko moje ramię zostało zmiążdżone. Teraz się reperuję. Reszta mnie została uratowana. Kierowca usiłował uciekać. Ludzie zatrzymali go i zmusili, aby zabrał mnie do szpitala im. Rama Manohara Lohii. Dwóch ludzi wsiadło do samochodu i przez całą drogę do szpitala okładali go piśćciami. Lekarze rządowi potraktowali mnie bardzo dobrze. Rano, kiedy doszedłem do siebie, wszyscy rewolucjoniści, którzy byli tu przez cały czas, kupili mi *samosy* i szklanekę słodkiego *lassi*². Wszyscy podpisali się na moim opatrunku albo odcisnęli na nim swoje kciuki. Patrzcie, tutaj ludzie z plemienia Santhalów z Hazaribaghu, pozbawieni domów przez kopalnię East Parej, a tutaj ofiary Union Carbide Gas, którzy na piechotę przyszli aż z Bhopalu. Zabrało im to trzy tygodnie. Odpowiedzialna za wyciek gazu kompania zmieniła teraz nazwę na Dow Chemicals, ale czy zniszczeni przez nią biedacy mogą sobie kupić nowe płuca, nowe oczy? Muszą im starczyć te same stare organy, zatrute tak wiele lat temu. Tym się jednak nikt nie przejmuje. Te psy po prostu siedzą na parapetach hotelu Le Méridien i patrzą, jak umieramy. Tutaj podpis Dewiego Singha Surjawansiego, który jak ja jest bezpartyjny. Zostawił tutaj także swój numer telefonu. Walczy z korupcją i oszukiwaniem narodu przez polityków. Nie wiem, jakie są inne jego żądania, ale możecie zadzwonić bezpośrednio do niego i spytać. Teraz udał się z wizytą do swej córki w Nasiku, lecz w następnym tygodniu wróci. Ma osiemdziesiąt siedem lat, ale dla niego ciągle przede wszystkim liczy się naród. A tu unia rykszarzy Rasztrawadi Dżanta Tipahija Čalak Sangh. Ten odcisk kciuka należy do Phulbatti z Betulu w Madhja Pradeś. To bardzo dobra kobieta. Pracowała w polu za dniówkę, kiedy upadł na nią słup telefoniczny należący do kompanii

BSNL – Bharat Sanchar Nigam Limited. Amputowano jej lewą nogę. Tak, owszem, firma pokryła koszty amputacji, pięćdziesiąt tysięcy rupii, ale jakże ma ona teraz pracować dalej, tylko z jedną nogą? Jest wdową, co będzie jeść, kto będzie ją karmił? Syn nie chce jej utrzymywać, więc wysłał ją tutaj, aby uprawiała *satjagrahę* w celu otrzymania pracy siedzącej. Przebywa już tutaj trzy miesiące. Nikt nie przyszedł się z nią zobaczyć. I nikt nie przyjdzie. Ona tutaj umrze.

A widzicie ten angielski podpis? To S. Tilottama. Ta dama pojawia się tu i znika. Widuję ją od tyłu lat. Czasami przychodzi za dnia, czasami przychodzi późną nocą albo wczesnym rankiem. Zawsze jest sama. Nie ma żadnego programu. Natomiast, jak widzicie, potrafi pięknie pisać odręcznie. To także bardzo dobra kobieta.

A tu ofiary trzęsienia ziemi w Latur. Ich odszkodowania zagarnęli skorumpowani rzeczoznawcy i *tehsildarowie*⁴. Z trzech *krorów* rupii tylko trzy *lakhy*⁵ rupii dotarły do nich, trzy procent. Reszta została zeżarta przez te ludzkie karaluchy, które rozsiadły się po drodze. Siedzą tu od 1999 roku. A potraficie czytać w hindi? Możecie przeczytać, że jest tu napisane: *Bharat me gadhe, giddh or suar radź karte hę*. Znaczy to: Indie są rządzone przez osły, śępy i świnie.

A tu druga próba zamachu na mnie. Zeszłego roku 8 kwietnia honda city DL 8C X 4850 wjechała we mnie. Taki sam samochód jak ten, który możecie zobaczyć na reklamie nad toaletą, tyle że mój był kasztanowy, a nie srebrny. Kierował nim amerykański agent. Miejski dział „Hindustan Times” – „HT City” – zamieścił o tym reportaż 17 lipca. Moja prawa noga została złamana w trzech miejscach. Nawet teraz trudno mi chodzić, muszę kuśtykać. Ludzie śmieją się i mówią, że powinienem poślubić Phulbatti, żebyśmy we dwoje mieli jedną zdrową lewą nogę i jedną zdrową prawą. Śmieję się razem z nimi, chociaż wcale nie uważam tego za zabawne. Czasami jednak trzeba się pośmiać. Jestem przeciwny instytucji małżeństwa. Została wynaleziona po to, aby podporządkować kobiety. Raz byłem żonaty. Moja żona wymknęła się z moim bratem. Teraz mojego syna nazywają swoim, a on mówi na mnie „wuju”. Nigdy ich nie widuję. Kiedy uciekli, ja przybyłem tutaj.

Niekiedy przechodzę przez drogę i po drugiej stronie głoduję razem z Bhopalczykami, ale tam jest o wiele goręcej.

Wiecie, co to za miejsce, to tutaj, ten Džantar Mantar? W dawnych czasach był tu zegar słoneczny. Zbudował go pewien maharadża, zapomniałem jego imienia. W 1724 roku. Zagraniczni goście ciągle przychodzą tutaj z przewodnikami turystycznymi. Mijają nas, ale nas nie widzą – nas, siedzących tutaj z boku drogi i walczących o lepszy świat w tym Demokratycznym Zoo. Zagraniczni goście widzą tylko to, co chcą widzieć. Wcześniej byli to zaklinacze węży i *sadhu*, teraz chodzi już o supernowoczesną technologię, rządy rynku. Siedzimy tutaj niczym zwierzęta w klatkach, a między tymi żelaznymi poręczami rząd karmi nas

bezużytecznymi kawałkami nadziei. Nie wystarczają one do tego, by żyć, ale dość ich jest, abyśmy nie umarli. Wysyłają do nas swoich dziennikarzy. Opowiadamy im nasze historie. Na chwilę zmniejsza to nasze ciężary, ale w ten właśnie sposób nas kontrolują. Wszystko inne w tym mieście określa paragraf 144 Kodeksu postępowania karnego⁶.

Widzicie tę nową toaletę, zbudowaną dla nas? Dla nas, tak mówią. Oddzielnie dla dam, oddzielnie dla dżentelmenów. Musimy płacić, aby wejść do środka. Kiedy przeglądamy się w tych wielkich lustrach, nawiedza nas strach.

Oświadczenie

Niniejszym oświadczam, że zgodnie z moją najlepszą wiedzą wszystkie informacje podane tutaj są prawdziwe i nic nie zostało ukryte.

•

Ze swojego punktu obserwacyjnego na chodniku dr Azad Bhartija widział, że dziecko, które zniknęło, wcale nie było samotne – miało tego wieczoru na chodniku trzy matki, wszystkie trzy powiązane niemi światła.

Policja, która wiedziała, że on wie o wszystkim, co dzieje się na Dżantar Mantar, zajęła się nim, aby go wypytać. Troszkę go potarłosili – ale nie jakoś poważnie, po prostu z nawyku. Powiedział jednak tylko tyle i nic więcej:

Mar gaje bulbul kafas me

Keh gaje sajjad se

Apni sunehri gand me

Tu thuns le fast-e-bahar.

Umarł w swojej klatce ptaszek mały

a dla strażnika zostawił słowa:

Zbierz proszę te żniwa wiosenne

i wsadź je sobie w pozłacaną dupę.

Policja go lekko skopała (to już rutyna) i skonfiskowała wszystkie kopie jego „Informacji i deklaracji”, a także jego torbę na zakupy z Jaycees Sari Palace, wraz ze wszystkimi umieszczonymi w niej papierami.

Kiedy odjechali, dr Azad Bhartija nie tracił ani chwili. Natychmiast zabrał się do pracy, zaczynając mozolny proces zbierania dokumentacji ze skrawków.

Nie mając jeszcze osoby podejrzanej (nazwisko i adres S. Tilottamy, wydawczyni „Informacji i deklaracji” dr. Azada Bhartiji odśloniły się dopiero w dalszym ciągu poszukiwań), policja sprawę zarejestrowała jako podpadającą pod paragraf 361 (porwanie spod opieki prawnej), paragraf 362 (uprowadzenie, namowa, uprowadzenie osoby przy użyciu siły fizycznej lub oszustwa), paragraf 365 (bezprawne ograniczenie swobody), paragraf 366A (przestępstwo popełnione wobec osoby niemającej osiemnastu lat), paragraf 367 (porwanie w celu poddania

osoby porwanej poważnemu bólowi, niewolnictwu czy też wystawienia jej na czyn lubieżny) oraz paragraf 369 (porwanie dziecka poniżej dziesiątego roku życia dla okupu).

Oskarżenia zostały uznane przez sędziów niższej instancji za pozostające w kompetencji sądu, który może wyznaczyć kaucję i przeprowadzić proces. Karą jest pozbawienie wolności na okres do lat siedmiu.

Podobnych spraw zarejestrowano już w tym roku tysiąc sto czterdzieści sześć. A był dopiero maj.

1 *Džuggi* – slumsy.

2 *Lassi* – napój powstający z jogurtu z kostkami lodu, często z dodatkiem cukru, często również z owocami i bakaliami; w innych wersjach przyprawiany na słono i ostro lub z kawałkami liści konopi.

3 *Satjagraha* – zainicjowany przez Gandhiego ruch biernego oporu.

4 *Tehildar* – urzędnik podatkowy.

5 W języku hindi *kror* to dziesięć milionów, a *lakh* – sto tysięcy.

6 Paragraf ten mówi o nielegalnych zgromadzeniach.

5. Szukanie wiatru W POLU

Odgłos końskich kopyt niósł się po pustej ulicy.

Pajal, chuda szkapa, jak zmora dzienna stuk-stukała w tej części miasta, w której nie powinna była się pojawić.

Na jej grzbiecie, na czerwonym płóciennym siodle wykończonym złotymi frędzlami, siedziało okrakiem dwoje jeźdźców: Saddam Husajn i Ísrat Przepiękna. W tej części miasta, w której nie powinni się byli znaleźć. Nie oznajmiał o tym żaden znak, ponieważ wszystko było znakiem, który mógł odczytać każdy głupiec: cisza, szerokość dróg, wysokość drzew, nieprzepełnione chodniki, przycięte żywopłoty, niskie białe pawilony, w których mieszkali Władcy. Nawet żółte światło płynące z wysokich lamp ulicznych wydawało się bogate: kolumny płynnego złota.

Saddam Husajn nałożył swoje okulary przeciwsłoneczne. Ísrat powiedziała, że wygląda to głupio: nosić je nocą.

– A ty nazywasz to nocą? – spytał Saddam.

Wyjaśnił, że nie nosi okularów po to, aby wyglądać w nich dobrze. Powiedział, że jasność światła razi go w oczy i że później opowie jej ich historię.

Pajal położyła uszy po sobie i poruszyła skórą, chociaż w pobliżu nie było żadnych much. Czuła, że nastąpiła jakaś transgresja. Niemniej podobała jej się ta część miasta. Było czym odetchnąć. Gdyby jej pozwolili, mogłaby galopować. Ale nie pozwala.

Szukali wiatru w polu – ona i jej jeźdźcy. Ich zadaniem było podążać za autorykszą i jej pasażerami.

Trzymali się od niej w odpowiedniej odległości, podczas gdy ona zataczała się niczym dziecko zagubione między szerokimi rondami z posągami, fontannami, klombami i odchodzącymi na boki małymi alejkami – każda obrzeżona innym rodzajem drzew: tamaryndowcami, czapetkami, meliami, figusami, migdałecznikami.

– Spójrz, oni mają nawet ogrody dla swoich aut – powiedziała Ísrat, kiedy okrążali kolejne rondo.

Rozbawiony Saddam zaśmiał się w noc.

– Mają samochody dla swoich psów i ogrody dla swoich samochodów – powiedział.

Kawalkada czarnych mercedesów z przyciemnianymi oknami kuloodpornymi pojawiła się nie wiadomo skąd i przemknęła koło nich jak wąż.

Szukający i szukana poprzez Garden City zbliżali się do wyboistego wiaduktu. (Wyboistego dla pojazdów, nie dla koni). Biegący środkiem rząd światła wyglądał niczym skrzydła mechanicznych cherubinów osadzone na wysokich słupach. Ryksza zaczęła się wspinać, potem zjechała i zniknęła z pola

widzenia. Aby nie zostać z tyłu, Pajal przeszła w lekki, radosny trucht. Smukły jednorożec dokonujący inspekcji pułku cherubinów.

Za wiaduktem miasto traciło pewność siebie.

Poszukiwacze wiatru podążyli obok dwóch szpitali, tak chorych, że pacjenci i ich rodziny wysypywali się z nich i rozstawiali na drodze, niektórzy na doraźnie skleconych łózkach i wózkach inwalidzkich. Część miała na sobie szpitalne szlafroki, bandaże i kroplówki. Dzieci wyłysiałe od chemioterapii miały szpitalne maseczki i wtulały się w swoich rodziców o pustych oczach. Ludzie tłoczyli się przy ladach całodobowych aptek, grając w indyjską ruletkę (mieli szansę 60 do 40, że kupione lekarstwa są prawdziwe, a nie fałszywe). Rodziny gotowały na ulicy, szatkowały cebulę, przyrządzały ziemniaki chrząszczęce od kurzu na małych benzynowych palnikach. Rozwieszali pranie na dyżurnych drzewach i poręczach. (Saddam Husajn wszystko to odnotował z przesłanek zawodowych).

Gromadka odzianych w *dhoti* wieśniaków o udach chudych jak gałęzie przykucnęła w kręgu. Pośrodku, skulona niczym zraniony ptak, znajdowała się pomarszczona stara dama w drukowanym sari i ogromnych ciemnych szklach, które wzdłuż krawędzi były oklejone watą. Termometr sterczał jej z ust niczym papieros. Kiedy biały koń ze swoimi jeźdźcami ich mijał, tamci nie zwrócili na nich uwagi.

Kolejny wiadukt.

Tym razem szukający wiatru w polu przejechali pod nim. Pełno tutaj było śpiących ciał. Półnagi łysy mężczyzna z purpurową skorupą zakrzepłego talku na głowie i długą, siwą, krzaczastą brodą wybijał rytm na wyimaginowanym bębnie, kiwając głową jak Ustad Zakir Hussain.

– *Dha Dha Dhim Ti-ra-ki-ta Dhim!* – przejeżdżając, zawołała do niego Ísrat. Uśmiechnął się i odzwzajemnił się jej jakimś skomplikowanym bukietem kwiatów perkusyjnych.

Zamknięte targowisko, nocny stragan z *egg-paratha*¹, sikhijska świątynia gurudwara, kolejne targowisko, rząd warsztatów samochodowych, mężczyźni i psy śpiący pod nimi, pokryci smarem samochodowym.

Ryksza wykręciła w dzielnicę kolonialną, a potem lewoprawolewoprawolewo. Zaulek. Wzdłuż niego materiały budowlane. Domy trzy- i czteropiętrowe.

Ryksza zatrzymała się na zewnątrz zamkniętej żelaznej bramy, malowanej na matową lawendę. Pajal zatrzymała się w cieniu, o kilka bram dalej. Prychające widmo, blada mara. Złota nić na jej siodle, połyskująca w mroku. Kobieta wysiadła, zapłaciła i weszła do domu. Kiedy ryksza odjechała, Saddam Husajn oraz Ísrat Przepiękna zbliżyli się do lawendowej bramy. Na zewnątrz rozwały się dwa czarne byki z przelewającymi się grzbietami.

Światło zapaliło się na drugim piętrze.

– Zapisz numer domu – poleciła Ísrat, na co Saddam odrzekł, że nie musi tego robić, ponieważ nigdy nie zapomina miejsc, w których był. Odnajdzie je we śnie. Obróciła się do niego.

– *Wa!* Ty to dopiero jesteś!

Uściskał jej piersi. Odtrąciła jego dłoń.

– Nie rób tego. Wiele kosztują. Ciągłe jeszcze płacę za swoje inwestycje.

W prostokacie okna na drugim piętrze ukazała się sylwetka kobiety, która spojrzała w dół i zobaczyła białego konia, a na nim dwie postacie. Oni spojrzeli w górę i dojrżeli ją.

Jak gdyby dla potwierdzenia wymienionego w obie strony spojrzenia, kobieta (piękna i nie, wysoka i nie) pochyliła głowę i ucałowała skradzione dobro, które trzymała w ramionach. Pomachała do nich, a oni jej odmachali. Oczywiście rozpoznała ich jako tych, którzy brali udział w zbiegowisku na Dżantar Mantar. Saddam Husajn zsiadł i uniósł mały biały prostokąt, swoją wizytówkę z adresem: Dżannat – Zajazd i Usługi Pogrzebowe. Wrzucił ją do małej blaszanej skrzyneczki, na której było napisane: „S. Tilottama, drugie piętro”.

Dzieciatko marudziło przez większą część drogi, ale w końcu zasnęło. Drobnutkie uderzenia serca i czarny aksamitny policzek oparty na kościstym ramieniu. Kobieta kołysała je, przyglądając się, jak koń i jego jeźdźcy wycofują się z alejki.

Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz była tak szczęśliwa. Nie dlatego, że dziecko było jej, lecz dlatego, że nie było.

1 *Egg-paratha* – placek z jajkiem.

6. Kilka pytań na później

Kiedy Foczka podrośnie i w upalne popołudnie wraz z innymi uczennicami będzie się przepychać do wózka z lodami, wołając o batonik pomarańczowy, czy poczuje zawrotny zapach dojrzałej *mahui*, który napełnił las w dniu, gdy się urodziła? Czy jej ciało będzie pamiętać dotyk suchych liści na leśnym runie albo gorący metalowy dotyk lufy strzelby, którą matka przytknęła jej do czoła z odciągniętym bezpiecznikiem?

Czy też przeszłość raz na zawsze zostanie z niej wymazana?

Z monotonnych krajobrazów nadfruwa śmierć, wątła biurokratka.

Agha Shahid Ali

7. Gospodarz

Jest zimno. Jeden z tych mglistych, brudnych dni zimowych. Miasto jest nadal ogłuszone przez jednoczesne eksplozje, które dwa dni temu zdemolowały przystanek autobusowy, kawiarnię i parking podziemny w małym centrum handlowym, powodując pięć ofiar śmiertelnych i o wiele więcej poważnie rannych. W naszej telewizji wiadomość ta gościć będzie odrobinę dłużej, niż zwykłym ludziom zabiera otrząśnięcie się z szoku. Jeśli chodzi o mnie, spowodowały one falę emocji, ale, choć smutno to przyznać, szok już do nich nie należy.

Jestem teraz na górze, w tym *barsati*, małym, znajdującym się na drugim piętrze pokoju na poddaszu. Drzewa melii utraciły liście; aleksandretty przeniosły się chyba w cieplejsze (bezpieczniejsze?) miejsca. Mgła wtuliła się w szyby okienne. Stado niebieskich gołębi skalnych przepycha się na osranej *čhadździ*1. Chociaż jest dzień i zbliża się pora obiadu, muszę włączyć światła. Widzę, że mój eksperyment z czerwoną cementową podłogą się nie udał. Chciałem podłogi z głębokim, miękkim połyskiem, jak w tych uroczych starych domach na Południu. Tutaj jednak gorący skwar zmatowił przez lata kolor cementu, a zimowe chłody spowodowały, że powierzchnia skurczyła się i popękała na cienkie niczym włos rysy. Mieszkanie stoi zakurzone i zaniedbane. Jest coś w spokoju tego pospiesznie porzuconego miejsca, co sprawia, iż robi ono wrażenie nieruchomej klatki w filmie: zupełnie jakby zawarła się tu geometria ruchu. Kształt tego wszystkiego, co dotąd się wydarzyło, i wszystkiego, co dopiero nadejdzie. Nieobecność osoby, która tutaj żyła, jest tak realna, tak namacalna, iż jest to niemal obecność.

Z ulicy nadpływa stłumiony odgłos. Skrzydła nieruchomego wiatraka pod sufitem pokryte są na brzegach czarnym osadem, stanowiącym pean na cześć słynnego brudnego powietrza Delhi. Na szczęście dla moich płuc, jestem tu tylko z wizytą, a przynajmniej taką mam nadzieję. Wysłano mnie do domu na urlop. Nie czuję się wprawdzie źle, kiedy jednak spoglądam na siebie w lustrze, mogę zobaczyć, że skóra poszarzała, a włosów mi wyraźnie ubyło. Skóra głowy prześwieca między nimi (tak, prześwieca). Niemal nic nie zostało z brwi. Powiedziano mi, że to oznaka niepokoju. Przyznaję, że picie jest zatrważające. W niedopuszczalny sposób wystawiłem na próbę cierpliwość i mojej żony, i szefa, jestem zdecydowany odkupić swe winy. Zapisano mnie do ośrodka rehabilitacji, w którym będę przez sześć tygodni bez telefonu, Internetu i jakiegokolwiek innego kontaktu ze światem. Powinienem zjawić się tam dzisiaj, ale zrobię to dopiero w poniedziałek.

Chciałbym powrócić do Kabulu, miasta, w którym najprawdopodobniej umrę, w jakiś banalny, nieheroiczny sposób, być może wręczając teczkę z dokumentami memu ambasadorowi. BUUUM! I już mnie nie ma. Dwa razy niemal nas dopadli, za każdym razem szczęście było po naszej stronie. Po drugim

ataku otrzymaliśmy anonimowy list po pasztuńsku (czytam w tym języku i mówię): „*Nun zamong bad kismati wa. Kho jad lara ée mong sirf jaw war pa kismat gatta kawo. Ta ba da hameša dapara khuš kismata we*”. Mniej czy bardziej dokładnie można to przetłumaczyć jako: „Dzisiaj nie mieliśmy szczęścia. Pamiętajcie jednak, że tylko raz musi się nam udać, a wy potrzebujecie szczęścia nieustannie”.

Te słowa coś mi przypominały, wygooglowałem je. (Takiego wyrazu teraz się używa, nieprawdaż?) Było to niemal dosłowne tłumaczenie tego, co IRA powiedziała po tym, gdy Margaret Thatcher wyszła cało z zamachu bombowego na Grand Hotel w Brighton w 1984 roku. Oto inna odmiana globalizacji. Ta uniwersalna mowa terroryzmu to, jak myślę, inny rodzaj globalizacji.

Każdy dzień w Kabulu to walka na spryt, a ja jestem już uzależniony.

Podczas gdy czekałem na wynik egzaminu przesądzającego o tym, czy nadaję się do służby, postanowiłem odwiedzić moich lokatorów i zobaczyć, jak ma się dom, który kupiłem piętnaście lat temu i w dużej mierze przebudowałem. A w każdym razie tak sobie powiedziałem. Tymczasem na miejscu widzę, że omijam główne wejście, idę aż do końca ulicy, a potem skręcam, aby dostać się do wejścia na biegnącą za rzędem domów ścieżkę dla służby.

Kiedyś była to spokojna, miła alejka. Teraz wygląda jak miejsce budowy. Materiały budowlane – zbrojenia stalowe, płyty kamienne, stopy piasku – okupują tę niewielką przestrzeń, której nie zajęły samochody. Dwie odkryte studzienki wydzielają smród, niezbyt odpowiadający gigantycznej cenie, którą trzeba tu płacić. Większość starych domów została zburzona, a w ich miejscu powstają luksusowe mieszkania nowych deweloperów. Niektóre są na palach, gdyż parter przeznaczono na parking. Jest to dobry pomysł w mieście opętanym przez samochody, ale jakoś mnie zasmuca. Nie wiem czemu. Może to tęsknota za starymi, spokojniejszymi czasami.

Gromadka zakurzonych dzieci, niektóre z niemowlętami wokół bioder, dzwoni do drzwi, po czym ucieka, z prawdziwą radością się chowając. Ich wynędzniali rodzice, dźwigający cement i cegły w dołach wykopanych pod nowe piwnice, nie zdziwiliby się wcale na budowie w starożytnym Egipcie, dźwigając kamienie na piramidy faraona. Przechodzi obok mnie mały osioł z łagodnymi ślepiami, niosąc w jukach cegły. Cichsze są tutaj komunikaty, które po eksplozji rozgłaszane są po angielsku i w hindi przez szczekaczki z policyjnych budek na targowisku: „Proszę informować najbliższy posterunek policji o wszystkich niezidentyfikowanych bagażach czy podejrzenie wyglądających osobach...”.

Przez tych kilka miesięcy, od kiedy byłem tu ostatnio, wzrosła liczba samochodów zaparkowanych w tylnej alejce, a poza tym są większe, cichsze. Nowy kierowca mojej sąsiadki, pani Mehry, z głową owiniętą brązową chustą ze szczelinami na oczy, polewa wężem nową kremową toyotę corollę, jak gdyby to był byk. Na masce ma wypisane małe szafranowe OM2. Jeszcze rok temu pani

Mehra wyrzucała swoje śmieci wprost na ulicę z balkonu na pierwszym piętrze. Zastanawiam się, czy posiadanie toyoty wpłynęło na jej poczucie wspólnotowej higieny.

Teraz widzę, że większość apartamentów na wysokich piętrach, drugim i trzecim, została już urządzona i przeszklona.

Czarnych byków, które od wielu lat żyły zaraz za cementowym postumentem lampy naprzeciwko mojego tylnego wejścia, karmione i rozpuszczane przez panią Mehrę i jej kohorty pełne czci dla krów, nie ma już tutaj. Może udały się pobiegać.

Dwie młode kobiety w eleganckich zimowych płaszczach, obie palące papierosy, przeszły obok, stukocząc wysokimi obcasami. Wyglądają jak rosyjskie lub ukraińskie dziwki, które można sobie zamówić przez telefon na imprezę pod miastem. Było ich kilka na wieczorze kawalerskim, który mój stary przyjaciel Bobby Singh zorganizował w zeszłym tygodniu w Mehrauli. Jedna z nich roznosiła taco w wersji dip, była bowiem mniej czy bardziej topless, a piersi pokrywał jej hummus. Dla mnie było to odrobinę za dużo, ale innym gościom chyba się podobało. Zdaje się, że dziewczynie także – acz mogło to być częścią transakcji. Trudno powiedzieć.

Służący w kosztownych liberiach swoich właścicieli są wyprowadzani przez jeszcze lepiej ubrane psy: labradory, owczarki niemieckie, doberman, bigle, jamniki, cocker-spaniele w wełnianych kubrakach z napisami: „Superman” i „Hau!”. Nawet niektóre z ulicznych kundli mają przydzwiewki i noszą metryczki. Teoria skapywania. Cha, cha!

Dwóch mężczyzn – jeden biały, jeden Indyjczyk – przechodzi, trzymając się za rękę. Ich pulchny czarny labrador ma na sobie czerwono-niebieski kubraczek z napisem „Manchester United Nr 7”. Niczym sympatyczny *sadhu* rozdający błogosławieństwa – on obdarza szczykami opony samochodów, obok których przebiega.

Na nowiutkiej stalowej bramie szkoły podstawowej graniczącej z parkiem jeleni widnieje obrzydliwy malunek, na którym szczęśliwa matka trzyma w ramionach szczęśliwe dzieciątko, otrzymujące szczepionkę przeciw chorobie Heinego-Medina od szczęśliwej pielęgniarki w białym fartuchu i białych pończochach. Strzykawka jest wielkości kija do krykieta. Słyszę głosy dzieci ze szkoły, śpiewających rymowaną *Baa baa black sheep*, a wręcz wrzeszczących przy okazji *Wool!* i *Full!*

W porównaniu z Kabulem bądź jakimkolwiek innym miejscem w Afganistanie lub Pakistanie – czy, jeśli już o to chodzi, z dowolnym krajem w naszym otoczeniu (Sri Lanka, Bangladesz, Birma, Iran, Irak, Syria – wielki Boże!) – ten zamglony mały zaułek z jego codzienną ospałością, wulgarnością, nieszczęsnymi, lecz dającymi się znieść nierównościami, z jego osiołkami

i drobnymi okrucieństwami – jest jak malutki zakątek raju. W stoiskach na targowisku sprzedaje się jedzenie, kwiaty, ubrania i telefony komórkowe, a nie granaty czy pistolety maszynowe. Dzieci bawią się w dzwonienie do drzwi, a nie w samobójcze zamachy bombowe. Mamy swoje trudności, nasze okropne momenty, tak, ale to są tylko aberracje.

Czuję przyływ gniewu na tych wszystkich pomrukujących intelektualistów i zawodowych zgorzknialców, którzy nieustannie tylko marudzą na ten nasz wielki kraj. Mówiąc szczerze, mogą to robić jedynie dlatego, że im się na to pozwala. A pozwala im się na to dlatego, że przy wszystkich naszych niedoskonałościach jesteśmy prawdziwą demokracją. Nie będę na tyle arogancki, aby często powtarzać to publicznie, prawda jednak brzmi tak, że z wielką dumą pracuję dla rządu Indii.

Tylne wejście jest otwarte, jak się spodziewałem. (Lokatorzy z parteru pomalowali je na lawendowo). Idę wprost do schodów na drugie piętro. Drzwi są zamknięte. Rozmiar mojego rozczarowania mnie niepokoi. Cała kondygnacja wydaje się opuszczona. Pod drzwiami piętrzą się koperty i stare gazety. W półmroku dostrzegam odcisk psiej łapy.

W drodze na dół spotykam pulchną, urodziwą żonę lokatora z parteru, która prowadzi jakąś firmę produkującą filmy wideo. Wyszła z kuchni, nagabnęła mnie na schodach; zaprasza na filiżankę herbaty. (Do pomieszczenia, które zwykło być moim domem, gdy oboje z żoną byliśmy oddelegowani do Delhi).

– Nazywam się Ankita – rzuciła przez ramię, wprowadzając mnie do środka. Jej długie, sztucznie prostowane włosy z końcami zabarwionymi na blond były mokre i wyczuwałem ostry zapach szamponu. W uszach miała solitery, na sobie – puchaty sweter z białej wełny. Na tylnych kieszeniach ciasnych džinsów – moje córki nazywają je „jeggingsami” – opinających jej hojne zaplecze wyhaftowane są chińskie smoki z barwnymi, rozwidlonymi jęzorami. Nawet jeśli mojej matce nie podobałoby się to ubranie, z pewnością podobałaby się jej pulchność. „*Dekhte beś Rolypoly*”, powiedziała by moja biedna matka, która całe małżeńskie życie spędziła w Delhi, wdychając do swego dzieciństwa w Kalkucie.

Słowa te wyzwalają w mej głowie niepokojące buczenie: *Rolypolyrolypolyrolypoly*.

Trzy z czterech ścian pokoju zostały pomalowane na melonowy róż. Wszystkie meble włącznie ze stołem jadalnym obite były prążkowanym zielonym pokryciem (kupionym „okazyjnie”, chyba tak się to mówi). Drzwi i framugi okien były czarne. Zacząłem żałować, że dałem im wolną rękę, jeśli chodzi o urządzenie wnętrza. Usiedliśmy z Ankitą naprzeciwko siebie, oddzieleni długością sofy (mój stary mebel z nową tapicerką). W pewnym momencie musieliśmy chwycić kolana i podnieść z podłogi stopy, kiedy służąca niczym mała kaczką przesunęła się poniżej na kolanach, przemywając podłogę czymś, co pachniało ostro jak trawa cytrynowa. Czy naprawdę Rolypoly trudno było ten fragment podłogi kazać umyć

niecو później? Kiedy nasi ludzie nauczą się wreszcie jakichś podstaw grzeczności?

Służąca najwyraźniej pochodziła z Drawidów lub Santalów z Dźharkhandu lub Čhattisgarhu albo może z któregoś z tubylczych plemion Orisy. Wyglądała na czternasto-, piętnastoletnie dziecko. Z miejsca, które zajmowałem, mogłem zajrzeć w dół *kurty* – do punktu, w którym mały srebrny krucyfiks przysiadł pomiędzy drobnymi piersiami. Mój ojciec, który żywił odwzajemnioną niechęć do chrześcijańskich misjonarzy i ich potomstwa, z pewnością nazwałby ją Alleluja. Przy całej jego finezji często niewiele go dzieliło od nieprzyzwoitości.

Rolypoly dumnie rozsiała się na swoim gigantycznym arbuzie i obdarzając mnie skrzącym się spojrzeniem, spod aureoli zabarwionych włosów, szeptem złożyła mi niezbyt spójny raport z tego, co działo się na górze. „Myślę, że to nie jest normalna osoba”, powtórzyła kilka razy. Uczciwie przyznam, że być może ona mówiła spójnie, natomiast ja nie chciałem jej słuchać. Było coś o dziecku i policji („zupełnie zaniemówiłam, kiedy zapukali do moich drzwi”), a także o złej reputacji ściąganej na dom i sąsiedztwo. Wszystko brzmiało jak odrobinę złośliwe i zbyt daleko idące. Podziękowałem jej i wyszedłem z prezentem, który wcisnęła mi do ręki: DVD z filmem dokumentalnym na temat jeziora Dal w Kaszmirze, ostatnio nagrany przez jej męża dla wydziału turystyki.

I oto godzinę czy dwie później znowu tutaj jestem. Musiałem przyprowadzić z targowiska ślusarza, aby dorobił dla mnie klucz. Mówiąc inaczej, musiałem się włamać. Moja lokatorka z pierwszego piętra jakoby wyjechała. „Wyjechała” – jeśli wierzyć Rolypoly – to może być pewien eufemizm. Tyle że wtedy i „lokatorka” jest eufemizmem. Nie, nie byliśmy kochankami. Ani razu nie wyraziła choćby najlżejszej sugestii, że mogłaby być zainteresowana tego rodzaju związkiem. Gdyby to jednak uczyniła, nie znam siebie aż tak dobrze, aby powiedzieć, co mogłoby z tego wynikać. Albowiem przez całe życie, od czasu, gdyśmy się poznali, a byliśmy wtedy w college’u, konstruowałem siebie wokół niej. A może nie tyle wokół niej, ile wokół pamięci o mojej miłości do niej. Ona nic o tym nie wie. Nikt nie wie, z wyjątkiem może Nagi, Musy i mnie. Mężczyzn, którzy ją kochali.

Używam słowa „miłość” luźno i tylko dlatego, że moje słownictwo nie nadaje się, aby opisać prawdziwą naturę tej płątaniny, tego lasu uczuć, który nas trzech połączył z nią, a także ze sobą nawzajem.

Po raz pierwszy zobaczyłem ją niemal dokładnie trzydzieści lat temu, w roku 1984 (kto w Delhi może zapomnieć rok 1984?), podczas prób do wystawianej studenckimi siłami sztuki, w której grałem, a która nosiła tytuł *Norman, Is That You?* Niestety, chociaż próby odbywaliśmy przez dwa miesiące, nigdy nie doszło do premiery. Na tydzień przed nią pani G. – Indira Gandhi – została zabita przez chroniących ją sikhów.

Kilka dni po zamachu tłum prowadzony przez aktywistów jej Indyjskiego

Kongresu Narodowego zabił w Delhi tysiące sikhów. Spalono ich domy, sklepy, postoje taksówek z sikhijskimi kierowcami, a także całe osiedla zamieszkałe przez nich. Z szalejących w całym mieście pożarów wzbijały się w niebo kłęby czarnego dymu. Ze swojego miejsca w autobusie widziałem, jak w piękny i jasny dzień tłum zlinchował starego dżentelmena sikhijskiego. Ściągnięto mu turban, wyrwano brodę, a potem na sposób południowoafrykański założono naszyjnik z płonącej opony, podczas gdy ludzie stali dookoła, wyjąc z aprobatą. Pospieszyłem do domu i czekałem na szok spowodowany tym, czego byłem świadkiem. O dziwo, nie doszło do tego. Właściwie jedynym szokiem był mój własny spokój. Tak, czułem się zde gustowany głupotą, czczością tego wszystkiego, ale dziwnie jakoś nie zaszokowany. Kto wie, pewnie miało to coś wspólnego z moją znajomością krwawej historii miasta, w którym wyrosłem. Zupełnie jakby Upiór, którego obecności jesteśmy w Indiach stale i wysoce świadomi, zniemacka wyskoczył, warcząc, z głębin i zachował się dokładnie tak, jak tego oczekiwaliśmy. Kiedy jego apetyt został zaspokojony, znowu osunął się w swoją podziemną norę, a nad nim rozpostarła się normalność. Oszalali mordercy schowali kły i powrócili do codziennych obowiązków: urzędników, krawców, hydraulików, stolarzy, sklepikarzy – życie toczyło się jak przedtem. Normalność w naszej części świata jest trochę jak gotowane jajko; monotonna powłoka skrywa wewnątrz żółtko obrzydliwej przemocy. To stała trwoga przed ową przemocą, pamięć o jej dawnych dziełach i lęk przed przyszłymi manifestacjami leżą u podstaw reguł ustalających, jak ludzie tak skomplikowani i zróżnicowani jak my mogą stale współistnieć, stale żyć razem, tolerując się nawzajem, a od czasu do czasu i nawzajem się mordując. Jak długo powłoka jest ścisła, jak długo żółtko nie wypływa – wszystko będzie z nami w porządku. A w momentach kryzysu można spojrzeć nań z odpowiedniego dystansu.

W nadziei na to, że potem wszystko się uspokoi, postanowiliśmy opóźnić wystawienie sztuki o miesiąc. Ale na początku grudnia tragedia znowu rozgorzała, tym razem jeszcze mocniej. Należąca do Union Carbide fabryka nawozów sztucznych w Bhopalu miała wyciek gazu, który pozbawił życia tysiące nieszczęśników. W gazetach roiło się od opisów tego, jak ludzie z rozpalonymi oczyma i płucami usiłowali uciekać przed trującą chmurą, która za nimi podążała. Było coś niemal biblijnego w naturze i skali tego horroru. Czasopisma publikowały zdjęcia martwych, chorych, umierających, okaleczonych i trwale oślepionych, których niewidzące oczy upiornie wpatrywały się w obiektywy kamer. Ostatecznie uznaliśmy, że bogowie nie są z nami i że przedstawienie *Normana* byłoby w tym czasie czymś niewłaściwym, więc cała sprawa powędrowała na półkę. Jeśli pozwolicie mi na dość prozaiczną uwagę, to powiedziałbym, że życie może na tym polegać albo na tym się kończyć w większości przypadków: próbą przedstawienia, które nigdy się nie materializuje. Jednak w przypadku *Normana* nie

potrzebowaliśmy wcale premiery, aby odmieniło się nasze życie. Samych prób zupełnie starczyło.

Reżyser sztuki, David Quartermaine, młody Anglik, do Delhi przyjechał z Leeds. Był mężczyzną szczupłym, atletycznym i – jeśli mogę tak powiedzieć – porażająco urodziwym. Jasne włosy opadały mu na ramiona, a oczy miał równie nierealnie szafirowo błękitne jak Peter O’Toole. Większość czasu był najarany, nie ukrywał też swojego homoseksualizmu, aczkolwiek nigdy nie poruszał tej kwestii w rozmowach. Strumień ciemnoskórych dojrzewających chłopców – obrót był bardzo wysoki – przeciągał przez jego wyłożone książkami pokoje w Defence Colony. Wylegiwali się na jego łóżku albo kołysali w fotelu na biegunach, przerzucając magazyny, których oczywiście nie byli w stanie czytać (wyraźnie bowiem preferował proletariuszy). Nigdy nie widzieliśmy niczego chociaż odrobinę podobnego. Tego dnia, kiedy po raz pierwszy zgromadziliśmy się w jego dwupokojowym mieszkaniu na pierwsze czytanie sztuki, milcząca, skrzętna służąca urodziła w jego łazience swoje trzecie dziecko. Żyliśmy, lękając się Davida Quartermaine’a, jego rozpasanej seksualności, jego kolekcji książek, jego nastrojowości, jego mamrotania, a także nagłych momentów tajemniczego milczenia, które znamionowało, jak sądziliśmy, prawdziwego artystę. Niektórzy z nas w wolnych chwilach usiłowali naśladować to zachowanie, wyobrażając sobie, iż przygotowujemy się do życia w teatrze. Mój kolega szkolny Naga – Nagaradž Hariharan – został wybrany na Normana. Ja miałem grać jego kochankę, Garsona Hobarta. (Na pierwszych próbach odgrywaliśmy to bardziej niż przesadnie. Sądzę, że na swój młodzięczy, głupi sposób staraliśmy się zasygnalizować, że tak naprawdę nie jesteśmy homoseksualistami). Obaj kończyliśmy magisterium z historii na uniwersytecie w Delhi. Ponieważ jego rodzice i moi byli przyjaciółmi (jego ojciec pracował w Służbie Zagranicznej, mój był starszym kardiochirurgiem), Naga i ja trzymaliśmy się razem przez cały okres szkoły, a teraz – uniwersytetu. Jak większość takich dzieciaków, nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi. Nie żebyśmy się nie lubili, ale w naszej relacji zawsze kryła się spora dawka antagonizmu.

Tilo była studentką trzeciego roku architektury i zajmowała się scenografią oraz oświetleniem. Przedstawiła się nam jako Tilottama. W momencie kiedy ją zobaczyłem, jakaś część mnie wymaszerowała z mego ciała i owinęła się wokół niej. Gdzie pozostaje do teraz.

Chciałbym wiedzieć, co takiego w niej całkowicie mnie obezwładniało i sprawiało, że stawałem się wobec niej kimś innym: opiekuńczym, i to nadmiernie. Nie miała wyglądu bladej, dobrze ułożonej panienki jak większość moich koleżanek z college’u. Jej cerę Francuz mógłby nazwać *café au lait* (z bardzo niewielką domieszką *lait*), co w przypadku Indusek natychmiast ją dyskwalifikowało: niepodobna było powiedzieć, że dobrze wygląda. Trudno mi opisać kogoś, kto na tak wiele lat odcisnął się na mnie, na mojej duszy, jak pieczęć

czy stempel. Widzę ją tak, jakbym widział swoją kończynę: rękę albo stopę. Ale cóż, spróbuję, nawet jeśli będą to najbardziej pospieszne pociągnięcia pędzla. Miała małą, drobnokościstą twarz z zadartym nosem, o pociągającym, rozszerzonym zakończeniu. Długie, gęste włosy nie były ani proste, ani kędzierzawe, natomiast beztrąsko splecione. Łatwo mogłem sobie wyobrazić, że gnieźdzą się w nich małe ptaszki. Śmiało mogłyby wystąpić w pierwszej części reklamy jakiegoś szamponu w formie „przed i potem”. Odrzucała włosy na plecy, a czasami zaplatała w nieporządny węzeł u podstawy szyi, owijając je na żółtym ołówku. Nie nosiła makijażu i w niczym nie starała się poprawić swego wyglądu, nie robiła żadnej z tych uroczych rzeczy, którymi dziewczyny upiększają włosy, oczy i usta. Niewysoka, smukła, stała z ciężarem przeniesionym na śródstopie i wyprostowanymi barkami w sposób niemal męski, ale tylko niemal. Tego dnia, kiedy po raz pierwszy ją zobaczyłem, miała na sobie białą wełnianą pidżamę i nazbyt dużą męską koszulę z obrzydliwym – co z pewnością było rozmyślnie – nadrukiem, która najwyraźniej nie należała do niej. (W tym się myliłem: po kilku tygodniach, kiedy poznaliśmy się lepiej, powiedziała mi, że tak naprawdę była jej. Kupiła ją za jedną rupię na targowisku rzeczy używanych pod Dżama Masdzid. Naga – co było dla niego typowe – natychmiast oznajmił, że sprzedawane tam ubrania, co wie z wiarygodnych źródeł, zdejmowane są z ciał ofiar katastrof kolejowych. Odparła, że nic jej to nie obchodzi, jeśli tylko nie ma śladów krwi). Z biżuterii nosiła jedynie szeroką srebrną obrączkę na długim, poplamionym atramentem środkowym palcu dłoni i srebrny pierścionek na palcu stopy. Palła *biri* marki Ganesh, które najczęściej trzymała w paczce szkarłatnych dunhillów. Z zupełnym spokojem obserwowała rozczarowanie tych, którzy chcieli się poczęstować drogim, importowanym papierosem i odkrywali *biri*, a następnie byli nazbyt zaambarasowani, aby nie zapalić, zwłaszcza kiedy podsuwała im ogień. Widziałem to wiele razy, ale jej twarz pozostawała zupełnie obojętna – nie było na niej ani uśmiechu, ani nie wymieniała rozbawionych spojrzeń z przyjaciółmi, tak że nigdy nie potrafiłem powiedzieć, czy był to rodzaj dowcipu, czy coś u niej zupełnie normalnego. Brak jakiegokolwiek chęci, aby kogoś rozbawić czy sprawić mu przyjemność, u mniej wrażliwej osoby mógłby zostać uznany za arogancję. U niej ostatecznie wydawało się to odmianą jakiejś lekkomyślnej samotności. W jej odrobinę skośnych kocich oczach, za zwykłymi, nietroszczącymi się o wymogi mody okularami, kryła się nonszalancka tajemniczość piromanki. Robiła takie wrażenie, jakby w niewiadomy sposób poluzowała smycz, jakby wyszła na spacer, podczas gdy cała reszta nas została wyprowadzona – niczym pieski. Jakby obserwowała nas z uwagą, ale także z lekkim roztargnieniem, z pewnej odległości, podczas gdy my dreptaliśmy, wdzięczni swoim właścicielom i pragnący utrwalić ową niewolę.

Usiłowałem się dowiedzieć o niej czegoś więcej, ale bardzo niewiele

ujawniała. Kiedy dopytywałem się o jej imię, z naciskiem odpowiedziała, iż nazywa się S. Tilottama. Gdy dalej indagowałem, co zastępuje „S”, odrzekła: „S” zastępuje „S”. Wymykała się moim pośrednim pytaniom o to, gdzie jest jej dom i co robi jej ojciec. Nie używała w tym czasie zbyt często hindi. Dlatego przypuszczałem, że jest z południa kraju. Jej angielski niczego nie ujawniał z wyjątkiem faktu, że „Z” czasami brzmiało miękko jak „S”, na przykład mówiła „sip” zamiast „zip”. To nasuwało mi przypuszczenie o Kerali.

Okazało się, że tutaj miałem rację. Co zaś do innych kwestii, okazało się, że nie była wykrętna: po prostu nie знаła odpowiedzi na pytania, jakie zwykle stawia się komuś w college’u. „Skąd jesteś?”, „Co robi twój ojciec?” – i tak dalej, i tak dalej. Z jakichś strzępów pojawiających się w rozmowie wywnioskowałem, że jej matka była samotną kobietą, czego przyczyną mogła być śmierć męża, fakt, że ją porzucił albo że ona porzuciła jego. Było to trochę tajemnicze. Nikt nie potrafił umiejscowić Tilo. Krążyły plotki, że jest dzieckiem adoptowanym. I plotki – że nie. Potem dowiedziałem się – od młodszego kolegi z college’u, który nazywał się Mammen P. Mammen, plotkarza z rodzinnego miasta Tilo – że jedno i drugie można uznać za prawdę. Jej matka była jej rzeczywistą matką, ale najpierw ją porzuciła, a potem adoptowała. Był skandal, romansowa afera w małym miasteczku. Mężczyzny, który należał do kasty niedotykalnych (paraja⁴, Mammen P. Mammen szepnął, jak gdyby wypowiedzenie tego głośno mogło go skazić), pozbyto się w sposób, w jaki pozbywano się rzeczy nieprzyjemnych w rodzinach z wysokich kast w Indiach; w tym przypadku byli to syryjscy chrześcijanie z Kerali. Matka Tilo została odesłana do czasu, aż dziecko się urodziło, a potem zostało umieszczone w chrześcijańskim sierocińcu. Po kilku miesiącach zjawiała się w sierocińcu i adoptowała swoje własne dziecko. Rodzina ją wydziedziczyła. Pozostała niezamężna. Aby się utrzymać, zaczęła prowadzić małe przedszkole, które przez lata cieszyło się takim powodzeniem, iż rozrosło się do postaci szkoły średniej. Nigdy publicznie nie przyznała – co zrozumiałe – że jest prawdziwą matką. To wszystko, czego się dowiedziałem.

Tilottama nigdy nie jechała do domu na święta. Nigdy nie powiedziała dlaczego. Nikt nie przyjeżdżał, żeby się z nią zobaczyć. Na czesne zarabiała, pracując poza godzinami lekcyjnymi oraz w weekendy i święta jako rysownicza w biurach architektonicznych. Nie mieszkała w hostelu – mówiła, że nie może sobie na to pozwolić. Żyła natomiast w jakiejś ruderze w pobliskich slumsach, które rozciągały się wzdłuż zewnętrznych murów starej ruiny. Nikogo z nas nigdy do siebie nie zaprosiła.

Podczas prób do *Normana* Nagę nazywała Naga, ale do mnie z jakiegoś powodu zawsze zwracała się per Garson Hobart. Oto więc my: Naga, ja, studenci historii, kokietujący dziewczynę, która, jak się wydawało, nie miała przeszłości, rodziny, towarzystwa, pochodzenia i nawet domu. Mówiąc prawdę, Naga jej nie

kokietował. W tych czasach bardziej był urzeczony sobą niż kimkolwiek innym. Kiedy pojawiła się Tilo, włączył swój (niebagatelny) czar, tak jak włącza się przednie światła samochodu, a zrobił to tylko dlatego, iż nie zwracała na niego uwagi. Do tego nie był przyzwyczajony.

Nigdy nie miałem całkowitej pewności, jaka jest relacja pomiędzy Musą – Musą Jeswim – a Tilo. W towarzystwie nie odzywali się do siebie, a w każdym razie nigdy nie robili tego demonstracyjnie. Czasami wydawało się, że bardziej są rodzeństwem niż kochankami. Kolegowali się na studiach architektonicznych. Oboje równie utalentowani. Widziałem niektóre z ich prac, portrety malowane przez Tilo węglem i kredkami, a także akwarele Musy, przedstawiające ruiny starych części Delhi, Tuglakabad, Feroz Śah Kotłę i Purana Kile, oraz jego ołówkowe rysunki z końmi – czasami tylko z częściami ich ciał: głową, okiem, rozwianą grzywą, galopującymi kopytami. Raz spytałem go o to, czy maluje z fotografii, czy też kopiuje ilustracje w książkach, a także czy ma konie w domu w Kaszmirze. Powiedział, że mu się śnią. To trochę mnie skonsternowało. Nie chcę udawać, że wiem wiele o sztuce, ale dla mego oka laika te rysunki – zarówno jego, jak i Tilo – wyróżniały się, zaskakiwały. Pamiętam, że oboje mieli podobne pismo. Kształtowane przez tę swobodną, kanciastą kaligrafię, której uczono kiedyś na architekturze, zanim wszystko zostało skomputeryzowane.

Nie mogę powiedzieć, że znałem Musę dobrze. Był spokojnym, ubranym konserwatywnie chłopakiem, zgrabnie zbudowanym i wzrostem równym Tilo. Jego powściągliwość miała być może coś wspólnego z tym, że nie mówił płynnie po angielsku – robił to z wyraźnym akcentem kaszmirskim. Potrafił przebywać w towarzystwie prawie niezauważony, co było swego rodzaju talentem, ponieważ zwracał na siebie uwagę, jak wielu młodych Kaszmirczyków. Niewysoki, ale szeroki w barach, a w jego krępej budowie kryła się jakaś żyłastość. Włosy miał kruczoczarne, krótko ostrzyżone, oczy odznaczały się ciemną, brązowo-zieloną barwą. Golił się starannie, a jego blada skóra kontrastowała z cerą Tilo. Pamiętam dwie rzeczy z nim związane: ukruszony przedni ząb (co sprawiało, iż miał zabawnie młody wygląd, kiedy się uśmiechał, choć robił to rzadko), a także zdumiewające dłonie – z całą pewnością nie ręce artysty, bardziej wieśniaka, duże i silne, z pękatymi palcami.

Była w Musie jakaś łagodność, jakiś spokój, który mi się podobał, aczkolwiek najpewniej należało to do tych cech, które ukrywały w nim coś strasznego. Jestem pewien, że wiedział, jakie uczucie żywie wobec Tilo, nigdy jednak nie zdradzał poczucia zagrożenia czy triumfu. Nadawało mu to w moich oczach jakieś zatrważające dostojeństwo. W jego stosunku do Nagi było, jak sędzę, mniej spokoju, co prawdopodobnie bardziej wiązało się z Nagą niż z Musą. Naga wykazywał zaskakującą niepewność i brak wdzięku, kiedy Musa znajdował się w pobliżu.

Kontrast między nimi dwoma rzucał się w oczy. O ile Musa był (a przynajmniej tak się zdawało) solidny i spolegliwy niczym skała, o tyle Naga robił wrażenie rzeźkiego i chwiejnego. W kontakcie z nim nie sposób było się odprężyć. Niepodobna, aby znalazłszy się w pokoju, nie skupiał na sobie uwagi wszystkich. Był wielkim showmanem: chętny, sprytny, odrobinę despotyczny, a ostatecznie okropnie bezlitosny wobec ludzi, którym chciał publicznie dogryźć. Szczupły, chłopięcy, o miłym wyglądzie, dobry krykiecista (rzucający fałszem), z falistymi włosami oraz okularami. Wiele w nim było z wyluzowanego, intelektualnego sportowca. Ale bardziej niż wygląd dziewczęta uwielbiały jego figlarne zachowanie. Skupiały się wokół niego rozszczebiotany stadkiem, zważając na każde jego słowo i chichocząc z jego żartów, nawet jeśli nie były zabawne. Trudno zgadnąć, skąd brał się ten krąg wielbicielek. Jak każdy dobry aktor, miał charakter kameleona. Potrafił zmieniać fizyczny wygląd, i to nie powierzchownie, ale głęboko, w zależności od tego, kim postanowił być w tym konkretnym momencie życia. Kiedy był młody, wszystko to było intrygujące i wesołe, nikt nie mógł się doczekać, jaki będzie najnowszy awatar Nagi. Gdy jednak dorósł, stało się to odrobinę puste i nużące.

Kiedy skończyli szkołę architektury, wydawało się, że Musa i Tilo oddalają się od siebie. On powrócił do Kaszmiru. Ona dostała pracę jako projektantka w firmie architektonicznej. Głównym jej obowiązkiem w pracy, jak mi powiedziała, było przyjmowanie odpowiedzialności za błędy innych ludzi. Mimo nienadzwyczajnej pensji (miała pracę godzinową) udało jej się wydobyć ze slumsów i wynająć podniszczony pokój nieopodal *dargi* Hazrata Nizamuddina Oliji. Odwiedziłem ją tam kilka razy.

Podczas ostatniej z tych wizyt siedzieliśmy przy grobie Mirzy Ghaliba w kręgu niedopałków *biri* i niedopałków solidnych papierosów, a otaczał nas widowiskowy krąg kalek, trędowatych, włóczęgów i dziwaków, którzy zawsze się gromadzą wokół świętych miejsc w Indiach, i piliśmy jakąś mocną, straszliwą herbatę.

„Tak oto upamiętniamy naszych największych poetów” – powiedziałem, jak pamiętam, nieco pretensjonalnie, zwłaszcza że w tym czasie nie wiedziałem nic o poezji Ghaliba. (Teraz wiem. Musiałem się dowiedzieć. Z przyczyn zawodowych. Nic bowiem nie ociepla bardziej serc muzułmanów na subkontynencie niż kilka dobrze wybranych wersów w urdu).

– Może tak jest szczęśliwszy – powiedziała.

Potem alejkami obsiadłymi przez żebraków poszliśmy do *dargi* na wieczorne czwartkowe *kawwali*. Nie było to najlepsze *kawwali*, jakie kiedykolwiek słyszałem, ale zagraniczni turyści zamykali oczy i pogrążali się w ekstazie.

Kiedy została już zaśpiewana ostatnia pieśń, a muzycy spakowali swoje instrumenty, poszliśmy ciemną drogą, biegnącą za kolonią wzdłuż burzowca, który

śmierdział niczym koryto, potem zaś po wąskich schodach wspieliśmy się do jej pokoju. Na zakurzonym tarasie upchane były odstawione przez kogoś – najpewniej przez właściciela – meble, których drewno zbieleło na słońcu. Imbirowy kocur próbował dostać się w seksualnej desperacji do samicy zabarykadowanej w gnieździe z luźnej wikliny, która odgięła się od siedzenia połamanego fotela. Pamiętam go tak wyraźnie, gdyż zachowywał się jak ja.

Malutki pokój bardziej przypominał komórkę niż pomieszczenie do mieszkania. Nic w nim nie było, jeśli nie liczyć twardej pryczy, terakotowej *matka* na wodę oraz kartonowego pudełka z jakimiś ubraniami i książkami. Elektryczny grzejnik na starej przedniej szybie z jeepa ustawionej na ceglach funkcjonował jako kuchenka. Całą ścianę zajmował zręczny, większy niż w skali naturalnej, sporządzony kredką rysunek wściekłego purpurowo-niebieskiego koguta, który patrzył na nas surowym żółtym ślepiem. Wyglądało to tak, jakby z braku prawdziwych rodziców Tilo sporządziła sobie graficznego rodzica, aby miał na nią oko.

Poczułem ulgę, uciekwszy spod gniewnego spojrzenia koguta, bowiem wyszliśmy na taras. Zapaliliśmy trochę haszyszu, pogryzły nas komary i śmialiśmy się nie wiadomo z czego. Tilo przysiadła ze skrzyżowanymi nogami na murku na tarasie i patrzyła w ciemność. Wstał upstrzony plamami księżyc, a jego piękno z innego świata kłóciło się z ostrymi, bardzo doczesnymi oparami unoszącymi się z otwartego ścieku po drugiej stronie drogi. Znienacka rzucony z ulicy kamień minął Tilo o włos. Zeskoczyła, ale nie wydawała się jakoś niezwykle zaniepokojona.

– To tłum opuszcza kino. Pewnie skończył się ostatni seans.

Spojrzałem w dół. Słyszałem szyderczy chichot, ale nie mogłem rozpoznać nikogo w cieniu. Muszę przyznać, że było to z lekka denerwujące. Spytałem ją, co było głupie, jakie zabezpieczenia poczyniła, aby być pewna, że jest bezpieczna. Oznajmiła, że nie zaprzecza plotkom krążącym po okolicy, że pracuje dla dobrze znanego dealera narkotykowego. Dzięki temu, powiedziała, ludzie sądzą, że jest chroniona.

Odważyłem się wyjaśnić tę osobistą kwestię, spytałem więc o Musę: gdzie jest i czy dalej są razem, i czy planują wziąć ślub.

– Nie wyjdę za nikogo – odparła.

Spytałem, skąd takie zdecydowanie, a ona odpowiedziała, że chce być wolna, aby umrzeć nieodpowiedzialnie, bez żadnego powodu i niezauważona.

Kiedy tej nocy zasypiałem, myślałem o przepaści, która oddziela moje życie od jej. Ciągle mieszkałem w domu, w którym się urodziłem. W sąsiednim pokoju spali moi rodzice. Słyszałem znajomy pomruk naszej hałaśliwej lodówki. Wszystkie przedmioty – dywany, kredensy, fotele w gabinecie, obrazy Jaminiego Roya, pierwsze wydanie książki Tagore’a po bengalsku, jak i po angielsku,

ojcowską kolekcję książek o wspinaczce (takie było jego hobby, chociaż sam się nie wspinał), albumy z fotografiami rodzinnymi, kufry, w których były zamknięte nasze zimowe ubrania, łóżko, na którym spałem, od czasu gdy byłem chłopcem – wydawały się wartownikami, którzy strzegli mnie przez wiele lat.

To prawda, że lata dorosłości miałem dopiero przed sobą, ale fundamenty, na których życie było zbudowane, wydawały mi się tak niewzruszalne, nietykalne. Tilo zaś zdawała się niczym papierowa łódka na wzburzonym morzu. Całkowicie samotna. Nawet ubodzy w naszym kraju, choćby wiedli pokiereszowane życie – zwykle mieli rodziny. A ona jak przetrwa? Jak długo to potrwa, zanim jej łódka zacznie tonąć?

Kiedy wstąpiłem do biura i wyjechałem na szkolenie, straciłem z nią kontakt. Następnym razem zobaczyłem ją w dniu jej ślubu.

*

Nie wiem, co znowu ją związało z Musą po wszystkich tych latach albo jak do tego doszło, że znalazła się wraz z nim na barce mieszkalnej w Śrinagarze.

Przy tym wszystkim, co o nim niegdyś wiedziałem, nigdy nie potrafiłem zrozumieć, w jaki sposób ten sztorm dumnej, chaotycznej próżności, owo absurdalne wyobrażenie, że Kaszmir mógłby mieć „wolność”, wyniósł Musę w górę tak, jak wyniósł całą generację młodych Kaszmirczyków. To prawda, iż przeżył taką tragedię, jakiej nikt nie powinien doznać – ale Kaszmir stanowił wtedy strefę wojenną. Z ręką na sercu mogę przysiąc, że jakiegokolwiek byłyby prowokacje, nigdy bym nawet się nie zastanawiał, by zrobić to, co on.

Ale cóż, on nie był mną, a ja nie byłem nim. Zrobił to, co zrobił. I zapłacił za to. Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz.

Kilka tygodni po śmierci Musy Tilo poślubiła Nagę.

Jeśli chodzi o mnie, najmniej wyróżniającego się z nas wszystkich, kochałem ją bez dumy. I bez nadziei. Bez nadziei, ponieważ wiedziałem, że nawet gdyby jakimś trafem odwzajemniała moje uczucia, moi rodzice, moi bramińscy rodzice, nigdy by jej nie zaakceptowali – dziewczyny bez przeszłości, bez kasty – i nie przyjęli do rodziny. Gdybym się upierał, oznaczałoby to trzęsienie ziemi, którego nie byłem zdolny znieść. Nawet w życiu najbardziej pozbawionym zdarzeń jesteśmy wzywani, aby wygrać swoje bitwy, a ta nie była moja.

Teraz, lata później, oboje rodzice nie żyją. A ja jestem tym, kogo nazywa się „człowiekiem rodzinnym”. Moja żona i ja tolerujemy siebie i uwielbiamy nasze dzieci. Ćitra-Ćittarupa, moja żona (tak, moja bramińska żona), pracuje w Służbie Zagranicznej i została wysłana do Pragi. Nasze córki, Rabia i Anja, mają odpowiednio siedemnaście i piętnaście lat. Są z matką i chodzą do francuskiej szkoły. Rabia miała nadzieję, że będzie się uczyć literatury angielskiej, a młoda Anja postanowiła, że jej kariera będzie się wiązała z prawami człowieka. To

niecodzienny wybór, a jej determinacja, jej zdecydowana niechęć do tego, by choćby rozważyć inne opcje, jest odrobinę dziwna, szczególnie u kogoś równie młodego. Z początku trochę się tym martwiłem. Zastanawiałem się, czy to jej sposób na odegranie subtelnej wersji buntu nastolatki przeciwko ojcu. Ale wydaje się, że zupełnie nie o to chodzi. Przez jakieś ostatnie dziesięć lat zawody związane z ochroną praw człowieka stały się bardzo szanowane, a nawet lukratywne. Robię, co mogę, aby jej pomóc. Tak czy inaczej, ostateczna decyzja zapadnie dopiero za kilka lat. Zobaczmy, co się stanie. Obie są dobrymi uczennicami. Cítrze i mnie obiecano, że niedługo zostaniemy wysłani na tę samą placówkę. Oby do kraju, w którym dziewczynki będą na uniwersytecie.

Nigdy sobie nie wyobrażałem, że mógłbym zrobić coś, co by wzburzyło lub skrzywdziło moją rodzinę. Kiedy jednak Tilo znowu pojawiła się w moim życiu, te prawne więzy, te wszystkie wzniosłe zasady moralne jakoś uschły, a nawet wydały się z lekka absurdalne. Zresztą mój niepokój był nieistotny, chyba nawet nie zauważyła moich dylematów czy mojego dyskomfortu.

Powtarzałem sobie, że skoro potrzebuje tych pokojów, to wynajmując je, w pewien taktowny, dyskretny sposób równoważę swoje wykroczenia. Mówię „wykroczenia”, ponieważ zawsze czułem, że jakoś ją zawiodłem w pewien mglisty, nieokreślony, a przecież istotny sposób. Ona chyba nigdy na to tak nie patrzyła, ale ostatecznie nie była tego rodzaju osobą.

Od czasu gdy poślubiła Nagę, widywałem ją tylko przelotnie. Ich ślub w Delhi wypalił się w mej pamięci, ale nie z racji tego, co mogłoby się wydawać oczywistą przyczyną: złamane serce czy zawiedziona miłość. Tego było akurat najmniej. Rozsądne szczęście: oto mój ówczesny stan. Moje własne małżeństwo nie miało jeszcze dwóch lat. Nadal istniało coś na kształt prawdziwego pociągu pomiędzy mną a żoną, jeśli nie miłości. Nie pojawiła się jeszcze wtedy owa kruchość, która cechuje obecnie mój związek z Cítzą.

W chwili gdy Tilo i Naga się pobierali, on zdołał już przejść drogę od aroganckiego, ikonoplastycznego studenta, przez niezatrudnialnego intelektualistę z radykalnej lewicy, do pełnego pasji adwokata sprawy palestyńskiej (jego bohaterem w tych czasach był George Habash), a potem do mainstreamowego dziennikarza. Jak wielu hałaśliwych ekstremistów, przeszedł całe spektrum skrajnych opinii politycznych. Co pozostało niezmiennie, to tylko poziom decybeli. Jest obecnie w Biurze Wywiadowczym ktoś, kto steruje Nagą – chociaż on może tego nie widzieć dokładnie w ten sposób. Zajmując ważne stanowisko w swojej gazecie, jest dla nas wartościowym zasobem.

Jego podróż na ciemną stronę, gdybyście tak chcieli to nazwać – moja opinia jest mylna – zaczęła się jak zwykle od niewielkiego *qui pro quo*. Jego konikiem był Pendżab. Powstanie₅ wydawało się już wówczas mniej lub bardziej stłumione, ale Naga wiele czasu spędził na dokopywaniu się do starych historii, wyszukując

amunicję dla tych farsowych parodii zwanych „trybunałami ludowymi”, po czym występując z jeszcze bardziej groteskowymi oskarżeniami ze strony „ludu” wobec policji i oddziałów paramilitarnych. Rząd, który prowadzi wojnę z bezwzględniymi powstańcami, nie może funkcjonować wedle tych samych standardów co ten, który działa w zwykłych, pokojowych warunkach. Ale któż to wytłumaczy dziennikarzowi, który pisząc artykuł, uprawia krucjatę, a w uszach ma nieustannie okrzyki aplauzu? Podczas jednego z urlopów od tego performatywnego radykalizmu Naga pojechał do Goa i w charakterystyczny dla siebie sposób szaleńczo zakochał się w młodej australijskiej hipisce, po czym impulsywnie ją poślubił. Miała chyba na imię Lindy. (A może Charlotte? Nie jestem pewien. To bez znaczenia. Ja w każdym razie pozostaję przy Lindy). W rok po ich ślubie Lindy została aresztowana w Goa za przemyt heroiny. Znalazła się w obliczu dobrych kilku lat w więzieniu. Naga wychodził z siebie. Jego ojciec był wpływowym człowiekiem i mógł łatwo pomóc, ale Naga – który późno pojawił się w życiu swego ojca – zawsze miał z nim trudne relacje i w ogóle nie chciał go znać. Skontaktował się więc ze mną, a ja pociągnąłem za kilka sznurków. Komendant policji w Pendżabie porozmawiał ze swoim odpowiednikiem w Goa. Wyciągnęliśmy Lindy z aresztu, a oskarżenia zostały wycofane. Ledwie Lindy znalazła się na wolności, pierwszym samolotem poleciała do Perth. Po kilku miesiącach ona i Naga byli formalnie rozwiedzeni. Naga nadal hasał w Pendżabie, chociaż mniej teraz, co łatwo zrozumieć, agresywnie.

Kiedy potrzebna nam była pomoc dziennikarska w jakiejś drobnej kwestii, w jakiejś sprawie, wokół której aktywiści praw człowieka robili dużo hałasu, chociaż jak zwykle wiele było faktów, które wymagały sprostowania, dzwoniłem do Nagi. On pomagał i tak to szło. Narodziła się współpraca.

Z czasem Nadze zaczęła podobać się przewaga, jaką miał nad kolegami, ze względu na to, że otrzymywał od nas informacje. To wielka ironia – inny rodzaj haka narkotykowego. Tyle że tym razem dealerami byliśmy my, a on naszym uzależnionym. W ciągu kilku lat stał się gwiazdą reportażu i powszechnie poszukiwanym w sferze mediów analitykiem do spraw bezpieczeństwa. Kiedy jego związek z Biurem dawał nadzieję, że stanie się czymś trwalszym – mariażem, a nie przygodą na jedną noc – uznałem za roztropne, aby zejść trochę na ubocze. Mój kolega, R.C. Śarma – Ram Ćandra Śarma – zajął moje miejsce. R.C. i Nadze bardzo dobrze się układało. Mieli to samo okrutne poczucie humoru, poza tym uwielbiali rock and rolla i bluesa. O Nadze muszę powiedzieć jedno: nawet jedna rupia nie zmieniła posiadacza. Jeśli o to chodzi, zawsze był – i nadal jest – uczciwy aż do bólu. Ponieważ jego wizja profesjonalnej uczciwości wymaga życia zgodnie z zasadami, aby zachować uczciwość, zmienił zasady i teraz wierzy w nas bardziej niż my sami w siebie. Cóż za ironia w przypadku ucznia, którego ulubionym wyzwiskiem pod moim adresem było „pies podwórzowy imperializmu” – i to

w wieku, kiedy większość z nas ciągle jeszcze czytała komiksy „Archie”.

Nie jestem pewien, kiedy i od kogo Naga nauczył się tego płomiennego języka lewicy. Może od jakiegoś krewnego, który był komunistą. Ktokolwiek to był, okazał się – czy okazała się – dobrym nauczycielem i Naga spektakularnie wykorzystywał to, czego się nauczył. Od jednego starcia prowadziło go to do drugiego. Pamiętam, jak raz spałem się z nim w debacie szkolnej. Musieliśmy wtedy mieć trzynaście, może czternaście lat. Temat brzmiał: „Czy istnieje Bóg?”. Ja miałem argumentować za, a Naga przeciw. Ja wystąpiłem pierwszy. Potem Naga wygłosił swoje płomienne przemówienie, jego żylaste ciało było napięte niczym szpicruta, a głos drżał z oburzenia. Nasi urzeczeni koledzy robili notatki: „Szaleństwo naszych 330 milionów. Te głuche, tępe, nieme idole, samolubne i amoralne bóstwa, które nazywamy Ramą i Kryszną – nie uratują nas od głodu, chorób i ubóstwa. Nasza idiotyczna wiara w małpy i zjawy o słoniowych łbach nie nakarmi głodujących mas...”. Nie miałem żadnych szans. Przemowa Nagi sprawiła, że moja zabrzmiała tak, jakby była napisana przez pobożną, starą ciotkę. O dziwo, chociaż mam wyraźne i nieprzyjemne wspomnienie wszystkich niedostatków, zupełnie nie pamiętam, co właściwie powiedziałem. Jeszcze miesiące potem potajemnie recytowałem przed lustrem słowa Nagi: „Nasza idiotyczna wiara w małpy i zjawy o słoniowych łbach nie nakarmi głodujących mas...”, a krople śliny leciały na moje odbicie niczym deszcz.

Inne z pamiętnych wystąpień Nagi zdarzyło się kilka lat później. Podczas dorocznej imprezy kulturalnej w college’u. Świeżo przybyły z wakacyjnej wyprawy do Bastar z dwoma przyjaciółmi – podczas niej obozowali po lasach i maszerowali przez wioski, w których żyły pierwotne plemiona – Naga pojawił się na scenie, długowłosy, bosy, niemal nagi, jeśli nie liczyć opaski na biodrach, z łukiem i kołczanem strzał przewieszonym przez ramię. Zrobił wielkie widowisko z żucia, jak twierdził, termitów na grzance, co na twarzach dziewcząt na widowni, z których większość chciała za niego wyjść, wywołało wyraz zalotnego obrzydzenia. Kiedy już połknął ostatni kawałek grzanki, podszedł do mikrofonu i wykonał *Sympathy For The Devil* Stonesów, wokalizując dźwięki z tła i symulując akordy na wyobrażonej gitarze. Był dobrym, może nawet znakomitym piosenkarzem, całość jednak wydała mi się niesmaczna, gdyż myślałem, że wyraża najgłębszą pogardę dla tych tubylców, a także dla Micka Jaggera, którego w tej fazie swego życia uważałem za Boga. (Szkoda, że mi to nie przyszło do głowy, kiedy pisałem moje proboskie wystąpienie w szkole). Zdobyłem się na odwagę, by powiedzieć mu to wprost. A Naga się zaśmiał, po czym stwierdził, że jego występ był hołdem i dla nich, i dla niego.

Dzisiaj, gdy szafranowa fala hinduskiego nacjonalizmu wzbiera w naszym kraju niczym kiedyś swastyka w innej części świata, uczniowska „głupia wiara” Nagi najpewniej spowodowałaby jego wyrzucenie, nawet jeśli nie przez władze

szkoły, to z pewnością w wyniku nacisku pewnych rodziców. W rzeczywistości, w dzisiejszej sytuacji, wyrzucenie byłoby prawdziwym szczęściem dla delikwenta. Ludzie są linczowani za rzeczy o wiele drobniejsze. Nawet moi koledzy w biurze, jak się wydaje, nie widzą różnicy pomiędzy wiarą religijną a patriotyzmem. Mam wrażenie, iż chcieliby jakiegoś hinduskiego Pakistanu. Większość z nich to konserwatywni, potajemni bramini, którzy swoje święte nitki noszą pod strojami safari, a święte kucyki zwieszają do wnętrza wegetariańskich czaszek⁶. Tolerują mnie tylko dlatego, że jestem przyjacielem, „podwójnie urodzonym” kołesiem (faktycznie kasta, do której należę, to *baidja*, ale uważa się nas za braminów). Tak czy owak, wolę swoje opinie zachowywać dla siebie. Z drugiej strony Naga zyskał swoją nową dyspensę w jednym gładkim ruchu. Jego dawna arogancja zniknęła bez śladu. W swym nowym awatarze nosi tweedową marynarkę i pali cygara. Bezpośrednio nie spotkaliśmy się od lat, natomiast widuję go, gdy odgrywa rolę eksperta od bezpieczeństwa narodowego we wszystkich tych podniecających audycjach telewizyjnych i chyba nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, że jest co najwyżej kukielką brzuchomówcy. Czasami mnie to zasmuca, iż udało się tak go wytresować. Naga nieustannie eksperymentuje ze swoim zarostem. Czasami epatuje francuską kozią bródką, czasami podwiniętym i nawoskowanym wąsem w stylu Dalego, czasami nosi kilkudniowy zarost projektanta, a niekiedy jest gładziutko ogolony. Można by pomyśleć, że bawi się swoją „aparycją”. To demaskująca pięta Achillesa, jeśli ktoś uparcie trwa w przekonaniu o własnym znaczeniu. A przynajmniej ja tak uważam.

Niestety ostatnimi czasy zaczął przesadzać, a jego nieopanowanie staje się już zasadą. Dwa razy w ciągu ostatnich lat Biuro musiało interweniować (oczywiście dyskretnie) u właścicieli jego gazety, aby rozwiązać spory, które miał z wydawcą, a które zakończyły się impulsywnymi rezygnacjami. Po raz ostatni musieliśmy zorganizować coś w rodzaju zamachu stanu. W efekcie nie tylko przywróciliśmy go na dawne miejsce, ale nawet dostał podwyżkę.

*

Jak gdyby mało było znajomości z przedszkola, szkoły i uniwersytetu, a także odgrywania w teatrze homoseksualnych kochanków, w latach, kiedy delegowano mnie do Śrinagaru jako zastępcę kierownika stacji Biura, Naga był kaszmirskim korespondentem swej gazety. Nie rezydował wprawdzie w Kaszmirze, ale spędzał tu większość czasu. Miał na stałe wynajęty pokój w hotelu Ahdoos, w którym przebywała większość reporterów. Jego związek z Biurem był już wtedy ugruntowany, ale nie tak ewidentny jak teraz. Bardziej nam to odpowiadało. Czytelnicy – a być może i on sam – dalej uważali go za nieustraszonego dziennikarza, którego w zaufaniu można informować o tak zwanych „przestępstwach” państwa indyjskiego.

Musiąo być już dobrze po północy, kiedy przez gorącą linię gubernatora dotarł telefon do Leśnego Gniazdka w parku narodowym Daćigam, jakieś dwadzieścia kilometrów pod Śrinagarem. Byłem tutaj jako część ekipy Jego Ekscelencji. (Mieliśmy poważne kłopoty. Cywilny rząd został zdymisjonowany, był rok 1996, szósty rok rządów gubernatorskich w stanie7).

Jego Ekscelencja, dawniej dowódca armii indyjskiej, jeśli tylko można było, wolał unikać rozlewu krwi w miastach. Spędzał weekendy w Daćigam, przechadzając się nad wartkim górskim potokiem z rodziną i przyjaciółmi, podczas gdy zabrane dzieci, oczywiście mające osobnych ochroniarzy, miażdżyły wymaginowanych przeciwników (którzy umierając, krzyczeli *Allah-hu-Akbar!*) i dręczyły długoogoniaste świstaki w ich norach. Smarkacze zwykle mieli ze sobą jedzenie piknikowe, niemniej obiad zawsze czekał w Gnieździe – ryż i curry z pstrąga z pobliskiej hodowli rybnej. W tamtejszych stawach było tyle ryb, że wystarczyło włożyć rękę – jeśli byłeś w stanie znieść temperaturę bliską zamarzania – by złapać własnego wijącego się tęczowego pstrąga.

Była jesień, widok lasu – tak pięknego, jak potrafią być tylko himalajskie lasy – zapierał dech w piersiach. Platany zaczęły zmieniać kolory. Łąki były miedzianożłote. Jeśli miało się szczęście, można było zobaczyć czarnego niedźwiedzia, lamparta albo słynnego jelenia *hangul*. (Naga zwyczaj był nazywać słynnego z jurności kaszmirskiego ekspremiera „*well hung ghoul*”, co z grubsza można przetłumaczyć jako „widmo z dobrą gruchą”. Celny, muszę przyznać, dowcip, chociaż oczywiście większość ludzi go nie łapała). Zostałem miłośnikiem ptaków – ta pasja mnie nie odstępuje i potrafię odróżnić himalajskiego gryfona od orłosepa, a także zidentyfikować pasiastego krasnosójkowca, gila pomarańczowego, świstunkę cienkodziobą i muchołówkę kaszmirską, które już wtedy były zagrożone, a do dzisiaj pewnie wyginęły. Kłopot z pobytem w Daćigam polegał na tym, że człowiek tracił tam pasję, co podkreślało czczość wszystkich wysiłków, gdyż czuło się, iż Kaszmir rzeczywiście należy do tych stworzeń. Że nikt z nas, którzy walczyliśmy o ten teren – Kaszmirczycy, Indusi, Pakistańczycy, Chińczycy (także i oni mieli jego kawałek, który, zwany Aksai Ćin, stanowił kiedyś część starego królestwa Dżammu i Kaszmiru), ale przecież i Pahari, Gudźdżarowie, Dogrowie, Pasztunowie, Sinowie, Ladakhi, Balti, Gilgiti, Puriki, Wakhi, Jaskuni, Tybetańczycy, Mongołowie, Tatarzy, Monowie, Khowarowie – nikt z nas, ani święty, ani żołnierz, nie miał prawa zawłaszczać sobie tego prawdziwie niebiańskiego piękna i rezerwować tego miejsca wyłącznie dla siebie. Kiedyś, pod wpływem jakiegoś impulsu, powiedziałem to Imranowi, młodemu oficerowi kaszmirskiej policji, który wykonywał dla nas pewne rutynowe tajne zadanie. Odpowiedział:

– To wielka prawda, sir. Tak samo kocham zwierzęta jak pan. Ja mam to samo wrażenie, kiedy jeżdżę po Indiach: że należą one nie do Pendżabczyków,

mieszkańców Bihar, Gudżaratu czy Madrasu, muzułmanów, sikhów, hindusów, chrześcijan – lecz do przepięknych istot: pawi, słoni, tygrysów, niedźwiedzi...

Był uprzejmy, może nawet usłużny, ale wiedziałem, do czego zmierza. To doprawdy niezwykle; nie można było – i dalej nie można – zaufać nawet tym, co do których się zakładało, że są po naszej stronie. Nawet cholernej policji.

W wysokich górach zaczęło już śnieżyć, ale przełęcze były ciągle przejezdne i małe oddziały naiwnych młodych Kaszmirczyków, morderczych Pakistańczyków, Afgańczyków, a nawet trochę Sudańczyków – którzy należeli do jakichś trzydziestu grup terrorystycznych (która to liczba zmniejszyła się z około stu) – nadal wypuszczały się na zdradzieckie wyprawy poprzez Linie Kontroli, umierając po drodze stadnie. Umierając. Może to nieodpowiednie określenie. Jak brzmi ta wspaniała kwestia z *Czasu Apokalipsy*? „Zlikwidować z najwyższą zjadłością”. Rozkazy, jakie otrzymywali nasi żołnierze na Linii Kontroli, były z grubsza właśnie takie. Co jeszcze powinni byli zrobić? „Zadzwoń do matki”?

Bojownicy, którym udało się przejść na drugą stronę, rzadko żyli w Dolinie dłużej niż dwa, trzy lata. Jeśli nie zostali schwytani albo zabici przez siły bezpieczeństwa, nawzajem się mordowali. Trochę wpychaliśmy ich na tę drogę, aczkolwiek nie potrzebowali tutaj wielkiej pomocy – i dalej nie potrzebują. Wyznawcy przychodzą z bronią, różańcami i własnymi podręcznikami: „Jak zniszczyć siebie”.

Wczoraj przyjaciel Pakistańczyk przesłał mi taki kawałek – krążył w SMS-ach, więc niewykluczone, że już go znacie:

- „Zobaczyłem na moście człowieka, który chciał zaraz skoczyć.
- Nie rób tego! – mówię.
 - Nikt mnie nie kocha – on na to.
 - Bóg cię kocha. Wierzysz w Boga? – pytam.
 - Tak – odrzekł.
 - Jesteś muzułmaninem czy nie?
 - Muzułmaninem.
 - Szyita czy sunnita?
 - Sunnita.
 - Ja także! – zawołałem. – Deobandi czy Barelwi?
 - Barelwi.
 - Ja także! Tanzihi czy Takfiri?
 - Tanzihi – odpowiedział.
 - Ja także! Tanzihi Azmati czy Tanzihi Farhati?
 - Tanzihi Farhati – on na to.
 - Ja także! – mówię. – Tanzihi Farhati Dżamia ul Ulum Adżmer czy Tanzihi Farhati Dżamia ul Nur Mewat?
 - Tanzihi Farhati Dżamia ul Nur Mewat – odparł.

– Giń, kafirze!⁹ – I zrzuciłem go z mostu.

Na szczęście niektórzy z nich mają poczucie humoru.

Idea dżihadu – ten kompletny idiotyzm – wlała się do Kaszmiru z Pakistanu i Afganistanu. Teraz, po dwudziestu pięciu latach, myślę, że mamy szczęście, iż walczą w Kaszmirze osiem albo dziewięć wersji prawdziwego islamu. A każda ma swój własny zastęp mułłów i *maulanów*. Najbardziej radykalni z nich – ci, którzy występują przeciwko idei nacjonalizmu albo na rzecz wielkiej *Ummy* islamu – są w rzeczywistości na naszej liście płac. Jeden niedawno zginął tuż pod własnym meczetem na skutek wybuchu roweru z bombą. Nietrudno go będzie zastąpić. Jedyną rzeczą, która powstrzymuje Kaszmir od samozniszczenia w stylu Pakistanu czy Afganistanu, jest stary dobry kapitalizm drobnoburżuazyjny. Przy całej swej religijności Kaszmirczycy są świetnymi biznesmenami. A ostatecznie wszyscy biznesmeni w ten czy inny sposób wykazują zainteresowanie utrzymaniem status quo czy też tym, co my nazywamy „procesem pokojowym”, który, nawiasem mówiąc, jest rodzajem biznesu zupełnie różniącym się od pokoju.

Zjawili się ludzie bardzo młodzi, nastoletni, dwudziestokilkuletni. Być może cała generacja popełniła samobójstwo. W okolicach 1996 roku był już tylko malutki strumyczek tych, którzy przekraczali granicę. Ale nie udało nam się go całkowicie zahamować. Otrzymywaliśmy trochę niepokojących informacji wywiadowczych o naszych żołnierzach na niektórych punktach granicznych, którzy za pieniądze udostępniali okienka „bezpiecznego przejścia”, i dyskretnie odwracali głowy, gdy pasterze ze wspólnoty Gudźdżarów, którzy znają te góry jak wnętrze własnej dłoni, przeprowadzali oddziały.

„Okienko bezpieczeństwa” było tylko jedną z rzeczy na rynku. Można było też dostać olej napędowy, alkohol, naboje, granaty, wojskowe racje żywnościowe, drut kolczasty i drewno. Znikały całe lasy. Na terenie obozów wojskowych stawiano tartaki. Do wojska wcielano kaszmirskich robotników i kaszmirskich stolarzy. Ciężarówki w wojskowych konwojach, które z Dżammu wiozły dostawy do Kaszmiru, codziennie wracały wypełnione meblami z rzeźbionego orzecha. Może nie byliśmy najlepiej wyekwipowaną armią na świecie, ale z pewnością najlepiej, by tak rzec, umeblowaną. Któż jednak może ingerować w sprawy zwycięskiej armii?

Wzgórza otaczające Daćigam były stosunkowo spokojne. Oprócz tego jednak, że zawsze stacjonowały tutaj oddziały paramilitarne, przy każdej wizycie Jego Ekscelencji patrole zapewniające kontrolę nad terenem wyjeżdżały dzień wcześniej, aby zabezpieczyć wzgórza wznoszące się nad drogą, po której miał podążać zbrojny konwój, a opancerzone pojazdy zwiadu minowego miały zbadać, czy aby trasa nie jest zaminowana. Park był permanentnie zamknięty dla miejscowych. Aby zabezpieczyć Gniazdo, ponad stu ludzi bez przerwy stacjonowało na dachu, w strażnicach wokół terenu i rozstawionych

w koncentrycznych kołach, które sięgały na kilometr w głąb lasu. Niewielu znalazłoby się ludzi w Indiach, którzy uwierzyliby, ile trzeba było się natrudzić w Kaszmirze, aby zapewnić naszemu szefowi świeżo złowioną rybkę.

Późnym wieczorem dotarł do mnie codzienny raport, abym mógł rano przedstawić Jego Ekscelencji najnowsze informacje. Ściszyłem mój stary magnetofon Sony. Rasoolan Bai śpiewała *ćejti: Chaijjan Motia Hirai Geli Ram*. Kesar Bai była z pewnością naszą najbardziej udaną wokalistką muzyki hindustani, ale Rasoolan była z pewnością najbardziej erotyczna. Miała głęboki, chrypliwy męski głos, zupełnie niepodobny do wysokiego, dziewczęcego, ciągle dopiero dojrzewającego głosu, który zaczął dominować w zbiorowej wyobraźni za sprawą ścieżek dźwiękowych z Bollywood. (Mój ojciec, nauczyciel klasycznej muzyki hindustani, uważał Rasoolan za profankę. To była jedna z wielu różnic między nami, których nie udało się pokonać). Gdyby śpiewała o sznurze pereł, który się rozrywa w trakcie uprawiania miłości, mógłbym sobie wyobrazić każdą z nich, gdy Rasoolan z sytym rozleniwieniem śledziłaby, jak rozsypują się po podłodze sypialni. (Tak, był to czas, kiedy muzułmańskie kurtyzany potrafiły uwodzicielsko przywołać bóstwo hinduskie).

Rano w mieście były poważne kłopoty. Rząd oznajmił, że w ciągu trzech miesięcy odbędą się wybory. Pierwsze po prawie dziewięciu latach. Bojownicy ogłosili bojkot. Było jasne (w przeciwieństwie do obecnej chwili, gdy trudno zapanować nad kolejkami tłoczącymi się do kabin wyborczych), że ludzie nie będą chcieli wyjść z domów i zagłosować bez jakiejś perswazji z naszej strony. „Wolna” prasa stawia się w całej swojej promiennej idiotyczności, trzeba więc było zachować ostrożność. Asem pik miał się stać Ichwan-ul-Muslimin z Bractwa Muzułmańskiego, naszej siły walczącej z powstańcami, oportunistycznej grupy bojowej, która poddała się jako grupa kompletnie i bez żadnych zastrzeżeń. Stopniowo ich szeregi rozszerzały się za sprawą innych „wolnych strzelców”, którzy zaczęli się poddawać gromadami (co Kaszmirczycy nazywali „cylindrowaniem”). Przegrupowaliśmy ich i przebroiliśmy, a potem znowu puściliśmy do boju. Ichwanicy byli bezwzględni, należeli głównie do nich rozbójnicy i drobni kryminaliści, którzy przyłączali się do zbrojnych grup, gdy widzieli w tym zysk, potem zaś jako pierwsi gotowi byli się cylindrować, gdy sprawy zaczynały iść gorzej. Mieli, że tak powiem, dostęp do miejscowych źródeł wywiadowczych, o których my nawet nie mogliśmy marzyć, więc kiedy udało się ich przekabacić, zyskali wątpliwej natury przewagę, która pozwalała im przeprowadzać operacje wykraczające poza uprawnienia naszych regularnych oddziałów. Zrazu wydawali się nieocenionym skarbem, ale potem coraz bardziej wymykali się spod kontroli. Budzącym największy postrach Księciem Ciemności był facet zwany przez miejscowych „Papa”, który kiedyś pracował jako zwyczajny wartownik w fabryce. W swej bogatej karierze już jako zwolennik -Ichwana zabił

spora liczbę ludzi. (Myślę, że w tej chwili rachunek wynosi stu trzech). Przerazenie, które wywoływał, z początku przemawiało na naszą korzyść, ale w okolicach 1996 roku przestał być użyteczny i zaczęliśmy się zastanawiać, jak go okiełznać. (Siedzi teraz w więzieniu). W marcu tego roku, bez żadnych instrukcji od nas, Papa sprzątnął dobrze znanego wydawcę dziennika urdu – który ja nazwałbym nieodpowiedzialnym dziennikiem urdu. (Nieodpowiedzialne, zaciekle antyindyjskie dzienniki, które zawsze wyolbrzymiały liczbę ofiar, a jeśli tylko to im odpowiadało, przeinaczały fakty, ogólnie rzecz biorąc podkopały pozycję lokalnych mediów i ułatwiły nam wymiecienie ich przy użyciu tej samej szczotki. Jeśli chcecie usłyszeć prawdę, tak, niektóre z nich sami założyliśmy). W maju Papa zajął wspólnotowy cmentarz w Pulwamie, twierdząc, że to jego teren dziedziczny. Potem zabił powszechnie lubianego nauczyciela z nadgranicznej wioski, a jego ciało rzucił na „ziemię niczyją”, obsianą minami przeciwpiechotnymi. Dlatego też nie można było podejść do ciała, nie można było odprawić nabożeństwa żałobnego, a uczniowie zmarłego musieli się przyglądać, jak ciało ich nauczyciela jest rozrywane przez kanie i sępy.

Pod wrażeniem sukcesów Papy inni Ichwanicy zaczęli brać z niego przykład.

Tego ranka ich grupa zatrzymała parę starych Kaszmirczyków przy szlabanie na obrzeżach Śringaru. Kiedy mężczyzna nie chciał oddać portfela, zabrali uparciucha i odjechali. Ludzie gonili ich aż do obozu, który Ichwanicy dzielili z nadgranicznymi siłami bezpieczeństwa. Starzec został wyrzucony z samochodu pod samą bramą obozu, a kiedy tamci byli już w środku – nie wiem, jak mam to właściwie określić – kompletnie stracili rozsądek. Cisnęli granat na drugą stronę muru, a potem zaczęli strzelać do tłumu z karabinu maszynowego. Zginął chłopiec, a kilkunastu ludzi zostało rannych. Połowa z nich – poważnie. Ichwanicy udali się potem na posterunek i grożąc policjantom, nie dopuścili do sporządzenia raportu. Po południu urządzili napad w trakcie pogrzebu chłopca i porwali trumnę. To zaś znaczyło, że skoro nie ma ciała, nie może też być oskarżenia. Pod wieczór publiczne protesty nabrały gwałtownego charakteru. Trzy komisariaty zostały spalone. Siły bezpieczeństwa ostrzelały tłum i zabiły jeszcze czternaście osób. We wszystkich większych miastach – Sopor, Baramulli i oczywiście Śringarze – ogłoszono godzinę policyjną.

Kiedy odezwał się telefon i odpowiedział adiutant Jego Ekscelencji, przypuszczałem, że problemy wymknęły się spod kontroli i dzwonią z prośbą o nowe rozkazy. Okazało się, że jest inaczej.

Dzwoniący powiedział, że znajduje się w Zbiorczym Centrum Przesłuchań, które działało w kinie Shiraz.

Nie brzmi to nadzwyczajnie, ale było inaczej, niż się może wydawać. Nie zamknęliśmy funkcjonującego kina, aby zamienić je w centrum przesłuchań. Całe Shiraz zostało zamknięte kilka lat temu przez ugrupowanie Tygrysy Allaha. To oni

kazali, aby zlikwidować wszystkie kina, sklepy z alkoholem i bary, gdyż są nieislamskie i stanowią „narzędzia kulturowej agresji Indii”. Proklamacja została podpisana przez marszałka lotnictwa Nura Chana. Tygrysy obwiesiły miasto złowieszczymi afiszami i zaczęły podkładać bomby pod bary. Kiedy wreszcie złapaliśmy marszałka lotnictwa, okazało się, że to prawie zupełnie niepiśmienny chłop z odległej wioski w górach, który najpewniej nigdy w życiu nie widział aeroplanu. Byłem nowicjuszem w zespole przesłuchujących (działo się to przed oddelegowaniem mnie do Śrinagaru), który odwiedził w więzieniu jego i kilku innych w nadziei, że może uda się ich przekabacić. Na wszystkie pytania odpowiadał sloganami, które wykrzykiwał tak, jakby to był wiec: *Dżis Kaśmir ko khun se sinća, wo Kaśmir hamara he!* „Nawieźliśmy Kaszmir naszą krwią. Kaszmir jest nasz!”. Albo też zawołanie bojowe Tygrysów Allaha: *La Śarakeja wa La Garabeja, Islamia, Islamia!* – co z grubsza znaczy tyle: „Niech się Zachód i Wschód pieprzy, bo to islam jest najlepszy!”.

Marszałek lotnictwa był odważnym człowiekiem i prawie zazdrościłem mu tej płynącej z czystej zagorzałości prostoty umysłu. Nawet siedząc w Cargo, pozostawał nieprzejednany. Teraz jest na wolności, odsiedziawszy dłuższy wyrok. Ciągłe mamy na niego oko, a także na innych jemu podobnych. Ale wydaje się, że teraz nie będzie już z nim kłopotów. Zarabia na swe marne życie, sprzedając znaczki pocztowe pod sądem okręgowym w Śrinagarze. Słyszałem, że jest niepoczytalny, aczkolwiek nie mogę tego potwierdzić. Cargo mogło być dosyć surowym miejscem pobytu.

*

Oficer dyżurny, który odebrał telefon, poinformował mnie, że dzwoniący przedstawił się jako Amrik Singh, a mnie wskazał, podając nie tylko stopień i stanowisko, ale także nazwisko Biplab Dasgupta, zastępca kierownika stacji India Brawo (takie było w Kaszmirze szyfrowe określenie przez radio Biura Wywiadu).

Owszem, znałem tego Singha, nie osobiście – nie widziałem go na oczy – ale za sprawą jego reputacji. (Nawiasem mówiąc, dziś jest sławny. Pośmiertnie. Niedawno się zabił – zastrzelił żonę, trzech małych synów, a na koniec wpackował kulkę w głowę samemu sobie. Nie mogę powiedzieć, że mi przykro. Cóż, szkoda żony i dzieci). Major Amrik Singh był złym jabłkiem. Nie, ujmę to inaczej: był zgniłym jabłkiem, a w chwili telefonu znajdował się akurat w szczytowej fazie gnicia. Kilka miesięcy po moim przyjeździe do Śrinagaru, który nastąpił w styczniu 1995 roku, Amrik Singh aresztował w punkcie kontrolnym, najpewniej na rozkaz, dobrze znanego prawnika i aktywistę praw człowieka Dżaliba Kadriego. Z Kadrim były tylko kłopoty: arogancki zarozumialec, który nie potrafił wyczuwać niuansów. Tego wieczoru, gdy go aresztowano, miał wyjechać do Delhi, skąd leciał do Oslo, aby wystąpić na międzynarodowej konferencji praw człowieka. Areszt miał tylko

zapobiec temu cyrkowi. Amrik Singh pojmał Kadriego publicznie, w obecności jego żony, ale areszt nie był formalnie zatwierdzony, co akurat nie było niczym niezwykłym. Zaraz zaczęto krzyczeć o porwaniu Kadriego, a zamęt był znacznie większy, niż się spodziewaliśmy, więc po kilku dniach wydawało się rozsądne, by faceta wypuścić. Nigdzie jednak nie dało się go znaleźć. Ponieważ zaczął się wielki lament, utworzyliśmy komitet poszukiwawczy i staraliśmy się uspokoić nerwy wszystkich. Kilka dni później ciało Dżaliba Kadriego wyłowiono w worku pływającym z nurtem Dźhelamu. Był w okropnym stanie: czaszka zmiażdżona, oczy wyłupione i tak dalej, co nawet jak na standardy kaszmirskie było jednak przesadą. Publiczne wzburzenie przekroczyło – naturalnie – zwykły poziom, więc miejscowej policji pozwolono zarejestrować sprawę. Powołano komisję wysokiego szczebla, która miała się nią zająć. Amrik Singh zamknął Kadriego w obozie wojskowym, w którym doszło do kłótni między nimi dwoma. Doprowadziła ona Amrika do wściekłości. Znaleziono na to świadków, ostatecznie doszło do pisemnych zeznań, co było rzadkie. Nawet pomocnicy Amrika Singha w tej zbrodni – większość z nich to Ichwanici – gotowi byli się stawić i zeznawać. Wtedy jednak zaczęły się pojawiać trupy. Na polach, w lasach, na poboczach dróg... Zabijał wszystkich. Armia i władze musiały przynajmniej udawać, że coś robią, choć tak naprawdę niewiele mogli przeciw niemu zdziałać. Wiedział za dużo i nie ukrywał tego, że jeśli zostanie pogrążony, to pociągnie za sobą tak wielu ludzi, ilu tylko się da. W ślepych zaułku stawał się niebezpieczny. Postanowiono, że najlepiej będzie usunąć go z kraju, znalazł-szy mu gdzieś bezpieczne miejsce. Tak też ostatecznie się stało. Nie można jednak było tego zrobić od razu. A w każdym razie tak długo, jak długo znajdował się w świetle reflektorów. Musiał nastąpić okres wyciszenia. Na początek odebrano mu operacje w terenie i dostał pracę przy biurku. W Centrum Shiraz, gdzie nie powinien sprawiać kłopotów, a przynajmniej tak nam się wydawało.

I oto teraz on do mnie dzwonił. Nie mogę powiedzieć, że marzyłem o tej rozmowie. Taką zarazę najlepiej trzymać w kwarantannie.

Kiedy zgłosiłem się do telefonu, wydawał się podniecony. Mówił tak szybko, że dopiero po chwili zorientowałem się, że to angielski, a nie pendżabski. Oznajmił, że schwytał terrorystę najwyższej kategorii, komendanta Gulreza, dowódcę budzących grozę Hizb-ul-Mudżahidin, w rozległej operacji otoczenia i przeszukania łodzi mieszkalnych.

To był Kaszmir. Separatyści używali sloganów, nie inaczej rzecz się miała z naszymi ludźmi w wywiadach dla prasy. Ich operacje otoczenia i przeszukania były zawsze „rozległe”, każdego, kto został pojmany, prezentowano jako „budzącego grozę” i rzadko kiedy był mniej niż „najwyższej kategorii”, a zarekwirowane rzeczy zawsze „groziły wojną”. Trudno się dziwić, skoro te określenia miały swoją konsekwencję. Nagroda pieniężna, honorowa wzmianka

w ich dossier zawodowym, medal za odwagę albo awans. Nietrudno więc sobie -wyobrazić, że te słowa nie przyspieszyły mi specjalnie pulsu.

Powiedział, że terrorysta został zabity w trakcie ucieczki. Także i to niewiele znaczyło. Zdarzało się to kilka razy dziennie, jeśli dzień był dobry. Albo zły, w zależności od perspektywy oceniającego. Czemu więc dzwonił do mnie późnym wieczorem, aby poinformować o czymś tak rutynowym? A poza tym jaki związek miało jego podniecenie z moim wydziałem czy ze mną samym?

Wraz z komendantem Gulrezem, poinformował, została schwytana „dama”. Która nie była Kaszmirką.

O, to już było niezwykle. Czegoś takiego naprawdę się nie słyszało.

„Dama” została przekazana na przesłuchanie do P.P. Pinky.

Podkomisarz policji Pinky Sodhi wszyscy znali z jej brzoskwiowej cery i długich czarnych włosów zwiniętych pod czapką. Jej brat bliźniak, Balbir Singh Sodhi, był wyższym oficerem policji zastrzelonym przez powstańców w Sopor, kiedy udał się na poranną przebieżkę. (Głupi zwyczaj jak na wysokiego oficera, nawet jeśli szczyli się – czy, jak się okazało, łudzi się – tym, że miejscowi go „kochają”). P.P. Pinky otrzymała pracę w CRPF – Central Reserve Police Force (Centralnych Rezerwowych Siłach Policyjnych) – jako wyraz współczucia dla rodziny i sposób zrekompensowania śmierci jej brata. Nikt nigdy jej nie widział bez munduru. Wyglądała wprawdzie urzekająco, ale przesłuchania prowadziła brutalnie, często wykraczając poza swoje kompetencje, bo walczyła również z demonami szalejącymi w niej samej. To nie była wprawdzie liga Amrika Singha, niemniej Bóg powinien się ulitować nad każdym Kaszmirczykiem, który wpadł w jej ręce. Co zaś się tyczy tych, którzy w jej ręce nie wpadli, wielu z nich z zapalem pisało dla niej wiersze miłosne, a nawet proponowało jej małżeństwo. Taki już miała fatalny urok P.P. Pinky.

„Dama”, którą aresztowali, usłyszałem, odmówiła podania swego nazwiska. Ponieważ nie była Kaszmirką, wyobrażałem sobie, że P.P. Pinky nie poszła na całego i trzymała się jednak pewnych zasad. Gdyby tego nie zrobiła, wtedy ani „damy”, ani „dżentelmenowie” nie byliby w stanie zatrzymać dla siebie informacji. Tak czy owak, zaczynałem się niecierpliwić. Ciągle nie mogłem odgadnąć, co to ma wspólnego ze mną.

Wreszcie Amrik Singh dotarł do sedna: podczas przesłuchania pojawiło się moje nazwisko. Kobieta poprosiła, aby przekazano mi informację. Nie potrafił jej zrozumieć, oznajmił, jednak ona twierdziła, że ja zrozumieję natychmiast. -Odczytał ją – czy raczej przeliterował – głośno przez telefon.

G-A-R-S-O-N H-O-B-A-R-T

Głowę wypełnił mi głos Rasoolan, ciągle poszukujący rozrzuconych pereł: *Kahan vaeka dhoondoan re? Dhoondhat dhoondhat baura gaeli Rama...*

„Garson Hobart” musiało zabrzmieć niczym jakiś sekretny kod akcji

militarnej albo potwierdzenie odbioru dostawy broni. Zdziaczały brutal po drugiej stronie telefonu czekał na moje wyjaśnienie. Nie wiedziałem nawet, od czego zacząć.

Czy komendant Gulrez mógł mieć coś wspólnego z Musą? Czy był Musą? Po przeniesieniu do Śrinagaru kilkakrotnie usiłowałem się z nim skontaktować. Chciałem mu przekazać kondolencje z powodu tego, co przydarzyło się jego rodzinie. Nigdy mi się nie udało, co w tych dniach najczęściej znaczyło tylko jedno. Był w podziemiu.

Z kim jeszcze innym mogła być Tilo? Czy zabili Musę na jej oczach? Och, Boże!

Powiedziałem Amrikowi Singhowi tak obcesowo, jak tylko mogłem, że oddzwonię.

Instynkt mi podpowiadał, bym trzymał się jak najdalej od kobiety, którą kochałem. Czy czyniło to ze mnie tchórza? Nawet jeśli tak, to nie kryłem się z tym.

Chociaż chciałem pojechać do niej, nie było to możliwe. Znajdowałem się w środku dżungli i panowała późna noc. Wyruszenie oznaczało syreny, alarmy, co najmniej cztery jeepy i jeden pojazd opancerzony. Oznaczało też zabranie ze sobą co najmniej szesnastu ludzi. Takie były minimalne wymagania protokołu. Tego rodzaju cyrk na pewno nie pomógłby Tilo. Ani mnie. A służbę bezpieczeństwa Jego Ekscelencji pograżyłyby w sposób o nieprzewidywalnych konsekwencjach. Mogła to być zresztą pułapka, aby mnie przyskrzynić. Koniec końców, Musa wiedział o Garsonie Hobarcie. Może było to myślenie paranoiczne, ale w tym czasie niewielka była różnica między ostrożnością a paranoją.

Nie miałem alternatyw. Zadzwoiłem do hotelu Ahdoos i spytałem o Nagę. Na szczęście był na miejscu. Oznajmił, że skłonny jest natychmiast udać się do Shirazu. Im bardziej zatroskany i gotów do pomocy się wydawał, tym bardziej ja byłem zaniepokojony. Dosłownie słyszałem, że z ogromną radością przyjmuje rolę, którą mu proponowałem, i obiema rękami chwyta nadarzącą się okazję, którą uwielbiał: wielki występ. Jego skwapliwość uspokoiła mnie, a zarazem wprawiła w furję.

Zadzwoiłem do Amrika Singha i kazałem mu oczekiwać dziennikarza nazwiskiem Nagaradž Hariharan. Nasz człowiek. Powiedziałem, że jeśli nie mają niczego przeciw kobiecie, muszą ją natychmiast zwolnić i oddać mu pod opiekę.

Kilka godzin później Naga zadzwonił z informacją, że Tilo znajduje się w Ahdoos, w pokoju sąsiadującym z nim. Zasugerowałem, aby z samego rana wylecieli do Delhi.

– Z nią to nie takie proste, Das-Goose – odparł. – Oznajmiła, że musi iść na pogrzeb komendanta Gulreza, kimkolwiek on, u diabła, jest.

Das-Goose. Nie nazywał mnie tak od czasów college'u. Wtedy w okresie swojego skrajnego radykalizmu określał mnie szyderczo (z jakiegoś powodu

z niemieckim akcentem) mianem: „Biplab Das-Goose-da” – co było jego wersją Biplaba Dasgupty. Rewolucyjny Brat Goose.

Nigdy nie wybaczyłem moim rodzicom, że nazwali mnie Bip-lab, aby upamiętnić dziadka ze strony ojca. Czasy się zmieniły. Zanim się urodziłem, Brytyjczycy wyjechali, a my sta-liśmy się wolnym krajem. Jak mogło im przyjść do głowy, aby nazwać dziecko „Rewolucją”? Jak można było sobie wyobrazić czyjaś drogę życiową z takim imieniem? W pewnym momencie zastanawiałem się nad tym, aby legalnie zmienić imię na coś bardziej pokojowego, na przykład Siddhartha czy Gautama albo jeszcze inaczej. Zrezygnowałem z tego, ponieważ wiedziałem, że z takimi przyjaciółmi jak Naga historia będzie brzęczała za mną niczym puszka przywiązana do kociego ogona. No więc tak już zostało i oto jestem – Biplab. Najsekretniejsza komnata w samym sercu instytucji, która nazywa się rządem Indii.

– Czy to był Musa? – spytałem Nagę.

– Nie chce powiedzieć. Ale kto inny mógłby jeszcze być?

*

Do poniedziałkowego ranka liczba ofiar wzrosła do dziewiętnastu: czternastu demonstrantów zabitych w ostrzale, chłopiec zastrzelony przez Ichwanich, Musa czy komendant Gulrez, czy kimkolwiek był ten, który tak się nazwał, a także trzech bojowników zabitych w czasie wymiany strzałów w Ganderbal. Setki tysięcy żałobników zebrały się, aby na własnych barkach ponieść tych dziewiętnaście trumien (łącznie z pustą, gdyż ciało chłopca zostało wykradzione) na Cmentarz Męczenników.

Z biura gubernatora zadzwonili, mówiąc, że nie jest wskazane, abyśmy próbowali wrócić do miasta przed następnym dniem. Po południu zadzwonił mój sekretarz.

– Sir, *sun lidźije*, proszę posłuchać, sir...

Siedząc na werandzie Leśnego Gniazda w lesie Daćigam ponad śpiewem ptaków i dźwiękiem koników polnych usłyszałem sto tysięcy lub więcej głosów wspólnie domagających się wolności: „*Azadi! Azadi! Azadi!*”. I tak raz za razem. Nawet w telefonie było to denerwujące. Zupełnie inaczej niż wtedy, gdy w celi marszałek powietrzny wykrzykiwał swoje slogany. Było zupełnie tak, jakby miasto oddychało jedną parą płuc, jakby jednym gardłem wyrzucało z siebie natarczywy, przenikliwy krzyk. Wtedy już wiedziałem, jaki mam udział w tych demonstracjach. I więcej niż ten udział słyszałem w sloganach wykrzykiwanych w innych częściach kraju. To było coś swoistego, ta pieśń Kaszmirczyków. Coś więcej niż polityczne żądanie, to była pieśń, hymn, modlitwa. Ironia polegała – i polega – na tym, że jeśli zbierzesz czterech Kaszmirczyków w jednym pokoju i poprosisz ich o to, aby dokładnie wyjaśnili, co rozumieją przez *Azadi*, jakie są ideologiczne i geograficzne

kontury tej wolności – skończy się pewnie na tym, że nawzajem poderzną sobie gardła. A jednak błędem byłoby sprowadzać wszystko do zasadniczych nieporozumień. To nie jest problem klarowności i wyrazistości, naprawdę nie. To bardziej jak straszliwa jasność, która odnosi się do czegoś, co istnieje poza językiem współczesnej geopolityki. Wszyscy protagoniści po wszystkich stronach, włącznie z nami, bezlitośnie wykorzystywali ten błąd. Doprowadziło to do wojny doskonałej: wojny, w której nie można ani zwyciężyć, ani przegrać. Wojny bez końca.

Ten zaśpiew, który słyszałem rano przez telefon, był skondensowaną, przedestylowaną pasją – równie ślepą i równie czczą, jak zwykle jest pasja. Podczas tych (na szczęście krótkotrwałych) okazji, kiedy nabierał pełnej mocy krzyku, potrafił się przedrzeć przez świadectwa historii i geografii, przez rozum i politykę. Potrafił nawet najtwardszych z nas zmusić do zastanowienia – choćby tylko na chwilę – co, u diabła, robimy w tym Kaszmirze, starając się rządzić ludźmi, którzy tak bardzo nas nienawidzili.

Tak zwane pogrzeby męczenników były zawsze grą nerwów. Policja i siły bezpieczeństwa otrzymywały rozkaz, aby pozostawać w gotowości, ale nie rzucać się w oczy. Nie wynikało to tylko z faktu, że w takich przypadkach wzburzenie ogromnie rosło, a każde starcie musiało nieuchronnie prowadzić do kolejnej masakry; tego nauczyliśmy się z gorzkich doświadczeń. Zakładano, że jeśli pozwoli się ludziom, aby dali ujście swym uczuciom i wykrzyczeli od czasu do czasu swe slogany, to gniew nie wzrośnie do takiego poziomu, że nie będzie można będzie nad nim zapanować. Jak dotąd, przez ponad ćwierćwiecze konfliktu w Kaszmirze, taka polityka się opłacała. Kaszmirczycy z żalem opłakiwali umarłych, wykrzykiwali swoje hasła, ale na koniec zawsze wracali do domów. Stopniowo w trakcie tych lat stało się to zwyczajem, pewnym przewidywalnym i dającym się zaakceptować cyklem, w efekcie którego przestali sobie ufać i szanować samych siebie. Z pogardą myśleli o swoich nagłych wzburzeniach i późniejszych kapitulacjach. To była nieplanowana korzyść, z której czerpaliśmy.

Tak czy owak, pozwolić półmilionowi, a czasami milionowi ludzi na to, aby wyległ na ulice, to bardzo poważne ryzyko w każdej sytuacji, a co dopiero mówić o rebelii.

*

Nazajutrz rano, kiedy ulice zabezpieczono, powróciliśmy do miasta. Pojechałem wprost do Ahdoos, aby się dowiedzieć, że Tilo i Naga już się wymeldowali. Naga nie wrócił natychmiast do Śrinagaru. Powiedziano mi, że jest na urlopie.

Kilka tygodni później otrzymałem zaproszenie na ich ślub. Poszedłem oczywiście, jakżeż mógłbym nie pójść? Czułem się odpowiedzialny za tę szopkę.

Za popchnięcie Tilo w ramiona mężczyzny, co do którego byłem pewien, że nie będzie wobec niej uczciwy. Nie przypuszczałem, aby została wprowadzona w tajniki związków jej przyszłego męża z Biurem Wywiadu. Najpewniej sądziła, iż poślubia zaangażowanego dziennikarza, poszukiwacza sprawiedliwości, bicz boży dla establishmentu, który zabił ukochanego przez nią mężczyznę. Ta maskarada mnie złościła, ale oczywiście nie ja mogłem być tym, kto rozwieje jej złudzenia.

Wesele odbyło się na zalanych światłem księżycą trawnikach należącego do rodziców Nagi wielkiego białego domu w stylu art déco, ulokowanego w Enklawie Dyplomatycznej. Była to nieduża, wysmakowana rezydencja, bardzo niepodobna do rozbuchanych ekstrawagancji, które stały się w dzisiejszych czasach tak popularne. Wszędzie było wiele kwiatów, lilii, róż, kaskadowych łańcuchów jaśminu, bardzo gustownie ułożonych przez matkę Nagi i jego starszą siostrę, z których żadna nie wydawała się szczęśliwa, a nawet nie chciała tego udawać. Wzdłuż podjazdu i wokół kwietników stały gliniane lampy. Z drzew zwieszały się japońskie lampiony. Lampki iluminacyjne połyskiwały między gałęziami. Staroświeccy portierzy w liberiach z mosiężnymi guzikami, czerwono-złotymi szarfami i sztywnymi białymi turbanami, krążyli z tacami, na których znajdowały się napoje i przekąski. Stado starannie wyczesanych psów, pachnących perfumami i dymem papierosowym, uwijało się w szale między gośćmi niczym mała armia ujadających, zmotoryzowanych szczoteczek podłogowych.

Na podium, pokrytym białą tkaniną, zespół muzyków z Barmeru, w białych *dhoti* i *kurtach* oraz jaskrawych, nadrukowanych turbanach, przeniósł nas na pustynię Radżastanu. Ludowa muzyka muzulmańska była złym wyborem na ten rodzaj wesela. Ale cóż, mój przyjaciel Naga był eklektykiem, a odkrył ich podczas swojej wycieczki na pustynię. Byli znakomitymi wykonawcami. Ich surowa, ostra muzyka otwierała miejskie niebo i strząsała z gwiazd kurz. Najlepszy z nich wszystkich, Bhungar Chan, zaśpiewał o nadejściu monsunu. Jego dziki, wysoki, niemal kobiecy głos przekształcił piosenkę o tym, z jakim bólem tęskni spieczona pustynia do deszczu, w opowieść o kobiecie pragnącej, aby powrócił jej kochanek. Moje wspomnienie z wesela Tilo zawsze będzie przeniknięte tą piosenką.

Minęło już dziesięć lat od chwili, gdy widziałem Tilo i paliłem z nią jointa na jej tarasie. Była szczuplejsza, niż ją zapamiętałem. Obojczyki wystawały jej z podstawy szyi. Jej delikatne niczym pajęczyna sari miało barwę zachodzącego słońca. Głowę miała zakrytą, ale przez cienką tkaninę mogłem rozpoznać gładki kształt jej głowy. Była łysa zupełnie albo prawie. Włosy to tylko welwetowe ściernisko. W pierwszej chwili pomyślałem, że jest z nią niedobrze i wychodzi z chemioterapii albo z jakiejś okropnej dolegliwości, która sprawiła, że straciła włosy. Ale jej gęste, niemal krzaczaste brwi i grube rzęsy wskazywały na coś innego. Z całą pewnością nie wyglądała na osobę chorą czy źle się czującą. Twarz miała odsłoniętą, nie nosiła żadnego makijażu, żadnego *kajal*, kropki *bindi*, żadnej

henny na rękach czy stopach. Wyglądała na dublerkę panny młodej, która się oddaliła, aby zmienić ubranie. „Osamotniona” – myślę, że tym słowem starałbym się ją opisać. Robiła wrażenie kogoś, kto jest zupełnie, nieodwołalnie sam, nawet podczas własnego ślubu. Znikła niefrasobliwość.

Kiedy podszedłem do niej, spojrzała mi prosto w oczy, ale poczułem się tak, jakby przez jej oczy spoglądał na mnie ktoś zupełnie inny. Oczekiwałem gniewu, a napotkałem zupełną pustkę. Może to tylko sobie wyobraziłem, ale kiedy wytrzymała mój wzrok, jakby przebiegł przez nią dreszcz. Po raz dziewięćtysięczny spostrzegłem, jakie piękne ma usta. Byłem urzeczony tym, jak się poruszają. Mogłem niemal dostrzec wysiłek, jakiego wymaga uformowanie słów i ich wygłoszenie:

– Tylko obcięłam włosy.

Obcięcie włosów – ogolenie ich – musiało być pomysłem P.P. Pinky Sodhi. Terapia policjantki za to, co uważała za zdradę: spanie z wrogiem, mordercą jej brata. Pinky Sodhi lubiła ujmować rzeczy prosto.

Nigdy nie widziałem Nagi tak skonsternowanego, zaniepokojonego. Trzymał Tilo za rękę przez cały wieczór. Duch Musy klinem wciskał się między nich. Mogłem go niemal zobaczyć: niskiego, krępego, w uśmiechu odsłaniającego ułamany ząb i tę spokojną aurę, jaką roztaczał wokół siebie. Było zupełnie tak, jakby cała trójka wzięła ślub.

Najprawdopodobniej tak to się właśnie zakończyło.

Matka Nagi królowała pośród gromadki eleganckich pań, których perfumy czuć było przez cały trawnik. Ciocia Mira należała do królewskiej rodziny, która posiadała jedno z malutkich władztw w Madhja Pradeś. Jako nastolatka została wdową, której monarszy mąż miał złośliwego raka płuc i zmarł trzy miesiące po ich ślubie. Niepewni tego, co dalej robić, rodzice wysłali ją, aby ukończyła szkołę w Anglii – i tam, na przyjęciu w Londynie, poznała ojca Nagi. Trudno o lepsze miejsce dla królowej bez królestwa niż pozycja żony szarmanckiego urzędnika służby zagranicznej. Przyjęła rolę znakomitej gospodyni domu, współczesnej hinduskiej *maharani*, z przesadnie prezentowanym brytyjskim akcentem, nabytym już w dzieciństwie od niańki i udoskonalonym w szkole. Miała na sobie szyfonowe sari, perły, a głowę zawsze przykrytą *pallu*, jak przystało na osobę z królewskiego rodu radźputów. Usiłowała zachować dzielną minę pomimo traumy, którą wywołała u niej szokująca cera nowej synowej. Ona sama miała skórę koloru alabastru. Jej mąż, chociaż Tamil, był braminem z cerą tylko odrobinę ciemniejszą od jej. Kiedy przechodziłem obok, posłyszałem, jak mała wnuczka, córka jej córki, pyta:

– Nani, czy to Murzynka?

– Oczywiście, że nie, kochanie. Nie bądź niemądra. A poza tym, kochanie, nie używamy już więcej takiego wyrazu jak „Murzyn”. To brzydkie słowo.

Mówimy „Ciemnoskóra”.

- Ciemnoskóra.
- Grzeczna dziewczynka.

Ciotka Mira pomimo zniesmaczenia prezentowała swym przyjaciółkom dzielny uśmiech, mówiąc o nowym członku jej rodziny:

- Ale ma piękną cerę, nieprawdaż?
- Wszystkie przyjaciółki zgodziły się entuzjastycznie.
- Ale Nani, ona wygląda jak służąca.

Dziewczynka znowu została upomniana i odesłana pod byle pozorem.

Inni goście, starzy znajomi Nagi z college’u, bardziej akolici niż przyjaciele, z których żaden nigdy nie widział Tilo, zebrali się na trawniku, nieustannie plotkując, podochoceni przez charakterystyczny dla Nagi okrutny humor. Jeden z nich wznosił toast.

- Za Garibaldiego.

(Był to Abhiszek, który pracował w firmie ojca, pozyskującej i sprzedającej rury kanalizacyjne).

Zaśmiali się głośno, niczym mężczyźni usiłujący być chłopcami.

- Ktoś usiłował z nią rozmawiać? Ona w ogóle się nie odzywa.
- Ktoś usiłował ją rozśmieszyć? Ona w ogóle się nie uśmiecha.
- Gdzie, u diabła, on ją znalazł?

Wypiłem ostatniego drinka i byłem w drodze do wyjścia, kiedy ojciec Nagi, ambasador Śiwaśankar Hariharan, zawołał do mnie:

- *Baba!*

Należał do innej epoki. Wypowiadał „*Baba*” tak, jak Anglik wypowiedziałby „*barber*”. Swe własne imię wymawiał „*Śiver*”. Nigdy nie tracił okazji do tego, aby dać ludziom do zrozumienia, że jest człowiekiem z Balliol.

- Moje ukłony, wuju Śiwa, sir.

Emerytura rzadko jest łaskawa dla potężnych ludzi. Mogłem zobaczyć, jak nagle się postarzał. Zdawał się wychudły, odrobinę za mały do swego garnituru. Cygaro trzymał zaciśnięte między perfekcyjnymi perłowymi zębami. Na skroniach poprzez bladą skórę widać było pulsujące żyły. Szyja była zbyt cienka dla kołnierza. Blade kręgi katarakty układały się obłężeniem wokół ciemnych tęczówek. Uścisnął moją rękę z większym uczuciem, niż okazywał mi kiedykolwiek dotąd. Miał cienki, piskliwy głos.

– Co to, już zmykasz? Zostawiasz nas, żebyśmy sami sobie radzili z tym szczęśliwym wydarzeniem? – Jedyne jego aluzje do ostatniej eskapady syna. – A gdzie twoja piękna żona? Dokąd cię teraz posłali?

Kiedy mu powiedziałem, jego twarz nagle zeszywniała. Zmiana, której doznał, była niemal przerażająca.

- Łap ich za jaja, *Barber*. Serca i umysły pójdą w ślad za tym.

To z nas zrobił Kaszmir.

*

Potem zniknąłem z ich życia. Pomiędzy tamtą chwilą a obecną widziałem Tilo tylko raz, i to zupełnie przypadkowo. Byłem wraz z R.C. – R.C. Śarmą – i jeszcze innym kolegą. Spacerowaliśmy po Ogrodach Lodich, omawiając pewne zawile kwestie służbowe. Zobaczyłem ją z daleka. Była w dresie, z psem u boku biegła wydłużonym krokiem. Nie wiem, czy należał do niej, czy też był to jakiś lokalny kundel, który zdecydował się pobiec za nią. Myślę, że i ona nas zobaczyła, ponieważ zwolniła i zaczęła iść. Kiedy stanęliśmy wobec siebie twarzą w twarz, spocona Tilo ciągle oddychała z trudem. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Może chodziło o zakłopotanie, że zostałem zobaczony z R.C. A może o zwykłą konfuzję, która ogarniała mnie, gdy byłem razem z nią. Cokolwiek to było, sprawiło, iż powiedziałem jakąś durnotę. Coś, co rzuciłbym do żony kolegi, na którą wpadłbym nieoczekiwanie. Taki koleżeński żarcik z cocktail party.

– Cześć! A gdzie mężulek?

Jeszcze wypowiadałem te słowa, a już gotów byłem zabić samego siebie.

Uniosła smycz, którą trzymała w dłoni (pies należał do niej), i powiedziała:

– Mężulek? Och, czasami pozwala mi się samą wyprowadzić.

Zabrzmiało to okropnie, ale wcale takie nie było. Powiedziała to z tym swoim uśmiechem.

Cztery lata temu, niczym grom z jasnego nieba, zadzwoniła nagle, aby spytać, czy przypadkiem jestem tym Biplabem Dasguptą (jest nas mnóstwo z tym absurdalnym nazwiskiem, rozsianych po świecie), który zamieścił ogłoszenie w gazetach, szukając współlokatora do mieszkania na pierwszym piętrze. Odpowiedziałem, że tak, istotnie, to ja. Na to ona, że pracuje dorywczo jako ilustratorka i projektantka graficzna, a że potrzebne jest jej atelier, gotowa jest zapłacić czynsz, choćby wysoki. Odrzekłem, że byłbym bardziej niż zachwycony. Kilka dni później rozległ się dzwonek u drzwi i to była ona. O wiele starsza, oczywiście, ale w jakiś istotny sposób niezmieniona: zadziwiająca jak zawsze. Miała na sobie purpurowe sari i czarno-białą kratkowaną bluzkę. A właściwie koszulę z kołnierzem i długimi rękawami, podwiniętymi do połowy przedramienia. Matowobiałe włosy były ścięte tak krótko, iż wydawały się najeżone. Wyglądała na młodszą albo też starszą, niż naprawdę była. A ja nie mogłem się zdecydować, za którą opcją się opowiedzieć.

Pracowałem wówczas jako zastępca w ministerstwie obrony, mieszkałem na parterze (gdzie dzisiaj magazynowane są arbuzy). Była sobota, Citra i dziewczęta sobie wyszły, znajdowałem się więc w domu sam.

Instykt podpowiadał mi, aby zachowywać się bardziej formalnie niż przyjacielsko, aby nie przypominać przeszłości. Dlatego też poprowadziłem ją

zaraz, aby się rozejrzała po mieszkaniu, które miałyby wynająć. Pokazałem jej dwa pokoje – małą sypialnię i duży gabinet. Wszystko było z pewnością lepsze od jej komórki przy *dardze* Nizamuddina, ale nie dawało się porównać do jej domu, w którym spędziła tyle lat w Enklawie Dyplomatycznej. Ledwie się rozejrzała, a natychmiast stwierdziła, że chce się wprowadzić możliwie jak najszybciej.

Okrążyła puste pokoje i usiadła w wykuszu sypialni, spoglądając na ulicę. Wydawała się oczarowana widokiem, chociaż kiedy też spojrzałem w dół, miałem wrażenie, że musimy widzieć różne rzeczy.

Nie usiłowała podtrzymywać konwersacji i wydawało się, że dobrze jej w ciszy. Ciągle miała tę swoją prościutką srebrną obrączkę na środkowym palcu prawej ręki. Miałem wrażenie, że prowadzi jednak rozmowę, tyle że z samą sobą. Nagle zadała bardzo praktyczne pytanie.

– Czy mogę wypisać czek? Swego rodzaju... depozyt?

Odpowiedziałem, że nie śpieszy się i że w ciągu najbliższych dni napiszę tekst umowy.

Spytała, czy może zapalić. Odrzekłem, że tak, oczywiście, teraz to jej pomieszczenia i może sobie tutaj robić, cokolwiek chce. Wyciągnęła papierosa i przypaliła go, osłaniając płomień dłonią niczym mężczyzna.

– Dałaś już sobie spokój z *biri*? – spytałem.

Jej uśmiech rozświetlił pokój.

Pozwoliłem jej skończyć papierosa, sprawdziłem światła, wentylatory, wodę w kuchni i łazience. Kiedy wstała, aby wyjść, powiedziała, zupełnie jakby kontynuowała naszą wspólną konwersację:

– Tyle jest wiadomości, ale tak naprawdę nikt nie chce wiedzieć czegokolwiek, nie wydaje ci się?

Nie miałem pojęcia, o co może jej chodzić. Poszła sobie. Także wtedy jej nieobecność wypełniła pomieszczenie, zupełnie jak jest teraz.

Wprowadziła się następnego dnia, może dwa dni później. Nie miała prawie żadnych mebli. Nie powiedziała mi wtedy, że rzuciła Nagę i że tak naprawdę nie chodziło jej o pracę, lecz o to, by gdzieś zamieszkać. Czynnikiem bez żadnych zakłóceń wpływał na mój rachunek pierwszego dnia każdego miesiąca.

Jej pojawienie się w moim życiu, jej obecność piętro wyżej – wyzwoliły coś we mnie.

Kłopotuje mnie fakt, że używam czasu przeszłego.

Nawet przelotne spojrzenie po pokoju – po fotografiach (ponumerowanych, opisanych) przypiętych do tablic korkowych, po małych stosikach dokumentów poustawianych schludnie na podłodze, a także po pudełkach z etykietami i aktach, po żółtych karteczkach samoprzylepnych na półkach z książkami, szafkach, drzwiach – powiada mi, że jest tu coś niepewnego, coś, czego lepiej nie dotykać. Co przeznaczone jest na przykład dla Nagi czy nawet dla policji. Ale czy ja się

przełamie, aby to zrobić? Czy mogę, czy powinienem, czy potrafię oprzeć się temu zaproszeniu do intymności, tej okazji do udziału w zwierzeniach?

W dalekim kącie pokoju widzę grubą, długą deskę, opartą na dwóch metalowych podporach, która służy za stół. Pełno na niej papierów, starych taśm wideo, kilka stosików płyt DVD. Są teczki z fotografiami, notatkami, szkicami. Obok starego stacjonarnego komputera tacka, a na niej mnóstwo etykiet, wizytówek, broszurek i papierów firmowych – najpewniej jakieś projekty, dzięki którym zarabiała („zarabia”, na miłość boską!) na życie. Jedyna rzecz w pokoju, która wyglądała uspokajająco normalnie. Było kilka wydruków, które wydawały się różnymi wersjami etykiетки szamponu, używającymi różnych czcionek.

Naturalna odżywka do włosów Ultra Doux z olejkiem z orzecha włoskiego oraz ekstraktem z brzoskwini

Odżywka Ultra Doux łączy w sobie odżywcze i odświeżające zalety olejku z orzechów włoskich, a także wygładzające właściwości miąższu brzoskwini – a wszystko to we wspaniałej odżywce ułatwiającej rozczesywanie włosów, charakteryzującej się szybkim wchłanianiem.

Efekty: łatwe rozczesywanie. Twoje włosy odzyskują trwałą gładkość i lekkość. Świetnie odżywione, sprężyste i błyszczące. WPANIAŁE DOŚWIADCZENIE.

We wszystkich wersjach we „wspaniałym” brakowało „s”. Trudno się dziwić, gdyby w tym stadium życia projektowała etykiетки szamponów z błędem ortograficznym.

A co z szamponem na włosy zniecka znikające?

Na ścianie tuż nad komputerem dwie malutkie, oprawione w ramki fotografie. Na jednej dziewczynka, cztero-, może pięcioletnia. Oczy ma zamknięte, ciało owinięte całunem, krew z rany na skroni przesączyła się przez biały materiał, nabierając kształtu róży. Mała ułożona jest na śniegu. Para rąk podtrzymuje jej główkę, unosząc ją do góry. Na górnym skraju fotografii widać rząd stóp odzianych w najróżniejsze buty zimowe. Przychodzi mi do głowy, że może to być córka Musy. Cóż za pomysł, aby tę fotografię wybrać, oprawić i powiesić sobie na ścianie.

Druga fotografia jest mniej niepokojąca. Zrobiona na pokładzie barki mieszkalnej; niewielkiej i dosyć marnej. Widać jezioro upstrzone w tle kilkoma *śikarami*¹⁰, a za nimi góry. Zdjęcie przedstawia niezwykle niskiego, brodatego młodzieńca w znoszonym brązowym kaszmirskim stroju *pheran*. Jego duża głowa jest nieproporcjonalna do rozmiarów reszty ciała. Za każde ucho ma zatknięty pęk drobnych dzikich kwiatów. Śmieje się, zielone oczy połyskują, zęby są

nadkruszone. Coś w niepowstrzymanym charakterze jego uśmiechu sprawia, że wygląda jak małe dziecko. Skulone w misie jego dużych dłoni są dwa kociaki, jeden ma szare, przydymione futerko z ciemnymi pręgami, drugi jest arlekinem z czarną plamą wokół ślepi. Brodacz wyciąga je, jak gdyby proponował fotografowi, aby dotknął zwierząt czy też je pogłaskał. Kotki wyglądają zza barykady grubych palców, ich płynne ślepią są pełne trwożliwej uwagi.

Kto to może być? Nie mam pojęcia.

Ze stosu teczek na stole wziąłem grubą, zieloną i otworzyłem na przypadkowej stronie. Do kartki papieru przyklejone są dwie fotografie. Na pierwszej rozmazana sylwetka rowerzysty przejeżdżającego obok zamkniętej metalowej bramy, wysokiej na jakieś półtora, dwa metry, oraz różowego muru; wygląda to na wejście do męskiej toalety publicznej. Znajduje się w zatłoczonej okolicy i otoczone jest przez jedno- oraz dwupiętrowe ceglane budowle z balkonami. Na ścianie dużymi zielonymi literami wypisana jest reklama „Roxy Photocopier”. Drugie zdjęcie zostało zrobione wewnątrz toalety. Podniszczone różowe ściany są omszałe i wilgotne, zardzewiałe rury biegną wzdłuż nich i w poprzek. W ścianie jest jakiś brudny biały zlew, a w betonowej podłodze – rząd trzech dziur. Obok nich leżą metalowe tarcze z uchwytyami, zupełnie jak pokrywy do jakichś wielkich rondli. Stara, połamana framuga okna i drewniana deska stoją oparte o ścianę. To najbardziej niewybijające się zdjęcia, jakie kiedykolwiek widziałem. Kto je zrobił? Kto by się do czegoś takiego brał? I czemu miałyby ktoś je zachowywać z taką starannością?

Wyjaśniła to następna strona.

HISTORIA GAFFURA

Miejsce to nazywa się Nawab Bazar. Widzisz toaletę publiczną? Tam, gdzie jest napis „Roxy Photocopier”? Tam właśnie się to zdarzyło. Był rok 2004. Chyba kwiecień. Było zimno, mocno padało. Siedzieliśmy w sklepie mego przyjaciela, New Electronics, tuż na prawo od krawca Rafika, i popijaliśmy herbatę. Tarik i ja. Była mniej więcej ósma wieczorem. Nagle usłyszeliśmy pisk hamulców. Po drugiej stronie drogi jakieś cztery, może pięć pojazdów odgrodziło toaletę. Były to pojazdy STF. STF, widzicie, to Special Task Force, Oddziały do Zadań Specjalnych. Do sklepu weszło ośmiu żołnierzy i pod lufami karabinów przeprowadzili nas na drugą stronę ulicy. Kiedy doszliśmy do toalety, kazali nam wejść i ją przeszukać. Powiedzieli, że uciekł afgański terrorysta i wbiegł do tej toalety. Oczekiwali, że wejdziemy do środka i powiemy mu, aby się poddał. Nie chcieliśmy się na to zgodzić, ponieważ sądziliśmy, że mudzahedin będzie miał broń. Faceci z STF przyłożyli nam pistolety do głowy. Weszliśmy. Było absolutnie ciemno. Nic nie mogliśmy zobaczyć. Nikogo nie było w środku. Wyszliśmy i powiedzieliśmy im, że nikogo tam nie ma. Kazali nam zawrócić, dając nam latarkę. Jeszcze nigdy nie

widzieliśmy takiej wielkiej. Jeden z nich pokazał nam, jak to działa, kilka razy z rzędu włączając i wyłączając. Inny wpatrywał się w nas, pstrykając bezpiecznikiem pistoletu, włączał go i wyłączał, kilka razy z rzędu. Kazali nam wejść do toalety, tym razem z latarką. Poświeciliśmy dookoła, ale nikogo nie znaleźliśmy. Zawołaliśmy, że nikogo tu nie ma. Byliśmy zupełnie mokrzy ze strachu. Ludzie z STF zajęli pozycje w sąsiednim budynku, dwóch było na balkonie drugiego piętra. Oznajmili, że widzą kogoś w kloace. Jak to było możliwe? W takiej ciemności jak mogli zobaczyć cokolwiek z tak daleka? Poświeciłem do środka tych dziur kloacznych. Zobaczyłem głowę mężczyzny. Byłem przerażony. Myślałem, że z pewnością ma broń, więc odsunąłem się w bok. Żołnierze kazali, abym poleciał mu wyjść. Tarik, który siedział za mną, szepnął: „Kręcą film. Rób, co mówią”. Przez „film” nie miał na myśli filmu w normalnym sensie. Chodziło mu o to, że organizują scenę, aby była historia.

Powiedziałem człowiekowi w dziurze, że musi wyjść. On na to nic. Widziałem, że to Kaszmirczyk, nie Afgańczyk. Nic tylko patrzył na mnie. Nie mógł nic powiedzieć. Staliśmy wokół niego z latarką STF. Ciągłe padało, smród z dziur był okropny. Minęło może półtorej godziny. Baliśmy się do siebie przemówić. Nic tylko włączaliśmy latarkę i wyłączaliśmy. No i wreszcie głowa tego mężczyzny poleciała w bok. Umarł. Pochowany w gównie.

Ludzie z STF dali nam łomy i szpadle. Mieliśmy odłamać betonowe brzegi dziur, a potem go wyciągnąć. Wszyscy byliśmy mokrzy, dygotka, smród. Kiedy wreszcie wyciągnęliśmy ciało, zobaczyliśmy, że miał nogi związane i dociążone kamieniem.

Dopiero potem dowiedzieliśmy się, jak wcześniej wyglądał ten film STF.

Najpierw kilku z nich przyjechało cicho jednym samochodem. Związali człowieka i wepchnęli go do dziury. Długo go już przedtem torturowali i nie mógł nie umrzeć. Kiedy weszli, znaleźli innego młodego mężczyznę w jednej z kabin. Aresztowali go i zabrali – może nie chciał zrobić tego, na co my żeśmy się zgodzili. Potem sprowadzili te swoje pojazdy i urządzili całą resztę filmu, w którym i my robiliśmy za aktorów.

Pewien oficer kazał nam podpisać jakiś dokument. Gdybyśmy tego nie zrobili, zabiliby nas. Podpisaliśmy zeznania jako świadkowie, że widzieliśmy, jak STF wytropiło i zabiło groźnego afgańskiego terrorystę, który ostatecznie schronił się w publicznej toalecie w Nawab Bazar. Tak to wyglądało w wiadomościach.

Człowiek, którego zabili, był robotnikiem z Bandipory. Młody facet, którego aresztowali za to, że załatwiał się o nieodpowiedniej godzinie, znikł.

A Tarik i ja mamy na sumieniu kłamstwa i zdradę.

Oczy, które wpatrywały się w nas przez półtorej godziny, były pełne wybaczenia i zrozumienia. My, Kaszmirczycy, nie musimy do siebie mówić, aby zrozumieć jeden drugiego.

Robimy sobie nawzajem okropne rzeczy, zdradzilibyśmy i zabili jeden drugiego, ale wzajemnie się rozumiemy.

•

Brzydka historia. Właściwie okropna. To znaczy: jeśli jest prawdziwa. Ale jak to sprawdzić? Ludzie są niewiarygodni. Zawsze przesadzają. Zwłaszcza Kaszmirczycy. A jak już raz to zrobią, to potem wierzą w te swoje przesadzone wersje, jakby to była prawda objawiona przez Boga. Nie mogę sobie wyobrazić, co takiego robi Madam Tilottama, że zbiera takie bezsensowne rzeczy. Powinna trzymać się swoich etykietek szamponów. Zresztą to nie jest ulica jednokierunkowa. Druga strona też ma swój repertuar okrucieństw. Niektórzy z ich bojowników byli prawdziwymi maniakami. Gdybym musiał wybierać, bez wahania wziąłbym fundamentalistę hinduskiego niżli muzułmańskiego. To prawda, że robiliśmy – robimy – okropne rzeczy w Kaszmirze, ale... Chodzi mi o to, co armia pakistańska robiła we wschodnim Pakistanie: o, to było prawdziwe ludobójstwo. Sprawa prosta i tyle. Kiedy indyjska armia wyzwalała Bangladesz, starzy dobrzy Kaszmirczycy nazywali to – i dalej nazywają – „upadkiem Dhakki”. Nie są aż tak empatyczni, jeśli chodzi o ból innych ludzi. Ale w końcu: kto jest? Beludźowie, których posuwają Pakistańczycy, nie przejmują się Kaszmirczykami. Bengalczyki, których wyzwoliliśmy, prześladują hindusów. Starzy dobrzy komuniści łagry stalinowskie nazywają „konieczną częścią rewolucji”. Amerykanie uczą dziś Wietnamczyków praw człowieka. To, co mamy na rękach – to problem gatunkowy. Nikt z nas nie jest wyjątkiem. Ale oto jest ten nowy biznes, który tak prężnie się obecnie rozwija. Ludzie, wspólnoty, kasty, rasy, a nawet kraje – zaczynają się obnosić ze swoimi tragicznymi historiami i porażkami jak ze swego rodzaju trofeami czy aktywami, które można kupować i sprzedawać na wolnym rynku. Na nieszczęście, jeśli mam mówić od siebie, ja nie mam tu niczego do zaoferowania. Jestem facetem beztragicznym. Z górnej kasty, opresor pod każdym możliwym względem.

Wypijmy za to.

A co tu jeszcze mamy?

Otwarty karton, leżące na podłodze opakowanie od tonera do starej drukarki Hewlett-Packard. Zawartość jakby odrobinę pogodniejsza, dwie żółte koperty ze zdjęciami, jedna z napisem „Ujęcia kałanów” i druga – „Zdobycze kałanów”. Nie miałem pojęcia, że się w ogóle interesowała kałanami. To jakoś sprawia, że wydaje mi się mniej niebezpieczna? Wyobrażenie, że spaceruje po plaży, brzegiem rzeki, z wiatrem we włosach, odprężona, beztroska... Wyglądająca kałanów... Sprawia, iż czuję się jej jakoś wdzięczny. Kocham kałany. Myślę, że mogłyby być moimi ulubionymi stworzeniami. Kiedyś spędziłem cały tydzień, obserwując je, w czasie gdy byliśmy na rodzinnych wczasach w rejsie po Pacyfiku, wzdłuż zachodniego

wybrzeża Kanady. Nawet kiedy pogoda była sztormowa, a ocean niebezpiecznie wzburzony, zawsze pojawiały się przynajmniej te wesołe, radosne małe skubaniątka, pływające nonszalancko na grzbiecie i rozglądające się z taką swobodą, jakby czytały gazety.

Wyciągnąłem zdjęcia z jednej z kopert.

Na żadnym z nich nie było kałana.

Powinienem był wiedzieć. Poczułem się jak ofiara kiepskiego dowcipu.

Na wierzchu znajdowała się fotografia zrobiona na promenadzie wokół Dal Gate w Śrinagarze. Ogorzały żołnierz sikhijski w kamizelce kuloodpornej i z pistoletem maszynowym w ręku klęczy triumfalnie na jednym kolanie, pozując nad ciałem młodego mężczyzny. Ze sposobu, w jaki leży ciało, jest oczywiste, że tamten nie żyje. Leży oparty na brodzie, która jest dodatkowo wsunięta na wysokie na kilkadziesiąt centymetrów betonowe obrzeże biegnące wzdłuż jeziora; reszta ciała zapada się w biodrach. Nogi rozrzucone, jedno kolano zgięte pod kątem prostym. Ma na sobie spodnie i beżowy podkoszulek z kołnierzykiem. Strzelono mu w gardło. Nie ma zbyt wiele krwi. W tle widać zamazane sylwetki łodzi mieszkalnych. Głowa żołnierza została zakreślona purpurowym markerem. Sądząc z ubrania martwego, a także z broni, którą trzyma żołnierz, zdjęcie jest dosyć stare. Na każdej z mniej dramatycznych fotografii grup żołnierzy, zrobionych na jarmarkach, w punktach kontroli czy na szosach szybkiego ruchu, podczas gdy powiewają z pojazdów, zawsze jeden żołnierz zostaje wyróżniony tym samym markerem. Nie ma między nimi oczywistych powiązań. Niektórzy są gładko ogoleni, niektórzy są sikhami, niektórzy są oczywistymi muzułmanami. Z wyjątkiem jednej, wszystkie fotografie zrobione zostały w Kaszmirze. Na tym jednym zdjęciu wyglądający na znużonego żołnierz siedzi na krześle z niebieskiego plastiku w bunkrze z worków z piaskiem. Na kolanach położył hełm, w ręku trzyma packę na muchy i patrzy gdzieś w dal. Jest coś takiego w jego oczach. Coś pustego i pozbawionego wyrazu, co przyciąga uwagę. Także i jego głowa jest zakreślona purpurowym markerem.

Co to za mężczyźni?

A potem, kiedy rozkładałem zdjęcia na stole, zauważam, że to jeden i ten sam żołnierz. Na każdym zdjęciu wygląda inaczej. Z wyjątkiem oczu. Łatwo zmienia wygląd, może to któryś z chłopaków z naszego kontrwywiadu. Dlaczego ta purpurowa pętla wokół jego głowy?

W pudełku znajduje się też teczka z napisem „Kałan”. Na wierzchu dokument, który wygląda na życiorys. Nagłówek brzmi: Ralph M. Bauer. LCKPS – licencjonowany kliniczny pracownik do spraw socjalnych, a dalej biegnie długa lista jego kwalifikacji. Uderza mnie jedno słowo. Clovis. Adres Ralpha Bauera brzmi: East Bullard Avenue, Clovis, Kalifornia.

Clovis to miejsce, gdzie Amrik Singh zastrzelił siebie i swoją rodzinę. W ich

własnym domu, na małym podmiejskim osiedlu mieszkalnym. Amrik. Kałan. Teraz zrozumiałem: jednocześnie podstępna wydra i kałach. Człowiekiem na fotografiach jest Amrik Singh. Rzeczywiście, nigdy z nim się nie zetknąłem twarzą w twarz w Kaszmirze. A nie wiedziałem, jak wyglądał jako młody człowiek (czasy sprzed Google). Na tamtych jego zdjęciach nie było niemal żadnego podobieństwa do jego fotografii jako starszego mężczyzny, które ukazały się w gazetach po jego samobójstwie: pyzatego, gładko ogolonego i z miną zupełnie zdezorientowaną.

Mam takie wrażenie, że przez moje żyły płynie jakaś inna ciecz, coś innego niż krew. Jak dotarła do tych dokumentów? I po co? Po jaką cholere? Jaki miała z nich pożytek? I czym to teraz było? Jakaś wyobraźalna zemstą voodoo?

Pierwszych kilka stron w teźce to swego rodzaju kwestionariusz. Ciąg pytań układających się w typowo oklepaną paplaninę psychologiczną: „Czy było jakieś zdarzenie powracające w złych, męczących snach? Czy kiedykolwiek nie mogłeś się zdobyć na uczucie smutku albo miłości? Czy było ci trudno wyobrazić sobie ciąg swego życia i osiąganie wyznaczonych celów?”. No więc takie różne. Do kwestionariusza dołączono dwa pisemne zeznania, sygnowane przez Amrika Singha i jego żonę (jej długie, jego bardzo krótkie), oraz fotokopie dwóch grubych, starannie wypełnionych wniosków o azyl w USA, także podpisanych przez nich.

Musiałem usiąść. Musiałem się napić. Miałem butelkę *cardhu*, której nie powinienem był wziąć w sklepie wolnołowym w drodze z Kabulu i której nie powinienem był przywozić tutaj ze sobą. Szczególnie po obietnicy wobec Ćitry, że już nigdy niczego nie wypiję. Nawet naparstka, nawet kropelki. Zwłaszcza kiedy praca jest zagrożona. Kiedy szef dał mi ostatnią szansę, ujętą w jego zwięzłych słowach: „Albo się pozbierasz, albo wypierdasz”.

Lubię whisky z lodem, ale tu nie było żadnego. Czy, mówiąc ściśle, cały zamrażalnik zamienił się w jeden blok lodu i wymagał rozmrożenia. Reszta lodówki świeciła pustkami, ale kuchnia była upchana owocami. Być może prowadziła – prowadzi – jedną z tych modnych diet odtruwających, które polegają na tym, iż je się tylko owoce. Może tam właśnie się udała. Na jakieś lekcje jogi czy coś takiego.

Oczywiście, że nie.

Będę musiał pić *cardhu* czyste. Jest naprawdę zimno, a te cholerne gołębie powinny wreszcie przestać cudzołożyć na parapecie okiennym. Dlaczego nie przestają?

Data: 16 kwietnia 2012 Re: Lawlin Singh, z domu Kor, oraz Amrik Singh

Proszę o dokonanie psychospołecznej oceny Amrika Singha i jego żony, Lawlin Singh, z domu Kor, aby określić, czy byli oni ofiarami prześladowań w efekcie maltretowania, korupcji policji oraz wyłudzeń, jakich doświadczyli w swoim rodzinnym kraju, czyli w Indiach. Czy doświadczają prawdziwego,

„uzasadnionego” strachu, że mogą być torturowani lub zabici przez swe władze? Proszą o azyl, twierdzą bowiem, że Amrik Singh będzie torturowany lub zabity, jeśli powróci do Indii. W trakcie wywiadu zastosowałem: Inwentarz Objawów Urazu, wersja 2 (IOU-2), Kwestionariusz Stanu Psychicznego, wywiad przesiewowy w kierunku zespołu stresu pourazowego (PTSD) oraz Skalę Urazu Davidsona. Długi wywiad historyczny został przeprowadzony z każdym z nich podczas dwugodzinnych rozmów bezpośrednich, aby uzupełnić opowieść o wydarzeniach, których rzeczywiście doświadczyli w Kaszmirze, w Indiach.

Tło:

Pan i pani Singhowie mieszkają w Clovis w Kalifornii. Lawlin Singh, z domu Kor, urodziła się w Kaszmirze w Indiach 19 listopada 1972 roku. Amrik Singh urodził się w Chandigarh w Indiach 9 kwietnia 1964 roku. Para ma troje dzieci, z których najmłodsze urodziło się w Stanach Zjednoczonych. Uciekli z Indii do Kanady z dwoma synami. Do Stanów Zjednoczonych dotarli pieszo 1 października 2005 roku. Początkowo zatrzymali się w Blaine w stanie Waszyngton, ale teraz żyją w Clovis, stan Kalifornia, gdzie pan Amrik Singh pracuje jako kierowca ciężarówki. Lawlin Kor prowadzi gospodarstwo domowe. Nieustannie boją się o bezpieczeństwo rodziny.

Relacja Lawlin:

Relacja ta oparta jest na tłumaczeniu wywiadu Lawlin.

Mój mąż, Amrik Singh, jako major wojska stacjonował w Śrinagarze w Kaszmirze. Nie mieszkałam w bazie, w której mąż pełnił swe obowiązki, lecz wraz z naszym synem mieszkałam prywatnie w mieszkaniu na drugim piętrze w Dżawahar Nagar w Śrinagarze. Na tym osiedlu mieszka wiele rodzin sikhijskich i tylko kilka muzułmańskich. W roku 1995 aktywista praw człowieka nazwiskiem Dżalib Kadri został porwany i zabity, a lokalna policja oskarżyła mego męża, my zaś mieliśmy poczucie, że donieśli na niego muzułmanie. Mój mąż nie przyjmował łapówek i nie akceptował terrorystów muzułmańskich. Był człowiekiem honorowym. Sam nieraz mówił: „Nie będę oszukiwał swego kraju i nie można mnie przekupić”.

Moja przyjaciółka Manprit była w tym czasie dziennikarką w Śrinagarze. Ustaliła, kto donosił na mego męża i kto zabił Dżaliba Kadriego. Razem z moją matką poszły na posterunek policji, aby przekazać te informacje. Policja nie chciała jej słuchać, gdyż była kobietą, a na dodatek krewną oskarżonego. A także ponieważ policjantami w stanie Dżammu i Kaszmir są głównie muzułmanie. Przesłuchujący policjant powiedział: „Jak zechcę, mogę was, panie, spalić tutaj żywcem. Taką mam władzę”.

Po roku jednostki policji otoczyły osiedle Dżawahar Nagar, gdzie mieszkałam bez męża, aby dokonać szczegółowego przeszukania. Załomotali do drzwi i weszli. Chwycili mnie za włosy i ściągnęli z drugiego piętra na pierwsze. Jeden z policjantów wziął mego syna. Ukradli całą moją biżuterię. Przez cały ten czas kopali mnie i bili, powtarzając: „To rodzina Amrika Singha zabiła naszego wodza”. Na posterunku policji przywiązali mnie do drewnianej deski, po czym zaczęli kopać, okładać pięściami i policzkować. Bili mnie po głowie gumowym drągiem. Mówili: „zrobimy z ciebie już do końca życia durne warzywko”. Drab w metalowych butach miażdżył mi piersi i brzuch. Potem przetaczali mi po nogach drewniane kłody. Przymocowali mi do ciała i do kciuków takie lepkie rzeczy i raz po raz razili mnie prądem. Chcieli, abym złożyła fałszywe zeznania przeciw swojemu mężowi. Trzymali mnie przez dwa dni. Mojego syna trzymali w innym pokoju i powtarzali, że oddadzą mi go dopiero wtedy, kiedy złożę fałszywe zeznania. Wreszcie wypuścili mnie i wtedy zobaczyłam swego syna. Oboje płakaliśmy. Nie mogłam chodzić, tak mnie bolały stopy. Kierowca rykszy wziął mnie na ręce i zaniósł do domu matki.

Żaden lekarz nie chciał się mną zająć, wszyscy bowiem się bali, że zostaną zabici przez muzułmańskich terrorystów. Mnie i męża obserwowano przez cały czas. Było to bardzo nieprzyjemne życie.

Po trzech latach opuściliśmy Kaszmir i zamieszkaliśmy w Dżammu. W 2003 roku wyjechaliśmy z naszego kraju do Kanady. Zwróciliśmy się z prośbą o azyl, ale go nam odmówiono. To było bezduszne. Potrzebowaliśmy pomocy, pokazywaliśmy im wszystkie nasze dowody, a i tak odmawiali. W październiku 2005 roku przyjechaliśmy do Seattle. Mój mąż dostał pracę jako kierowca ciężarówki, a w 2006 roku przenieśliśmy się do Clovis w Kalifornii. Nie mamy żadnej ochrony. Nie mamy dokąd się udać, nie wychodzimy z domu, naszego życia nie można nazwać szczęśliwym. Nawet jak opuszczamy dom, nie wiemy, czy wrócimy żywi. Przez cały czas mamy poczucie, że obserwują nas terroryści. Przy każdym hałasie boję się, że to już koniec. Każdy głośniejszy dźwięk mnie przeraża. Ubiegłego roku, w 2011, kiedy mąż tylko słownie karmił dzieci, natychmiast się przeraziłam, że oni są już tutaj, aby nas zabić. Pobiegłam do telefonu, aby wykręcić 911. Biegając, przewróciłam się i bardzo pokaleczyłam sobie głowę, pierś i nogi. Myślałam, że zaraz umrę, chociaż przecież on tylko słownie karmił nasze dzieci. Puls mam taki szybki, że myślę, iż jestem wariatką. Często reaguję dramatycznie na każdy okrzyk czy głośniejszy dźwięk. Chociaż mąż tylko krzyczał na dzieci, karcąc je, zadzwoniłam na policję i nawet sama nie wiem, co im powiedziałam. Aresztowali męża i wypuścili go za kaucją. Ciągle jestem niepewna tego, co się stanie. W gazetach pojawiły się informacje, że mój mąż jest taki a taki i że służył w Kaszmirze. Pokazali zdjęcie męża, naszego domu i wszystkim oznajmili, gdzie mieszkamy. Wszystko to także znalazło się w Internecie oraz w Kaszmirze.

I znowu terroryści muzułmańscy zaczęli się domagać, aby mojego męża wydalonono. Po kilku dniach zjawił się dziennikarz i powiedział, że wypytuje o nas autor piszący dla czasopism z Indii. My jednak wiedzieliśmy, że nie jest tym, za kogo się podaje. Widziałam, jak przejeżdżał koło naszego domu. Widziałam go kilka razy. Powiedziałam mężowi, że musimy wyjechać. On na to: „Nie mamy pieniędzy, aby ciągle jeździć. A ja nie chcę uciekać. Chcę po prostu żyć”. Ten człowiek jest ciągle w pobliżu. Także i inni. A wszyscy to muzułmańscy terroryści. Jestem nieustannie przerażona. Zawsze mam zasłony w oknach zaciągnięte i tylko czasem zza nich wyglądam. Stoją na ulicy i gapią się na nasz dom. Teraz zamykam wszystkie zamki. Przedtem prowadziłam w domu salon piękności, regulowałam kobietom brwi i depilowałam im woskiem nogi. Teraz czuję, że to bardzo niebezpieczne, aby obcych wpuszczać do domu.

Minęło już siedemnaście lat, a muzułmańscy terroryści z Kaszmiru ciągle celebrować dzień śmierci prawnika mego męża, którego cały czas obwiniają w gazetach i w Internecie. Przerażone są także moje dzieci. Wciąż pytają: „Mamo, dlaczego nie możemy się cieszyć życiem?”. A ja im odpowiadam: „Robię, co mogę, ale nic tu ode mnie nie zależy”.

„Pokaleczyła sobie głowę, pierś i nogi, biegnąc do telefonu”. No, to już szczyt wszystkiego. Zastanawiam się, co zrobił jej mąż, że zmusił ją do wycofania skargi? Może i ona, i dzieci żyliby, gdyby tego nie zrobiła. Szczególnie podoba mi się ta część, w której policja otacza właśnie Dżawahar Nagar, przeszukuje dokładnie, a potem aresztuje i torturuje żonę majora w służbie czynnej. To doprawdy niezrównane. W Kaszmirze taka historia stałaby się przedmiotem komedii slapstickowej. Dobry był też ten fragment o przerażonych lekarzach. Pozór prawdy to już wszystko. Co się tyczy szczegółowych opowieści o torturach, pozostaje mi tylko mieć nadzieję, iż mąż jedynie jej o nich opowiadał, a nie próbował na niej. Nadzieja nadzieją, jednak przeraża mnie fakt, że aż trzy razy w krótkim odstępie czasu powtarza: „On tylko słownie karmił dzieci”.

Natomiast zeznania Amrika Singha były żołnierskie. Krótkie i treściwe:

Służyłem w armii indyjskiej jako oficer. Otrzymywałem różne zadania związane z prewencją oraz działaniami na rzecz utrzymania pokoju w Indiach i poza ich granicami. W roku 1995 zostałem oddelegowany do Kaszmiru, gdzie zbrojne niepokoje trwają od roku 1990. W 1995 roku aktywista praw człowieka, o którym później się dowiedzieliśmy, że należał do nielegalnej organizacji terrorystycznej, został porwany i zabity. Kaszmirska policja i rząd indyjski winę zrzucają na mnie. Stałem się kozłem ofiarnym. Nie miałem innego wyboru, jak tylko wraz z rodziną uciekać z Indii. Gdybym powrócił, rząd indyjski nie chciałby, abym stanął przed sądem i przedstawił tam swoją wersję wydarzeń. Byłbym

torturowany, poddany elektrowstrząsom, podtapianiu, pozbawianiu snu i pożywienia albo może zostałem zabity i nikt by mnie już więcej nie widział ani o mnie nie słyszał.

•

Podania zostały wypełnione odręcznie. Amrik Singh miał schludne, niemal dziewczęce pismo i pasujący do tego, wyraźny dziewczęcy podpis. Dziwnie się czuję, wpatrując się w to pismo. Jakby coś dziwnie intymnego.

Ci dwoje dobrze wiedzieli, jak brać się do rzeczy. Skąd mógł biedny stary Ralph Bauer, LCKPS, wiedzieć, że ich opowieść brzmiała tak prawdziwie, ponieważ była prawdziwa, tyle tylko że ofiary i prześladowcy zamienili się rolami? Jak tu się dziwić, że doszedł do tej przezabawnej konkluzji?

Ustalenia:

Według powyższych relacji w mojej opinii nie ma wątpliwości co do tego, że oboje państwo Lawlin i Amrik Singhowie doznali ostrego zespołu stresu pourazowego. Rozmiar stresu świadczy dobitnie o tym, że osoby te przeszły przez destrukcyjne i traumatyczne zdarzenia, takie jak tortury, bezterminowe uwięzienie i separacja od rodziny. Odczuwają głęboki lęk, że gdyby wrócili do Indii, akty te się powtórzą. Nie ulega wątpliwości, że wiele jest osób, które stale marzą o rewanżu i dokonują swojej wendety na przeróżnych blogach internetowych.

Zważywszy na te fakty, zalecam, aby pan i pani Singhowie oraz ich rodzina uzyskali ochronę i azyl w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, co pozwoli im rozpocząć normalne życie – w tej mierze, w jakiej jest to dla nich wciąż jeszcze możliwe.

Państwo Singhowie zatem niemal osiągnęli swoje. Tylko mały krok, a staną się legalnymi obywatelami USA. A przecież kilka miesięcy później Amrik Singh postanowił zastrzelić siebie i całą swoją rodzinę.

Czy miało to jakikolwiek sens?

A może było to coś innego niż samobójstwo?

Kim był przejezdny autor, o którym żona wspomniała w swoim zeznaniu?
I kim byli inni?

Czy to ma jeszcze w ogóle jakiegokolwiek znaczenie?

Nie dla mnie.

Nie dla rządu Indii.

Z pewnością nie dla policji kalifornijskiej, która bez wątpienia ma inne sprawy niecierpiące zwłoki.

Tak czy owak, szkoda, jeśli chodzi o żonę i dzieci.

Dlaczego moja lokatorka, Madam S. Tilottama, miała tę teczkę?

I gdzie, u diabła, się podziewała?

Odezwała się moja komórka. Dziwne. Nikt nie miał tego numeru. Dla całego świata jestem na rehabilitacji. Albo też na urlopie studyjnym, który stanowi tylko inną nazwę tego samego. Kto do mnie pisze? Ach, THYROCARE, cokolwiek to jest:

Drogi kliencie prosimy odwiedzić dziś nasz ośrodek zdrowia.

Witamina D+B12. cukier, lipidogram, funkcjonalne badania wątroby, funkcjonalne badania nerek, tarczycy, żelazo, całościowe badanie krwi, badanie moczu – 1800 rupii.

Drogie Thyrocare, prędeż zdechnę.

Wypiłem już ćwiartkę butelki. Czas na zakazaną drzemkę popołudniową. Pracujący ludzie nie powinni drzemać. Nie powinienem był przynosić *cardhu* do sypialni. Ale musiałem, samo nalegało.

Nie ma łóżka. Tylko materac na podłodze. Ułożone w schludne kolumny książki, zeszyty, słowniki.

Zapalam wysoką zwykłą lampę. Widzę skrawek kolorowego papieru przyklejony scotchem do szeroko obrzeżonego zwykłego abażura. Przypomnienie? Notatka dla siebie? Czytam:

Czy muszę ci opowiadać o ich śmierci? Dla nich wszystkich będzie to śmierć tego, który dowiedziawszy się od sądu o swojej, z nadreńskim akcentem mruknął: „Ja już mam to za sobą”.

Jean Genet

PS. Ten abażur zrobiony jest ze skóry jakiegoś zwierzęcia. Kiedy dobrze się przyjrzyysz, zobaczysz rosnące na nim włosy.

Dziękuję Ci.

Wydaje się, że te pokoje były świadkiem jakichś rozrachunków. Chyba okropnie jest przyglądać się, gdy jakaś ludzka istota dokonuje rozrachunku z samą sobą. Ale ta istota? Kryło się w tym jakieś ostrze niebezpieczeństwa, niczym delikatny, ostry zapach prochu wiszący w powietrzu na scenie zbrodni.

Nie czytałem Geneta, ale czy powinienem być? A ty?

Ach, całkiem niezła ta whisky *cardhu*. I cholernie dużo kosztuje. Będę musiał pić ją z szacunkiem. Jestem już odrobinę zawiany – „zwiany”, jak powiedziałby mój stary przyjaciel Golak. W Orisie mają taką skłonność do tego typu skrótowych nazw.

•

Jest piekielnie ciemno.

Śni mi się stos pokryw i dziur kloacznych z dziwnymi rzeczami – głównie jakimiś teczkami, rysunkami koni wykonanymi przez Musę. Długie pręty bardzo suchego śniegu, które wyglądają jak kości.

Kto skończył whisky?

Kto przyniósł z samochodu do mieszkania wódkę i skrzynkę piwa?

Kto zamienił dzień w noc?

Ile dni zamieniło się w ile nocy?

A kto tam jest przy drzwiach? Słyszę, jak klucz się obraca.

Czy to ona?

Nie, nie ona.

Dwoje ludzi z trzema głosami. Dziwne. Wchodzą i zapalają światła, jakby byli u siebie. A teraz stajemy twarzą w twarz. Młody mężczyzna w ciemnych okularach i starszy mężczyzna. Starsza kobieta. Mężczyzna. Kobieta-mężczyzna. Obojętne. Jakiś świr ubrany w strój *pathani* i tani plastikowy anorak. Bardzo wysoki. Z czerwonymi ustami i jasnymi lśniącymi zębami. A może to ciągle mój sen. Zmysły mam jednocześnie bardzo wyostrome i stłumione. Wszędzie są butelki – pętają się pod nogami, wtaczają pod meble i do dziur kloacznych.

Ponieważ niewiele mamy sobie do powiedzenia, a ja ledwie trzymam się na nogach – czuję, że kołyszę się jak źdźbło zboża na polu – wracam do sypialni i się kładę. Bo niby co innego miałbym zrobić?

Podążają za mną. To mnie zaskakuje jako niezwykle zachowanie, nawet we śnie. Jeśli to jest właśnie sen. Kobietomężczyzna przemawia do mnie głosem, który brzmi jak dwa głosy. Mówi przepięknym urdu. Powiada, że nazywa się Andzum. Że jest przyjaciółką Tilottamy, która na moment zamieszkała u niej, ona zaś i jej przyjaciel, Saddam Husajn, przyszli, gdyż Tilo potrzebowała jakichś rzeczy z szafki. Powiedziałem, że także jestem przyjacielem Tilo, a oni niech się nie przejmują i biorą to, co im potrzebne. Młody mężczyzna wyjmuje klucz i otwiera szafkę.

Wylatuje z niej cała chmura balonów.

Młodzieniec dobywa worek i zaczyna go napełniać. Do środka wędrują – na ile mogę powiedzieć – gumowy kaczor, nadmuchiwana dziecięca wanna, duża wypchana zebra, jakieś koce, książki i ciepłe ubrania. Kiedy skończyli, dziękują mi za cierpliwość. Pytają, czy chcę przekazać Tilo jakąś wiadomość. Odpowiadam, że tak.

Wyrywam stronę z jednego z jej zeszytów i piszę: „GARSON HOBART”. Litery wypadają dużo większe, niż zamierzałem, jak jakiegoś rodzaju deklaracja. Dołączam do nich notatkę.

I wtedy sobie idą.

Podchodzę do okna i patrzę, jak oddalają się od budynku. Przysięgam na moje dzieci, że odjeżdżają na koniu. Para świrów z torbą pełną wypchanych zabawek truchtem oddala się w mgłę na pieprzonym białym koniu.

Umysł mam w drzazgach. Moje halucynacje są takie żałosne. Wszystko jest takie realne, czułem wręcz zapach. Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ostatnio jadłem. A gdzie mój telefon? Która godzina? Co to za dzień? Czy co to za noc?

Rozglądam się znowu po pokoju. Balony fruwały wokół niczym na wygaszaczu ekranu. Drzwi szafki zostawili otwarte. Jedne są zaznaczone. Z miejsca, w którym stoję, wygląda to na jakąś kartkę... Na jakiś zapis... Rodzice zaznaczający wzrost dorastających dzieci – robiliśmy to z Anją i Rabią, kiedy dorastały. Zastanawiam się, jakie dziecko mogłaby też tu mierzyć. Z bliska zdaję sobie sprawę, że to coś zupełnie innego. Jak mogłem sobie wyobrażać, choćby króciutko, że będzie to coś tak domowego i uspokajającego?

To jakiś rodzaj... nie wiem... kompletowanego dopiero leksykonu, hasła pisane są nierówno i w różnych kolorach.

Leksykon kaszmirsko-angielski

A: Atankwadi („terrorysta”) / Afgańczyk / Al Badr / Al Dżehad / Al Mansurian / Amarnath Jatra / Ameryka / Amunicja / Armia / Atak / Azadi

B: Batalion / Begar (pracownik przymusowy) / Bezpieczeństwo / Bezpieczeństwo Z plus / Bezterminowy Stan Wyjątkowy (Unlimited Curfew) / Biuro / Bomba pułapka / Broni kultura (Gun Culture) / Bunkier / BW (Biuro Wywiadu – Intelligence Bureau) / Byte

C: Cel / Centralna Rezerwa Sił Policyjnych CRPF (Central Reserve Police Force) / Ciało / Cmentarz / Cylinder (kapitulancja, poddawać się) / Cywil

D: Dowód osobisty (i-Card) / Drut kolczasty / Dżehad / Dżamiat / Dżamiat ul Mudżahidin / Dżannat / Dżihad

E: Ex gratia świadczenie (kulancja)

F: Fałszywa tożsamość / Fedainowie / Front Wyzwolenia Jammu i Kaszmiru (JKLF – Jammu & Kashmir Liberation Front)

G: GOS – grupa operacji specjalnych / Granat raketowy / Granatu wybuch / Granicy przekroczenie / Grave / Gwałt

H: Harkat-ul-Mudżahidin / Hartal / HM (Hizb-ul-Mudżahidin)

I: Ichwan / Indie / Informacyjna wojna / Informator / ISI – Inter-Services Intelligence – wywiad pakistański

J: Jatra (Amarnath) / Jawność

K: Kafir / Kałasznikow (patrz także: AK) / Kapitulancja (inaczej cylinder) / Kaśmirijata („kaszmirskość”) / Kaszmir / Kilogram-siła / Kolczasty drut / Koncertina / Kontrpowstanie / Kontrwywiad / Koran / Kryjówka (Hideout) / Krzyżowy ogień

L: Lahore / Laśkar-e-Tajjiba / Lądowa mina / Lkm / LMG

Ł: Łączność radiowa

M: Masakra / Męczennicy / Miłosny listopad / Miodowy miesiąc / Moj / Mudżahedin / Muchbir (informator) / Muskan (sierociniec wojskowy) / Muzułmański mudżahedin

N: Nabad (patrz także: Ichwan) / Nadzór / Nail parade („parada gwoździ”¹¹)

/ Napięcia zmniejszenie / Nowe Delhi / Niejawny działacz (OGW – overground worker) / Niezidentyfikowane ciało / Niezidentyfikowany strzelec / Nizam-e-Mustafa / Nocne Patrole / Normalność

O: Obóz / Obrońca / Obserwacyjny posterunek (albo operacje, patrz niżej) / Oddziały Zabezpieczenia Granicy (BSF Border Security Force) / Oficjalna wersja / Ogólna sekcja (wywiad OZG; G branch – General Branch) / Okupacja / Operacja „Sadbhawana” / Operacja „Tiger” / Operacje wojskowe w terenie miejskim (MOUT – Military Operations in Urban Terrain) / Ostrzeżenie / Otoczenie i wyszukanie

P: Podejrzany / Par / Pakistan / Panditowie / Papa I, Papa II (centra przesłuchań) / Paramilitarne organizacje / Patrol Przelotowości Drogi / Picked Up / Pocisk / Podziemie / Pogrzeby / Pojmać i zabić / Pokojowy proces / Pokój / Policja / Policyjna godzina / Pomyłka ogniowa (przypadkowa śmierć) / Posterunek kontrolny / Powstaniec / Pozarządowe organizacje (NGO – Non-Governmental Organisations) / Pólsieroty / Półwdowy / Prasowa konferencja / Praw człowieka aktywista (HRA – HR activist) / Praw człowieka naruszenia (HRV – Human Rights Violations) / Prima Facie / Protokół przesłuchania (FIR – First Information Report) / Przechwyty / Przemoc / Przesłuchanie / Przesłuchanie (Interrogation) / Przygraniczny (nadgraniczny, ponadgraniczny – Cross-border) / Psychologiczna wojna (tutaj Psyops)

R: RDX – cyklonit / Rebeliant (militant – także milton, Mike) / Referendum / Regularne oddziały / Rekompensata / Renegaci / RR (Rashtriya Rifles)

S: Sankcje (Crackdown) / Sekretna informacja / Separatyści / Siła uderzeniowa / Siły Oddziałów Specjalnych (Armed Forces Special Powers) / SRO 43 (Special Relief Order-1 lakh) / Strefa dominacji / Szahid (męczennik) / Szpieg / SZS – Siły do Zadań Specjalnych

T: Terrorysta / Tortury / Turystyka / Trzeci Stopień

U: Ultrasi / Ustalanie wyników wyborów (rigging) / Ustawa o bezpieczeństwie publicznym (PSA – Public Security Act) / Ustawa o działaniach terrorystycznych i mącicielskich (Terrorist and Disruptive Activities Act) / Ustawa o zapobieganiu terroryzmowi (POTA – Prevention of Terrorism Act) / Uzdrowicielski dotyk

W: Waza / Wazwan / Wcielony dziennikarz (reporter dołączony do oddziału bojowego) / Wersja (lokalna / oficjalna / policyjna / wojskowa) / Więzienie / Więzienny zgon / Wioskowy Komitet Obrony / Wojsko / Wspólne Centrum Przesłuchań (JIC – Joint Interrogation Center) / Współpracownik (kolaborator?) / Wybory / Wybuch / Wymiana ognia / Wymuszone zniknięcie / Wyrzutnia / Wywiad

X: X gratia

Z: Zabezpieczony przed minami pojazd (MPV – mine proofe vehicle) /

Zabici / Zaginiony / Zagraniczny rebeliant (militant) / Zagrożenia / Zasadzka /
Zatrzymanie z wymianą ognia / Zawieszenie ognia / Zespół stresu pourazowego
(PTSD – Post-Traumatic Stress Disorder) / Zулm (opresja, tyrania) / Zwycięstwo

Ż: Źródła

Ż: Żywe tarcze

Nie ma już Musy, więc kto jej czymś takim zaśmieca głowę?

Czemu ona ciągle babrze się w tej starej historii?

Wszyscy poszli dalej.

Myślałem, że ona także.

Leżę na jej łóżku.

Moja głowa mnie zabija.

A pokój pełen jest balonów.

Czemu przy niej zawsze muszę się ładować w coś takiego?

Otwieram zeszyt, z którego wyrwałem stronicę. Na pierwszej stronie czytam:

Drogi doktorze,

*kiedy piszę, krążą nade mną anioły. Jak mogę im powiedzieć, że ich skrzydła
śmierdzą niczym tył kurzego zadka?*

Naprawdę w Kabulu wszystko jest prostsze.

*Potem, kiedy już umarła cztery czy pięć razy, mieszkanie wydawało się
dostosowane do dramatu bardziej poważnego niż jej własna śmierć.*

Jean Genet

1 *Ćhadźdża* – rodzaj małej kopuły w tradycyjnej architekturze indyjskiej.

2 Om, Aum – święta sylaba w hinduizmie.

3 *Sadhu* – święty mąż w tradycjach hinduskich.

4 Paraja – nazwa kasty niedotykalnych w Kerali.

5 W latach 80. w indyjskim stanie Pendżab silne były tendencje
separatystyczne.

6 Święta nić (noszona w poprzek klatki piersiowej) i kucyk z włosów są
częścią tradycyjnego ubioru braminów.

7 Rządy gubernatorskie wprowadza się zazwyczaj, gdy sytuacja w danym
stanie Republiki Indii jest niestabilna. Oznaczają one rozwiązanie rządu stanowego
i zarządzanie nim w praktyce przez rząd centralny. Od końca lat 80. z powodu
napływu terrorystów muzułmańskich z Pakistanu i Afganistanu oraz protestów
wewnętrznych sytuacja w Dżammu i Kaszmirze była tak niespokojna, że w 1990 r.
wprowadzono rządy gubernatorskie. Gubernatorem był Jag Mohan Malhotra,
nazywany w tekście powieści „Jego Ekscelencją” i powszechnie oskarżany
o rządzenie twardą ręką.

8 Nieformalna granica między Indiami a Pakistanem w Dżammu
i Kaszmirze.

9 *Kafir* – niewierny.

10 *Sikara* – używana w Kaszmirze łódka, najczęściej przeznaczona do przewozu kilku osób ze sternikiem wiosłującym na rufie.

11 Sytuacja, w której Kaszmirczycy po oddaniu głosu muszą pokazywać oznaczone tuszem palce – dowody zagłosowania – reprezentantom sił bezpieczeństwa.

8. Lokatorka

Pstra sówka kiwała się na światłach ulicznych z delikatnością i subtelnością manier japońskiego biznesmena. Miała niczym nieprzesłonięty widok na mały pusty pokój z dziwną nagą kobietą na łóżku. Także i ona miała na nią nieprzesłonięty widok. Czasami w odpowiedzi ona kiwała się i mówiła: „*Moszi, Moszi*”, co było jedynym japońskim słowem, jakie znała.

Nawet wewnątrz ze ścian promieniował otępiający, nieustępliwy skwar. Powolny wentylator obracał rozpalone powietrze, odkładając w nim delikatne spopielone warstwy.

W pokoju były ślady jakiejś uroczystości. Balony przywiązane do kraty na oknie uderzały o siebie ospale, sflaczałe i pomarszczone przez gorąco. Pośrodku niski pomalowany taboret, na którym znajdowały się ciasto z polewą truskawkową i lukrowymi kwiatkami, świeczka ze zwęglonym knotem, pudełko zapalek i obok kilka wypalonych. Na torcie napis: „Happy Birthday Miss Jebin”. Ciasto zostało pokrojone, a mały kawałek zjedzony. Lukier roztopił się i ściekał na pokryty srebrną folią karton na spodzie. Mrówki oddalały się z kawałkami większymi od nich. Czarne mrówki, różowe okruchy.

Dziecko, którego urodziny oraz chrzciny zostały wyprawione jednocześnie i skutecznie przeprowadzone, mocno zasnęło.

Jej porywaczka, która występowała pod nazwiskiem S. Tilottama, była rozbudzona i skupiona. Słyszała, jak rosną jej włosy. Brzmiało to jak trzaskanie spalonej rzeczy. Węgla. Grzanek. Ciem przysmażonych na żarówce. Przypomniała sobie, że gdzieś słyszała, iż nawet po śmierci ludziom rosną jeszcze włosy i paznokcie. Niczym światło gwiazd podróżujące przez wszechświat długo jeszcze po tym, kiedy same gwiazdy umarły. Jak miasta. Uchodzą bąbelki symulujące iluzję życia, podczas gdy ograbiona przez nie planeta umierała nieopodal niego.

Myślała o mieście w nocy, o miastach w nocy. Porzucone konstelacje starych, opadłych z nieba gwiazd, na Ziemi przegrupowane w przeróżne wzorce, szlaki i wieżyce. Najechane przez myzły₁, które nauczyły się chodzić pionowo.

Myzłowy filozof o surowych manierach i ostro przyciętym wąsie odczytywał klasie tekst książki. Zachwycone młode myzły natężyły się, by nie stracić żadnego słowa spływającego z jego dostojnych myzłowych warg. „Nietzsche sądził, że gdyby litość miała stać się sednem etyki, niedola stałaby się zaraźliwa, a szczęście – przedmiotem podejrzeń”. Uczniacy zapisywali w swoich małych zeszytach. „Z kolei Schopenhauer uważał, że litość jest i powinna być najwyższą cnotą myzłów. Ale na długo przed nimi oboma Sokrates postawił kluczowe pytanie: »Dlaczego mamy być moralni?«”.

Ten profesor stracił nogę w czwartej wojnie światowej myzłów i chodził o lasce. Pozostałe nogi (pięć) były w znakomitym stanie. Zrobione na ścianie

aerografem graffiti oznajmiało:

Złe myśli zawsze wychodzą na swoje.

Do i tak już zapchanej klasy wpychały się jeszcze inne stworzenia.

Aligatorka z torebką z ludzkiej skóry.

Świerszcz ze światłymi celami.

Pstrąg poszczący.

Lis z listą haseł.

Minóg z manifestem.

Neokonserwatywny nietoperz.

Ikoniczna iguana.

Komunistyczna krowa.

Sowa z alternatywą.

W telewizji waran. „Oglądacie waranie wiadomości o dziewiątej. Dzień dobry, serdecznie witamy, oglądacie warantowane zamiecie na waraniej wyspie”.

Dziecko było początkiem czegoś. Tyle przynajmniej kidnaperka wiedziała. Kości szeptały to do niej tej nocy (wiadomej nocy, oczywistej nocy, zapowiedzianej nocy, nocy, o której będzie się później mówić „ta noc”), kiedy zrobiła swoje posunięcie na chodniku. A jej kości były z całą pewnością wiarygodnymi informatorkami. To dziecko to panna Dżebin Wracająca. Wracająca, rzecz jasna, nie do siebie (panna Dżebin Pierwsza nigdy nie była jej), lecz do świata. Kiedy panna Dżebin Druga stanie się damą, wyrówna wszystkie rachunki i załatwi wszystkie sprawy. Panna Dżebin odwróci kierunek pływ.

Była jeszcze nadzieja dla Złego Myzłowego Świata.

To prawda, że Szczęśliwa Łąka zapadła się. Ale panna Dżebin nadeszła.

•

Naga prosił Tilo, aby podała jeden dobry powód, dla którego go opuszcza. Czyż jej nie kochał? Czyż nie był troskliwy? Uważny? Hojny? Rozumiejący? Dlaczego teraz? Po wszystkich tych latach? Powiedział, że czternaście lat to dla każdego dobry czas, aby wszystko przezwyciężyć, pokonać, aby się ze wszystkim uporać. Zakładając, że chcieli się uporać. Ludziom udawało się uporać ze znacznie gorszymi tarapatami.

– Aaaa, to! – powiedziała. – Uporałam się już z tym dawno temu. Teraz jestem szczęśliwa i przyzwyczajona. Jak ludzie z Kaszmiru. Nauczyłam się kochać swój kraj. Kto wie, może w następnych wyborach będę nawet głosować.

Przez chwilę pomyślał, a potem powiedział, że powinna rozważyć wizytę u psychiatry.

Myślenie przyprawiało ją o ból gardła. To bardzo dobry powód, aby nie myśleć o wizycie u psychiatry.

Naga zaczął nosić tweedowe marynarki i palić cygara. Jak kiedyś jego

ojciec. I zwracać się do służących we władczy sposób, tak jak kiedyś matka. Mrówki na grzance, przepaski z *khadi* i Rolling Stonesi – był to zapomniany, gorączkowy sen z dawnego życia.

Matka Nagi, która mieszkała na parterze wielkiego domu (ojciec, ambasador Śiwaśankar Hariharan, zmarł), radziła mu, aby pozwolił Tilo odejść.

– Sama nie będzie potrafiła dać sobie rady, będzie błagała, żebyś ją przyjął z powrotem.

Naga wiedział co innego. Tilo da sobie radę. A nawet gdyby sobie nie dawała, nie będzie żadnego błagania. Miał wrażenie, że Tilo niesiona jest przez falę i ani ona, ani on nic na to nie mogą poradzić. Nie potrafił powiedzieć, czy jej niepokój, jej kompulsywne i coraz bardziej niebezpieczne wałęsanie się po mieście oznaczały początek choroby umysłowej, czy też ostry, zgubny rodzaj zdrowia. A może jedno i drugie było tym samym?

Jednej tylko rzeczy mógł przypisać to nowe wzburzenie – była to osobliwa śmierć jej matki; mogłoby to się wydawać dziwne, jeśli zważyć na fakt, że relacja między nimi dwiema ledwie istniała. To prawda, że Tilo dwa ostatnie tygodnie spędziła w szpitalu przy łóżku. Jeśli jednak tego nie liczyć, przez ostatnich kilka, kilkanaście lat widziała się z matką ledwie parę razy.

Naga miał słuszność w jednym sensie, a nie miał jej w innym. Śmierć jej matki (co nastąpiło w zimie 2009 roku) uwolniła Tilo od wewnętrznego związku, którego nikt, łącznie z nią, nie był świadom z racji tego, że uchodził on za swe całkowite przeciwieństwo: osobliwą wyspiarską niezależność. Przez całe swe dorosłe życie Tilo określała się i kształtowała, podkreślając i utrzymując dystans pomiędzy sobą a matką – tak naprawdę jej przybraną matką. Kiedy to przestało już być konieczne, coś, co w niej zamarzło, zaczęło tajać, a jego miejsce poczęło zajmować coś zupełnie niespodziewanego.

Związek Nagi z Tilo nie potoczył się zgodnie z jego zamierzeniami. Miała być kolejną łatwą zdobyczą. Jeszcze jedną kobietą, która poddała się jego bezczelnej błyskotliwości i nieodpartemu czarowi tylko po to, aby ulec złamaniu serca. Tymczasem Tilo wpełzła na niego i stała się rodzajem kompulsji, niemal rodzajem uzależnienia. Uzależnienie ma swoje własne mnemoniki – skóra, zapach, długość palców ukochanej osoby. W przypadku Tilo była to skośność oczu, kształt ust, niemal niewidoczna blizna, która lekko zmieniała symetrię jej warg i czyniła ją napastliwą nawet wtedy, kiedy wcale jej o to nie chodziło. Sposób, w jaki nadymały się jej nozdrza, zapowiadając złość, zanim jeszcze zrobiły to oczy. Sposób, w jaki trzymała barki. Sposób, w jaki siadała na kiblu zupełnie naga i paliła papierosy.

Tyle lat małżeństwa, fakt, że nie była już młoda – i wcale nie zamierzała udawać, że jest inaczej – nie odmieniały jego uczucia. Miało ono bowiem do czynienia z czymś więcej niż tylko tym. Była to wyniosłość (niezależnie od znaku

zapytania przy jej posagu, czego jej matka nie wahała się podkreślić). Miało także do czynienia ze sposobem, w jaki żyła, w kraju, w którym ciągle silnie czuła swoją skórę. W kraju, który nie wydawał wiz i jakby w ogóle nie miał żadnych konsulatów.

To prawda, że kraj ten nigdy nie należał do szczególnie przyjaznych, nawet w najlepszych czasach. Ale jego granice były szczelnie zamknięte, a rządy mniej lub bardziej całkowitego izolacjonizmu zaczęły się dopiero po katastrofie w kinie Shiraz. Naga poślubił Tilo, ponieważ nigdy nie był w stanie do niej dotrzeć. A ponieważ nie był w stanie dotrzeć, nie mógł też pozwolić jej odejść. (Oczywiście to pociąga za sobą inne pytanie: dlaczego Tilo wyszła za Nagę? Życzliwa osoba powiedziałaaby, że potrzebowała schronienia. Mniej życzliwy pogląd brzmiał, że chciała mieć przykrywkę).

Była to wprawdzie tylko mała część całej historii, ale w umyśle Nagi „przed” i „po” Shiraz czasami nabierało charakteru p.n.e. i n.e.

•

Po telefonie o północy od Biplaba Das-Goose-da w Daćigam zabrano Nadze tylko kilka godzin i wymagało kilku dyskretnych telefonów, aby przygotować podróż z Ahdoos do Shiraz. Ogłoszono stan wyjątkowy. Śrinagar był zamknięty. Zabezpieczono pogrzeby ludzi zabitych podczas weekendu, aby żałobnicy nie awanturowali się na ulicach następnego ranka. Wydano rozkaz, aby strzelać bez ostrzeżenia. Poruszanie się po mieście tej nocy wydawało się zupełnie niemożliwe. Zanim Nadze udało się załatwić pojazd, przepustkę na godzinę policyjną, zaświadczenia na punkty kontrolne i pozwolenie na wjazd do Shiraz – niemal już świtało.

Adiutant czekał na niego przed holem kina obok tego, co niegdyś było kasą biletową, a teraz stanowiło wartownię. Powiedział, że major Sahib (Amrik Singh) wyjechał, ale w biurze czeka jego zastępca. Adiutant eskortował Nagę na tył budynku, a potem po schodach przeciwpożarowych – do mrocznego, spieszenie przygotowanego biura na pierwszym piętrze. Powiedział Nadze, aby ten usiadł, informując, że „sahib” będzie tu za chwilę. Wchodząc do pomieszczenia, Naga w żaden sposób nie mógł rozpoznać, iż siedząca na krześle tyłem do drzwi postać w *pheranie* i kominiarce to Tilo. Nie widział jej od jakiegoś czasu. Kiedy się odwróciła, bardziej niż wyraz oczu zaalarmowała go jej próba, aby się uśmiechnąć i powiedzieć „cześć”. Dla niego stanowiło to oznakę przełomu. To nie była ona. Nie była kobietą, która się uśmiecha i mówi „cześć”. Bliscy przyjaciele z czasem uczyli się, że przy Tilo brak pozdrowienia to w istocie obcesowa deklaracja intymności. Dzięki kominiarce to, co później nazywali „postrzyżynami”, nie było natychmiast dostrzegalne. Naga uznał zrazu, że to tylko południowoindyjska odpowiedź na chłód. (Miał w zanadrzu komplet kawałów na temat południowych

Indyjczyków w czapkach zakrywających całą twarz, które opowiadał z wyraźnym akcentem i pewnością siebie, nie bojąc się, że kogoś obrazi, skoro sam był półpołudniowym Indyjczykiem). Na jego widok Tilo zerwała się i szybko ruszyła do drzwi.

– To ty! Myślałam, że to Garson...

– Zadzwoił do mnie. Jest w Daćigam z gubernatorem. Akurat tak się złożyło, że byłem w mieście. Wszystko z tobą okej? A Musa...? Czy...?

Objął ją ramieniem. Nie tyle drżała, ile wibrowała, jak gdyby tuż pod jej skórą działał jakiś silnik. Drzenie pojawiło się w kącie jej ust.

– Czy możemy już iść? Czy wolno...?

Zanim Naga zdążył odpowiedzieć, wszedł Aśfak Mir, zastępca komendanta kina Shiraz, poprzedzany przez przytłaczającą woń wody kolońskiej. Naga natychmiast wypuścił Tilo z objęcia, czując się winnym nietaktowi. (W Kaszmirze w tym czasie różnica pomiędzy udowodnioną winą a niewinnością pozostawała w sferze tajemnicy).

Aśfak Mir był zaskakująco niski, miał zaskakująco silny wygląd i był zaskakująco biały, nawet jak na Kaszmirczyka. Uszy i nozdrza cechowały się muszlową różowością. Otaczało go niemal metaliczne promieniowanie. Dbął o swoją prezencję: spodnie khaki miały wyraźne kanty, brązowe buty były wypucowane, sprzączki skrzyły się, a wyżelowane włosy zostały zdecydowanie zaczesane do tyłu, odsłaniając gładkie, lśniące czoło. Mógł być Albańczykiem albo młodym oficerem z Bałkanów, ale kiedy przemówił, dawało się posłyszeć ton starodawnego właściciela barki mieszkalnej, wychowanego przez całe pokolenia legendarnej wręcz gościnności Kaszmirczyków, którzy z radością witają starego klienta.

– Witam, sir! Witam, witam! Muszę powiedzieć, że jestem pańskim największym wielbicielem, sir! Potrzebujemy ludzi takich jak pan, aby tacy jak ja nie zbczyli z właściwej drogi!

Uśmiech, który rozlał się po jego świeżej, chłopięcej twarzy, był zniewalający. Jego rozradowane, dziecięco niebieskie oczy lśniły czymś, co wydawało się prawdziwą przyjemnością. Niczym przy układaniu kanapki chwycił dłoń Nagi między swoje ręce i przez długi czas ścisnął ją gorąco, zanim zajął miejsce za biurkiem i wskazał Nadze miejsce naprzeciw siebie.

– Bardzo przepraszam, że trochę się spóźniłem. Przez całą noc byłem w terenie. W mieście są kłopoty, musiał pan o tym słyszeć; protesty, strzelaniny, ofiary śmiertelne... Cóż, nasza zwykła śrinagarska specjalność. Właśnie wróciłem. Mój zwierzchnik, sir, prosił mnie o to, abym przyszedł i osobiście przekazał *ma'am*.

Chociaż powiedział *ma'am*, zachowywał się tak, jakby Tilo w ogóle nie było. (Co pozwoliło Tilo zachowywać się tak, jakby w ogóle jej tu nie było). Nawet

mówiąc o niej, nie spoglądał w jej kierunku. Nie było jasne, czy to wyraz szacunku, jego braku, czy też rodzaj lokalnego zwyczaju.

*

Niewiele z tego, co działo się tego dnia w pokoju, było klarowne. Pojawienie się Aśfaka Mira mogło być albo starannie wyreżyserowanym, łącznie z manierami, sposobem wejścia, albo też wypraktykowaną improwizacją. Jediną rzeczą, która nie pozostawiała żadnej wątpliwości, była groźba kryjąca się pod pełnym wigoru, uśmiechniętym zachowaniem: „ma’am” będzie osobiście przekazana, ale „sir” i „ma’am” będą mogli wyjść dopiero wtedy, kiedy pan Aśfak Mir im na to pozwoli. Zachowywał się jednak tak, jak gdyby był tylko marnym posłańcem, w najbardziej możliwy z uprzejmych sposobów wykonującym zleczone mu zadanie. Sprawiał wrażenie, jak gdyby nie miał absolutnie żadnego pojęcia, co się stało, co Tilo robiła w połączonym centrum przesłuchań, czy też dlaczego miała być „przekazana”.

Jeśli już nie coś innego, to chociażby powietrze w pokoju (drżące) świadczyło o tym, że zdarzyło się coś obrzydliwego. Nie było jednak jasne, co ani kto był sprawcą i przeciwko komu coś uczynił.

Aśfak Mir zadzwonił i zamówił herbatę oraz ciastka, nie pytając swoich gości, czy chcą czegokolwiek. Podczas gdy czekali na spełnienie polecenia, Aśfak Mir podążył za spojrzeniem Nagi, które zatrzymało się na oprawionym plakacie na ścianie:

Trzymamy się własnych reguł Jesteśmy okrutni Zabójczy pod każdym względem Powstrzymywacze fal Igramy z burzami I słusznie odgadłeś Jesteśmy Ludźmi w mundurach

– Ach, nasza tutejsza poezja...

Aśfak Mir odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się serdecznie.

Albo herbata, albo plakat uczyniły go rozmownym. Niewrażliwy na niepokój (tak samo jak i na spokój) słuchaczy, przyjaźnie trajkotał o swoich czasach studenckich, swoich poglądach politycznych, swojej pracy. Oznajmił, że był jednym z czołowych studentów i, jak większość młodych ludzi z jego pokolenia, zaciekle separatystą. Teraz jednak, po rozlewie krwi na początku lat dziewięćdziesiątych, po tym jak stracił kuzyna i pięciu bliskich przyjaciół, przejrzał na oczy. Obecnie sądził, że kaszmirska walka o *Azadi* znalazła się na bezdrożu i że nic nie można osiągnąć bez „rządów prawa”. Dlatego też wstąpił do policji Dżammu i Kaszmiru i został odkomenderowany do GOS, Grupy Operacji Specjalnych. Trzymając delikatnie ciasteczko pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, wyrecytował wiersz Habiba Dżaliba. Wiersz, który, jak powiedział, po prostu do niego przemówił w tym właśnie momencie, kiedy wszystko zobaczył inaczej.

Mohabbat golijo se bo rahe ho

*Watan ka céhra khun se dho rahe ho
Guman tum ko ke rasta kat raha hai
Jakin mudžhko ke manzil kho rahe ho*

Kule, które siejesz zamiast miłości
Nasz kraj, który obmywasz krwią,
Mniemasz, iż torujesz drogę,
Ja jednak sądzę, że zupełnie zblądziłeś.

Nie czekając na reakcję, z tonu recytatora przeszedł na ton konspiracyjny.

– A po *Azadi*? Czy ktokolwiek o tym pomyślał? Co większość robi z mniejszością? Kaszmirczycy już się wynieśli, pozostaliśmy tylko my, muzułmanie. Co sobie nawzajem zrobimy? Co salafici zrobią barelwitom? Sunnici szyitom? Mówią, że pewniejsza jest ich droga do *džannat*, jeśli zabiją szyitę, niż jeśli zabiją hinduistę. Jaki będzie los buddystów z Ladakhu? Hindusów z Dżammu? J&K to nie jest tylko Kaszmir. To przecież Dżammu i Kaszmir, i Ladakh. Czy ktokolwiek z separatystów o tym pomyślał? Odpowiedź, której mogę wam udzielić, to wielkie „nie”³.

Naga zgadzał się z tym, co Aśfak Mir mówił, i wiedział, jak starannie te ziarnka samowątpliwości były rozsiewane przez rząd, który znad krawędzi całkowitego chaosu zyskiwał powoli kontrolę. Słuchanie Aśfaka Mira było jak przyglądanie się zmianom pór roku i dojrzewaniu zbóż. W efekcie Naga poczuł gwałtowny wzlot, nawiedziło go jakieś mistyczne poczucie wszechwiedzy. Nie chciał jednak zrobić niczego, co przedłużyłoby spotkanie. Dlatego się nie odezwał. Na pokaz wyciągnął szyję, aby odczytać listę „najbardziej poszukiwanych” – około dwudziestu pięciu nazwisk, napisanych zielonym markerem na białej tablicy za biurkiem. Obok mniej więcej połowy widniało: (zabity), (zabity), (zabity).

– To wszystko Pakistańczycy i Afgańczycy – powiedział Aśfak Mir, nie odwracając się, tylko podchwytyjąc spojrzenie Nagi. – Ich *shelf-life* to nie więcej niż sześć miesięcy. Do końca roku wszyscy zostaną wyeliminowani. Nigdy jednak nie zabijamy kaszmirskich chłopaków. NIGDY. Nigdy, chyba że są zatwardziali.

Jawne kłamstwo zawisło bezkarnie w powietrzu. Taki był właśnie jego cel: sprawdzić powietrze.

Aśfak Mir sączył herbatę, wpatrując się nieustannie w Nagę tymi zdumiewająco nieruchomymi oczyma. Nagle – a może wcale nie tak nagle – przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

– Chciałby pan zobaczyć miltona? Mam tutaj jednego zranionego w areszcie. Kaszmirczyk. Mam go wezwać?

Znowu użył dzwonka. W kilka sekund zjawił się podwładny i przyniósł „zamówienie”, jak gdyby chodziło o dodatkowe ciasteczko do herbaty.

Aśfak Mir uśmiechnął się figlarnie.

– Tylko proszę nie mówić mojemu szefowi. Zrobi mi awanturę. Takie rzeczy

nie są dozwolone, ale pana i *ma'am* z pewnością to zainteresuje.

Podczas gdy czekał, aż zostanie podany następny smakołyk, skupił się na papierach leżących na biurku, gwałtownie na kilku z nich kreśląc swój podpis z miną radosnego triumfu. A skrzywienie pióra na papierze dodatkowo podkreślała cisza. Tilo, która siedziała na krześle z tyłu pokoju, podniosła się i podeszła do okna, aby spojrzeć na zapyziały parking, pełen wojskowych pojazdów. Nie chciała być częścią publiczności dla popisu Aśfaka Mira. Był to instynktowny gest solidarności z więźniem przeciwko strażnikowi. Niezależnie od powodów, dla których więzień był więźniem, a jego strażnik strażnikiem.

Jeszcze przed chwilą starała się, aby jej obecność była zupełnie niezauważalna. Teraz jej nieobecność stała się wręcz termiczna, emitowała energię, której obaj mężczyźni w pokoju byli wyraźnie świadomi, aczkolwiek na zupełnie inne sposoby.

Po kilku minutach wszedł potężny policjant, który dźwigał w ramionach chudziutkiego chłopca. Jedna nogawka spodni chłopaka była podwinięta i odsłaniała chudą jak zapałka łydkę, podtrzymywaną przez szynę od kostki do kolana. Rękę miał w gipsie, a szyję zabandażowaną. Chociaż jego twarz była wykrzywiona bólem, nie drgnęła bardziej, kiedy żołnierz położył go na podłodze.

Odmowa okazywania bólu należała do paktu, który chłopak zawarł z sobą samym. Ten akt nieposłuszeństwa, na który porwał się w obliczu absolutnej, miażdżącej porażki. Nadawało mu to charakter majestatyczny. Tyle że nikt go nie dostrzegał. Zupełnie nieruchomy, przypominający poharatanego ptaka, opierał się na jednym łokciu, oddychając płytko, ze wzrokiem zwróconym do wewnątrz i twarzą niewyrażającą niczego. Nie zdradzał zainteresowania ani otoczeniem, ani ludźmi w pokoju.

A Tilo, stojąca do nich plecami, w równie samotniczym akcie nieposłuszeństwa, nie chciała okazać zainteresowania chłopakiem.

Aśfak Mir przerwał tę scenę tonem równie deklamatorskim, jakim recytował wiersz. Także i tym razem był to rodzaj recitalu:

– Przeciętny wiek miltonów waha się pomiędzy siedemnastoma a dwudziestoma latami. Są to młodzieńcy z całkowicie wypranymi mózgami, indoktrynowani i wyposażeni w broń. Najczęściej do grupy tej należą biedni chłopcy z niższych kast – tak, dla waszej wiadomości: nawet my, muzułmanie, szczęśliwie stosujemy system kastowy. Nie wiedzą, czego chcą. Są po prostu wykorzystywani przez Pakistan, aby wykrwawić Indie. Moglibyśmy to nazwać polityką „dźgaj i wykrwawiaj”. Ten chłopak nazywa się Edżaz. Został schwytany podczas operacji w jabłoniowym sadzie nieopodal Pulwami. Możecie z nim porozmawiać. Spytać go, o co chcecie. Należał do nowego *tanzim*⁴, który właśnie rozpoczął tutaj operacje. Laśkar-e-Tajjiba⁵. Jego dowódca, Abu Hamza, był Pakistańczykiem. Został unieszkodliwiony.

Teraz gra stała się jasna dla Nagi. Oferowano mu transakcję w swoistej walucie kaszmirskiej. Wywiad ze schwytanym bojownikiem ze względu na nowego i – zgodnie z informacjami wywiadu, do których go dopuszczono – groźnego oddziału w zamian za milczenie w sprawie nocnych wypadków, w sprawie tego, cokolwiek przydarzyło się Tilo, albo w sprawie okro-pieństw, których była świadkiem.

Aśfak Mir podszedł do swej ofiary i przemówił do niej po kaszmirsku – tonem, którego można by użyć wobec kogoś, kto ma kłopoty ze słuchem.

– *Ji cui᳚* Nagaradž Hariharan Sahib. To słynny dziennikarz z Indii. – (Podburzanie było zarazą w Kaszmirze, a czasami mimowolnie przenikało także do języka lojalistów). – Nie jest po naszej stronie, ale szanujemy go i podziwiamy. Na tym polega demokracja. Pewnego dnia i wy zrozumiecie, jaka to piękna rzecz. – Zwrócił się do Nagi, przechodząc na angielski (który chłopak rozumiał, ale w którym nie potrafił mówić): – Pobywszy z nami jakiś czas i poznawszy nas lepiej, ten chłopak rozumiał, po jak błędnej stąpał drodze. Teraz uważa nas za swoją rodzinę. Zerwał ze swą przeszłością, wydał swych kolegów i tych, którzy przemocą go indoktrynowali. Sam nas poprosił, abyśmy przez dwa lata potrzymali go w areszcie, dzięki czemu będzie bezpieczny. Rodzice mogą go odwiedzać. Za kilka dni zostanie przeniesiony do więzienia, do aresztu sądowego. Jest tam więcej takich chłopców jak on, którzy przebywają z nami i gotowi są współpracować. Może pan rozmawiać z nim, o czym chce. To żaden problem. Będzie mówił.

Naga nic nie powiedział. Tilo dalej stała przy oknie. Na zewnątrz było zimno, ale powietrze drżało i śmierdziało olejem napędowym. Patrzyła, jak żołnierze eskortują młodą kobietę z dzieckiem na ręku pomiędzy gęstwiną pojazdów i ludzi. Kobieta szła z lekkim ociąganiem. Nieustannie się odwracała, jakby chciała coś zobaczyć. Żołnierze odtransportowali ją na zewnątrz metalowej bramy Shiraz, poza koncertinę, która odgradzała centrum przesłuchań od głównej drogi. Zastygła nieruchomo tam, gdzie ją zostawili. Mała, przerażona postać, wysepka na skrzyżowaniu dróg donikąd.

Na moment milczenie w pokoju stało się niezręczne.

– Ach, oczywiście, rozumiem... Wolałby pan z nim rozmawiać sam na sam? Mam wyjść? To żaden problem. Oczywiście, że mogę wyjść. – Aśfak Mir znowu nacisnął guzik. – Wychodzę – poinformował zdumionego adiutanta, który pojawił się na dźwięk dzwonka. – Wychodzimy. Usiądziemy na zewnątrz.

Sam siebie w ten sposób wyprosiwszy z własnego gabinetu, wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Tilo na chwilę się obróciła, aby zobaczyć, jak wychodzi. Przez szczelinę pomiędzy spodem drzwi a podłogą widziała jego brązowe buty, zasłaniające światło. Już sekundę później powrócił wraz z żołnierzem, który niósł niebieskie plastikowe krzesło. Ustawił je naprzeciw chłopca na podłodze.

– Proszę usiąść, sir. Będzie mówił, nie musi się pan przejmować. Nic panu

nie zrobi. Wychodzę teraz, w porządku? Możecie porozmawiać na osobności.

Odwrócił się i zamknął za sobą drzwi. Powrócił niemal natychmiast.

– Zapomniałem panu powiedzieć, że na imię ma Edżaz. Może go pan pytać, o co pan chce.

Popatrzył na Edżaza, a jego ton stał się natychmiast bardziej natarczywy:

– Odpowiedz, o cokolwiek cię pan spyta. Urdu nie jest problemem. Możesz mówić w urdu⁷.

– *Dži8*, sir – odrzekł chłopiec, nawet nie patrząc na -Aśfaka Mira.

– Jest Kaszmirczykiem, ja jestem Kaszmirczykiem, jesteście braćmi. I niech pan tylko spojrzy na nas! Okej, już wychodzę.

Aśfak Mir znowu wyszedł z pokoju i ponownie jego buty przespacerowały się tuż pod drzwiami.

– Chciałbyś coś powiedzieć? – spytał Naga Edżaza, ignorując krzesło i przykucnąwszy na podłodze przed chłopakiem. – Nie musisz wcale. Tylko jeśli chcesz. Z zapisem albo bez.

Edżaz przez chwilę wytrzymał spojrzenie Nagi. Zgroza, że zostanie przedstawiony jako renegat, wzięła górę nad fizycznym bólem. Wiedział, kim był Naga. Nie rozpoznawał oczywiście jego twarzy, ale w kręgach bojowników imię Nagi było szeroko znane jako nieustraszonego dziennikarza – nie, w żaden sposób nie tego, kogo nazywa się przyjaznym idiotą. Ale jako kogoś, kto może być użyteczny, członek tego, co niektórzy miltonowie opisywali jako „skrzydło praw człowieka”: indyjscy dziennikarze, którzy pisali z równą szczegółowością i bezstronnością o ekscesach sił bezpieczeństwa, jak i o miltonach. (Polityczna przemiana Nagi ciągle jeszcze nie zaznaczyła się w sposób wyraźny, nawet dla niego samego). Edżaz dobrze wiedział, że ma tylko kilka chwil na decyzję dotyczącą tego, co robić. Niczym bramkarz przy rzucie karnym musiał zdecydować, w którą stronę skoczyć. Był młody, więc wybrał bardziej ryzykowną opcję. Zaczął spokojnie i jasno mówić w urdu, z kaszmirskim akcentem. Sprzeczność pomiędzy jego wyglądem a słowami była niemal równie szokująca jak one same.

– Wiem, kim pan jest, sir. Walczący ludzie chcący zyskać wolność i godność znają Nagaradża Hariharana jako rzetelnego, uczciwego dziennikarza. Jeśli chce pan napisać coś o mnie, musi pan napisać prawdę. Nie jest prawdą to, co on, Aśfak Sahib, powiedział. Torturowali mnie, poddali elektrowstrząsom, kazali mi się podpisać na pustym papierze. Tak postępują tutaj z każdym. Nie wiem, co potem na nim napisali. Nikogo nie wydałem. Prawda jest taka, że czczę moich nauczycieli dżihadu bardziej niż swoich rodziców. Nie zmuszali mnie, bym do nich przystąpił. To ja ich poszukiwałem.

Tilo się odwróciła.

– Byłem w dwunastej klasie państwowej szkoły w Tang-marg. Musiałem

czekać cały rok, zanim mnie zrekrutowali. Oni, Laśkar, podchodzili do mnie bardzo podejrzliwie, gdyż nie miałem w rodzinie nikogo, kto został zabity, kto byłby torturowany czy kto zniknąłby bez wyjaśnienia. Zrobiłem to dla *Azadi* i dla islamu. Potrzebowali roku, aby mi zaufać, wybrać mnie i sprawdzić, czy czasem nie jestem agentem armii, a także czy moja rodzina będzie miała kogoś, kto się o nią zatroszczy, kiedy ja zostanę bojownikiem. Są bardzo ostrożni...

Czterech policjantów wpadło do pokoju, niosąc na tacach omlety, chleb, kebaby, krążki cebuli, pokrojoną marchewkę, a także więcej herbaty. Aśfak Mir ukazał się za nimi niczym kierowca rydwanu kierujący końmi. Osobiście nakładał jedzenie na talerze, zważając na to, aby marchewki znalazły się na obrzeżach, cebula w środku, niczym niemożliwe do przełamania formacje militarne. W pokoju zapadła cisza. Były tylko dwa talerze. Edżaz wbił spojrzenie w podłogę, Tilo znowu odwróciła się do okna. Ciężarówki wjeżdżały i wyjeżdżały. Kobieta z dzieckiem ciągle stała pośrodku drogi. Niebo płonęło różowo. Góry w oddali wydawały się eterycznie piękne, aczkolwiek był to kolejny straszliwy rok dla turystyki.

– Proszę bardzo. Proszę się częstować. Skosztuje pan kebaba? Teraz czy później? Proszę, rozmawiajcie dalej, nie ma problemu. Okej, ja już wychodzę.

I tak to po raz czwarty w ciągu dziesięciu minut Aśfak Mir opuścił swój gabinet i zatrzymał się za drzwiami.

Naga był zadowolony z tego, co Edżaz o nim powiedział, i zachwycony tym, że zdarzyło się to przy Tilo. Nie mógł się powstrzymać od małego przedstawienia.

– Przeszedłeś przez granicę? Byłeś trenowany w Pakistanie? – Naga spytał Edżaza, kiedy się już upewnił, że Aśfak Mir nie może tego usłyszeć.

– Nie. Byłem ćwiczony tutaj, w Kaszmirze. Mamy tu teraz wszystko. Szkolenie, broń... Kupujemy amunicję od wojska. Dwadzieścia rupii za jeden pocisk, dziewięćset za...

– Od wojska?

– Tak, oni wcale nie chcą, żeby skończyły się tu niepokoje. Nie chcą opuszczać Kaszmiru. Są bardzo zadowoleni z obecnej sytuacji. Wszyscy po obu stronach zarabiają na ciałach młodych Kaszmiczyków. Tak wielu tutaj ciska granatami i dokonuje masakr.

– Jesteś Kaszmiczykiem. Dlaczego wybrałeś Laśkar, a nie na przykład Hizb albo Jammu Kashmir Liberation Front?

– Bo już nawet w Hizb zaczynają szanować niektórych politycznych przywódców z Kaszmiru. W Laśkar nie mamy szacunku dla przywódców. Ja nie szanuję żadnego przywódcy. Oni wszyscy oszukali nas i zdradzili. Zrobili polityczne kariery na ciałach Kaszmiczyków. Nie mają żadnego planu. Przyłączyłem się do Laśkar, ponieważ chciałem umrzeć. Przypuszczałem, że zginę, i nigdy nawet nie pomyślałem o tym, że mogę zostać złapany żywcem.

– Ale najpierw, zanim dojdzie do śmierci, chciałeś zabijać...?

Edżaz spojrział Nadze prosto w oczy.

– Tak. Chciałem zabijać tych, którzy mordują mój lud. Czy to źle? Możesz to napisać.

Wpadł Aśfak Mir, z szerokim uśmiechem na ustach, a jednocześnie z poważnym wzrokiem, który przeskakiwał z jednej osoby na drugą, próbując ocenić, do jakiej wymiany pomiędzy nimi doszło.

– Starczy? Zadowolony? Czy współpracował? Przed publikacją proszę, żeby pan potwierdził u mnie wszystkie fakty otrzymane od niego. Ostatecznie to terrorysta. Mój terrorystyczny brat.

Po raz kolejny zaśmiał się radośnie i nacisnął dzwonek. Powrócił potężny policjant, chwycił Edżaza w ramiona i wyniósł go na zewnątrz.

Kiedy już kanapka została wyniesiona na swojej barczystej tacy, Naga i Tilo otrzymali radosne (choć niewypowiedziane) pozwolenie na wyjście. Jedzenie na talerzach pozostało nietknięte. Militarna formacja nienaruszona.

W drodze do Ahdoos, siedząc na klaustrofobicznym tylnym fotelu uzbrojonego jeepa, Naga trzymał Tilo za rękę. Tilo odwzajemniała się uściskiem. Świetnie zdawał sobie sprawę z okoliczności, w jakich następowała owa badawcza wymiana akceptacji. Czuł drzenie, silnik pracujący pod jej skórą. A jednak trzymanie w ręku dłoni tej właśnie kobiety ze wszystkich kobiet na świecie – czyniło go nieopisanie szczęśliwym.

Smród w jeepie był przytłaczający: podły koktajl kwaśnego metalu, prochu strzelniczego, oliwy do włosów, trwogi i zdrady. Zwykle do jego pasażerów należeli zamaskowani informatorzy, znani jako „Kotki”. Podczas operacji „Otoczyć i wyszukać” dorośli mężczyźni z otoczonego terenu musieli się zgromadzić i przechodzić przed uzbrojonym jeepem, wszechobecnym symbolem przerażenia w dolinie Kaszmiru. A Kotek ukryty wewnątrz metalowej klatki kiwał głową albo puszczał oko, a wtedy wskazany mężczyzna wyciągany był z rzędu, aby zostać poddany torturom, „zniknąć” albo zginąć. Naga oczywiście wiedział to wszystko, ale w najmniejszym stopniu nie burzyło to jego błogości.

Posępne miasto było zupełnie przytomne, choć udawało sen. Puste ulice, zamknięte targi, zatrzaśnięte sklepy i zamknięte domy przemykały za szczelinowymi oknami jeepa – „oknami śmierci”, jak nazywali je miejscowi, gdyż tym, co spoza nich wyglądało, był albo żołnierski karabin, albo oko informatora. Stada ulicznych psów przemykały niczym niedźwiadki, ich splątane futra gęstniały w oczekiwaniu na nadchodzącą zimę. Jeśli nie liczyć żołnierzy z bronią gotową do strzału, nie widać było żadnej ludzkiej istoty. Wczesnym przedpołudniem zakończy się godzina policyjna, a siły bezpieczeństwa się wycofają, pozwalając ludziom odzyskać miasto na kilka godzin. Wyroją się ze swoich domów setkami tysięcy i pomaszerują na cmentarz, nieświadomi tego, że nawet wylew żalu i wściekłości

stał się częścią militarnego, administracyjnego planu strategicznego.

Naga czekał, aż Tilo coś powie. Nie odzywała się. Kiedy spróbował rozpocząć rozmowę, rzekła:

– Proszę! Czy nie możemy... Czy nie jest... możliwe... nic nie mówić?

– Garson powiedział, że kogoś zabito, komendanta Gulreza... Tak myśleli, zresztą nie wiem kto... Garson sądzi... A może mu powiedzieli, że to był Musa. Czy tak? Tylko tyle. Powiedz mi tylko tyle.

Przez chwilę milczała. Potem odwróciła się i spojrzała na niego wprost. Jej oczy były potłuczonymi szkiełkami.

– Nie da się tego opowiedzieć.

Kiedy Naga obsługiwał konflikt w Pendżabie, często widział, w jakim stanie były ciała, kiedy przeszły przez centra przesłuchań. Dlatego też słowa Tilo przyjął jako potwierdzenie swoich przypuszczeń. Rozumiał, że upłynie trochę czasu, zanim Tilo upora się z tym, przez co przeszła. Dlatego też gotów był czekać. Pomyślał, że wie dostatecznie dużo albo przynajmniej tyle, ile musiał wiedzieć o tym, co się wydarzyło. Wybaczył sobie to, że cierpienie Tilo było dla niego źródłem wielkiego zadowolenia.

Odpowiedź Tilo na pytanie Nagi nie była po prostu kłamstwem. Ale z pewnością nie była też prawdą. Prawda brzmiała tak, że jeśli zważyć na stan ciała, które zobaczyła – to gdyby nie wiedziała, kto to jest, niepodobna było to stwierdzić. Tyle że ona wiedziała, kto to był. I wiedziała bardzo dobrze, że to nie był Musa.

Z tą nieprawdą, półprawdą czy jedną dziesiątą prawdy (albo jakimkolwiek innym jej ułamkiem) bariery opadły i granice kraju bez konsulatów zostały zapieczętowane. Epizod w Shiraz zaksięgowano jako rzecz załatwioną.

Kiedy powrócili do Delhi, ponieważ Tilo nie mogła pozostać sama w tym, co Naga nazwał jej „magazynkiem” w Nizamuddin Basti, zaproponował, aby zatrzymała się w jego małym mieszkanku na dachu rodzicielskiego domu. Kiedy zobaczył wreszcie jej włosy, uznał, że naprawdę jest jej dobrze w takiej fryzurze i że ktokolwiek to zrobił, powinien zostać jej fryzjerem. To wywołało jej uśmiech.

Kilka tygodni później spytał, czy ją poślubi. Zachwyciła go, mówiąc, że tak, poślubi. Bardzo szybko, ku wielkiemu niezadowoleniu jego rodziców, ceremonia została, jak oni to określili, odbyta. Zawarli ślub w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia roku 1996.

Jeśli Tilo potrzebne było ukrycie, z całą pewnością nie mogła osiągnąć tego lepiej niż jako synowa ambasadora Śiwaśankara Hariharana, którego dom mieścił się w Enklawie Dyplomatycznej.

Znosiła to wspólne życie przez czternaście lat, a potem, znienacka, nie mogła już dłużej. Spośród wielu wyjaśnień na temat tego, dlaczego tak się stało, najważniejsze brzmi, iż sprawiło to zmęczenie albo wyczerpanie. Poczula się

znużona życiem, które nie było naprawdę jej życiem, pod adresem, pod którym nie powinna była się znaleźć. Jak na ironię, kiedy zaczęła się ta odmiana, lubiła Nagę bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. To sobą była zmęczona. Nie potrafiła już chronić swego wewnętrznego świata – a ów talent można by uznać za kamień węgielny zdrowia psychicznego. Ruch myśli w jej głowie jakby przestał wierzyć w światła uliczne. Efektem były nieustanny zgiełk, kilka poważnych kolizji, a ostatecznie całkowity korek.

*

Kiedy teraz Naga spoglądał wstecz, uświadamiał sobie, że przez te wszystkie lata żył z nieświadomym lękiem o to, iż Tilo przemierza jego życie niczym wielbłąd przemierzający pustynię. I że z całą pewnością któregoś dnia go opuści.

A przecież kiedy do tego rzeczywiście doszło, zabrało mu to chwilę, zanim uwierzył.

Zajął się nim stary przyjaciel R.C., który zawsze twierdził, że praca w Biurze Wywiadu i czytanie protokołów z przesłuchań dawały człowiekowi niezrównaną możliwość poznania ludzkiej natury, o wiele głębszą niż ta, której mógłby się spodziewać kapłan, poeta czy psychiatra.

– Przepraszam, że to powiem, ale potrzebne są jej dwa solidne klapsy. Takie współczesne podejście jak twoje nie zawsze się sprawdza. Na koniec dnia wszyscy jesteśmy zwierzętami. Trzeba nam pokazać nasze em i e jot es ce. Odrobina jasności bardzo dopomoże wszystkim zainteresowanym stronom. Zrobisz jej znaczną przysługę, za którą będzie ci pewnego dnia wdzięczna. Możesz mi wierzyć, mówię z doświadczenia.

R.C. często zawieszał głos w połowie zdania i wyrzucał jakieś dziwne słowa, jak gdyby chciał zmylić wyimaginowanego podsłuchiacza, który nie będzie wiedział, jak je zapisać. O ludziach zawsze mówił jako „strona”. „Na koniec dnia” było jego ukochanym punktem wyjścia, od którego zawsze wyruszał ze swoimi radami i koncepcjami – tak jak zawsze, gdy z kolei chciał kogoś umniejszyć, zaczynał od: „Z całym należnym szacunkiem...”.

R.C. bardzo wyrzucał Nadze to, że pozwolił Tilo, aby nie miała dzieci. Nic tak nie mogłoby związać jej z małżeństwem jak dzieci. Był niskim, układnym, zniewieściałym mężczyzną ze szpakowatymi wąsami. Miał niską, układną żonę, a także niską, układną nastoletnią córkę, która studiowała biologię molekularną. Wyglądali jak modelowa rodzina w zestawie małych, układnych zabawek. Kiedy więc udzielił tej prawdziwie męskiej rady, było to zaskoczeniem nawet dla Nagi, który znał go od lat. Naga zaczął się zastanawiać nad naturą i częstotliwością klapsów, które utrzymywały panią R.C. w pionie. Na zewnątrz wydawała się spokojna i całkowicie pogodzona ze swoim losem – z domem wypełnionym po brzegi pamiątkami, a także z kolekcją dość niegustownej biżuterii oraz drogich

kaszmirskich szali. Naga nie potrafił sobie wyobrazić, że w rzeczywistości była wulkanem ukrytych furii, który należało dyscyplinować, wymierzając mu klapsa od czasu do czasu.

R.C., który uwielbiał bluesa, zagrał dla Nagi piosenkę Billie Holiday *No Good Man*:

I'm the one who gets

The run-around,

I oughta hate him

And yet

I love him so

For I require

Love that's made of fire

R.C. słyszał „*I oughta hate him*”, jako „*All the hittin*”. „Kobiety”, mówił. „Wszystkie kobiety. Bez wyjątku. Kumasz?”

Tilo zawsze przypominała Nadze Billie Holiday. Nie tyle ją jako kobietę, ile jej głos. Jeśli ludzka istota potrafi przypominać głos, to zdaniem Nagi Tilo przypominała głos Billie Holiday – z nią, z Tilo, wiązała się ta sama giętkość, nagłość zatrzymująca serce, kurewska. R.C. nie miał nawet pojęcia, co uruchamiał, kiedy skorzystał z Billie Holiday jako ilustracji tezy, którą wygłaszał.

Naga, który mógł mieć najróżniejsze wady, ale fizycznie był najdelikatniejszym z mężczyzn, pewnego ranka uderzył żonę. Nie z wielkim przekonaniem, z czego oboje zdawali -sobie sprawę. Niemniej uderzył. Trzymał ją potem i szeptał:

– Nie odchodź, proszę, nie odchodź.

Tego dnia Tilo stała w bramie i patrzyła, jak służbowy kierowca zabiera go służbowym wozem. Nie mogła widzieć, że przez całą drogę do pracy płakał na tylnym siedzeniu. Naga nie był płaczliwy. (Kiedy później, wieczorem, wystąpił jako gość w nadawanej w najkorzystniejszym czasie antenowym debacie telewizyjnej na temat bezpieczeństwa narodowego, nie zdradzał żadnego osobistego przygnębienia. Jego riposty były cięte i szybko pokonały działaczkę praw człowieka, która twierdziła, że nowe Indie podążają w kierunku faszyzmu. Lakoniczna odpowiedź Nagi wywołała pośród publiczności – złożonej ze starannie dobranych studentów w szykownych ubraniach i ambitnych młodych przedsiębiorców – chichot. Inny z gości, emerytowany i stetryczały generał z wielkimi wężami, cały w medalach, który regularnie był zapraszany przez studia telewizyjne, aby rozmowę o bezpieczeństwie nasycił jadem i głupotą, głośno się zaśmiał i zaczął klaskać).

Tilo pojechała autobusem na skraj miasta. Szła całymi milami miejskich wysypisk, jaskrawym krajobrazem wypchanych toreb plastikowych, po których uwijała się armia obszarpanych dzieci. Po niebie kręcił się czarny wir kruków

i kani, które rywalizowały o łupy z dziećmi, świniami i stadami psów. W oddali śmieciarki powoli przedzierały się przez góry odpadów. Urwiska odsłonięte przez częściowo osunięte worki uświadamiały głębię tego śmietniska.

Innym autobusem pojechała nad rzekę. Wsiadła przy moście i przyglądała się mężczyźnie, który na tratwie – zbudowanej z butelek po wodzie mineralnej i kanistrów – płynie przez wolną, brudną rzekę. Bawoły radośnie taplały się w czarnej wodzie. Na chodniku handlarze sprzedawali soczyste melony i długie zielone ogórki, wyhodowane w fabrycznych ściekach.

Godzinę spędziła w trzecim autobusie, z którego w końcu wysiadła przy zoo. Przez długi czas przyglądała się małemu gibbonowi z Borneo w jego obszernej, pustej klatce. Kudłata kropka wtulająca się w wysokie drzewo, jakby całe jej życie od tego zależało. Ziemia pod drzewem zaśmiecona była rzeczami ciskanymi przez gości, którzy chcieli przyciągnąć uwagę zwierzęcia. Na zewnątrz klatki gibona stał cementowy kosz na śmieci w kształcie gibona, a przed klatką z hipopotamem stał podobny kosz, tyle że kształtu hipopotama. Cementowy pysk hipopotama był otwarty i zapchany śmieciami. Żywy pierwowzór tarzał się w błotnistym stawie. Nad wodą sterczał jego gładki, szeroki, wypchnięty zadek koloru zmoczonej opony, a także małe oczka, osadzone pod różowymi napuchniętymi powiekami. Wokół pływały plastikowe butelki i puste opakowania po papierosach. Jakiś mężczyzna nachylił się nad córeczką, mającą jaskrawą sukienkę i oczy pociągnięte kajalem, i wskazując hipopotama, powiedział:

– Krokodyl.

– Korkodyl – powiedziała dziewczynka, wdzięcząc się. Grupa hałaśliwych młodzieńców pstrykała żyletkami ponad ogrodzeniem i za cementowe obrzeże stawu hipopotama. Kiedy zbrakło im żyletek, spytali Tilo, czy nie zrobiłaby im zdjęcia. Jeden z nich, z pierścieniami na każdym palcu i postrzępionymi czerwonymi sznurkami na każdym przegubie, skadrował zdjęcie, wręczył jej telefon i pędem pobiegł do kolegów. Otoczył ich ramieniem i pokazał znak zwycięstwa. Zwracając aparat, Tilo pogratulowała im odwagi, jakiej musi wymagać karmienie uwięzionego hipopotama żyletkami. Potrwało to chwilę, zanim połapali się w zniewadze. A kiedy to już do nich dotarło, szli za nią po zoo, wykrzykując pogardliwe zawołanie delhijskie: „*Oje! Habsi madam!*”. „Ej, madam czarnucho!” Szydźili z niej nie dlatego, że kolor jej skóry był niezwykle w Indiach, lecz ponieważ w jej zachowaniu i stroju widzieli *habsi* – Induskę lub Abisynkę, która wybiła się ponad swój poziom. *Habsi*, która najwyraźniej nie była służącą ani robotnicą⁹.

W każdej klatce domu z węzami znajdował się indyjski pyton skalny. Wężowy szwindel. Na wybiegu dla jelenia sambara stały krowy. Jeleni szwindel. Na wybiegu dla tygrysa syberyjskiego robotnice dźwigały worki z cementem. Syberyjskotygrysi szwindel. Większość ptaków w ptaszarni można było także

zobaczyć na drzewach – ptasi szwindel. Przy klatce kakadu żółtoczubej jeden z chłopaków przepchnął się obok Tilo i zaczął śpiewać do papugi, podkładając własne słowa pod popularną piosenkę Bollywood:

Dunija khatam ho dżajegi

Ćudai khatam nahi hogi

Świat się skończy,

ale jebanie nigdy.

Miało to być podwójnie obraźliwe, ponieważ Tilo była co najmniej dwa razy od niego starsza.

Przy wybiegu z pelikanami różowymi otrzymała SMS-a.

eko-mieszkania w Ghazijabadzie przy austostradzie nr 24

*Dwa pokoje z salonem i kuchnią: 1,5 miliona rupii**

Dwa pokoje z salonem i kuchnią: 1,8 miliona rupii

Trzy pokoje z salonem i kuchnią: 3,1 miliona rupii

Booking zaczyna się od 35 000 rupii

W sprawie rabatów dzwonić: 91-103-957-9-8

Zakurzony stary jaguar opierał głowę o zakurzone prety klatki. I tkwił tak, doskonale obojętny, godzinami. Może wręcz latami.

Tilo czuła się tak jak on. Zakurzona, stara i kompletnie zubożniała.

A może ona nim była.

Może pewnego dnia również ona doczeka się drogiego auta nazwanego na jej cześć.

•

Kiedy się wyprowadziła, nie wzięła ze sobą dużo. Zrazu nie było to jasne dla Nagi, a w gruncie rzeczy nawet dla niej, czy się wyprowadziła. Powiedziała mu, że wynajęła pomieszczenie biurowe, ale nie powiedziała gdzie. (Garson Hobart także mu tego nie zdradził). Przez kilka miesięcy pojawiała się i znikła. Z czasem bardziej znikła, niż pojawiała się, aż wreszcie powoli przestała w ogóle wracać.

Naga rozpoczął życie jako świeżo odślubiony mężczyzna, zanurzając się w pracy i w labiryncie ponurych interesów. Ktoś, kto równie często jak on pojawiał się w telewizji, był przez dzienniki i magazyny nazywany „celebrytą” – co ludziom wydawało się swego rodzaju zawodem. W restauracjach i na lotniskach całkiem nieznanymi ludziami prosili go o autograf. Wielu z nich nie było nawet pewnych, kto to taki, czym się dokładnie zajmował i dlaczego kogoś im przypominał. Naga był zbyt zmęczony, aby im odmawiać. W przeciwieństwie do większości rówieśników pozostawał szczupły i miał gęstą czuprynę.

Jako „człowiek sukcesu” mógł podrywać najróżniejsze kobiety, niektóre niezamężne i o wiele młodsze od niego, niektóre starsze, zamężne i szukające jakiejś odmiany albo też rozwiedzione i pragnące drugiej szansy. Prym wśród nich

wiodła szczupłą, wystylizowana wdowa, mająca trzydzieści kilka lat oraz mlecznobiałą skórę i lśniące włosy – drobna dynastia monarsza z niewielkiego ksiąstewka – w której matka Nagi zobaczyła samą siebie sprzed lat i zapagnęła jej bardziej niż syn. Zaprosiła *lady* i Księcia Charlesa, jej chihuahua, aby jako goście zostali na parterze, gdzie mogli planować, jak zdobyć szczyt.

Kilka miesięcy po rozpoczęciu afery księżniczka zaczęła nazywać Nagę *dżan* – ukochanym. Służbie w domu kazała się tytułować „Basa”¹⁰, zgodnie z dostojną tradycją radźputów. Gotowała Nadze potrawy według sekretnych przepisów rodzinnych, które zgromadziły się w rodzinnej monarszej kuchni. Zamówiła nowe zasłony, haftowane obicia i urocze *dari* na podłogę. Straszliwie zaniedbanemu apartamentowi nadała słodki, słoneczny, kobiecy wystrój. Zważała na to, by uśmierzać urażoną dumę Nagi. Nie odwzajemniał wprawdzie jej uczuć z taką intensywnością, z jaką oferowała swoje, ale akceptował je ze znużonym wdziękiem. Niemal zupełnie zapomniał, jak to wygląda, kiedy w parze jest się stroną bardziej kochaną. Pomimo generalnej niechęci do małych psów polubił Księcia Charlesa. Regularnie wychodził z nim do pobliskiego parku, gdzie rzucał mu frisbee wielkości spodka, które wcześniej wyszukiwał i kupował w Internecie. A Charles aportował te spodko-frisbee i biegł z powrotem do Nagi przez chaszczę, będące niemal takiej wysokości jak sam pies. Księżniczka pełniła funkcję gospodyni podczas kilku kolacji, które urządził Naga. Urzeczony nią R.C. molestował Nagę o to, by nie tracił czasu i ją poślubił, póki jest jeszcze w wieku, kiedy może wydać na świat dziecko.

Naga, ciągle wzburzony i nadal podatny na katastrofalne rady R.C., spytał księżniczkę, czy nie chciałaby się wprowadzić do niego ot tak, na próbę. Wyciągnęła rękę i pieczołowicie uporządkowała jego zmierzwione brwi, biorąc ich włosy pomiędzy palec wskazujący a kciuk. Powiedziała, że nic nie mogłoby jej uczynić bardziej szczęśliwą, zanim jednak się wprowadzi, musi wyzwolić *chi* Tilo, które ciągle wisiało nad domem. Otrzymawszy pozwolenie gospodarza, upiekła kilka czerwonych chili i kaszłąc delikatnie, z zamkniętymi oczyma oraz urzekającą głową odwróconą od intensywnego oparu, przenosiła dymiący mosiężny garnek z jednego pokoju do drugiego. Kiedy chili przestało dymić, zmówiła modlitwę i zakopała je w ogrodzie razem z garnkiem. Potem obwiązała czerwoną wstążkę wokół przegubu Nagi, a także zapaliła drogie świece aromatyzowane, po każdej w jednym pokoju, i zostawiła je, aż zupełnie się wypaliły. Kupiła kilkanaście dużych kartonów, aby Naga spakował rzeczy Tilo i zaniósł je do piwnicy. To właśnie podczas czyszczenia szafki Tilo, która tak bezwstydnie nią pachniała, Naga natknął się na grube akta medyczne matki Tilo z Lakeview Hospital w Koćinie.

Przez wszystkie te lata, kiedy byli małżeństwem, Naga nigdy nie zobaczył matki Tilo. Ta nigdy o niej nie mówiła, on zaś miał tylko jakieś bardzo ogólne rozeznanie. Nazywała się Marjam Ipe. Należała do starej arystokratycznej rodziny

syryjskich chrześcijan, na którą przyszyły złe czasy. Przez dwa kolejne pokolenia rodzina – ojciec Tilo i jej brat – studiowała w Oksfordzie, a ona sama uczyła się najpierw w szkole zakonnej w Utakamundi, wzgórzystej miejscowości w górach Nilgiri, a potem w chrześcijańskim college'u w Cennai. Potem choroba ojca zmusiła ją do tego, aby powróciła do rodzinnego miasta w Kerali. Naga wiedział także, iż uczyła angielskiego w miejscowej szkole, zanim otworzyła swoją własną, która ze względu na wprowadzane innowacyjne metody nauczania stała się bardzo wziętą szkołą średnią. I to do tej szkoły Tilo uczęszczała, zanim wyjechała do college'u w Delhi. W gazetach czytał o matce Tilo kilka artykułów, w których sama Tilo nigdy nie była wymieniana z imienia, zawsze jednak wspomniano o niej jako mieszkającej w Delhi adoptowanej córce. R.C. (którego profesja polegała na tym, aby wiedzieć wszystko o wszystkich, a także aby powszechnie uzmysławiać to, iż wie wszystko o wszystkich) wręczył mu kiedyś komplet wycinków, mówiąc: „Twoja teściowa to naprawdę niezła laska, *jar*”. Artykuły pochodziły z dobrych kilku lat, niektóre mówiły o szkole, stosowanych w niej metodach i jej pięknym kampusie, niektóre poświęcone były prowadzonym przez matkę kampaniom społecznym i ekologicznym, a także nagrodom, które zdobyła. Kreśliły one historię kobiety, która w dzieciństwie pokonała wielkie przeciwności, aby stać się tym, kim była. Wzorcową feministką, która nigdy nie chciała mieć nic wspólnego z wielkim miastem, natomiast wybrała znacznie trudniejszą drogę, żyjąc i prowadząc swoje batalie w konserwatywnym miasteczku, do którego należała. W artykułach opisywano, jak walczyła z klikami terroryzujących ją mężczyzn, jak stopniowo zdobywała szacunek i podziw tych, którzy ją poniżali, i jak udało się jej zainspirować całą generację młodych kobiet, aby dążyły do spełnienia swoich marzeń i pragnień.

Każdemu, kto znał Tilo, zdawało się oczywiste, że nie była żadną przybraną córką kobiety, której zdjęcia zamieszczano w artykułach. Chociaż ich cera różniła się radykalnie, rysy twarzy były uderzająco podobne.

Przy całym ubóstwie swej wiedzy Naga wyczuwał, że naj-istotniejsza część zagadki umyka w tych historiach z gazet, jakiś rodzaj epickiego szaleństwa Macondo, coś, co mogłaby ująć literatura, ale nie żurnalizm. Wprawdzie nigdy tego nie powiedział, ale sądził, że stosunek Tilo do matki był karygodny i nierozsądny. Jego zdaniem, nawet jeśli Tilo naprawdę była jej córką, do czego nie mogła się publicznie przyznać, w równym stopniu prawdę stanowiłoby to, że w przypadku młodej kobiety, należącej do tradycyjnej wspólnoty, wybór niezależnego życia, rezygnacja z małżeństwa, aby rościć sobie prawo do dziecka urodzonego nieślubnie – nawet gdyby miało to się skrywać pod maską dobroczynności i adopcji – byłyby aktem wielkiej odwagi i miłości.

Naga zauważył, że we wszystkich artykułach akapity dotyczące Tilo zawsze zawierały ten sam fragment: „Siostra Scholastica zadzwoniła do mnie, aby

powiedzieć, że jakaś bezduszna kobieta zostawiła noworodka w koszu umieszczonym na zewnątrz sierocińca Mount Carmel. Spytała, czy nie chce jej przyjąć. Moja rodzina była zdecydowanie przeciwna, ja jednak pomyślałam, że powinnam ją adoptować i dać jej nowe życie. Była dzieciną czarną jak smoła, jak kawałek węgla. Zdawała się tak mała, że niemal mieściła się na dłoni mej ręki, dlatego też nazwałam ją Tilottama, co w sanskrycie znaczy »ziarno sezamu«.

Naga sądził, że jakkolwiek mogło to być bolesne dla Tilo, to powinna była spojrzeć na całą sprawę z punktu widzenia jej matki; ta bowiem musiała się zdystansować od dziecka chociażby po to, aby móc domagać się do niego praw, aby móc je posiadać i – kochać.

Wedle Nagi za indywidualność Tilo, jej niepowtarzalność i niezwykłość – niezależnie od tego, której szkoły stronę się przyjmowało: natura czy kultura – odpowiedzialna była właśnie jej matka. Ale nic, co mógłby powiedzieć – bezpośrednio czy pośrednio – nie oznaczało wyrzutu.

Naga był więc zdumiony, kiedy po tylu latach trzymania się z dala od matki Tilo tak łatwo zgodziła się jechać do Koćinu i doglądać jej w szpitalu. Wyobrażał sobie (aczkolwiek nie mógł sobie przypomnieć, by Tilo kiedykolwiek zdradziła jakieś zainteresowanie w tej kwestii), że mogła to zrobić w nadziei uzyskania jakiejś informacji, jakichś rewelacyjnych wyznań na łożu śmierci dotyczących jej i tego, kim naprawdę był jej ojciec. I miał rację. Okazało się jednak, że było odrobinę za późno na takie rzeczy.

•

Kiedy Tilo znalazła się w Koćinie, płuca jej matki funkcjonowały coraz gorzej, a w krwi było coraz więcej dwutlenku węgla – co doprowadziło do zapalenia mózgu, powodującego jej znaczną dezorientację. Na dodatek podawane leki i długotrwały pobyt na OIOM-ie wyzwoliły swego rodzaju psychozę, na którą, według lekarzy, szczególnie podatne są osoby mocne, obdarzone silną wolą – gdy znienacka znalazły się w sytuacji bezradności i skazania na działania tych, których kiedyś traktowały jako gorszych od siebie. Przedmiotem jej gniewu i konfuzji był nie tylko personel szpitalny, lecz także jej starzy służący oraz nauczyciele ze szkoły, którzy na zmianę dyżurowali przy niej w szpitalu. Wałęsali się po szpitalnych korytarzach, a wizyty na OIOM-ie u ich ukochanej Ammaćii¹¹ mogli składać na kilka minut, i to co kilka godzin.

Tego dnia, gdy Tilo przyjechała, twarz matki się rozpromieniła.

– Drapię się cały czas – powiedziała na powitanie. – On powiada, że to dobrze, ale ja już tego nie mogę znieść. Dlatego kazałam sobie dać jakieś lekarstwo. Jak się masz?

Uniosła ciemnopurpurowe ramiona – do jednego z nich podłączona była kroplówka – aby pokazać Tilo, co stało się z jej skórą, nieustannie nakłuwaną przez

igły w lekarskim poszukiwaniu widocznych jeszcze żył. Większość z nich zapadła się i zamknęła, tworząc purpurową sieć, ciemniejszą jeszcze od purpurowej już skóry nad nimi.

– „Powie: świętego dzień jutro Kryspina, zawinie rękaw, swe pokaże rany”¹², pamiętasz? Uczyłam cię tego.

– Tak.

– A jak to idzie dalej?

– „Ze starością pamięć gaśnie, on jednakże, choćby o wszystkim zapomniał, spamięta swoje rycerskie w potrzebie tej czyny”.

Tilo zapomniała, że pamięta. Szekspir powrócił do niej w tym wybuchu pamięci, podobnym do muzyki, która powraca jako stara melodia. Wstrząsnął nią stan matki, natomiast lekarze byli zachwyceni i mówili, iż fakt, że ją rozpoznała, oznacza istotną poprawę. Tego dnia przenieśli ją do pojedynczego pokoju, którego okno wychodziło na lagunę ze słoną wodą oraz palmy kokosowe, które gięły się w powiewie uderzającego w nie monsunu.

Poprawa nie trwała długo. Stara dama to wynurzała się na poziom przytomności, to z niego osuwała i nie zawsze rozpoznawała Tilo. Każdy dzień stanowił nieprzewidywalny nowy rozdział, w który wkraczała choroba. Matka znajdowała coraz to nowe dziwactwa i zajęcia. Personel – lekarze, pielęgniarki, a nawet salowe – był miły i wydawało się, że niczego nie bierze sobie do serca. Także oni mówili o niej Ammaći, podmywali ją, zmieniali jej pieluchy i czesali włosy, nie zdradzając irytacji. W gruncie rzeczy wydawało się, że im więcej harmidru wokół siebie wzniecała, tym bardziej ją kochali.

Kilka dni po przyjeździe Tilo u matki pojawiła się osobliwa fiksacja. Zamieniła się w kastową inkwizytorkę. Od wszystkich opiekujących się nią chciała się dowiedzieć, do jakiej należą kasty, podkasty i podpodkasty. Nie wystarczyło to, że powiedzieli „syrjyscy chrześcijanie” – dopytywała się dalej, czy są Mar Thoma, Mar Jakoba, z Kościoła Indii Południowych czy C’naah. Jeśli byli „hindusami”, nie wystarczyło, że powiedzieli „ilawa”, dalej bowiem indagowała, czy są thija czy też ćekawarami. Jeśli powiedzieli „Scheduled Caste”¹³, indagowała jeszcze, czy należą do parajów, pulajów, parawanów, czy ulladanów. Czy pierwotnie była to kasta zbieraczy orzechów kokosowych? Czy też ich przodkom przypisano rolę tragarzy zwłok, zmywaczy nieczystości, praczy bądź łapaczy szczurów? Domagała się wszystkich tych szczegółów i dopiero wtedy, kiedy uzyskała o nich informację, pozwałała na to, by dana osoba się nią zajmowała. Jeśli byli syryjskimi chrześcijanami, to jak brzmiało ich rodowe nazwisko? Czyj kuzyn ożenił się z siostrzenicą czyjej szwagierki? Czyj dziadek wziął ślub z czyją córką siostry pradziadka?

– POChP – mówiły do Tilo uśmiechnięte pielęgniarki, kiedy zobaczyły wyraz malujący się na jej twarzy. – Proszę się nie martwić. To zawsze się zdarza.

Sprawdziła, co to znaczy. Przewlekła obturacyjna choroba płuc. Pielęgniarki wyjaśniły Tilo, że choroba ta potrafi sprawić, iż niewinne stare babcie nabierają manier burdelowych mamek, a biskupi zaczynają kłąć jak szewcy. Najlepiej nie przyjmować tego do siebie. Były to bajeczne wręcz dziewczyny, te pielęgniarki. Precyzyjne w swych działaniach i profesjonalne. Każda z nich czekała na pracę, która przeniesie je do jakiegoś kraju nad Zatoką Perską albo do Anglii czy Stanów Zjednoczonych, gdzie dołączą do elitarnej wspólnoty pielęgniarek keralskich. Na razie uwijały się wokół pacjentów w Lakeview Hospital niczym ozdrowieńcze motyle. Zaprzyjaźniły się z Tilo, wymieniły z nią numery telefonów i adresy. Jeszcze lata później otrzymywała od nich na Whats-Appie życzenia bożonarodzeniowe i odgrzewane kawały keralskich pielęgniarek.

Wraz z postępami choroby stara dama stawała się niespokojna i niemal nie do zniesienia. Sen nie chciał być jej dobroczyńcą i noc w noc leżała przytomna, żrenice rozszerzone, oczy przerażone, ona zaś nieustannie mówiła, albo do siebie, albo do kogokolwiek, kto mógł ją słyszeć. Wyglądało to tak, jakby sądziła, iż może przechytryć śmierć, ciągle pozostając czujną. Dlatego nieprzerwanie mówiła, czasami zaczepnie, wojowniczo, a czasami miło i zabawnie. Podśpiewywała fragmenty starych piosenek, hymnów, kolęd, piosenek śpiewanych podczas wyścigów wioślarskich na święto dożynkowe Onam. Recytowała Szekspira ze swym nienagannym akcentem szkoły zakonnej. Gdy się zdenerwowała, każdego, kto się znalazł pod ręką, obrzucała wyzwiskami w najostrzejszym rynsztokowym malajalam, co do którego nikt nie był w stanie wymyślić, jak (i gdzie) kobieta jej klasy oraz z jej wykształceniem mogła się nauczyć. Upływały kolejne dni, a ona stawała się coraz bardziej agresywna. Apetyt rósł jej dramatycznie i pożerała jajka na miękko oraz ciastka ananasowe z zajadłością przestępcy na przepustce. Sięgnęła po ostatnie rezerwy sił, które jak na kobietę w jej wieku były właściwie nadludzkie. Odganiała się od pielęgniarek i lekarek, wyrывała sobie z żył wenflony i strzykawki. Nie można było jej uspić, gdyż środki nasenne osłabiały funkcjonowanie jej płuc. W końcu z powrotem przeniesiono ją na OIOM.

Wprawilo ją to w furję i pogłębiło psychozę. Jej oczy stały się podejrzliwe i myszkujące, nieustannie planowała ucieczkę. Oferowała łapówki pielęgniarkom i salowym. Obiecała młodemu lekarzowi, że przepisze na niego swoją szkołę i działkę, na której stał budynek, jeśli pomoże jej uciec. Dwa razy czmychała korytarzem w swym szlafroku szpitalnym. Po tych epizodach dwie pielęgniarki nieustannie ją pilnowały i jeśli zachodziła taka potrzeba, przytrzymywały ją w łóżku. Kiedy już wyczerpała wszystkich dookoła, lekarze powiedzieli, że szpitala nie stać na to, aby zapewnić jej całodobową opiekę, w związku z tym trzeba będzie się uciec do przemocy fizycznej i przypiąć ją do łóżka. Poprosili Tilo, aby jako osoba jej najbliższa podpisała formularze zawierające zgodę na taki akt. Tilo chciała jednak, by podjęli jeszcze jedną próbę uspokojenia jej matki. Lekarze

zgodzili się na to, aczkolwiek z pewnym ociąganiem.

Kiedy ostatni raz Tilo zadzwoniła do Nagi ze szpitala, powiedziała mu, że otrzymała specjalne zezwolenie, by siedzieć przy matce na oddziale intensywnej terapii, ponieważ ostatecznie znalazła sposób na jej uładowanie. Wydawało mu się, że usłyszał w jej głosie jakiś odcień śmiechu, a może nawet podniecenia. Powiedziała, że znalazła rozwiązanie proste a skuteczne. Siedziała na krześle przy łóżku matki z zeszytem, matka zaś dyktowała jej niekończące się zapiski. Czasami były to listy: „Drogi rodzicu, przecinek, następny wiersz... Zauważyłam właśnie, że... Postawiłaś przecinek po »rodzicu«”? Ale najczęściej był to kompletny bełkot. Wedle Tilo ów pomysł dyktowania sprawiał czasami, że matka czuła się, jakby ciągle pełniła funkcję kapitana statku, jakby ciągle coś od niej zależało. I to ją znacznie uspokajało.

Naga nie miał pojęcia, o co może chodzić Tilo, i powiedział jej, że sama mówi tak, jakby miała trochę nie po kolei w głowie. Zaśmiała się i powiedziała, że zrozumiałaby, gdyby zobaczył zapiski. Pamiętał, jak zastanawiał się wtedy, kim musi być osoba, której najlepiej układa się z własną matką, kiedy tamta halucynuje na łożu śmierci na oddziale intensywnej terapii, podczas gdy ona, córka, udaje stenografkę.

Ostatecznie jednak rzeczy nie ułożyły się najlepiej w szpitalu Lakeview. Tilo wróciła po pogrzebie matki wymizerowana i bardziej jeszcze niekomunikatywna niż kiedykolwiek wcześniej. Jej opis śmierci matki był krótki i niemal kliniczny. W kilka tygodni od powrotu do Delhi rozpoczęła swoje niespokojne wędrówki.

Naga nigdy nie zobaczył notatek.

•

Znalazł niektóre z nich tego ranka, kiedy bez specjalnego celu przerzucał papiery medyczne w szafce Tilo. Spisała je na stronach liniowanego papieru, złożonych i wepchniętych między rachunki szpitalne, recepty, zestawienia saturacji krwi tlenem oraz wynikami gazometrii krwi. Czytając je, Naga zrozumiał, jak niewiele wiedział o kobiecie, którą poślubił. I jak niewiele będzie wiedział kiedykolwiek.

9 / 7 / 2009

*Zwróć uwagę na rośliny doniczkowe, żeby nie padły.
A ta zmarszczka, fałda na kocu – powinnam zrobić z tym porządek.
I co to mówi o tobie: pani ambasador, córko paraja arcybudowniczego?
Ci ludzie w niebieskim, oni zajmują się gównami. Czy to twoi krewni?
O ile wiem, Poulos nie może sobie poradzić z orchideami, morduje je. To raczej problem parajów¹⁴.*

Powiedz Bidżu albo Redżu, aby cię zastąpiła.

Słyszałaś w nocy psy? Przychodzą tutaj, aby zabrać sobie nogi diabetyków, amputowane i wyrzucane na śmietnik. Słyszę, jak wyją, odbiegając z ludzkimi rękami i nogami w pyskach. Nikt im nie przeszkadza w tym.

To twoje psy? Samce czy suki? Lubią chyba słodczyce.

Mogłabyś mi zorganizować dobrej jakości jujubę?

Ci w niebieskim muszą przestać tak krążyć wokół nas.

Musimy być bardzo ostrożne. Ty i ja. Wiesz o tym, prawda?

Zrobili mi pomiar łez i te są w porządku, jeśli chodzi o sól i wodę. Mam wysuszone oczy i muszę je nawadniać, więc trzeba jeść sardynki, by wywołać łzy. Sardynki są ich pełne.

Ta laska w kratkę będzie miała zdumiewającą wygraną na loterii.

No, to chodźmy.

Poproś Redżu, aby sprowadziła samochód. Ja nie mogę. A właściwie nie chcę.

Witaj! Jak to miło, że przyszedłaś! To moja wnuczka. Niepodobna jej kontrolować. Proszę, zadbaj, żeby tutaj wysprzątano.

Jak Redżu sprowadzi samochód, weź go i zwiewamy stąd, przywieź doniczkę. Zabierz nocnik, ale gówna zostaw.

Podejdz teraz. Szepnij coś. Mam kłopoty. A ty?

Siądziemy na nocniku i fora ze dwora.

Mam Johnniego Walkera, czy jest tutaj gdzieś nad nami?

Wezmę dwa prześcieradła. Ale co wtedy z naszymi nogami?

Znajdzie się tutaj koń?

Rozpoczęła się wielka wojna pomiędzy mną a motylami.

Uda ci się tak szybko, jak tylko można, wyprowadzić razem z Princey, Nicey i przyjaciółmi? Weź mosiężny wazon, skrzypce i ciuchy. Zostaw gówna, ciemne okulary i nie przejmuj się połamanymi krzesłami, które zawsze gdzieś się wałęsają, przychodzą i znikają.

Ona pomoże ci z tymi gównami, ta dziewczyna w kratkę. Zaraz zjawi się jej ojciec, aby zabrać śmiecie. Nie chcę, żeby przyłapali go z tobą. Chyba same powinniśmy posprzątać.

Kiedy spojrzysz zza zasłony, też masz uczucie, że jest tam tłum ludzi? Ja w każdym razie tak to odbieram. Z pewnością jest smród. Smród tłumy. Trochę zgnęły, jak morze.

Myślę, że swoje wiersze i wszystkie plany powinnaś zostawić u Alicekutti. Jest odrażająco brzydka. Chciałabym mieć jej fotografię, aby mieć się z czego pośmiać. Taka jestem wredna.

Biskup będzie chciał mnie zobaczyć w trumnie. Spora to ulga, ponieważ jest na mój pogrzeb. Nigdy nie myślałam, że do tego dojdę. Czy pada, czy świeci, czy jest ciemno, czy jest dzień, czy jest noc? Czy ktoś mógłby mi powiedzieć?

A teraz SPAC!

Muszę zdobyć te konie.

Myślę, że to podłe, wziąć tę dziewczynę i wyciągnąć z niej wszystko.

Wstawaj!!!

Wychodzę. Ty możesz sobie robić, co chcesz. Ależ dostaniesz lanie!

Najbardziej wstydlive jest to, że będziesz musiała wszystkim wokół mówić, iż jesteś Tilottama Ipe, podczas gdy wcale nie jesteś. Nie powiem ci niczego więcej: ani na temat siebie, ani na temat ciebie.

Po prostu stanę tutaj i będę mówić: „Zrób to albo tamto”. A ty ani chybi będziesz wszystko wykonywać. Od jutra nie dostajesz żadnych pieniędzy. Zapisalaś to? Będę cię karała za każdym razem.

Idź i powtarzaj wszystkim: „To moja matka, pani Marjam Ipe, która ma sto pięćdziesiąt lat”.

Czy mają lekarstwo dla wszystkich koni?

Czy zauważyłaś, jak ludzie przypominają konie, kiedy ziewają?

Starannie pilnuj swoich zębów i nie pozwól nikomu, żeby ci je zabrał.

Czasami proponują ci rabat, ale to idiotyzm.

Sprawdzaj wszystko i spadamy.

No, a potem Hanna, winna jej jestem pieniądze, więc będę musiała pominąć wszystkie dzieci z cewnikami.

Jest tyle cewników i wszyscy byli raczej zadowoleni, że pani Ipe dostaje swoje cebule. Ale to dziecko było takie dobre. Ty nie usunęłaś mi cewnika, ale ona tak. Ona to jest prawdziwa parajka. Ty już zapomniałaś, jak to jest być nią.

Ktoś się pojawił, a potem ktoś inny i jeszcze ktoś inny.

Największym szokiem jest to, że to właśnie ty narzucasz reguły wszystkim. Tak czy owak oczekuję, że ludzie będą mi posłuszni.

Ale to na mnie spoczywa odpowiedzialność. Bardzo trudno jest uniknąć tego, jak bez wątplenia sama zobaczysz. Annamma jest najspokojniejszą istotą w naszej wspólnocie.

Kim jest Annamma, która gra zarówno Sherlocka Holmesa, jak i Sherlocka Holmes? Obie te role odgrywa z równą gracją. Była moją główną nauczycielką, która umarła tak pięknie. Przyszła do domu i obdarzyła mnie kaszlem.

Dzień dobry, doktorze, to moja córka, która uczy się w domu. Jest bardzo niegrzeczna. Dzisiaj była okropna podczas wyścigów. Ale i ja byłam okropna. Ale im nakopałyśmy!

Przez całe życie robiłam śmieszne rzeczy. Wyprodukowałam dziecko. Ją.

A ten chłopak w brudnym ubraniu i z brudnym cewnikiem siedział ze mną całymi godzinami w brudnej rzece.

Czuję, że jestem otoczona przez eunuchów. Czy mam rację?

Muzyka... co się z nią stało? Nie mogę sobie niczego przypomnieć.

Posłuchaj no tego... to tlen. Bąbluje aż do swej śmierci. Mam coraz mniej tlenu. Ale nie przejmuję się tym, czy mam go coraz mniej czy coraz więcej.

Chce mi się spać. Chciałabym umrzeć. Zanurz mi stopy w ciepłej wodzie.

Chciałabym pójść spać. Nie proszę o pozwolenie.

To jak hpsf, hpsf, hpsf... STUK! STUK! STUK!

To mój silnik.

Kiedy umrzesz, możesz się zalogować do chmury i mieć wszystkie nasze informacje o tobie. A wtedy wystawimy ci rachunek.

GDZIE MOJE PIENIĄDZE?

Tętniczny cewnik to wkręt Jezusa Chrystusa. Nie rani.

Jestem po prostu malutkim manekinem.

Lubię mój tyłeczek. Nie wiem, czemu doktor Wargis chce wycinać go ze zdjęcia.

Zamarznięte kwiaty nigdy nie znikają. Zawsze gdzieś krążą przez cały czas. Myślę, że trzeba byłoby porozmawiać o wazonach.

Czy słyszysz dźwięk białego kwiatu?

To, co Naga znalazł, to tylko przykłady. Kompilacja notatek; gdyby nie poszły na śmietnik z odpadami szpitalnymi, wypełniłyby całe tomiszczą.

•

Jednego ranka, po całym tygodniu takiej nieustannej stenografii, wymęczona Tilo stała przy łóżku matki, trzymając ręce na oparciu krzesła, na którym zazwyczaj siedziała. Była to najbardziej ruchliwa pora dnia na OIOM-ie, lekarze na obchodach, pielęgniarki i salowe wszystkie zajęte, cały oddział był czyszczony. Marjam Ipe miała szczególnie podły poranek. Twarz jej płonęła, oczy miały gorączkowy połysk. Naciągnęła na siebie szpitalny szlafrok i leżała w pieluchach. Nogi zastygłe prosto i rozrzucone na boki. Kiedy krzyczała, głos miała niski jak mężczyzna.

– Powiedz pariasom, że czas oczyścić mnie z gówna!

Krew Tilo opuściła główne arterie i dymiła na szaleńczych ścieżkach leśnych. Bez ostrzeżenia krzesło, na którym się opierała, poderwało się do góry i z trzaskiem uderzyło o podłogę. Dźwięk pękającego drewna rozniósł się po całym oddziale. Igły wyskoczyły z żył. Butelki z medykamentami zagrzechotały na tacach. Słabe serca zmyliły rytm. Tilo przyglądała się, jak dźwięk podróżuje przez ciało jej matki, od stóp w górę, niczym całun wpełzający na ciało.

Nie miała pojęcia, jak długo tam stała, ani kto zaprowadził ją do gabinetu doktora Wargisa.

Doktor Jakob Wargis, ordynator oddziału intensywnej terapii, był przed czterema laty lekarzem wojskowym w US Army. Pełnił funkcję zastępcy dowódcy intensywnej terapii w swoim oddziale podczas wojny w Kuwejcie i powrócił do

Kerali, kiedy skończyła się jego tura. Chociaż większość życia spędził za granicą, jego mowa nie zdradzała najmniejszego akcentu amerykańskiego, co było osobliwe, jako że w Kerali ludzie do-wcipkowali, że samo wystąpienie o wizę amerykańską wystarcza, aby ludzie nabierali amerykańskiej wymowy. Jeśli chodzi o doktora Wargisa, nic nie sugerowało, że był kimkolwiek innym niż typowym syryjskim chrześcijaninem, który całe życie spędził w Kerali. Z miłym uśmiechem zaproponował Tilo kawę. Pochodził z tego samego miasteczka co Marjam Ipe i najprawdopodobniej dobrze wiedział o wszystkich dawnych plotkach i ploteczkach. W gabinecie działał wentylator, a jego terkot likwidował całą brzydotę. Tilo śledziła mechanizm tak starannie, jakby jej życie od tego zależało. Mężczyźni i kobiety w zielonych tunikach i spodniach, mający na twarzy chirurgiczne maski, przemykali bezgłośnie korytarzem w pantoflach z sali operacyjnej. Niektórzy mieli krew na chirurgicznych rękawiczkach. Doktor Wargis spoglądał na Tilo ponad swoimi okularami do czytania, tak jej się przypatrując, jak gdyby dokonywał diagnozy. Może zresztą tak było. Po chwili sięgnął przez blat i ujął jej dłoń. Nie mógł wiedzieć, że stara się uspokoić budowlę, w którą ugodził piorun. Niewiele z niej pozostało do uspokojenia. Kiedy jego kawa została wypita, a jej nieruszona, zaproponował, że wróć na OIOM, ona zaś przeprosi matkę.

– Pani matka to niezwykła kobieta. Musi pani zrozumieć, że to nie ona wyrzuca z siebie te obrzydliwe słowa.

– Och, a w takim razie kto?

– Ktoś inny. Jej choroba. Jej krew. Jej cierpienie. Nasze uwarunkowania, nasze przesady, nasza historia...

– Kogo zatem mam przeproszać? Przesady? Czy może historię?

Szła już za nim z powrotem na oddział intensywnej terapii.

Zanim na niego dotarli, matka zapadła w śpiączkę. Była poza dźwiękami, poza historią, poza przesadami, poza przeprosinami. Tilo zwinęła się na łóżku i przykładła twarz do stóp matki tak długo, aż te oziębły. Połamane krzesło przyglądało się im niczym melancholijny anioł. Tilo zastanawiała się, skąd matka wiedziała, co krzesło uczyni. Skąd mogła -wiedzieć?

Nie myśl o połamanych krzesłach, te zawsze poniewierają się wokół.

Marjam Ipe umarła wczesnym rankiem.

Syryjski kościół chrześcijański nie wybaczył jej wybryków i odmówił pochówku ciała. Dlatego też pogrzeb, w którym uczestniczyli głównie nauczyciele szkolni i kilkoro rodziców uczniów, odbył się w państwowym krematorium. Tilo zawiozła prochy matki do Delhi. Powiedziała Nadze, że musi się dobrze zastanowić, co z nimi zrobić. Nie rozmawiała z nim wiele na ten temat. Urna z prochami stała na stoliku tak długo, jak pamiętał. A potem Naga zauważył, że znikła. Nie był pewien, czy Tilo znalazła właściwe miejsce, aby umieścić tam prochy (rozsypać je lub zakopać), czy też po prostu zabrała ją do swego nowego

domu.

•

Księżniczka zastała Nagę siedzącego na podłodze i przeglądającego grubą teczkę medyczną, stanęła za nim i przez ramię na głos odczytywała zapiski.

– „Tętniczny cewnik to wkręt Jezusa Chrystusa”... „Czy słyszysz dźwięk białego kwiatu?” Co ty za śmieci czytasz, *dżan*? Od kiedy to kwiaty zaczęły wydawać dźwięki?

Naga zachował milczenie i przez dłuższy czas się nie odzywał. Wydawało się, że głęboko się zamyślił. Później wstał i ujął jej piękną twarz w dłonie.

– Przepraszam...

– Za co, *dżan*?

– To się nie uda...

– Co niby?

– My.

– Ale ona się wyprowadziła! Zostawiła cię!

– Istotnie. Zostawiła, to prawda... Ale wróci. Musi. Tak będzie.

Księżniczka popatrzyła ze współczuciem na Nagę i oddaliła się. Wyszła za mąż za głównego wydawcę jednego z kanałów informacyjnych w telewizji. Stworzyli urodziwą, szczęśliwą parę, a potem doczekali się wielu zdrowych, szczęśliwych dzieci.

•

Tilo wynajęła pokój na drugim piętrze jednego z szeregowych domów. Okna wychodziły na państwową szkołę podstawową, pełną ubogich dzieci oraz melii indyjskich, na których przesiadywały dobrze odkarmione papugi. Każdego ranka dzieci na apelu odśpiewywały wrzaskliwie całość *Hum Honge Kamjab* – wersję piosenki *We Shall Overcome* w języku hindi. Śpiewała razem z nimi. W weekendy i święta brakowało jej dzieci i apeli szkolnych, sama więc śpiewała piosenkę dokładnie o siódmej rano. W dni, kiedy tego nie robiła, miała wrażenie, że ranek jest przeciągniętym dniem poprzednim, który tylko nie zauważył, że nastał nowy. Podczas większości poranków każdy, kto przyłożyłby ucho do jej drzwi, usłyszałby jej śpiew.

Nikt jednak nie przykładał ucha do jej drzwi.

Narodziny panny Dżebin i jej chrzest stanowiły granicę czwartego roku zamieszkiwania Tilo w mieszkaniu na drugim piętrze, a także i ostatniej nocy. Zastanawiała się, co powinna zrobić z resztą tortu urodzinowego. Może mrówki zaproszą swoich krewnych z sąsiedztwa, aby wzięli udział w uczcie, i albo tort dokończą na miejscu, albo rozniosą go do ostatniego okruszka.

Gorąco wzmagało się i wdzierało do pokoju. Ruch uliczny warczał w oddali.

Grzmoty miejskie.

Bez deszczu.

Pójdźka bramińska pomknęła gdzieś, by nurkować, wzlatywać i ćwiczyć dobre maniery na jakiejś innej kobiecie z jakimś innym oknem.

Kiedy Tilo zauważyła, że ptak odleciał, poczuła niewyobrażalny smutek. Wiedziała, że niedługo i ona się wyniesie i dlatego może nigdy już się nie zobaczyć. Pójdźka była kimś. Tilo nie była pewna, kim. Może Musą. Z Musą zawsze tak było. Za każdym razem, kiedy po krótkiej, tajemniczej wizycie oddalał się w jakimś osobliwym przebraniu, wyglądając jak pan Nikt z okręgu Nigdzie, wiedziała, że może go już nigdy więcej nie zobaczyć. Najczęściej to on zniknął, a ona czekała. Tym razem to na nią przypadała kolej zniknięcia. Nie wiedziała, jak go zawiadomić, gdzie będzie. Nie używał telefonu komórkowego, a łączył się z nią tylko, dzwoniąc na telefon stacjonarny, który teraz nie odpowiadał. Cała była przepojona pragnieniem, aby niepewną naturę ich pożegnania zakomunikować tego wieczoru pójdźce. Na kartce papieru, którą przykleiła do okna tak, aby sowa mogła to odczytać, nabazgrała:

Któż potrafi ze słów „do widzenia” odczytać, jaki to rodzaj rozłąki?

Powróciła na materac zadowolona z siebie i zapożyczonej klarowności komunikatu. Ale potem, nie wiadomo kiedy, poczuła się zawstydzona. Osip Mandelstam miał na myśli rzeczy o wiele poważniejsze, kiedy pisał ten wers. Zmagał się ze stalinowskim gułagiem. Nie rozmawiał z sowami. Zerwała napis i powróciła do łóżka.

O kilka mil od miejsca, gdzie leżała przytomna, trzech mężczyzn zostało rozjechanych poprzedniej nocy przez -ciężarówkę, która zboczyła z szosy. Być może kierowca zasnął. W telewizji mówili, że letni bezdomni sypiali na poboczach dróg, na których było wiele pojazdów. Odkryli, że spaliny silników dieslowskich z przejeżdżających ciężarówek i autobusów skutecznie odganiały komary i w ten sposób chroniły przed dengą, która zabiła już kilkaset tysięcy ludzi w -mieście.

Wyobrażała sobie tych bezdomnych: nowych imigrantów do miasta, kamieniarzy powracających na swoje wynajęte, z góry opłacone miejsce, za które czynsz był obliczany na podstawie oceny optymalnej gęstości spalin i dzielony przez akceptowalną ilość komarów. Precyzyjna algebra, nie tak łatwa do znalezienia w podręcznikach.

Mężczyźni, zmęczeni po całodziennej pracy na budowach, z rzęsami, powiekami i płucami bladymi od pyłu kamiennego, który wznosił się nad bryłami ciętymi i układanymi w wielopiętrowych centrach handlowych i osiedlach mieszkaniowych, prężnie wyrastających wokół miasta niczym młody las. Swoje cienkie, postrzępione *gamće* rozścielali na zdeptanej trawie pochyłych poboczy, upstrzonych psimi gównami i stalowymi rzeźbami – sztuka publiczna – sponsorowanymi przez Pamnani Group, która promowała awangardowych

artystów, używających jako medium nierdzewnej stali, gdyż mniemała, że w ten sposób będą promować przemysł metalurgiczny. Rzeźby wyglądały jak kulki stalowych plemników albo może miały to być balony. Sprawa nie była jasna. Jakkolwiek by się miała, rzeźby wyglądały radośnie. Mężczyźni wypalali ostatnie *biri*. Kółka dymu unosiły się w noc. Neonowe światła sprawiały, że trawa miała wygląd metalicznie niebieski, ludzie zaś wyglądali szaro. Pokpiwali i zaśmiewali się, ponieważ dwóch z nich potrafiło puszczać kółka z dymu, a trzeci nie umiał. Zawsze był we wszystkim najgorszy. Ostatni, który potrafił się czegoś nauczyć.

Sen przyszedł do nich szybko i łatwo niczym pieniądze do milionerów.

Gdyby nie zostali zabici przez ciężarówkę, umarliby od:

a) dengi,

upału,

dymu *biri* albo

pyłu kamiennego.

A może nie. Może awansowałiby na:
milionerów,

supermodeli,

szefów biur.

Jakie to miało znaczenie, że zostali rozmazani na trawie, na której zasnęli? Kogo to obchodziło? A czy ci, których to obchodziło, mieli jakiegokolwiek znaczenie?

Drogi Panie Doktorze!

Zostaliśmy rozjechani. Czy jest na to jakieś lekarstwo?

Z wyrazami szacunku

Biru, Dżajram, Ram Kiśor

Tilo uśmiechnęła się i zamknęła oczy.

Beztroscy pierdoleńcy. Kto ich prosił, aby kładli się ciężarówkom pod koła?

Zastanawiała się, jak pozbyć się wiedzy o pewnych osobliwych rzeczach, o których wiedziała, a wcale nie chciała wiedzieć. Jak na przykład usunąć z głowy wiedzę, że płuca ludzi zmarłych na pylicę opierały się kremacji? Nawet po tym, jak reszta ich ciała zamieniała się w popiół, niespalone pozostawały dwa płucokształtne kawałki kamienia. Jej przyjaciel, doktor Azad Bhartija, który żył na

chodniku Džantar Mantar, opowiadał jej o swoim starszym bracie Džitenie J. Kumarze, który pracował w kamieniołomie granitu i zmarł w wieku trzydziestu pięciu lat. Mówił, jak musiał płuca brata rozbijać łomem na stosie pogrzebowym, aby oswobodzić jego duszę. Zrobił to, mówił, chociaż był komunistą i nie wierzył w istnienie duszy.

Zrobił to na prośbę ich matki.

Mówił, że płuca brata lśniły, ponieważ były upstrzone krzemionką.

Drogi Panie Doktorze!

Nic szczególnego, chciałem po prostu Pana pozdrowić. Chociaż – jest coś. Proszę sobie wyobrazić, że musi Pan zmiążdżyć płuca brata na prośbę swej matki. Czy nazwałby to normalnym ludzkim zajęciem?

Zastanawiała się, jak może wyglądać niewyzwolona dusza, kamień w kształcie duszy na stosie pogrzebowym. Może jak rozgwiazda? A może stonoga? Albo cętkowana ćma z żywym tułowiem i kamiennymi skrzydłami – nieszczęsny owad – zdradzona, przygnieciona do ziemi przez te właśnie rzeczy, które miały pomagać jej fruwać.

Panna Džebin Druga poruszyła się we śnie.

„Skoncentruj się”, mówiła sobie kidnaperka, ocierając mokre, spocone czoło dziecka. „Inaczej wszystko może się wymknąć spod kontroli”. Nie miała pojęcia, dlaczego to właśnie ona, która nigdy nie chciała dziecka, chwyciła je i uciekła z nim. Teraz jednak już to się stało. Jej część historii została zapisana. Na razie nie przez nią. Ale przez kogo potem? Przez kogoś.

Najdroższy Panie Doktorze!

Jeśli Pan chce, może Pan zmienić we mnie każdy cal. Jestem po prostu opowieścią.

Panna Džebin była grzecznym dzieckiem i chyba lubiła niesoloną zupę i papkę warzywną, którą dla niej przyrządzała Tilo. Jak na kobietę, która miała bardzo niewielkie doświadczenie z dziećmi, Tilo radziła sobie z nią zaskakująco łatwo i ze zdumiewającą pewnością siebie. Przy kilku okazjach, kiedy panna Džebin płakała, Tilo potrafiła ją uspokoić nie wiadomo kiedy. Najlepszym rozwiązaniem, po jakie mogła sięgnąć (z wyjątkiem karmienia), było położenie dziecka na podłodze razem z gromadką pięciu stalowobarwnych szczeniaczków, które Towarzyszka Lali, rudy kundel, urodziła na podeście pod jej drzwiami przed pięcioma tygodniami.

Obie strony (szczeniaki i panna Džebin) miały sobie, jak się zdawało, dużo do powiedzenia. Obie matki bardzo się zaprzyjaźniły. Tak więc ich spotkania kończyły się zazwyczaj sukcesem. Kiedy wszyscy byli już zmęczeni, Tilo odnosiła szczeniaczki na worek na podeście i dawała Towarzyszce Lali małą miskę mleka

i chleb.

Wcześniej tego dnia, kiedy Tilo właśnie zapaliła świeczkę na torcie i tańczyła z nowo ochrzczoną panną Dżebin, mrużąc „Sto lat”, zadzwoniła Ankita, lokatorka z parteru. Powiedziała, że z samego rana zjawił się konstabl, wypytując o nią (Tilo) i pytając ją (Ankitę), czy wiedziała cokolwiek o nowym dziecku w budynku. Spieszył się i zostawił u niej tylko gazetę, w której policja publikowała rutynowe ogłoszenia. Ankita przesłała Tilo gazetę przez małą niewolnicę z adiwasih¹⁵.

Oto treść ogłoszenia:

ZGŁOSZENIE PORWANIA NA POLICJĘ NR 1146 NOWE DELHI
110001

Niniejszym informuje się opinię publiczną, że nieznanne dziecko, nazwisko NIEZNANE, miejsce zamieszkania NIEZNANE, zostało porzucone nagie pod Dżantar Mantar, Nowe Delhi. Zanim poinformowane siły policyjne dotarły na miejsce, wzmiankowane dziecko zostało porwane przez nieznaną osobę / osoby. Pierwsze doniesienie zostało zakwalifikowane zgodnie z paragrafami kodeksu karnego 361, 362, 365, 366A, a także 367 i 369. Każdy, kto może udzielić informacji w tej sprawie, proszony jest o kontakt z dyżurnym oficerem Komisariatu Policji przy Parliament Street, Nowe Delhi. A oto opis dziecka:

Imię: NIEZNANE, Nazwisko: NIEZNANE, Adres: NIEZNANY, Wiek: NIEZNANY, Ubranie: BRAK.

W telefonie głos Ankity wydawał się wyniosły i karcący. Ale tak właśnie zwykła była odnosić się do Tilo. Zwykła była przyjmować pyszną, triumfującą postawę niewiasty zamężnej, która rozmawia z niewiastą niezamężną. Nie miało to nic wspólnego z dzieckiem. Nic nie wiedziała o pannie Dżebin. Na szczęście Garson Hobart zadbał o to przy budowie domu, aby miał on solidne, dźwiękoszczelne ściany. Nie wiedział nikt z sąsiedztwa. Tilo nie wynosiła jej na zewnątrz. Sama zresztą niewiele wychodziła, jeśli nie liczyć okazji, a nieodczownych wypadów na targ, kiedy dziecko spało. Sprzedawcy mogli się dziwić nabywaniu przez nią jedzenia typowo dziecięcego, Tilo jednak nie sądziła, aby policyjne poszukiwania zaszyły tak daleko.

Po raz pierwszy przeczytawszy policyjną notkę w gazecie, Tilo nie potraktowała jej poważnie. Wyglądała na bezmyślnie spełniony, rutynowy, biurokratyczny wymóg. Przy drugiej jednak lekturze uznała, że może ona oznaczać kłopoty. Aby zapewnić sobie czas, w swej staromodnej kaligrafii skopiowała słowo po słowie notkę do zeszytu i udekorowała ją na marginesie winoroślą, jakby chodziło o dziesięć przykazań. Nie mogła sobie wyobrazić, jak policja ją namierza, przychodzi i puka do drzwi. Wiedziała, że potrzebny jest jej plan. Nie miała jednak żadnego. Dlatego zadzwoniła do jedynej osoby na świecie, której ufała, a która

mogła zrozumieć jej problem i udzielić rzetelnej porady.

Ona i doktor Azad Bhartija przyjaźnili się od ponad czterech lat. Po raz pierwszy zetknęli się, czekając na naprawę sandałów u ulicznego szewca przy Connaught Place, który znany był ze swoich umiejętności i niewielkiego wzrostu. W jego rękach każdy naprawiany but czy każde czółenka wydawało się tak wielkie, jakby należało do giganta. Podczas gdy stali z jednym sandałem na nodze, a drugim zdjętym, doktor Bhartija zaskoczył Tilo, pytając (po angielsku), czy ma papierosa. Ona z kolei zaskoczyła go, odpowiadając (w hindi), że wprawdzie nie ma, ale może zaproponować mu *biri*. Małeńki szewc pouczył ich oboje o konsekwencjach palenia. Powiedział im, że jego ojciec, który palił na okrągło, zmarł na raka. Palcem zakreślił na piasku rozmiar nowotworu ojcowskiego płuca.

– Taki był wielki.

Doktor Bhartija zapewnił go, że pali tylko wtedy, gdy czeka na naprawę buta. Rozmowa przeniosła się na politykę. Szewc przeklinał obecną sytuację polityczną, złorzeczył bogom wszystkich wyznań i religii, a skończył swą diatrybę, nachylając się i całując żelazne kowadło. Powiedział, że to jedyny bóg, w którego wierzy. Do czasu, gdy podeszwy były naprawione, szewc zaprzyjaźnił się ze swymi klientami. Doktor Bhartija zaprosił oboje nowych przyjaciół do swojego chodnikowego domu przy Džantar Mantar. Tilo poszła. Od tej chwili nie było już odwrotu.

Odwiedzała go dwa razy w tygodniu albo częściej, nierzadko przyjeżdżając wieczorem, a odchodząc dopiero o świcie. Niekiedy przynosiła mu pigułkę odrobaczającą, która z jakiegoś powodu wydawała jej się istotna dla dobrego samopoczucia. On zaś skłonny był uważać, że etyczne jest jej spożycie, nawet jeśli był na strajku głodowym. Uważała go za człowieka szlachetnego, jednego z najmądrzejszych i najbystrzejszych, jakich знаła. Z czasem stała się stenografką, tłumaczką i wydawczynią jego jednostronicowego manifestu: *Moje informacje i deklaracje*, który co miesiąc rewidował i korygował. Udawało im się sprzedawać nawet osiem czy dziewięć numerów każdego wydania. W sumie było to niezłe prosperujące partnerstwo medialne – politycznie bezlitosne, bezkompromisowe i całkowicie czerwone.

Partnerzy medialni nie widzieli się przez ponad osiem dni od czasu, gdy pojawiła się panna Dżebin Druga. Kiedy Tilo zadzwoniła do dr. Bhartiji, aby opowiedzieć mu o notce policyjnej, on natychmiast obniżył głos do szeptu. Powiedział, że powinni jak najmniej przekazywać sobie informacji przy użyciu telefonów komórkowych, ponieważ mogą być pod stałym podsłuchem agencji międzynarodowych. Ale zaraz po tym momencie ostrożności bardzo pogodnie się rozgadał. Opowiedział jej, jak policja go pobiła i skonfiskowała wszystkie jego papiery. Stwierdził też, iż jest bardzo prawdopodobne, że przy tej okazji policja podchwyciła trop (ponieważ nazwisko i adres umieszczone były u dołu manifestu).

Albo to, albo jej zamaszty podpis na jego opatrunku gipsowym, który musiał im pozwolić sfotografować z kilku różnych stron.

– Nikt inny nie podpisuje się zielonym atramentem i nie podaje swojego adresu – oznajmił. – Dlatego też jesteś z pewnością pierwsza na ich liście. Może chodzić po prostu o rutynową kontrolę.

Tak czy owak, obstawał za tym, że musi natychmiast wraz z panną Dżebin przynajmniej na jakiś czas przenieść się do zajazdu i domu pogrzebowego Dżannat na starym mieście. Tam miała się skontaktować, powiedział, z Saddamem Husajnem albo z samą właścicielką, dr Andżum, która, jak oznajmił dr Bhartija, była niezwykle dobrą osobą i spotkała się z nim kilka razy od czasu incydentu (tamtej nocy), rozpytując o dziecko. Z racji tego, że honorowe miano przyznał sobie arbitralnie (aczkolwiek jego stopień doktora filozofii był ciągle „w zawieszeniu”), dr Bhartija często tytułował ludzi, których lubił, „doktorami”. Z żadnych innych powodów niż takie, że lubił te osoby i je szanował.

Tilo rozpoznała nazwę zajazdu, a także nazwisko Saddama Husajna, były one bowiem na wizytówce, którą człowiek na białym koniu, podążający za nią od Dżantar Mantar, wrzucił do skrzynki pocztowej (tamtej nocy). Kiedy zadzwoniła, Saddam powiedział, iż kontaktował się z doktorem Bhartiją i czekał na jej telefon. Wiedział, że jest tego samego zdania co doktor Bhartija i że powróci do niej z planem działania. Poradził, aby pod żadnym pozorem nie opuszczała domu wraz z dzieckiem do czasu, aż on się odezwie. Policja nie może wejść do jej domu bez nakazu przeszukania, powiedział, jeśli jednak go obserwują, co jest bardzo prawdopodobne, i złapałoby ją wraz z dzieckiem na ulicy, mogliby zrobić, cokolwiek tylko by zapragnęli. Tilo poczuła się pokrzepiona jego głosem oraz przyjacielskim, zaradnym zachowaniem przy telefonie. Saddam zaś był upewniony jej manierami.

Zadzwonił kilka godzin później, aby oznajmić, że wszystkie przygotowania zostały poczynione. Zabierze je z domu o zmierzchu, prawdopodobnie pomiędzy czwartą a piątą rano, przed upływem godziny, gdy ciężarówki nie miały prawa wjazdu na ten teren. Jeśli dom był obserwowany, łatwo to będzie ustalić o godzinie, kiedy ulice są puste. Przyjedzie z przyjacielem, który był kierowcą pick-upa z Miejskiego Przedsiębiorstwa Transportowego Delhi. Najpierw musieli zabrać ścierwo krowy, która zdechła – rozpękała się – gdy zjadła zbyt wiele plastikowych toreb na głównym śmietniku w Hoz Khas. Jej adres mieli całkiem niedaleko. Plan był gwarantowany, zapewnił.

– Żaden policjant nie zatrzyma śmieciarki Przedsiębiorstwa Transportowego Delhi. Jak będzie pani trzymała okno otwarte, zanim przyjedziemy, zapach już panią o tym poinformuje.

Zatem po raz kolejny przenosiła się.

Tilo przetrząsnęła cały dom niczym złodziej zastanawiający się, co wziąć.

Jakie przyjąć kryterium? Rzeczy, których będzie potrzebować? Czy też takie, których nie powinna zostawiać w domu? A może jedno i drugie? A może żadnych z nich? Przyszła jej do głowy niejasna myśl, że gdyby policja wdarła się przemocą, porwanie dziecka mogłoby się okazać nie najbliższym z jej przestępstw.

Najbardziej pogrążający ze wszystkich rzeczy był stos kartonów owocowych, które jeden po drugim przez kilka dni dostarczał do jej drzwi kaszmirski handlarz owoców. Zawierały one to, co Musa nazywał swymi „odzyskami” z powodzi, która załaziła Śrinagar poprzedniego roku¹⁶.

Kiedy Dźhelam wezbrała i wystąpiła z brzegów, miasto zniknęło. Pod wodą znalazły się całe osiedla, obozy wojskowe, miejsca tortur, szpitale, sądy, posterunki policyjne, wszystko zatone. Łodzie mieszkalne kołysały się nad miejscami, gdzie wcześniej były targowiska. Tysiące ludzi niepewnie schroniło się na stromych dachach i w naprędce zbudowanych kryjówkach na wyższych miejscach, czekając na ratunek, który nigdy nie nadszedł. Zatopione miasto było widowiskiem; zatopiona wojna domowa była fenomenem. Armia wykonywała zapierające dech w piersiach akcje helikopterowe, aby ratować ekipy telewizyjne. W nadawanych przez całą dobę na żywo audycjach spikerzy zachwycali się, co robią dzielni indyjscy żołnierze dla niewdzięcznych, opryskliwych Kaszmirczyków, którzy przecież nie zasłużyli na to, aby ich ratować. Kiedy woda ustąpiła, pojawiło się miasto nienadające się do zamieszkania, gdyż zaległ w nim muł. Sklepy pełne mułu, domy pełne mułu, banki pełne mułu, lodówki, szafki i biblioteczki pełne mułu. A do tego jeszcze niewdzięczni, opryskliwi ludzie, którzy przetrwali, chociaż ich nie ratowano.

Przez tygodnie trwania powodzi Tilo nie miała żadnych wiadomości o Musie. Nie wiedziała nawet, czy jest w Kaszmirze, czy nie. Nie wiedziała, czy przetrwał, czy utonął, a jego ciało woda wyrzuciła na jakimś odległym brzegu. W te noce oczekiwania na informacje o nim, aby zasnąć, pakowała w siebie ogromne porcje pigułek nasennych, ale za dnia, na jawie, śniła jej się powódź. Deszcz, zwały wody gęstej od drutu kolczastego, który udawał zielsko. Rybami były pistolety maszynowe z płetwami i lufami, które sterowały w śmigłym nurcie niczym ogony syren, tak że niepodobna było powiedzieć, w co zostały wycelowane i kto zginie, gdy wypalą. Żołnierze i powstańcy mocowali się pod wodą w powolnym ruchu, jak na starych filmach z Jamesem Bondem. Ich oddechy unosiły się w mulistej wodzie niczym jasne, srebrne pociski. Szybkowary (oddzielone od swoich gwizdków), gazowe podgrzewacze, sofy, półki biblioteczne, stoły i sprzęt kuchenny przemykały w wodzie, dając poczucie wyjętej spod prawa zatłoczonej autostrady. W kręgach wirowały bydło, psy, jaki i kury. Zaprzysiężone zeznania, protokoły przesłuchań i wojskowe komunikaty prasowe same złożyły się w papierowe łódki i wpłynęły w bezpieczne miejsce. Politycy i spikerzy telewizyjni, obu płci, i z Doliny, i z Indii przemykali w sprężystych podrygach,

odziani w nakrapiane cekinami kostiumy kąpielowe – niczym ustawiony w szereg chór koników morskich, ćwiczących pięknie opracowany choreograficznie balet wodny. Nurkowali w głąb, wynurzali się, stawali na palcach, radośnie uśmiechając się w pełnej odpadów wodzie, przy czym ich zęby połyskiwały jak drut kolczasty w słońcu. Jeden z polityków, K.S. Iyengar z Tamil Nadu, którego nazywano SS (gdyż jego poglądy nie były dalekie od tych, jakie wyznawali członkowie *Schutzstaffel* w hitlerowskich Niemczech), wykonywał w wodzie gwiazdy, rozglądając się triumfalnie w swoim wykrochmalonym białym *dhoti*, które sprawiało wrażenie wodoszczelnego.

Ta dzienna zmora powtarzała się dzień po dniu, za każdym razem z nowymi upiększeniami.

Upłynął miesiąc, zanim Musa w końcu zadzwonił. Tilo była wściekła, gdyż jego głos był bardzo pogodny. Oznajmił, że w Śrinagarze nie ma żadnego bezpiecznego domu, w którym mógłby przechować swoje „odzyski” z powodzi, i dlatego pytał, czy może przechować je u niej, do czasu aż woda opadnie, a miasto zacznie podnosić się na nogi.

Mógł. Oczywiście, że mógł!

Znakomite były te kaszmirskie jabłka, dostarczane w tradycyjnych kartonach, czerwone, mniej czerwone, zielone, niemal czarne – delicious, golden delicious, ambri, kala mastana – każde oddzielnie zapakowane w marszczony papier. W róg każdego kartonu wetknięta została wizytówka Musy – z małym rysunkiem końskiego łba. Każde zaś podwójne dno zawierało jego „odzyski”.

Tilo kilkakrotnie otwierała kartony, aby przypomnieć sobie, co jest w środku, i rozstrzygnąć, co z nimi począć – schować je czy wyrzucić. Tylko Musa miał klucz do mieszkania. Garson Hobart był bezpiecznie ulokowany w Afganistanie. Tak czy owak, nie miał klucza. Zatrzymanie ich nie pociągało więc za sobą wielkiego ryzyka. Chyba, chyba – chyba że przypadkiem policja by się włamała.

„Odzysków” było niewiele i najwyraźniej zbierano je w pośpiechu. Te pierwsze, które dotarły, pokrywało błoto: gęsty, ciemny muł rzeczny. Niektóre były w świetnym stanie, gdyż udało im się uniknąć wody. Znalazły się tam pokiereszowane, z mokrymi zaciekami fotografie rodzinne, w większości rozpoznawalne: z córką Musy, panną Dżebin Pierwszą, jej matką, Arifą. Była kolekcja paszportów w plastikowej torebce zamykanej na zamek błyskawiczny – w sumie siedem, dwa indyjskie i pięć innych narodowości: Ijad Charif (Musa jako libański biz-nesmen), Hadi Hasan Mohseni (Musa jako irański czarodziej i przewodnik), Faris Ali Halabi (Musa jako syryjski hippista), Mohammed Nabil el--Salem (Musa jako katarski arystokrata), Ahmed Jasir al--Kasimi (Musa jako bogacz z Bahrajnu). Musa gładko wygolony, Musa z siwiejącą brodą, Musa długowłosa i bez brody, Musa z włosami krótko przyciętymi na brodzie i na

głowie. Tilo rozpoznała pierwsze nazwisko, Ijada Charifa, które Musie zawsze się podobało i z którego oboje śmiali się w czasach studenckich, albowiem znaczyło „gołąb urodzony na jesieni”. Tilo miała odmiany tego tematu dla osób, które ją irytowały. Gandu Charif. Głupek urodzony na jesieni. (Jak na dziewczynę wyróżniała się ordynarnym językiem, a kiedy zaczęła uczyć się hindi, z wielką lubością używała nowo poznanych wulgaryzmów, aby dopiero na tym fundamencie budować użyteczny język).

W innej plastikowej kopercie były karty kredytowe z zaschniętym na nich mułem i nazwiskami pasującymi do paszportów, karty pokładowe i kilka biletów lotniczych – relikty z czasów, gdy bilety lotnicze jeszcze istniały. Były stare notesy telefoniczne z ciasno naskrobanymi w nich nazwiskami, adresami, numerami; z tyłu jednego z nich Musa w poprzek nagryzł fragment piosenki:

*Ciemne do jasnego, jasne do ciemnego,
Trzy ciemne pojazdy, trzy białe powozy,
To, co nas zbliża, jest też powodem oddalenia naszego,
Odszedł nasz brat, odeszło serce jego.*

Kogo opłakiwał? Nie miała najmniejszego pojęcia. Może całą generację.

Na niebieskiej kartce przeznaczonej na list krajowy był do połowy napisany tekst, nieadresowany do nikogo. Być może pisał go do siebie... Albo do niej, jako że zaczynał się wierszem urdu, który usiłował przetłumaczyć, co często miał w zwyczaju robić właśnie dla niej:

*Dunija ki mehfilā se ukta gaja hu ja Rab
Kja lutf andżuman ka, dżab dil hi budżh gaya ho
Śoriś se bhagta hu, dil dhurhta he mera
Esa sukut dżis pe takrir bhi fida ho*

Jestem znużony, o Panie, świeckimi tłumami.

Jaką przyjemność mogę z nich czerpać, skoro zgasło światło w moim sercu?

Uciekam od zgiełku tłumów, moje serce szuka

Takiej ciszy, która sparaliżuje mowę.

Pod spodem napisał:

„Nie wiem, gdzie się zatrzymać ani dokąd iść. Zatrzymuję się, kiedy nie powinienem. Idę, kiedy powinienem się zatrzymać. Oto i znużenie. Ale jest w nim także i opór. To one mnie teraz wspólnie określają. Wspólnie kradną mi sen i wspólnie dbają o całość mej duszy. Mnóstwo jest problemów, których rozwiązań nie widać. Przyjaciół zamienionych we wrogów. Jeśli nawet nie jawnych, to ukrytych, milczących. Ale będę musiał jeszcze zobaczyć wroga zamieniającego się w przyjaciela. Wydaje się, że nie ma na to nadziei. Ale udawanie żywiącego nadzieję jest już jedyną łaską, jaka nam została...”

Nie wiedziała, jakich przyjaciół miał na myśli.

Wiedziała jednak, iż było to coś bliskiego cudu, że Musa ciągle żył.

W trakcie osiemnastu lat, które upłynęły od 1996 roku, wiódł życie, w którym każda noc zasadniczo mogła być nocą długich noży.

– Jak mogą mnie zabić jeszcze raz? – pytał, kiedy wyczuwał strach Tilo. – Przecież byłaś już na moim pogrzebie. Razem położyliśmy kwiaty na grobie. Co jeszcze mogą mi zrobić? Jestem cieniem w południe. Nie istnieję. – Kiedy ostatni raz się widzieli, powiedział do niej na jakiś temat tonem odpowiednim i żartobliwym, ale w oczach miał coś takiego, co sprawiło, iż mroziło jej krew w żyłach. – Obecni w Kaszmirze można zostać zabitym za to, że śmiałeś ocaleć.

W bitwie, Musa tłumaczył Tilo, nieprzyjaciele nie są w stanie złamać stanu twego ducha, tylko przyjaciele.

W innym kartonie znajdowały się nóż myśliwski i dziewięć telefonów komórkowych. Sporo jak na człowieka, który ich nie używał: stare, wielkości małych cegieł, kilka małych nokii, jeden smartfon Samsunga i jeden iPhone. Kiedy dojechały, pokryte mułem, przypominały tabliczki przedpotopowej czekolady. Teraz, kiedy usunięto z nich muł, wyglądały tylko na stare i bezużyteczne. Był plik sztywnych, pożółkłych wycinków z gazet, z których pierwszy zawierał oświadczenie ówczesnego premiera Kaszmiru. Ktoś podkreślił następujący fragment:

Nie możemy rozkopywać wszystkich grobów. Potrzebujemy przynajmniej jakichś ogólnych wytycznych od krewnych osób zaginionych, jeśli już nie ścisłych i konkretnych informacji. Gdzie najprawdopodobniej mogli być pochowani owi zaginieni krewni?

Trzeci karton zawierał pistolet, kilka pocisków luzem, fiolkę pigułek (nie wiedziała jakich, miała jednak informacje pozwalające zgadywać: nazwa zaczynała się na „C”), a także notes, który, jak się wydawało, bez żadnych szkód przetrwał powódź. I zeszyt, i pismo rozpoznała jako swoje, ale zawartość czytała z niesłychaną ciekawością, jak gdyby napisana była przez kogoś innego. Miała wrażenie, że jej mózg był wtedy niczym „z odzysku”: wypełniony mułem. Nie tylko sam umysł, ona cała była jak z odzysku: zbieranina błotnistych kawałków, przypadkowo zlepionych.

Jeszcze długo przedtem, zanim Tilo została stenografką matki i doktora Azada Bhartiji, była na pół etatu rejestratorką permanentnej okupacji militarnej. Po epizodzie w Shiraz, po tym jak wróciła do Delhi i wyszła za Nagę, obsesyjnie jeździła z powrotem do Kaszmiru, miesiąc po miesiącu, rok po roku, jakby szukała tam czegoś, co zgubiła. Rzadko spotykała się z Musą podczas tych wypraw (jeśli tak było, to najczęściej dochodziło do tego w Delhi). Kiedy jednak znajdowała się w Kaszmirze, czuwał nad nią ze swej ukrytej grzędy. Wiedziała, że przyjazne dusze, które pojawiały się jakby znikąd, aby chwilę z nią zabawić, aby pojechać z nią gdzieś, aby zaprosić ją do ich domu – to byli ludzie Musy. Witali ją i mówili

rzeczy, których najpewniej nie powiedzieliby z własnej inicjatywy, a robili to tylko dlatego, że kochali Musę, a przynajmniej swoje wyobrażenie o nim, wyobrażenie o człowieku, którego znali jako cień pośród cieni. Musa nie wiedział, czego Tilo szuka, ale ona też nie wiedziała. Niemniej na te podróże wydawała prawie wszystkie pieniądze, jakie zarabiała na projektowaniu i składzie tekstu. Czasami robiła dziwaczne zdjęcia, zapisywała osobliwe rzeczy. Kolekcjonowała skrawki opowieści i trudne do wyjaśnienia pamiątki – wszystko to jakby bez celu. Wydawało się, że nie interesuje jej żaden zespół problemów ani pojedynczy temat. Nie miała żadnego wyznaczonego celu, żadnego projektu. Nie pisała dla żadnego dziennika ani czasopisma, nie przygotowywała książki ani nie robiła filmu. Nie poświęcała uwagi rzeczom, które większości ludzi wydawałyby się istotne. Przez lata jej osobliwe, postrzępione archiwum rozrastało się w sposób dość niebezpieczny. Było to archiwum odzysków, ale nie z powodzi, lecz z innego rodzaju katastrof. Trzymała je w ukryciu przed Nagą i porządkowała zgodnie z jakąś wyrafinowaną, jej własną logiką, którą odczuwała, ale której nie pojmowała. Żadna z tych rzeczy nie zapewniała dyskusyjnego sztychu ani nie stanowiła rzeczywistego argumentu w rzeczywistym świecie. Ale to było nieważne.

Prawda brzmi tak, że wracała do Kaszmiru, aby uspokoić swe roztrzęsione serce i odpokutować za zbrodnię, której nie popełniła.

I aby położyć świeże kwiaty na grobie komendanta Gulreza.

Zeszyt, który Musa odesłał wraz ze swymi „odzyskami”, należał do niej. Musiała go zostawić podczas jednego ze swych wypadów. Pierwszych kilka stron było wypełnionych jej pismem, reszta pozostawała pusta. Wykrzywiła usta w uśmiechu, kiedy zobaczyła początkową stronę.

S. Tilottama Reader's Digest Podręcznik gramatyki angielskiej i rozumienia zdań dla najmłodszych

Chwyciła popielniczkę, usiadła ze skrzyżowanymi nogami na podłodze i odpalając jednego papierosa od drugiego, utorowała sobie drogę do końca tekstu. Zawierał opowiadki, wycinki prasowe i kilka wpisów pamiętnikowych.

STARY CZŁOWIEK I JEGO SYN

Kiedy Manzur Ahmed Ganai przystąpił do powstańców, żołnierze wkroczyli do jego domu i zabrali jego ojca – przystojnego, zawsze schludnego Aziza Ganaia. Zamknięto go w Centrum Przesłuchań Haider Baig. Manzur Ahmed Ganai działał jako bojownik przez półtora roku. Jego ojciec pozostawał uwięziony przez półtora roku.

Tego dnia, gdy Manzur Ahmed Ganai został zabity, uśmiechnięci żołnierze otworzyli drzwi celi jego ojca.

– *Dżenab17*, chciałeś Azadi? *Mubarak ba apko*. Gratulacje! Dzisiaj twoje marzenia się spełniają. Nadeszła twoja wolność.

Mieszkańcy wioski płakali bardziej za powłóczącym nogami wrakiem, który w swych szmatach przedzierał się przez sad z dzikimi oczami, brodą i włosami nieprzycinanymi od półtora roku, niż za chłopcem, który został zamordowany.

Kuśtykający wrak przybył na czas, aby unieść całun i ucałować twarz syna, zanim tego pochowano.

P. 1: Czemu mieszkańcy wioski bardziej opłakiwali kuśtykający wrak?

P. 2: Czemu wrak kuśtykał?

WIADOMOŚCI

Kaszmirska Wiarygodna Agencja Informacyjna

Bydło stadami przekracza Linie Kontroli (LK) w Radźori

Co najmniej trzydzieści trzy sztuki bydła, w tym 29 byków, przeszły na stronę pakistańską w sektorze Nołsera, w dystrykcie Radźori w Dżammu i Kaszmirze.

Według KWAJ bydło przekroczyło LK w podsektorze Kalsian. „Bydło, należące do Rama Sarupa, Aśoka Kumara, Ćarana Dasa, Veda Prakaśa i innych, pasło się w pobliżu LK, kiedy doszło do przejścia na drugą stronę”, poinformowali KWAJ miejscowi mieszkańcy.

Zaznacz właściwą odpowiedź na pytanie:

P. 1: Bydło przekroczyło LK:

dla treningu,

na tajną operację,

z żadnego z powyższych powodów.

MORDERSTWO DOSKONAŁE (Historia J.)

Zdarzyło się to kilka lat temu, zanim zrezygnowałem ze służby. Może w 2000, a może w 2001 roku. Byłem w tym czasie ZSP – Zastępcą Superintendenta Policji w Mattanie.

Pewnego późnego wieczoru, koło godziny 23:30, otrzymaliśmy telefon z sąsiedniej wioski. Dzwonił jej mieszkaniec, ale nie ujawnił swojego nazwiska. Poinformował, że doszło do morderstwa. Pojechaliśmy zatem: ja i mój szef, SP. Działo się to w styczniu. Było zimno. Wszędzie padał śnieg.

Zajechaliśmy do wioski. Ludzie pochowali się w domach. Drzwi były pozamykane. Światła – pogaszone. Akurat przestało padać. Noc była jasna. Księżyc w pełni. Światło odbijało się w śniegu. Wszystko widzieliśmy bardzo

wyraźnie.

Zobaczyliśmy ciało rosnącego, silnego mężczyzny. Leżało w śniegu. Został niedawno zabity. Krew wypłynęła na śnieg. Ciągle była ciepła. Roztopiła śnieg. Ten ciągle dymił. Denat leżał tam, jakby został ugotowany...

Bez trudu dało się stwierdzić, że po tym, jak podcięto mu gardło, podczołgał się jakieś trzydzieści metrów do drzwi domu. Ponieważ nikt ze strachu ich nie otworzył, denat wykrwawił się na śmierć. Jak powiedziałem, przy rosnącym, silnym mężczyźnie było dużo krwi. Odziany w strój *pathani*, *śalwar kamiz* – miał na sobie kamizelkę kuloodporną khaki, a także wypełniony amunicją pas. Obok niego leżał AK--47. Nie mieliśmy wątpliwości co do tego, że jest to bojownik, ale kto go zabił? Gdyby to była armia, oczywiście zabraliby ciało i natychmiast poinformowali o zabiciu. Gdyby to był ktoś z rywalizującego oddziału bojowników, zabraliby broń. To była dla nas spora zagadka.

Zebraliśmy mieszkańców i przepytaliśmy. Wychodziło na to, że nikt niczego nie widział, nie słyszał ani nie wiedział. Zabraliśmy ciało na posterunek w Mattanie. Wtedy mój SP zadzwonił do dowódcy naczelnego w Rashtriya Rifles (RR) – pobliskim obozie wojskowym – i spytał go, czy ten wie coś w naszej sprawie. Nic.

Nie było trudno zidentyfikować ciało. Zabity był dobrze znanym, zasłużonym dowódcą bojowników. Należał do Hizb. Hizb ul--Mudżahidin. Nikt jednak nie przyznawał się do zabójstwa. Ostatecznie więc dowódca obozu wojskowego i mój SP uznali, że mogą je zaliczyć na swój rachunek. Ogłosili, że w trakcie operacji „Otocz i przeszukaj”, przeprowadzonej wspólnie przez RR i PJK (Policję Dżammu i Kaszmiru), doszło do zbrojnego starcia, w którym bojownik został zabity.

W krajowej prasie pojawiła się następująca informacja:

Niezwykle groźny bojownik zginął w zacieklej, trwającej kilka godzin wymianie ognia, w której uczestniczyły oddziały Rashtriya Rifles oraz Policji Dżammu i Kaszmiru, przeprowadzające wspólną operację pod dowództwem majora XX i superintendenta policji XY.

Zarówno RR, jak i PJK otrzymały pochwały oraz nagrodę pieniężną. Przekazaliśmy ciało bojownika rodzinie i przy okazji dyskretnie rozpytaliśmy, czy nie mają pojęcia, kto mógł go zabić. Nie uzyskaliśmy żadnej informacji.

Siedem dni później w innej wiosce inny bojownik Hizb został znaleziony bez głowy. Był zastępcą pierwszego z mężczyzn, tego, którego ciało znaleziono wcześniej. Hizb natychmiast przyznali się do zabójstwa. Rozpuścili pogłoski, że był to akt odwetu na tym, który zamordował swego dowódcę i ukraść dwadzieścia pięć lakhów w gotówce – miały one zostać rozproszone pośród kadry oficerskiej.

W prasie krajowej informacja przybrała taką oto postać:

Niewinny obywatel bezwzględnie pozbawiony głowy przez bojowników.

P. 1: Kto jest bohaterem tej historii?

INFORMATOR 1

W dobrze znanym terenie Tral. Wioska Naw Dal. Jest rok 1993. Roi się od bojowników. Jest to wioska „wyzwolona”. Armia ma swój obóz na jej skraju, ale żołnierze nie odważają się do niej wkraczać. Kompletny pat. Żaden z mieszkańców wioski nie zbliża się do obozu wojskowego. Nie ma jakiegokolwiek wymiany pomiędzy żołnierzami a wieśniakami.

A mimo to oficer dowodzący obozem zna każdy ruch bojowników. Wie, który z mieszkańców popiera Ruch, który nie, który chętnie oferuje bojownikom jedzenie i nocleg, a który się wzbrania.

Całymi dniami prowadzona jest dokładna obserwacja: ani jedna osoba z wioski nie wchodzi do obozu. Ani jeden żołnierz nie wchodzi do wioski. A mimo to informacja dociera do wojskowych.

Aż wreszcie bojownicy zauważają wychudzonego czarnego byka z wioski, który regularnie odwiedza obóz. Chwytają go. Do jego rogów, wraz z kompletem *tawiz*¹⁸ (mających chronić zwierzę od chorób, od złego spojrzenia, od impotencji), przytroczone są małe karteczki z informacjami.

Nazajutrz bojownicy przytwierdzają zaimprovizowany ładunek wybuchowy do jego rogów. Eksplozja następuje, gdy zwierzę zbliża się do obozu. Nikt nie ginie. Byk jest poważnie ranny. Wioskowy rzeźnik proponuje, że dokona uboju rytualnego, halal, aby w końcu wieśniacy mogli najeść się mięsa.

Ale bojownicy rzucają klątwę. To byk kapuś. Nikomu nie wolno jeść tego mięsa.

Amen.

P. 1: Kto jest bohaterem tej historii?

INFORMATOR 2

Lubił sprzedawać ludzi, gdyż to go dehumanizowało. Dehumanizacja mnie samego jest moją najbardziej podstawową tendencją.

Jean Genet

Jeszcze nie zostałam wyleczona ze szczęścia.

Anna Achmatowa

P. 1: Kto jest bohaterem tej historii?

DZIEWICA

Zaplanowany atak *fidajinów*¹⁹ na obóz wojskowy został w ostatniej minucie zaniechany przez nich samych. Podjęli tę decyzję, ponieważ Abid Ahmed alias Abid Suzuki, kierowca maruti suzuki, w którym się znajdowali, prowadził bardzo

kiepsko. Mały samochód zarzucał gwałtownie na lewo, a potem gwałtownie na prawo, jak gdyby czemuś się wymykał. Tymczasem droga pozostawała pusta i nie było czemu się wymykać. Kiedy towarzysze Abida Suzukiego (z których żaden nie potrafił prowadzić samochodu) spytali go o przyczynę takiego stanu rzeczy, odrzekł, że to hurysy, które zjawiły się, aby zabrać ich do nieba. Były nagie i tańczyły na masce samochodu, co go rozpraszało.

Nie dało się ustalić, czy nagie hurysy były dziewczycami, czy nie. Ale Abid Suzuki z całą pewnością był.

P. 1: Dlaczego Abid Suzuki źle prowadził samochód?

P. 2: Jak ustalisz dziewictwo mężczyzny?

WALECZNE SERCE

Mehmud był krawcem w Badgam. Najbardziej pragnął zostać sfotografowany z pistoletem maszynowym w ręku. Wreszcie przyjaciel ze szkoły, który przyłączył się do grupy bojowników, zabrał go do ich kryjówki i zrealizował jego marzenie. Mehmud powrócił do Śrinagaru z negatywami i zaniósł je do laboratorium Taj Photo Studio, aby zrobiono mu odbitki. Za każdą wynegocjował dwadzieścia pięć pajs zniżki. Kiedy udał się po odbiór zdjęć, służba ochrony granicy otoczyła kordonem Taj Photo Studio i złapała go z odbitkami. Zabrano go do obozu i torturowano wiele dni. Nie ujawnił żadnych informacji. Został skazany na dziesięć lat więzienia.

Dowódca bojowników, który pomógł w przygotowaniu sesji zdjęciowej, został aresztowany kilka miesięcy później. Znaleziono przy nim dwa AK--47 i kilkadziesiąt naboji. Został zwolniony po dwóch miesiącach.

P. 1: Czy było warto?

KARIEROWICZ

Chłopak zawsze chciał czegoś dokonać. Zaprosił na obiad czterech bojowników i wrzucił im do jedzenia pigułki nasenne. Kiedy zasnęli, wezwał wojsko. Zabili bojowników i spalili dom. Armia obiecała mu *dwa kanały i ziemię*, a także sto pięćdziesiąt tysięcy rupii. Dali mu tylko pięćdziesiąt tysięcy i załatwili mieszkanie tuż przy obozie wojskowym. Powiedzieli, że jeśli chciałby mieć stałą pracę, a nie harować na dniówki, musiałby dostarczyć im dwóch zagranicznych bojowników. Udało mu się załatwić jednego „żywego” Pakistańczyka, ale miał kłopot z następnym. „Niestety dzisiaj wszystko idzie trudniej”, powiedział inspektorowi policji. „Tak się porobiło, że nie możesz już sobie zabić kogokolwiek i udawać, że to zagraniczny bojownik. Nie mogę więc dostać stałej pracy”.

Inspektor policji spytał go o to, za kim by głosował, gdyby było referendum: za Indiami czy za Pakistanem.

– Oczywiście, że za Pakistanem.

– A dlaczego?

– Bo to nasz *Mulk* (kraj). Ale pakistańscy bojownicy w niczym nam nie pomogą. Gdybym mógł zabić kilku z nich i zdobyć dobrą pracę, to by mi pomogło.

Powiedział inspektorowi, że gdyby Kaszmir stał się częścią Pakistanu, on (inspektor) nie przeżyłby nawet dnia. Ale on (chłopak) przeżyłby. To jednak, powiedział, tylko teoretyczne rozważania. Ponieważ niedługo i tak zostanie zabity.

P. 1: Przez kogo chłopiec spodziewał się być zabity? Przez:
wojsko,

bojowników,

Pakistańczyków,

właściciela spalonego domu.

LAUREAT NAGRODY NOBLA

Manohar Mattu był kaszmirskim panditem, który pozostał w Dolinie nawet wtedy, gdy wszyscy inni hindusi odeszli. Nic o tym nie wspominał, ale męczyły go już i głęboko dotykały kąśliwe uwagi ze strony muzułmańskich przyjaciół, którzy powiadali, że wszyscy hindusi w Kaszmirze tak naprawdę są w ten czy w inny sposób agentami Indyjskich Sił Okupacyjnych. Manohar uczestniczył we wszystkich antyindyjskich protestach, zaś „*Azadi!*” krzyczał głośniejsz niż ktokolwiek inny. Ale wydawało się, że to wszystko na nic. Zastanawiał się nawet, czy nie dołączyć z bronią do Hizb, jednak zrezygnował. Pewnego dnia stary przyjaciel szkolny, Aziz Mohammed, oficer wywiadu, odwiedził go w domu, aby powiedzieć, że martwi się o niego. Oznajmił, że widział jego (Mattu) akta wywiadowcze. Te sugerowały, iż został wzięty pod obserwację, gdyż przejawiał „antynarodowe tendencje”.

Usłyszawszy tę wiadomość, Mattu rozpromienił się i poczuł, jak pierś rozpiera mu duma.

– Dałeś mi Nagrodę Nobla! – poinformował przyjaciela.

Zabrał Aziza Mohammeda do Café Arabica, gdzie postawił mu kawę i ciastka warte pięćset rupii.

Rok później został on (Mattu) zabity przez nieznanego strzelca za to, iż jest kafirem.

P. 1: Dlaczego Mattu został zastrzelony?
Ponieważ był hindusem.

Ponieważ pożył *Azadi*.

Ponieważ zdobył Nagrodę Nobla.

Żadna z powyższych odpowiedzi.

Wszystkie z powyższych odpowiedzi.

P. 2: Kto mógł być nieznanym strzelcem?

Islamski bojownik, który był zdania, że wszyscy kafirzy powinni zostać zastrzeleni.

Agent sił okupacyjnych, który pragnął, aby ludzie sądzili, że wszyscy bojownicy islamscy sądzą, iż wszyscy kafirzy powinni zostać zastrzeleni.

Żadna z powyższych odpowiedzi.

Ktoś, kto chciał, aby wszyscy szaleńczo chcieli znaleźć odpowiedź.

KHADIDŻA MÓWI...

W Kaszmirze, kiedy budzimy się rano i mówimy „Dzień dobry”, tak naprawdę myślimy „Dzień podły”.

CZASY, ACH, CZASY SIĘ ZMIENIAJĄ

Begam Dil Afroz była dobrze znaną oportunistką, która wierzyła dosłownie w zmienianie się wraz z czasem. W momentach gdy Ruch zdawał się zdobywać coraz to nowe szczyty, przestawiała czas na zegarku o pół godziny – na czas pakistański. Kiedy siły okupacyjne brały górę, wracała do czasu indyjskiego. W Dolinie krążyło powiedzenie: „Zegarek Begam Dil Afroz to naprawdę nie zegarek, ale gazeta”.

P. 1: Jaki jest morał tej historii?

DZIEŃ GŁUPCA, KWIECIEŃ 2008 ROKU

Prima aprilis nazywany jest też kwietniowym dniem głupca. W tym przypadku była to kwietniowa noc głupca. Przez całą noc powtarzała się opóźniana przez czas pisania, przenosząca się z jednego telefonu komórkowego na drugi, wiadomość: „Starcie w wiosce Bandipora”. BSF i STF twierdzą, że otrzymywali potwierdzone informacje o tym, iż w pewnym domu w wiosce Ćiti Bandi stacjonują bojownicy: dowódca operacyjny Laśkar--e--Tajjiba i paru innych. Akcja nie przebiegła gładko; starcie trwało całą noc. Dobrze po północy wojsko

oznajmiło, że operacja zakończyła się sukcesem. Dwóch bojowników miało zostać zabitych. Tyle że policja informowała, iż nie ma żadnych ciał.

Pojechałem wraz z szefem do Bandipory. Wyjechaliśmy o świcie.

Ze Śrinagaru do Bandipory droga wije się między polami gorczycy. Jezioro Wular jest szkliste, niepojęte. Smukłe łódki prężą się na nim niczym modelki. P. mówi mi, że ostatnio, jako część operacji „Dobra wola”, armia zabrała łodzią marynarki wojennej dwadzieścioro jeden dzieci na piknik. Łódź się przewróciła. Wszystkie dwadzieścioro jeden dzieci utonęło. Kiedy rodzice utopionych dzieci protestowali, otworzono do nich ogień. Mający najwięcej szczęścia zginęli.

Bandipora jest „wyzwolona”, powiadają. Jak kiedyś Sopor, jak obecnie Śopian – jest nieprzerwanie wyzwolana. Bandipora opiera się o wysokie góry. Kiedy tam dotarliśmy, okazało się, że kłopoty jeszcze się nie skończyły.

Wieśniacy opowiadali, że wszystko zaczęło się o 15:30 poprzedniego dnia. Ludzi pod lufami karabinów wyprowadzono z domów. Musieli je zostawić otwarte, gorąca herbata niedopita, książki rozłożone, prace domowe nieskończone, jedzenie na palenisku, przypalająca się cebula, pokrojone pomidory czekające na to, aby je -dodać.

Było ponad tysiąc żołnierzy, mówili wieśniacy. Niektórzy twierdzili, że cztery tysiące. W nocy przerożenie pomnaża wszystko, liście na platanach musiały wyglądać jak żołnierze. Kiedy trwała wymiana ognia, do uszu ludzi zaczęły dochodzić nie tylko odgłosy strzelaniny, lecz także dźwięki delikatniejsze: otwieranych kredensów, podkradanych pieniędzy i kosztowności, niszczonej krosien. Bydło zostało żywcem zgrillowane w zagrodach.

Zburzono duży dom brata poety. Same zgliszcza, nie znaleziono żadnych ciał. Bojownicy uciekli, a może w ogóle ich nie było.

Ale czemu ciągle znajdowało się tu wojsko? Żołnierze z pistoletami maszynowymi, łopatami i moździerzami trzymali w ryzach tłum.

Nowe doniesienie:

„Dwóch młodych mężczyzn aresztowano na pobliskiej stacji benzynowej”.

Tłum przesuwa się potulnie, gdzie mu każą.

Armia zdążyła już obwieścić, że zabiła dwóch bojowników w Ćiti Bandi. Znalazły się więc i ciała. Ludzie wiedzą, jak działa rzeczywisty świat. Czasami tekst pojawia się z wyprzedzeniem.

– Jeśli ciała tych chłopaków są świeżo spalone, nie przyjmujemy do wiadomości opowieści armii.

„Wynoście się, Indie! Precz z wami!”

Ludzie widzą żołnierza stojącego w meczecie wioskowym, przyglądającego im się. Nie zdjął butów w świętym miejscu. Pojawia się szmer, nabrzmiewa. Powoli lufa pistoletu unosi się i bierze coś na cel. Powietrze się kurczy i twardnieje.

Wystrzał rozlega się od strony zburzonego domu brata poety. To zapowiedź. Armia zamierza się wycofać. Wioskowa droga nie jest dostatecznie szeroka, aby pomieścić nas i ich, aby więc ich przepuścić, musimy na płask przyciskać się do ścian domów. Żołnierze przemaszerowują gęstym szeregiem. Buczenie towarzyszy im niczym wiatr, przemykający po wioskowej drodze. Można wyczuć gniew i wstyd żołnierzy. Można też wyczuć ich bezradność. To może się zmienić w każdej sekundzie.

Muszą tylko odwrócić się i strzelić.

Ludzie muszą tylko paść i umrzeć.

Kiedy znika ostatni żołnierz, ludzie przekopują się przez resztki spalonego domu. Płaty blachy, które kiedyś były dachem, ciągle się tlą. Ogorzały kufer stoi otwarty. Płomienie ciągle się z niego dobywają. Cóż w nim było takiego, że tak pięknie się pali?

Ludzie wchodzą na małą, dymiącą górkę odpadów i śpiewają:

Ham Kja Ćahte?

Azadi!

A potem na rzecz Laśkar:

Aiła, Aiła!

Laśkar--e--Tajjiba!

Nadchodzą nowe wiadomości.

Mudaser Nazir został zatrzymany przez STF.

Przyjeżdża jego ojciec. Płytko oddycha. Twarz popielata. Jak jesienny liść na wiosnę.

Wzięli chłopaka do obozu.

– To żaden tam bojownik. Został raniony podczas protestu w zeszłym roku.

– Mówią, że jeśli chcesz odzyskać swego syna, musisz przysłać nam swoją córkę. Mówią, że ona jest TK – tajnym konspiratorem. Że pomaga ludziom z Hizb przenosić rzeczy.

Może pomaga, może nie. Tak czy owak, już jest po niej.

Ja pomogę facetowi z Hizb przenieść jego rzeczy.

A wtedy on mnie zabije za to, że jestem mną.

Zła, nieprzesłonięta kobieta.

Indyjska.

Indyjska?

Mniejsza z tym.

I tak to idzie.

NIC

Chciałbym napisać taką wyrefinowaną historię, w której wprawdzie nic się nie dzieje, a jednak jest o czym pisać, i to jak! Tego niepodobna zrobić

w Kaszmirze. To, co się tutaj dzieje, nie jest wyrafinowane. Zbyt wiele krwi na dobrą literaturę.

P. 1: Dlaczego nie jest wyrafinowane?

P. 2: Jaką ilość krwi może znieść dobra literatura?

•

Ostatnim tekstem w zeszycie była wojskowa depesza, przyklejona do jednej ze stron.

BIURO INFORMACJI PRASOWEJ (SEKCJA OBRONNA). RZĄD INDII,
BIURO RZECZNIKA PRASOWEGO -MINISTERSTWA OBRONY,
ŚRINAGAR

Dziewczęta z Bandipory wyjechały na wyprawę

Bandipora, 27 września: Dzisiaj nastąpił ważny dzień w życiu siedemnastu dziewcząt z wiosek Erin i Dardpora w dystrykcie Bandipora, gdyż nad stawem rybnym wioski Erin pani Sonja Mehra i brygadier Anil Mehra, dowódca osiemdziesiątej pierwszej brygady górskiej, dali sygnał do rozpoczęcia trzynastodniowej wyprawy SADBHAWANA20 do Agry, Delhi i Chandigarhu. Dziewczętom towarzyszą dwie dojrzałe niewiasty, dwóch członków rady wiejskiej wraz z przedstawicielami czternastego batalionu Rashtriya Rifles. Odwiedzą miejsca o historycznym i edukacyjnym znaczeniu w Agrze, Delhi i Chandigarhu. Będą mieli zaszczyt spotkać się z gubernatorem Pendżabu, a także ich stanu.

Brygadier Anil Mehra, dowódca osiemdziesiątej pierwszej -brygady górskiej, zwracając się do uczestników wycieczki, radził im, aby w pełni wykorzystali nadarżające się okazje. Prosił także, aby uważnie obserwowali postęp czyniony przez inne stany i aby siebie traktowali jako ambasadorów pokoju. Do życzeń powodzenia dla uczestników wycieczki przyłączyli się pułkownik Prakash Singh Negi, dowódca czternastego batalionu Rashtriya Rifles, członkowie rad wiejskich obu miejscowości, a także rodzice uczestniczek oraz zgromadzenie mieszkańców.

Reader's Digest. Podręcznik gramatyki angielskiej i rozumienia zdań dla najmłodszych był długi na dwa *biri* i cztery papierosy – dostosowując oczywiście prędkość czytania do palenia bądź odwrotnie, ponieważ jedna i druga były zmienne.

Tilo uśmiechała się do siebie, pamiętając inną wyprawę dobrej woli – podobną do tej opisaną w relacji prasowej – którą wojsko uprzejmię zorganizowało dla chłopców z Muskan, wojskowego sierocińca w Śrinagarze. Musa wysłał wiadomość, proponując, aby spotkali się w Czerwonym Forcie. Musiało to być jakieś dziesięć lat wcześniej. W tym czasie ciągle jeszcze żyła

z Nagą.

Przy tej okazji Musa, dając popis największej u niego niefrasobliwości, należał do cywilów eskortujących grupę. Jechali przez Delhi w drodze do Agry, aby obejrzeć Tadź Mahal. Kiedy byli w Delhi, sieroty poprowadzono do Kutub Minar, Czerwonego Fortu, Bramy Indyjskiej, Pałacu Prezydenckiego, Parlamentu, Birla House (gdzie Gandhi został zastrzelony), Teen Murti (gdzie mieszkał premier Nehru) oraz Safdarjung Road numer 1 (gdzie Indira Gandhi została zastrzelona przez swych strażników sikhijskich). Musa stał się nie do poznania. Przybrał nazwisko Zahur Ahmed, uśmiechał się częściej, niż było trzeba, przyjął na ten czas postawę potulną, trochę niezgrabną, usłużną.

On i Tilo występowali jako osoby obce, które przypadkowo usiadły obok siebie na ławce w ciemności podczas pokazu dźwięk i światło w Czerwonym Forcie. Resztę publiczności w większości stanowili zagraniczni turyści.

– W tej imprezie współpracujemy z siłami bezpieczeństwa – Musa szepnął Tilo. – Czasami przy tym rodzaju współpracy partnerzy nie wiedzą, że tak naprawdę są partnerami. A wojsko sądzi, że uczy dzieci kochać ich Ojczyznę. My sądzimy, że uczymy je rozpoznawać Wroga, tak aby, gdy kolej walki przyjdzie na ich generację, nie skończyli, zachowując się jak Hasan Lone.

Mały chłopiec z wielkimi uszami, jedna z sierot, wspinał się Musie na kolana, obsypał go tysiącem pocałunków, a potem usiadł bardzo spokojnie, przyglądając się Tilo z odległości kilkunastu centymetrów, wzrokiem uważnym i pozbawionym wyrazu. Musa obcesowo nic nie odpowiedział, ale Tilo widziała, jak zaciskają mu się mięśnie szczęk i jak na moment pojawia się błysk w oczach. Odczekała króciutką chwilę, a potem spytała:

– A kto to taki Hasan Lone?

– Był moim sąsiadem. Wspaniały facet. Prawdziwy brat. – „Brat” to była w ustach Musy najwyższa pochwała. – Chciał się przyłączyć do bojowników, ale podczas pierwszej podróży do Indii, do Bombaju, zobaczył tłumy na stacji VT i zrezygnował. Kiedy powrócił, powiedział: „Bracia, czy widzieliście, ilu ich tam jest? Nie mamy szans! Ja się poddam”. I rzeczywiście się poddał! Teraz ma jakiś mały warsztacik tekstylny – dokończył Musa, uśmiechając się w ciemności szeroko, a potem głośno ucałował siedzącego mu na kolanach chłopca, na cześć Hasana Lonego. Malec patrzył wprost przed siebie, promieniejąc niczym lampa.

Na ścieżce dźwiękowej był rok 1739. Cesarz Mohammed Śah Rangila zasiadał już na swym Pawim Tronie w Delhi od trzydziestu lat. Był to interesujący władca. Przyglądał się, jak słonie walczą przebrane w kobiece szaty i zdobione brylantami pantofle. Pod jego panowaniem narodziła się nowa szkoła miniaturowego malarstwa, jawnie prezentującego seks i sielankowe krajobrazy. Ale pasjonował się nie tylko seksem i rozpustą. Na dworze występowali też wielcy tancerze *kathaku* i *kawwal*. Uczony mistyk Śah Waliullah przetłumaczył Koran na

perski. Chładza Mir Dard i Mir Taki Mir recytowali swoje wiersze w herbaciarniach przy Ćandni Ćauku.

Le sans bhi ahista ki nazuk he bahut kam

Afak ki is kargah--e--śiśagari ka

Oddychaj tu delikatnie, gdyż kruchością wszystko jest podszyte,

Tu, w warsztacie świata, gdzie sporządza się rzeczy ze szkła.

A potem odgłos końskich kopyt. Chłopiec poderwał się na kolanach Musy i rozejrzał wokół, aby zobaczyć, skąd dochodzi dźwięk. To kawaleria Nadira Śaha galopowała z Persji do Delhi, plądrując miasta leżące po drodze. Cesarz na Pawim Tronie był nieporuszony. Banalność i wojny nie powinny, jego zdaniem, ingerować w poezję, muzykę i literaturę. W tym momencie przedstawienia światła w Diwan--e--Chas, Sali Audiencji Specjalnych, nabierały jaskrawości. Purpurowe, czerwone, zielone. *Zenana*²¹ rozświetlała się oczywiście na różowo i rozbrzmiewała echem kobiecych śmiechów, szelestu jedwabiu, dzyń--dzyń--dzyń bransoletek na kostkę – i wtedy, znienacka, pośród miękkich, szczęśliwych niewieścich dźwięków dał się wyraźnie słyszeć głęboki, wyraźny, chrapliwy, kokietyjny chichot dworskiego eunucha.

Po pokazie sieroty i ich eskorta spędzili noc w noclegowni w Viśła Juvak Kendra w Enklawie Dyplomatycznej. Trzeba trafu, że przy tej samej ulicy był dom Tilo i Nagi.

Kiedy Tilo wróciła do domu, Naga spał przy włączonym telewizorze. Wyłączyła odbiornik i położyła się obok Nagi. W nocy śniła się jej kręta droga przez pustynię, która nie miała żadnego powodu, by skręcać. Szła po niej wraz z Musą. Po jednej stronie były zaparkowane autobusy, po drugiej kontenery transportowe – wszystkie z otwartymi wejściami, w których wisiały zasłony z poszarpanej gazy. W niektórych drzwiach stały dziwki, w innych żołnierze. Wysocy somalijscy żołnierze. Na zewnątrz wyprowadzano bardzo poranionych ludzi, a wprowadzano zakutych w kajdany. Musa zatrzymał się, aby porozmawiać z mężczyzną w bieli. Wydawał się jego starym przyjacielem. Musa poszedł za nim do kontenera transportowego, zostawiając Tilo przed wejściem. Kiedy nie wychodził, zajrzała, rozglądając się za nim. Paliło się czerwone światło. W łóżku w kącie kontenera mężczyzna i kobieta uprawiali seks. Stała tu duża toaletka z lustrem. Musy nie było w pokoju, ale w zwierciadle odbijał się jego obraz. Zwisał z dachu za ramiona, obracając się nieustannie w kółko. W pokoju było mnóstwo talku, także pod pachami Musy.

Tilo zbudziła się zdumiona tym, jak dostała się na łódkę. Przyglądała się Nadze przez dłuższą chwilę i na krótko zalało ją coś, co mogło być miłością. Nie rozumiała tego i nie robiła z tym zupełnie nic.

•

Wyliczyła, że upłynęło trzydzieści lat od chwili, gdy oni wszyscy – Naga, Garson Hobart, Musa i ona – spotkali się po raz pierwszy na próbie *Normanie, czy to ty?* I ciągle krążyli wokół siebie na te osobliwe sposoby.

Ostatnie pudło nie było kartonem po owocach i nie zawierało „odzysku” z powodzi. Było to małe opakowanie po drukarce Hewlett--Packard, w którym mieściły się dokumenty Amrika Singha – Musa zostawił je u niej po powrocie z jednego ze swych wyjazdów do USA. Otworzyła je, aby potwierdzić, że pamięć dobrze jej służy. Tak, służyła. Koperta ze starymi fotografiami, komplet wycinków prasowych opisujących samobójstwo Amrika Singha. Jeden z reportaży zawierał fotografię domu Singha w Clovis, z zaparkowanymi przed nim samochodami policyjnymi oraz policjantami tłoczącymi się wewnątrz strefy Wstęp Wzbroniony, wytyczonej żółtą taśmą, jak w serialach telewizyjnych i na filmach kryminalnych. Było zbliżenie Xerxesa, robota z zamontowaną na nim kamerą, którego policjanci kalifornijscy, zanim weszli do środka, wysłali przodem, aby zbadał, czy ktoś się nie skrył, czekając na nich z zasadzką. Oprócz wycinków prasowych był plik kopii podań Amrika Singha i jego żony o azyl w USA. Musa przedstawił jej długie, komiczne opowiadanie o tym, jak zdobył ów plik. Razem z prawnikiem, który występował w setkach spraw o azyl na Zachodnim Wybrzeżu – przyjacielem i „bratem” Musy – odwiedzili w Clovis amerykańskiego pracownika społecznego, który zajmował się sprawą Amrika Singha. Ten, jak mówił Musa, był wspaniałym człowiekiem, starym i zgrzybiałym, ale serdecznie oddanym swojej pracy. Miał ciągoty socjalistyczne i był wściekły na politykę imigracyjną swego rządu. Jego małe biuro zapychały liczne teczki – wszystkie zawierały akta spraw setek ludzi, którym pomagał dostać azyl w Stanach Zjednoczonych; większość z nich stanowili sikhowie, uciekający z Indii po roku 1984. Znał opowieści o okrucieństwach policji w Pendżabie, o wojskowym ataku na Złotą Świątynię oraz masakrze sikhów w roku 1984, która nastąpiła po zamachu na Indirę Gandhi. Dryfował poza czasem i nie był na bieżąco ze współczesnymi sprawami, tak więc pomieszał Pendżab z Kaszmirem, a państwa Singh uznał za kolejną prześladowaną rodzinę sikhijską. Nachylił się nad biurkiem i powiedział, iż do tragedii doszło dlatego, że ani major Singh, ani jego żona nie potrafili pogodzić się z gwałtem, któremu najpewniej uległa w areszcie. Usiłował ją przekonać, że wzmianka o tym bardzo zwiększyłaby szanse na otrzymanie azylu. Ona jednak nie chciała się na to zgodzić i była bardzo wzburzona, gdy zasugerował, że mówienie o tym nie jest wstydlive.

– Tych dwoje to dobrzy ludzie, potrzebna im była życzliwa rada. Tyle było trzeba im i ich małym – powiedział, wręczając Musie plik dokumentów – życzliwe słowo i kilkoro dobrych przyjaciół. Po prostu odrobina pomocy i ciągle by jeszcze żyli. Ale chyba trudno tego oczekiwać w tak wielkim kraju jak ten. Nieprawdaż?

Na samym dnie opakowania drukarki leżało grube, utrzymane w starym stylu dossier prawne, którego Tilo nigdy dotąd nie widziała. Znajdował się w nim plik

luźnych, niepowiązanych pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu kartek, ułożonych na kawałku kartonu i związanych białymi taśmami oraz czerwonymi gumkami. Zeznania świadków w sprawie Dżaliba Kadriego, sprzed niemal dwudziestu lat.

Uwierzytelnione zeznanie Ghulama Nabiego Rasula, s. Muśtaka Nabiego Rasula, zamieszkałego w Barbarśah. Zawód: Urzędnik Wydziału Turystyki. Wiek: 37 lat. Zeznanie spisane zgodnie z paragrafem 161 KK.

Świadek zeznał, co następuje:

Mieszkam w Barbarśah w Śrinagarze. Dnia 3 marca 1995 roku zobaczyłem posterunek wojskowy rozlokowany w Parrejporze. Kontrolowali pojazdy. Były tam ciężarówka wojskowa i pojazd opancerzony. Kontrolę prowadził wysoki sikhijski oficer, otoczony przez personel wojskowy w mundurach. Zobaczyłem też zaparkowaną prywatną taksówkę. Siedzieli w niej cywile, owinięci w czerwone koce. Z powodu strachu trzymałem się z daleka od całej tej sceny. Potem zobaczyłem nadjeżdżające białe maruti. Prowadził Dżalib Kadri, a na fotelu obok siedziała jego żona. Na widok Dżaliba Kadriego wysoki oficer zatrzymał jego samochód i kazał mu wysiąść. Wepchnęli go do opancerzonego pojazdu i wszystkie pojazdy, łącznie z prywatną taksówką, odjechały obwodnicą.

Uwierzytelnione zeznanie Rehmata Badżada, syna Abdula Kalama Badżada, zamieszkałego w Kursu Radźbagh, w Śrinagarze. Zawód: Urzędnik Wydziału Rolnictwa. Wiek: 32 lata. Zeznanie spisane zgodnie z paragrafem 161 KK.

Świadek zeznał, co następuje:

Jestem mieszkańcem Kursu Radźbagh i pracuję w Wydziale Rolnictwa jako urzędnik. Dzisiaj, 27 marca 1995 roku, wyszedłem z domu, usłyszawszy znaczny hałas na zewnątrz. Zobaczyłem tam ludzi gromadzących się wokół trupa wrzuconego do worka. Zwłoki odkrył miejscowy chłopak z kanału powodziowego na Dźhelam. Młody człowiek wyciągnął ciało z worka. Stwierdziłem, że jest to ciało Dżaliba Kadriego. Poznałem go, gdyż był moim sąsiadem przez ostatnie dwanaście lat. Po bliższym przyjrzeniu się zidentyfikowałem następujące rzeczy:

- sweter koloru khaki,
- białą koszulę,
- szare spodnie,
- biały podkoszulek.

Poza tym nie miał obojga oczu. Czoło miał zakrwawione. Ciało było skulone i w stanie rozkładu. Przyjechała policja, przeprowadziła śledztwo i sporządziła dokument, który niniejszym podpisuję.

Uwierzytelnione zeznanie Marufa Ahmeda Dara, syna Abdula Ahada Dara, zamieszkałego w Kursu Radźbagh, w Śrinagarze. Zawód: Biznesmen. Wiek: 40 lat. Zeznanie spisane zgodnie z paragrafem 161 KK.

Świadek zeznał, co następuje:

Jestem mieszkańcem Kursu Radźbagh i zajmuję się prowadzeniem

interesów. Dnia 27 marca 1995 roku usłyszałem hałas dochodzący z brzegu kanału powodziowego na Dźhelam. Poszedłem tam i znalazłem trupa Dźaliba Kadriego, który leżał na tamie, wciśnięty w worek. Mogłem zidentyfikować denata, ponieważ był moim sąsiadem od dwunastu lat i modliliśmy się w tym samym meczecie. Na ciele rozpoznałem następujące rzeczy:

- wełniany sweter koloru khaki,
- białą koszulę,
- szare spodnie,
- biały podkoszulek.

Oprócz tego brakowało obojga jego oczu. Czoło miał zakrwawione. Ciało było skulone i w stanie rozkładu. Przyjechała policja, przeprowadziła śledztwo i sporządziła dokument, który niniejszym podpisuję.

Uwierzytelnione zeznanie Mohammeda Śafika Bhata, syna Abdula Aziza Bhata, zamieszkałego w Ganderbal. Zawód: Murarz. Wiek: 30 lat. Zeznanie spisane zgodnie z paragrafem 161 KK.

Świadek zeznał, co następuje:

Pochodzę z Ganderbal. Jestem z zawodu murarzem i obecnie pracuję w domu Mohammeda Ajuba Dara w Kursu Radźbagh. Dzisiaj, to jest 27 marca 1995, około godziny 6:30 rano poszedłem nad kanał przeciwpowodziowy na Dźhelam, aby obmyć twarz. Zobaczyłem pływające w rzece martwe ciało umieszczone w worku. Na zewnątrz wystawały jedna noga i jedno ramię. Bałem się, więc nie poinformowałem o tym nikogo. Potem poszedłem do domu Mohammeda Shabira Dara, aby murować. Znalazłem tego samego trupa w worku, który został wyciągnięty z kanału przeciwpowodziowego na Dźhelam przez miejscowych. Zwłoki były w stanie rozkładu i przesiąknięte wodą. Cechy szczególne były następujące:

- wełniany sweter koloru khaki,
- biała koszula,
- szare spodnie,
- biały podkoszulek.

Oprócz tego brakowało obojga jego oczu. Czoło miał zakrwawione. Ciało było skulone i w stanie rozkładu. Przyjechała policja, przeprowadziła śledztwo i sporządziła dokument, który niniejszym podpisuję.

Uwierzytelnione zeznanie brata denata, Parweza Ahmeda Kadriego, syna Altafa Kadriego, zamieszkałego w Awantiporze. Zawód: Pracownik Akademii Sztuk Pięknych, Kultury i Języków. Wiek: 35 lat. Zeznanie spisane zgodnie z paragrafem 161 KK.

Świadek zeznał, co następuje:

Jestem mieszkańcem Awantipory i bratem zmarłego Dźaliba Kadriego. Dzisiaj po przeprowadzeniu identyfikacji i sekcji zwłok odebrałem ciało mego

brata Dżaliba Kadriego z komendy policji. Funkcjonariusze oddzielnie wystawili rejestr obrażeń oraz pokwitowanie za ciało. Odczytano mi zeznania świadków, które potwierdzam.

Uwierzytelnione zeznanie Muštaka Ahmeda Chana alias Usmana, alias Bhaitoty, zamieszkałego w mieście Dżammu. Wiek: 30 lat. Zeznanie spisane 12.06.95 roku, zgodnie z paragrafem 164 KK.

Świadek zeznał, co następuje:

Jestem, proszę pana, piekarzem. Mam sklep w Rawalporze i dostarczałem chleb dla wojska w latach 1990–1991. Potem sytuacja w Kaszmirze się pogorszyła, a bojownicy zaczęli mi grozić przez to, iż dostarczam chleb żołnierzom. Ponieważ było to dla mnie jedyne źródło zarobkowania, więc zamknąłem piekarnię i pojechałem do mojej rodzinnej wioski w Uri. Po trzech miesiącach pobytu tam bojownicy zaczęli znęcać się nad moją żoną. Oprócz tego porwali moją piętnastoletnią siostrę i zmusili ją do poślubienia jednego z nich. W efekcie opuściłem moją rodzinną wioskę i powróciłem do Śrinagaru, gdzie mieszkałem w wynajętym domu w Magarmal Bagh. Po jakimś czasie pojawili się tam bojownicy z Frontu Wyzwolenia Dżammu i Kaszmiru (FWJK) i zmusili mnie, abym się do nich przyłączył. Później w trakcie wzajemnych konfliktów pomiędzy różnymi frakcjami bojowymi żołnierze z oddziału Al--Umar porwali mnie i przez dwa lata byłem z nimi związany. Potem zaczęły mnie nękać siły bezpieczeństwa i dobrały się do moich dzieci. W tej sytuacji poddałem się India Bravo (IB) i złożyłem mój karabinek maszynowy AK--47. Trzymano mnie przez osiem miesięcy w areszcie w Baramulli, a potem zwolniono, ale co piętnaście dni musiałem się meldować w IB. Czyniłem tak przez trzy miesiące, a potem uciekłem, gdyż bałem się, że jeśli ktokolwiek zobaczy mnie wychodzącego z IB albo wchodzącego do niego, przypłacę to życiem. W Śrinagarze spotkał się ze mną pewien człowiek, a mianowicie Ahmed Ali Bhat alias Cobra, i poznał mnie z zastępcą szefa policji w Kothi Bagh, ten zaś polecił mi pracować z Grupą Operacji Specjalnej (GOS) w obozie w Rawalporze. Cobra i Parwaz Bhat należeli do Ichwanu i w obozie współpracowali przede wszystkim z majorem Amrikiem Singhem. Napuścili go na mnie, mówiąc, że znam wszystkich bojowników i powinienem pomóc w ich aresztowaniu. Pewnego dnia major Amrik Singh wziął mnie ze sobą na akcję uderzenia na kryjówkę bojowników w Wazir Bagh, gdzie schwytano ich dwóch i zwolniono po zapłaceniu czterdziestu tysięcy rupii. Pracowałem z majorem Amrikiem Singhem przez wiele miesięcy i byłem świadkiem eliminowania przez niego niżej wymienionych osób:

- Ghulam Rasul Wani,
- Basit Ahmed Chande, który pracował w Century Hotel,
- Abdul Hafiz Pir,
- Isfak Waza,

- sikhijski marynarz, który nazywał się Kuldip Singh.

Dużo później każdy z nich został zarejestrowany jako osoba zaginiona.

Jakiś czas potem, w marcu 1995 roku, major Amrik Singh i jego przyjaciel Salim Godźri, który tak jak ja był dawnym bojownikiem i często odwiedzał obóz, schwytali jednego człowieka, ubranego w płaszcz, białą koszulę, krawat i szare spodnie. Byli przy tym także Sukhan Singh, Balbir Singh oraz Doktor. Ów mężczyzna w płaszczu i spodniach był bardzo uczony. Kłócił się z nimi, mówiąc: „Dlaczego mnie aresztujecie i przywozicie tutaj?”.

Wtedy major Amrik Singh wpadł w furję, zaczął go okropnie bić, a potem zaciągnął do oddzielnego pokoju. Kiedy już go zamknął, wyszedł i powiedział: „Wiedziecie, że to ten słynny adwokat Dźalib Kadri? Aresztowaliśmy go, ponieważ nie popuścimy nikomu, kto oczernia armię i pomaga bojownikom, jakkolwiek jest jego status”. Tego wieczoru słyszałem okrzyki i jęki z pokoju, w którym Dźalib Kadri był zamknięty. Potem usłyszałem dochodzące z tego pomieszczenia strzały, a jeszcze później zobaczyłem, jak wypełniony czymś worek ładują na samochód.

Kilka dni później, kiedy znaleziono już zwłoki Dźaliba Kadriego, a w gazetach pojawiły się wiadomości o tym, major Amrik Singh powiedział mi z żalem, że źle postąpił i nie powinien był zabijać Dźaliba Kadriego, ale nie miał wyjścia, gdyż inni oficerowie kazali to zrobić jemu i Salimowi Godźriemu. Kiedy mi to powiedział, poczułem, że moje życie jest w niebezpieczeństwie.

Potem Salim Godźri i jego znajomi, Mohammed Ramzan, który był nielegalnym imigranem z Bangladeszu, Munir Naser Hadżam i Mohammed Akbar Lawe, przestali pokazywać się w obozie. Major Amrik Singh wysłał samochód ze mną oraz z Sukhanem Singhem i Balbirem Singhem, abyśmy ich znaleźli i przywieźli do obozu. Znaleźliśmy Salima Godźriego, jak siedział w sklepie w Badgam, i spytaliśmy go, czemu od tygodnia nie zjawia się w obozie. Odparł, że był zajęty i że przyjdzie nazajutrz. Następnego dnia zjawił się ze swoimi trzema znajomymi. Przyjechali taksówką marki Hindustan Ambassador. Przy bramie odebrano im broń. Major Amrik Singh powiedział im, że to wszystko z powodu zbliżającej się wizyty dowódcy obozu. Potem major Amrik Singh, Salim Godźri i jego znajomi usiedli na krzesłach na wolnym terenie i zaczęli pić. Po dwóch godzinach major Amrik Singh zabrał Salima Godźriego oraz jego trzech znajomych do jadalni. Ja byłem na werandzie. Sukhan Singh, Balbir Singh, inny major Aśok i lekarz związali Salima Godźriego i jego znajomych sznurami, po czym zamknęli drzwi. Następnego dnia ciała zostały znalezione na polu w Pampore razem z ciałem kierowcy taksówki, Mumtaza Afzala Malika. Wtedy przenieśli moją żonę i dzieci do domu przyjaciela, który mieszka przy obwodnicy, a ja sam uciekłem do Dżammu. Więcej już nic nie wiem.

•

Tilo z powrotem schowała teczki i kopertę z fotografiami do pojemnika i postawiła go na stole. Były to dokumenty prawnicze i nie zawierały niczego obciążającego.

Spakowała „odzyski” Musy, pistolet, nóż, telefon, paszporty, karty pokładowe i wszystko inne do hermetycznego plastikowego pojemnika na żywność i wstawiła je do zamrażarki. Do jednego z pojemników włożyła wizytówkę Saddama Husajna, aby Musa wiedział, gdzie się skierować. Miała starą lodówkę, która pokrywała się lodem, jeśli regularnie o nią nie dbano. Wiedziała, że jeśli przed wyjściem obniży temperaturę, wszystkie dowody zamienią się w blok lodu. Rozumowała jednak, że owe odkrycia, które przetrwały dewastującą powódź, pewnie mają jakąś magiczną moc. Przeżyją więc także małe zlodowacenie.

Spakowała niewielką torbę. Ubrania, książki, rzeczy dziecięce, komputer, szczoteczkę do zębów. Urnę z prochami matki.

Pozostawało jeszcze tylko zdecydować, co zrobić z tortem i z balonami.

Położyła się na łóżku, w pełni ubrana i gotowa do wyjścia.

Była trzecia rano.

Ciągle ani znaku, ani zapachu Saddama Husajna.

Czytanie *Papierów Kalana* było błędem. I to poważnym. Czowała się tak, jakby wraz z ludźmi, których zabił, została wpakowana do beczki ze smołą. Mogła wyczuć jego zapach. I widzieć jego chłodne, obojętne oczy, gdy siedzi naprzeciwko niej na łódce i się w nią wpatruje. Czowała dotknięcie jego ręki na swojej głowie.

To, na czym leżała, nie było prawdziwym łóżkiem, po prostu materac na czerwonej cementowej podłodze. Mrówki uwijały się dookoła z okruchami tortu. Upał pełzył po materacu i czuła szorstkość prześcieradła pod swoją skórą. Malutkie *gecko* wędrowało niepewnie po podłodze. Zatrzymało się o kilka stóp od niej, uniosło swój wielki łeb i przypatrywało się jasnymi, nazbyt ogromnymi ślepiami. Odpowiedziała spojrzeniem.

– Schowaj się! – szepnęła. – Nadchodzą wegetarianie.

Poczęstowała gekona martwym owadem ze stosu zdechłych komarów, które nazbierała na kartce białego papieru. Ułożyła zwłoki komara w połowie drogi pomiędzy sobą a gekonem. Jaszczurka zrazu zignorowała poczęstunek, a potem pochłonęła go w jednej chwili, gdy Tilo odwróciła wzrok.

„Tym powinnam była zostać”, pomyślała, „karmicielką gekonów”.

*

Przez okna napływało ostre światło neonu udającego księżyc. Kilka tygodni wcześniej, idąc w nocy przez stromy, zalany światłem wiadukt, usłyszała rozmowę między dwoma mężczyznami jadącymi na rowerach: „*Is sheher me ab rat ka sahara bhi nahi milta*”. W tym mieście straciliśmy nawet tę kryjówkę, którą była noc.

Leżała nieruchomo niczym ciało w kostnicy.

Rosły jej włosy.

Także paznokcie.

Włosy na jej głowie były martwo białe.

Trójkąt włosów pomiędzy jej nogami – kruczoczarny.

Czy to coś znaczyło?

Była stara czy ciągle młoda?

Była martwa czy ciągle żywa?

A potem nawet nie musiała odwracać głowy, by wiedzieć, że przyszli. Byki. Sylwetka masywnych łbów z perfekcyjnymi rogami odznaczała się w świetle sierpowatym kształtem. Dwa z nich. Koloru nocy. Ukradzony kolor, który kiedyś był nocą. Wypukłe loki wyrzeźbione na ich wilgotnych czołach niczym adamaszkowe chusty. Mokre welwetowe nozdrza, lśniące, gdy oblizywały swoje purpurowe wargi. Nie wydawały żadnego dźwięku. W ogóle nic jej nie zrobiły, po prostu tylko patrzyły. Białka ich ślepi, gdy rozglądały się po pokoju, też były księżycowymi sierpami. Nie wydawały się ani zaciekawione, ani szczególnie zaalarmowane. Były jak lekarze przyglądający się pacjentowi i próbujący uzgodnić diagnozę.

Znowu zapomniałaś wziąć ze sobą stetoskop?

Czas miał inną jakość w ich obecności. Nie potrafiłaby powiedzieć, jak długo jej się przyglądały. Ani razu nie spojrzała na nie. Wiedziała, że poszły, tylko dlatego, że zasłaniane przez nie światło na powrót zalewało pokój.

Gdy była pewna, że znikły, podchodziła do okna i widziała, jak zmałałe do poziomu ulicy – odchodzą. Miejskie cwaniaczki. Para oprychów. Jeden z nich podniósł nogę, jak gdyby był psem, i oblał okna samochodu. Bardzo wysokim psem. Zapaliła światło i zajrzała do słownika pod *insouciant*. Słownik oznajmił: „radośnie beztroski albo niemartwiący się o nic”. Trzymała słowniki obok łóżka, ułożone w kolumnę.

Wyjęła z rzyzy kartkę czystego papieru, niebieski ołówek z kubka, gdzie czekały zastrugane, i zaczęła pisać:

Szanowny Panie Doktorze!

Jestem świadkiem osobliwego fenomenu naukowego. W alejce obok mojego mieszkania trzymane są dwa byki. Za dnia wydają się całkiem normalne, ale w nocy bardzo rosną – sądzę, iż można użyć słowa: „ogromnieją” – i wpatrują się we mnie przez okno na pierwszym piętrze. Kiedy sikają, unoszą nogi, zupełnie jak psy. Zeszłego wieczoru (około ósmej), kiedy wracałam z targowiska, jeden warknął na mnie. Tego jestem pewna. Moje pytanie brzmi, czy to możliwe, że są bykami genetycznie zmodyfikowanymi genami wzrostu psa czy wilka, tyle że wszystko wymknęło się spod laboratoryjnej kontroli? Jeśli tak, czy byłyby to wówczas byki,

czy psy, a może wilki?

Nie słyszałam, by takie eksperymenty przeprowadzano na bydle, a Pan? Słyszałam, że ludzkie geny wzrostu były użyte do pstrąga, co nadało rybom gigantyczną wielkość. Ludzie hodujący te gigantyczne pstrągi powiadają, że robią to, aby wyżywić ludzi w biednych krajach. Moje pytanie brzmi: kto wyżywi te gigantyczne pstrągi? Genów wzrostu ludzkiego użyto także przy świniach. Widziałam efekty tego eksperymentu. Jest to mutant zezowaty, a tak ciężki, że nie jest w stanie utrzymać się na nogach. Trzeba go podnosić na platformie. To naprawdę obrzydliwe.

Dzisiejszymi czasy nie można być naprawdę pewną, czy byk jest psem, a kaczan kukurydzy nie jest aby nogą świni albo stekiem wołowym. Ale może tędy wiedzie droga do prawdziwej współczesności? Dlaczego, koniec końców, nie miałyby szklanka być jeżem z podręcznikiem, jak się nie jeżyć w dobrym towarzystwie?

Pańska oddana

Tilottama

PS. Dowiedziałam się, że naukowcy pracujący w przemyśle drobiowym próbują unicestwić instynkty macierzyńskie w kurach, aby ograniczyć lub całkowicie zlikwidować u nich pragnienie rozrodu. Ich celem, jak się zdaje, jest to, aby zapobiec marnowaniu czasu na zbyteczne rzeczy, a dzięki temu zwiększyć produkcję jajek. Chociaż ja osobiście jestem całkowicie przeciwna wydajności i efektywności, zastanawiam się, czy tego typu interwencje, przez co rozumiem trzebienie matczyńskich instynktów, nie pomogłyby w przypadku Madzii – Matek Osób Zaginionych w Kaszmirze. W tej chwili są one bezproduktywnymi jednostkami, żyjącymi na narzucanej przez prawo diecie, w czczej nadziei krzątającymi się po ogródkach warzywnych, zastanawiającymi się nad tym, co uprawiać, co ugotować i co przyrządzić, gdyby ich synowie powrócili. Jestem pewna, że zgodzi się Pan ze mną co do tego, iż jest to bardzo kiepski model postępowania. Czy nie mógłby Pan zaproponować lepszego? Opartego na wykonalnej, realistycznej (aczkolwiek jestem również przeciwna realizmowi) formule, aby osiągnąć odpowiednią Ilość Nadziei? Trzema zmiennymi w ich przypadku są: śmierć, zaginięcie i miłość rodzinna. Wszystkie inne formy miłości, nawet jeśli przyjąć, że takie istnieją, nie liczą się tutaj, mogą więc zostać pominięte. Z wyjątkiem, rzecz jasna, miłości do Boga. (Co rozumie się samo przez się).

PS 2. Przenoszę się. Nie wiem, dokąd się udam. To napętnia mnie nadzieją.

Kiedy skończyła list, złożyła go starannie i umieściła w torebce. Pokroiła tort, ułożyła kawałki w pudełku i zamknęła w lodówce. Jeden po drugim odwiązała balony i wcisnęła je do szafki. Włączyła telewizor, ale bez głosu. Jakiś facet sprzedawał swoje brwi. Wstępną ofertę obniżył do pięciuset dolarów. Ostatecznie zgodził się, by za tysiąc czterysta dolarów ogolić je maszynką elektryczną. Na

twarzy miał zabawny, wstydlivy uśmiech. Wyglądał jak Elmer Fudd z kreskówki Looney Tunes.

*

Brzask.

Ciągle nie ma Saddama Husajna.

Kidnaperka wyglądała przez swe okno nieco niecierpliwie.

Nadszedł SMS:

„W Międzynarodowym Dniu Jogi zjednoczmy się podczas jogi ze świecami przy basenie i medytacji wokół guru Hanumanta Bhardwadża”.

Napisała odpowiedź:

„Proszę, nie róbmy tego”.

Obok bramy szkolnej, na której namalowana pielęgniarzka podawała namalowanemu dziecku namalowaną szczepionkę polio, senne kobiety, dorywcze robotnice na pobliskiej szosie, stały wokół małego chłopca, który przykucnął jak przecinek nad otwartym ściekiem. Kobiety oparły się na swoich łopatach i kilofach i czekały, aż ich gwiazda da popis. Miał oczy wlepione w jedną z kobiet, matkę. Dodawała mu ducha. Zrobił kałużę. Żółty liść. Matka odłożyła kilof i obmyła mu tyłek mętną wodą ze starej butelki wody Bisleri. Pozostałą wodą obmyła dłonie i splukała żółty liść do ścieku. Nic w mieście nie należało do tych kobiet. Żadna działka ziemi. Nawet żadna rudera, żaden kawałek blachy nad głową. Nie należała nawet kanalizacja. Ale oto teraz uczyniły prosty, nietypowy depozyt, ekspresowo dostarczony prosto do systemu. Może stanowiło to początek zdobywania miasta. Matka przecinka wzięła go w ramiona, zarzuciła kilof na ramię i mały kontyngent oddalił się.

Ulica była pusta.

I wtedy pojawił się Saddam Husajn, jak gdyby czekał na to, aż kobiety odejdą, ustępując mu miejsca. A wszystko dokonało się w następującym porządku:

Dźwięk

Widok

Zapach (smród).

Żółta ciężarówka miejska wykręciła w małą alejkę dostawczą i zaparkowała o kilka domów dalej. Saddam Husajn zeskoczył z miejsca dla pasażera (z taką samą gracją, z jaką zwykle zeskakiwał z konia), a wzrok miał od razu skierowany na okno pierwszego piętra w budynku Tilo. Tilo wystawiła głowę i dała mu znać, że brama jest otwarta i może wejść.

Spotkali się w drzwiach, ona trzymając spakowaną walizkę, dziecko i pudełko z tortem truskawkowym. Towarzyszka Lali powitała Saddama na podeście tak, jakby łączyła się z utraconym kochankiem. Łeb trzymała nieruchomo, a resztą ciała miotła z jednej strony na drugą, z uszami płasko położonymi

i oczyma zmrużonymi kokieteryjnie.

– Twoja? – spytał Saddam, kiedy przedstawili się nawzajem. – Możemy ją zabrać. Tam, gdzie jedziemy, jest mnóstwo miejsca.

– Ma szczeniaki.

– *Are22*, co za problem?!

Łagodnie podniósł szczenięta z worka, na którym leżały, otworzył go, wrzucił je do środka: piszczące, wierzące się oberżyny. Tilo zamknęła drzwi i mała procesja zeszła po schodach, po czym wyległa na ulicę.

Saddam ze spakowaną walizką i workiem pełnym szceniąt.

Tilo z dzieckiem i pudłem z dokumentami.

I Towarzyszka Lali, z bezwstydnym oddaniem sunąca w ślad za swoją odnalezioną miłością.

Kabina kierowcy była wielka niczym mały hotel. Niradź Kumar, kierowca, oraz Saddam Husajn byli starymi przyjaciółmi. Saddam (ekspert w kwestii przezorności i zważania na detale) ułożył drewnianą skrzynkę po owocach pod drzwiami śmieciarki. Prowizoryczny schodek. Towarzyszka Lali wskoczyła do środka, a za nią podążyły Tilo i panna Dżebin Druga. Usiadły z tyłu, na czerwonej pryczy Rexine, na której kierowcy ciężarówek zwykle sypiali podczas długich przejazdów, gdy byli zmęczeni, a kierownicę przejmował zastępca. (Miejskie śmieciarki nigdy nie udawały się w tak długie trasy, ale miały łóżko dla kierowcy). Saddam usiadł przed nimi na fotelu pasażera, umieściwszy między nogami worek ze szczeniakami, który otworzył, aby miały dopływ powietrza, nałożył okulary przeciwsłoneczne, dwa razy postukał w drzwi pasażera niczym kierowca autobusu – i ruszyli.

Żółta ciężarówka przemknęła przez miasto, zostawiając za sobą smród zdechłej krowy. Tym razem, w przeciwieństwie do ostatniej podróży, jaką Saddam odbywał z podobnym ładunkiem, znajdował się w miejskim pojeździe, a rzecz działa się w stolicy kraju. Gudżarat ka Lalla dopiero za rok miał objąć tron. Szafranowe papugi ciągle czekały na swój czas, przyczajone w swoich skrzydłach. Na razie więc było bezpiecznie.

Ciężarówka, podskakując na wybojach, przejechała obok rzędu warsztatów samochodowych; ludzie i psy pokryte smarami wciąż spali na zewnątrz.

Minęła targ, sikhijską gurudwarę, potem inną. Minęła szpital, z pacjentami i rodzinami obozującymi na drodze, obok tłumu kłębiącego się pod apteką 24 na 7. Przejechała wiadukt z wciąż jeszcze zapalonymi latarniami.

Minęła park miejski z bujnymi i starannie zaprojektowanymi rondami.

Kiedy tak parła przed siebie, ogrody znikwały, droga stawała się bardziej wyboista, na chodnikach coraz więcej było śpiących ciał. Psów, kóz, krów, ludzi. Ryksze rowerowe, ustawione jedna obok drugiej niczym żebra w wężowym szkielecie.

Ciężarówka prześmierdziała swoją drogę pod kruszącymi się kamiennymi łukami i obok pozostałości wałów Czerwonego Fortu. Przemknęła skrajem starego miasta, po czym dotarła do zajazdu Dżannat oraz Usług Pogrzebowych.

*

Andżum czekała na nich – ekstatyczny uśmiech rozbłyskujący spomiędzy grobowców.

Była wspaniale ubrana, w cekiny i satynę, jak za najlepszych dni. Miała makijaż, mocno pomalowane usta, zabarwiła włosy i wplotła w nie gruby, długi czarny warkocz, ozdobiony czerwoną wstążką. Chwyła Tilo i pannę Dżebin w niedźwiedzi uścisk, obsypując je pocałunkami.

Zorganizowała przyjęcie powitalne. Zajazd Dżannat został udekorowany balonami i wstęgami.

Gośćmi – wszyscy starannie ubrani – byli: Zejnab, pulchna obecnie osiemnastolatka, która na miejscowej politechnice studiowała projektowanie mody, Saida (odziana w surowe sari; oprócz sprawowania roli *ustad* w Chłabdze stała także na czele organizacji pozarządowych, które walczyły o prawa osób transpłciowych), Nimmo Gorakhpuri (która przyjechała z Mewatu, wioząc na przyjęcie trzy kilo świeżej baraniny), Ísrat (która przedłużyła swoją wizytę), Rośan Lal (który zachował pokerową twarz), Imam Ziauddin (który połaskotał pannę Dżebin swoją brodą, a potem pobłogosławił ją i zmówił modlitwę). Ustad Hamid grał na fisharmonii i powitał ją w Rag Tilak Kamod²³:

E ri sakhi mora pija ghar aaje

Bag laga is angan ko

Ach, przyjaciele, moja miłość wróciła do domu

Podwórze rozkwitło w ogród.

Saddam i Andżum pokazali Tilo pokój, który przygotowali dla niej na parterze. Miała go dzielić z Towarzystką Lali i rodziną, panną Dżebin oraz grobem Ahlama Badźiego. Klacz Pajal została uwiązana z zewnątrz do okna. Pokój udekorowano wstęgami i balonami. Niepewni, jakie przygotowania poczynić dla kobiety, prawdziwej kobiety z *Duniji* – nie po prostu z *Duniji*, ale z *Duniji* południowego Delhi – zdecydowali się na salon fryzjerski w stylu *décor*: toaletka z targowiska rzeczy używanych, upiększona dużym lustrem. Na metalowym wózku pyszniły się buteleczki z różnymi odcieniami lakieru do paznokci Lakmé, liczne szminki, grzebień, szczotka do włosów, lokówki, suszarka do włosów i butelka szamponu. Nimmo Gorakhpuri przyniosła z domu w Mewacie zbieraną przez całe życie kolekcję magazynów mody i ułożyła je w wysokich stosach na dużym stoliku kawowym. Obok łóżka znajdowała się kołyska z wielkim misiem, siedzącym na poduszce. (Kłopotliwą kwestię tego, gdzie panna Dżebin Druga będzie spała i kto będzie nazywany mamą – nie „*bari* mamą” czy „*ćhoti* mamą”²⁴, lecz mamą –

odłożono na później. Miała zostać łatwo rozstrzygnięta, ponieważ Tilo przystała na żądania Andżum z wielką radością). Andżum przedstawiła Tilo Ahlamowi Badżiemu, jak gdyby Ahlam Badżi ciągle jeszcze żył. Wyliczyła swoje osiągnięcia i zdobycze, a także odczytała listę niektórych z luminarzy/luminarek Shahdżahanabadu, którym pomogła przyjść na świat – Akbar Mian, piekarz, producent najlepszych *śirmal* w ogrodzonym mieście, Jabbar Bhai, krawiec, Sabiha Alvi, której córka zainaugurowała właśnie Benarasi Sari Emporium na pierwszym piętrze ich domu. Andżum mówiła tak, jak gdyby był to świat dobrze znany Tilo, świat, który każdemu powinien być znany. W istocie jedyny świat, który wart był zaprzyjaźnienia.

Po raz pierwszy w swym życiu Tilo poczuła, że wszyscy mieli dość miejsca, aby wygodnie się urządzić.

Pierwszy hotel w miasteczku, w którym dorastała, nazywał się Anjali. Uliczne plakaty, które reklamowały tę ekscytującą nową budowlę, wołały: „Zajdź do Anjali na resztę swojego życia!”. Żart pojawił się zupełnie niechcący, ale jako dziecko Tilo zawsze wyobrażała sobie, że hotel Anjali pełen był ciał gości, niczego niepodejrzewających, którzy zostali zamordowani we śnie i zostaną już tutaj na resztę swego (martwego) życia. W przypadku zajazdu Dżannat czuła, że hasło było nie tylko adekwatne, ale wręcz zachęcające. Instynkt podpowiadał jej, że być może znalazła wreszcie dom na Resztę Życia.

Wstawał świt, kiedy biesiada się zaczęła. Andżum robiła przez cały dzień zakupy (nabywała mięso, zabawki i meble), a potem siedziała w kuchni przez całą noc.

A oto menu:

- mutton korma,
- mutton birjani,
- curry z mózdzku,
- kaśmiri rogan dżoś,
- smażona wątróbka,
- śami kabab,
- nan,
- tanduri roti,
- śirmal,
- phirni,
- arbuz z czarną solą²⁵.

Uzależnieni i bezdomni z peryferii cmentarza ściągnęli, aby uczestniczyć w uczcie i zabawie. Pajął wciągnęła znaczną ilość phirni. Doktor Azad Bhartija przybył odrobinę spóźniony, ale przy wielkim aplauzie i zachwycie, gdyż koordynował całą ucieczkę i ściągnięcie panny Dżebin do domu. Jego bezterminowa głódówka trwała już jedenasty rok, trzeci miesiąc i dwudziesty piąty

dzień. Nic nie jadł, był tylko na tabletkach odrobaczających i popijanej szklankami wodzie.

Parę kebabów i trochę birjani odłożono na bok dla urzędników miejskich, którzy z pewnością zjawią się w ciągu dnia.

– Ci kolesie są, zupełnie jak my, hidźrami – oznajmiła Andżum i zaśmiała się radośnie. – W jakiś sposób wyczuwają uroczystości i zjawiają się, by zażądać swoich porcji.

Biru i Towarzyszka Lali sycili się kośćmi i pozostałościami. Powodowana nadmierną ostrożnością, Zejnab umieściła szczeniaki w miejscu niedostępnym dla Biru i całymi godzinami rozkoszowała się nimi, bezwstydnie flirtując też z Saddamem Husajnem.

Panna Dżebin Druga wędrowała z rąk do rąk, obejmowana, całowana i przekarmiana. W ten sposób rozpoczęła swój nowy żywot w miejscu podobnym, a zarazem o cały świat odległym od tego, gdzie przed osiemnastu laty młoda poprzedniczka, panna Dżebin Pierwsza, zakończyła swój.

Na cmentarzu.

Innym, odrobinę bardziej na północ.

A nie uwierzą właśnie dlatego, że to, co mówię, jest prawdą.

James Baldwin

1 Myzeł (*Nosmalum ordinarius*) – gatunek roztoczy (przyp. tłum.).

2 *Khadi* – ręcznie tkany materiał z bawełny.

3 Stan Dżammu i Kaszmir w większości zamieszkane przez sunnickich muzułmanów, ale poza tym silnie zróżnicowane. W regionie Dżammu żyje wielu hindusów, zaś w Ladakhu mniejszość buddyjska. Barelwici to reprezentacja jednej ze szkół islamu w Azji Południowej. Salafici to reprezentanci ortodoksyjnego nurtu islamu, który rozprzestrzenił się w Kaszmirze głównie w wyniku wpływów z państw arabskich.

4 *Tanzim* – ruch, organizacja.

5 Laśkar-e-Tajjiba – jedna z najbardziej niesławnych i radykalnych pakistańskich islamskich organizacji działających w Indiach.

6 *Ji ćui* – „To jest” (kaszmirski).

7 Ojczystym językiem większości Kaszmiczyków jest kaszmirski, ale współcześnie powszechnie posługują się oni także językiem urdu.

8 *Dźi* – „Tak, panie”.

9 *Habśi* to w języku hindi określenie na „Murzyna” (i pierwotnie znaczyło dosłownie „Abisyńczyk”), ale tu jest użyte pogardliwie jako odpowiednik „czarnucha”.

10 „Baisa” – sposób tytułowania z szacunkiem kobiety w tradycji radźputów, wspólnoty występującej głównie w stanie Radżasthan w Indiach.

11 *Ammaći* – „mama” w języku malajalam (używany w stanie Keral).

12 Szekspir, *Henryk V*, akt 4, scena 3, tłumaczenie L. Ulricha.

13 Mar Thoma, Mar Jakoba, Kościół Indii Południowych – wspólnoty kościelne wśród syryjskich chrześcijańskich w stanie Keral na Południu Indii. *Ilawa* (ang. *Ezhava*) to nazwa kasty w Kerali, wspólnoty *thija* i *ćekawar* to jej podkasty. *Scheduled Castes* (Kasty Rejestrowe) to termin występujący w konstytucji Indii, a określający wspólnoty, którym przysługuje rezerwacja posad w określonych instytucjach z racji tego, że należą do kast niedotykalnych. *Parajowie*, *pulajowie*, *parawanowie* i *ulladanowie* to kasty niedotykalnych w Kerali.

14 Zapewne nawiązanie do keralskiego stereotypu, według którego członkowie niedotykalnej kasty *parajów* wydają z siebie szczególny przykry zapach.

15 *Adiwasi* („tubylec”) – określenie na członków indyjskich plemion.

16 Zapewne nawiązanie do powodzi w Kaszmirze w roku 2014.

17 *Dżenab/dżanab* – „panie”.

18 *Tawiz* – amulet.

19 *Fidajini* – bojownicy, którzy dokonują ataku obliczonego na ich śmierć podczas walki.

20 *Sadbhawana* – dobra wola.

21 *Zenana* – tu: pokoje kobiece.

22 *Are* – tu: „Ejże”.

23 *Rag Tilak Kamod* – gatunek muzyczny.

24 *Bari* – duża; *ćhoti* – mała.

25 *Mutton korma* – kawałki jagnięciny w pikantnym sosie; *mutton birjani* – danie z ryżu i jagnięciny; *rogan dżoś* – danie z baraniny, do którego dodaje się chili kaszmirskie, szafran i alkanę; *śami kabab* – kawałki smażonego mięsa; *nan* – rodzaj dużego placka; *tanduri roti* – mały placek z pieca; *śirmal* – placek z szafranem; *phirni* – deser, który powstaje z zagęszczonego mleka i ryżu.

9. Przedwczesna śmierć panny Dżebin Pierwszej

Od chwili, kiedy tylko była w stanie na coś nastawać, nastawała na to, aby nazywać ją „panną Dżebin”. Było to jedyne imię, na które reagowała. Musieli się tak do niej zwracać wszyscy: rodzice, dziadkowie, także sąsiedzi. Była szczególnie przywiązana do fetyszu „panny”, jaki zdobył panowanie w dolinie Kaszmiru w pierwszych latach powstania. Zmienacka wszystkie modne młode damy, zwłaszcza w miastach, nastawały na to, aby zwracano się do nich per „panna”. Panna Momin, panna Ghazala, panna Farhana. Był to jeden z licznych fetyszów owego czasu. W tych przyćmionych krwią latach, z przyczyn, których nikt do końca nie rozumiał, ludzie stali się, by tak to określić, fetyszozaleźni. Oprócz fetyszu „panny” był też fetysz pielęgniarki, fetysz instruktora gimnastyki i fetysz jazdy na rolkach. Tak więc obok punktów kontrolnych, bunkrów, broni, granatów, min przeciwpiechotnych, transporterów Casspir, zasieków z drutów kolczastych, żołnierzy, powstańców, kontrpowstańców, szpiegów, specjalnych agentów, podwójnych agentów, potrójnych agentów oraz pełnych forsy walizek, którymi nęciły agencje po obu stronach granicy, Kaszmir został zalany także przez pielęgniarki, instruktorów gimnastyki i rolkarzy. Jak również, rzecz jasna, przez panny.

Jedną z nich była panna Dżebin, która nie pożyła dostatecznie długo, aby zostać pielęgniarką czy choćby pojeździć na rolkach.

Na Mazar--e--Šohadda, Cmentarzu Męczenników, na którym zrazu została pochowana, żeliwna tablica nad głównym wejściem głosiła (w dwóch językach): „Oddaliśmy nasze dzisiaj za wasze jutro”. Była już skorodowana, zielona farba wyblakła, kaligrafia była ponakłuwana przebijającym się przez nią światłem. Niemniej po wszystkich tych latach w dalszym ciągu niczym próbka sztywnej lamówki odcina się na tle szafirowego nieba i ośnieżonych, zębistych gór.

Nadal.

Panna Dżebin nie należała do komitetu, który decydował, co ma być napisane na tablicy. Ale nie miała też możliwości, by spierać się z jego decyzją. Poza tym panna Dżebin nie nazbierała nazbyt wielu „dzisiaj” do wymiany na „jutro”, ale przecież algebra nieskończonej sprawiedliwości nigdy nie była tak obcesowa. W ten sposób, nie będąc pytana o zdanie, stała się jedną z najmłodszych męczenniczek Ruchu. Została pochowana tuż obok swej matki, Begam Arify Jeswi. Matka i córka zginęły od tego samego pocisku. Przez lewą skroń wszedł do głowy panny Dżebin i znieruchomiał w sercu jej matki. Na jej ostatniej fotografii rana po kuli wyglądała jak radosna letnia róża umieszczona tuż nad lewym okiem. Kilka płatków spadło na jej *kafan*, biały całun, w który została owinięta, zanim złożono ją na wieczny spoczynek.

Panna Dżebin i jej matka zostały pochowane wraz z piętnastoma innymi

ofiarami, w ten sposób ustalając ich liczbę na siedemnaście.

W momencie ich pogrzebu Mazar--e--Šohadda był jeszcze ciągle nowy, ale już wtedy nader zatłoczony. Tak czy owak, Intizamija, komitet organizacyjny, nadstawiał czujnie ucha od samego początku powstania i miał bardzo realistyczne wyobrażenie tego, co się zdarzy. Zaplanował starannie rozkład grobów, robiąc porządną, skuteczną użytek z dostępnej przestrzeni. Wszyscy rozumieli, jak istotne jest pochowanie ciał męczenników w zbiorowym grobie, a nie rozrzucenie ich (tysiącami) niczym pokarm dla ptaków po górach czy lasach, wokół obozów wojskowych i centrów tortur, które niczym grzyby wyrosły w całej dolinie Kaszmiru. Kiedy rozpoczęły się walki, a okupacja zacisnęła swe szpony, dla zwykłych ludzi zebranie swoich zmarłych stało się samo w sobie aktem oporu.

Pierwszym, który miał leć w grobie, był *gumnam šahid*, anonimowy męczennik, którego trumnę przyniesiono o północy. Ze wszystkimi rytuałami i honorami został pochowany na cmentarzu, który nie został jeszcze ucementarniony, a towarzyszyła temu tylko pełna powagi gromadka żałobników. Następnego ranka, kiedy zapaliły się świece i świeże płatki róż zasłały świeży grób, a modlitwy zostały odmówione w obecności tysięcy ludzi, którzy zgromadzili się za sprawą zachęt wygłaszanych w meczetach po piątkowych modłach, komitet zabrał się do ogradzania dużego pasa ziemi wielkości małej łąki. Kilka dni później pojawił się napis: *Mazar--e--Šohadda*.

Rozeszły się plotki, że bezimienny męczennik, który został pochowany w nocy – ciało założycielskie – nie był wcale ciałem, tylko pustym workiem. Lata później (rzekomy) twórca tego (rzekomego) planu został spytany przez młodego *sang--baz*, miotacza kamieni, przedstawiciela nowej generacji walki o wolność, który słyszał tę historię i był nią zaniepokojony. „Ale *dženab, dženab*, czy nie znaczy to, że nasz Ruch, nasz *tehrik*, opiera się na kłamstwie?”. Odpowiedź sędziwego projektanta (rzekomego) brzmiała: „Kłopot z wami, młodzieniaszkami, polega na tym, że nie macie absolutnie żadnego pojęcia o tym, jak się walczy na wojnie”.

Wielu oczywiście twierdziło, że plotki o męczenniczym worku były po prostu jednymi z nieskończonej mnogości plotek tworzonych i rozpuszczanych w Badami Bagh, wojskowym sztabie w Śrinagarze. Ot, jeszcze jedna intryga sił okupacyjnych, aby zdławić *tehrik*, aby ludzi utrzymać w stanie niepewności, podejrzeń i wątpliwości wobec samych siebie.

Ci, którzy mieli odpowiednią wiedzę, twierdzili, iż tylko plotką były informacje o wydziale dezorganizacji, dowodzonym przez oficera w stopniu majora. Były pogłoski, że budzący grozę batalion z Nagalandu (który zresztą sam stał się przedmiotem innej okupacji na wschodzie) – legendarnych smakoszy świń i psów – od czasu do czasu nie gardził również przekąską z ludzkiego mięsa, zwłaszcza odpowiednio „zestarzałego”. Krążyła plotka, że każdy, kto dostarczy

(komuś, adres nieznany) zdrową sowę, która ważyć będzie więcej niż trzy kilo (w tym regionie sowy, nawet najgrubsze, ważyły ledwie połowę tego), otrzyma nagrodę w wysokości miliona rupii. Ludzie poczęli łapać jastrzębie, sokoły, małe sowy i w ogóle wszystkie drapieżne ptaki, aby karmić je szczurami, ryżem, rodzynekami, faszerować sterydami i ważyć co godzina, aczkolwiek zupełnie nie wiedzieli, komu ostatecznie dostarczyć ptaki. Cynicy powiadali, że to właśnie znowu armia, która zawsze dba o to, aby łatwowiernych ludzi czymś zająć i nie mieć z nimi kłopotów. Były plotki i kontrplotki. Były plotki, które mogły być prawdziwe, i prawdy, które powinny być plotkami. Na przykład było prawdą, że przez wiele lat wydziałem praw człowieka w armii dowodził podpułkownik Stalin, miły facet z Kerali, syn starego komunisty. (Pogłoska mówiła, że to jego pomysłem było stworzenie *Muskan* – co w urdu znaczy „uśmiech” – łańcucha wojskowych centrów dobrej woli, które zajmowały się rehabilitacją wdów, półwdów, sierot i półsierot. Rozwścieczeni ludzie, którzy oskarżali armię o to, iż to ona produkowała sieroty i wdowy, regularnie palili sierocińce „dobrej woli” i centra krawiectwa. A te zawsze były odbudowywane – większe, lepsze, wygodniejsze, przyjaźniejsze).

Co się tyczy Cmentarza Męczenników, kwestia tego, czy pierwszy grób mieścił worek czy ciało, nie miała, jak się okazało, żadnych konsekwencji. Istotne było to, że stosunkowo nowy cmentarz zapełniał się w alarmującym tempie prawdziwymi zwłokami.

*

Męczennictwo zakradało się do doliny Kaszmiru od Linii Kontroli, przez zalane księżycowym światłem górskie przełęcze, zajęte przez żołnierzy. Noc po nocy kroczyło po wąskich, kamienistych ścieżkach, wijących się niczym nitki między niebieskimi, lodowymi skałami, poprzez rozległe lodowce i wyżynne łąki pełne śniegu głębokiego po pas. Wlokło się obok młodych chłopców zastrzelonych podczas śnieżycy: ich ciała ułożone w osobliwą, zamarłą scenę pod bezlitosnym wzrokiem bladego księżyca, który spoglądał z zimnego nocnego nieba, i gwiazd, które wisiały tak nisko, iż zdawało się, że możesz ich dotknąć.

Dotarłszy do Doliny, trzymało się blisko ziemi i rozpraszano się niczym niespieszna mgła przez gaje orzechowe, pola szafranu, sady jabłkowe, migdałowe i czereśniowe. Szeptano wojenne słowa w uszy lekarzy i inżynierów, studentów i robotników, krawców i stolarzy, tkaczy i rolników, pasterzy, kucharzy i bardów. Słuchali uważnie, a potem odkładali swoje książki i narzędzia, swoje szydła, swoje dłuta, swoje laski, swoje pługi, swoje tasaki i nakrapiane kostiumy kłownów. Zatrzymywali krosna, na których tkali najpiękniejsze dywany i najwspanialsze, najdelikatniejsze na świecie szale, jakie kiedykolwiek widział świat, i przeciągali sękatymi, ciekawskimi palcami po gładkich lufach kałasznikowów, których

pozwalali im dotknąć obcy goście. Podążali za nowymi flecistami z Hameln na wyżynne łąki i wysokogórskie płaskowyże, gdzie ulokowane były obozy szkoleniowe. Dopiero po tym, jak dano im własną broń i mogli zapleść palce wokół spustów, czując, jak te zawsze delikatnie ustępują, dopiero po tym, gdy zważyli wszystkie za i przeciw i uznali, że to właściwa opcja – dopiero wtedy pozwalali na to, aby wściekłość i wstyd upokorzenia, które musieli znosić od dekad, od wieków, zaczęły płynąć w ich żyłach, zamieniając krew w dym. Mgła kłębiła się i kłębiła, prowadząc swój masowy pobór. Szeptala do uszu ciemnych typów, bigotów, łajdaków i wyzyskiwaczy zaufania. Także i oni uważnie nadstawili uszu, zanim przemodelowali swe plany. Przesuwali sprytnymi palcami po zimnym metalu obłych granatów, które były rozprowadzone równie hojnie jak kawałki wybranej baraniny na święto Id. Językiem Boga i Wolności, Allaha i *Azadi*, zaszczepili swoje morderstwa i nowe łajdactwa. Dorobili się pieniędzy, majątków i kobiet.

Oczywiście, kobiet.

Kobiet, oczywiście.

Tak rozpoczęło się powstanie. Śmierć była wszędzie. Śmierć była wszystkim. Karierą. Pragnieniem. Marzeniem. Poezją. Miłością. Samą młodością. Umieranie stało się po prostu innym sposobem życia. Cmentarze wyrastały w parkach i na łąkach, nad strumieniami i rzeczkami, na polach i leśnych polanach. Mogiły wyrastały z ziemi niczym dziecięce zęby. Każda wioska, każda miejscowość miała swój własny cmentarz. Ci, którzy się o to nie zatroszczyli, uważani byli za kolaborantów. W odległych nadgranicznych okolicach, w pobliżu Linii Kontrolnej, niełatwo było pogodzić się z prędkością i regularnością, z jakimi pojawiały się trupy, a także ze stanem, w jakim znajdowały się niektóre z nich. Część dostarczano w zgrzebnych worach, inne w małych plastikowych torbach, ot, trochę mięsa, włosów i zębów. Kartki przypinane do nich przez kwatermistrzów śmierci mówiły: 1 kg, 2,7 kg, 500 g. (Tak, to jedna z tych prawd, które w rzeczywistości powinny być tylko plotkami).

Turyści pierzchali. Dziennikarze zjeżdżali się. Pary podczas miesiąca miodowego pierzchały. Żołnierze zjeżdżali się. Kobiety tłoczyły się wokół posterunków policji i obozów wojskowych, wznosząc las pobrudzonych, mających poskręcane rogi fotografii wielkości paszportowej i nagabywały, łkając: „Przepraszam, *sir*, czy nie widział pan gdzieś mojego chłopca? Widział pan mojego męża? Czy miał pan przypadkiem kontakt z moim bratem?”. A sirowie wypinali piersi, gładzili wąsy, bawili się medalami i mrużyli oczy, aby ocenić, czy rozpacz proszącej warta będzie zamienienia jej w płomienną nadzieję („Zobaczę, co da się zrobić”) i na ile każda z nich wyceni tę swoją nadzieję. (Forsa? Jedzonko? Jebanko? Ładunek orzechów?).

Więzienia zappełniały się, miejsca pracy wyparowywały. Coraz biedniejsi i coraz głodniejsi byli przewodnicy, posługacze, właściciele kucyków (i ich

kucyki), gońcy hotelowi, portierzy, recepcjoniści, tragarze, sprzedawcy pamiątek, kwiaciarze i wioślarze na jeziorze.

I tylko grabarze nie mieli odpoczynku. Dla nich była to harówaharówaharówa. Bez dodatkowej zapłaty za nadgodziny czy pracę w nocy.

Na Mazar--e--Śohadda panna Dżebin i jej matka zostały pochowane jedna obok drugiej. Na grobie żony Musa Jeswi napisał:

ARIFA JESWI 12 września 1968 – 22 grudnia 1995 Żona Musy Jeswiego

A pod tym:

Ab waha khak urati he khizan

Phul hi phul džaha the pehle

I teraz tylko kurz przewala się w jesiennej wichurze

Tam, gdzie kiedyś były kwiaty, tylko kwiaty.

Grobowiec panny Dżebin głosił:

PANNA DŻEBIN 2 stycznia 1992 – 22 grudnia 1995 Ukochana córeczka Arify i Musy Jeswich

A w dolnym prawym rogu rzeźbiarz grobowców na prośbę Musy wpisał bardzo małymi literami coś, co wielu uważałoby za niewłaściwe epitafium dla męczenniczki. Wybrał miejsce, o którym wiedział, iż w zimie będzie bardziej lub mniej skryte pod śniegiem, a przez resztę roku zasłonią je wysoka trawa i dzikie narcyzy. Więcej lub mniej. A napisał to właśnie:

Akh dalila wan

Jeth manz ne kahn balai asi

Na es soh kunni džanglas manz roazan

To powiedziałyby mu panna Dżebin, leżąc obok niego w nocy na dywanie, z plecami opartymi o postrzępiony welwetowy podglówek (prany, cerowany, znowu prany), mając na sobie swój *pheran* (prany, cerowany, znowu prany), drobnutki niczym herbaciany kaftanik (niebieskie *ferozi* z łososiowymi *pesle*, obrębiającymi szyję i rękawy), i dokładnie naśladująca leżącą pozycję ojca – lewa noga zgięta, prawa kostka na lewym kolanie, mała piastka w jego dużej dłoni. *Akh dalila wan*, opowiedz mi historię. A potem rozpoczęłyby własną historię, wykrzykując ją w ponurą, opolicyjną noc, jej wrzaskliwa uciecha tanecznie wypływająca z okna i budząca sąsiadów. *Jeth manz ne kahn balai asi! Na es soh kunni džanglas manz roazan!* Nie było czarownicy i wcale nie żyła w dżungli. Opowiedz mi historię i czy możemy wyrzucić to gówno o czarownicy i dżungli? Czy możesz mi opowiedzieć prawdziwą historię?

Zziębnięci żołnierze z cieplejszego klimatu, którzy patrolowali otaczający ich teren i obłożony lodem wiadukt, nadstawiali uszu i odbezpieczali broń. „Kto tam? Co to za hałas? Przestać! Cisza albo strzelam!” Pochodzili z daleka i nie

wiedzieli, jak jest po kaszmirsku „przestać”, „strzelać” albo „kto”. Mieli pistolety, więc nie musieli.

Najmłodszemu z nich, S. Murugesanowi, ledwie dorosłemu, nigdy jeszcze nie było tak zimno, nigdy nie widział śniegu i ciągle był oczarowany kształtami, w które zastygał jego oddech, gdy kondensował się w zmrożonym powietrzu. „Patrzcie!”, powiedział na swym pierwszym nocnym patrolu, gdy z dwoma palcami na ustach zaciągnął się wyobrażonym papierosem i wydmuchnął chmurkę niebieskawego dymu. „Papierosy za darmo!” Biały uśmiech na jego ciemnej twarzy poszybował przez noc, a potem sflaczał, przekłuty przez znużone lekceważenie towarzyszy. „No już, dawaj, Radźnikant” – powiedzieli do niego. „Wypal całą paczkę. Papierosy nie posmakują już tak dobrze, kiedy oni odstrzelą ci głowę”.

Oni.

I ostatecznie faktycznie go dopadli. Opancerzony pojazd, którym jechał, został wysadzony na autostradzie tuż za Kupwarą. On i dwaj inni żołnierze wykrwawili się na śmierć na poboczu drogi.

Jego ciało włożono do trumny i dostarczono rodzinie w wiosce w Tamilnadu w dystrykcie Tandżawur wraz z DVD, na którym nagrano film dokumentalny pod tytułem *Saga niewysławionego męstwa*, reżyserowany przez majora Radżu, a wyprodukowany przez Ministerstwo Obrony. S. Murugesana nie było na filmie, ale rodzina sądziła, że jest, gdyż nigdy tego filmu nie obejrzeli. Nie mieli odtwarzacza DVD.

W ich wiosce wannijarowie (którzy nie byli „nietykalni”) nie pozwolili na to, by ciało S. Murugesana (który był nietykalny) przeniesiono obok ich domów na stos. Procesja pogrzebowa musiała zatem wybrać okreśną, omijającą wioskę drogę do oddzielnego miejsca kremacji nietykalnych, które znajdowało się tuż obok wioskowego wysypiska.

Jedną z rzeczy, z których S. Murugesan sekretnie się cieszył, przebywając w Kaszmirze, było to, że jasnoskórzy Kaszmirczycy często prowokowali indyjskich żołnierzy, szydząc z ich ciemnej skóry i nazywając ich „*Ćamar nasl*” (nasienie *Ćamara*). Śmieszyła go wściekłość, jaką wywoływało to pośród jego towarzyszy broni, którzy uważali, iż należą do wyższej kasty, i za obelżywe uznawali nazywanie ich „*Ćamar*” – słowem tym bowiem mieszkańcy północnych Indii zwykle określali wszystkich Dalitów, bez względu na to, do której z licznych kast nietykalnych należeli. Kaszmir był jednym z niewielu miejsc na świecie, w którym ciemnoskórzy ludzie władali jasnoskórymi¹. Ta inwersja rodziła wyzwiska dodatkowo oburzające drugą stronę.

Aby upamiętnić chwałę S. Murugesana, armia zdobyła się na ufundowanie przy wejściu do wioski betonowego pomnika sipaja S. Murugesana – w jego żołnierskim mundurze i z żołnierskim karabinem na barkach. Młoda wdowa po nim

miewała okazję, by pokazywać pomnik córce, która miała sześć miesięcy, gdy ojciec zginął.

– *Appa2* – mówiła, machając pomnikowi z uśmiechem, dokładnie naśladowując gest matki, a fałda dziecięcego tłuszczu wybrzuszała się na dziecięcym przegubie niczym bransoletka. – *Appappappappappappapp* – mówiła z uśmiechem.

Nie wszyscy w wiosce byli zadowoleni z tego, że pomnik nietykalnego człowieka stanął przy wejściu do wioski. Zwłaszcza nietykalnego z bronią. Uważano, że to mylna wiadomość, podsuwająca ludziom niepotrzebne myśli. Trzy tygodnie po wzniesieniu pomnika karabin zniknął z rzeźby. Rodzina sipaja S. Murugesana chciała wnieść skargę, ale policja nie zamierzała podjąć sprawy; oznajmiono, że karabin musiał zlecieć albo po prostu rozpadł się z powodu użycia lichego surowca – często występująca sytuacja – i że nie sposób wskazać winnego. Miesiąc później posągowi obcięto ręce. I znowu policjanci nie chcieli podjąć sprawy, aczkolwiek tym razem domyślnie chichotali i nawet nie starali się podać przyczyny. Dwa tygodnie po amputacji rąk rzeźba sipaja S. Murugesana została pozbawiona głowy. Kilka dni przebiegło w napięciu. Ludzie z sąsiednich wiosek, którzy należeli do tej samej kasty co S. Murugesan, zorganizowali protest. U postumentu rzeźby ogłosili sztafetowy strajk głodowy. Lokalny sąd oznajmił, że powoła sędziowską komisję do zbadania sprawy. Na razie jednak nakazał zachowanie status quo. Strajk głodowy nie był kontynuowany. Sędziowskiej komisji nigdy nie utworzono.

Bywają kraje, w których żołnierze umierają po dwakroć.

U wejścia do wioski dalej sterczał bezgłowy posąg. Chociaż nie było już żadnego podobieństwa pomiędzy nim a człowiekiem, którego miał upamiętniać, okazał się prawdziwszym emblematem tych czasów, niż miałyby po temu okazję w innych warunkach.

Córka S. Murugesana ciągle machała do niego.

– *Appappappappapp*...

Wraz z tym jak wojna rozwijała się w dolinie Kaszmiru, cmentarze stały się tak częste jak wielopiętrowe parkingi, które wyrastały w miastach rozkwitających na równinach.

Kiedy brakło miejsc, niektóre groby stawały się piętrowe niczym autobusy w Śrinagarze, wożące kiedyś turystów pomiędzy Lal Čauk a Boulevard.

Na szczęście los ten nie spotkał grobu panny Dżebin. Kiedy po latach władze obwieściły, że powstanie zostało stłumione (choć dla ścisłości trzeba byłoby powiedzieć, że pod bronią pozostało pół miliona żołnierzy), gdy główne wojujące grupy zwróciły się (lub zostały zwrócone) przeciw sobie, gdy pielgrzymi, turyści i nowożeńcy z kraju zaczęli powracać do Doliny, aby dokazywać w śniegu (sunąć pod górę stromych, ośnieżonych zboczy i ześlizgiwać się po nich z krzykiem na

saniach, kierowanych przez dawnych bojowników), gdy szpiedzy i informatorzy zostali (w imię czystości i nadmiernej ostrożności) zastrzeleni przez swoich prowadzących, gdy renegaci powrócili do codziennych zajęć za sprawą tysięcy pracowników organizacji pozarządowych w Sektorze Pokojowym, gdy lokalni biznesmeni, którzy zbili fortunę na dostarczaniu armii węgla i orzechów, zaczęli już inwestować pieniądze w szybko rozrastający się Sektor Gościnności (co było znane także jako dawanie ludziom szansy udziału w Procesie Pokojowym), kiedy już dyrektorzy banków przywłaszczyli sobie pieniądze, które pozostały na rachunkach poległych bojowników, gdy centra tortur zostały już przekształcone w przytulne domy polityków, gdy cmentarze męczenników odrobinę pozarastały, liczba męczenników zaś zmniejszyła się do garstki (natomiast liczba samobójstw dramatycznie wzrosła), gdy ogłoszono wybory i proklamowano demokrację, gdy Dźhelam wezbrała i opadła, gdy powstanie wybuchło znowu i znowu zostało zduszone, i wybuchło, i zostało zduszone, i wybuchło znowu – gdy wszystko to już się wydarzyło, grób panny Dźebin pozostał i tak jednopiętrowy.

Wyciągnęła szczęśliwą słomkę. Miała ładny grób, z rosnącymi wokół dzikimi kwiatami i z matką leżącą tuż obok.

Zginęła w drugiej od dwóch miesięcy masakrze w tym mieście.

Na siedemnaście osób, które zginęły tego dnia, siedem to byli uliczni gapie. One oglądały wszystko ze swego balkonu. Panna Dźebin miała lekko podwyższoną temperaturę i siedziała na kolanach matki, gdy tysiące żałobników odprowadzały ulicami miasta ciało Usmana Abdullaha, popularnego wykładowcy uniwersyteckiego. Został zabity przez, jak to władze określały, „N.S.” – nieznanego strzelca – aczkolwiek jego tożsamość stanowiła tajemnicę poliszyneła. Chociaż Usman Abdullah był prominentnym ideologiem walki o *Azadi*, kilkunastokrotnie otrzymał pogróżki ze strony nowo powstałego twardego odłamu bojowników, który powrócił zza Linii Kontrolnej, wyposażony w nową broń i w nowe, agresywne idee, przez niego publicznie odrzucane. Zamach na Usmana Abdullaha był deklaracją, iż nie będzie w Kaszmirze tolerowany synkretyzm, który reprezentował. Dość już miało być tych ludowych, starodawnych bzdur. Dość wielbienia w lokalnych świątynkach tych domowych świątków i proroczków, oznajmili bojownicy, dość już tego mącenia w głowach. Żadnych więcej pokątnych świąt i lokalnych nawiedzeńców. Jest tylko Allah, Bóg Jedyny. Jest tylko Koran. Jest tylko prorok Mohammed (pokój niech z nim będzie), jeden jest tylko sposób modlenia się, jedna interpretacja boskiego prawa, jedna definicja *Azadi*, która brzmi – *Azadi ka matlab kja? La ilaha illallah*. Co znaczy wolność? Nie ma Boga poza Allahem.

Nie mogło być żadnej wokół tego debaty. W przyszłości wszystkie argumenty będą rozwiązywane za pomocą kul. Szyjci nie są muzułmanami. A kobiety będą musiały nauczyć się stosownie ubierać.

Kobiety, oczywiście.

Oczywiście, kobiety.

Niektóre z tych tez sprawiły, że zwykli ludzie poczuli się nieswojo. Kochali swoje świątynie – a zwłaszcza Hazratbal, która była domostwem świętej relikwi *Moi--e--Mukaddas*, włosów proroka Muhammada. Setki tysięcy łąły na ulicach, gdy zniknęła pewnej zimy w roku 1963. Setki tysięcy odczuły radość, gdy pojawiła się miesiąc później (a jej autentyczność została potwierdzona przez odpowiednie władze). Kiedy Surowi powrócili ze swych podróży, oświadczyli, że czczenie lokalnych świętych i świątyń z włosem to herezja.

Za sprawą Surowych Dolina stanęła przed dylematem. Ludzie wiedzieli, że wolność, której pragnęli, nie przyjdzie bez wojny, ale wiedzieli zarazem, że Surowi są o wiele lepszymi bojownikami. Byli lepiej wyćwiczeni, mieli lepszą broń, a także – jako że tego domagały się boskie nakazy – nosili krótsze spodnie i mieli dłuższe brody. Z drugiej strony Linii Kontrolnej otrzymywali więcej błogosławieństw i więcej pieniędzy. Ich twarda, niewzruszona wiara dyscyplinowała ich, upraszczała ich problemy i wyekwipowała tak, iż nabrali mocy drugiej co do wielkości armii świata. Bojownicy, którzy siebie nazywali „świeckimi”, byli mniej surowi, bardziej niefrasobliwi. Bardziej dbali o ubiór i o wrażenie, jakie robili. Pisali wiersze, flirtowali z pielęgniarkami albo rolkarzami, patrolowali ulice z karabinami niefrasobliwie zarzuconymi na bark. Nie wydawało się jednak, by mieli to, czego potrzeba do wygrania wojny.

Ludzie kochali Mniej Surowych, ale bardziej lękali się i szanowali Surowszych. W walce na wyniszczenie, która wybuchła między obiema stronami, setki straciły życie. W końcu Mniej Surowi ogłosili zawieszenie broni, wyszli z podziemia i ślubowali, iż będą kontynuowali swą walkę jako gandyści. Surowsi kontynuowali walkę i przez lata byli tropieni i zabijani jeden po drugim. Ale w miejsce jednego, który padł, zjawiał się inny.

Kilka miesięcy po zamordowaniu Usmana Abdullaha jego morderca (dobrze znany N.S.) został pojmany przez armię i zabity. Jego ciało przekazano rodzinie, poznaczone dziurami po kulach i oparzeniami od papierosów. Komitet cmentarny po długiej dyskusji zdecydował, że także i on był męczennikiem, toteż zasłużył na to, aby go pochować na Cmentarzu Męczenników. Pogrzebano go w przeciwnym końcu nekropolii, być może w nadziei, iż trzymanie Usmana Abdullaha i jego zabójcy tak daleko od siebie, jak to tylko możliwe, uchroni ich przed kłótniami w życiu pozagrobowym.

Wojna toczyła się dalej, a wraz z tym miękka linia twardniała, a twarda stawała się jeszcze twardsza. Każda z nich zrodziła wiele linii i podlinii. Surowi wytworzyli nawet bardziej Surowych. Zwykłym ludziom jakimś cudem udawało się znieść ich wszystkich, popierać wszystkich, opierać się przeciwko nim wszystkim i nie wyrzekać swych starych, rzekomo zacofanych sposobów.

Moi--e--Mukaddas władał niewzruszenie. Ba, nawet wtedy, gdy strumienie Surowości wzbierały, coraz więcej ludzi szukało pociechy w świątyńkach, gdzie łkali i starali się ulżyć swoim złamanym sercom.

*

W bezpiecznym schronieniu swojego balkonu panna Dżebin i jej matka patrzyły, jak zbliża się kondukt pogrzebowy. Jak wszystkie inne kobiety i dzieci, które zgromadziły się na drewnianych balkonach starych domów wzdłuż ulicy, panna Dżebin i Arifa także przygotowały miseczki ze świeżymi płatkami róż, aby rzucać je na ciało Usmana Abdullaha, gdy będzie się pod nimi przesuwawało. Panna Dżebin z powodu zimna była okutana w dwa swetry i wełniane rękawiczki. Na głowie miała nieduży biały hidżab, zrobiony z wełny. Tysiące ludzi, wznoszących okrzyk „*Azadi! Azadi!*”, przelewały się wąską ulicą. Zawołanie wznosiły także panna Dżebin i jej matka, aczkolwiek panna Dżebin, zawsze nieznośna, od czasu do czasu wołała „*matadzi!*” (mamo!) zamiast „*Azadi!*” – a robiła to z tego powodu, że te dwa słowa brzmiały niemal tak samo, i ponieważ wiedziała, iż matka, usłyszawszy, nachyli się nad nią i ucałuje ją z uśmiechem.

Kondukt musiał przejść obok dużego bunkra Dwudziestego Szóstego Batalionu Sił Zabezpieczenia Granicy, który ulokowany był mniej niż sto stóp od miejsca, w którym siedziały Arifa i panna Dżebin. Nozdrza karabinów maszynowych sterczały z przykrytego stalową siatką okna zakurzonej budki, którą wykonano z blaszanych płyt i desek. Bunkier był zabarykadowany workami z piaskiem i zwojami drutu kolczastego. Puste butelki po rozproszanych w wojsku rumie Old Monk i Triple X wisiały parami na kolcach drutu, objijając się o siebie niczym dzwonki – prymitywny, ale bardzo skuteczny system alarmowy. Uruchamiało go najmniejsze poruszenie drutem. Butle alkoholu w służbie Narodu. Dodatkową ich zaletą było to, iż stanowiły nieustanną zniewagę dla pobożnych muzułmanów. Załoga bunkra karmiła bezpańskie psy, które lokalni mieszkańcy przeganiali (jak powinni czynić pobożni muzułmanie), psy więc stanowiły dodatkowy system alarmowy. Rozsiadły się wokół, przyglądając się konduktowi, czujne, ale nie zaniepokojone. Kiedy procesja zbliżała się do bunkra, uwięzieni w nim ludzie gotowali się w cieniu, a zimny pot spływał im po plecach pod zimowymi mundurami i kamizelkami kulo-odpornymi.

I nagle – eksplozja. Niezbyt głośna, ale głośna dostatecznie i dostatecznie bliska, aby wywołać ślełą panikę. Żołnierze wyskoczyli ze schronu, zajęli stanowiska i zaczęli strzelać ze swoich lkm--ów prosto w bezbronny, wciśnięty w wąską ulicę tłum. Strzelali, aby zabijać. Nawet kiedy ludzie odwrócili się, aby uciekać, kule goniły za nimi, zatrzymując się w dokonujących odwrotu plecach, głowach i nogach. Niektórzy z przerażonych żołnierzy zwrócili broń na ludzi przyglądających się wszystkiemu z okien i balkonów; opróżniali całe magazynki,

strzelając po ludziach, poręczach, ścianach i szybach okiennych. Po pannie Dżebin i jej matce, Arifie.

Trafiona została trumna Usmana Abdullaha, a także ci, którzy ją nieśli. Trumna otworzyła się, a ponownie zgładzone ciało wytoczyło się na ulicę, koszmarnie powyginane w swym śnieżnobiałym całunie. Podwójnie uśmiercone pomiędzy uśmierconymi i rannymi.

Także niektórzy Kaszmirczycy umierają po dwakroć.

Strzelanina zakończyła się dopiero wtedy, kiedy ulica była pusta, a pozostały na niej tylko ciała zabitych i rannych. I buty. Tysiące butów.

A także ogłuszający slogan, którego nie miał już kto odśpiewać:

Dżis Kaśmir ko khun se sinća! Wo Kaśmir hamara he!

Splukaliśmy Kaszmir własną krwią. Kaszmir jest nasz!

*

Dzięki wprawie protokół po masakrze sporządzono szybko i sprawnie. Po godzinie wszystkie zwłoki zostały przeniesione do kostnicy w policyjnej sali kontrolnej, a ranni – do szpitala. Ulica została splukana wodą z hydrantów, krew więc ściekała wprost do kanalizacji. Sklepy otworzono na nowo. Zadeklarowano normalność. (Normalność zawsze pozostawała deklaracją).

Później ustalono, że eksplozję spowodował samochód, który na sąsiedniej ulicy wjechał na puste opakowanie po soku Mango Frooti. Kogo można było oskarżyć? Kto pozostawił opakowanie Mango Frooti (świeże i soczyste) na ulicy? Indusi czy Kaszmirczycy? A może Pakistańczycy? Kto nań najechał? Utworzono specjalny trybunał do zbadania przyczyn masakry. Nigdy jednak nie zostały one ustalone. Nikogo nie oskarżono. Był to Kaszmir. I wina była Kaszmiru.

Życie potoczyło się dalej. Potoczyła się śmierć. Potoczyła się dalej wojna.

•

Wszyscy, którzy widzieli, jak Musa Jeswi grzebie swoją żonę i córkę, zauważyli, jak spokojny był tego dnia. Nie okazywał żadnego żalu. Wydawał się zamknięty w sobie i roztargniony, jak gdyby go tam rzeczywiście nie było. To mogło ostatecznie doprowadzić do jego aresztowania. Albo też mogły być tym uderzenia serca. Mogły się wydawać zbyt szybkie lub zbyt wolne jak na obywatela bez winy. W słynnych punktach kontrolnych żołnierze czasami przykładali ucho do piersi zatrzymywanych i słuchali bicia ich serca. Były plotki, iż niektórzy nosili nawet stetoskopy. „To serce bije dla Wolności”, powiadali i był to dostateczny powód, aby ciało, które ośmielało się wykazać zbyt wolne lub zbyt szybkie tętno, musiało odbyć wycieczkę do Cargo, Papa II albo do Shiraz Cinema – tych centrów przesłuchań, których najbardziej lękano się w Dolinie.

Musa nie został aresztowany w punkcie kontrolnym. Został zabrany z domu

po pogrzebie. Nadmierny spokój podczas pogrzebu własnej żony i dziecka nie uchodził w tych czasach uwadze.

Początkowo wszyscy byli spokojni i wystraszeni. Pochód pogrzebowy martwej ciszy wił się niczym wąż przez ponure, grzęznące w brei miasto. Jedyнным dźwiękiem było szuranie tysięcy nałożonych na gołe nogi butów, które brnęły po srebrzyście wilgotnej drodze, prowadzącej do Mazar--e--Śohadda. Młodzi mężczyźni nieśli siedemnaście trumien na barkach. To znaczy siedemnaście plus jedną, dla ponownie zamordowanego Usmana Abdullaha, którego z oczywistych względów nie można było drugi raz zaksięgować. Zatem siedemnaście plus jedna blaszanych trumien przesunęło się przez miasto, mrugając do zimowego słońca. Dla kogoś patrzącego z góry na miasto, z kręgów wysokich szczytów, które je otaczały, procesja wydawałaby się kolumną brązowych mrówek, niosących do swego mrowiska, aby nakarmić królową, siedemnaście kryształków cukru plus jeden. Być może dla kogoś, kto historię i ludzkie konflikty ocenia w takich kategoriach, do tego sprowadzał się w istocie ów mały pochód: kolumna mrówek uchodzących z okruchami, które spadły z wysokiego stołu. Co się tyczy wojen, ta była niewielka. Nikt nie zwracał na nią większej uwagi. Dlatego też toczyła się i toczyła. Rozwijiała się i zwijała przez dziesięciolecia, chwytając ludzi w swój szaleńczy uścisk. Jej okrucieństwa stały się tak naturalne jak zmiany pór roku, z których każda przynosi swój charakterystyczny zapach i swoje kwiecie, swe własne cykle umierania i odnowy, wzburzeń i uspokojień, powstań i wyborów.

Ze wszystkich kryształków cukru niesionych przez mrówki tego zimowego poranka najmłodszy miał na imię panna -Dżebin.

Mrówki, które były zbyt zdenerwowane, aby dołączyć do pochodu, wyległy na ulice – stały na śliskich krawędziach starego śniegu z rękami skrzyżowanymi w ciepłe ich *pheranów*, podczas gdy puste rękawy powiewały na wietrze. Bezbronni ludzie w samym sercu zbrojnego powstania. Ci, którzy nazbyt się bali, aby wyjść na zewnątrz, przyglądali się z okien i balkonów (choć i oni byli świadomi okrutnych zagrożeń). Każdy z nich wiedział, że znajdują się na muszkach karabinów żołnierzy, których rozlokowano po całym mieście: na dachach, mostach, łodziach, meczetach, wieżach wodnych. Zajęli hotele, szkoły, sklepy, a nawet niektóre domy.

Był to zimny poranek; po raz pierwszy od lat jezioro zamarzło, a przepowiednie mówiły o dalszych opadach śniegu. Drzewa wznosiły do nieba swe nagie, srokatę gałęzie niczym żałobnicy, którzy zamarli w postawie bólu.

Na cmentarzu przygotowano siedemnaście grobów plus jeden. Schludne, kształtne, głębokie. Obok każdego dołu sterta wydobytej ziemi, ciemnoczekoladowa piramida. Wysłana przodem grupa przyniosła zaplamione krwią metalowe nosze, na których ciała dostarczono rodzinom po sekcji. Ustawiono je wokół, opierając o pnie drzew, niczym zakrwawione stalowe płatki

jakiegoś gigantycznego mięsożernego kwiatu górskiego.

Kiedy procesja znalazła się u bram cmentarza, do przodu rzuciła się gromada dziennikarzy, czekających niecierpliwie niczym sportowcy w blokach startowych. Trumny ułożono otwarte jedna obok drugiej na zmrożonej ziemi. Tłum rozstąpił się z szacunkiem przed prasą. Wiedział, że bez dziennikarzy i fotografów masakra zostanie wymazana, a zmarli umrą naprawdę. Tak więc w nadziei i gniewie udostępniono im ciała. Bankiet śmierci. Pozwolono wrócić na dawne miejsce żałobnym krewnym, którzy się wycofali. Niechaj i rozpacz znajdzie się w relacjach medialnych. W latach, które nadejdą, gdy wojna stanie się sposobem życia, pojawią się książki, filmy i wystawy fotograficzne poświęcone tematowi bólu Kaszmiru, jego strat i zniszczeń.

Musa nie znajdzie się na żadnej z tych fotografii.

Przy tej okazji to panna Dżebin była największą atrakcją. Obiektywy skupiały się na niej, pomrukując i powarkując niczym rozdrażniony niedźwiedź. Z tego plonu fotograficznego jedno zdjęcie stało się lokalnym klasykiem. Przez lata reprodukowano je w gazetach, czasopismach, na okładkach raportów dotyczących praw człowieka, których i tak nikt nigdy nie czytał, a które nosiły takie tytuły jak „Krew na śniegu”, „Dolina grozy” i „Czy nie będzie końca tej żalości?”.

Na kontynencie, z oczywistych przyczyn, fotografia panny Dżebin była mniej popularna. W rankingach supermarketu smutku zdecydowanie wyprzedzał ją chłopiec z Bhopalu, ofiara wycieku gazu Union Carbide. Kilkunastu czołowych fotografów dobijało się o prawa autorskie do słynnej fotografii zmarłego chłopca, po szyję zakopanego w odpadach, z wybałuszonymi, mętnymi oczyma, oślepienymi przez trujący gaz. Nic nie mogło lepiej od tych oczu opowiedzieć historii tego, co wydarzyło się owej straszliwej nocy. Spoglądały one z błyszczących stron czasopism na całym świecie. Ostatecznie nie miało to znaczenia. Opowieść rozgorzała, a potem przygasła. Bitwa o prawa autorskie między fotografami toczyła się przez lata, a była niemal tak zacięta jak bitwa o odszkodowania dla tysięcy okaleczonych ofiar wycieku gazu.

Znikł rozdrażniony niedźwiedź, ukazując pannę Dżebin nietkniętą i nieskażoną, zupełnie jakby spała. Jej letnia róża wciąż znajdowała się na miejscu.

Kiedy ciała spuszczano do grobów, tłum zaczął mrużyć modlitwy.

Rabbiś rahli sadri; Wa jassir li amri

Wahlul ukdatan min lisano; Jafkahu kawli

Panie mój! Ulżyj memu umysłowi, ułatw mi zadanie

I rozwiąż węzeł na języku, aby ludzie mogli zrozumieć me słowa.

Małe, ledwie sięgające do bioder dzieci, stojące w oddzielnej, wyłączonej sekcji dla kobiet, przyduszone przez szorstką wełnę ubiorów ich matek, niemogące zbyt wiele zobaczyć, ledwie potrafiące zaczerpnąć oddechu – przeprowadzały swoje własne biodrowe transakcje: „Dam ci sześć łusek po pociskach za jeden

granat niewypał”.

Pojedynczy kobiecy głos wzbił się do nieba, dżgając w nie – niby piką – wysokim, surowym bólem.

Ro rahi he je zamin! Ro raha he asman...

Przyłączył się do niego następny i kolejny:

Ta ziemia łka! Łkają też niebiosy...

Ptaki na chwilę uciszyły swój świergot i przysłuchiwały się ludzkiej pieśni z zamglonymi ślepkami. Uliczne psy przemknęły niesprawdzone koło posterunków kontrolnych; ich rytm serca był nieugięty jak skała. Kanie i sępy krążyły na prądach termicznych, leniwie przelatując nad Linią Kontrolną w obie strony. Ot, tylko po to, by sobie zakpić z gromadki ludzkiej zebranej poniżej.

Kiedy niebo pełne już było zawodzenia, coś zaiskrzyło. Młodzi mężczyźni zaczęli wzlatywać w powietrze niczym płomienie tryskające z tłących się węglików. Skakali wyżej i wyżej, zupełnie jakby ziemia pod ich stopami podskakiwała niczym trampolina. Cierpieniem otulali się niczym zbroją, gniew krzyżował się na ich ciałach niczym pasy amunicyjne. W tej chwili, być może dlatego, że byli tak właśnie uzbrojeni, albo też być może z tego powodu, iż postanowili wchłonąć życie zmarłych, albo ponieważ wiedzieli, że są już martwi, stali się niezwyciężeni.

Żołnierze otaczający Mazar--e--Śohadda mieli wyraźne instrukcje, aby niezależnie od czegokolwiek nie otwierać ognia. Ich informatorzy (bracia, kuzyni, ojcowie, wujowie, siostrzeńcy), którzy zmieszali się z tłumem i wykrzykiwali hasła z równą (a może nawet większą) zawziętością jak wszyscy inni, otrzymali wyraźne instrukcje, aby dostarczyć fotografie, a jeśli to możliwe, wideo każdego z owych młodych mężczyzn, który niesiony przez falę wściekłości, wyskakiwał w powietrze i zamieniał się w płomień.

Wkrótce każdy z nich usłyszy stukanie do swych drzwi albo też zostanie zatrzymany w punkcie kontrolnym.

„Nazywacie się tak a tak? Jesteście synem takiego a takiego? Zatrudnieni tam a tam?”

Często groźba nie posuwała się nawet dalej. Ot, niewyraźne, rutynowe potwierdzanie informacji. W Kaszmirze często wystarczyło skonfrontować kogoś z jego życiorysem, aby odmienić jego życie.

A czasami nie wystarczyło.

Przyszli po Musę w swojej zwykłej godzinie wizyt: o czwartej nad ranem. Nie spał, siedział przy biurku i pisał list. Matka była w sąsiednim pokoju. Słyszał jej zawodzenie oraz uspokajające pomruki jej sióstr i krewnych. Ukochana zabawka panny Dżebin – zielony, pluszowy (i przeciekający) hipopotam, z uśmiechem w kształcie litery V i różowym przyszytym serduszkim z materiału – znajdował się na swym zwykłym miejscu, oparty o wałek na łóżku i czekający na

swoją małą matkę i tradycyjną opowieść na dobranoc (*Akh dalila wan...*). Musa słyszał nadjeżdżające samochody. Z okna na pierwszym piętrze widział, jak wykręcają w alejkę i zatrzymują się przed domem. Patrząc, jak żołnierze wysypują się z opancerzonych wozów Rakszak Gypsy, nie czuł właściwie niczego, ani gniewu, ani obaw. Nie spał także ojciec, Śołkat Jeswi (dla Musy i jego przyjaciół: Godzilla), i siedział ze skrzyżowanymi nogami na dywanie w salonie. Był przedsiębiorcą budowlanym, który ściśle współpracował z wojskowymi służbami inżynieryjnymi, dostarczając im materiały budowlane i przyjmując projekty pod klucz. Wysłał syna do Delhi na studia architektoniczne w nadziei, że ten pomoże mu rozwijać interes. Kiedy jednak w 1990 roku zaczął się *tehrík*, a Godzilla nadal współpracował z armią, Musa zaczął go kompletnie ignorować. Musie, rozdarciem między świadomością synowskich obowiązków a poczuciem winy wynikającym z korzystania z tego, co uważał za zmasę kolaboracji, coraz trudniej było mieszkać pod tym samym dachem.

Śołkat Jeswi jakby oczekiwał żołnierzy. Nie wydawał się zaalarmowany.

– Dzwonił Amrik Singh. Chce z tobą porozmawiać. Nie, to nic poważnego, nie denerwuj się. Zwolni cię przed świtem.

Musa nie odpowiedział. Nie zerknął nawet na Godzillę, a zniesmaczenie demonstrował całą swoją wyprostowaną postawą. Przeszedł przez drzwi eskortowany przez dwóch zbrojnych żołnierzy po każdej stronie i wszedł do pojazdu. Nie założono mu kajdanek ani kaptura na głowę. Pojazd sunął pustymi, złodowaciałymi ulicami. Znowu zaczął padać śnieg.

Kino Shiraz znajdowało się w centrum enklawy baraków i kwater oficerskich, odgradzone od nich wyrafinowanymi pułapkami paranoi: dwoma kręgami drutu kolczastego, które niczym kanapkę ujmowały między siebie piaszczystą, płytką fosę. Czwartym i najbardziej wewnętrznym kręgiem była wysoka ściana ochronna, na której szczycie ułożono najeżone kawałki potłuczonego szkła. Brama z blachy falistej miała po obu stronach wieżyczki strażnicze, które okupowali żołnierze z karabinami maszynowymi. Samochód wiozący Musę szybko minął posterunki kontrolne. Najwyraźniej się ich spodziewano. Skierował się wprost do głównego wejścia.

Hol kina był jasno oświetlony. Mozaika maleńkich zwierciadełek, które cekinami pokryły żłobkowaną gipsową podsufitkę z *plaster--of--Paris* niczym zdobienie na gigantycznym odwróconym torcie ślubnym, rozpraszała i wzmacniała światło z tanich, połyskujących żyrandoli. Czerwony dywan był postrzępiony i wytarty, przez dziury przeświecała cementowa podłoga. Zatechłe sztucznie obracane powietrze śmierdziało bronią, olejem napędowym i starymi ubraniami. To, co kiedyś było barem przekąskowym w kinie, teraz stało się recepcją albo rejestracją torturowanych i torturujących. Nadal jednak reklamowało rzeczy już tu niedostępne. Owocowo--orzechowe czekoladki Cadbury, kilka smaków lodów

Kwalita, batony czekoladowe, pomarańczowe, mango. Na ścianach ciągle jeszcze wisały, niekiedy pokryte czarnymi plamami betelu, spłowiałe plakaty starych filmów (*Ćandni*, *Mene Pjar Kija*, *Parinda* i *Lew pustyni*) – wszystko z czasów, zanim jeszcze Tygrysy Allaha zakazały projekcji, a kina się zamknęły. Rząd młodych mężczyzn, związanych i zakuty w kajdany, przykucnął niczym kurczęta, niektórzy tak pobici, że – ciągle w kuckach – przewracali się, ledwie żywi, z przegubami przymocowanymi do kostek. Wszędzie kręcili się żołnierze – wprowadzający więźniów, a innych zabierający na przesłuchanie. Słaby dźwięk, który dochodził zza wielkich drewnianych drzwi prowadzących do sali kinowej, mógł być stłumionym odgłosem filmu przemocy. Cementowe kangury z ponurymi uśmiechami i kieszeniami na śmieci, oznaczonymi napisem: „Użyj mnie”, nadzorowały sąd kangurów.

Musa i jego eskorta nie byli zatrzymywani przez formalności przyjęcia czy rejestracji. Odprowadzani przez spojrzenie skutych, skatowanych ludzi, niczym królewski orszak przemknęli po głównych, wijących się schodach, które prowadziły do miejsc na balkonie – do Półkola Królowej – a dalej, po węższych schodach, do sali projekcyjnej, która została rozszerzona tak, by mogła pełnić funkcję biura. Musa miał świadomość tego, że nawet ten fragment nie był niewinny, lecz ukartowany.

Major Amrik Singh na powitanie Musy wstał zza biurka, na którym piętrzyła się idiosynkratyczna kolekcja egzotycznych przycisków do papieru: kolczaste, kropkowane muszle, mosiężne figurynki, statki żaglowe i baletnice uwięzione w szklanych kulach. Miał ciemną cerę, był niezwykle wysoki – prawie metr dziewięćdziesiąt – liczył sobie trzydzieści kilka lat. Awatarem, który wybrał na ten wieczór, był sikh. Skóra na policzkach powyżej linii brody miała duże pory i przypominała powierzchnię sufletu. Ciemnozielony turban, ciasno zawinięty wokół uszu i czoła, podciągał kąciki jego oczu i brwi, nadając twarzy senny wyraz. Ci, którzy chociażby przelotnie się z nim zetknęli, dobrze wiedzieli, że ten, kogo ów wyraz uspokajał, ogromnie się mylił. Obszedł biurko i wylewnie, z troską i serdecznością powitał Musę. Odesłał żołnierzy, którzy go przyprowadzili.

– *As salam alejkum huzur...*⁴ Proszę usiąść. Czego się pan napije? Herbaty? Czy może kawy? – Ton był w połowie drogi pomiędzy pytaniem a rozkazem.

– Niczego. *Śukrija*⁵.

Musa usiadł. Amrik Singh uniósł czerwoną słuchawkę intercomu i zażądał herbaty oraz „biskwitów oficerskich”. Jego rozmiary i masywność sprawiały, że biurko wydawało się nieproporcjonalnie małe.

Widzieli się nie po raz pierwszy. Musa spotkał Amrika Singha kilkanaście razy wcześniej – nigdzie indziej, jak w jego własnym (Musy) domu, dokąd Amrik Singh wpadał, aby odwiedzić Godzillę, którego zdecydował się uhonorować darem przyjaźni. A była to oferta, którą Godzilla nie bardzo mógł odrzucić. Po kilku

pierwszych wizytach Amrika Singha Musa uświadomił sobie drastyczną zmianę w atmosferze domu, który stał się spokojniejszy. Ucichły zaciekle kłótnie polityczne pomiędzy nim a ojcem. Musa wyczuwał jednak, że podejrzliwe oczy Godzilli nieustannie spoczywały na nim, jak gdyby ojciec usiłował go ocenić, zmierzyć, oszacować. Pewnego popołudnia, wychodząc ze swego pokoju, Musa poślizgnął się na schodach, w połowie złapał równowagę i wylądował na dole na prostych nogach. Godzilla, który przyglądał się całemu temu popisowi, zrugął Musę. Nie podniósł głosu, lecz był wściekły, a Musa mógł zobaczyć, jak żyły pulsują mu na skroniach.

– Gdzie nauczyłeś się tak spadać? Kto cię tego nauczył? – wypytywał syna ze znakomicie wyczulonym instynktem kaszmirskiego rodzica. Szukał czegoś niezwykłego: nagniotka na palcu spustowym, zgrubień na kolanach i łokciach i czy jakichkolwiek znaków „szkolenia”, które mógł być otrzymać w wojskowym obozie. Niczego jednak nie znalazł. Uznał, że trzeba skonfrontować Musę z niepokojącymi, a udzielonymi przez Amrika Singha informacjami o skrzyniach z „żelastwem”, które były przenoszone przez rodzinny sad w Ganderbal, o wyprawach Musy w góry i o jego spotkaniach z pewnymi „przyjaciółmi”.

– Co masz do powiedzenia o tym wszystkim?

– Spytaj swego przyjaciela, majora sahiba. On cię poinformuje o tym, że dla wywiadu wszystkie wiadomości, które nie dotyczą działań, są bezwartościowe jak śmieć – odparł Musa.

– *Ce cui marnui asi sarnei ti marnawak* – prychnął Godzilla.

Zginiesz, a wszystkich nas pociągniesz ze sobą.

Kiedy następnym razem miał wpaść Amrik Singh, Godzilla nastawał, aby Musa też był obecny. Na tę okazję usiedli obaj ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, wokół kwiecistego plastikowego *dastarchan*, podczas gdy matka Musy podawała herbatę. Musa uprzedził Arifę o wizycie, aby upewnić się co do tego, że ani ona, ani panna Dżebin nie zejdą na dół podczas tych odwiedzin. Amrik Singh promieniał ciepłem i przyjacielskością. Zachowywał się tak, jakby był u siebie w domu, opierając się wygodnie na poduszkach. Opowiedział kilka lubieżnych kawałów o Głupich Sikhach, o Santa Singhach i Banta Singhach⁶ i zaśmiewał się z nich głośniej niż wszyscy inni. A potem, pod pretekstem tego, że musi zapobiec zjedzeniu tak wiele, ile by chciał, odsłonił pasek z pistoletem widocznym w kaburze. Jeśli ten gest miał znaczyć, że ufa swoim gospodarzom i czuje się z nimi dobrze, efekt był wprost przeciwny. Morderstwo Dżaliba Kadriego miało dopiero nastąpić, ale i tak wszyscy wiedzieli o serii morderstw i porwań. Pistolet zaległ złowieszczo między talerzykami z ciastkami, przekąskami i termosami z soloną herbatą, *nun--ćai*. Kiedy Amrik Singh wstał wreszcie, aby wyjść, beknięciem dając wyraz swojej satysfakcji, zapomniał o broni albo przynajmniej tak udawał. Godzilla chwycił za pistolet i podał gościowi.

Amrik Singh spojrział wprost na Musę i śmiejąc się, włożył broń do kabury.

– Dobrze, że ojciec mi przypomniał. Teraz wyobraźcie sobie, że jest tutaj akcja przeszukania. Mniejsza już o mnie, ale wam nawet Bóg by wtedy nie pomógł. Sami to sobie wy-obrażcie!

Wszyscy zaśmiali się usłużnie. Musa dostrzegł, że w oczach Amrika Singha nie było uśmiechu. Wydawało się, że absorbują światło, ale go nie odbijają. Były to matowe, pozbawione głębi czarne dyski bez najmniejszego nawet błysku czy poświaty.

*

Te same matowe oczy wpatrywały się teraz w Musę w sali projekcyjnej Shirazu, ponad biurkiem pełnym przycisków do papieru. Był to widok niezwykle – Amrik Singh za biurkiem. Najwyraźniej nie miał żadnego pojęcia, co z nim począć innego, niż traktować jako stolik do kawy i miejsce na pamiątki. Było ustawione tak, że wystarczyło, iż Amrik Singh odchylił się na krześle i spojrział w mały prostokątny otwór w ścianie – niegdyś otwór projektora, a teraz szparę dla podglądacza – aby mieć ogląd na wszystko, co działo się w głównej sali. Cele przesłuchań rozchodziły się stąd na boki, przez drzwi, nad którymi czerwony neon głosił (a czasami znaczył): „Zejście/Wyjście”. Na ekranie w dalszym ciągu wisiała staromodna czerwona kurtyna z welwetowych pasków, taka, jaka dawnymi czasy zwykła się podnosić do dźwięków skocznej muzyki, *Popcorn* albo *Baby Elephant Walk*. Tańsze miejsca, na dole, usunięto i zwalono na stosach w kącie, aby uwolnieni od mundurów żołnierze mogli się odprężyć przy wewnętrznej partyjce badmintona. Nawet o tej porze delikatne *stuk stuk* lotki zderzającej się z raketką dochodziło do gabinetu Amrika Singha.

– Ściągnąłem cię tutaj, aby cię przeprosić i złożyć moje najszczerze kondolencje z powodu tego, co się stało.

Duchowe spustoszenie w Kaszmirze posunęło się tak daleko, że Amrik Singh naprawdę był nieświadom ironii tej sytuacji, kiedy to o czwartej nad ranem ściga się pod bronią do centrum przesłuchań człowieka, którego żona i dziecko zostały właśnie zabite, tylko po to, aby złożyć mu wyrazy współczucia.

Musa wiedział, że Amrik Singh to kameleon, który pod turbanem był „Mona” – nie miał długich włosów sikha. Popełnił ostateczne bluźnierstwo przeciwko sikhijskiemu kanonowi, gdy wiele lat temu ściął sobie włosy. Musa słyszał, jak chełpił się przed Godzillą tym, że kiedy bierze udział w operacji przeciwko bojownikom, w zależności od wymagań operacji może uchodzić za hindusa, sikha bądź za mówiącego po pendzabsku pakistańskiego muzułmanina. Głośno się zaśmiewając, opowiadał, jak to w celu zidentyfikowania i wykrycia „sympatyków” on ze swymi ludźmi, odziani w *śalwar kamiz* – „stroje Chana”⁷ – pukali do drzwi wieśniaka w środku nocy, udając, że są bojownikami z Pakistanu,

szukającymi schronienia. Jeśli ich ugoszczono, nazajutrz wieśniaków aresztowano jako tajnych współpracowników.

– W jaki sposób nieuzbrojeni chłopci mają odprawić od drzwi grupę uzbrojonych mężczyzn, którzy pukają do nich w środku nocy? Mniejsza już z tym, czy są to bojownicy, czy żołnierze... – nie mógł się powstrzymać od pytania Musa.

– Ach, już my mamy swoje sposoby, aby stwierdzić, jak ciepło się nas wita – odrzekł Amrik Singh. – Mamy swoje własne termometry.

„Może i tak, ale nie macie żadnego pojęcia o dwoistości Kaszmirczyków”, pomyślał Musa, lecz zachował to dla siebie. „Nie macie pojęcia, jak ludzie tacy jak my, którzy przeżyli naszą historię i naszą geografę, nauczyli się trzymać swoją dumę w ukryciu. Dwoistość to jedyna broń, jaką posiadamy. Nie wiecie nawet, jak promiennie potrafimy się uśmiechać, gdy pękają nam serca. Z jaką zaciekłością potrafimy się zwrócić przeciwko tym, których kochamy, gdy zarazem z wdzięcznością ściskamy tych, którymi pogardzamy. Nie macie najmniejszego pojęcia, jak gorąco możemy was powitać, kiedy jedyne, czego chcemy, to to, abyście się wynieśli precz. A cały ten wasz termometr jest po prostu bezużyteczny”.

To jeden punkt widzenia. Z drugiej strony, niewykluczone, że to właśnie Musa był w tym momencie naiwny. Bo to Amrik Singh miał z pewnością pełną ocenę dystopii, w ramach której funkcjonował – tej, której ludność nie ma granic, nie zna lojalności i żadnych krańców dna, na które można spaść. Co się zaś tyczy psychiki Kaszmirczyków, o ile coś takiego w ogóle istniało, Amrik Singh nie szukał ani zrozumienia, ani rozeznania. Dla niego była to gra, polowanie, w którym spryt ofiary konkurował tylko i wyłącznie z jego pomysłowością. Bardziej czuł się sportowcem niż żołnierzem – co pozwalało mieć promienną duszę. Major Amrik Singh był hazardzistą, oficerskim ryzykantem, śmiertelnie śledczym i radosnym, zimnokrwistym mordercą. Bardzo lubił swoją pracę i nieustannie szukał okazji do uciechy. Pozostawał w kontakcie z niektórymi z bojowników, którzy niekiedy włączali się na jego bezprzewodową częstotliwość albo on na ich i zaczynali się przekomarzać niczym uczniacy.

– *Are jar*, czy jestem kimś więcej niż nędznym agentem turystycznym? – lubił im mówić major Amrik Singh. – Kaszmir to tylko punkt przejściowy dla was, dżihadystów, nieprawdaż? Waszym prawdziwym celem jest *dżannat*, gdzie czekają na was hurysy. Ja jestem tutaj tylko po to, aby ułatwić wam podróż.

Sam siebie nazywał „Dżannat Ekspres”, a jeśli akurat mówił po angielsku (co zwykle znaczyło, iż jest pijany), tłumaczył to jako „Rajski Ekspres”.

Jeden z jego legendarnych wersetów brzmiał: *Dekho mian, me Bharat Sarkar ka lund hu, aur mera kam he ćodna*. Spójrz, bracie, jestem kutasem rządu Indii i moim zadaniem jest jebać ludzi.

Jego pęd do zabawy był tak wielki, że – co było powszechnie wiadome –

zdarzało mu się zwalniać bojownika, którego namierzył z wielkim trudem, ale tylko dlatego, że chciał znowu przeżyć podniecenie pogoni za nim. I to właśnie po to, aby podtrzymać tego ducha, zgodnie z jednym z perwersyjnych przepisów jego osobistego podręcznika łowieckiego, wezwał Musę do Shiraz, aby go przeprosić. W ciągu ostatnich kilku miesięcy Amrik Singh zidentyfikował, najpewniej słusznie, Musę jako potencjalnie wartościowego antagonistę, kogoś, kto stanowił jego diametralne przeciwieństwo, a zarazem nie brakowało mu nerwów i inteligencji, aby podwyższać stawkę i być może zmienić naturę polowania do tego stopnia, że będzie trudno powiedzieć, kto jest myśliwym, a kto zwierzyną łowną. Z tego powodu Amrik Singh był niezwykle zdenerwowany, gdy dowiedział się o śmierci żony i córki Musy. Zależało mu na tym, by ten wiedział, że on, Amrik Singh, nie miał z tym nic wspólnego. Że był to nieprzewidywany, z jego punktu widzenia mający charakter ciosu poniżej pasa, przypadek, który nie należał do planu majora. Aby polowanie mogło dalej trwać, musiał to wszystko wyjaśnić swojej ofierze.

Łowy nie stanowiły jedynej pasji Amrika Singha. Miał kosztowne gusta i styl życia, na który nie byłoby go stać, gdyby miał go pokrywać tylko z pensji. Wykorzystywał więc inne środki zarobkowe, otwierające się przed przedsiębiorczą osobą, która pewne możliwości zawdzięczała temu, że znalazła się po stronie okupanta. Oprócz trosk o porwania i wymuszenia miał też (zapisane na nazwisko żony) tartak w górach i fabrykę mebli w Dolinie. Był równie szczodry jak okrutny – wobec ludzi, których lubił bądź potrzebował, pozwalał sobie na ekstrawaganckie dary w postaci misternie rzeźbionych stolików kawowych i foteli z drewna orzechowego. (Godzilla otrzymał od majora parę nocnych stolików). Żona Amrika Singha, Lawlin Kaur, była czwartą z pięciu siostr – Tawlin, Harprit, Gurprit, Lawlin Dimple – które słynęły ze swej piękności, a w rodzinie znajdowali się także dwaj młodsi bracia. Należeli do małej wspólnoty sikhów, którzy osiedlili się w Dolinie wieki temu. Ich ojciec był drobnym farmerem, który nie umiał – albo ledwie potrafił – wyżywić swej dużej rodziny. Powiadano, że byli oni tak biedni, iż kiedy jedna z dziewcząt potknęła się w drodze do szkoły i wywróciła komplet menażek, który zawierał ich spakowany obiad, głodne siostry jadły rozrzuconą żywność wprost z chodnika. Kiedy podrosły, mężczyźni najróżniejszego autoramentu zaczęli niczym szerszenie krążyć wokół nich z najróżniejszymi propozycjami, spośród których nigdy nie znajdowało się małżeństwo. Dlatego też rodzice byli bardziej niż zadowoleni, kiedy udało im się wydać jedną z córek (bez posagu) za sikha z Indii, i to na dodatek ni mniej, ni więcej, tylko oficera. Po ślubie Lawlin nie przenosiła się do oficerskich kwater w najróżniejszych miejscach Śrinagaru, dokąd był wysyłany Singh. Działo się tak dlatego (głosiła plotka), że w pracy miał inną kobietę, inną „żonę”, koleżankę z Centralnej Rezerwowej Jednostki Policji, P.P. Pinky, która zwykle towarzyszyła mu w operacjach

terenowych, ale także podczas przesłuchań w obozach. W weekendy, kiedy Amrik Singh odwiedzał żonę i ich malutkiego synka w ulokowanym na pierwszym piętrze mieszkaniu w Dżawahar Nagar, małej enklawie sikhijskiej w Śrinagarze, sąsiedzi szeptali sobie na ucho o przemocy domowej i stłumionych prośbach o pomoc. Nikt nie śmiał interweniować.

Chociaż Amrik Singh bezlitośnie ścigał i eliminował bojowników, zarazem odnosił się do nich – przynajmniej do najlepszych z nich – ze swego rodzaju niechętnym podziwem. Wiedzano, że niektórym oddawał hołd na cmentarzach, a nierzadko byli to ci, których sam zastrzelił. (Jeden otrzymał nawet nieoficjalny salut artyleryjski). Ludźmi, których nie tylko nie szanował, ale wręcz nimi gardził, byli rzecznicy praw człowieka: w większości prawnicy, dziennikarze i wydawcy czasopism. Dla niego stanowili oni prawdziwe plugastwo, które ze swymi nieustannymi skargami i pochlipywaniami podżerało i zniekształcało reguły uczestniczenia w tej wielkiej grze. Ilekroć Amrik Singh dostawał pozwolenie na to, by pojmać jedną z tych osób i „neutralizować” (pozwolenie nigdy nie miało postaci nakazu zabicia, tylko zazwyczaj postać braku jego zakazu), z prawdziwym entuzjazmem zabierał się do wykonania obowiązków. Sprawa Dżaliba Kadriego była odmienna. Miał tylko zastraszyć tego człowieka i obezwładnić. Sprawy jednak potoczyły się źle. Dżalib Kadri popełnił ten błąd, że się nie bał. Że pyskował. Amrik Singh żałował, że stracił kontrolę nad sobą, a jeszcze bardziej było mu przykro, że w konsekwencji musiał wyeliminować swojego przyjaciela i towarzysza podróży, Ichwana Salima Godźriego. Świetnie im było ze sobą i mieli kilka wspaniałych wypraw, on i Salim Godźri. Dobrze wiedział, że gdyby sytuacja była odwrotna, Salim z pewnością zrobiłby to samo. Co zrozumieliby obaj, on i Amrik Singh. Albo tak przynajmniej powtarzał sobie ten ostatni. Ze wszystkich rzeczy, które zrobił, tylko zabicie Salima Godźriego zmusiło go do zastanowienia. Salim Godźri był jedyną osobą na świecie – włączywszy w to żonę Lawlin – do której Amrik Singh czuł coś, co niewyraźnie przypominało miłość. Wiedząc o tym wszystkim, gdy nadeszła chwila, on sam strzelił do przyjaciela.

Nie rozpamiętywał tego jednak długo i szybko przeszedł nad tym do porządku dziennego. Kiedy siedział teraz oddzielony stołem od Musy, był taki jak zwykle, zawiadycki i pewny siebie. Tak, to prawda, że został ściągnięty z terenu i usadzony za biurkiem, ale to dopiero początek zmiany, którą wciąż można było zatrzymać. Ciągle jeszcze od czasu do czasu dostawał zadania w terenie, szczególnie gdy chodziło o sprawę, w której znał przypadek konkretnego bojownika lub tajnego konspiratora. Był całkowicie przekonany, że najgorsze ma już za sobą i że teraz może już być spokojny.

Pojawiły się „biskwity oficerskie” i herbata. Musa usłyszał lekki brzęk filiżanek do herbaty i metalowej tacy, zanim pojawił się przed nim mężczyzna ze słodkościami. Obaj natychmiast się rozpoznali, ale ich twarze pozostały obojętne

i nieporuszone. Amrik Singh przyglądał się bacznie obu mężczyznom. W pokoju brakowało powietrza, oddech stawał się niemal niemożliwy. To musiało być pozorowane.

Dżuned Ahmed Śah był w Hizb--ul--Mudżahidin dowódcą okręgu, którego schwytano przed kilkoma miesiącami, kiedy popełnił najzwyczajniejszy, ale też najbardziej fatalny błąd, gdyż za dnia złożył wizytę swojej żonie i malutkiemu synkowi w ich domu w Soporze, gdzie oczekiwali na niego żołnierze. Był wysokim, żylastym mężczyzną, dobrze znanym i wielbionym – tyleż ze względu na dobry wygląd, ile z uwagi na i rzeczywiście, i apokryficzne akty odwagi. Nosił kiedyś długie, opadające na plecy włosy i gęstą czarną brodę. Gładko teraz ogolony, włosy miał króciutko ostrzyżone w stylu armii indyjskiej. Jego matowe, zapadnięte oczy wyglądały z głębokich szarych oczodołów. Miał na sobie wytarte spodnie dresowe sięgające do połowy łydek, wełniane skarpety, wojskowe płócienne tenisówki oraz szkarłatną, nadjedzoną przez mole kamizelkę kelnerską z mosiężnymi guzikami, która była na niego za mała i sprawiała, że wyglądał komicznie. Drżenie dłoni powodowało taniec zastawy na tacy.

– Dobrze, możesz iść. Na co się tu gapisz? – zwrócił się Amrik Singh do Dżuneda.

– *Dži Dżenab! Dżej Hind!*

Tak jest, panie majorze! Niech żyją Indie!

Dżuned zaszalutował i wyszedł z pokoju. Amrik Singh obrócił się do Musy. Był uosobieniem współczucia.

– To, co ci się przydarzyło, nie powinno spotkać żadnego człowieka. Musisz być zaszokowany. Tutaj, proszę, ciasteczko. Dobrze ci zrobi. Pół na pół. Pięćdziesiąt procent cukru, pięćdziesiąt soli.

Musa nic nie odpowiedział.

Amrik Singh dokończył herbatę, Musa swojej nie tknął.

– Jeśli dobrze pamiętam, masz tytuł inżyniera, czy tak?

– Nie. Skończyłem architekturę.

– Chciałem ci pomóc. Dobrze wiesz, że wojsko zawsze potrzebuje inżynierów. Pracy jest mnóstwo. Bardzo dobrze płatnej. Płoty na granicy, domy pod sierocińce, planują jakieś centra rekreacji, sale gimnastyczne dla młodych ludzi, także zresztą i to miejsce będzie musiało się zmienić... Mogę ci dać kilka dobrych kontaktów. Przynajmniej tyle jesteśmy ci winni.

Nie podnosząc wzroku, Musa koniuszkiem palca wskazującego dotknął kolca muszli.

– Jestem aresztowany czy pozwoli mi pan odejść?

Ponieważ Musa nie podnosił oczu, więc nie dostrzegł przejrzystej błony gniewu, która okryła oczy Amrika Singha tak bezgłośnie i szybko niczym kot wskakujący na niski murek.

– Możesz iść.

Amrik Singh dalej siedział, podczas gdy Musa wstał i wyszedł z pokoju. Major sięgnął po dzwonek, a temu, który się odezwał, polecił eskortować Musę do bramy.

Na dole, w holu kina, była przerwa w torturach. Żołnierze dostawali herbatę, którą nalewano im z wielkich dymiących czajników. W metalowych wiaderkach były po dwa zimne *samosy* dla każdego. Musa przeszedł przez hol, tym razem zatrzymując spojrzenie na jednym ze skrupowanych, zmaltretowanych, zakrwawionych chłopaków, którego dobrze znał. Wiedział, że jego matka chodzi od obozu do obozu, od jednego posterunku policji do drugiego, rozpaczliwie szukając swojego syna. To mogło jeszcze dalej trwać przez całe życie. „Z tej nocy jest przynajmniej jedna okropna korzyść”, pomyślał Musa.

Był już niemal na zewnątrz, kiedy na szczycie schodów pojawił się Amrik Singh, promieniejący radością i zyczliwością – zupełnie inna osoba od tej, którą Musa zostawił w sali projekcyjnej. Jego głos zahuczał w całym holu.

– *Are huzur! Ek ciz me bilkul bhou gaja tha!*

Kompletnie o czymś zapomniałem!

Wszyscy – torturowani i torturujący – spojrzeli na niego. Amrik Singh, w pełni świadom tego, że skupił na sobie całą uwagę, sportowym krokiem zbiegł po schodach niczym rozradowany gospodarz chcący pożegnać gościa, którego wizyta sprawiła mu wielką przyjemność. Objął serdecznie Musę i wcisnął mu do rąk podarunek.

– To dla twojego ojca. Powiedz mu, że zamówiłem to specjalnie dla niego.

Była to butelka whisky Red Stag.

W holu zapadła cisza. Wszyscy – i publiczność, i bohaterowie sztuki, która się dopiero rozwijała – rozumieli jej tekst i podteksty. Gdyby Musa wzgardził darem, stanowiłoby to publiczną deklarację wojny z Amrikiem Singhem – co było równoznaczne z podpisaniem na siebie wyroku śmierci. Gdyby go przyjął, Amrik Singh wyrok śmierci złożyłby w ręce bojowników. Wiedział bowiem, że wieść natychmiast się rozniesie, a wtedy każda grupa powstańców, jakkolwiek mogli się od siebie różnić, zgodzi się na to, że śmierć jest jedyną właściwą karą dla kolaborantów i przyjaciół okupanta. A picie whisky – nawet przez niekolaborantów – było jawnym opowiedzeniem się przeciwko islamskim zasadom.

Musa podszedł do baru i postawił na nim butelkę whisky.

– Mój ojciec nie pije.

– *Are*, co tu ukrywać? Przecież to żaden wstyd. Oczywiście, że twój ojciec pije! Wiesz o tym dobrze. Kupiłem tę butelkę specjalnie dla niego. Mniejsza z tym. Sam mu ją dam.

Amrik Singh, niezmiennie z uśmiechem na twarzy, rozkazał swoim ludziom, aby odprowadzili Musę i dopilnowali, by dotarł do domu bezpiecznie. Był bardzo

zadowolony z tego, jak sprawy się potoczyły.

Wstawał dzień. Różowy połysk na szarym niczym gołąb niebie. Musa wracał do domu martwymi ulicami. Wóz patrolowy podążał za nim w bezpiecznej odległości, a kierowca przez walkie-talkie instruował kolejne posterunki kontrolne, aby przepuściły idącego.

Wchodził do domu z płatkami śniegu na barkach. Ich chłód był niczym w porównaniu z zimnem, które zrodziło się wewnątrz niego. Kiedy rodzice i siostry zobaczyli jego twarz, od razu wiedzieli, że lepiej nie podchodzić i nie pytać, co się wydarzyło. Powrócił wprost do swego biurka i zabrał się do listu, który pisał, zanim wkroczyli żołnierze. Pisał w urdu. Robił to szybko, jakby to było jego ostatnie zajęcie, jakby się ścigał z chłodem i chciał skończyć, zanim ciepło wycieknie z jego ciała, kto wie, może już na zawsze.

Był to list do panny Dżebin.

Babadżana!

Myślisz, że będę za Tobą tęsknił? Mylisz się.

Nigdy nie będę za Tobą tęsknił, gdyż Ty po prostu zawsze będziesz ze mną.

Prosiłaś, żeby Ci opowiadać prawdziwe historie, ale ja już nie wiem, co jest prawdą. To, co kiedyś wydawało się rzeczywistą i prawdziwą opowieścią, dzisiaj brzmi jak głupia bajeczka, jak to, co Ci kiedyś opowiadałem, a czego tak bardzo nie znosiłaś. Na pewno wiem tylko tyle: w naszym Kaszmirze umarli będą żyć zawsze, a żywi to martwi, którzy tylko udają, że jest inaczej.

W przyszłym tygodniu spróbujemy wyrobić Ci Twój własny dowód osobisty. Jak dobrze wiesz, dżana, dokument jest ważniejszy od nas samych. Jest cenniejszy od najpiękniej splecionego dywanu, od najdelikatniejszego, najcieplejszego szala czy od największego ogrodu ze wszystkimi wiśniami i orzechami ze wszystkich sadów w naszej Dolinie. Możesz to sobie wyobrazić? Mój dowód osobisty ma numer M 108672J. Powiedziałaś mi, że to szczęśliwy numer, ponieważ jest w nim „M”, jak dla Miss, panny, oraz „J” – dla Jeebin. To dlatego poniesie mnie on szybko do Ciebie i Twojej Ammidżan. Szykuj się zatem na to, by odrobić pracę domową w Niebie. Jakie miałyby to znaczenie dla Ciebie, gdybym Ci powiedział, że była setka tysięcy ludzi na Twoim pogrzebie? Ty, która potrafiłaś liczyć tylko do pięćdziesięciu dziewięciu... Powiedziałem: „liczyć”? Miałem na myśli: „krzyknąć” – Ty, która potrafiłaś wykrzykiwać tylko do pięćdziesięciu dziewięciu. Mam nadzieję, że gdziekolwiek jesteś, nie krzyczysz tam. Musisz się nauczyć cichej mowy, jakiej używają damy, a przynajmniej niekiedy. Jak mógłbym Ci wyjaśnić, ile to jest: sto tysięcy? To tak ogromna liczba! Może jakoś spróbujemy, myśląc o porach roku. Na wiosnę – ile jest liści na drzewach i jak wiele kamyków możesz zobaczyć w strumieniach, kiedy już stopnieją lody. Pomyśl, ile czerwonych maków rozkwita na łąkach. To może Ci dać przybliżone wyobrażenie tego, co znaczy sto tysięcy na

wiosnę. Na jesieni – ile liści platanu szeleściło pod Twymi stopami na kampusie uniwersyteckim tego dnia, gdy zabrałem Cię na spacer (a Ty zezłościłaś się na kota, który nie chciał Ci zaufać i wzgardził podanym przez Ciebie kawałkiem chleba. Wszyscy stajemy się trochę podobni do tego kota, dżana. Nie potrafimy ufać nikomu. Chleb, który nam proponują, jest niebezpieczny, ponieważ czyni z nas niewolników i uniżonych sługusów. Najprawdopodobniej byłabyś zła na nas wszystkich). Mniejsza z tym. Mówimy o liczbach. Sto tysięcy. W zimie musisz pomyśleć o lecących z nieba płatkach śniegu. Pamiętasz, jak kiedyś je liczyliśmy? Jak usiłowaliśmy je łapać? Tylu ludzi to sto tysięcy. Na Twoim pogrzebie tłum pokrył ziemię niczym śnieg. Możesz to sobie wyobrazić? Dobrze, ale to tylko ludzie. Nie zamierzam Ci opowiadać o wargaczu, który zszedł z gór, jeleniu, który spoglądał z lasów, irbisie, który zgubił swoją drogę w śniegu, i o kaniach, które krążyły po niebie, wszystko nadzorując. W sumie było to naprawdę wielkie widowisko. Na pewno by Ci się podobało, lubisz zbiegowiska, wiem o tym. Wszystko wskazywało na to, że będziesz miastową dziewczyną. To było jasne od samego początku. A teraz Twoja kolej. Opowiedz mi...

W połowie zdania przegrał wyścig z zimmem. Przestał pisać, złożył kartkę papieru i wsunął ją do kieszeni. Nigdy go nie dokończył, ale zawsze miał przy sobie.

Wiedział, że ma niewiele czasu. Będzie musiał uprzedzić następne posunięcie Amrika Singha i będzie musiał zrobić to szybko. Życie takie, jakie kiedyś znał, już się skończyło. Wiedział, że Kaszmir połknął go, a on był teraz jego treścią.

Cały dzień spędził na załatwianiu bieżących spraw: spłacił rachunki za papierosy – trochę się ich nazbierało – zniszczył szkodliwe papiery, wybrał kilka rzeczy, które kochał i których potrzebował. Następnego ranka, kiedy dom Jeswich obudził się do żaloby, Musy nie było. Zostawił notkę do jednej ze swych sióstr o pobitym chłopcu, którego widział w Shirazie, do czego dołączył nazwisko matki i jej adres.

Tak zaczęło się życie pod ziemią. Życie, które trwało dokładnie dziewięć miesięcy – właśnie tyle trwa ciąża. Jeśli nie zważać na figury stylistyczne, jego konsekwencja była całkiem inna niż w przypadku ciąży. Skończyło się swego rodzaju śmiercią zamiast jakimś życiem.

Będąc uciekinierem, Musa przenosił się z miejsca na miejsce, nigdzie nie pozostając dwie noce z rzędu. Zawsze otaczali go ludzie – w leśnych kryjówkach, w ekskluzywnych domach biznesmenów, w sklepach, w piwnicach, w komórkach; wszędzie witano *tehrík* z miłością i solidarnością. Nauczył się wszystkiego o różnych odmianach broni – gdzie je kupować, jak je przenosić, gdzie ukrywać, jak z nich korzystać. Dorobił się prawdziwych odcisków w miejscach, w których kiedyś wyobrażał je sobie jego ojciec: na kolanach, łokciach i na palcu

wskazującym. Nosił broń, ale nigdy z niej nie korzystał. Towarzysze broni byli o wiele młodszy, darzył miłością owych gorącokrwistych ludzi, którzy z radością oddaliby życie jeden za drugiego. Nie żyli zresztą długo. Wielu zostało zabitych, wielu więziono lub torturowano, aż w końcu postradali zmysły. Na ich miejsce zjawiali się inni. Musie udawało się przetrwać jedną czystkę po drugiej, więzy ze starym życiem były stopniowo i z rozmysłem zacierane. Nikt nie wiedział, kim on naprawdę jest. Nikt też o to nie pytał. Jego rodzina nic o nim nie wiedziała. Nie należał do żadnej konkretnej organizacji. W sercu brudnej wojny, w obliczu niewyobrażalnego bestialstwa, robił, co tylko było w jego mocy, aby nakłonić swych towarzyszy do zachowania przynajmniej pozorów człowieczeństwa, co było konieczne, jeśli nie mieli stać się tym, czego nienawidzili i z czym walczyli. Nie zawsze mu się udawało. Ale nie zawsze też ponosił porażki. Udoskonalił sposoby na rozplątywanie się w tle, na znikanie w tłumie, na bezgłośnie mówienie, zmienianie wyglądu, na takie ukrywanie sekretów, iż sam zapominał, że w ogóle je miał. Nauczył się też sztuki znudzenia – cierpliwości, jak i oddawania się nudzie. Rzadko kiedy się odzywał. W nocy, podporządkowane kanonom ciszy, jego organy pomrukiwały do siebie w języku nocnych świerszczy. Śledziona kontaktowała się z nerkami. Trzustka szeptała nad cichą pustką do płuc: „Halo! Słyszycie mnie? Ciągłe tam jeszcze jesteście?”. Stawał się coraz bardziej chłodny i opanowany. Cena za jego głowę rosła szybko, z jednego lakha do trzech. Kiedy minęło dziewięć miesięcy, do Kaszmiru przybyła Tilo.

•

Tilo stała przy straganie z herbatami na jednej z wąskich alejek otaczających grobowiec Hazrata Nizamuddina Olij – gdzie najczęściej się zatrzymywała, gdy wracała do domu z pracy – kiedy podszedł do niej chłopak, upewnił się, iż nazywa się S. Tilottama, i wręczył jej notkę. Mówiła tyle: „*Ghat* numer 33, HB Śahin, jezioro Dal. Przyjdź, proszę, dwudziestego”. Nie było podpisu, tylko mały ołówkowy szkic końskiego łba w jednym z górnych rogów. Kiedy podniosła wzrok, posłaniec już zdążył zniknąć.

Wzięła dwa tygodnie wolnego w pracy w firmie architektonicznej przy Nehru Place, złapała pociąg do Dżammu, skąd wczesnoporannym autobusem dotarła do Śrinagaru. Już od jakiegoś czasu nie kontaktowała się z Musą. Pojechała, ponieważ tak to właśnie z nimi było.

Nigdy wcześniej nie odwiedzała Kaszmiru.

Późnym popołudniem autobus wynurzył się z długiego, wrytego w górze tunelu, który stanowił jedyny pomost między Indiami a Kaszmiem.

Jesień w Dolinie była porą bezwstydną obfitości. Słońce ześlizgiwało się po lawendowym lśnieniu kwitnących krokusów szafranowych. Sady były pełne owoców, płatany zapłonęły. Współpasażerowie Tilo, w większości Kaszmirczycy,

potrafili nie tylko rozpoznać i nazwać zapachy jabłek, gruszek czy dojrzałego ryżu, lecz także określić to, obok czyich jabłek, czyich gruszek i czyjego ryżu właśnie przejeżdżali. Był jednak jeszcze inny zapach, który wszyscy dobrze znali. Smród umarłych. Zagęszczał powietrze i zamieniał ich ciała w kamienie.

Kiedy hałaśliwy, rozklekotany autobus z jego spokojnymi, milczącymi pasażerami wjeżdżał coraz dalej w głąb Doliny, napięcie wyraźnie rosło. Co pięćdziesiąt metrów po każdej stronie drogi widać było żołnierzy uzbrojonych po zęby, czujnych i niebezpiecznie naprężonych. Żołnierze znajdowali się na polach, głęboko w sadach, na mostach i przepustach, w sklepach, na targowiskach, na dachach domów. Zawsze w szyku, gdy jeden krył drugiego, tworząc sieć, która rozpościerała się we wszystkich kierunkach, aż po góry. W każdej części legendarnej Doliny Kaszmiru, cokolwiek ludzie robili – spacerowali, modlili się, kąpali, dowcipkowali, łuskali orzechy, kochali się czy też jechali autobusem do domu – zawsze byli na celowniku jakiegoś żołnierza. A ponieważ byli na żołnierskich celownikach, cokolwiek by robili – spacerowali, modlili się, kąpali, dowcipkowali, łuskali orzechy, kochali się czy też jechali autobusem do domu – stanowili godny uwagi cel.

W każdym punkcie kontrolnym droga była zablokowana przesuwными barierkami, uzbrojonymi w żelazne kolce, które mogły rozpruć dętkę w oponie. W każdym punkcie kontrolnym autobus musiał się zatrzymać, pasażerowie – wysiadać i ustawiać się w rzędzie, z bagażem wyłożonym do kontroli. Żołnierze przetrząsali bagaż na dachu autobusu. Pasażerowie stali ze wzrokiem wbitym w ziemię. W szóstym, a może siódmym punkcie kontrolnym z boku drogi stał zaparkowany pancerny wóz patrolowy ze szparami zamiast okien. Po naradzeniu się z osobą ukrytą w środku wypucowany, arogancki młody oficer wyciągnął z rzędu pasażerów trzech młodych mężczyzn – „Ty, ty i ty!”. Wepchnięto ich do wozu patrolowego, czemu poddali się bez protestów. Reszta pasażerów wciąż trzymała wzrok wbity w ziemię.

Kiedy autobus wjechał do Śrinagaru, dzień już dogasał.

Był to czas, kiedy małe miasto Śrinagar umierało wraz ze światłem słonecznym. Zamykały się sklepy, pustoszały ulice.

Na przystanku autobusowym podszedł do niej, jakby przypadkiem, jakiś mężczyzna i spytał ją o nazwisko. Od tej chwili była przekazywana z rąk do rąk. Ryksza motorowa zawiozła ją z przystanku na Boulevard. Jezioro pokonała w *śikarze*, na której były tylko miejsca pólężące. Ułożyła się więc na jaskrawych, kwiecistych poduszkach – kobieta w podróży poślubnej, ale bez męża. Bardzo to stosowne, pomyślała, że łopatkami wiosła, które przedzierały się przez zielska, miały kształt serc. Na jeziorze panowała śmiertelna cisza. Rytmiczny dźwięk wiosła zanurzanych w wodzie mógł być równie dobrze niespokojnym pulsem Doliny.

Plusk.

Plusk.

Plusk.

*

Na drugim brzegu tuż obok siebie znajdowały się barki mieszkalne: *HB Şahin*, *HB Dżannat*, *HB Queen Victoria*, *HB Derbyshire*, *HB Snow View*, *HB Desert Breeze*, *HB Zam--Zam*, *HB Gulşan*, *HB New Gulşan*, *HB Gulşan Palace*, *HB Mandalej*, *HB Clifton*, *HB New Clifton*.

W odpowiedzi na swe pytanie Tilo usłyszała, że HB to tyle, co House Boat, barka mieszkalna.

Barka mieszkalna *Şahin* była najmniejsza i najbardziej zapuszczona. Kiedy *şikara* przybijała do łodzi, na pokład wyszedł mały mężczyzna, niemal ginący w znoszonym, brązowym *pheranie*, który sięgał mu prawie do kostek. Powitał Tilo; później miała się dowiedzieć, że nazywa się Gulrez. Zachowywał się tak, jakby znali się bardzo dobrze, jakby mieszkała tutaj przez całe życie, a teraz tylko wracała z poczynionych na targowisku zakupów. Jego wielka głowa i zdumiewająco chuda szyja osadzone były na szerokich, mocnych ramionach. Kiedy wprowadził Tilo do małej jadalni, a potem wąskim, wyłożonym dywanem korytarzem do sypialni, usłyszała miauczenie kociąt. Rzucił przez ramię promienny uśmiech, niczym dumny ojciec, a jego szmaragdowe oczy czarodzieja błyszczały.

Ciasne pomieszczenie było tylko odrobinę większe od podwójnego łóżka, przykrytego haftowaną kapą. Na nocnym stoliku znajdowały się kwiecista plastikowa taca, delikatnie rzeźbiony brązowy dzbanek na wodę, dwie kolorowe szklanki i mały odtwarzacz CD. Wzorzysty dywan na podłodze był postrzępiony, drzwi szafki wyżłobiono byle jak, drewniany sufit przypominał plaster miodu, kosz wymyślnie ozdobiono przy użyciu papier-mâché – z zewnątrz był gładki, a od wewnątrz pokryty skrawkami jakichś deseni. Tilo usiłowała ukoić wzrok jakimś miejscem, które nie miałoby na sobie deseni, haftów, żłobień czy rzeźbień. Kiedy nic takiego nie znalazła, poczuła, jak wzbiera w niej fala niepokoju. Otworzyła drewniane okna, ale wychodziły wprost na odległe raptem o kilka stóp zamknięte drewniane okna następnego pływającego domu. W szerokim na kilka stóp pasemku wody, które je dzieliło, pływały puste paczki po papierosach i niedopałki. Postawiła swoją torbę i wyszła na pokład, zapaliła papierosa i zapatrzyła się na lśniąca powierzchnię jeziora, która srebrzała wraz z tym, jak pierwsze gwiazdy pojawiały się na niebie. Nawet kiedy zapadła już ciemność, śnieg w górach lśnił jeszcze przez chwilę niczym fosfor.

Przeczekała na łodzi cały następny dzień, przyglądając się, jak Gulrez odkurza niezakurzone meble oraz rozmawia w swym ogródku za łódką z fioletowym *brindzalem* i wielkolistnym hebanowcem. Pozmywawszy po prostym obiedzie, pokazał jej kolekcję rzeczy, które trzymał w dużej, żółtej torbie

zakupowej ze sklepu wolnocłowego na lotnisku. Napis na niej zachęcał: „Oglądaj! Kupuj! Lataj!”. Wykładał je jedną po drugiej na stół jadalny. Była to jego wersja Księgi gości: pusta butelka płynu po goleniu Polo, stos starych samolotowych kart pokładowych, mała lornetka, para okularów przeciwsłonecznych, z których wypadło jedno szkło, przewodnik *Lonely Planet* z oślimi rogami, torebka toaletowa Qantas, niewielka latarka, butelka ziołowego płynu przeciw komarom, flakonik olejku przeciwsłonecznego, pokryty srebrną folią kartonik z przeterminowanymi pigułkami na biegunkę oraz para niebieskich majtek damskich od Marksa i Spencera, upchanych w starą puszkę po papierosach. Z chichotem puszczał oko, kiedy rolował majtki w kształt papierosa i wpychał je z powrotem do pudełka. Tilo przeszukała swoją torebkę i dodała do kolekcji gumkę do wycierania w kształcie truskawki oraz fiolkę, w której zwykle były grafity. Gulrez odkręcił główkę fiolki i zadowolony nakręcił ją z powrotem. Zastanowiwszy się chwilę, włożył gumkę do plastikowej torebki, a fiolkę umieścił w kieszeni. Wyszedł z pokoju i wrócił z otrzymanym od poprzedniego gościa zdjęciem wielkości pocztówki, które przedstawiało go z kociętami na rękach. Trzymając fotografię w obu dłoniach, przekazał ją uroczyście Tilo, jak gdyby było to poświadczenie przyznanego jej medalu. Przyjęła z ukłonem. Wymiana została dokonana.

Z rozmowy, w której jej pełen wahań hindi spotykał się z jego utykającym urdu, Tilo wywnioskowała, że mówiąc „*Muzz--kak*”, Gulrez miał na myśli Musę. Przyniósł wycinek z gazety w urdu, która publikowała fotografie wszystkich osób zastrzelonych tego samego dnia co panna Dżebin i jej matka. Kilka razy ucałował wycinek, wskazując na dziewczynkę i młodą kobietę. Ostatecznie z poskładanych fragmentów opowieści Tilo wywnioskowała, że kobieta to żona Musy, a dziewczynka – ich córka. Zdjęcia były tak niewyraźne, że niepodobna było dostrzec rysów ich twarzy ani nawet wyobrazić sobie, jak wyglądały. Aby się upewnić, iż Tilo rozumie, o co mu chodzi, Gulrez położył głowę na zrobionej z dłoni poduszce, zamknął oczy jak dziecko, a potem wskazał w niebo.

„Poszły do nieba”.

Tilo nie wiedziała, że Musa miał żonę.

Nie powiedział jej.

A powinien?

Niby dlaczego?

I czemu niby miałyby się tym przejmować?

To przecież ona odeszła od niego.

A jednak się przejmowała.

Nie tym, że się ożenił, ale tym, że jej nie powiedział.

Przez resztę dnia nonsensowne rymy w malajalam bez końca powtarzały jej się w głowie. Był to monsunowy hymn armii małych dzieciaków w krótkich spodenkach – z nią pośród nich – które tupały w błotnistych kałużach

i w padającym deszczu zbiegały w dół zarośniętego brzegu, pokrzykując.

Dam! Dam! Pattalam
Sarinde vetil kaljanam
ana pindam ćoru
Atta warthadu upperi
Koli thitam ćamandi

Bum! Bum! Idzie sobie orkiestra wojskowa
Ślub na dworze królewskim niech się w kącie schowa
Słonia gównem ryżowe!
Będzie miała stonoga buty nowe!
Na przyprawę siuski myszek już gotowe!

Nie mogła tego pojąć. Czy mogła być bardziej niestosowna odpowiedź na to, czego się dowiedziała? Nie myślała o tej rymowance od czasu, gdy miała pięć lat. Czemu właśnie teraz?

Być może deszcz padał w jej głowie. A może to strategia przetrwania umysłu, który zamykał się, kiedy dostatecznym wariactwem była próba zrozumienia wewnętrznej łączności między nocnymi marami Musy a jej zmorami.

Nie miała pod ręką przewodnika, który by jej powiedział, że Kaszmir obfituje w sprośne nocne zmyślenia. Że nie trzymają się one wiernie swych właścicieli, lecz bez dania racji lubieżnie wtaczają się w sny innych ludzi, nie szanują żadnych granic i w ogóle są największymi artystkami napaści. Nie mogły ich powstrzymać żadne fortyfikacje, żadne palisady. W Kaszmirze jedynym sposobem na takie zmyślenia było przytulić je jak starych przyjaciół i potraktować jak starych wrogów. Miała się tego oczywiście nauczyć. Już wkrótce.

Siadła na wymoszczonej wbudowanej ławce na pokładzie łodzi i przypatrywała się swemu drugiemu zachodowi słońca. Posępna nocna ryba (niepowiązana z nocnymi zmorami) uniosła się z dna jeziora i połknęła odbicie gór w wodzie. Całkiem i bez reszty. Gulrez właśnie nakrywał stół do kolacji (na dwie osoby, najwyraźniej coś wiedział), kiedy zniemacka pojawił się Musa: po cichu wszedł od tyłu łodzi.

– *Salam.*

– *Salam.*

– Przyjechałaś.

– Oczywiście.

– Jak się masz? Jak przebiegła podróż?

– W porządku. A co u ciebie?

– W porządku.

Rymowanka w głowie Tilo rozdymała się do kantaty.

– Przepraszam, że zjawiam się tak późno.

I to były wszystkie jego wyjaśnienia. Odrobinę zmizerniał, ale poza tym nic

się nie zmienił, a przecież stał się niemal nie do poznania. Wyhodował na twarzy szczecinę, która stała się prawie brodą. Wydawało się, że jego oczy zarazem jaśniały i ciemniały, jak gdyby zostały wymyte i jeden kolor wyblakł, a drugi – nie. Zielono--brązowe tęczęwki były otoczone czarną obwódka, której Tilo nie pamiętała. Zauważyła, że jego zarys – kształt, który odciska w świetle – stał się mniej wyraźny, jakby się rozmazał. Zlewał się z otoczeniem nawet bardziej, niż zwykł to czynić wcześniej. Nie miało to nic wspólnego z wszędobylskim kaszmirskim *pheranem*, który powiewał wokół niego. Kiedy zdjął wełnianą czapkę, Tilo spostrzegła, że we włosach Musy pojawiły się siwe pasemka. On spostrzegł, że ona spostrzegła, i przeciągnął palcami po włosach z lekkim zażenowaniem. Silnymi palcami, ongiś kreślącymi konie, teraz – z nagniotkiem od pociągania spustu na każdym palcu wskazującym. Miał tyle samo lat co ona. Trzydzieści jeden.

Cisza między nimi nabrzmiewała i osiadała niczym fale melodii akordeonu, który tylko oni mogli słyszeć. On wiedział, że ona wie, że on wie, że ona wie. Tak właśnie było między nimi.

*

Gulrez przyniósł tacę z herbatą. Także i z nim nie doszło do obfitej wymiany powitań, aczkolwiek nie ulegało wątpliwości, że jest pomiędzy nimi zażyłość, a nawet miłość. Musa nazywał go Gul--kak, a czasami *mout* i zakraplał mu uszy. Zakropienie uszu łamie lody tak, jak tylko ono potrafi.

– Ma zapalenie ucha i strasznie się boi. Okropnie – wyjaśnił Musa.

– Boli go? Przez cały dzień wydawało mi się, że jest z nim dobrze.

– Nie, nie chodzi o ból. O to, że go zastrzelą. Mówi, że kiepsko słyszy, i martwi się, że na posterunku kontrolnym może nie usłyszeć, kiedy powiedzą: „Stop!”. Czasami przepuszczają cię i dopiero potem zatrzymują. Więc jeśli ich nie słyszysz, to...

Gulrez, czując w pokoju napięcie (i miłość), a zaniepokojony tym, że on może po części to osłabić, ukląkł na podłodze i teatralnym gestem oparł swój policzek na podołku Musy, z wielkim kalafiorowatym uchem nadstawionym do zakropienia. Kiedy zostały obsłużone oba kalafiorowate uchyłki i do obu wetknięto waciki, Musa dał mu buteleczkę.

– Dobrze jej pilnuj. Kiedy mnie nie ma, poproś ją, ona to zrobi – powiedział.

– Jest moją przyjaciółką.

Gulrezowi wprawdzie bardzo zależało na małej buteleczce z plastikowym dzióbkiem, uważał też, że najważniejszym dla niej miejscem jest jego księga gości „Oglądaj! Kupuj! Lataj!”, ale wręczył ją Tilo z promiennym uśmiechem. Na moment należeli do spontanicznie powstałej rodziny. Ojciec niedźwiedź, matka niedźwiedzica, niedźwiedziątko.

Niedźwiedziątko było zdecydowanie najszcześniejsze. Na obiad wystąpiło z pięcioma mięsnymi daniami: *guštaba*, *rista*, *martzwangan korma*, *śami kabab* i *jakhni* z kurczaka.

– Ach, tyle jedzenia... – powiedziała Tilo.

– Krowa, koza, kura, jagnię... Tylko niewolnicy tak jedzą – oznajmił Musa, piętrząc na swym talerzu bezwstydną obfitość. – Nasze żołądki są cmentarzami.

Tilo nie mogła uwierzyć, że niedźwiedziątko mogło samo to ugotować.

– Przez cały dzień rozmawiał z *brindzałem* i bawił się z kotkami. Nie widziałam, żeby robił cokolwiek innego.

– Musiał mieć już wszystko przygotowane, zanim się zjawiłaś. Jest wspaniałym kucharzem. Jego ojciec to profesjonalista, *waza*, z wioski Godzilli.

– A czemu jest tutaj zupełnie sam?

– Wcale nie jest sam. Wokół niego są oczy, uszy i serca. Ale nie potrafi żyć w wiosce. To dla niego zbyt niebezpieczne. Gul--kak jest właśnie tym, co nazywamy *mout* – żyje w swoim własnym świecie, który kieruje się swoimi własnymi regułami. Do pewnego stopnia tak jak ty. – Musa wpatrzył się w Tilo z powagą, bez uśmiechu.

– Chodzi ci o to, że to taki wioskowy głupek? – spytała Tilo, także bez uśmiechu.

– Nie, mam na myśli postać wyjątkową. W pewnym sensie błogosławioną.

– Błogosławioną?! A niby przez kogo? Wszystko tutaj to jakaś popierdolona rozpierducha.

– Błogosławiony piękną duszą. My tutaj darzymy podziwem nasze *maet*.

Trochę już czasu upłynęło od chwili, gdy Musa słyszał ostatnio tego typu lakoniczne bluźnierstwo, zwłaszcza wypowiedziane przez kobietę. Lekko niczym świerszcz osiadło na jego bezwarunkowo oddanym jednej sprawie sercu, zacierając pamięć tego, czemu tak bardzo kochał Tilo. Próbował zawrócić tę myśl do zamkniętej sekcji archiwum, skąd się wymknęła.

– Mało brakowało, a dwa lata temu byśmy go stracili. W jego wiosce odbyła się akcja szczerzego przeszukania. Mężczyźni musieli wyjść na zewnątrz i ustawić się na polu w szeregu. Gul wybiegł, aby witać żołnierzy, sądząc, że to muszą być Pakistańczycy, którzy przyszli, aby ich wyzwolić. Śpiewał i krzyczał: „*Dźiwe! Dźiwe! Pakistan!*”¹⁰. Chciał ich całować po rękach. Postrzelili go w udo, pobili kolbami karabinów i zostawili krwawiącego na ziemi. Po tym incydencie stał się historyczny i chce od razu uciekać, ilekroć zobaczy żołnierza – co oczywiście jest rzeczą najniebezpieczniejszą ze wszystkich. Dlatego przywiozłem go do Śrinagaru, aby żył z nami. Ale teraz, gdy rzadko kiedy ktoś tu bywa, ja już tu też nie mieszkam, także i on nie chce zostać. Załatwiłem mu pracę, ta łódź należy do przyjaciela, tutaj jest bezpiecznie, nie musi wychodzić. Pozostaje mu jedynie gotować dla tych gości, którzy się zjawiają, ale można ich policzyć na palcach

jednej ręki. Ma tu dostarczane wszystko, co potrzeba. Jedyne niebezpieczeństwo polega na tym, że łódź jest tak stara, iż może zatonać.

– Naprawdę?

Musa uśmiechnął się.

– Nie. Jest całkiem bezpieczna.

Dom, w którym rzadko kiedy ktoś bywa, zajął miejsce przy stole jadalnym – jako gość trzeci, ale za to z istic niewolniczym apetytem.

– Niemal wszyscy *maet* w Kaszmirze zostali zabici. Ci poszli w pierwszej kolejności, ponieważ nie potrafią słuchać rozkazów. Być może dlatego ich potrzebujemy. Aby nas uczyli, jak być wolnymi.

– Albo jak być zabijanymi.

– Tutaj to jedno i to samo. Tylko martwi są wolni.

Musa spojrzał na rękę Tilo spoczywającą na stole. Znał ją lepiej niż własną. Ciągle nosiła srebrną obrączkę, którą jej dał lata temu, kiedy był kimś innym. Na jej środkowym palcu wciąż widniał atrament.

*

Gulrez, który dobrze wiedział, że mowa jest o nim, krążył wokół stołu, dolewając do kieliszków i dokładając na talerze, a dwa kocięta miauczały, każde w jednej z jego kieszeni. Podczas przerwy w rozmowie przedstawił je – Aga i Chanum. Aga była szara w prążki, podczas gdy Chanum miał biało--czarne cętki.

– A Sultan? – spytał z uśmiechem Musa. – Jak się miewa?

Jak na zawołanie twarz Gulreza się zachmurzyła. Odpowiedzią była wulgarna mieszanina kaszmirskiego i urdu. Tilo uchwyciła tylko ostatnie zdanie:

Are us bewakuf ko agar jaha mintri ke sath rehna nahi ata tha, to phir woh sala is duniha me aja hi kyun tha?

Jeśli dureń nie wiedział, jak żyć z żołnierzami, to po co się w ogóle zjawiał na tym świecie?

Nie ulegało wątpliwości, że Gulrez usłyszał o nim coś od zatroskanych rodziców czy sąsiadów, co teraz wykorzystał jako skargę na Sultana, kimkolwiek ten był.

Musa roześmiał się w głos, chwycił Gulreza i pocałował go w czoło. Gul uśmiechnął się. Rozradowany łobuziak.

– A kto to taki, ten Sultan? – Tilo spytała Musę.

– Opowiem ci później.

Po obiedzie wyszli na pokład, aby zapalić i posłuchać wiadomości z tranzystora.

Zabito trzech bojowników. Pomimo godziny policyjnej w Baramulli odbywały się tam masowe protesty.

Była to noc bez księżyca, ciemna niczym smoła. Woda czarna niczym plama

ropy naftowej.

Hotele na bulwarze, który biegł wzdłuż brzegu jeziora, zamieniono w kwatery żołnierskie, ogrodzone drutem kolczastym, workami z piaskiem i deskami. Jadalnie były teraz żołnierskimi sypialniami, hole recepcyjne – aresztami dziennymi, pokoje zamieniono w punkty przesłuchań. Grube, cierpliwie haftowane żakardowe zasłony i wykwintne dywany tłumiły wrzaski młodych ludzi, którym genitalia rażono prądem, a do odbytów wlewano benzynę.

– Czy wiesz, kto tu obecnie przebywa? – rzekł Musa. – Garson Hobart. Kontaktowałaś się z nim w ogóle?

– Od kilku lat już nie.

– Jest zastępcą kierownika oddziału Biura Wywiadu, naprawdę ważne stanowisko.

– Powiodło mu się.

Nie wiał wiatr. Jezioro było ciche, łódź spokojna i tylko milczenie – niespokojne.

– Kochałeś ją?

– Tak, kochałem. Chciałem ci o tym powiedzieć.

– A dlaczego?

Musa skończył papierosa i zapalił następnego.

– Nie wiem, miało to coś wspólnego z honorem. Twoim, moim i jej.

– Dlaczego więc nie powiedziałeś mi wcześniej?

– Nie wiem.

– Czy to było aranżowane małżeństwo?

– Nie.

Siedząc obok Tilo, oddychając obok niej, czuł się jak pusty dom, którego zamknięte okna i drzwi skrzypiały i uchylały się odrobinę, aby dać trochę powietrza uwięzionym w środku widmom. Kiedy przemówił znowu, zwracał się do nocy, gór – teraz już zupełnie niewidocznych, jeśli nie liczyć mrugających świateł obozów wojskowych, które rozciągnęły się wzdłuż brzegu niczym nędzne dekoracje jakiejś straszliwej ceremonii.

– Poznałem ją w najbardziej przeraźliwy sposób... a zarazem tak piękny... co mogło się wydarzyć tylko tutaj. Była wiosna 1991 roku, nasz rok chaosu. My – wszyscy, jak mi się wydaje, tylko z wyjątkiem Godzilli – sądziliśmy, że *Azadi* jest tuż za rogiem, dosłownie o włos. Każdego dnia dochodziło do strzelanin, eksplozji, ludzie ginęli w starciach. Bojownicy chodzili swobodnie po ulicach i pysznili się bronią...

Musa zamilkł, zbity z tropu przez dźwięk własnego głosu. Nie był do tego przyzwyczajony. Tilo w niczym mu nie pomogła. Jakaś jej część broniła się przed historią, którą Musa zaczął właśnie opowiadać, i była wdzięczna za ucieczkę w ogólniki.

– Mniejsza z tym. Tego roku, roku, w którym ją poznałem, dostałem właśnie pracę. Mógł z tego wyjść naprawdę wielki interes, chociaż nie wyszedł, ponieważ wówczas wszystko właściwie się zamykało. Nic nie działało... Sądy, szkoły, ani wyższe, ani średnie. Normalne życie się załamało... W jaki sposób mam ci opowiedzieć, jak to wszystko wtedy wyglądało... Wszystko takie szalone... Wszystko dozwolone... Nic tylko rabunki, porwania, morderstwa... Jawne przekręty przy egzaminach szkolnych. Te były najzabawniejsze. Znienacka w samym środku wojny wszyscy chcieli dostać świadectwo, ponieważ to pozwalało się załapać na tanią pożyczkę od państwa. Znałem, uwierz mi, rodzinę, w której trzy pokolenia, dziadek, ojciec i syn, wszyscy udali się razem do szkoły na egzamin końcowy. Tylko sobie to wyobraź. Farmerzy, robotnicy, sprzedawcy owoców, straganiarze – każdy z nich ubiega się o świadectwo drugiej czy trzeciej klasy, przy czym ledwie potrafi czytać... No więc siedzieli na tym egzaminie, ściągali z podręczników i zdawali celująco. Przerysowywali nawet symbol – palec wskazujący – oznaczający „odwróć stronę”. Pamiętasz, był taki również w naszych podręcznikach, czyż nie? Po dziś dzień, gdy chcesz obrazić kogoś, kto jest głupcem, mówisz: „Jesteś *namtuk pass*?”.

Tilo rozumiała, że Musa rozmyślnie wchodzi w dygresje, krążąc wokół tego, co było mu równie trudno powiedzieć, jak jej wysłuchać.

– Ty też jesteś z pokolenia '91? – Musa zaśmiał się cicho, śmiechem pełnym czułości wobec słabostek swoich ludzi.

Zawsze to u niego kochała – sposób, w jaki całkowicie oddawał się tym, których kochał i z których się śmiał. Na których się żalił i przeklinał, ale nigdy się od nich nie odcinał. Kochała to być może z tego względu, że ona sama nie mogła, nie była w stanie pomyśleć o kimś jako „swoim”. Z wyjątkiem może dwóch psów, które pojawiały się o szóstej rano w małym parku na zewnątrz domu, gdzie je karmiła, i bezdomnych, z którymi piła herbatę na stanowisku obok *dargi* Nizamuddina. Ale tak naprawdę także i oni nie byli „jej”.

Dawno temu myślała o Musie jako „swoim”. Na krótką chwilę stworzyli osobliwą krainę, wyspiarską republikę oderwaną od reszty świata. Jednak od dnia, kiedy postanowili iść każde swoją drogą, nie miała nikogo, kto byłby „jej”.

– Walczyliśmy i ginęliśmy tysiącami za *Azadi*, a zarazem usiłowaliśmy zachować te nędzne pożyczki, które otrzymywaliśmy od państwa przez nas zwalczanego. Byliśmy doliną idiotów i schizofreników, a walczyliśmy o wolność, aby być idiotą i...

Musa urwał w połowie zdania, chichocząc i kręcąc głową. W oddali przepłynęła łódka patrolowa, żołnierze na niej przeczesywali wodę snopami świateł z potężnych latarek. Kiedy się oddalili, powstał.

– Chodźmy do środka, *Babadżana*. Robi się zimno.

Tak łatwo pojawił się ten stary wyraz czułości. *Babadżana*, moja ukochana.

Zauważyła to. On nie. Nie było zimno. Mimo to weszli do środka.

Gulrez spał na dywanie w jadalni. Aga i Chanum, rozbudzone, bawiły się na nim, jak gdyby ciało było parkiem rozrywek, zbudowanym jedynie dla ich przyjemności. Aga schowała się w zgięciu kolana, Chanum przypuszczał ataki ze strategicznych przewyższeń na biodrze.

Musa stanął w drzwiach sypialni – pełnej rzeźb, haftów, kolorowych tkanin i plecionek.

– Czy mogę wejść? – spytał, co ją dotknęło.

– Niewolnicy nie muszą koniecznie być głupi, prawda? – Siadła w rogu łóżka, a potem położyła się na nim z dłońmi pod głową i stopami opartymi na podłodze. Musa przysiadł obok niej i położył rękę na jej brzuchu. Napięcie czmychnęło z pokoju niczym niepożądany intruz. Było ciemno, z wyjątkiem światła padającego z korytarza.

– Czy mogę ci puścić piosenkę kaszmirską?

– Nie, człowieku, dzięki. Nie jestem kaszmirską nacjonalistką.

– Szybko się nią staniesz. Wystarczą trzy, może cztery dni.

– A to czemu?

– Wiem, że tak będzie, ponieważ cię znam. Kiedy zobaczysz to, co zobaczysz, i usłyszysz to, co usłyszysz, nie będziesz miała wyboru. Ponieważ jesteś sobą.

– A cóż to, będzie jakaś zbiórka? Na której dostanę jakiś stopień?

– Tak, a ty zdasz celująco. Znam cię.

– Wcale mnie nie znasz. Jestem patriotką, dostaję gęziej skórki, gdy widzę flagę narodową, staję się tak emocjonalna, że nie potrafię logicznie myśleć. Kocham flagi i żołnierzy, i całą tę hecę związaną z maszerowaniem. Co to za piosenka?

– Spodoba ci się. Przewiozłem ją przez godzinę policyjną. Napisana została dla nas, dla ciebie i dla mnie, przez faceta, który nazywa się Las Kone. Z mojej wioski, spodoba ci się.

– Jakoś dziwnie jestem przekonana, że nie.

– Spróbujmy. Daj mi szansę.

Musa z kieszeni *pheranu* wyjął płytę CD i włożył ją do odtwarzacza. Po kilku sekundach wstępnych akordów na gitarze Tilo szeroko otworzyła oczy.

Wędrowną pani, zostań tu

Nim noc dobiegnie końca

Przystankiem jestem w drodze twej

*Lecz wcale nie kochankiem*¹¹.

– Leonard Cohen.

– Tak, który nawet nie wie, że tak naprawdę jest Kaszmirczykiem. A jego prawdziwe nazwisko to Las Kone...

*Ze śnieżną panną żyłem, gdy
Nosilem strój żołnierski
Walczyłem dla niej z każdym, aż
Mróz nadszedł trzaskający.
Nosila włosy tak jak ty,
Z wyjątkiem chwil, gdy spała,
Z oddechu, dymu i ze złota
Tkaninę ręcznie tkala.
Dlaczego tak spokojnie dziś
Stanęłaś na mym progu?
Sama wybrałaś podróż tę,
Nim weszłaś na tę drogę.*

– Skąd wiedział?

– Las Kone wie wszystko.

– Czy ona też nosiła włosy tak jak ja?

– Była cywilizowaną osobą, *Babadźana*. Nie *maet*.

Tilo pocałowała Musę i przyciskając go ku sobie, aby się nie oderwał, powiedziała:

– Trzymaj się z daleka ode mnie, ty brudny góralu.

– Zalewowa kontynenciara.

– Od jak dawna się nie kąpałeś?

– Od dziewięciu miesięcy.

– Nie, poważnie pytam.

– Może tydzień? Nie wiem.

– Brudny skurczybyk.

*

Prysznic Musy trwał niezwykle długo. Słyszała, jak mruczą w strumieniach wody, on i Las Kone. Wyszedł z nagim torsem, owinięty w biodrach ręcznikiem, a pachniał jej mydłem i szamponem. Głośno się zaśmiała.

– Aromat letniej róży.

– Naprawdę czuję skruchę – odrzekł pogodnie Musa.

– OK. Tak właśnie wyglądasz.

– Po całych tygodniach wielkodusznej gościnności udzielonej wszom i pchłom, w końcu wyгнаłem je z domu.

„Wszy” sprawiły, że jej miłość do niego odrobinę się wzmożła.

Zawsze dotąd pasowali do siebie niczym kawałki nierozwiązanej (a może i nierozwiązywalnej) układanki: jej ulotność i jego solidność, jej samotnictwo i jego towarzyskość, jej dziwaczność i jego prostota. Jej niefrasobliwość i jego powściągliwość. Jej spokój i jego spokój.

Ale oczywiście były też inne fragmenty – te, które nie pasowały.

To, do czego doszło tej nocy na HB *Śahin*, mniej było miłością, a bardziej lamentem. Ich rany były zbyt stare i zbyt nowe. Zbyt odmienne i być może zbyt głębokie, aby się zagoiły. Ale na pewien ulotny moment potrafili połączyć je niczym skumulowane długie karciane i podzielić się bólem, bez nazywania ran i bez pytania o to, która do kogo należy. Przez ulotny moment byli w stanie odtrącić świat, w którym żyli, i przywołać inny, po prostu prawdziwy. Świat, w którym *maet* wydawał rozkazy, a żołnierze potrzebowali kropli do uszu, aby dobrze te polecenia usłyszeć i poprawnie je wykonać.

Tilo wiedziała, że pod łóżkiem leży pistolet. Nie skomentowała tego ani słowem. Także i wtedy, gdy zliczała nagniotki Musy i je całowała. Leżała na nim, jak gdyby był materacem, z brodą opartą na splecionych palcach, jej najwyraźniej niekaszmirskie pośladki dotkliwie odczuwały śrinagarską noc. W pewnym sensie podróż Musy do miejsca, w którym był teraz, nie zaskoczyła jej całkowicie. Dobrze pamiętała dzień sprzed lat, w roku 1984 (któż mógł zapomnieć 1984), kiedy gazety donosiły, że Kaszmirczyk imieniem Maqbool Butt, uwięziony za morderstwo i zdradę, został powieszony w więzieniu Tihar w Delhi, a jego prochy rozrzucono na dziedzińcu w obawie o to, że jego grób mógłby stać się punktem zbornym w Kaszmirze, gdzie właśnie zaczęły się kłopoty. Wiadomość ta nic nie znaczyła dla żadnego studenta z ich college'u ani profesora. Ale tego wieczoru Musa powiedział do niej tonem spokojnym i rzeczowym:

– Pewnego dnia zrozumiesz, dlaczego historia zaczęła się dla mnie dzisiaj.

Chociaż wtedy nie pojęła do końca znaczenia tych słów, to intensywność, z jaką zostały wypowiedziane, utkwiała jej w pamięci.

– Jak się ma Królowa Matka w Kerali? – spytał Musa gniazdo, którym stały się włosy jego kochanki.

– Nie wiem. Nie odwiedzałam jej.

– A powinnaś.

– Wiem.

– To twoja matka. Jest tobą. A ty jesteś tutaj.

– To tylko kaszmirski pogląd. W Indiach jest inaczej.

– Mówię serio. Nie żartuję. To nieładnie z twojej strony, *Babadźana*.

Powinnaś jechać.

– Wiem.

Musa przeciągnął koniuszkami palców po węzłach mięśni po obu stronach jej kręgosłupa. To, co zaczęło się jako pieszczota, zamieniło się w cielesne badanie. Na moment stał się podejrzliwym ojcem. Obejrzał jej barki, jej szczupłe, acz muskularne ramiona.

– A to skąd ci się wzięło?

– Z praktyki.

Zapadła sekunda ciszy. Uznała, że nie warto mu opowiadać o mężczyznach, którzy dobijali się do jej drzwi o dziwnych porach dnia i nocy, łącznie z panem S.P.P. Radžendranem, emerytowanym oficerem policji, pełniącym funkcję administracyjną w biurze architektonicznym, w którym pracowała. Został zatrudniony bardziej ze względu na kontakty w rządzie niż z uwagi na zalety administracyjne. W pracy był wobec niej bezwstydnie zalotny, czynił lubieżne sugestie, często zostawiał na jej biurku podarunki – które zresztą ignorowała. Ale późnym wieczorem, ośmielony być może przez alkohol, jechał pod Nizamuddin, walił pięścią w drzwi i domagał się, by go wpuszczono. Jego bezczelność brała się stąd, iż wiedział, że gdyby sprawa stała się głośna, to zarówno dla ludzi, jak i sądu jego zeznanie znaczyłoby więcej niż jej stanowisko. On miał za sobą świadectwa znakomitej służby publicznej i medal za odwagę, podczas gdy ona była samotną kobietą, ubierającą się bezwstydnie, palącą papierosy i w żadnej mierze niemogącą się powołać na pochodzenie ze znakomitej rodziny, która stanęłaby w jej obronie. Świadoma tego Tilo podjęła środki zapobiegawcze. Gdyby sprawy zaszły za daleko, pan Radžendran zostałby przez nią przygwożdżony do podłogi, zanim zorientowałby się, co się stało.

Nic o tym nie wspomniała, ponieważ wydawałoby się to błahe i banalne w zestawieniu z tym, przez co przechodził Musa. Stoczyła się z niego.

– Opowiedz mi coś o Sultanie... Tej *bewakuf* 12 osobie, na którą Gulrez tak się zdenerwował. Kto to taki?

Musa się uśmiechnął.

– Sultan? Sultan to nie osoba, ale także nie *bewakuf*. To bardzo sprytny koleś, osierocony kogut, którym Gul opiekował się od czasu, gdy ten był pisklakiem. Sultan tak się do niego przywiązał, że nie odstępował go na krok; prowadzili ze sobą długie konwersacje, których nikt nie rozumiał. Tworzyli nierozdzielny zespół. Sultan był sławny w okolicy. Ludzie z pobliskich wiosek ściągali tylko po to, żeby go zobaczyć. Miał piękne pióra, purpurowe, pomarańczowe, czerwone, kroczył po podwórzu niczym prawdziwy sułtan. Znałem go dobrze... A właściwie wszyscy znaliśmy go dobrze. Był taki... dumny, zawsze zachowywał się tak, jakbyśmy byli mu coś winni. Rozumiesz? Pewnego dnia do wioski przybył kapitan z jakimiś żołnierzami... Kazał siebie nazywać kapitanem Dżanbazem, a ja nie wiem, jak się naprawdę nazywał... Ci faceci zawsze nadają sobie jakieś filmowe pseudonimy... Nie zjawili się tutaj, aby dokonać szczelnego przeszukania. Chcieli tylko porozmawiać z wieśniakami, trochę ich postraszyć, trochę potarmosić... Normalka. Wszyscy mieszkańcy wioski mieli się zgromadzić na rynku, na skrzyżowaniu dróg. Pojawiła się także nasza dobrze znana spółka, Gul--kak i Sultan. Sultan uważnie nasłuchiwał – patrząc na niego, można by powiedzieć, że należy do wioskowej starszyny. Kapitan miał ze sobą psa. Wielkiego owczarka niemieckiego na smyczy. Kiedy skończył swoje pogroźki

i swój wykład, spuścił psa ze smyczy, szczując go: „Jimmy! Bierz!”. Jimmy rzucił się na Sultana, zabił go, a żołnierze mieli obiad. Gul--kak był zdruzgotany. Płakał całymi dniami tak, jak ludzie oplakują swoich krewnych, którzy zostali zabici. Dla niego Sultan był po prostu krewnym i tyle. Ale wściekał się na niego za to, że pozwolił się tak załatwić, że się nie bronił, nie uciekał... Zupełnie jakby ten kogut był bojownikiem, który powinien znać wszystkie sekrety taktyki. I tak to Gul przeklął Sultana słowami: „Jeśli dureń nie wiedział, jak żyć z żołnierzami, to po co się w ogóle zjawiał na tym świecie?”

– W takim razie dlaczego mu o tym przypomniałeś? To było podłe...

– Gul jest moim małym bratem, *jar*. Nosimy swoje ubrania, ryzykujemy życie jeden dla drugiego. Mogę z nim robić wszystko.

– Ale to nie jest ładna rzecz, Musakuttan. W Indiach tak nie postępujemy...

– Nosimy nawet to samo imię...

– Jak to?

– Tak mnie właśnie tutaj znają: jako komendanta Gulreza. Nikt nie zna mnie jako Musy Jeswiego.

– To wszystko to jakaś popierdolona rozpierducha.

– Ćśś... W Kaszmirze nie używamy takiego języka.

– A w Indiach używamy.

– Trzeba się kłaść spać, *Babadżana*.

– Trzeba.

– Ale wcześniej musimy się ubrać.

– Dlaczego?

– Taki protokół. Tu jest Kaszmir.

Po tej protokolarnej interwencji sen nie był już realną opcją. Tilo, w pełni ubrana, nieco podejrzliwa, jeśli chodzi o możliwe implikacje „protokołu”, ale niesiona miłością i nasycona uprawianiem tejże, oparła się na łokciu.

– Mów do mnie...

– A co niby dotąd robiliśmy?

– U nas mówi się na to „zagajenie”.

Otarła policzek o jego kłujący zarost, a potem znowu ułożyła się głową na poduszce obok Musy.

– Co takiego miałbym ci powiedzieć?

– Mów o wszystkim, niczego nie pomijając. – Zapaliła dwa papierosy. – Opowiedz mi tę inną historię... Tę, która jest straszliwa i piękna... Historię miłości. Przedstaw mi prawdziwą opowieść.

Tilo nie rozumiała, dlaczego jej słowa sprawiły, iż Musa naprężył się, a jego oczy zaśniły czymś, co mogło być łzami. Nie rozumiała, co znaczył jego pomruk:

– *Akh dalila wan...*

A potem, przygarniając ją tak, jakby od tego zależało jego życie, Musa

opowiedział jej o pannie Dżebin, o tym, jak upierała się, by tak ją nazywać, o jej specyficznych wymaganiach, jeśli chodzi o historyjki na dobranoc oraz o jej zachciankach. Powiedział jej o Arifie i o tym, jak ją po raz pierwszy spotkał – w sklepie papierniczym w Srinagarze.

– Stoczyłem tego dnia straszny bój z Godzi. O moje nowe buty. Były śliczne, teraz nosi je Gul--kak. Tak czy owak... Chciałem kupić jakąś papeterię, a miałem je na nogach. Godzi powiedział mi, aby je zdjąć i założyć jakieś normalne, ponieważ młody człowiek noszący dobre buty częściej był aresztowany niż bojownik; w tych czasach wystarczało to za dowód. Tak czy siak, nie chciałem go posłuchać, więc ostatecznie powiedział: „Rób, co chcesz, ale pamiętaj moje słowa: będziesz miał kłopoty z powodu tych butów”. No i miał rację. Sprowadziły na mnie kłopoty. Spore kłopoty, choć wcale nie takie, jakie on przewidywał. Sklep papierniczy, do którego chodziłem, JK Stationery, znajdował się na Lal Čauk, w centrum miasta. Byłem właśnie w środku, kiedy na ulicy eksplodował granat. Bojownik cisnął nim w żołnierza. Bębenki w uszach mało mi nie pękły. Wszystko w sklepie się rozleciało, szkło było wszędzie, chaos, wszyscy się wydzierają. No, a żołnierze, rzecz jasna, dostali fioła. Zaczęli demolować wszystkie sklepy, wpadali i rzucali się na każdego. Leżałem na podłodze. Dostałem kopniaka, a potem parę razy przyłożyli mi kolbami karabinów. Pamiętam, jak tam leżałem, starając się chronić czaszkę i obserwując, jak po podłodze rozlewa się moja krew. Byłem ranny, niezbyt ciężko, ale bałem się ruszyć. Patrzył na mnie jakiś pies. Wydawał się całkiem sympatyczny. Kiedy pokonałem pierwszy szok, poczułem, że coś uciska mi stopy. Wtedy przypomniałem sobie o nowych butach i zmartwiłem się, czy wszystko z nimi w porządku. Kiedy w końcu pomyślałem, że już jestem bezpieczny, uniosłem wolno głowę, tak ostrożnie, jak tylko potrafiłem, aby się rozejrzeć. I wtedy zobaczyłem opartą na moich butach przepiękną twarz. To było zupełnie tak, jak zbudzić się w piekle i zobaczyć na swoich stopach anioła. To właśnie była Arifa. Też wydawała się przestraszona, też bała się ruszyć. Ale zarazem pozostawała zupełnie spokojna. Nie uśmiechnęła się, nie ruszyła głową, spojrzała tylko na mnie i powiedziała: „*asal but*” – „ładne buty”. Ten całkowity spokój – to było nie do uwierzenia. Żadnego zawodzenia, krzyczenia, płaczu – nic tylko zupełny spokój. Oboje się roześmialiśmy. Właśnie dostała dyplom weterynarii. Moja mama była zaszokowana, gdy powiedziałem, że chcę się ożenić. Myślała, że nigdy do tego nie dojdzie. Zupełnie już na mnie postawiła krzyżyk.

Tilo i Musa mogli prowadzić taką osobliwą konwersację o trzeciej kochanej osobie, ponieważ na zmianę byli sympatiami i ekssympatiami, kochankami i ekskochankami, krewnymi i ekskrewnymi, kolegami i ekskolegami. Ponieważ ich wzajemna ufność była tak osobliwa, że wiedzieli, iż nawet gdyby miało to zabołec drugą stronę, to ktokolwiek był tą trzecią ukochaną osobą, z pewnością na miłość zasługiwał. W sprawach sercowych mieli wirtualny las sieci bezpieczeństwa.

Musa pokazał Tilo noszoną w portfelu fotografię panny Dżebin i Arify. Arifa miała na sobie perłowszary *pheran* ze srebrnym haftem i biały hidżab. Panna Dżebin trzymała matkę za rękę. Miała na sobie dżinsowe ogrodniczki z sercem wyhaftowanym w górnej części. Biały hidżab był umocowany nad jej uśmiechniętą twarzą o policzkach jak jabłuszka. Tilo długo przypatrywała się zdjęciu, zanim je oddała. Zobaczyła, jak twarz Musy stężała i nabrała posępnego wyrazu, ale już po chwili powrócił do dawnej pozy. Opowiedział jej o tym, jak zginęły Arifa i panna Dżebin. O Amriku Singhu, o morderstwie Dżaliba Kadriego i całym ciągu zabójstw, które potem nastąpiły. O jego złowieszczych kondolencjach w kinie Shiraz.

– Tego, co przydarza się mojej rodzinie, nigdy nie traktuję osobiście. Ale nigdy również nie traktuję tego nieosobiście. Ponieważ jest to także ważne.

Rozmawiali jeszcze długo w noc. Kilka godzin później Tilo okrężną drogą powróciła do fotografii.

– Dlaczego miała na głowie chustę?

– Arifa?

– Nie, twoja córka.

Musa wzruszył ramieniem.

– Taki jest zwyczaj. Nasz zwyczaj.

– Nie sądziłam, że jesteś kimś, dla kogo zwyczaje tyle znaczą. Gdybym zatem zgodziła się za ciebie wyjść, oczekiwałbyś, że będę nosiła taką chustę?

– Nie, *Babadżana*. Gdybyś zgodziła się wyjść za mnie, to ja przestałbym nosić hidżab, a ty zesłabyś do podziemia i chodziłabyś z bronią.

Tilo głośno się roześmiała.

– A kto byłby w mojej armii?

– Nie wiem. Ale z pewnością nie ludzie.

– Szwadron ciem i brygada mangust.

Tilo opowiedziała Musie o swojej nudnej pracy i swoim ekscytującym życiu w magazynku obok *dargi* Nizamuddina. O kogucie, którego narysowała na ścianie: „To przedziwne. Może Sultan odwiedził mnie telepatycznie – czy to właściwe słowo?”. (Był to czas przed telefonami komórkowymi, nie miała więc zdjęcia, które mogłaby pokazać Musie). Opisała swego sąsiada, fałszywego znachora seksualnego z woskowanymi wąsami, przed którego drzwiami ustawiały się niekończące się kolejki pacjentów, oraz jej przyjaciół, trampów i żebraków, z którymi każdego ranka piła herbatę na ulicy, a którzy wszyscy wierzyli, iż pracuje dla jakiegoś barona narkotykowego.

– Śmieję się, ale nie zaprzeczam. Zostawiam to tak dwuznacznie.

– Ale po co? To przecież niebezpieczne.

– Nie, wprost przeciwnie. Dzięki temu jestem bezpieczna. Są przekonani, że jestem pod opieką gangstera. Nikt mi nie dokucza. Przeczytajmy jeszcze wiersz,

zanim położymy się spać.

Był to ich stary zwyczaj, jeszcze z czasu college'u. Jedno z nich otwierało książkę na przypadkowej stronie, a drugie czytało wiersz. Często miał nieoczekiwane znaczenie dla nich i tego szczególnego momentu, w którym byli. Poetycka ruletka. Wygrzebała się z łóżka i powróciła z cienkim, zużyтым tomem Osipa Mandelsztama. Musa otworzył książkę. Tilo zaczęła czytać:

*W nocy myję się tu na dworze,
Gwiazdy wokół – gwiazdy są wszędzie
Promień gwiazdy jak sól na toporze.
Wody w beczce jest po krawędzie.
– Sól na toporze? Nic... nic, czytaj dalej.
Bramę tu się na klucz zamyka.
Ziemia jest tu sumiennie surowa.
Czy od czystej prawdy ręcznika
Będzie jakaś czystsza osnowa?
Gwiazda w beczce jak sól się rozplywa.
Zimna woda – czarna, czarniejsza.
Śmierć jest czystsza, bieda jest prawdziwa,
Ale ziemia jest prawdziwsza i straszniejsza¹³.*

– Kolejny kaszmirski poeta.

– Rosyjski Kaszmirczyk – powiedziała Tilo. – Zmarł w obozie za czasów gułagów stalinowskich. Jego oda do Stalina nie została uznana za dostatecznie szczerą.

Pożałowała, że przeczytała wiersz.

Spali niespokojnie. O brzasku, ciągle na pół śpiąca, Tilo znowu usłyszała Musę w łazience; mył się, czyścił zęby (oczywiście jej szczoteczką). Wyszedł z włosami przylizanymi, po czym nałożył czapkę i *pheran*. Patrzyła, jak się modli. Nigdy przedtem jeszcze tego u niego nie widziała. Usiadła na łóżku. To go nie rozproszyło. Kiedy skończył, podszedł do niej i usiadł na rogu łóżka.

– Martwi cię to?

– A czy powinno?

– To wielka zmiana.

– Tak. Nie. Po prostu daje mi do myślenia.

– Nie możemy tego wygrać tylko swoimi ciałami. Musimy zaprząć także nasze dusze.

Zapaliła następne dwa papierosy.

– Wiesz, co jest dla nas najcięższe? Najtrudniejsze do pokonania? Rozżalenie. Teraz tak łatwo byśmy się rozczulili nad sobą... Takie straszliwe rzeczy przydarzyły się naszym ludziom... W każdym domu zdarzyło się coś straszego... Ale samo użalanie jest tak poniżające. Tak upokarzające. Bardziej niż

Azadi, teraz jest to bardziej walka o godność. A jedyny sposób na zachowanie godności to bronić się i walczyć. Nawet jeśli przegramy. Nawet jeśli zginiemy. Ale w tym celu my, przecież normalni ludzie, musimy stać się bojową siłą... armią. Aby to zrobić, musimy uprościć samych siebie, standaryzować, zredukować samych siebie... Wszyscy muszą myśleć w ten sam sposób, chcieć tego samego. Musimy zrezygnować z naszej złożoności, z naszych odmienności, z naszych absurdalności, naszych niuansów... Musimy tak się uformować, jakbyśmy mieli jeden umysł... Jakbyśmy byli monolitem. Jakbyśmy byli tak głupi... jak armia, z którą się ścieramy. Ale oni są zawodowcami, a my zwykłymi ludźmi. To jest najgorsza część okupacji... To, co pod jej przymusem musimy wyrządzać samym sobie. Ta redukcja, ta standaryzacja, to uduernianie... Jest takie słowo?

– Właśnie powstało.

– Więc to uduernianie, ta idiotyzacja... Kiedy ją osiągniemy – jeśli osiągniemy – będzie naszym zbawieniem. Wtedy nie będzie już można nas pokonać. Najpierw będzie naszym zbawieniem, a potem... gdy już zwyciężymy... będzie naszym przekleństwem. Najpierw *Azadi*, potem anihilacja. Taki jest wzorzec.

Tilo nic nie odpowiedziała.

– Słyszałaś?

– Oczywiście.

– Ja się tak wywnętrzam, a ty nic nie mówisz.

Popatrzyła na niego i przycisnęła kciuk do małego, odwróconego V pomiędzy jego ukruszonymi przednimi zębami. Chwyił ją za rękę i pocałował srebrną obrączkę.

– Taki jestem szczęśliwy, że ciągle ją nosisz.

– Utknęła. Nie mogę jej już zdjąć, nawet gdybym chciała.

Musa się uśmiechnął. Palili w milczeniu, a kiedy skończyli, Tilo zaniósła popielniczkę do okna i wrzuciła niedopałki do wody, aby dołączyły do innych pływających po niej, potem zaś spojrzała w niebo, zanim wróciła do łóżka.

– Właśnie zrobiłam bardzo nieładną rzecz. Przepraszam.

Musa pocałował ją w czoło i wstał.

– Jedziesz?

– Tak. Przyplynie po mnie łódź z ładunkiem szpinaku, melonów, marchewki i pędów lotosu. Będę się nazywał chyba Haenz... I będę sprzedawał moje produkty na wodnym rynku. Torpeduję konkurencję, bezlitośnie licytuję się z gospodyniami domowymi. A dzięki chaosowi przygotowuję sobie drogę odwrotu.

– Kiedy cię znowu zobaczę?

– Ktoś do ciebie przyjdzie. Kobieta imieniem Khadidża. Możesz jej zaufać. Idź z nią. Będziesz podróżować. Chcę, żebyś zobaczyła wszystko, poznała wszystko, będziesz bezpieczna.

- A kiedy ciebie zobaczę?
 - Szybciej, niż się spodziewasz. Znajdę cię. *Chuda Hafiz, Babadzana.*
- I już go nie było.
- *

Z rana Gulrez przygotował jej kaszmirskie śniadanie. Gumiate chlebki *lawasa roti* z masłem i miodem. Herbata *kahla* niesłodzona, ale z pokruszonymi migdałami, które musiała wyjadać z dna filiżanki. Aga i Chanum prezentowały pożałowania godne obyczaje, skacząc po stole jadalnym, zrzucając sztuce, rozsypując sól. Dokładnie o dziesiątej przyjechała Khadidża ze swymi dwoma młodymi synami. Pokonali jezioro *śikarem*, a przez miasto przejechali w czerwonym maruti 800.

Przez następnych dziesięć dni Tilo podróżowała po dolinie Kaszmiru, każdego dnia mając innych towarzyszy, czasami mężczyzn, czasami kobiety, czasami rodziny z dziećmi. Była to pierwsza z wielu podróży, które odbyła w ciągu kilku lat. Przemieszczała się autobusem, wynajętymi taksówkami, czasami samochodami osobowymi. Odwiedzała miejsca, które stały się atrakcjami turystycznymi dzięki indyjskiemu kinu: Gulmarg, Sonmarg, Pahalgam i dolinę Betab, dolinę, która w istocie została nazwana od tytułu nakręconego tu filmu. Hotele, w których zwykły się zatrzymywać gwiazdy filmowe, stały puste, gniazdka dla młodych par (w których, jak żartowali jej towarzysze, poczuci zostali ich prześladowcy) marniały opuszczone. Przeszła po łące, na której przed rokiem sześcioro turystów – amerykańskich, brytyjskich, niemieckich i norweskich – zostało porwanych przez Al--Faran, nowo powstałe ugrupowanie bojowników, o którym niewielu ludzi słyszało. Pięć osób z tych sześciu zostało zamordowanych, jedna uciekła. Młodego Norwega, poetę i tancerza, ścięto, a jego ciało zostawiono na łące w Pahalgam. Przed śmiercią, gdy porywacze przenosili go z miejsca na miejsce, zostawiał poetyckie ślady na skrawkach papieru, które udawało mu się wciskać ludziom spotkanym po drodze.

Pojechała do doliny Lolab, uważanej za najpiękniejsze i najbardziej niebezpieczne miejsce w całym Kaszmirze, w którego lasach pełno było bojowników, żołnierzy i niczemnych Ichwanich. Przeszła mało znaną leśną dróżką obok Rafiabadu, biegnącą tuż obok Linii Kontrolnej, a prowadzącą trawiastymi brzegami górskich potoków – z których piła wodę, przyklękając na czworakach i chlepcząc niczym spragnione zwierzę, podczas gdy wargi siniały jej z zimna. Odwiedziła wioski, na których skraju znajdowały się sady i cmentarze, nocowała w chłopskich chałupach. Musa pojawiał się i znikał bez zapowiedzi. Siedzieli przy ognisku w pustym kamiennym szałasie wysoko w górach, który w lecie wykorzystywali pasterze Gujjar, kiedy wracali z owcami z równin. Musa, wskazawszy drogę, z której często korzystali bojownicy, aby przekroczyć Linie

Kontrolną, powiedział:

– Berlin miał mur, my mamy najwyższe na świecie pasmo górskie. Nie upadnie, ale będzie ukruszone.

W domu w Kupwarze Tilo zobaczyła starszą siostrę Mumtaza Afzala Malika – jej mąż, trzeba trafu, prowadził taksówkę podwożącą Salima Godźriego do obozu, w którym go zamordowano. Opisywała, jak ciało brata zostało znalezione w polu w stanie skurczu pośmiertnego, z zaciśniętymi w pięściach grudkami ziemi i żółtymi kwiatuśkami gorczycy.

Ze swej wyprawy do doliny Tilo powróciła na HB *Şahin* samotnie. Pożegnali się z Musą zwyczajnie, jak gdyby nigdy nic. Tilo szybko się nauczyła, że w tych sprawach zwyczajność i żart są bardzo poważne, powaga zaś jest najczęściej zapowiedzią żartu. Mówili do siebie szyframi nawet wtedy, gdy nie musieli – w ten sposób Amrik Singh stał się „Kałanem”. Nie odbyła się żadna formalna uroczystość, niemniej tytuł, o którym żartowali, został nadany i zaakceptowany. Nawet jeśli Tilo obojętnie odnosiła się do hasła *Azadi ka matlab kja? La ilaha illalla*, z pewnością mogła być słusznie nazwana Wrogiem Państwa. Skoro tego dnia, kiedy wróciła, Gulrez nakrywał stół dla dwóch osób, wiedziała, że będzie Musa.

Zjawił się późnym wieczorem, wyraźnie zaaferowany. Powiedział, że w mieście są poważne kłopoty. Włączyli radio.

Grupa Ichwanich zabiła jakiegoś chłopca, ale ciało zniknęło. Wybuchły protesty, w czasie których zastrzelono czternaście osób. Trzech bojowników w trakcie „wymiany ognia” zostało zabitych. Trzy posterunki policji podpalamo. Sumaryczna liczba ofiar tego dnia wynosiła osiemnaście.

Musa jadł szybko i zaraz wstał od stołu. Mruknął jakieś pożegnanie do Gulreza. Pocałował Tilo w czoło.

– *Chuda Hafiz, Babadžana*. Podróżuj spokojnie.

Poprosił, aby została w środku i nie wychodziła na zewnątrz, by go pożegnać. Nie posłuchała. Wyszła na chwiejną, prowizoryczną przystań, przy której czekała mała łódka wiosłowa. Musa wskoczył do niej i położył się płasko na dnie. Wioślarz przykrył go trzcinową matą i starannie umieścił na niej puste koszyki oraz kilka worków warzyw. Tilo patrzyła, jak łódź oddala się z leciutkim szelestem wioseł, wioząc jej ukochany ładunek. Nie skierowała się poprzez jezioro na bulwar, lecz popłynęła wzdłuż niekończących się linii łodzi mieszkalnych i zniknęła w oddali.

Bardzo przejęła się myślą o Musie leżącym na dnie łodzi, przykrytym pustymi koszykami. Miała wrażenie, że jej serce jest szarym kamyczkiem w górskim potoku – nieustannie przelewa się po nim coś lodowatego.

Położyła się, nastawiwszy wcześniej budzik, aby złapać autobus do Dżammu. Na szczęście trzymała się kaszmirskiego protokołu – nie dlatego, że

bardzo się nim przejęła, ale z uwagi na to, iż była zbyt zmęczona, aby się rozebrać. Słyszała, jak Gul--kak krząta się, przekładając talerze i pomru-kując.

*

Zbudziła się niecałą godzinę później – nie z nagłą, lecz stopniowo, przedzierając się przez warstwy snu – najpierw był to dźwięk, a potem jego brak. Najpierw pomruk silników, które zdawały się nadciągać ze wszystkich kierunków. Potem zostały wyłączone i zapadła nagła cisza.

„Motorówki. Wiele”.

Coś stuknęło o HB *Şahin*, która się zakołysała. Lekko.

Tilo była już na nogach, przygotowana na kłopoty, kiedy drzwi do pełnej posażków, haftów i drobiazgów sypialni zostały wysadzone kopniakiem i pokój zapełnił się uzbrojonymi żołnierzami.

Wszystko, co nastąpiło w ciągu najbliższych godzin, działo się albo bardzo szybko, albo bardzo powoli. Sama nie potrafiła odróżnić jednego od drugiego. Obraz był jasny, dźwięk wyraźny, ale jakby z dystansu. Uczucia pozostały daleko z tyłu. Zakneblowano ją, skrępowano, a pokój przeszukano. Popchnięta korytarzem do jadalni, minęła leżącego na podłodze Gul--kaka, którego kopało i biło co najmniej dziesięciu mężczyzn.

Gdzie on jest?

Nie wiem.

Kim jesteś?

Gulrez. Gulrez. Gulrez Abru. Gulrez Abru.

Za każdym razem, gdy mówił prawdę, otrzymywał jeszcze cięższy cios.

Jego skowyt ugodził wprost w jej ciało niczym oszczep i pomknął na jezioro. Kiedy jej oczy przywykły do panującej na zewnątrz ciemności, zobaczyła całą flotyllę pełnych żołnierzów łódek, które kołysały się na ciemnej wodzie; nawodny odpowiednik „szczelnego przeszukania”. Były dwa koncentryczne półkola, w zewnętrznym znajdowały się siły główne, w wewnętrznym – pomocnicze. Żołnierze z grupy pomocniczej stali w łodziach, dźgając wodę nożami przymocowanymi do długich drągów, zaimprovizowanymi harpunami, aby upewnić się, że ten, po którego przyszli, nie ucieknie pod wodę. (Wielkim blamażem stała się niedawna, ale już legendarna ucieczka Haruna Gade – Haruna Ryby – który uciekł, mimo że oddział specjalny był przekonany, iż nakrył go w kryjówce na brzegu jeziora Wular. Jedyłą możliwą drogę odwrotu stanowiło jezioro, na którym wodni komandosy zaczęli się na niego. Harun Gade zdołał umknąć pod wodą, schowawszy się pod kępą trzciny, a kawałek bambusu używając jako komina powietrznego. Trwał tak niezauważony przez kilka godzin, aż zniechęceni prześladowcy oddalili się).

Łódź, którą przyplłynął oddział, stała przy pomoście, czekając, aż

pasażerowie wrócą z trofeum. Operacją dowodził wysoki sikh, mający na głowie ciemnozielony turban. Tilo słusznie uznała, że jest to Amrik Singh. Została wepchnięta na łódź, gdzie zmuszono ją, by usiadła. Nikt się do niej nie odezwał. Nikt z sąsiednich pływających domów nie wyszedł, aby sprawdzić, co się dzieje. Każdy z nich został już przeszukany przez mały oddział żołnierzy.

Po chwili przywleczono Gulreza. Nie mógł chodzić, więc go ciągnęli. Jego wielka głowa, skryta teraz pod kapturem, zwisała do dołu. Posadzono go naprzeciw Tilo. Wszystkim, co z niego widziała, były kaptur, *pheran* i buty. Tak naprawdę kaptur nie był kapturem, lecz torbą po ryżu basmati. Gul--kak milczał; wydawało się, że jest mocno poturbowany. Nie mógł siedzieć bez podparcia. Podtrzymywali go dwaj żołnierze. Tilo miała nadzieję, iż stracił świadomość.

Konwój odpłynął w tym samym kierunku, w jakim oddaliła się łódka Musy – obok ciągnących się nieskończenie ciemnych, pustych domów wodnych – po czym skręcił na coś, co wydawało się trzęsawiskiem.

Nikt się nie odzywał i przez jakąś chwilę trwała cisza, zakłócana tylko pomrukiem silników motorówek i żalonym miauczeniem, które wypełniało noc i drażniło żołnierzy. Wydawało się, że miauczenie podąża razem z nimi, na łódce jednak nie było ani śladu kota. Ostatecznie został znaleziony: arlekin Chanum w jednej z kieszeni Gulreza. Żołnierze wyjęli go i cisnęli do jeziora, jak gdyby był jakimś śmieciem. Frunął w powietrzu, skomląc z wystawionymi zębami i pazurami, zupełnie jakby chciał całkiem sam zaatakować całą armię Indii. Zatonął bezdźwięcznie. Taki był koniec innego *bewakufa*, który nie wiedział, jak żyć jako *mintri*. (Jego bliźniak Aga przeżył – aczkolwiek nie udało się ustalić, czy jako kolaborant, czy zwykły obywatel, czy też mudzahedin).

Księżyc stał wysoko i poprzez zarośla trzciny Tilo mogła zobaczyć sylwetki łodzi, mniejszych niż te przeznaczone dla turystów. Koślawa drewniana konstrukcja z rozklekotaną drewnianą werandą – wodna arkada handlowa, która nie widziała klientów od lat, a ledwie się jeszcze unosiła na zbutwiałych palach nad wodą. Sklepy, apteka, salon dla wykwintnych dam, a także kilka „centrów” lokalnego rzemiosła. Małe czółna przymocowano u brzegu czegoś, co wyglądało jak bagniste wysepki, upstrzone starymi, zrujnowanymi, drewnianymi chatkami. W martwej ciszy, która zaległa nad bagniskiem, jedynym znakiem tego, że nie jest ono całkowicie wyludnione, były trzaski radia i od czasu do czasu jakiś fragment piosenki, który nadpłynął od połamanych cieni. Łódka głęboko pogrążyła się w wodzie. Ta część jeziora była pokryta zielskiem, tak że wszystko wydawało się nierealne – jak gdyby sunęli przez ciemny, miękki trawnik. Wszędzie dało się dostrzec śmieci z porannego targu warzywnego.

Tilo myślała tylko o tym, że mała łódeczka Musy, która wzięła ten sam kurs godzinę wcześniej, pozbawiona była motoru.

Błagam, Boże, kimkolwiek jesteś i gdziekolwiek jesteś – spowolnij nasz

ruch. Daj mu czas na ucieczkę. *Wolniejwolniejwolniejwolniejwolniejwolniej*
*

Ktoś usłyszał jej modlitwę. Nieprawdopodobne, aby był to Bóg.

Amrik Singh, który wsiadł do tej samej łódki co Tilo i Gulrez, wstał i gestami odprawił eskortujące łodzie, pokazując, że mają płynąć prosto. Kiedy te się odłączyły, wskazał sternikowi, że teraz ma skręcić w lewo, w wodny przesmyk tak wąski, że musieli zwolnić i dosłownie przedzierać się przez trzciny. Po dziesięciu minutach dławienia się w zielsku łódka znów wypłynęła na otwartą wodę. Ponownie skręcili w lewo. Sternik wyłączył motor i przybili do brzegu. To, co potem nastąpiło, wyglądało jak ciąg rutynowych czynności. Nie wydawało się, by komukolwiek potrzebne były rozkazy. Podnieśli Gulreza i przeciągnęli przez kilka stóp wody. Jeden z żołnierzy został w łódce razem z Tilo. Reszta, razem z Amrikiem Sin-ghiem, wysiadła na brzeg. Tilo mogła rozpoznać zarysy jakiegoś zniszczonego domu. Jego dach się zapadł, a księżyc przeświecał poprzez szkielet ciemniejących w nocy krokwi. Świetliste serce w prostokątnej klatce piersiowej.

Wystrzał, po którym nastąpiła mała eksplozja, wyrwał ptaki z gniazd. Przez jakąś chwilę niebo było pełne czapli, kormoranów, sieweczek, czajek, wydzierających się tak, jakby już nastał dzień. Ale odegrały one tylko swoją rolę, po czym znowu opadły. Dziwne godziny i niezwykle dźwiękowy akompaniament okupacji też stały się dla nich kwestią rutyny. Żołnierze powrócili bez Gulreza, ale nieśli ciężki, bezkształtny worek, którego nie mógł dźwignąć jeden człowiek.

W ten sposób więzień, który opuścił łódkę jako Gul--kak Abru, powrócił jako śmiertelne szczątki straszliwego bojownika, komandora Gulreza. Złapanie go i zabicie miało przysporzyć mordercom trzysta tysięcy rupii.

Liczba ofiar tego dnia wynosiła aktualnie osiemnaście plus jeden.

*

Teraz Amrik Singh usadowił się w łodzi dokładnie naprzeciwko Tilo.

– Kimkolwiek pani jest, zostanie oskarżona o pomaganie terrorystom. Nic się pani jednak nie stanie, jeśli powie nam pani wszystko. – Mówił łagodnie w hindi. – Niech pani sobie wszystko przypomni powoli i starannie, chcemy poznać wszelkie detale. Zna go pani. Jak pani go poznała. Gdzie pani była, kogo pani spotykała. Wszystko. Ale na razie się nie śpieszmy. Ach, i musi pani wiedzieć, że my te detale znamy. Nie zależy nam na tym, by nam pani pomogła; my tylko panią sprawdzamy.

Te same bezdenne, puste czarne oczy, które udawały rozbawienie z powodu tego, że zapomniał pistoletu w domu Musy, teraz wpatrywały się w Tilo, na zalanym księżycowym światłem trzęsawisku. Ten wzrok wyzwolił coś w jej krwi: niemą wściekłość, jakiś uporczywy, samobójczy impuls. Idiotyczne postanowienie,

że nie powie nic, cokolwiek się stanie.

Na szczęście nie została wystawiona na próbę, nigdy do tego nie doszło.

Tym razem rejs łódki trwał jakieś dwadzieścia minut. Pod drzewem zaparkowane były opancerzony wóz patrolowy i otwarta wojskowa ciężarówka. Czekwały tu, aby zawieźć ich do Shirazu. Zanim wsiedli, Amrik Singh wyjął knebel z ust Tilo, ale nie rozwiązał jej rąk.

W holu kinowym, nawet o tej godzinie zatłoczonym jak przystanek autobusowy, Tilo została przekazana P.P. Pinky, którą wyrwano ze snu, aby zajęła się tak niezwykłym więźniem. Aresztowanej nie zarejestrowano. Nie spytano jej nawet o nazwisko. P.P. Pinky przepuściła ją za blat recepcyjny, na którym dziewięć miesięcy wcześniej Musa zostawił Amrikowi Singhowi butelkę whisky Red Stag. Tilo minęła również reklamy czekoladek Cadbury, lodów Kwality, a także wyblakłe plakaty *Ćandni*, *Mene Pjar Kija*, *Parinda* i *Lwa pustyni*. Przeszli między rzędami ostatniej dostawy związanych, pobitych mężczyzn, a także koło cementowych kangurowych śmietniczek, weszli na widownię, minęli zaimprovizowane boisko do badmintona, otworzyli drzwi tuż koło ekranu, a potem następne, które prowadziły na dziedziniec. Pojawiało się trochę rozbawionych spojrzeń i rzucanych szeptem sprośnych uwag, kiedy kobiety kierowały się do głównego centrum przesłuchań w Shirazie.

Było to osobne pomieszczenie, niemający żadnych cech szczególnych długi, prostokątny pokój, którego wyróżnik stanowił smród. Zapach uryny i potu był przytłumiony przez mdląco słodką woń zastarzałej krwi. Chociaż napis na drzwiach obwieszczał: „Centrum przesłuchań”, tak naprawdę było to centrum tortur. W Kaszmirze „przesłuchanie” nie było prawdziwą kategorią. „Przepytanie” oznaczało kilka ciosów i kopniaków, natomiast „przesłuchanie” oznaczało tortury.

Do pokoju prowadziły tylko jedne drzwi, ale nie było w nim żadnego okna. P.P. Pinky podeszła do biurka w kącie, wyciągnęła z szuflady kilka czystych kartek papieru oraz długopis i z trzaskiem położyła je na blacie.

– Nie marnujmy swojego czasu. Pisz. Wróć za dziesięć minut.

Rozwiązała Tilo ręce i wyszła, trzaskając drzwiami.

Tilo odczekała, aż ustąpi drętwota i krew zacznie znowu krążyć w palcach jej dłoni, po czym sięgnęła po długopis. Pierwsze trzy próby pisania nie powiodły się. Ręce tak jej się trzęsły, że sama nie mogła odczytać swojego pisma. Zamknęła oczy i przypomniała sobie lekcje oddychania. To pomogło. Wyraźnymi literami napisała:

Proszę się skontaktować z panem Biplabem Dasguptą, zastępcą kierownika stacji India Bravo, i przekazać mu następującą wiadomość: G--A--R--S--O--N H--O--B--A--R--T.

Czekając, aż wróci P.P. Pinky, przyjrzała się pokojowi. Na pierwszy rzut oka mógł się wydawać jakąś zapuszczoną komórką narzędziową, do której wepchnięto

kilka warsztatów stolarskich i porozrzucano na nich młotki, śrubokręty, obcęgi, sznury, trochę nadkruszonych betonowych słupków, jakieś rury, miskę brudnej wody, kanistry benzyny, metalowe lejki, druty, listwy elektryczne, zwoje drutu, pręty wszystkich rozmiarów, kilka łopat, łom.

Na półce stał słoje sproszkowanego czerwonego chili. Podłoga była zaśmiecona niedopałkami papierosów. Przez ostatnie dziesięć dni Tilo nauczyła się dosyć, aby wiedzieć, że te zwykłe rzeczy łatwo mogą być użyte do niezwykłych celów.

Wiedziała, że słupki były narzędziem ulubionej w Kaszmirze formy tortur. Na związanych więźniach dwóch mężczyzn używało ich jako wałków, które przetaczane po ciele, dosłownie miażdżyły mięśnie. Najczęściej efektem „słupkowania” było poważne uszkodzenie nerek. Miska służyła do podtapiania, obcęgi do zrywania paznokci, druty do poddawania męskich genitaliów wstrząsom elektrycznym, sproszkowanym chili najczęściej pocierano palik wciskany do odbytu więźniów albo też mieszano je z wodą i wlewano im ją do gardeł. (Wiele lat później inna kobieta, Lowlin, żona Amrika Singha, popisała się niezwykłą znajomością tych metod w swoim podaniu o azyl w Stanach Zjednoczonych. Ta właśnie komórka narzędziowa była jej polem badawczym, z tym tylko małym wyjątkiem, że nie odwiedziła jej jako ofiara, lecz jako małżonka arcyoprawcy, którą wprowadzano po biurze jej męża).

P.P. Pinky powróciła wraz z majorem Amrikiem Singhiem. Tilo z mowy ciała i ze sposobu, w jaki się porozumiewali, wywnioskowała, że łączy ich związek bliższy niż tylko współpraca. P.P. Pinky wzięła kartkę papieru i odczytała zapiski Tilo głośno, wyraźnie i z niejakim trudem. Czytanie nie było jej mocną stroną. Amrik Singh odebrał jej papier. Tilo zobaczyła, że wyraz jego twarzy się zmienił.

– Kim on jest dla pani, ten Dasgupta?

– Przyjacielem.

– Przyjacielem? Z iloma facetami naraz możesz się ruchać? – To była P.P. Pinky.

Tilo nie zareagowała.

– Zadałam ci pytanie. Z jak wieloma facetami możesz się pierdolić naraz?

Milczenie Tilo wyzwoliło ciąg przekleństw, jakich można się było spodziewać (Tilo rozpoznała między nimi słowa „czarna”, „kurwa” i „dżihadystka”), po czym pytanie zostało znowu zadane. Ciągłe milczenie Tilo nie miało nic wspólnego z odwagą czy jakimś postanowieniem – wiązało się z brakiem wyboru. Gorąca krew zupełnie ją zamknęła.

P.P. Pinky dostrzegła uśmiezek na twarzy Amrika Singha; najwyraźniej podobał mu się opór stawiany przez ofiarę. Mina ta stanowiła dla niej tyle, co całe księgi, a doprowadzała ją do furii. Singh wyszedł z papierem, a zamykając drzwi, powiedział:

– Wydobądź, co się da. Żadnych zewnętrznych śladów. Podała nazwisko wyższego oficera. Muszę to sprawdzić. Wygląda na nonsens, ale na wszelki wypadek na razie żadnych śladów.

„Żadnych śladów” – to stanowiło dla P.P. pewien problem. Nie była wytrenowanym dręczycielem. To, czego się nauczyła, zebrała w pośpiechu na polu bitwy, a „żadnych śladów” stanowiło dworność, która nie obejmowała Kaszmiru. Nie wierzyła, że polecenie Amrika Singha miało cokolwiek wspólnego z wyższym oficerem. Podchwyciła to spojrzenie, a wiedziała, co pociągało go w kobietach. Konieczność ograniczania się była obrazą dla jej godności i wcale nie pomagała okiełznać temperamentu. Ciosy i kopniaki (które podpadały jeszcze pod kategorię „przesłuchania”) nie wydobyły z więźniarki nic; trwała pozbawiona wyrazu, martwa cisza.

Godzinę zabrały Amrikowi Singhowi zlokalizowanie Biplaba Dasgupty i rozmowa z nim na gorącej linii w Leśnym Gnieździe w Daćigam, jakieś dwadzieścia kilometrów pod Śrinagarem. Fakt, że tamten był częścią weekendowej świty Gubernatora, alarmował. Nie ulegało wątpliwości, że kobieta go znała. I to dobrze. Zastępca kierownika India Bravo świetnie się orientował, co znaczy G--A--R--S--O--N H--O--B--A--R--T. Ale drapieźnik w Amriku Singhu wyczuwał najdrobniejsze niuansy. Wiedział, że być może wpadł w duże, nawet wielkie kłopoty, ale nie było za późno, aby całą rzecz odkręcić. Istniała przestrzeń do manewrów. Spiesznie wrócił do pokoju przesłuchań; musiał zapobiec dalszym szkodom. Odrobinię się spóźnił, ale jeszcze nie wszystko było stracone.

P.P. Pinky znalazła okrężną, osławioną już drogę, by obejść trudność. Sięgnęła po wstępną karę, jaką wymierzało się „kobiecie, którą trzeba czegoś nauczyć”. Jej mściwość nie miała wiele wspólnego z antyterroryzmem czy Kaszmiem, no może z tym wyjątkiem, że było to miejsce, w którym wykluwała się wszelka podłość.

Mohammed Subhan Hadżam, obozowy fryzjer, właśnie wychodził, gdy z impetem wpadł Amrik Singh.

Tilo siedziała na stołku ze zwieszonymi ramionami. Jej długie włosy, w krętych, już nie jej, splotach, leżały na podłodze, zmieszane z brudem i niedopałkami papierosów. Podczas strzyżenia Subhanowi Hadżamowi udało się wyszeptać:

– Przepraszam, *madam*, bardzo przepraszam.

Amrik Singh i P.P. Pinky mieli kłótnię kochanków, która omal przerodziła się w bójkę. Kobieta nawet w gniewie nie traciła hardości.

– A gdzie jest niby przepis zabraniający strzyżenia na łyso?

Amrik Singh rozwiązał Tilo i pomógł jej wstać. Nader widowiskowo otrzepywał jej włosy z ramion. Położył przy tym ochronnym gestem wielką rękę na огоłoczonej głowie – błogosławieństwo rzeźnika. Tilo potrzebowała kilku lat, by

przewyciężyć w sobie obsceniczność tego gestu. Kazał przynieść kominiarkę, aby ochronić jej głowę.

– Bardzo za to przepraszam. To nie powinno się zdarzyć. Postanowiliśmy panią zwolnić. Co się stało, to się stało. I niech pani o tym milczy, ja także zachowam milczenie. Jeśli zacznie pani mówić, przemówię i ja, a wtedy pani i pani przyjaciel, oficer, będziecie mieli wielkie kłopoty. Współpraca z terrorystami to nie byle co.

Przyniesiono kominiarkę wraz z małym, różowym pudełeczkiem pudru Pond's Dreamflower. Amrik Singh upudrował Tilo jej ogoloną głowę. Kominiarka śmierdziała gorzej niż zdechła ryba, ale Tilo się nie sprzeciwiała. Wyszli z centrum przesłuchań i pokonali dziedziniec, a potem po schodkach przeciwpożarowych weszli do małego biura. Było puste. Amrik Singh oznajmił, że to biuro Aśfaka Mira z Grupy Operacji Specjalnych, który był zastępcą dowódcy obozu. W tej chwili był zaangażowany w jakąś operację, ale szybko wróci, aby przekazać ją osobie, którą przyśle sir Biplab Dasgupta.

Tilo grzecznie odrzuciła złożoną przez Amrika Singha propozycję herbaty, a nawet wody. Zostawił ją w pokoju, który najwyraźniej był obmyślony tak, aby rozdział dokończył tę część historii. Widziała go po raz ostatni – do chwili, gdy rozłożyła poranną gazetę ponad szesnaście lat później, aby przeczytać informację, iż zastrzelił siebie, żonę i trzech synów we własnym domu gdzieś w Stanach Zjednoczonych. Trudno jej było powiązać tę fotografię opasłego, pyzatego, gładko ogolonego mężczyzny o przerażonych oczach z człowiekiem, który zamordował Gul--kaka, a potem starannie, niemal czule pudrował jej ogoloną głowę.

Czekała w pustym biurze, wpatrzona w białą tablicę z listą nazwisk, przy których powtarzało się: (zabity), (zabity), (zabity). Był też plakat na ścianie, który głosił:

Trzymamy się własnych reguł. Jesteśmy okrutni. Zabójczy pod każdym względem. Powstrzymywacze fal. Igramy z burzami. I słusznie odgadłeś Jesteśmy Ludźmi w mundurach.

Przyszło czekać dwie godziny, zanim w drzwiach zjawiał się Naga, któremu towarzyszył rozradowany Aśfak Mir, ciągnący za sobą zapach wody kolońskiej. Trzeba było następnej godziny, aby Aśfak Mir odegrał swoją pełną teatralnych gestów rolę, w której znalazły się i opowieść o rannym bojowniku Laśkar jako jego egzemplarzu pokazowym, i miejsce na omlety oraz kebaby, a także ceremonialne „przekazanie”. Przez cały ten czas w Shirazie, jak również podczas jazdy pustymi ulicami do Ahdoos, z Nagą trzymającym ją za rękę, Tilo potrafiła myśleć tylko o głowie Gul--kaka, zwisającej w torbie Surya Brand Bismati Rice (i z jakiejś przyczyny to rączki, właśnie rączki torby, wydawały się wręcz nikczemne), jak również o Musie leżącym na dnie małej łódki, pod osłoną pustych koszyków, odpływającym w wieczność.

Naga bardzo taktownie zarezerwował jej w Ahdoos pokój obok niego. Spytał, czy chciałaby, by z nią został („w sensie zupełnie towarzyskim”, jak nie omieszkał podkreślić), a kiedy powiedziała „nie”, przygarnął ją i dał jej dwie poduszki do spania. („A może wolałabyś jointa? Mam jednego skręconego i gotowego do odpalenia”). Zadzwoił, aby przyniesiono jej dwa wiadra gorącej wody. Była ujęta tą jego troskliwością i uprzejmością. Nigdy dotąd się z nią nie spotkała. Zostawił jej wyprasowaną koszulę i parę spodni, na wypadek gdyby chciała na zmianę. Zasugerował, aby wzięli popołudniowy lot do Delhi. Powiedziała, że musi się jeszcze zastanowić. Na pewno nie mogła wyjechać bez żadnej wiadomości o Musie. Po prostu nie mogła. A wiedziała, że ta wiadomość nadejdzie. Jakoś nadejdzie. Leżała na łóżku, nie mogąc zamknąć oczu, niemal zbyt przerażona, aby mrugnąć, lękała się bowiem, jaki widok przyszedłby jej powitać, gdyby z nagłą przed nią stanął. Jakaś jej część, której nie rozpoznawała, pragnęła wrócić do Shiraz i stoczyć równą walkę z P.P. Pinky. Było to zupełnie jak wymyślenie sprytnej odpowiedzi długo po tym, gdy okazja już minęła. Pomyślała też, że to właściwie marne i podłe. P.P. Pinky była brutalną, nieszczęśliwą kobietą. Nie była Apaczem, maszyną do mordowania. Skąd więc to chybione wyobrażenie odwetu?

Żałowała swoich włosów. Już nigdy nie zpuści ich takich długich. Ku pamięci Gul--kaka.

Było około dziesiątej rano, gdy pochwyciła ciche, ledwie słyszalne pukanie do drzwi. Myślała, że to Naga, tymczasem była to Khadidża. Ledwie się znały nawzajem, nie istniał jednak na świecie nikt (oprócz Musy), czyj widok bardziej uszczęśliwiłby Tilo. Khadidża szybko wyjaśniła, jak znalazła Tilo: „My także mamy swoich ludzi”. W tym przypadku byli to sternik jednej z łódek z kordonu szczelnego przeszukania oraz ludzie z sąsiednich łodzi mieszkalnych, którzy wzdłuż całej drogi przejazdu na bieżąco przekazywali sobie informacje. W kinie Shiraz był to fryzjer, Mohammed Subhan Hadżam. A w Ahdoos jeden z chłopców pokojowych.

Khadidża przynosiła nowiny. Armia ogłosiła, że pochwyciła i zabiła straszliwego komendanta Gulreza. Musa był ciągle w Śrinagarze. Zjawi się na pogrzebie. Bojownicy z różnych grup ściągają, aby oddać salwę honorową na cześć komendanta Gulreza. Mogli się bezpiecznie poruszać, ponieważ dziesiątki tysięcy ludzi zamierzały wylec na ulice. Tilo miała się udać do bezpiecznego domu w Khanka--e--Moula, gdzie po pogrzebie spotka się z Musą. Powiedział, że to ważne. Khadidża przyniosła Tilo komplet świeżych ubrań – *salwar kamiz*, *pheran* i hidżab w kolorze limonki. Jej rzeczowość pomogła Tilo wydobyć się z grzęzawiska rozczulania się nad sobą, w którym się pogrążyła. Przypomniała sobie, że znajduje się pośród ludzi, dla których okropieństwa ubiegłej nocy były normalne jak codzienne życie.

Pojawiła się gorąca woda. Tilo wykapała się i nałożyła nowe ubrania. Khadidża pokazała jej, jak upiąć hidżab wokół twarzy. Nadało jej to wspaniały wygląd – przypominała etiopską królową. Podobało jej się to, chociaż wołała swoje dawne włosy. Jej były włosy. Tilo wsunęła kartkę pod drzwi Nagi; oznajmiała, że wróci wieczorem. Dwie kobiety wyszły z hotelu na ulice miasta, które ożywały tylko wtedy, gdy trzeba było pogrzebać zabitych.

Miasto pogrzebowe zniemacka stało się rozbudzone, ożywione, kipiące ruchem. Ulice stały się dopływami, małymi rzekami ludzi, płynącymi wspólnie w jednym kierunku – na Mazar--e--Šohadda. Małe grupki, większe, ludzie ze starego miasta, z nowego miasta, z wiosek i dalej położonych miejscowości – szybko łączyły się ze sobą. Nawet w najmniejszych zaułkach kobiety i mężczyźni, a nawet małe dzieci, wszyscy wołali: „*Azadi! Azadi!*”. Wzdłuż drogi młodzi mężczyźni urządzili stanowiska z wodą i rozstawili wspólnotowe kuchenki, aby przybysze z daleka mieli się gdzie posilić. Rozlewając wodę, napełniając talerze, jedząc i pijąc, oddychając, ludzie szli w jednym rytmie, który tylko oni słyszeli, i wszyscy krzyczeli: „*Azadi! Azadi!*”.

Wydawało się, że Khadidża ma w głowie wyrysowaną mapę bocznych uliczek całego miasta. Wywarło to ogromne wrażenie na Tilo (która sama nie miała w ogóle takiej umiejętności). Poszły długą, okrężną drogą. Okrzyki „*Azadi!*” stały się wibrującym hukiem, który rozbrzmiewał jak zapowiedź sztormu. (Garson Hobart, uwięziony w Daćigam wraz z całą świtą Gubernatora, nie mógł wrócić do miasta do chwili, aż ulice zostaną zabezpieczone, słyszał to przez telefon, który jego sekretarz kierował ku ulicy). Dziewięć miesięcy po pogrzebie panny Dżebin nadchodził następny. Tym razem było dziewiętnaście trumien. Jedna pusta, gdyż Ichwanici wykradli ciało. Jedna pełna była poszarpanych resztek niewielkiego mężczyzny ze szmaragdowymi oczyma, który szedł, aby połączyć się w niebie z Sultaniem, swym kochanym *bewakufem*.

– Chciałabym wziąć udział w tym pogrzebie – powiedziała Tilo do Khadidży.

– Możemy, ale będzie to ryzykowne. Możemy nie zdążyć, a poza tym kobietom nie wolno zbliżać się do grobu. Możemy go odwiedzić później, kiedy wszyscy już się oddalą.

„Kobietom nie wolno. Kobietom nie wolno. Kobietom nie wolno”.

Chodziło o to, by ochronić grób przed kobietami, czy też kobiety przed grobem?

Tilo nie zadała tego pytania.

Po czterdziestu pięciu minutach jeżdżenia tędy i owędy Khadidża zaparkowała samochód; ona i Tilo szybko przeszły przez płataninę wąskich, krętych uliczek w tej części miasta, która wydawała się zespolona na najprzeróżniejsze sposoby: nad ziemią i pod ziemią, poziomo i pionowo, ulicami, po wierzchach dachów i sekretnymi przejściami – jakby tworzyła jeden organizm.

Gigantyczny koral lub mrowisko.

– Ta część miasta jest ciągle nasza – powiedziała Khadidża. – Wojsko nie może tutaj wejść.

Przez małe drewniane drzwi weszły do pustego, wyłożonego zielonym dywanem pokoju. Powitał je bez uśmiechu młody mężczyzna, po czym zaprosił do środka. Szybko przeprowadził je przez dwa pomieszczenia, a kiedy weszli do trzeciego, otworzył coś, co wyglądało jak wielka szafa. W środku ukazały się drzwiczki w podłodze, a pod nimi ciąg stromych, wąskich schodków, które prowadziły do sekretnej piwnicy. Tilo podążyła w dół za Khadidżą. W pomieszczeniu nie było żadnych mebli, natomiast na podłodze leżało kilka materaców i poduszek. Kalendarz na ścianie był sprzed dwóch lat. W kącie upchnięto jej plecak. Ktoś zaryzykował i uratował go z HB *Şahin*. Po schodkach zeszła młoda dziewczyna i rozwinęła plastikową wstęgę *dastarchan*¹⁴. Za nią zjawiła się starsza kobieta z tacą, na której stały herbata, filiżanki, talerz, sucharki i kawałki biszkopta. Wzięła w ręce twarz Tilo i pocałowała ją w policzek. Niewiele padło słów, ale i matka, i córka zostały w pokoju.

Kiedy Tilo skończyła herbatę, Khadidża uklepała materace, na których siedziały.

– Śpij. Przybycie tutaj zabierze mu co najmniej dwie, trzy godziny.

Tilo położyła się i Khadidża okryła ją narzutą. Wyciągnęła rękę i chwyciła pod kołdrą dłoń Khadidży. W latach, które potem nastąpiły, szybko zostały przyjaciółkami. Tilo zamknęła oczy. Pomruk kobiecych głosów, mówiących coś, czego nie rozumiała, był niczym balsam na obtartą skórę.

Ciągle jeszcze spała, kiedy przybył Musa. Usiadł naprzeciw niej ze skrzyżowanymi nogami i przez dłuższy czas wpatrywał się w śpiącą twarz, marząc o tym, aby mógł ją wybudzić do innego, lepszego świata. Wiedział, że wiele czasu upłynie, zanim ją znowu zobaczy. A i to tylko wówczas, gdy będą mieli szczęście.

Nie było wiele czasu. Musiał oddalić się podczas wysokiego przypływu tłumu, gdy ulice ciągle jeszcze będą należały do ludzi. Zbudził ją tak łagodnie, jak tylko potrafił.

– *Babadżana*. Obudź się.

Otworzyła oczy i przyciągnęła go w dół do siebie. Przez dłuższą chwilę nie było nic do powiedzenia. Absolutnie nic.

– Przyszedłem właśnie ze swojego pogrzebu. Oddałem za siebie salwę dwudziestoma jeden strzałami – powiedział Musa.

Potem głosem, który nigdy nie wznosił się ponad szept, albowiem za każdym razem załamywał się pod ciężarem tego, co miał przekazać, Tilo opowiedziała, co się wydarzyło. O niczym nie zapomiała. Nawet o najmniejszej rzeczy. O dźwięku. O uczuciu. Nie zapomiała o żadnym słowie, które zostało albo nie zostało wypowiedziane.

Musa pocałował ją w głowę.

– Nie wiedzą, co zrobili. Nie mają tak naprawdę pojęcia. – Nadszedł już jednak dla niego czas, by odejść. – *Babadżana*, posłuchaj mnie uważnie. Kiedy powrócisz do Delhi, pod żadnym pozorem nie możesz zostawać sama. To byłoby zbyt niebezpieczne. Trzymaj się przyjaciół... może Nagi. Znienawidzisz mnie za to, co powiem, ale albo wyjdź za kogoś, albo wróć do matki. Potrzebna ci osłona. Przynajmniej na jakiś czas. Do chwili, gdy rozprawimy się z Kałanem. Wygramy tę wojnę, a wtedy będziemy już razem, ty i ja. Będę nosił hidżab – chociaż w tym wyglądasz cudownie – i będziesz mogła nosić broń. Dobrze?

– Dobrze.

Oczywiście, sprawy potoczyły się inaczej.

Przed odejściem Musa wręczył Tilo zaklejoną kopertę.

– Nie otwieraj jej teraz. *Chuda Hafiz*.

Upłynęły dwa lata, zanim zobaczyła go znowu.

Słońce nie zaszło jeszcze, kiedy Khadidża i Tilo udały się na Mazar--e--Śohadda. Grób komendanta Gulreza wyróżniał się. Wokół niego postawiono małą bambusową palisadę. Zdobily ją srebrne i złote wstążeczki, a także zielona flaga. Tymczasowa świątynia dla ukochanego bojownika o wolność, który poświęcił swoje „dzisiaj” dla „jutra” innych ludzi. Z daleka przypatrywał się mogile mężczyzna, któremu łzy płynęły po twarzy.

– Były bojownik – rzuciła półgłosem Khadidża. – Całe lata spędził w więzieniu. Biedny człowiek, oplakuje niewłaściwą osobę.

– A może wcale nie – powiedziała Tilo. – Może rzeczywiście cały świat powinien oplakiwać Gul--kaka.

*

Rozrzuciły płatki róży na mogile Gul--kaka i zapaliły świeczkę. Khadidża odszukała groby Arify i panny Dżebin pierwszej i to samo zrobiła dla nich. Khadidża odczytała Tilo napis na grobowcu panny Dżebin.

PANNA DŻEBIN 2 stycznia 1992 – 22 grudnia 1995 Ukochana córeczka Arify i Musy Jeswich

A niemal skryte zupełnie pod spodem było:

Akh dalila wan

Jeth manz ne kahn balai asi

Noa es sa kunni džanglas manz roazan

Khadidża przetłumaczyła to Tilo, ale żadna z nich nie zrozumiała, co to naprawdę znaczyło.

Nieproszone wróciły do Tilo ostatnie wersy wiersza Mandelsztama, który odczytała Musie (choć wolałyby tego nie zrobić).

*Śmierć jest czystsza, bieda jest prawdziwa,
Ale ziemia jest prawdziwsza i straszniejsza.*

Powróciły do Ahdoos. Khadidża nie odeszła, dopóki nie zobaczyła, jak Tilo sadowi się w swoim pokoju. Gdy Khadidży już nie było, Tilo zadzwoniła do Nagi, aby powiedzieć, że wróciła i że kładzie się do łóżka. Z powodu, który nie był dla niej ani trochę jasny, zmówiła małą modlitwę (do niewiadomego boga), zanim otworzyła kopertę, którą dał jej Musa.

A w środku znajdowały się recepta na krople do uszu i fotografia Gul--kaka. Śmiał się do aparatu, mając na sobie koszulkę w kolorze khaki, bojówki i *asal but* Musy. Przez pierś przechodził mu elegancki pas amunicyjny, a na biodrze wisiała kabura. Był uzbrojony po zęby. Z każdej skórzanej fałdy na naboje sterczało zielone chili. Do kabury wbita była soczysta, świeżo wyrwana biała rzepa.

Na odwrocie fotografii Musa napisał: „Nasz ukochany komendant Gulrez”.

W środku nocy Tilo zapukała do drzwi Nagi. Otworzył je i ujął ją w ramiona. Spędzili noc razem w sensie zupełnie towarzyskim.

•

Tilo była nieostrożna.

Wróciła z Doliny, niosąc w sobie okruszek życia.

Byli z Nagą po ślubie już dwa miesiące, kiedy odkryła, że jest w ciąży. Ich małżeństwo nie zostało jeszcze, jak to się mówi, skonsumowane. Nie miała więc najmniejszych wątpliwości co do tego, kim jest ojciec dziecka. Postanowiła je donosić. Czemu nie? Gulrez, jeśli to chłopiec. Dżebin, jeśli dziewczynka. Nie potrafiła sobie wyobrazić siebie jako matki, tak samo jak nie potrafiła wyobrazić sobie siebie jako panny młodej – aczkolwiek była już panną młodą. Zrobiła to i jakoś przetrwała. Czemu więc nie teraz?

Decyzja, którą ostatecznie podjęła, nie miała nic wspólnego z uczuciem do Nagi czy miłością do Musy. Wyniknęła z kwestii bardziej pierwotnych. Martwiła się, że owa mała istota ludzka, którą wyda na świat, będzie musiała się zmagać z tym samym oceanem pełnym dziwnych i niebezpiecznych ryb, jak rzecz się miała z nią w jej stosunkach z matką. Nie mogła ufać sobie, że będzie potrafiła lepiej się wywiązać z obowiązków rodzicielskich niż Marjam Ipe. Kiedy trzeźwo oceniała samą siebie, sądziła, że byłaby o wiele gorsza. Nie chciała odcisnąć siebie na dziecku. I nie chciała odcisnąć na świecie swojej repliki.

Problemem były pieniądze. Miała trochę, ale niedużo. Wyrzucono ją z pracy za nieobecności, a nie udało jej się znaleźć innej. Nie chciała prosić Nagi o żadną pomoc w tym względzie. Dlatego udała się do szpitala państwowego.

Poczekalnia pełna była zrozpaczonych kobiet, które zostały wyrzucone z domów przez mężów, gdyż nie potrafiły począć dziecka. Przyszły, aby poddać się testom płodności. Kiedy dowiedziały się, iż Tilo była tutaj na MPC – medyczne

przerwanie ciąży – nie mogły ukryć swej wrogości i niechęci. Także lekarze nie byli życzliwi. Słuchała niewzruszenie ich wywodów. Kiedy powiedziała, że nie zmieni swojego postanowienia, odparli, że nie mogą jej dać ogólnego znieczulenia, chyba że ktoś, najlepiej ojciec dziecka, podpisze na to zgodę. Oznajmiła, że obejdzie się bez narkozy. Przetrwała jakoś ból i obudziła się na sali ogólnej. Ktoś jeszcze był obok niej w łóżku. Krzyczące z bólu dziecko z chorymi nerkami. W każdym łóżku była więcej niż jedna osoba. Ba, pacjenci leżeli nawet na podłodze; goście i członkowie rodziny, którzy tłoczyli się wokół nich, wydawali się równie chorzy. Spieszący gdzieś doktorzy i zajęte pielęgniarki przedzierali się przez ten chaos. Było tu zupełnie jak w szpitalu polowym. Tyle że w Delhi toczyła się tylko jedna wojna, ta co zawsze: bogactwa z biedą.

Tilo wstała i pokuśtykała z oddziału. Zgubiła drogę na brudnych korytarzach szpitalnych, upchanych chorymi i umierającymi ludźmi. Na parterze spytała niskiego mężczyznę z bicepsami, które jakby należały do kogoś innego, czy mógłby jej pokazać, jak wyjść ze szpitala. Za jego wskazówkami znalazła się na tyłach budynku. Była tu kostnica, a dalej zaniedbany cmentarz muzułmański, którego już chyba nie użytkowano.

Rudawki zwieszały się z gałęzi wielkich, starych drzew niczym oklapłe czarne flagi dawnego protestu. Dookoła nie było nikogo. Tilo usiadła na popękany grobie, usiłując się zorientować w okolicy.

Chudy, łysy mężczyzna w szkarłatnym fartuchu kelnerskim z brzękiem przyjechał na starym rowerze. Do tylnego siodełka miał przymocowany mały bukiet akksamitek. Z kwiatami i szczoteczką podszedł do jednego z grobów. Odkurzywszy go, umieścił na nim kwiatki, stał przez chwilę w milczeniu, a potem spieszenie się oddalił.

Tilo podeszła do grobu. Na ile mogła ocenić, był to jedyny kamień nagrobny mający angielski napis. Mogiła Begam Renaty Mumtaz Madam, tancerki brzucha z Rumunii, która umarła z powodu złamanego serca.

Mężczyzna nazywał się Rośan Lal, miał dzień wolny w Rosebud Rest--O--Bar. Tilo spotkała go po siedemnastu latach, kiedy powróciła na ten cmentarz z panną Dżebin Drugą. Oczywiście go nie poznała. Nie poznała też grobu, ponieważ wtedy nie było to już zapuszczone miejsce zapomnianych pochówków.

Kiedy Rośan Lal odjechał, Tilo ułożyła się na grobie Begam Renaty Mumtaz Madam. Trochę popłakała, a potem zasnęła. Kiedy się obudziła, czuła się lepiej przygotowana na powrót do domu, a także na stawienie czoła reszcie życia.

Na to zaś składały się między innymi cotygodniowe kolacje na parterze z ambasadorem Śiwaśankarem i jego żoną, których opinie na temat wszystkiego, włącznie z Kaszmirem, sprawiały, iż ręce Tilo się trzęsły, a sztucce klekotały o talerz.

Tymczasem narastająca głupota w kraju przyspieszała w niebywałym tempie, nie potrzebowała do tego nawet okupacji wojskowej.

Były jeszcze pory roku. „To także jest podróż”, mówił M., „i tego już nam nie odbiorą”.

Nadieżda Mandelsztam

1 Przeciężni Kaszmirczycy mają jaśniejszy odcień skóry od pozostałych Hindusów.

2 *Appa* – tata.

3 *Tehrik* – „ruch”, tu: w znaczeniu ruchów separatystycznych i radykalnych muzułmańskich przeciw władzy indyjskiej.

4 *As salam alejkum huzur* – „Dzień dobry, panie”.

5 *Śukrija* – „Dziękuję”.

6 W dowcipach o sikhach (grupa religijna w Indiach) zazwyczaj występują dwaj stereotypowi sikhowie, Santa i Banta.

7 „Strój Chana” – zapewne w znaczeniu „strój muzułmanina” (Chan to muzułmańskie nazwisko).

8 *Śikara* – lekka, płaskodenna łódź wiosłowa, używana do transportu i połowów w Kaszmirze, często zaopatrzona w dach chroniący pasażerów od słońca.

9 *Brindźal* – w Indiach i Afryce słowo określające bakłazan.

10 *Džiwe! Džiwe! Pakistan!* – „Niech żyje, niech żyje Pakistan!”

11 L. Cohen, *Winter Lady*, w tłumaczeniu M. Zębatego, z parafrazą ostatniego wersu w pierwszej zwrotce.

12 *Bewakuf* – głupi, głupiec.

13 O. Mandelsztam, *W nocy myję się tu na dworze...* [w:] *44 wiersze i kilka fragmentów*, tłum. J.M. Rymkiewicz, Sic!, Warszawa 2009.

14 *Dastarchan* – kawałek materiału, na którym rozkładane jest jedzenie.

10. Ministerstwo Niezrówanego Szczęścia

Po ubogich dzielnicach szybko rozeszła się wieść o tym, że na cmentarz ściągnęła mądra kobieta. Rodzice z sąsiedztwa cisnęli się, aby zapisać swoje dzieci na lekcje prowadzone przez Tilo w zajeździe Dżannat. Uczniowie nazywali ją Tilo Madam, a czasami Ustanidzi (w urdu „nauczycielka”). Brakowało jej wprawdzie porannego śpiewu dzieci ze szkoły naprzeciw jej apartamentu, jednak swoich nie uczyła *We Shall Overcome* w żadnym języku, ponieważ nie była pewna, czy zwycięstwo znajdowało się w kręgu czyjegokolwiek horyzontu. Natomiast uczyła ich arytmetyki, rysunku, grafiki komputerowej (na trzech używanych komputerach, które kupiła za minimalną pensję, jaką dostawała), podstaw przyrodoznawstwa, angielskiego i ekscentryzmu. Od nich uczyła się urdu, a także po trochu sztuki szczęścia. Pracowała całymi dniami i po raz pierwszy w swoim życiu sypiała spokojnie przez całą noc. (Panna Dżebin Druga spała razem z Andżum). Z każdym kolejnym dniem umysł Tilo coraz mniej wydawał się jednym z „odzysków” Musy. Chociaż każdego dnia planowała, że jutro odwiedzi swój apartament, w którym nie była jeszcze po raz drugi, nic z tego nie wychodziło. Także po otrzymaniu wiadomości od Garsona Hobarta, który przesłał ją przez Andżum i Saddama. Ci poszli tam, ciekawi, gdzie i jak mieszkała owa dziwna kobieta, która spadła w ich życie niczym na spadochronie, a także po to, aby zabrać jakieś jej rzeczy. Płaciła mu wciąż czynsz za mieszkanie, to bowiem wydawało jej się uczciwe do czasu, kiedy zabierze swoje rzeczy. Po kilku miesiącach, gdy nie było żadnej wieści od Musy, zostawiła kartkę u sprzedawczyni owoców, która dostarczyła jej „odzyski”. Także i ona niczego o nim nie wiedziała. Stopniowo zelżał dźwigany przez nią latami ciężar nieustannego oczekiwania, iż z nagłą otrzyma informację o śmierci Musy. Nie dlatego, by mniej go kochała, lecz dlatego, że poobijane cmentarne anioły, które czuwały nad swymi poobijanymi podopiecznymi, trzymały otworem drzwi pomiędzy światami (nielegalnie, ledwie szparę), aby dusze z obecnego i minionego mogły otrzeć się o siebie jak goście na jakimś przyjęciu. To czyniło życie mniej przesądzonym, a śmierć – mniej bezpowrotną. Wszystko dawało się jakoś odrobinę lepiej znieść.

Zachęcony sukcesem i popularnością lekcji Tilo, także Ustad Hamid po raz kolejny zaczął dawać lekcje muzyki uczniom, którzy wydawali mu się obiecujący. Uczestniczyła w nich także Andżum, zupełnie tak, jakby stanowiły one wezwanie do modlitwy. Ciągłe nie śpiewała, ale pomrukiwała, tak jak zwykła to robić wtedy, gdy usiłowała zachęcić Zejnab Bandikota, aby uczyła się śpiewu. Pod pretekstem pomocy udzielanej Andżum i Tilo w opiece nad panną Dżebin Drugą (która szybko rosła, stawała się nieznośna i zepsuta do szpiku kości) Zejnab spędzała teraz całe popołudnia, wieczory, a czasem i noce na cmentarzu. Prawdziwym powodem – którego nikt nie przeoczył – była jej zawrotna miłość do Saddama Husajna. Zejnab

skończyła kurs na politechnice i stała się małą, pulchną znawczynią mody, która szyla stroje wielkim damom. Po Nimmo Gorakhpuri odziedziczyła wszystkie magazyny mody, podobnie jak lokówki i kosmetyki, które zostały rozłożone w pokoju Tilo, aby ją powitać przy pierwszej wizycie. Pierwszą, niewypowiedzianą deklaracją miłości ze strony Saddama było pozwolenie Zejnab na to, aby pomalowała mu kokieteryjnie palce u rąk i nóg na szkarłat, przy czym oboje nieustannie się zaśmiewali. Nie usunął farbki z paznokci u nóg, tak że sama się wykruszyła.

Zejnab i Saddam wspólnie zamienili cmentarz w zoo: arkę Noego okaleczonych zwierząt. Były młody pawik, który nie potrafił fruwać, a także duża pawica, może jego matka, która nie odstępowała go na krok. Były trzy stare krowy, które spały całymi dniami. Pewnego dnia Zejnab rykszą motorową przywiozła kilkanaście klatek, w których umieszczono trzy tuziny papużek falistych, które absurdalnie pomalowano na jaskrawe kolory. Kupiła je w przypiływie złości od sprzedawcy ptaków, który wiozł klatki przytroczone z tyłu roweru, a sprzedawał swój towar na starym mieście. Tak pomalowanych nie wolno uwolnić – oznajmił Saddam – ponieważ barwy te natychmiast przyciągnęłyby uwagę drapieżników. Dlatego też zbudował dla nich wielką, przestronną klatkę, która objęła odległość dwóch grobów. Papużki dokazywały w niej, lśniąc w nocy niczym tłuste świetliki. Mały żółwik, wzgardzona zabawka, którą Saddam znalazł w parku z łodyżką koniczyny w nozdrzu, tarzał się teraz na tarasie we własnym błocie. Klacz Pajal miała za towarzysza okulawionego osła. Ten zwał się Maheś, ale nikt nie wiedział dlaczego. Biru starzał się, lecz potomstwo jego i Towarzyszki Lali mnożyło się i kotłowało wszędzie dookoła. Pojawiło się kilkanaście kotów – po czym zniknęły. Podobnie jak ludzcy goście w zajeździe Dżannat.

Dobrze sprawował się też warzywny ogródek na zapleczu zajazdu, a gleba cmentarza była jakby kompostem pradawnej proweniencji. Chociaż nikt – z wyjątkiem Zejnab – nie zajadał się warzywami, bujnie rosły tam bakłażany, fasola, chili, pomidory, kilka odmian tykw, a wszystkie one, pomimo gęstych wyziewów kładących się na cmentarzu z okolicznych dróg, przyciągały uwagę najróżniejszych motyli. Tych z uzależnionych, którzy wydawali się bardziej sprawni fizycznie, wysyłano do pomocy przy ogródku i zwierzętach. Było to czymś w rodzaju tymczasowego ukojenia.

Andżum wystąpiła z pomysłem, że zajazd Dżannat powinien mieć basen. „Bo czemu nie?”, mówiła z pasją. „Dlaczego tylko bogaci mogą sobie popływać w basenie? Dlaczego nie my?”. Kiedy Saddam zwrócił uwagę na fakt, że w przypadku basenu kluczową kwestią jest woda, a jej brak może okazać się istotnym problemem, Andżum odpowiedziała, że biedacy docenią powstanie basenu nawet bez wody. Kazała zrobić głęboki na kilka stóp wykop wielkości zbiornika na wodę i wyłożyła go niebieskimi kafelkami łazienkowymi. Miała rację.

Ludzie to docenili. Przychodzili, aby obejrzeć i zmówić dzienną modlitwę (*Inśalla Inśalla*¹) – zupełnie tak, jakby był pełen czystej niebieskiej wody.

Tak więc, summa summarum, można było powiedzieć, że stary cmentarz radzi sobie dobrze, mając Ludowy Basen, Ludowe Zoo i Ludową Szkołę. Tyle że tego samego nie można było powiedzieć o *Duniji*.

Stary przyjaciel Andżum, D.D. Gupta, powrócił z Bagdadu – czy też z tego, co po nim pozostało – z budzącymi grozę opowieściami o wojnach i masakrach, bombardowaniach i jatkach na całym terenie, który systematycznie i z rozmysłem zamieniano w piekło na ziemi. Był wdzięczny, że udało mu się ujść z życiem i w ogóle powrócić do domu. Nie miał już serca do ścian przeciwybuchowych i innych takich przedsięwzięć, toteż z radością przyglądał się, jak to zdruzgotane, wyniszczone widmo, które zostawiał za sobą, wyjeżdżając do Iraku, teraz rozkwitało i prosperowało. Razem z Andżum całymi godzinami gawędzili o tym i owym, oglądali w telewizji stare filmy w hindi, niczym budownicy zastanawiali się nad nowymi planami rozwojowymi i konstrukcyjnymi (to on nadzorował budowę basenu kąpielowego). Także pani Gupta zrezygnowała z ziemskich miłości i cały swój czas spędzała z panem Kyszną w swoim nabożnym pokoju do *pudzi*².

Piekło zaczynało się też na froncie domowym. Gudżarat ka Lalla, ośmieszony rankingi, został nowym premierem. Ludzie ubóstwiali go i w niewielkich miasteczkach zaczęły się pojawiać małe świątynie, w których przydawał jako bóstwo. Fascynaci przygotowywali dla niego prążkowane garnitury z delikatnie wyszytym motywem „*LallaLallaLalla*”³. Nakładał je, witając głowy państw. Co tydzień zwracał się bezpośrednio do ludności kraju w bardzo emocjonalnych audycjach radiowych. Swoją wizję Czystości, Cnotliwości i Poświęcenia dla Narodu szerzył przy użyciu wszystkich dostępnych narzędzi: przypowieści, baśni czy najróżniejszych edyktów. Spopularyzował praktykę masowego uprawiania jogi w parkach. Co najmniej raz w miesiącu odwiedzał osiedle biedaków i osobiście zamiatał ulice. Wraz z tym jak rosła jego popularność, stawał się coraz bardziej podejrzliwy i skryty. Nie ufał nikomu i od nikogo nie oczekiwał porady. Żył na co dzień samotnie, jadł w odosobnieniu i z nikim się nie spotykał towarzysko. Aby chronić siebie, wynajął zagranicznych testerów potraw i gwardię osobistą złożoną z obcokrajowców. Wygłaszał dramatyczne oświadczenia i podejmował twarde postanowienia o dalekosiężnych efektach.

Organizacja, która wyniosła go do władzy, nie dopracowała się wyrazistej opinii na temat kultów jednostki, dopracowała się natomiast dalekosiężnej wizji historii. Wspierała go, chociaż po cichu zaczęła przygotowywać następcę.

Szafranowe papugi doczekały się swojej chwili i zostały wypuszczone. Zaroiło się od nich na kampusach uniwersyteckich i w salach sądowych. Przerzywały koncerty, urządzały skandale w salach kinowych i paliły książki. Został

ustanowiony papużany komitet pedagogiki, aby sformalizować proces przekształcania historii w mitologię i mitologii w historię. Wystawiane w Czerwonym Forcie przedstawienie Dźwięk i Światło zostało zwrócone do obróbki warsztatowej. Tylko czekać, a wieki panowania islamu zostaną wymazane z poezji, muzyki i architektury i skurczą się do szczęku mieczy i mrozących krew w żyłach okrzyków wojennych – nietrwających dłużej niż ochryply chichot, z którym Ustad Kulsum Bi wiązała była swe nadzieje. Resztę czasu zabierze opowieść o chwale hindusów. Jak zwykle historia będzie tyleż odsłanianiem przyszłości, ile badaniem przeszłości.

Małe bandy łobuzów, którzy nazwali się „obrońcami hinduskiej wiary”, działały w wioskach, zdobywając, co tylko się dało. Aspiranci polityczni chcieli błyskotliwie rozpocząć karierę, nagrywając i zamieszczając na YouTube filmiki, na których wygłaszali nienawistne przemówienia lub bili muzułmanów. Każdy pogrzeb hinduski czy święto religijne zamieniały się w prowokacyjne parady zwycięstwa. Obok pątników i wyznawców, na pick-upach i motocyklach jechały uzbrojone eskorty, rozglądając się za okazją do wszczęcia bójki w pokojowo nastawionym otoczeniu. Dumnie machali teraz nie szafranowymi, lecz narodowymi flagami, co było sztuczką, której nauczyli się od pana Aggarwala i jego pyzatej gandyjskiej maskotki na Džantar Mantar⁴.

Narodowym emblematem stała się Święta Krowa. Rząd wspierał kampanie propagujące zwiększone używanie moczu krowiego (i jako napoju, i jako detergentu).

Z warowni Lalli wyciekały informacje o ludziach, którzy skazani za jedzenie wołowiny czy zabicie krowy, zostali poddani publicznej chłości, co często kończyło się linczem.

Pamiętając swoje irackie doświadczenia, obyty w świecie pan D.D. Gupta skłonny był przypuszczać, że wszystko to na dłuższą metę skończy się na powstaniu wielkiego rynku zbytu dla ścian przeciwybuchowych.

Nimmo Gorakhpuri przybyła pewnego weekendu ze wzbogacaną za każdym razem opowieścią z czwartej ręki o tym, jak to kuzyni przyjaciela sąsiada zostali pobici na śmierć na oczach rodziny przez tłum, który oskarżył ich o zabicie krowy i spożycie jej mięsa.

– Wy lepiej przegnajcie precz stąd te swoje krowy – powiedziała. – Jeśli tutaj zdechną... Nie: jeśli, lecz kiedy tutaj zdechną... Wówczas oni powiedzą, żeście je zabili, i koniec z wami wszystkimi. Już muszą mieć na oku wasz dobytek. Tak to się dzisiaj robi. Oskarżą cię o zjedzenie wołowiny, a potem zabiorą ci dom i ziemię, a ciebie przegnają do obozu dla uciekinierów. Tutaj w ogóle chodzi o dobytek, a nie o krowy. Musicie być bardzo ostrożni.

– Ale jak mamy być ostrożni? – wykrzyknął Saddam. – Żeby być ostrożnym z tymi skurwysynami, musielibyśmy przestać istnieć! Jeśli chcą cię zabić, zabijają

cię, niezależnie od tego, czy jesteś ostrożna, czy zabiłaś jakąś krowę, czy nie, czy w ogóle spojrziałaś choćby na krowę, czy nie.

Po raz pierwszy widzieli, jak stracił opanowanie. Wszyscy wprost osłupieli. Nikt z nich nie znał jego historii. Andżum nie opowiedziała jej nikomu. Jeśli chodzi o dochowanie sekretu, należała wręcz do klasy olimpijskiej.

W Dzień Niepodległości, w ramach czegoś, co stało się swego rodzaju rytuałem, Saddam siadał obok Andżum na czerwonym fotelu samochodowym, nakładając na nos swoje okulary przeciwsłoneczne. Przerzucił kanały pomiędzy wojowniczą przemową Gudżarata ka Lalli w Czerwonym Forcie a masowymi protestami w Gudżaracie. Tysiące ludzi, głównie dalitów, zebrało się w dzielnicy zwanej Una, aby zaprotestować przeciwko publicznej chłoście pięciu dalitów, których zatrzymano na środku drogi, ponieważ na skrzyni swego pick--upa wieźli truchło krowy. Nie zabili jej. Wzięli tylko ciało, jak przez wszystkie lata robił na przykład ojciec Saddama. Nie mogąc znieść doznanego upokorzenia, wszystkich pięciu próbowało popełnić samobójstwo. Jednemu to się udało.

– Najpierw próbowali wykończyć muzułmanów i chrześcijan, a teraz zabierają się za *ćamarów* – orzekła Andżum.

– Jest zupełnie odwrotnie – mruknął Saddam, ale nie wyjaśnił, co ma na myśli, tylko w przerażeniu przysłuchiwał się temu, jak jeden po drugim mówcy składali publiczną przysięgę, że nigdy już nie ruszą truchła krowy dla hindusów z wyższych kast.

W telewizji nie znalazły się informacje o bandyckich gangach, które zaczynały się przy głównych drogach wiodących z miejsca protestu, aby dopaść jego uczestników, gdy będą już rozproszeni.

Rytuał oglądania telewizji w Dniu Niepodległości przez An-dżum i Saddama został przerwany przeraźliwymi krzykami Zejnab, która na zewnątrz była zajęta rozwieszaniem prania. Saddam natychmiast ruszył w tamtą stronę, a za nim podążyła, wolniej, przestraszona Andżum. Dopiero po chwili zdali sobie sprawę z tego, że widzą coś rzeczywistego, a nie ducha. Zejnab ze wzrokiem wbitym w niebo stała sparaliżowana przerażeniem.

W powietrzu zawisła wrona, z jednym skrzydłem wyciągniętym niczym ramię wiatraczka. Opierzony Chrystus wiszący krzywo na niewidzialnym krzyżu. W powietrzu zaroilo się od tysięcy podnieconych, nisko lecących bratnich ptaków, a ich alarmujące krakanie zagłuszało wszystkie inne miejskie dźwięki. Ponad nimi zataczały milczące kręgi kanie i jastrzębie, być może zaciekawione, ale niczego nierozumiejące. Ukrzyżowana wrona wcale się nie poruszała. Bardzo szybko zebrała się gromadka ludzi, którzy obserwowali, co się dzieje, śmiertelnie przerażeni, informujący się nawzajem o tym, jaki jest tajemny znak takich zakrzepłych wron, i omawiających prawdziwą naturę przeraźliwych zdarzeń, które im zapowiadał ten omen, ta makabryczna kłątwa.

Tymczasem to, co się stało, nie było żadną zagadką. Pióra wroniego skrzydła zahaczyły w trakcie lotu o niewidzialną linkę rozpiętą na gałęziach starego cmentarnego figowca. Sprawca katastrofy – latawiec z purpurowego papieru – wyglądał skruszony spośród listowia jednego z drzew. Linka, nowy chiński produkt, który w jednej chwili zalał rynek, zrobiona była z mocnego, przezroczystego plastiku, pokrytego sproszkowanym szkłem. W Dniu Niepodległości wojownicy latawcowi korzystali z nich, aby „przeciąć” linkę innego latawca i spowodować jego upadek. Doszło już zresztą do kilku naprawdę tragicznych wypadków w mieście.

Wrona z początku próbowała walczyć, ale później chyba zdała sobie sprawę z tego, że przy każdym jej ruchu linka wbija się jeszcze głębiej w skrzydło. Pozostawała więc nieruchoma i tylko spoglądała zdezorientowana w dół na uniesione głowy ludzi, którzy zgromadzili się na dole. Z każdą chwilą niebo gęstniało od coraz bardziej spanikowanych, rozhisteryzowanych ptaków.

Saddam, który zorientowawszy się w sytuacji, pędem rzucił się do domu, powrócił z długim sznurem splecionym z linek do wiązania paczek. Do jednego końca przymocował kamień, zezując przez okulary przeciwsłoneczne, ocenił sytuację i cisnął w powietrze w nadziei, że jego powrót pod ciężarem balastu ściągnie na ziemię niewidoczny sznur wiążący ptaka. Potrzeba była kilkunastu prób i kilku wymian kamienia (musiał być dostatecznie lekki, aby wzbił się w niebo, ale i dostatecznie ciężki, by zatoczywszy łuk, poprzez listowie ściągnąć wronią linkę), zanim mu się powiodło. Wreszcie jednak latawcowa cuma zleciała na ziemię, wrona zrazu runęła razem z nią, ale potem magicznie jakoś odfrunęła. Niebo pojaśniało, a krakanie umilkło.

Zadeklarowany został stan normalności.

Dla wszystkich tych widzów na cmentarzu, którzy mieli nastawienie irracjonalne i nienaukowe (co znaczy: dla wszystkich, łącznie z Ustanidźi), jasne było to, że udało się uniknąć apokalipsy, zamiast której otrzymali błogosławieństwo.

Bohater Chwili był fetowany, obejmowany i całowany.

Nie będąc kimś, kto przegapiłby taką okazję, Saddam postanowił, iż Czas Nadszedł.

Późnym wieczorem zaszedł do pokoju Andżum. Leżała na jednym boku, oparta na łokciu, i z czułością wpatrywała się w twardo śpiącą pannę Dżebin Drugą. (Czas niewłaściwych opowieści na dobranoc miał dopiero nadejść).

– Wyobraź sobie tylko – powiedziała – że gdyby nie łaska boża, to małe stworzenie znajdowałoby się teraz w jakimś państwowym sierocińcu.

Saddam odczekał z właściwym szacunkiem odpowiednio długi czas, a potem formalnie poprosił o rękę Zejnab. Andżum odpowiedziała z lekką goryczą, nie patrząc na pytającego, a zniechęta nawiedziły ją stare bolączki.

– A czemu prosisz mnie? Poproś Saidę. To ona jest jej matką.

– Znam tę historię, dlatego właśnie proszę ciebie.

Andżum była tym ujęta, chociaż tego nie pokazała, natomiast zmierzyła Saddama wzrokiem od stóp do głów, jak gdyby był kimś zupełnie obcym.

– Podaj mi chociażby jedną przyczynę, dla której Zejnab miałyby poślubić człowieka, który tylko czeka, aby popełnić przestępstwo i zostać za to powieszonym tak jak iracki Saddam Husajn.

– *Are jar*, z tym już skończyłem. Było, minęło. Moi ludzie się podnieśli. – Saddam wyjął telefon komórkowy i najechał na filmik z egzekucji Saddama Husajna. – O, tutaj, patrz. Usuwam je teraz, na twoich oczach. Widzisz, już nie ma. Już go nie potrzebuję. Mam teraz inne. Tylko popatrz.

Z trudem i z trzaskaniem kości Andżum usiadła na łóżku, dobrotliwie mamrocząc pod nosem:

– *Ja Allah!* Za jakie grzechy ja muszę się zadawać z tym wariatem?

Nałożyła okulary do czytania.

Nowy filmik, który Saddam jej pokazał, zaczynał się od zdjęcia kilkunastu zardzewiałych pick-upów zaparkowanych na dziedzińcu starego, stylowego pawilonu kolonialnego, w którym urzędował okręgowy nadzorca podatkowy w Gudżaracie. Pick-upy były wysoko zapakowane truchłami i starymi szkieletami krów. Rozwścieczeni młodzi dalicy wyładowywali szkielety i ciskali je w głąb podpartej kolumnami werandy budynku. Zostawili makabryczny ślad krowich szkieletów na podjeździe, wielką, najeżoną rogami czaszkę na biurku nadzorcy, a na oparciach pięknych foteli niczym ochraniacze ułożyli wygięte krowie żebra.

Andżum zaszokowana wpatrywała się w film, a poświata z ekranu telefonu odbijała się na jej wspaniale białym zębie. Było oczywiste, że tamci krzyczą, ale dźwięk wyłączono, aby nie obudzić panny Dżebin.

– Co oni wołają? Czy to w gudżarati?

– Twoja matka! Szukasz jej! – szepnął Saddam.

– *Aj Haj!* I co teraz zrobią tym chłopakom?

– A co mogą zrobić ci pojechańcy? Nie potrafią po sobie posprzątać gówna. Nie potrafią pochować swoich własnych matek. Nie wiem, co zrobią. Ale to ich problem, nie nasz.

– Więc co teraz? – powiedziała Andżum. – Skoro wykasowałeś tamten film, czy to znaczy, że nie myślisz już o tym, aby zabić tego policyjnego sukinsyna?

Wydawała się nie tylko rozczarowana, ale także pełna de-zaprobaty.

– Nie, nie muszę go zabijać. Widziałas to wideo. Moi ludzie powstali, walczą! Co dla nas znaczy teraz jakiś jeden Sehrawat? Nic!

– Czy wszystkie ważne decyzje w życiu podejmujesz na podstawie filmików z telefonu komórkowego?

– Tak to już dzisiaj jest, *jar*. Świat to teraz tylko wideo. Ale popatrz, co

zrobili! To jest rzeczywiste. To nie jest żaden film. Oni nie są aktorami. Chcesz to obejrzyć jeszcze raz?

– *Are*, to nie takie proste, *babu*. Stłuką ich, przekupią... Tak to już oni dzisiaj robią... Ale jeśli zostaną wyrzuceni z pracy, to jak będą zarabiać? Co będą jeść? *Ćalo*, pomyślmy o tym później. Czy masz jakąś dobrą fotografię twojego ojca? Możemy ją powiesić w pokoju z telewizorem.

Andżum chodziło o to, że portret ojca Saddama miał zawisnąć obok portretu Zakira Miana udekorowanego ptaszkami z banknotów, które zdobiły pokój telewizyjny. Na swój sposób tak uznała Saddama za zięcia.

Saida była zachwycona, Zejnab – w ekstazie. Zaczęły się przygotowania do ślubu. Od wszystkich, łącznie z Tilo Madam, wzięto miarę na nowe ubrania, które Zejnab miała zaprojektować. Na miesiąc przed ślubem Saddam ogłosił, że przyszykował dla całej rodziny coś specjalnego. Niespodziankę. Imam Ziauddin czuł się zbyt słaby, aby gdziekolwiek się ruszyć, a były to urodziny wnuka Ustada Hamida. Dr Azad Bhartija oznajmił, że szykowana przez Saddama uczta nie jest zgodna z jego zasadami, a poza tym nie mógł w ogóle jeść. Ugoszczone grono składało się więc z Andżum, Saidu, Nimmo Gorakhpuri, Zejnab, Tilo, panny Dżebin Drugiej i samego Saddama. Nikt z nich nie mógł w najdłuższych snach przewidzieć, co ten miał dla nich w zanadrzu.

Nareś Kumar, przyjaciel Saddama, był jednym z pięciu szoferów zatrudnionych przez przemysłowego milionera, który miał wspaniały dom, a w nim całą flotę drogich samochodów, mimo że spędzał w Delhi najwyżej trzy, cztery dni w miesiącu. Nareś Kumar przyjechał na cmentarz, aby zabrać całe to przedślubne towarzystwo należącym do jego mocodawcy srebrnym mercedesem benz z fotelami obitymi skórą. Zejnab usiadła z przodu na kolanach Saddama, reszta wcisnęła się z tyłu. Tilo nigdy sobie nawet nie wyobrażała, że mogłaby jechać ulicami Delhi mercedesem. Jak się miała szybko przekonać, było to jedynie efektem jej bardzo ograniczonej wyobraźni. Pasażerowie piszczeli, kiedy samochód przyspieszał. Saddam nie powiedział im, dokąd się udają. Gdy jechali w pobliżu starego miasta, wychylali się śmiało z okien, mając nadzieję, że zostaną zobaczeni przez przyjaciół i znajomych. Kiedy wjechali w południowe Delhi, kontrast pomiędzy pasażerami a pojazdem, w którym się znajdowali, był powodem wielu zdziwionych, a czasami nawet gniewnych spojrzeń. Odrobinę stropieni, podkręcili szyby w oknach. Zatrzymali się na końcu długiej, obrzeżonej drzewami alei, przy której zebrała grupa hidźr w odjazdowych strojach; ich styl zebrania polegał na tym, że waliły w okna samochodu, domagając się pieniędzy. Wszystkie auta, które zatrzymywały się tutaj na światłach, miały zamknięte okna. Siedzący w środku ludzie robili wszystko, aby uniknąć kontaktu wzrokowego z hidźrami. Na widok srebrnego mercedesa wszystkie cztery hidźry skupiły się wyłącznie na nim, wyczuwając bogactwo i, jak przypuszczały, naiwnego cudzoziemca. Jakież było

ich zdziwienie, kiedy samochód nadjechał z opuszczonymi szybami. Zanim nawet przypuściły swój atak – już Andżum, Saida i Nimmo Gorakhpuri, uśmiechając się do nich, odpowiadały na powitania hidźr z szeroko rozstawionymi palcami. Spotkanie szybko zamieniło się w wymianę plotek. Do której *gharany* należały te cztery? Kto był ich ustadem? A ustadem ustada? Cała czwórka pochyliła się ku oknom i oparła łokciami na ich dolnej krawędzi, z tyłkami prowokacyjnie wypiętymi w stronę ruchu ulicznego. Kiedy światła się zmieniły, stojące z tyłu auta zaczęły niecierpliwie trąbić. Hidźry odpowiedziały na to ciągiem wymyślnych przekleństw. Saddam dał im sto rupii i swoją wizytówkę. Zaprosił je na ślub.

– Musicie przyjść!

Uśmiechnęły się i pożegnały pasażerów mercedesa, prowokacyjnie lawirując z rozkołtysanymi pośladkami pomiędzy samochodami pełnymi zgorszonych pasażerów. Kiedy przyspieszyli, Saida powiedziała, że ponieważ chirurgia zmiany płci staje się coraz tańsza, lepsza i coraz bardziej dostępna dla przeciętnych ludzi, hidźry wkrótce znikną.

– Nikt już nie będzie musiał przechodzić przez to, co się stało naszym udziałem.

– Chodzi o to, że nie będzie już więcej wojny Indii z Pakistanem? – spytała Nimmo Gorakhpuri.

– Nie było aż tak okropnie – obruszyła się Andżum. – Myślę, że to by była hańba, gdyby nas unicestwiono.

– A właśnie że było okropnie – sprzeciwiła się Nimmo Gorakhpuri. – Zapomniałaś szarlatana, doktora Muchtara? I to, ile kasy od ciebie wyciągnął?

Samochód przez ponad dwie godziny niczym stalowy pęcherzyk przesuwiał się ulicami szerokimi i wąskimi, gładkimi i wyboistymi. Prześlizgnęli się przez gęsty las apartamentowców, minęli wielkie betonowe parki rozrywek, dziwacznie udekorowane pałace ślubów i wysokie niczym wieżowce cementowe posągi Śiwy, z otaczającą biodra i krocze opaską z lamparciej skóry oraz z cementową kobrą owijającą mu się wokół szyi, a także kolosalnego Hanumana, który nachylał się nad trasą metra. Przejechali po szerokim jak pole pszenicy wiadukcie, na którym nie wolno było sikać – z dwudziestoma pasmami świszczących po nim samochodów oraz stalowo--szklanymi pylonami, które wyrastały po każdej jego stronie. Wystarczyło jednak, że z niego zjechali, a zobaczyli, że świat w dole jest zupełnie odmienny: pozbawiony asfaltu, chodników, nieoświetlony, nieuporządkowany, dziki i niebezpieczny. Autobusy zaciekle walczyły tutaj o przeżycie z ciężarówkami, wołami, rykszami, rowerami, ręcznymi wózkami i przechodniami. Jedna odmiana świata przefruwała nad drugą, nawet nie troszcząc się o to, aby przystanąć i zapytać o godzinę.

Stalowy pęcherzyk sunął przed siebie, mijał zapyziałe miasteczka i śmietniska przemysłowe, nad którymi unosiły się bladofioletowe opary, mijał

biegnące pomiędzy slumsami, bezlitośnie zaśmieczone tory kolejowe. Nareszcie dotarli do miejsca przeznaczenia. Kres. Tam, gdzie okolica pospiesznie, niezdarnie i tragicznie usiłowała przekształcić się w miasto.

Centrum handlowe.

Pasażerowie merca zamilkli, kiedy samochód zjechał do podziemnego parkingu, podnosząc – niczym dziewczę sukienkę – maskę i bagażnik do ekspresowej kontroli, czy nie wwozi bomby, a potem spłynął do pełnego samochodów podziemia.

Gdy znaleźli się w lśniącej od świateł arkadzie handlowej, Saddam i Zejnab, całkiem swobodnie czujący się w nowym otoczeniu, wydawali się szczęśliwi i podekscytowani. Pozostali, włączając w to *ustadów*, wyglądali z kolei tak, jakby przez jakąś wielką bramę wkroczyli do innej galaktyki. Wizyta rozpoczęła się od małego zgrzytu, niewielkiego kłopotu związanego z ruchomymi schodami. Andżum za nic nie chciała na nie wejść. Przez kwadrans wszyscy ją namawiali i ośmielali. Trzeba było, żeby wreszcie Tilo wzięła pannę Dżebin Drugą, Saddam stanął obok Andżum, obejmując ją ramieniem, a Zejnab z wyższego schodka, zwrócona do niej twarzą, ujęła ją za obie ręce. Zabezpieczona w ten sposób, Andżum pojechała w górę, kołysząc się i wykrzykując *Aj Haj!*, zupełnie jakby ryzykując życie, brała udział w jakichś niebezpiecznych zawodach sportowych. Kiedy przygnieceni bojaźnią wędrowali po wspaniałych korytarzach, usiłując zgadnąć, kto na wystawach sklepowych jest sprzedawcą, a co manekinem, Nimmo Gorakhpuri pierwsza odzyskała wewnętrzną równowagę. Z uznaniem spoglądała na młode niewiasty w szortach i -minispódniczkach, niosące wielkie torby z zakupami, a okulary przeciwsłoneczne wciskające nad czołem w puszyste fryzury prosto spod suszarki.

– Spójrzcie, tak właśnie chciałam wyglądać, kiedy byłam młoda. Miałam prawdziwy dryg do mody, ale nikt mnie nie rozumiał. Za bardzo wyprzedziłam swoje czasy.

Po godzinie kupowania samymi oczyma przez szyby zjedli obiad w barze Nando's. Specjalizował się w wielkich porcjach pieczonych kurczaków. Zejnab miała doglądać Nimmo Gorakhpuri, a Saddam – pilnować Andżum, ponieważ żadna z nich nie była wcześniej w restauracji. Andżum w niekłamanym zdumieniu wpatrywała się w czteroosobową rodzinę przy sąsiednim stole: dwie pary, starsza i młodsza. Kobiety, najwyraźniej matka i córka, ubrane były podobnie – we wzorzyste bluzki bez rękawów i spodnie, a twarze miały pokryte mocnym makijażem. Młodszy z mężczyzn, najpewniej narzeczoną dziewczyny, siedział z łokciami na stole i co chwila spoglądał z podziwem na swe (pokaźne) bicepsy, które wybrzuszały się spod niebieskiego podkoszulka z krótkimi rękawami. Tylko starszy jegomość nie wydawał się specjalnie szczęśliwy. Ukradkiem spoglądał spoza wyobrażonego filara, za którym się schował. Co kilka minut rodzina milkła

zupełnie, zastygała w uśmiechach i robiła *selfie*: z menu, kelnerem, jedzeniem i ze sobą nawzajem. Po każdym *selfie* telefony wędrowały wokół stołu, aby nikt nie przegapił żadnego ujęcia. Nie zwracali najmniejszej uwagi na kogokolwiek innego w restauracji.

Andżum była o wiele bardziej zainteresowana nimi niż jedzeniem na talerzu, które nie zrobiło na niej najmniejszego wrażenia. Zapłaciwszy rachunek, Saddam rozejrzał się po stole z uroczystym wyrazem twarzy:

– Musicie się wszyscy zastanawiać, po co wiozłem was tutaj taki kawał.

– Żeby pokazać nam *Dunię*? – spytała Andżum, jak gdyby odpowiadała na pytanie w teleturnieju.

– Nie, aby was wszystkich zapoznać z moim ojcem. To właśnie tu umarł. Dokładnie tutaj. Dokładnie tu, gdzie stoi ten budynek. A zanim stanął, były tutaj wioski, otoczone przez pszeniczne pola. Był komisariat policji, droga...

Potem Saddam opowiedział im, co się stało jego ojcu. Opowiedział, jak poprzysiągł sobie, że zabije Sehrawata, szefa komisariatu policji w Dulina, i dlaczego pożegnał się z tą ideą. Telefon komórkowy wędrował wokół stołu; wszyscy oglądali filmik ze zdechłymi krowami ciskanymi na werandę pawilonu nadzorcy okręgowego.

– Duch mojego ojca musi tutaj wędrować, uwięziony w tych ścianach.

Każdy usiłował go sobie wyobrazić: wioskowego garbarza, pochwyconego przez jaskrawe światła i usiłującego znaleźć drogę wyjścia z centrum handlowego.

– To jego *mizar* – oznajmiła Andżum.

– Hindusów się nie grzebie. Oni nie mają *mizar*, *bari* mamó – odezwała się Zejnab.

„Może to *mizar* całego świata”, pomyślała Tilo, ale milczała. „Może ci manekinowi klienci to duchy, które usiłują kupić to, co już nie istnieje”.

– To nie w porządku – zaperzyła się Andżum. – Nie można wszystkiego zostawić ot, tak sobie. Twój ojciec powinien mieć godziwy pogrzeb.

– Cóż, miał godziwy pogrzeb – odezwał się Saddam. – Został skremowany w naszej wiosce. Ja sam podpaliłem stos.

Andżum nie była przekonana. Chciała zrobić coś więcej dla ojca Saddama, coś, co pozwoliłoby jego duchowi zaznać spokoju. Wywiązała się długa dyskusja, a w końcu postanowili, że w imieniu ojca Saddama kupią koszulę w jednym ze sklepów (tak jak ludzie kupowali *ćadary* w *dardze*) i pochowają ją na starym cmentarzu, tak aby Saddam i dzieci Zejnab czuli obecność dziadka, gdy będą wzrastać.

– A ja znam jedną hinduską modlitwę! – zniecierpliwiona odezwała się Zejnab. – Czy mogę ją zmówić tutaj ku pamięci *Abbadżan*?

Wszyscy nachylili się i nadstawili uszu. Wtedy, siedząc przy stoliku w barze z fast foodem, Zejnab jako świadectwo miłości do jej zmarłego, ale także

i przyszłego teścia wyrecytowała *Mantrę Gajatri*, którą Andżum nauczyła małą dziewczynkę (gdyż wierzyła, iż pomoże jej bronić się przed tłumem).

Om bhur bhuwah swaha

Tat sawitur warenjam

Bhargo dewasja dhimahi

Dhijo jo nah pracodajat]

•

Rano tego dnia, gdy miał się odbyć drugi pogrzeb ojca Saddama Husajna, Tilo postawiła coś na stole. Coś. Wydobyła małe naczynie, które zawierało prochy jej matki, i powiedziała, że chciałyby, aby także ona została pochowana na tym starym cmentarzu. Postanowiono więc, że będzie to dzień dwóch pogrzebów. Jeśli policzyć kremację w piecu elektrycznym w Koćinie, miał to być także drugi pogrzeb Marjam Ipe. Saddam Husajn wykopał groby. Stylowa kraciasta koszula madras spoczęła w jednym z nich. Puszka z prochami – w drugim. Imam Ziauddin mruczał trochę na nieortodoksyjność całej procedury, ale ostatecznie zgodził się zmówić modły. Andżum spytała Tilo, czy ta chciałyby zmówić za matkę jakąś chrześcijańską modlitwę, ta wyjaśniła jednak, że Kościół odmówił pochowania matki, więc nie ma tu miejsca na żadne modły. Kiedy stała obok grobu, przypomniały jej się słowa, które Marjam Ipe powtarzała nieraz podczas halucynacji na OIOM--ie.

„Czuję, że otaczają mnie eunuchowie. Czy to prawda?”

Wtedy był to po prostu fragment lawiny złorzeczeń na OIOM. Teraz jednak Tilo zadrżała. „Skąd wiedziała?” Kiedy puszka została już przysypana ziemią, Tilo przymknęła oczy i powtórzyła sobie ulubiony fragment matki z Szekspira. W tym momencie świat, już dostatecznie dziwny, stał się nawet dziwniejszy:

*Tak, bo kto dzisiaj ze mną krew wyleje,
Zostanie moim bratem; choćby z gminu
Pochodził, dzień ten nada mu szlachectwo;
A każdy z owych panów, którzy w Anglii
Gnuśnieją teraz w jedwabnej pościeli,
Przeklnie się za to, że go tu nie było,
Odmówi sobie miana mężczyzny,
Kiedy ktoś przy nim wspomni, jak to walczył
Wraz z nimi w dzień świętego Kryspina*8.

Nigdy nie rozumiała, dlaczego matka tak lubiła ten samczy, żołnierski, wojenny fragment. Ale lubiła. Otworzywszy oczy, Tilo zaszokowana zdała sobie sprawę z tego, że płacze.

*

Zejnab i Saddam pobrali się miesiąc później. Goście stanowili bardzo różnorodną zbieraninę – hidźry z całego Delhi (łącznie z nowymi przyjaciółkami, które poznali na skrzyżowaniu), przyjaciele Zejnab, większość z nich to studenci projektowania ubrań, trochę uczniów Ustanidów oraz ich rodzice, rodzina Zakira Miana oraz kilkunastu starych znajomych Saddama Husajna z różnych miejsc jego pracy: sprzątaczy, pracowników kostnicy, kierowców ciężarówek miejskich, ochroniarzy. Byli też oczywiście: dr Azad Bhartija, D.D. Gupta i Rośan Lal. Anwar Bhai z towarzyszkami oraz jego syn, który wyrósł już ze swoich liliowych crocsów, weszli od strony GB Road, zaś Ísrat Przepiękna – która odegrała kluczową rolę w uratowaniu panny Dżebin Drugiej – przybyła z Indoor. Na krótko wpadł szewc, mały przyjaciel Tilo i dr. Azada Bhartiji, który nakreślił na piachu wielkość raka zżerającego ojcowskie płuco. Zjawił się też stary dr Bhagat, ciągle na biało, ciągle z zegarkiem na tenisowej opasce przeciwko potowi. Nie zaproszono szalbierza doktora Muchtara. Panna Dżebin Druga była odziana niczym mała królewna. Miała tiarę, zwiewną sukienkę oraz skrzypiące buty. Młoda para została wręcz obsypana prezentami, a najbardziej podobała im się koza otrzymana od Nimmo Gorakhpuri, która specjalnie sprowadziła ją z Iranu.

Ustad Hamid i jego uczniowie śpiewali.

Wszyscy tańczyli.

Potem Andżum zabrała Saddama i Zejnab do *dargi* Hazrata Sarmada. Tilo, Saida i panna Dżebin Druga także poszły. Torowali sobie drogę pomiędzy sprzedawcami olejków *ittar* i amuletów, stróżami pielgrzymiego obuwia, kalekami, żebrakami oraz kozami tuczonymi na Id.

Sześćdziesiąt lat minęło od chwili, gdy Dżahanara Begam zabrała swego Aftaba do Hazrata Sarmada i poprosiła go, aby nauczył ją kochać syna. Piętnaście lat minęło od chwili, gdy Andżum przyprowadziła do niego Bandikota, by egzorcyzmować jej *sifli dżadu*. Upłynął ponad rok od pierwszej wizyty panny Dżebin Drugiej.

Syn Dżahanary Begam został jej córką, a Bandikot była teraz panną młodą. Jeśli jednak tego nie liczyć, nic za bardzo się nie zmieniło. Posadzka wciąż była czerwona, ściany były czerwone i czerwony był sufit. Nie, nie zmyto krwi Hazrata Sarmada.

Uschnięty mężczyzna z czapką modlitewną pokrytą paskami niczym odwłok pszczoły wyciągał do Sarmada swe modlitewne paciorki, prosząc o błogosławieństwo. Szczupła kobieta w sari z tłoczonego materiału wiązała czerwoną opaskę do barierki, a potem przycisnęła do podłogi czoło dziecka. Tilo postąpiła tak samo z panną Dżebin Drugą, która uznała, że to fajna zabawa, więc powtórzyła ją więcej razy, niż było trzeba. Zejnab i Saddam przywiązali wstążki do barierki i położyli na grobie Hazrata nowy welwetowy *ćadar* z błyszczącą lamówką.

Andżum zmówiła modlitwę i poprosiła Hazrata, aby pobłogosławił młodej parze.

A Samrad – Hazrat Najbardziej Nieszczęśliwych, Święty Niepocieszonych i Ukojenie Nieutulonych, Błóżnierca pośród Wierzących i Wierzący pośród Błóżnierców – tak właśnie uczynił.

Trzy tygodnie później na starym cmentarzu odbył się trzeci pogrzeb.

•

Pewnego ranka dr Azad Bhartija przyjechał do zajazdu Dżannat z zaadresowanym do niego listem. Został własnoręcznie dostarczony przez kobietę, która nie chciała się przedstawić, ale powiedziała, że list nadszedł z lasu Bastar. Andżum nie wiedziała, co to takiego ani gdzie się znajduje. Doktor Azad bardzo zwięźle opowiedział o Bastar, o żyjących tam plemionach adiwasi⁹, kompaniach górniczych, które chciały zabrać im ziemię, i powstańcach maoistowskich, którzy odważyli się rzucić wyzwanie siłom bezpieczeństwa, starającym się oczyścić teren dla owych kompanii. List był napisany po angielsku wielkimi, ściśnionymi literami. Nie widniała na nim data. Dr Azad Bhartija rzekł, że pannie Dżebin Drugiej wysłała go prawdziwa matka.

– Podrzyj go! – zawołała Andżum. – Porzuca dziecko, a potem wraca, mówiąc, że jest prawdziwą matką!

Saddam powstrzymał ją, gdyż chciała się rzucić na list.

– Nie martw się – powiedział dr Azad Bhartija. – Nie zamierza wracać.

Był to długi list, zapisany na kartkach dwustronnie, z całymi frazami poprzekreślanymi, ze zdaniami zachodzącymi na siebie tak, jak gdyby groziło to, że papieru nie starczy. Pomiędzy kartkami znalazło się kilka sprasowanych kwiatów, które pokruszyły się, gdy papier zwijano w rulon, w którym zostały dostarczone. Dr Azad Bhartija przeczytał na głos, z grubsza tłumacząc – najlepiej jak potrafił. Publiczność składała się z Andżum, Tilo i Saddama Husajna. A także panny Dżebin Drugiej, która czyniła wszystko, co potrafiła, aby przerwać posiedzenie.

Drogi Towarzyszu Azadzie Bhartijo Garu!

Piszę to do Pana, ponieważ podczas trzech dni spędzonych w Dżantar Mantar przyglądałam się Panu uważnie. Jeśli ktokolwiek wie, gdzie jest w tej chwili moje dziecko, myślę, że to musi być Pan. Moim ojczystym językiem jest telugu i przykro mi, że nie znam hindi. Mój angielski także nie jest dobry. Przykro mi. Nazywam się Rewati, pracuję na pełen etat dla Komunistycznej Partii Indii (Maoistowskiej). Kiedy otrzyma Pan ten list, będę już zabita.

W tym momencie Andżum, która nachyliła się, słuchając z pełną napięciem uwagą, wyprostowała się z nagłą ulgą. Wydawało się, że straciła całe

zainteresowanie. Stopniowo jednak, gdy dr Azad Bhartija odczytywał list, znowu się ożywiła i słuchała, nie przerywając.

Moja towarzyszka Suguna wie, iż ma wysłać list, kiedy usłyszysz, że już mnie nie ma. Jak Pan wie, jesteśmy grupą wygnańców, działającą w podziemiu, a ten mój list do Pana może Pan nazwać podziemiem podziemia, tak że najpewniej upłynie co najmniej pięć albo sześć tygodni, zanim dotrze do Pana bezpiecznymi kanałami. Po tym, jak porzuciłam dziecko tam, w Delhi, moje sumienie jest w bardzo złym stanie. Nie mogę spać ani spokojnie odpocząć. Nie chcę jej, ale nie chcę też, aby cierpiała. Dlatego jeśli Pan wie, gdzie ona się znajduje, chcę Panu szczerze opowiedzieć co nieco z tej historii. Reszta należy już do Pana. Dałam jej imię Udaja. W telugu oznacza to „wschód słońca”. Dałam jej to imię, ponieważ urodziła się w lesie Dandakaranja, gdy wschodziło słońce. Kiedy się urodziła, prawdziwie jej nienawidziłam i chciałam ją zabić. Czulałam naprawdę, że nie jest moja. Bo też i rzeczywiście nie jest. Tak naprawdę, jeśli zapozna się Pan z historią, którą nakreśliłam, nie jestem jej matką. Jej matką jest Rzeka, a ojcem Las. To jest historia Udaji i Rewati Ja, Rewati, pochodzę ze Wschodniego Godawari, dystryktu stanu Andhra Pradeś. Moją kastą jest Settibalija należąca do KU (kast upośledzonych). Moja matka nazywała się Indumati, ma SSLC – świadectwo ukończenia szkoły średniej. Mając osiemnaście lat, wyszła za mojego ojca. Ten pracował w wojsku. Był od niej starszy o wiele lat. Zobaczył ją, gdy był w domu na urlopie i zakochał się w niej, ponieważ moja matka jest bardzo atrakcyjna i urodziwa. Po zaręczynach, ale jeszcze przed ślubem, ojciec został sądowo wydalony z wojska za to, że palił w pobliżu składu amunicji. Powrócił do swojej wioski, która, oddzielona rzeką Godawari, znajduje się naprzeciw wioski mojej matki. Jego rodzina należy do tej samej kasty, ale jest bogatsza od jej rodziny. Już podczas samego ślubu wyrzucili moją matkę z pandalu¹⁰, aby zebrała więcej posagu. Mój dziadek musiał wystąpić o pożyczkę. Dopiero wtedy się zgodzili i ceremonia ślubu była kontynuowana. Wkrótce po tym, jak zawarto małżeństwo, ojciec zaczął zdradzać perwersję i sadyzm. Chciał, aby matka nosiła krótkie suknie i tańczyła z nim na parkiecie. Kiedy nie chciała, kaleczył ją żyletkami, skarżąc się, że nie chce go zadowolić. Po kilku miesiącach matka została odesłana do domu dziadka. Gdy była w piątym miesiącu ciąży ze mną, jej młodszy brat zawiózł ją z powrotem łódką do ojcowskiej wioski. Miała na sobie bardzo piękne sari z klejnotami, wzięła też ze sobą dwa słoiki cukierków, a także dwadzieścia pięć nowiutkich sari dla jej teściowej. Ojca nie było w domu. Teściowie nie chcieli otworzyć drzwi, wyszli tylko i kopniakami odrzucili słoiki ze słodyczami. Matka czuła się bardzo zawstydzona. W drodze powrotnej, pośrodku rzeki, zdjęła wszystkie klejnoty i wyskoczyła z łódki. Byłam wtedy w jej brzuchu od pięciu miesięcy. Wioślarz wyciągnął ją i zawiózł do domu. Urodziłam się w domu dziadka „po kądzieli”, tak to się chyba mówi. Podczas ciąży brzuch matki był wielki.

Spodziewała się bliźniaków. O białej skórze, tak jak u niej i jej męża. Urodziłam się jednak ja: jedna, czarna i ciężka. Widząc kolor mojej skóry, matka straciła świadomość na dwa dni. Jednak nigdy potem mnie nie porzuciła. Cała wioska o mnie plotkowała. Zjawiała się nawet rodzina ojca, aby zobaczyć, jak bardzo jestem czarna. Byli bardzo wyczuleni na punkcie kasty i koloru skóry. Oznajmili, że nie należę do nich, jestem Mala czy Madiga, a więc nie z innych upośledzonych kast, tylko kast rejestrowych¹¹. Dojrzewiałam w domu dziadka. Pracował przy hodowli zwierząt. Był komunistą. Jego dom miał strzechę, ale także wiele książek. Postarzaawszy się, mój dziadek oślepl. Chodziłam już wtedy do szkoły, więc mogłam mu czytać. Czytałam „Illustrated Weekly”, „Competition Success Review” i „Sowiet Bhumi”. Przeczytałam mu także „Małą czarną rybkę”. Mieliliśmy dużo książek z People’s Publishing House. Ojciec przychodził po nocy do domu dziadka, aby dręczyć matkę. Nienawidziłam go. Poruszał się w nocy po domu jak wąż. Ona szła za nim, a wtedy ją torturował i kaleczył, a potem odsyłał z powrotem. A kiedy znowu ją wołał, znowu wychodziła. Jakiś czas potem zabrał ją i powiózł do swojej wioski. Znowu zaszła w ciążę. W wiosce dziadka kobiety modliły się, aby drugie dziecko także było czarne, tak by matka okazała się wierną żoną. W tej intencji poświęciły w świątyni trzydzieści czarnych kur. Dzięki Bogu mój brat także urodził się czarny. Ale wtedy ojciec odesłał matkę do domu i ożenił się z inną kobietą. Chciałam być sędzią i posłać ojca za kraty na zawsze. Szybko jednak zaczęłam być pod wpływem myśli komunistycznej i rewolucyjnej. Czytałam literaturę komunistyczną. Dziadek nauczył mnie pieśni rewolucyjnych, które śpiewaliśmy razem. Matka i babcia kradły kokosy i sprzedawały je, aby opłacić mi szkołę. Kupowali mi różne drobiazgi i ładnie ubierali, co podobało się chłopcom. Po skończeniu liceum przystąpiłam do egzaminu na studia medyczne i zostałam przyjęta, ale nie mieliśmy pieniędzy na czesne. Dlatego poszłam do rządowej uczelni w Warangal. Ruch miał wielu zwolenników w lesie, ale i poza nim. Już na pierwszym roku zostałam przyjęta przez towarzyszek Nirmalakę i Lakszmi, które przychodziły do kobiecego hostelu i rozmawiały z nami o wykorzystywaniu dziewcząt przez wroga klasowego i o straszliwych warunkach, w jakich żyją w naszym kraju ubodzy. Od czasów college’u pracowałam dla partii na pół etatu i jako kurier. Potem działałam w Mahila Sangam, organizacji kobiecej, która w slumsach i wioskach rozwija świadomość klasową. Stałyśmy się kanałem, który rozprowadzał informacje partyjne po całej Telanganie. Jeździliśmy autobusami na spotkania, przywożąc ręczniki i broszury. Dawaliśmy wyraz protestowi, śpiewając i tańcząc. Ja czytałam Marksa, Lenina i Mao, co uczyniło mnie maoistką.

Sytuacja w tym czasie była bardzo niebezpieczna. Wszędzie roiło się od jednostek Cobra, Greyhounds i policji Andhra Pradeś. Setki działaczy partii zostało zamordowanych od ręki. Największą nienawiść policja żywiła do działaczek. Kiedy zabijali towarzyszkę Nirmalakę, rozpruli jej brzuch i wyjęli

wnętrznosci. Takze towarzyski Lakszmi nie zabili po prostu, lecz pocięli ją i wydlubali oczy. Z tego powodu wybuchly wielkie protesty. Zlapali inną towarzyszkę, Padmakę, i polamali jej oba kolana, aby nie mogła chodźć, po czym bili ją tak dlugo, aż miała uszkodzenia nerek, wątroby i innych organów wewnętrzných. Wyszła z więzienia, a teraz pracuje w Amarula Bandhu Mithrula Sangathan. Jedzie tam, gdzie działacze partii zostają zabici, a rodziny są zbyt biedne na to, aby pozwolić sobie na przejazd i przywieźć ciało danej osoby. Traktorem, tempo albo czymkolwiek innym, co jej wpadnie w rękę, przywozi ciało do rodziny, aby odprawiono pogrzeb i wszystko urządzono. W roku 2008 bardzo pogorszyła się sytuacja w lesie. Rząd ogłosił operację Green Hunt. Była to wojna z ludem. Pewnego razu posłano tysiące policjantów i oddziałów paramilitarných. Zabijali adiwasi, palili wioski. Żaden adiwasi nie mógł zostać w swoim domu czy w swojej wiosce. W nocy spalili w lesie poza domem, gdyż właśnie wtedy pojawiała się policja, setka, dwie setki, czasami pięć setek policjantów. Zabierali wszystko, palili wszystko, kradli wszystko. Kury, kozy, pieniądze. Chcieli, aby adiwasi opuścili las, co tamtym pozwoliłoby założyć tam miejsce z hutą i kopalnią. Tysiące ich są teraz w więzieniu. O całej tej polityce możecie przeczytać gdzie indziej. Albo też w naszym „People’s March”. Dlatego też będę mówić tylko o Udaji. W czasach Green Hunt partia wezwwała, aby wstępować do PLGA – People’s Liberation Guerilla Army (Ludowa Powstańcza Armia Wyzwolenia). To właśnie wtedy ja z dwoma jeszcze osobami udałam się do lasu Bastar na szkolenie w obchodzeniu się z bronią. Pracowałam tam ponad sześć lat. Pośród towarzyszy jestem nazywana także towarzyszką Mase. To znaczy „Czarnucha”. Lubię to imię. Używamy też innych imion. Ponieważ jednak jestem wykształconym członkiem PLGA, partia wykorzystuje mnie także do pracy na zewnątrz. Czasami muszę jechać do Warangal, Bhadraćalam czy Khammam. Czasami Narajanpur. To jest najbardziej niebezpieczne, ponieważ teraz w wioskach i miastach roi się od pracujących przeciw nam informatorów. To właśnie tak, kiedy pewnego razu wracałam z wyjazdu, zostałam złapana w wiosce Kudur. Byłam w sari, miałam bransoletki, torebkę, a także dwa sznury pereł. Nie mogłam walczyć. Porwali mnie zupełnie po cichu. Związali, dali chloroform i zabrali gdzieś, nie wiem gdzie. Kiedy się zbudziłam, było ciemno. Znajdowałam się w pokoju z dwójgiem drzwi i dwójgiem okien. Była to klasa. Żadnych mebli, tylko tablica. Była to szkoła państwowa. Na terenie lasu wszystkie szkoły są teraz obozami policyjnymi. Nie ma tam nauczycieli i nie przychodzą uczniowie. Byłam naga. Dookoła mnie – sześciu policjantów. Jeden nacinał mi skórę scyzorykiem. „To co, wydaje ci się, że jesteś wielką bohaterką?” – spytał. Kiedy zamknęłam oczy, uderzył mnie w twarz. Dwóch trzymało mnie za ręce, a dwóch za nogi. „Chcemy, żebyś przekazała swojej partii podarek”. Palili papierosy i przytykali je do mnie. „Wy tam uwielbiacie krzyczeć. Teraz ty sobie pokrzyucz, a zobaczymy, co się zdarzy!” Myślałam, że zabiją mnie jak

Padmakę i Lakszmi, ale powiedzieli: „Nie martw się, Czarnucha, puścimy cię. Musisz iść i powiedzieć im, co żeśmy ci zrobili. Jesteś wielką bohaterką. Dostarczasz im amunicję, lekarstwa przeciwko malarii, jedzenie, szczotki do zębów. To wszystko wiemy. Ile niewinnych dziewczyn posłałaś, aby wstąpiły do partii? Wszystkich zatruwasz. A teraz wynoś się i wyjdź za kogoś. Usadów się gdzieś grzecznie. Ale najpierw damy ci pewne doświadczenie małżeńskie”. Dalej przypalali mnie papierosami i kaleczyli nożem. W ogóle jednak nie płakałam. „No i czemu nie krzyczysz? Przyjdą twoi wielcy przywódcy i uwolnią cię. A co to, to jednak nie krzyczycie?” Potem jeden zmusił mnie, abym otworzyła usta, a drugi włożył do nich swojego penisa. Nie mogłam oddychać. Myślałam, że umrę. Przez cały czas polewali mi twarz wodą. Potem wszyscy gwałcili mnie wiele razy. Któryś z nich jest ojcem Udaji. Ale skąd mam wiedzieć który? Byłam nieprzytomna. Kiedy się obudziłam znowu, zewsząd krwawiłam. Drzwi były otwarte. Oni tylko palili papierosy. Zobaczyłam moje sari. Powoli je nałożyłam. Tylne drzwi były lekko uchylone. Widzieli, jak uciekam, i najpierw pobiegli za mną; upadłam, ale wtedy powiedzieli: „Nie ma co, niech sobie ucieka”. Strasznie dużo kobiet miało w lesie takie doświadczenia. To dodało mi odwagi. Biegłam przez pola. Świecił tylko księżyc. Dotarłam do asfaltowej drogi. Wbiegłam na nią. Byłam tylko w sari. Nie miałam żadnej bluzki, żadnej halki. Jakoś się okryłam. Nadjechał autobus. Wsiadłam. Byłam bosa. Krwawiłam. Miałam twarz jak dynia. Usta wielkie, ponieważ tyle razy mnie bili. Autobus był pusty. Kierowca nic nie powiedział. Nie pytał mnie o bilet. Usiadłam obok okna i zasnęłam z powodu chloroformu. W Khammam obudził mnie i powiedział: „To ostatni przystanek”. Wysiadłam z autobusu. Kiedy dowiedziałam się, że to Khammam, ucieszyłam się, ponieważ dobrze znałam takiego dr. Gołrinatha, który miał klinikę. Poszłam tam. Robiłam kroki jak pijana. Zapukałam do drzwi, jego żona otworzyła i zaczęła krzyczeć. Usiadłam na jej łóżku. Wyglądałam jak szalona. Wszystkie ślady po papierosach były teraz bąblami, na twarzy, piersiach, sutkach, brzuchu. Całe jej łóżko było we krwi. Przyszedł dr Gołrinath i udzielił mi pierwszej pomocy. Długo spałam z powodu chloroformu. Kiedy się zbudziłam, to nic, tylko płakałam. Chciałam iść do moich towarzyszek z lasu: Renu, Damajanti, Narmady.

Dr Gołrinath zatrzymał mnie na dziesięć dni. Potem dostaliśmy wiadomość z lasu i wróciłam. Przeszłam dwanaście kilometrów, a potem spotkałam oddział PLGA i musieliśmy iść jeszcze pięć godzin do obozu, gdzie znajdowali się członkowie Komitetu Okręgowego. Główny przywódca, towarzysz P.K., spytał mnie, co się stało. Jego już nie ma. Także zabity w starciu. Wtedy opowiedziałam mu, ale z powodu mojego płaczu nic nie mógł zrozumieć. Najpierw myślał, że żalę się na jakiegoś towarzysza partyjnego. Towarzysz P.K. powiedział: „Nie rozumiem wszystkich tych bzdurnych uczuć. Jesteśmy żołnierzami. Przedstaw to tak, jakbyś składała raport”. No więc złożyłam mu raport, jak chciał. Ale oczy płakały, chociaż

o tym nie wiedziałam. Pokazałam swoje rany towarzyszkom. Siedzieli potem przez dwa dni i rozmyślali, co zrobić. Komitet wezwał mnie znowu i oznajmił, że mam wyjść z lasu i utworzyć „Rewati Atjaćar Wedirekh Committee” – Komitet przeciwko Gwałtowi na Rewati. Na dodatek zrobiono mnie odpowiedzialną za jeszcze inny program, gdyż miałam przejąć kolonię dwóch tysięcy ludzi, która miała tylko dwie ręczne pompy. Jestem taka chora, a muszę organizować wiece, domagające się więcej pomp. Trudno w to uwierzyć. Powiedzieli jednak, że muszę poradzić sobie sama. Nie mogłam wyjść na zewnątrz, bo wtedy w ogóle nie mogłam chodzić. Krwawiło bezustannie. Miałam skurcze. W ranach pojawiło się zakażenie. Nie mogłam chodzić. Nie mogłam maszerować razem z oddziałem. Znowu zostawiono mnie w leśnej wiosce. Po trzech miesiącach mogłam chodzić. Wtedy byłam już ciężarna. Ale nie przejmowałam się tym. Znowu przyłączyłam się do PLGA, ale kiedy partia dowiedziała się o wszystkim, powiedzieli, że muszę wyjść na zewnątrz, ponieważ kobietom PLGA nie wolno mieć dzieci. Zostałam w leśnej wiosce aż do narodzin Udaji. Kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy, poczułam straszną nienawiść. Czułam, jak sześciu policyjnych typków kaleczy mnie ostrzami i przypala papierosami. Myślałam, żeby ją zabić. Przyłożyłam jej łufę do głowy, ale nie mogłam wystrzelić, ponieważ była takim małym i słodkim dzieckiem. Na zewnątrz lasu trwała właśnie wielka kampania przeciwko wojnie z ludem. Wielkie grupy z Delhi zorganizowały publiczny trybunał. Adiwasi, którzy zostali ofiarami, byli wzywani do Delhi, aby wystąpić w narodowych mediach. Partia kazała mi przyłączyć się do nich razem z miejscowymi prawnikami i aktywistami. Małe dziecko było dobrą przykrywką. Bardzo dobrze mówiłam w telugu i znałam wszystkie fakty. W Delhi mieli dobrych tłumaczy. Po trybunale wraz z ofiarami plemiennymi siedziałam na Dżantar Mantar w ramach trzydniowego publicznego protestu. Zobaczyłam tam wielu dobrych ludzi, ale nie potrafiłam żyć na zewnątrz jak oni.

Moja Partia jest moją Matką i Ojcem. Wiele razy robiła niedobre rzeczy. Zabijała nie tych ludzi, których było trzeba. Kobiety przyłączają się, ponieważ zostają wtedy rewolucjonistkami, ale także dlatego, że nie mogą znieść prześladowań w domu. Partia mówi, że mężczyźni i kobiety są równi, ale oni nic nie rozumieją. Wiem, że towarzysz Stalin i przewodniczący Mao zrobili wiele dobrych rzeczy, ale także wiele niedobrych. Jednak nie mogę porzucić mojej partii. Nie mogę żyć poza nią. Na Dżantar Mantar widziałam wielu dobrych ludzi i tak wpadłam na pomysł, aby tam zostawić Udaję. Nie potrafię być jak wy i oni. Nie potrafię podjąć strajku głodowego i zgłaszać żądań. W lesie każdego dnia policja pali, morduje, gwałci biedaków. To tacy jak wy są od walczenia i podejmowania różnych spraw. Ale wewnątrz jesteśmy tylko my. Wracam więc do Dandakaranji, aby żyć i umrzeć z karabinem.

Dziękuję, towarzyszu, za przeczytanie tego.

Czerwone pozdrowienie! Lal Salam!

Rewati

•

„LAL SALAM ALEJKUM”¹², mimowolnie, instynktownie odpowiedziała Andżum na zakończenie listu. Być może zaczynał się wielki ruch polityczny, ale ona zachowała się dokładnie tak, jak po wzruszającym kazaniu mówi się „amen”.

Każdy ze słuchaczy na swój własny sposób rozpoznał w tej nieznaney, dalekiej kobiecie, która już nie żyła, coś z siebie i z własnej historii, własny Ind-o--Pak. Dlatego zwarli szeregi wokół panny Dżebin Drugiej niczym formacja drzew czy dorosłe słonie, tworząc nieustępliwą fortecę, w której w przeciwieństwie do swej biologicznej matki będzie wzrastała broniona i kochana.

Przedmiotem natychmiastowej dyskusji w cmentarnym politbiurze stał się problem, czy panna Dżebin Druga powinna kiedykolwiek dowiedzieć się o tym liście, czy nie. Andżum, sekretarz generalna, nie miała tutaj żadnych wątpliwości. Podczas gdy panna Dżebin Druga stała jej na kolanach i omal nie ukręciła nosa, Andżum powiedziała:

– Musi oczywiście dowiedzieć się o matce. Ale nie o ojcu.

Postanowiono, że Rewati ze wszystkimi honorami zostanie pochowana na cmentarzu. Ponieważ nie było jej ciała, do grobu złożono list. (Tilo ku pamięci miała zachować fotokopię). Andżum zastanawiała się, jakie rytuały obowiązują na pogrzebie komunistki. (Użyła frazy *Lal salami*). Kiedy dr Azad Bhartija powiedział, że o ile wie, nie ma takich rytuałów, Andżum była zniesmaczona.

– A co to znowu ma znaczyć? Jacy ludzie niby mieliby chować swoich zmarłych bez modlitwy?

Nazajutrz dr Azad Bhartija załatwił gdzieś czerwoną flagę. List Rewati umieszczono w hermetycznym pojemniku, a potem owinięto we flagę. Podczas pochówku śpiewał wersję *Międzynarodówki* w hindi, a następnie z mocno zaciśniętą pięścią oddał Czerwony Salut. W ten sposób dokonał się drugi pogrzeb pierwszej, drugiej lub trzeciej matki panny Dżebin Drugiej – w zależności od punktu widzenia.

Politbiuro zadecydowało, że odtąd panna Dżebin Druga oficjalnie będzie się nazywała panną Udają Dżebin. Epitafium na grobie jej matki mówiło lakonicznie:

TOWARZYSZKA MASE REWATI Ukochana matka panny Udaji Dżebin
Lal Salam

Dr Azad Bhartija próbował nauczyć pannę Udaję Dżebin – mającą sześciu ojców i trzy matki (zszytych ze sobą świetlistymi niciami) – zaciskać pięść i powiedzieć wreszcie do matki „Lal Salam”.

– ...al Salam – zagaworzyła.

1 *Inśalla Inśalla* – „Jeśli Bóg zechce”.

2 *Pudża* – rytuał adoracji bóstwa w tradycjach hinduskich.

3 Nawiązanie do zwycięstwa partii BJP i jej kandydata na premiera, Narendry Modiego (tu występującego jako „Gudźarat ka Lalla”) w wyborach ogólnindyjskich w 2014 r. Modi zasłynął potem między innymi z noszenia ubrania, na którym wielokrotnie wyszyto jego imię (Narendra Damordas Modi).

4 Nawiązanie do wspomnianego wcześniej polityka Aggarwala (w rzeczywistości Kejriwala) i gandyjskiego działacza (Anny Hazare), od których według autorki hinduscy nacjonaści (tu jako „szafranowe papugi”), często używający szafranowych flag, mieli nauczyć się używania flag państwowych.

5 *Ćamar* – kasta garbarzy, tu zapewne ogólniej jako niedotykalni.

6 *Ćalo* – „W porządku”, „Nieważne”.

7 Boże, dawco życia / Ty, który koisz ból i smutek / Stwórco wszechświata / Obyśmy otrzymali Twoje najwspanialsze, niszczące grzech światło / Obyś zwrócił nasz intelekt we właściwą stronę (przyp. wyd. oryg.).

8 W. Szekspir, *Henryk V*, tłum. S. Barańczak.

9 *Adiwasi* („pierwotny mieszkaniec”) – określenie na indyjskie plemiona.

10 *Pandal* – przypominająca namiot konstrukcja ustawiana w miejscu imprezy weselnej.

11 Dwie różne rządowe kategorie obejmujące kasty objęte programem rządowych przywilejów.

12 *Salam alejkum* to muzułmańskie powitanie. *Lal salam* („czerwone powitanie”) to powitanie indyjskich komunistów.

11. GOSPODARZ

Ciągle tu jestem. Jak musieliście niewątpliwie już zgadnąć. Nigdy się nie zgłosiłem na odwyk. Szedłem w ciągi i wychodziłem z nich przez sześć miesięcy od chwili, gdy się tu zjawilem. Tak czy owak, jestem teraz trzeźwy – najpewniej powinienem powiedzieć „trzeźwy na teraz”. Już ponad rok mija od chwili, kiedy po raz ostatni dotknąłem kielonka. Ale już jest za późno. Straciłem pracę. Opuściła mnie Ćitra, a Rabia i Anja nie odzywają się do mnie. O dziwo, nic z tego nie uczyniło mnie tak nieszczęśliwym, jak to sobie wyobrażałem. Doszło do tego, iż raduję się swoją samotnością.

Przez kilka ostatnich miesięcy prowadziłem życie odludka. Zamiast picia ogarnął mnie szal czytania. Postanowiłem zbadać w tym apartamencie każdy, nawet najmniejszy kawałek papierka, jaki się tutaj znajduje: każdy dokument, raport, list, każdy film, każdą żółtą karteczkę samoprzylepną, każdą fotografię w każdej teczce. Moglibyście chyba powiedzieć, że do tego projektu włączyłem także cechy osobowości uzależniającej się, przez co mam na myśli jednostronność widzenia połączoną z ostrym poczuciem winy i bezużytecznymi wyrzutami sumienia. Kiedy się już przekopałem przez całe niezwykle archiwum, usiłowałem zadośćuczynić swojej pożądlivości, wprowadzając jakąś logikę i porządek do tego chaosu. Chociaż, czy ja wiem, może i to trzeba uznać za kolejne łajdactwo. Tak czy owak, wszystkie papiery i fotografie pozbierałem i umieściłem w zaklejonym kartonie, tak że jeśli i kiedy przyjdzie, będzie mogła go łatwo zabrać. Porobiłem odpowiednie notatki i w ten sposób upewniłem się, że wszystkie fotografie oraz przyklejki zostały umieszczone w taki sposób, iż łatwo będzie je mogła włożyć z powrotem w tym samym porządku. Wszystko to znaczy, że się wprowadziłem. Mieszkam teraz tutaj, w tym apartamencie. Poza tym nie mam gdzie się wynieść. Czynnosc za mieszkanie na dole stanowi większą część mojego dochodu. Tilo wciąż opłaca mi czynsz, chociaż planuję zwrócić jej pieniądze, kiedy, jeśli w ogóle, znowu ją zobaczę.

W efekcie całego tego mego wścibstwa zmieniłem, muszę przyznać, swoją opinię o Kaszmirze. Wiem, że kiedy teraz to mówię, może to brzmieć jak tania wymówka, jak w przypadku generałów, którzy przez całe życie prowadzą wojny, a potem, ledwie przejdą na emeryturę, robią się z nich świętoszki, antynuklearni miłośnicy pokoju. Jedyna różnica między nimi a mną jest taka, iż ja zamierzam dla siebie zachować tę nowo ukształtowaną opinię. Aczkolwiek nie jest to wcale łatwe. Gdybym tylko chciał i gdybym dobrze rozegrał partię, mógłbym najpewniej wystąpić w którejś z poważnych stolic. Mógłbym wywołać polityczną burzę swoimi, by tak rzec, „wyznaniami”, ponieważ z nowin dochodzących z Kaszmiru wnoszę, iż po kilku latach złudnego spokoju znowu tam wybuchło.

Na ile mogę ocenić, nie jest to już jednak sytuacja, gdy siły bezpieczeństwa

atakują zwykłych ludzi. Wydaje się, że stało się zupełnie odwrotnie. Normalni, najnormalniejsi ludzie – nie żadni bojownicy – atakują siły bezpieczeństwa. Dzieciaki na ulicach z kamieniami w rękach rzucają się na żołnierzy z karabinami, chłopci zbrojni w kije i łopaty spływają lawiną ze zboczy górskich i napadają na obozy wojskowe. Jeśli żołnierze strzelają do nich i zabijają kilku, protesty tylko potężnieją. Oddziały paramilitarne używają gumowych naboju, co kończy się oślepianiem ludzi, ale to, jak się wydaje, jest lepsze od zabijania. Aczkolwiek z punktu widzenia PR--u jest gorsze. Świat już się przyzwyczaił do widoku stosów ciał, ale nie do widoku setek żywych ludzi, którzy zostali oślepieni. Wybaczcie mi, jeśli będę niesmaczny, ale tylko wyobraźcie sobie, jaką to stanowi atrakcję dla oka. Zdaje się jednak, że nawet i to już nie działa. Chłopaki, straciwszy jedno oko, wracają na ulicę, gotowi ryzykować drugie. Co począć z takim rodzajem szaleństwa?

Nie wątpię, że raz jeszcze możemy ich pobić i najpewniej to zrobimy, ale na czym to się skończy? Na wojnie? Na wojnie nuklearnej? To chyba najbardziej realistyczne odpowiedzi. Każdego wieczoru, gdy oglądam wiadomości, nie mogę się nadziwić ignorancji i idiotyzmowi tego, co widzę na ekranie. Pomyśleć, że przez całe swoje życie byłem tego częścią. Jedyne, co mógłbym zrobić, to przestać pisać do gazet. Nie zrobię tego, ponieważ wtedy dopiero stałbym się żalony – wzgardzony, pijany, czyniący zarzuty z powodu sumienia skrupulatny obserwator. Coś takiego.

Oczywiście wiem teraz o Musie, w tym przynajmniej sensie, iż wiem, że nie umarł wtedy, gdy przypuszczaliśmy. Przez wszystkie te lata kręcił się tu w pobliżu i oczywiście, nie trzeba dodawać, moja lokatorka o wszystkim wiedziała przez cały czas. Następstwem tego zaś było zamroczenie, które mnie ogarnęło, gdy zajrzałem i zobaczyłem, co gromadziła w zamrażarce.

Wyobraźcie więc sobie moją przyjemność, kiedy oto pewnego wieczoru klucz obraca się w zamku i wchodzi Musa, bardziej zaszokowany moim widokiem niż ja jego. Pierwszych kilka minut było pełnych napięcia: chciał się wycofać, mnie jednak udało się go nakłonić, by został przynajmniej na filiżankę kawy. Dobrze było go zobaczyć. Gdy widzieliśmy się ostatni raz, byliśmy bardzo młodzi. W istocie chłopcy. Dziś ja niemal nie miałem włosów, a on posiwiiał. Kiedy powiedziałem mu, że nie pracuję już w Biurze, trochę się odprężył. Skończyło się na tym, że spędziliśmy razem całą noc i sporą część następnego dnia. Kiedy dziś wspominam sobie to spotkanie, widzę, że mówiliśmy bardzo wiele. Czuję się odrobinę zażenowany sprawnością, z jaką skłonił mnie do mówienia. Było to połączenie spokojnej uwagi z tą ciekawością, która bardziej jest pochlebna niż natarczywa. Nie wykluczam, że moja gotowość do tego, aby upewnić go, iż nie jestem już jego „nieprzyjacielem”, sprawiła, że ostatecznie to ja głównie gadałem. Byłem zdumiony tym, jak dokładnie znał, zdawało się, działanie Biura.

O niektórych oficerach mówił tak, jakby byli jego osobistymi przyjaciółmi. Wyglądało to trochę jak wymiana informacji między kolegami. Wszystkiego tego jednak dokonał chłodno, niemal nonszalancko, tak że wszystko wydawało się bardziej pogawędką, niemal wymianą plotek. Dopiero kiedy znikł, uzmysłowiłem sobie, co się stało. W istocie nie rozmawialiśmy o polityce. I nie mówiliśmy o Tilo. Zaproponował, że ugotuje mi coś do jedzenia, wykorzystując to, co miałem w zamrażarce. Oczywiście wiedziałem, że tak naprawdę chciał zajrzeć do jej wnętrza. Tyle że w środku był tylko kilogram dobrej baraniny. Poinformowałem go, że wszystko, co znajdowało się w mieszkaniu, łącznie z jego licznymi paszportami i innymi osobistymi dokumentami, zostało zapakowane i czekało gotowe na odbiór przez Tilo, gdy tylko będzie chciała.

Krążyliśmy wokół tematu Kaszmiru, ale tylko w ogólny -sposób.

– Ostatecznie możecie mieć rację – powiedziałem mu w kuchni. – Możecie mieć rację, ale nigdy nie wygracie.

– No popatrz, a mnie się wydaje odwrotnie. – Uśmiechnął się, mieszając w garnku, z którego unosił się wspaniały aromat *rogan dżoś*. – Może się okazać, że nie mieliśmy racji, ale i tak wygraliśmy.

Dalej już nie polemizowałem. Nie myślę, by miał świadomość tego, jak daleko rząd Indii gotów był się posunąć, aby zachować ten mały skrawek ziemi. Mogło to doprowadzić do przelewu krwi, który sprawi, iż lata dziewięćdziesiąte będą wyglądały jak igraszka. Z drugiej strony, może to ja nie miałem pojęcia, jak bardzo samobójcza była – czy miała się stać – postawa Kaszmirczyków. Ktokolwiek z nas miał rację, stawki zdawały się teraz wyższe niż kiedykolwiek wcześniej. A może odmiennie pojmowaliśmy to, co znaczy „zwycięstwo”.

Posiłek był znakomity. Musa okazał się wyluzowanym i wybornym kucharzem. Spytał o Nagę.

– Od dawna nie widziałem go w telewizji. Wszystko z nim w porządku?

O dziwo, jedyną osobą, z którą od czasu do czasu spotykam się w swoim nowym życiu odludka, jest Naga. Zrezygnował z dziennikarstwa i wydaje się szczęśliwszy niż, o ile pamiętam, kiedykolwiek wcześniej. Ironicznie można zauważyć, że obaj zostaliśmy wyzwoleni przez zdecydowane i kategoryczne zniknięcie Tilo z naszego życia i ze świata, który znaliśmy. Powiedziałem Musie, że razem z Nagą planujemy – ciągle nie było to niczym więcej niż planem – uruchomić w telewizji lub na YouTube kanał z dawną muzyką. Naga zająłby się Zachodem: rock and rollem, bluesem, jazzem, a ja wziąłbym się za resztę świata. Mam interesującą, a moim zdaniem wręcz znakomitą, kolekcję ludowej muzyki z Afganistanu i Syrii. Wszystko, co powiedziałem, wydało mi się płytkie i powierzchowne, ale Musa był chyba autentycznie zainteresowany, w efekcie czego odbyliśmy całkiem zajmującą pogawędkę o muzyce.

Następnego ranka załatwił małe tempo z targowiska, a dwóch ludzi

załadowało kartony i całą resztę rzeczy Tilo. Wydawało się, iż wie, gdzie ją znaleźć, ale nic o tym nie mówił, więc i ja nie pytałem. Było jednak pewne pytanie, które musiałem mu zadać przed rozstaniem, było coś, co rozpaczliwie musiałem wiedzieć, zanim upłynie następne trzydzieści lat. Dręczyłbym się do końca życia, gdyby do tego nie doszło. Musiałem spytać. Nie było na to żadnego subtelного sposobu. Nie przyszło mi to łatwo, ale w końcu się na to zdobyłem.

– Czy ty zabiłeś Amrika Singha?

– Nie. – Patrzył na mnie oczyma barwy zielonej herbaty. – Nie zabiłem.

Przez chwilę nie mówił nic więcej, ale z jego wzroku zgadywałem, że ocenia mnie, zastanawia się, czy powinien mi powiedzieć coś więcej, czy nie. Powiedziałem, że widziałem podania o azyl i karty pokładowe na lot do USA z nazwiskiem, które pasowało do jednego z jego fałszywych paszportów. Znalazłem też pokwitowanie na samochód wynajęty w Clovis. Daty też się zgadzały, wiedziałem więc, że musiał mieć coś wspólnego z całym tym zdarzeniem, ale nie wiedziałem co.

– Po prostu jestem ciekaw – powiedziałem. – Nie ma znaczenia, czy to zrobiłeś, czy nie. Zasłużył na śmierć.

– Nie zabiłem go. Zrobił to sam. Ale doprowadziliśmy do tego, że się zabił.

Do jasnej cholery, nie miałem pojęcia, co to miało znaczyć.

– Nie wyjechałem do Stanów, aby go tropić. Byłem tutaj, miałem inną pracę, kiedy zobaczyłem w gazetach informację, że został aresztowany za pobicie żony. Podano jego adres zamieszkania. Od lat się za nim rozglądałem. Podobnie jak wielu z nas, miałem z nim rachunki do wyrównania. Pojechałem więc do Clovis, rozejrzałem się trochę i w końcu znalazłem go w warsztacie samochodowym z myjnią. Był to teraz ktoś zupełnie inny niż ten morderca, którego znaleźliśmy. Zabójca Dżaliba Kadriego i wielu innych. Nie miał całej tej infrastruktury bezkarności, która go otaczała, gdy działał w Kaszmirze. Był przerażony, załamał się. Zrobiło mi się go prawie szkoda. Zapewniłem, że nie zamierzam wyrządzić mu krzywdy i że zjawiłem się tylko po to, aby powiedzieć, iż nie pozwolimy mu zapomnieć rzeczy, które zrobił.

Prowadziłem z Musą tę rozmowę na ulicy. Wyszedłem go odprowadzić.

– Wiadomość w gazecie przeczytali też inni Kaszmiczycy, zaczęli więc przyjeżdżać do Clovis, aby zobaczyć, jak się żyje Rzeźnikowi Kaszmirskiemu. Dziennikarze, pisarze, fotografowie, prawnicy... czasami zupełnie normalni ludzie. Pojawiali się w jego pracy, w domu, supermarkecie, po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko szkoły jego dzieci. Codziennie. Musiał patrzeć na nas. Musiał pamiętać. To z pewnością doprowadziło go do szaleństwa, a ostatecznie do samozniszczenia. Zatem... odpowiadając na twoje pytanie... Nie, ja go nie zabiłem.

To, co Musa powiedział potem, stojąc na tle bramy szkoły, na której

widniała namalowana ogromna pielęgniarka podająca dziecku szczepionkę przeciw chorobie Heinego--Medina, było jak... jak zastrzyk z lodu. Głównie z tego powodu, że mówił to z całkowitą obojętnością, z przyjaznym, niemal szczęśliwym uśmiechem na twarzy, jakby tylko żartował.

– Pewnego dnia Kaszmir tak samo doprowadzi Indie do samozniszczenia. Możecie nas oślepić. Każdego z nas po kolei, swoimi gumowymi pociskami, ale wam nie zabraknie oczu, aby zobaczyć, co żeście zrobili. Wcale nas nie niszczycie. Wy nas budujecie. To siebie niszczycie. *Chuda Hafiz, Garson bhai*¹.

Z tymi słowami znikł. I nigdy go już nie widziałem.

A jeśli miał rację? Widzieliśmy, jak wielkie kraje obróciły się w ruinę z dnia na dzień. A jeśli my jesteśmy następni w kolejce? Ta myśl napełnia mnie jakimś epokowym smutkiem.

Jeśli ta mała boczna uliczka jest czymś, co ma zmarnieć, to może upadek już się zaczął. Wszystko zniemacka ucichło. Nic się nie buduje. Zniknęli robotnicy. Gdzie są wszystkie te dziwki, homoseksualiści i psy w swoich śmiesznych kubraczkach? Brak mi ich. Jak to wszystko mogło zniknąć tak nagle?

Nie wolno mi tutaj zostać niczym jakiemuś nostalgicznemu staremu głupcowi.

Wszystko się polepszy. Musi.

W drodze powrotnej udało mi się uniknąć na schodach mojej opastej i gadatliwej lokatorki, Ankity. I tak dotarłem do mojego pustego apartamentu. Będzie on już zawsze nawiedzany przez duchy kartonowych paczek, które znikły, i wszystkich historii, które zawierały.

A także przez nieobecność kobiety, której na swój słaby, chwiejny sposób nigdy nie przestałem kochać.

I co się ze mną stanie? Sam jestem trochę podobny do Amrika Singha – stary, opuchły, przerażony i pozbawiony tego, co Musa tak elokwentnie nazwał „infrastrukturą bezkarności”, w której działałem przez całe swoje dotychczasowe życie. A gdybym ja sam siebie zabił?

Mógłbym, gdyby nie muzyka.

Muszę skontaktować się z Nagą. Powinienem na serio popracować nad tym pomysłem z kanałem w Internecie.

Ale najpierw muszę się czegoś napić.

¹ *Chuda Hafiz, Garson bhai* – „Niech cię Bóg strzeże, bracie Garsonie”.

12. Guih Kjom

Była to trzecia noc Musy w zajeździe Dżannat. Pojawił się kilka dni temu jako dostawca, samochodem tempo wypełnionym kartonowymi paczkami. Wszyscy byli zachwyceni radością na twarzy Ustanidzi, wykwitłą, ledwie tylko go zobaczyła. Pakunki zostały ułożone w stosach przy ścianie w pokoju Tilo, zagracając miejsce, które dzieliła z Ahlam Badzi. Tilo powiedziała Musie wszystko, co wiedziała o każdym gościu z zajazdu Dżannat. Ostatniej nocy leżała obok niego na łóżku, dowodząc zręczności jej urdu. W jednym ze swoich notesów zapisała wiersz, którego nauczyła się od dr. Azada Bhartiji.

Mar gaje bulbul kafas me

Keh gaje sajad se

Apni sunehri gand me

Tu thuns le fasl--e--bahar1.

– Brzmi to trochę jak hymn zamachowca samobójcy – rzekł Musa.

Tilo opowiedziała mu o dr. Azadzie Bhartiji i o tym, że wiersz stanowił odpowiedź na policyjne wypytywania na Dżantar Mantar (rankiem po wiadomej nocy, wspomnianej wcześniej nocy, nocy, która odtąd zawsze była nazywana „tą nocą”).

– Kiedy umrę – powiedziała ze śmiechem Tilo – chciałabym, żeby takie było moje epitafium.

Ahlam Badzi mruknęła kilka przekleństw i przekręciła się w swoim grobie.

Musa spojrział na stronę w notatniku, która sąsiadowała z tą, na której Tilo napisała wiersz.

Było na niej napisane:

Jak

opowiedzieć

potrzaskaną

historię?

Powoli

stając się

każdym.

Nie.

Powoli stając się wszystkim.

To coś, nad czym warto się zastanowić, pomyślał.

Kazało mu to zwrócić się do swej długoletniej miłości, do kobiety, której dziwność stała mu się tak droga, i przytrzymać ją mocno.

Coś związanego z nowym domem Tilo przypomniało Musie Mumtaza Afzala Malika, młodego taksówkarza, którego Amrik Singh zabił i którego ciało zostało zabrane z pola, po czym oddano je rodzinie – z ziemią w zaciśniętych

pięściach i kwiatami gorczycy pomiędzy palcami. Ta historia nigdy nie opuszczała Musy, być może dlatego, że tak nierozłącznie, tak mocno wiązały się w niej nadzieja z żalem.

Następnego ranka wyjedzie do Kaszmiru, aby powrócić do nowej fazy starej wojny, z której już, tym razem, nie powróci. Umrze tak, jak chciał, mając na nogach swoje *asal but*. Zostanie pochowany tak, jak chciał – nieznanym człowiekiem w bezimiennym grobie. Ci ludzie, którzy zajmą jego miejsce, będą twardsi, surowsi i mniej wybaczący. Ci zapewne wygrają każdą wojnę, którą podejmą, ponieważ należą do generacji, która nie znała niczego poza wojną.

Tilo otrzymała informację od Khadidzi – fotografię młodego, uśmiechniętego Musy i Gul--kaka. Na jednej stronie Khadidza napisze „Komendanci Gulrez i Gulrez teraz już razem”. Tilo głęboko żałowała odejścia Musy, ale żal jej nie obezwładnił, ponieważ mogła do niego regularnie pisać i odwiedzać go dostatecznie często poprzez szczelinę w drzwiach, którą sfatygowane anioły trzymały (nielegalnie) dla niej.

Ich skrzydła nie śmierdziały zadkami kurczaków.

Swejej ostatniej nocy Tilo i Musa spali, objąwszy się ramionami tak, jakby się dopiero spotkali.

Tej nocy Andżum była niespokojna i nie mogła spać. Pokręciła się po cmentarzu, przeglądając to, co do niej należało. Na chwilę zatrzymała się przy grobie Bombay Silk, zmówiła modlitwę i opowiedziała panie Udaji Dżebin, która uwiesiła się na jej biodrze, historię o tym, jak po raz pierwszy zobaczyła Bombay Silk, gdy ta kupowała bransoletki od sprzedawcy przy Ćitli Kabar, i jak potem ulicą poszła za nią do Gali Dakotan. Schyliła się, zerwała jeden z kwiatków Rošana Lala z grobu Begam Renaty Mumtaz Madam i ułożyła go na grobie towarzyszkii Mase. Ten drobny akt redystrybucji sprawił, że poczuła się odrobinę lepiej. Spojrzała za siebie na zajazd Dżannat i doznała uczucia zadowolenia i spełnienia. Pod wpływem jakiegoś impulsu zabrała pannę Udaję Dżebin na małą nocną wycieczkę, aby ją zaznajomić z otoczeniem i światłami miasta.

Obok kostnicy, przez szpitalny parking, wyszła na główną drogę. O tej porze ruch był niewielki. A jednak dla bezpieczeństwa pozostała na chodniku i szła, lawirując między zaparkowanymi rykszami i śpiącymi ludźmi. Minęły chudego, nagiego mężczyznę z fragmentem drutu kolczastego w brodzie – uniósł rękę w pozdrowieniu i spiesznie się oddalił, jakby był już spóźniony do biura. Kiedy panna Udaja Dżebin powiedziała: „Mamo, siusiu!”, Andżum usadziła ją pod latarnią. Siusiała wpatrzona w matkę, a potem uniosła swój zadek, aby radował się nocnym niebem, gwiazdami i tysiącletnim miastem, które odbijały się w zrobionej przez nią kałuży. Andżum podniosła ją, pocałowała i zaniósła z powrotem do domu.

Kiedy wróciły, w wszystkie światła były zgaszone i każdy spał. To znaczy

każdy z wyjątkiem Guiha Kjoma, żuka gnojowego. Był zupełnie rozbudzony i dzielnie się sprawiał, leżąc na grzbiecie z nóżkami do góry, na wypadek gdyby niebo spadło. Ale nawet on wiedział, że teraz już sprawy potoczą się dobrze. A potoczą się dobrze, bo muszą.

Gdyż nadeszła panna Dźebin, panna Udaja Dźebin.



1 „Umarł w swojej klatce ptaszek mały / a dla strażnika zostawił słowa: / Zbierz proszę te żniwa wiosenne / i wsadź je sobie w poślacaną dupę”.

Podziękowania

Z miłości i przyjaźni, jaką obdarzyli mnie ci, których niżej wymieniam, splotłam dywan. Myślałam na nim, spałam, marzyłam, mknęłam i fruwałam przez wszystkie te lata, które zabrało mi pisanie tej książki. Dziękuję zatem Johnowi Bergerowi, który pomógł mi rozpocząć i czekał na zakończenie.

Mayankowi Austenowi Soofiemu i Aijazowi Husajnowi. Sami wiedzą, za co. Nie muszę się nad tym rozwodzić.

Parvaizowi Bukhariemu. Jak wyżej.

Shohini Ghosh, ukochanej lekarce, która potrafiła wyciągnąć mnie z najgłębszego dołka.

Jawedowi Naqviemu za muzykę, bezwstydną wiersze i dom pełen lilii.

Ustawowi Hamidowi, który pokazał mi, że między dwoma tonami muzyki można wlatywać w niebo, nurkować i sunąć na lotni.

Dayanicie Singh, z którą kiedyś wybrałyśmy się na wędrowkę, a idea okazała się płodna.

Munni i Shigori z Meena Bazaar za długie godziny plotkowania.

Jhinjhanvim: Sabihie oraz Naseerowi- ul- Hassanowi, Shaheenie oraz Muneerowi- ul- Hassanowi za domostwo w Śahdżahanabadzie.

Tarunowi Bhartiyi, Prashantowi Bhushanowi, Mohammedowi Dżunedowi, Arifowi Ayazowi Parray, Khurramowi Parvezowi, Parvezowi Imroze, P.G. Rasoolowi, Arjunowi Rainie, Jitendrze Yadavowi, Ashwinowi Desai, G.N. Saibabie, Ronie Wilson, Nandini Ozie, Shripadowi Dharmadhikary, Himanshu Thakkerowi, Nikhilowi De, Anandowi, Dionne Bunsie, Chittaroopie Palit, Sabie Naqvi oraz wielebnemu Sunilowi Sardarowi, których pomysły legły gdzieś u podstaw *Ministerstwa*.

Savitri i Ravikumarowi za nasze wspólne podróże i za wiele wiele więcej.

J.J. (Heck). Ale ona musi być gdzieś tutaj.

Rebecce John, Chanderowi Udayowi Singhowi, Jawaharowi Raja, Rishabhowi Sancheti, Harshowi Borze, panu Deshpande oraz Akshayowi Sudame, którzy uchronili mnie od więzienia. (Na razie).

Susanne Lea i Lisette Verhagen, Światowym Ambasadorkom Niezrówanego Szczęścia.

Heather Godwin oraz Philippie Sitters, które stanowią personel bazy.

Davidowi Eldridge'owi, znakomitemu projektantowi okładek. Dwie książki, między którymi upłynęło dwadzieścia lat.

Iris Weinstein za wspaniałe stronicę.

Ellie Smith, Sarah Coward, Arpicie Basu, George'owi Wen, Benjaminowi Hamiltonowi, Marii Massey i Jennifer Kurdyla. Pilni czytelnicy, drobiazgowi redaktorzy i wyborni protagoniści w transatlantyckich wojnach na przecinki.

Pankajowi Mishrze, nadal Pierwszemu Czytelnikowi.
Robinowi Desserowi oraz Simonowi Prosserowi. Wymarzonym redaktorom.
Moim cudownym wydawcom Sonny Mehcie, Meru Gokhale (nie tylko wydawcy, ale też świetnemu karmicielowi).

Hansowi Jürgenowi Balmesowi, Antoine'owi Gallimardowi, Luigiemu Brioschiemu, Jorge Herralde'owi, Dorotei Bromberg i wszystkim innym, których osobiście nie poznałam.

Sumanowi Pariharowi, Mohammedowi Sumonowi, Krishnie Bhoat oraz Aśokowi Kumarowi, którzy pomogli mi utrzymać głowę nad wodą, gdy nie było to łatwe.

Suzie Q, mobilnej lekarce dusz, drogiej przyjaciółce i najlepszej taksówkarce w Londynie.

Krishnanowi Tewariemu, Sharmili Mitrze i Deepie Vermie za codzienną porcję słodyczy, spokoju ducha i śmiechu.

Johnowi Cusackowi, którego niepodobna nie kochać, a który współkreślił Freedom Charter.

Eve Ensler oraz Bindzie Thapar. Najdroższym.

Mojej matce, Mary Roy, najbardziej ludzkiej z ludzkich istot – jak nikomu innemu.

Mojemu bratu, LKC, dzięki któremu zachowałam zdrowie duchowe, oraz bratowej, Mary. Oboje oni pomogli mi przetrwać.

Golakowi. Go. Najstarszemu przyjacielowi.

Mithvie i Pii. Kruszynkom. Ciągle moim.

Davidowi Godwinowi. Latającemu agentowi. Ekstra człowiekowi. Bez którego nic.

Anthony'emu Arnove'owi, kumplowi, agentowi, wydawcy, opoce.

Pradipowi Krishenowi, ukochanemu od wielu lat. Drzewo honorowe.

Sanjayowi Kakowi. Jaskinia. Od zawsze.

Oraz

Begum Filthy Jaan i Maati K. Lal. Stworom.

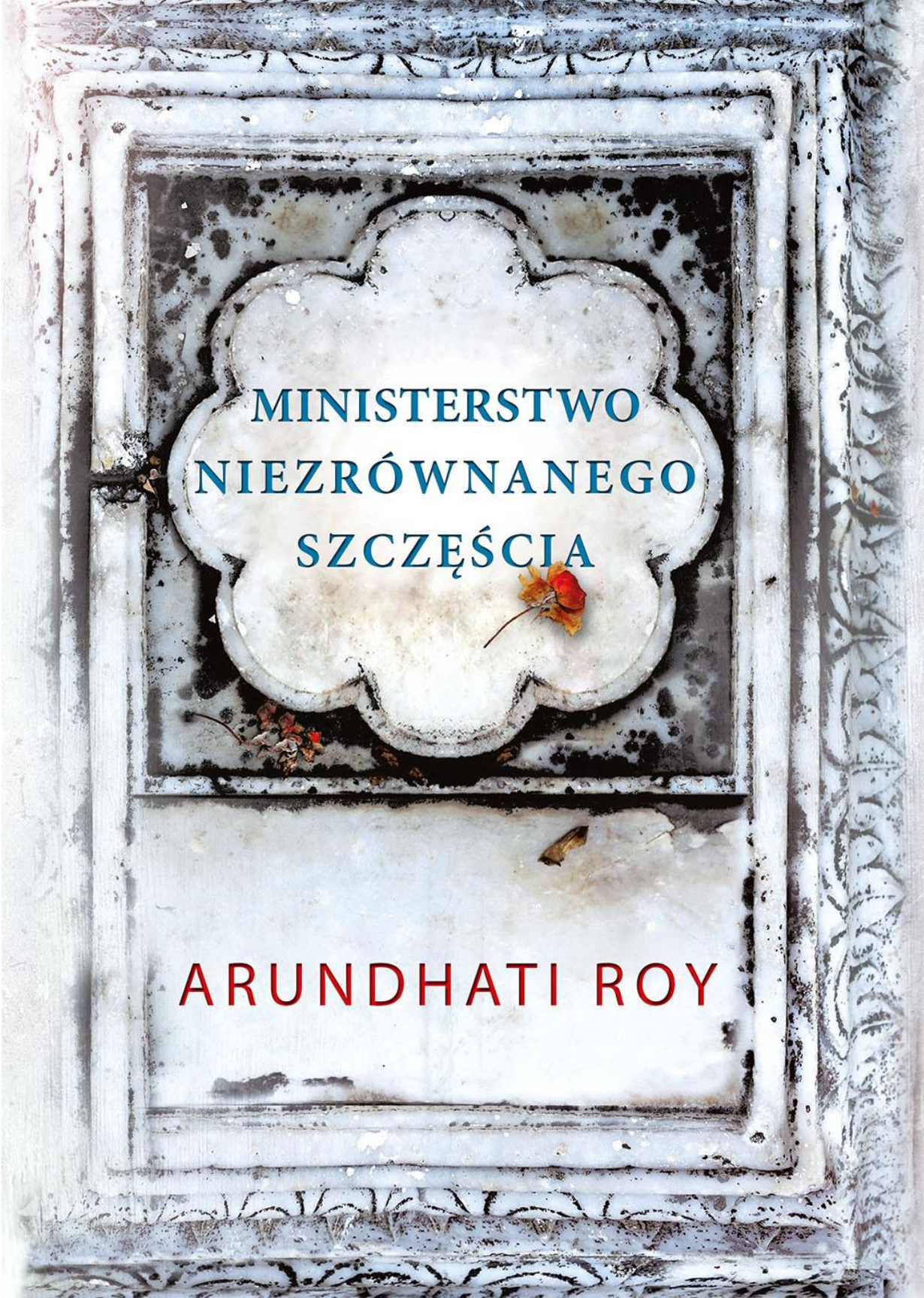
Podziękowania specjalne:

Cytat, który na głos myślowy profesor odczytuje myślowemu audytorium, jest adaptowany z książki Johna Graya [J. Gray, *Słomiane psy*, tłum. C. Cieśliński, KiW, Warszawa 2003].

Słowa *Dark to light and light to dark* pochodzą z *Gone Ioanny Giki*.

Autorem wiersza *Dunija ki mehfilq se ukta gaja hu ja Rab* jest Allama Iqbal.

Dwuwersz na grobie Arify Jeswi napisał Ahmed Faraz.



MINISTERSTWO
NIEZRÓWNaNEGO
SZCZĘŚCIA

ARUNDHATI ROY

